

**JON TRACE**

**RZYMSKA**

**PRZEPOWIEDNIA**

Z angielskiego przełożył:

*Maciej Jakub Jabłoński*

 hachette  
LITERATURA

# PROLOG

## *PAMIĘTNIK KASANDRY*

*Rzym*

*Niewielu dana jest wiedza o tym, kiedy umrę.*

*Być może powinnam czuć wdzięczność za ten przywilej.*

*Jestem Kasandra, z dumnego i szlachetnego rodu Sabinów, i nie obawiam się śmierci.*

*Wolę zginąć, niż wyznać im, w czym uczestniczyłam, co skrywam i jaką tajemnicę zabiorę ze sobą do grobu.*

*Być może to właśnie budzi taką wściekłość tłumu.*

*W ich oczach widzę żądzę krwi, słyszę ją w ich wrzasku. Czuję zapach ich zwierzęcego podniecenia.*

*Oby bogowie piekieł przeklęli ich wszystkich.*

*Lud Cosmedinu wyległ na ulice w oczekiwaniu na ofiarę.*

*Na mnie.*

*Tłoczą się wzdłuż zalanych uryną ulic, zwieszają się jak szmaty z okien murszejących domów, wrzeszcząc i plując, gdy wiozą mnie przed nimi.*

*Jaką zbrodnię popełniłam?*

*Nie tę, o którą mnie oskarżono. Będą mnie sądzić - i niewątpliwie ukarzą - za grzechy znacznie bliższe od tajemnicy, którą skrywam.*

*Napisy na murach twierdzą, że sypiam z mężczyzną, który nie jest moim mężem. Rysunki przedstawiają mnie jako sprytną młodkę, wystawiającą na pośmiewisko tłustego, okrutnego senatora, którego musiałam poślubić z woli ojca.*

*Ach, gdybyż tylko o to chodziło! Mogłabym bez wstydu przyznać się do cudzołóstwa, albowiem żadna z kobiet w Rzymie nie potępiłaby mnie. Mój mąż jest człowiekiem o wysokiej*

pozycji i rynsztokowej moralności. Jest ode mnie trzy razy starszy, ale to go nie czyni mądrzejszym.

Sądzę, że to mój chłód wzbudził w nim podejrzenia. W oczach głupców takich jak Lucjusz kobieta, która nie oddaje się z radością ich zwierzęcemu pożądaniu i która domaga się czasu dla siebie, jest bez wątpienia cudzołożnicą.

Nie będę pozbawiać go złudzeń.

Po tysiąc kroć wolę cierpieć niekończące się męki, niż ujawnić przed nim istnienie Dziesiątej Księgi i tych, które nazywam siostrami.

Bezrozumny tłum Cosmedinu ciska we mnie czerstwym chlebem i gnijącymi warzywami. Większość pocisków omija rozklekotany powóz, którym wiozę mnie na skazanie. Niektóre trafiają i choć czuję ból, w moich oczach nie ma łez.

Patrzę dumnie przed siebie i polecam się Zeusowi. Nie pozwolę, aby dojrżeli narastający we mnie strach.

Nie ukorzę się przed nimi w hańbie.

Nie teraz.

Ani później, gdy ta potworna ceremonia osiągnie najważniejszy punkt.

Jestem Kasandra - powtarzam sobie. Jestem ze szlacheckiego rodu.

Dłonie obcych sięgają mojego ubrania. Dłonie niegodne ocierać potu z brwi złodziei i trędowatych. Zdzierają ze mnie tunikę w nadziei, że nagość dopełni mojej hańby. Palce ściągają biżuterię z mojej szyi. Dopiero teraz żołnierze zaczynają odpychać tłum tarczami. Złodziej wpatruje się w dziwny kamień, który udało mu się zerwać, matowy trójkąt na plecionym sznurku. Rozczarowanie odbiera mu mowę.

Głupiec.

Nigdy się nie dowie, jaki skarb ma w ręku.

Powóz toczy się dalej przy akompaniamencie ryków tłumu. Jak statek miotany falami ludzkich głosów.

W końcu dostrzegam cel tej wędrówki.

La Bocca della Verità - Usta Prawdy.

Jeden z sędziów prowadzi mnie do Ust i odwraca twarzą ku tłumowi.

- Kasandro, żono szlacheckiego Lucjusza Katona, jesteś oskarżona o cudzołóstwo i zhańbienie dobrego imienia swojego męża, senatora wielkiej Republiki rzymskiej. Co masz do

*powiedzenia na swoją obronę?*

*Moja twarz przypomina kamienną maskę.*

*Gdybym wyznała im prawdę, puściliby mnie wolno. Ich plebejskie okrzyki zatręłyby im usta.*

*Ale nie zrobię tego.*

*Prawda musi pozostać w ukryciu, nawet jeśli muszę cierpieć za zbrodnię, której nie popełniłam.*

*Sędzia wpatruje się we mnie. Jego oczy są zimne jak lód, jego słowa palą jak ogień Hadesu.*

*- Zatem z mocy przysługującego mi prawa nakazuję, aby poddano cię dziś próbie honoru i lojalności wobec męża.*

*Jeden z żołnierzy chwyta mnie za ramię.*

*Widzę jego ciemne, owłosione palce, zaciśnięte na mojej bladej skórze, z obwódkami brudu pod obgryzionymi paznokciami.*

*Panuje zupełna cisza.*

*Nawet woda w fontannie przestaje płynąć.*

*Żołnierz wpycha moją dłoń do rozwartej paszczy Ust.*

*Nic nie czuję.*

*Powoli zaczyna mnie ogarniać niezwykle ciepło. Zza Ust wychodzi kolejny żołnierz i unosi w górę kosz.*

*Tłum wyje.*

*Czuję zawroty głowy. Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Upadając, widzę tylko kosz, a w nim swoją odciętą dłoń.*

*Tajemnica jest bezpieczna.*

# 1.

*Rzym*

Nowo przyjęta pani kapitan w szeregach *carabinieri* wyślizguje się z odprasowanego w kant munduru i wchodzi pod prysznic w swoim ciasnym mieszkaniu.

Sesja zdjęciowa dla „Vanity Fair” poszła nieźle. „Ciepłe, ale bez szaleństwa”, powiedział złośliwie o zdjęciach fotograf. Jedno w kapitańskim mundurze. Jedno na strzelnicy w kamizelce kuloodpornej. I w końcu jej ulubione - w krótkiej, błyszczącej, srebrnej sukience koktajlowej, która leżała na niej tak doskonale, że pozwolono jej ją zatrzymać.

Rzecznik prasowy żandarmerii jest zadowolony, magazyn jest zadowolony i nawet Valentina Morassi jest zadowolona.

Idealne zakończenie idealnego pierwszego tygodnia w nowej pracy.

Dwudziestodwujęciolatnia policjantka pochyla świeżo awansowaną głowę pod strumień parującej wody. Długie, ciemne włosy przypominają w dotyku drut kolczasty, gdy splukuje z nich lakier. Ludzie z „Vanity Fair” uparli się, żeby spryskać - jej włosy lakierem „dla zachowania kształtu i głębi”. Irytuje ją również makijaż. Nałożyli jej na twarz taczkę pudru. Choć trzeba przyznać, że na zdjęciach wypadł nieźle.

Ona też wypadła nieźle.

Ta myśl wywołuje u niej uśmiech. Do niedawna Valentinie trudno było wskazać choć jedną pozytywną rzecz w sobie i swoim życiu. Śmierć kuzyna Antonia w Wenecji ją załamała.

Pochodzili z licznej rodziny, z rodzaju tych, które zawsze spędzają razem wszystkie święta i spotykają się co niedziela na obiedzie. Pochodzili z rodziny, która spędzała ze sobą tyle czasu, że trudno było rozeznąć się, kto jest czym dzieckiem i rodzicem. Chodzili do tych samych szkół i na te same imprezy. Wybrali nawet ten sam zawód. Antonio był porucznikiem. Zginął na służbie.

Valentina nie potrafiła się z tym pogodzić.

Próbowała pracować dalej. Udało jej się zamknąć sprawę morderstwa, a potem jej życie

rozpadło się na kawałki. Wpadła w ciężką depresję i gdyby nie zdała egzaminów i nie przeniosła się do Rzymu, z całą pewnością wciąż tkwiłaby w objęciach rozpacz.

Valentina zakręca prysznic, wychodzi na matę łazienkową i okrywa się grubym, białym szlafrokiem. Strząsa wodę z włosów jak pies. Matka miała do niej kiedyś o to wieczne pretensje. Antonio krztusił się ze śmiechu za każdym razem, gdy chodzili popływać i robiła to po wyjściu z wody.

Wciąż o nim myśli.

Często.

Ale teraz nie czuje już takiego bólu.

Wyciera włosy w ręcznik i siada na skraju zapadniętego łóżka.

Ściany pudełkowatego pokoju mają kolor brudnej bieli, a brudne okno jest tylko odrobinę większe niż w więziennej celi. To nie jest miejsce do życia na dłużej, ale na razie wystarczy. Pod koniec miesiąca poszuka czegoś ładniejszego - czegoś bardziej do niej pasującego. Stary disneyowski budzik na szafce nocnej wydaje z siebie brzęknięcie. Jest soczyście czerwony, ma czarne uszy Myszki Miki i budzi ją, od kiedy skończyła cztery lata.

Ręce Miki mówią jej, że jest dokładnie dwudziesta trzecia.

Valentina myśli o następnym dniu i o człowieku, z którym zamierza zjeść kolację.

Niezwykłym człowieku.

Bardzo niezwykłym.

Spotkała go - i ostatni raz widziała - w bardzo dziwnych i bardzo niebezpiecznych okolicznościach. Gdyby sprawy potoczyły się inaczej - i gdyby w jego życiu nie było innej kobiety - być może zaiskrzyłoby między nimi. Ale i tak, pomimo całego tego gdybania, Valentina nikomu nie ufa tak, jak jemu.

Rozlega się dźwięk telefonu komórkowego, prawie przyprawiając ją o atak serca.

Na wyświetlaczu pojawia się numer jej nowego szefa, majora Armanda Caesario.

- *Pronto* - mówi Valentina, odbierając połączenie. Starannie moduluje głos, osiągając dokładną równowagę między poufałością a chłodnym profesjonalizmem.

- Przepraszam, że zawracam ci głowę w piątek w środku nocy - mówi Caesario, a w jego głosie nie ma nawet odrobiny zakłopotania. - Dostaliśmy właśnie zgłoszenie i chciałbym, żebyś się tym zajęła. - Przerzywa na chwilę, osłania słuchawkę dłonią i dodaje jakby mimochodem: -

Potencjalne morderstwo w... jakby to powiedzieć... raczej niezwykłych okolicznościach. Porucznik Assante ci pomoże, już jest w koszarach.

Valentinie wydaje się, że w tle słyszy stłumiony śmiech. Za słabo jeszcze zna nowego szefa, żeby ocenić, czy ktoś się pod niego nie podszywa i nie usiłuje zrobić jej kawału.

- Przepraszam, panie majorze, ale czy to jest jakiś żart?

Caesario odchrząkuje.

- Nie, nie, skądże. Wybacz. Jestem tu z pułkownikiem, który ma raczej makabryczne poczucie humoru. Porozmawiaj z Assante, on przekaże ci wszystkie szczegóły i wtedy zrozumiesz, o co mi chodzi. Dobranoc.

Valentina uznaje telefon za prawdziwy. Prawie mogła poczuć dym z cygar w klubie oficerskim, gdzie wyżsi oficerowie popijają brandy z wielkich kieliszków. Miała nadzieję położyć się wcześniej. Może wypić kieliszek czerwonego wina i porządnie się wyspać.

Ale wie, że nic z tego. Dzwoni do wydziału zabójstw i, podtrzymując ramieniem słuchawkę, wkłada mundur. Kiedy poznaje szczegóły sprawy, zaczyna rozumieć czarny humor pułkownika i powód, dla którego to jej przydzielono tę sprawę.

Nowa musi dostać nauczkę.

To ostrzeżenie udzielone jej przez tych, którzy jej awans uważają za sprawę czysto polityczną, ofiarę na ołtarzu poprawności.

Słyszała to już nieraz. .

Morassi musiała awansować przez łóżko. Dała się przelecieć egzaminatorowi odpowiedzialnemu za awanse. Obciągnęła szefowi, żeby dostawać łatwe sprawy. A to były komentarze tylko żeńskiej części komendy. Oczywiście tych, które awansu się nie doczekały. Fakt, dwadzieścia dziewięć lat to naprawdę niewiele jak na kapitana, ale Valentina wie, że zasłużyła na swój stopień.

Dzięki ostatniej sprawie i ona, i człowiek, z którym ma się jutro spotkać na kolacji, trafili na czołówki gazet i serwisów informacyjnych w całym kraju.

Valentina zamyka drzwi wejściowe i idzie do swojego trzyletniego białego fiata punto. Ten samochód nie jest nawet w połowie tak szybki, jakby sobie tego życzyła, ale na ulicach Wiecznego Miasta, gdzie parkowanie jest wiecznym problemem, niewielki fiat sprawdza się doskonale.

Kiedy w końcu udaje się jej wrzucić czwarty bieg, klnąc przy tym na ospałość

samochołu, wraca myślami do sprawy, którą jej przydzielono.

Niewątpliwie jest dziwna.

Sprzątacze w bazylice Santa Maria in Cosmedin natknął się na makabryczną niespodziankę w portyku - odciętą kobiecą dłoń.



## 2.

### *Paryż*

Tom Shaman wpatruje się w rozgwieżdżone, zimowe niebo, próbując rozpoznać poszczególne konstelacje. Zastanawia się, czy gwiazdozbiór, który właśnie zobaczył, to Wielka czy Mała Niedźwiedzica. Z lekcji fizyki ze szkoły przypomina sobie, że w bezchmurną noc na niebie można podobno zobaczyć ponad dwa tysiące gwiazd. Jeśli było na świecie miejsce, gdzie rzeczywiście jest to możliwe, to właśnie tutaj.

Na szczycie wieży Eiffla.

Tom stoi na platformie serwisowej, wysoko ponad słynną restauracją Le Jules Verne. Przeprowadził go tu Jean-Paul Marty, serdeczny przyjaciel i szef jednej z licznych firm budowlanych zatrudnionych przy nieustannej konserwacji żelaznej wieży. Tom i Jean-Paul mają zupełnie różne życiorysy, ale łączy ich wspólna pasja do boksu. Francuz pewnego dnia nawet wyzwiał Toma na sparring w ringu. Nigdy więcej nie powtórzył tego błędu. Trzydziestotrzyletni Tom Shaman ma posturę potężnego dębu i cios, który zdołałby wykoleić pociąg towarowy.

Jean-Paul opiera się rękami na chłodnej poręczy platformy serwisowej i dumnie przygląda się panoramie swojego rodzinnego miasta.

- Nie mogę uwierzyć, że mieszkasz w Paryżu od roku i jeszcze nie widziałeś magii miasta świateł z wieży.

- *C'est la vie* - odpowiada filozoficznie Tom, siadając na nieheblowanych deskach platformy i zwieszając nogi przez krawędź. Odczuwa przyjemny dreszcz na myśl, że znajduje się trzysta metrów nad ziemią. - Tak to jest, jak spędza się połowę życia w pracy w Eurodisneylandzie i na zmywaku w Robuchon.

Jean-Paul wybucha śmiechem.

- O restauracji słyszałem, ale że robiłeś za Myszkę Miki? Trochę wstyd się przyznawać, nie uważasz?

- A czego miałbym się wstydzić? Dzięki temu liznąłem trochę francuskiego i przeżyłem w Paryżu pierwsze pół roku. - Tom odlicza na palcach. - Najpierw zatrudnili mnie jako sprzątacza. Całymi dniami zamiatałem Main Street. Potem dali mi kostium. Byłem najlepszym Psem Goofy w dziejach tego parku. Nie musiałem nic mówić, więc było idealnie. A później pracowałem jako tragarz kuchenny w Planet Hollywood i Rainforest Café.

- Francja jest ci dogonnie wdzięczna za twój nieoceniony wkład w rozwój kulturalny naszego społeczeństwa. Będzie nam cię brakowało. A jak było z Robuchonem?

- Kiedy wywalili mnie z Disneylandu, dostałem robotę w L'Atelier de Joel Robuchon i żywiłem się najlepszymi resztkami na świecie. Choć za dużo ich nie zostawało. - Tom spogląda na wieńczącą wieżę iglicę. - Dzięki, że mnie tu zabrałeś. Dobry sposób na spędzenie wieczoru poza domem.

Jean-Paul przesuwa palcem po kratownicy.

- Nie ma za co, *mon ami*. Cała przyjemność po mojej stronie, ale lepiej nikomu o tym nie mów.

- Jasne.

Francuz odwraca się plecami do wiatru i usiłuje przypalić papierosa.

- Powinienem kazać ci złożyć przysięgę na Biblię, ale nie jestem pewien, czy przysięgi byłych księży się liczą.

- Liczą się. - Tom wskazuje palcem w ciemność. Wiatr łopocze rękawem kurtki. - Co tam jest?

Jean-Paul podąża wzrokiem za dłonią Toma, międląc w ustach niezapalonego papierosa.

- *Champ-de-Mars*. Pole Marsowe.

- Ten duży park, w którym odbywały się te defilady i parady?

Jean-Paul wybucha śmiechem, na chwilę zapominając o papierosie.

- Ach, *oui*, defilady i parady. Tom, Pole Marsowe to największy i być może najbardziej poważany otwarty teren w Paryżu. To prawie świętość. Wchłonęło morze francuskiej krwi. W pierwszą rocznicę zdobycia Bastylli odbyło się tam *Fête de la Fédération*, Święto Federacji. Rok później doszło tam do tak zwanej masakry na Polu Marsowym.

Tom jest pod wrażeniem pasji przyjaciela.

- Przepraszam, nie wiedziałem.

Jean-Paulowi wreszcie udaje się zapalić. Zaciąga się głęboko kilka razy, po czym

pokazuje papierosa Tomowi.

- Wojnę i, jak byłeś łaskaw się wyrazić, defilady i parady, Francuzi mają we krwi. Popatrz na mnie - tak jak mój ojciec i wcześniej jego ojciec palę gauloises. Dla nas to akt patriotyzmu. Każdy marketingowiec powie ci, że gauloises kojarzą się z francuską piechotą z pierwszej wojny, tak zwanymi *poilu*. Nawet jeśli hasło reklamowe brzmi „Liberté toujours”. Zawsze wolność.

- Hasło ładne, ale nośnik kiepski.

- *Oui*. - Jean-Paul wydmuchuje kłęb dymu w nocne niebo. - Moja matka twierdzi, że jeśli papierosy cię nie zabiją, to hasło zrobi to na pewno.

Tom uśmiecha się i przygląda migoczącej feerii świateł miasta. Jego myśli błądzą ku jutrzejszemu dniu i spotkaniu z Valentiną. Wspomina okoliczności, które zetknęły ich ze sobą. Bolesne rozstanie ze stanem duchownym w Los Angeles. Bardzo publiczne rozstanie zresztą. Jego nazwisko w nagłówkach wszystkich gazet i kanałów informacyjnych w kraju. Jego parafianie pokazujący go sobie palcami. Wtedy Wenecja wydawała mu się idealnym azylem. Pocztówkowym labiryntem kanałów, w którym bez trudu ukryje się przed światem. Miejscem, w którym czas stanął w miejscu.

Życie szybko zweryfikowało jego złudzenia.

Dziennikarze we Włoszech okazali się równie natrętni i złośliwi, co w Stanach. Mroczna tajemnica Toma niedługo pozostała tajemnicą. Z początku źle ocenił Valentinę i podejrzewał, że ona zrobiła to samo. Dopiero w trakcie sprawy, nad którą pracowali, nabrali wobec siebie szacunku i się zaprzyjaźnili. Wtedy jednak Tom uznał, że jego miejsce jest u boku innej kobiety. Mylił się. A teraz tamta historia wydawała mu się odległym snem. Jakby wydarzyła się w innym życiu.

Jean-Paul przysiada na deskach obok przyjaciela.

- Chyba jesteś myślami bardzo daleko stąd. W jakimś przyjemnym miejscu?

- Myślę o przeszłości. W takich chwilach zbiera się na wspomnienia.

- Ach, niedobrze. Bardzo niedobrze. Nie dziś, *mon ami*. Dziś będziemy żyć chwilą. Gdy się zestarzejesz i stare kości nie pozwolą ci się już wspiąć na wieżę Eiffla, wtedy będziesz wspominał.

Tom podnosi się na nogi.

- Słuszna uwaga. - Wygląda przez barierkę i macha. - Żegnaj, Paryżu.

- Ach, *non*. - Jean-Paul szeroko rozpościera ramiona. - My nie mówimy „żegnaj”,

przecież wiesz. Mówimy *au revoir*, do zobaczenia.

Tom odwraca się plecami do świateł miasta i spogląda na przyjaciela.

- Wiem, ale to chyba jednak jest bardziej pożegnanie, niż *au revoir*. Nie sądzę, żebym miał wrócić z Rzymu.

- Znowu usłyszałeś zew włóczędzy?

Tom kiwa głową.

- Trochę.

- A może nie wzywa cię wędrowka, tylko kobieta? - Jean-Paul uważnie przypatruje się Tomowi. - Zamierzasz zatrzymać się w jej łóżku?

- Nic takiego nie zamierzam - odpowiada Tom ze śmiechem.

- Ale nie wykluczasz, *oui*?

- Jean-Paul, jako Francuz doskonale wiesz, że w sprawach sercowych wszystko jest możliwe, jednakże...

- Więc? - przerywa mu przyjaciel. - Na pewno masz jakiś plan, *oui*?

- Może i mam. Słuchaj, Valentina i ja znamy się od dawna. Spotkaliśmy się w Wenecji krótko po tym, jak zrzuciłem sutannę. Była wtedy porucznikiem w *carabinieri*...

- ...i pierwszą miłością twojego życia - dopowiada Jean-Paul.

- Czy to ona wprowadziła cię w tajniki *plaisir d'amour*?

- Nie! - zaprzecza Tom, marszcząc brwi. - Nie była moją miłością. I nie było między nami żadnego *plaisir*. Valentina była...

- Ale chciałbyś, żeby była - wtrąca znów Jean-Paul, pochylając się ku Tomowi. W jego oczach pojawia się złośliwy błysk.

- Podejrzewam, że ta twoja Valentina to jakaś włoska piękność, która skradła ci serce, a ty, jak przystało na mężnego Gala, przepłyniesz morza i przejdiesz góry, aby znów się z nią połączyć.

- Ależ z ciebie casanova. - Tom kręci głową z rozbawieniem. - Czy w ogóle interesuje cię, jak było naprawdę, czy wolisz wymyślać te swoje romantyczne fantazje?

- *Oui*. Bardzo mnie interesuje. Choć nie jestem pewien, czy prawdziwa historia będzie choć w połowie tak interesująca.

- Jestem przekonany, że nie będzie. Valentina jest moją przyjaciółką. Dobrą przyjaciółką. Nie straciliśmy ze sobą kontaktu. Dzwoniliśmy do siebie, pisaliśmy e-maile i tak dalej. Właśnie

dostała awans, więc jadę świętować razem z nią.

- Rozumiem. - Jean-Paul bezskutecznie próbuje powstrzymać szeroki uśmiech. - Włoszka zaprasza cię do swojego domu, żeby „świętować”. Przecież to praktycznie oświadczyły.

- Tylko dla stukniętego Francuza.

- Winny, wysoki sędzie. - Jean-Paul rzuca niedopałek papierosa, który spada w ciemność, podrygując na wietrze jak światełko. - Nie powiedziałaś mi, jak się poznaliście.

- Nie pytałaś.

- Chodź, mamy spory kawałek na dół. Opowiesz mi po drodze. - Jean-Paul kieruje się ku windzie. - Kobieta w mundurze! Już sama myśl przyprawia mnie o dreszcz w dole pleców.

Tom wciska przycisk przywołania windy. Z dołu rozlega się zgrzyt i stukot wiekowej maszynerii.

- Zamknęła mnie w celi i przesłuchiwała w związku z morderstwem.

Jean-Paul patrzy na niego ze zdumieniem.

- Morderstwem? Jakoś nie wyobrażam sobie, żeby ktoś mógł uznać cię za mordercę. Chociaż potrafisz niezłe walczyć jak na Amerykanina.

- Miała uzasadniony powód, Jean-Paul. Przyznałem się, że zabiłem dwóch mężczyzn w Los Angeles, a Valentina miała pełne prawo podejrzewać, że w Wenecji zabiłem ponownie.

### 3.

*Leżę w kurzu na placu.*

*Ostatnie krople krwi sączą się powoli z uciętego nadgarstka.*

*Czuję, jak uchodzi ze mnie życie.*

*Być może umrę, zanim słońce zdąży wyjrzeć zza posępnych szarych chmur nade mną.*

*Mam nadzieję, że nie.*

*Modłę się, by raz jeszcze ujrzeć twarz wielkiego boga, nim pochłonie mnie ciemność.*

*Nade mną rozbrzmiewają głosy.*

*Nie należę do żołnierzy - ci już dawno odeszli, niewątpliwie odebrać wypłatę za dobrze spełniony obowiązek. Niektórzy z pewnością są już w ramionach rozpusznic z Awentynu, opowiadając im historię mojej krwawej egzekucji.*

*Lecz to nieistotne.*

*Zachowałam swoją godność. Na wieki. Zyskałam swoje miejsce w historii.*

*Pewnego dnia, gdy moja tajemnica wyjdzie na jaw, doczekam się szacunku i czci za swoje milczenie i poświęcenie.*

*Straż odeszła, pozostawiając mnie na pastwę tłumu, który nie zna litości. Widzę plebs gapiący się na mnie. Niektórzy plują mi w twarz. Inni zrywają ze mnie resztki biżuterii i tuniki. Szorstkie dłonie obmacują moje stygnące ciało.*

*Nic nie czuję.*

*Z pewnością nie czuję bólu.*

*Na szczęście mój umysł nie jest w stanie objąć cierpienia, jakie zadało mi ostrze miecza. Nie krzyczę. Nie płaczę i nie jęczę. Ukrywam*

*swoją mękę pod płaszczem szlachetnego milczenia.*

*W mirażu pochylających się nade mną twarzy nie rozpoznaję nikogo. Ani śladu po moim nieokrzesanym mężu. Ani jednej łzy wstydu rodziców. Ani jednego słowa pożegnania od moich przyjaciół.*

*Lecz nie jestem sama.*

*Moje siostry zbierają się wokół mnie. Sięgają po mnie z zaświatów, otaczają mnie ramionami. Jestem gotowa dołączyć do nich i się radować.*

*Jestem gotowa odrodzić się w duszy innej siostry.*

*Jestem gotowa na życie wieczne.*

## 4.

### *Rzym*

Fiat przeciska się na południowy zachód, wzdłuż Via della Piramide Cestia, następnie skręca w prawo we Via Marmorata biegnącą równoległe do Circus Maximus.

W pobliżu Piazza dell'Emporio kilka samochodów stoi w poprzek ulicy. Trwa głośna kłótnia. Rozzłoszczeni kierowcy gestykują z ożywieniem, wskazując to na dymiącą maskę, to na wgnieciony bagażnik.

Valentinie w końcu udaje się przebić przez miejsce kolizji, o którym oznajmia światu ogłuszająca kakofonia klaksonów. Reszta drogi to już czysta przyjemność jazdy brzegiem Tybru szeroką Lungotevere Aventino, z której skręca się we Via di Ponte Rotto.

Zerka na mapę i zjeżdża w prawo na Piazza della Bocca della Verità. Obiecuje sobie, że jutro w końcu zaopatrzy się w nawigację samochodową.

Gdy po lewej stronie wyłania się romańska wieża kościelna, Valentina wie, że dotarła na miejsce.

Parkuje swoje punto równoległe do ulicy naprzeciwko kościoła, obok pięknej fontanny. W innych okolicznościach z przyjemnością spędziłaby trochę czasu, wylegując się na trawniku. Zamyka samochód i podchodzi do młodego funkcjonariusza pilnującego policyjnej taśmy, która odgradza miejsce przestępstwa. Żandarm taksuje ją wzrokiem i uśmiecha się z uznaniem dla jej figury.

Zanim jednak zdąży powiedzieć coś głupiego, Valentina macha mu przed oczami odznaką *carabinieri*.

- Kapitan Morassi. Szukam porucznika Assante.

Zalotny uśmiech spelza z twarzy żandarma, który kłania się jej grzecznie.

- Porucznik jest w środku.

- *Grazie*. - Valentina przechodzi pod furkoczącą na wietrze taśmą. Zatrzymuje się przed



bocznymi drzwiami i rozgląda wokół. Ulica jest szeroka i uczęszczana. W godzinach szczytu prawdopodobnie zajęte są wszystkie pasy w obie strony. Niedaleko znajduje się parking dla autokarów turystycznych. Nawet biorąc pod uwagę późną godzinę, można założyć, że ktoś widział, co się wydarzyło.

- *Buonasera, capitano.* - Głos dobiegający z chłodnego, ciemnego wnętrza kościoła wyprzedza swojego właściciela o kilka kroków.

W bladym świetle wieczornych lamp Federico Assante wygląda jak upiór. Niedawno przekroczył trzydziestkę. Średni wzrost, rzędzące czarne włosy, ścięte stanowczo za krótko, żeby pasować do okrągłej twarzy.

- *Buonasera* - odpowiada Valentina, ściskając jego dłoń. - Co tu się właściwie stało?

- Dobre pytanie. Pokażę ci. - Federico prowadzi ją do środka. - Co wiesz o tym kościele?

- Nic.

Kapitan Morassi rozgląda się: przepiękne freski na sklepieniu nawy, wysoko umieszczone okna, przez które słońce zapewne wpada do wnętrza niebiańskimi smugami, mozaikowa posadzka i imponujące marmurowe pulpity po obu stronach nawy. Stan wewnątrz jest jednak raczej przygnębiający.

- Wygląda na tak stary, jak sam Rzym.

- Prawie. Wybudowano go w VI wieku. W czasach swojej świetności to miejsce budziło powszechny zachwyt. Stąd zresztą i nazwa, Cosmedin. Pochodzi od greckiego słowa kosmidon, czyli piękno.

- Imponujące. A do czego przyda mi się ta wiedza?

- Zobaczysz, jak dojdziemy do portyku. - Federico prowadzi ją obok pogrążonego w półmroku ołtarza do wąskiego korytarza, wyłożonego czymś, co wygląda jak rzeźbione nagrobki.

- W przedsionku tego kościoła znajduje się duży marmurowy medalion, prawdopodobnie dawna pokrywa zbiornika na wodę. Nazywa się go La Bocca della Verità, Usta Prawdy.

- Skąd ta nazwa? - W głosie Valentyny słychać zdziwienie. - Dlaczego ktoś miałby nazywać pokrywę zbiornika?

- Kanały w Rzymie pochodzą z czasów przedchrześcijańskich. Pierwotnie używano ich do wszystkiego. Dosłownie. Wrzucano do nich nawet ciała zmarłych.

- Uch!

Federico po omacku szuka klamki do drzwi, które zaprowadzą ich do samego portyku.

- Po drodze ktoś jeszcze powiązał z tym jakiegoś demona z piekieł, bo Usta Prawdy mają kształt rozgniewanej twarzy z szeroką szczeliną w miejscu ust. Wykorzystywano je do rytuału prawdy, podczas którego wkładało się dłoń w szczelinę. Jeśli skłamałaś, bogowie ci ją odcinali.

Valentina wreszcie składa porozrzucane kawałki informacji w jedną całość.

- Czyli mamy odciętą dłoń znaną w miejscu, które słynie na cały świat z odcinania dłoni?

- Mniej więcej.

- Coś takiego zdarzyło się już wcześniej?

- Ostatni raz kilka wieków temu. - Federico w końcu otwiera drzwi do portyku. - Ostrożnie, nie ma światła. Fotografowie już tu byli, ale sprzęt im nawalił. Mają niedługo wrócić.

- Nie mieli zapasowego?

- Nie mieli. Cięcia budżetowe. Recesja. Wiesz, jak jest. - Assante przesuwając światło z latarki Maglite po filarach i ścianach. Na przeciwległym krańcu portyku z ciemności wylania się marmurowa pokrywa, dorównująca wielkością dorosłemu człowiekowi.

- To są Usta Prawdy? - pyta Valentina zdumiona rozmiarem pokrywy.

- *Si*. Dłoń znaleziono wewnątrz Ust. - Federico wskazuje latarką czarną szczelinę, mniej więcej w jednej trzeciej wysokości płyty. Po obu stronach widać smugi ciemnoczerwonej krwi.

- Odcięto ją tutaj?

Federico oświetla posadzkę portyku. Valentina znajduje odpowiedź w postaci czerwonej kałuży. Przez chwilę przygląda się rozlanej krwi.

- Wygląda na to, że ofierze odcięto lewą dłoń. - Nagle przypomina sobie coś, co kiedyś powiedział jej Tom Shaman, z którym ma się spotkać jutro. Łacińskie słowo *sinister* oznacza lewą stronę, tradycyjnie kojarzoną z grzechem.

- Skąd ten pomysł?

- Pożycz mi na chwilę latarkę. - Federico wręcza jej podłużną rękojeść. Valentina bada długą ścianę biegnącą na prawo od nich.

- Sprawca nie zmieściłby się z prawej strony. W tym świetle - a właściwie w tych ciemnościach - nie sposób zbadać dokładnie układu rozbryzgów krwi, ale z tego, co widzę, to krew padała na ścianę od lewej do prawej, nie odwrotnie. Wniosek? Ostrze cięło od lewej strony ofiary, która klęczała na podłodze. A to z kolei wskazuje na co najmniej dwójkę sprawców - jeden przytrzymał ofiarę, drugi odcinał jej dłoń. - Valentina ogląda się na Federica. - Gdzie

ona teraz jest?

- *Patologica*. Zamrożona w kostnicy. - Rozlega się dzwonek telefonu Assante. - *Scusi*.

Odchodzi na bok, żeby odebrać. Valentina tymczasem zauważa tabliczkę dla turystów z prośbą o fotografowanie się przy Ustach Prawdy pojedynczo. Ekipa fotograficzna pewnie miała ubaw. Na pewno sobie też zrobili zdjęcia.

Podchodzi bliżej do kałuży krwi, pilnując się jednak, żeby zachować odpowiedni dystans i nie zanieczyścić miejsca przestępstwa.

Nie widać żadnych śladów walki.

Valentina zerka w bok.

Między kolumnami portyku rozpięto plastikowe kurtyny osłaniające przed ciekawskim wzrokiem przechodniów. W normalnych okolicznościach Usta Prawdy są jednak doskonale widoczne z ulicy.

Ktoś musiał coś zobaczyć.

Albo usłyszeć.

Ofiara musiała krzyczeć. Chyba że została zakneblowana albo nafaszerowana środkami uspokajającymi. W takim wypadku sprawcy nie mieliby kłopotu z utrzymaniem jej na kolanach.

Tylko po co?

Po co ktoś miałby zrobić coś takiego?

Wciąż rozmyśla nad tymi pytaniami, gdy wraca Federico.

- Zagadka rozwiązana. - W jego głosie słyhać wyraźną ulgę. - Znaleźli jakąś szurniętą babę, która włóczyła się po ulicach. Była cała we krwi i - uwaga - miała przy sobie jakiś stary miecz.

Gdyby w portyku było więcej światła, zapewne zauważyłby, że wyraz niedowierzania na twarzy Valentiny nie ma nic wspólnego z odnalezioną bronią.

Do tej pory była przekonana, że sprawcą był mężczyzna.

I wciąż nie znaleźli ofiary.

- Obawiam się, że do rozwiązania tej zagadki jeszcze daleka droga, poruczniku - mówi w końcu Valentina. - Sądzę, że jesteśmy dopiero na początku.

## 5.

*Moje oczy się zamykają.*

*Po raz ostatni.*

*Poprzez białą mgłę śmierci widzę Arrię, moją służkę.*

*Słodka Arrio, nie smuć się.*

*„Domina” szepcze, zbierając tunikę i klękając przy mnie w piachu.*

*Tłum rzędzie i się rozchodzi.*

*Niczego więcej mi nie odbiorą.*

*Już czas.*

*Czuję zimno.*

*Większe niż kiedykolwiek wcześniej. Arria jest tak pełna życia, że wydaje się płonąć.*

*Przyniosła ze sobą koce, aby owinąć moje stygnące zwłoki.*

*Z pewnością ma również całun.*

*Nie jestem już w stanie poruszyć żadnym mięśniem.*

*Ach, gdybym tylko mogła uśmiechnąć się, by wyrazić, jak bardzo jestem jej wdzięczna.*

*Ale już nie mogę.*

*Czuję jej ciepłe dłonie owijające moje ciało w tkaninę, która otula mnie jak wtedy, gdy byłam dzieckiem.*

*Jej stare kościste palce ujmują moją jedyną pozostałą dłoń.*

*Dziękuję ci, najdroższa Arrio.*

*W dłoni czuję monetę. Na zapłatę Charonowi, przewoźnikowi dusz, aby przepłynąć Styks do bram Hadesu i stanąć przed wielkim Plutonem.*

*Moje ciało się unosi. Nie widzę tych, którzy mnie niosą. Nie chcę ich widzieć.*

*Moje oczy są już zamknięte.*

*Powieki, które niegdyś na widok kochanka trzepotały szybciej niż skrzydełka motyla, są teraz zbyt ciężkie, by się otworzyć.*

*Nadszedł kres.*

*Niewidoczne dłonie upuszczają mnie.*

*Moje ciało upada głucho na deski wózka.*

*Czuję na twarzy ciepło słońca przebijającego się zza chmur.*

*Strzeż mnie, wielki Apollinie. Zmiłuj się nade mną, Plutonie, władco podziemi.*

*Przez gęstą mgłę pomiędzy życiem a śmiercią słyszę stukot kół wózka, który wiezie mnie ku zapomnieniu.*

*Ktoś unosi moją głowę.*

*To Arria. Rozpoznaję jej zapach. Jej twarz jest tuż przy mojej.*

*Mój czas na ziemi dobiegł kresu, a ponieważ nie ma przy mnie żadnego krewnego, to na nią spada dopełnienie ostatniego obowiązku.*

*Czuję jej dłoń na piersi, kościste palce szukają gasnącego bicia serca. Arria pochyla się nade mną. Dotyka ustami mojej twarzy.*

*Jest gotowa.*

*Gotowa przyjąć moje ostatnie tchnienie w swoje stare, mądre usta.*

## 6.

### *Rzym*

Federico dostaje wiadomość z centrali. Jeden z patroli ulicznych zabrał podejrzaną ma posterunek żandarmerii przy Viale Romania.

Dyspozytor twierdzi, że dziewczyna zachowuje się jak wściekła osa.

Wezwano już lekarza, aby podał jej środki uspokajające, ale Valentina nakazuje wstrzymanie się z podaniem podejrzaney jakichkolwiek leków, dopóki nie wrócą na komendę.

Noc jest rześka i pogodna. Drobinki kurzu i owady tańczą w halogenowym świetle lamp oświetlających wielką, szarą tablicę na brzydkim niskim budynku. Na tablicy widnieje napis: **COMMANDO GENERALE DELL ARMA DEI CARABINIERI.**

Federico, jako urodzony rzymianin, uważa, że betonowy klocek komendy jest jak czyrak na twarzy Villa Ada, największego i najpiękniejszego parku w Wiecznym Mieście.

On i Valentina wrócili z kościoła na Cosmedinie osobno i teraz Federico cierpliwie czeka na przelożoną w recepcji.

Meldują się u oficera dyżurnego, po czym jeden z funkcjonariuszy prowadzi ich do aresztu i pozostawia w mało przyjemnym towarzystwie Paula Ferrery, który tej nocy pilnuje aresztowanych.

Ferrera, otyły mężczyzna o cholerycznym usposobieniu, właśnie kończył służbę i zbierał się do domu, gdy przywieziono uwalaną krwią dziewczynę. Jego oddech staje się coraz cięższy z każdym kolejnym stopniem.

- Wciąż nie wiemy, jak się nazywa. Nie miała przy sobie żadnych dokumentów, a jest zbyt pijana, naćpana albo szurnięta, żeby nam powiedzieć - *é matto*.

Valentina od razu czuje do niego głęboką niechęć.

- Powiedziano nam, że miała przy sobie broń. Gdzie teraz jest?

- W dochodzeniówce, ciągle ją badają. - Ferrera otwiera kratę. - Zadzwoń do nich. Mają

też jej ubranie. A właściwie szatę.

- Szatę? - dziwi się Federico.

- Z kapturem. Coś w rodzaju habitu. Długiego i białego - no, niezupełnie białego, był cały we krwi.

- Zdjęliście jakieś ślady z jej ciała? - pyta Valentina.

- Tylko wymaz z dłoni. Jest zbyt agresywna.

Valentina się krzywi.

- Trzeba ją zbadać dokładniej. Zwłaszcza pod paznokciami, bo potem może się okazać, że wydłubała stamtąd coś, co mogło nam się przydać.

Ferrera obrzuca ją wrogim spojrzeniem.

- Próbowaliśmy. To nie takie proste, musieliśmy przede wszystkim uważać, żeby sama nie zrobiła sobie krzywdy.

Valentina zatrzymuje się w pół kroku i posyła mu figlarny uśmiech.

- Daj spokój, Paulo. Jesteś dużym facetem, na pewno ty i twoi koledzy dalibyście radę unieruchomić jedną kobietę i zdjąć dowody, nie robiąc jej nic złego. - Zerka na zegarek. - Wiem, że jest już po północy, aleo ile pamiętam, to procedury obowiązują niezależnie od pory dnia.

Ferrera milczy, ale rumieniec na twarzy skutecznie zdradza to, co chciałby jej odpowiedzieć.

Wciąż się boczy, gdy wchodzi do bloku cel. Wskazuje im celę, w której przetrzymywana jest podejrzana, i bierze głęboki wdech, żeby uspokoić głos:

- Dopóki nie zjawi się lekarz, cały czas pilnuje jej dwóch ludzi. Kiedy sama ją zobaczysz, może zrozumiesz, dlaczego nie poszło nam tak łatwo. - Mija Valentinę i otwiera kratę. - Uważaj, bo strasznie kopie. I gryzie.

Valentina spogląda na drobną wystraszoną dziewczynę siedzącą między dwoma umundurowanymi żandarmami.

Jest ładna.

Jej włosy są zaczesane do tyłu z przedziałkiem na środku. Ma ciemne oczy i przyjemną twarz z niewielkim dołeczkiem na brodzie. Z pewnością podoba się mężczyznom. Jest ubrana w biały jednoczęściowy kombinezon z zamkiem, zakrywający całe ciało oprócz dłoni umazanych krwią.

Jeżeli ofiara przeżyła, to będzie cud.

- Jestem kapitan Morassi. Valentina Morassi. Czy możesz powiedzieć mi, kim jesteś?

Dziewczyna nie odpowiada. Valentina próbuje ponownie:

- Potrzebujemy twojej pomocy - dotyka nadgarstka aresztowanej. - Twoje ciało i ręce są całe we krwi. Podejrzewamy, że ktoś może być ciężko ranny. Czy możesz mi powiedzieć, co ci się stało?

Żadnej odpowiedzi. Tylko martwe spojrzenie.

Valentina przysuwa się bliżej. Pochyla się nad dziewczyną.

- Czy wczoraj późnym wieczorem byłeś na Cosmedinie, w kościele Santa Maria, przy Ustach Prawdy?

Nagle aresztowana rzuca się do przodu.

Czubek jej głowy uderza Valentinę w szczękę.

Strażnicy reagują zbyt późno.

Dziewczyna zaczyna krzyczeć, kopać i wywijać pięściami.

Valentina cofa się, trzymając się za rozbitą wargę.

Jednemu z żandarmów w końcu udaje się złapać aresztowaną.

Dziewczyna jest w histerii, wrzeszczy i uderza na oślep.

Federico i Ferrera wpadają na siebie, próbując jednocześnie wbiec do celi.

Z ust Valenty sący się krew. Przygryzła wargę, niewykluczone też, że wybiła sobie ząb.

Dziewczyna leży unieruchomiona na ziemi. Jeden ze strażników wykręca jej ręce i skuwa kajdankami.

- Teraz rozumiesz? - pyta z nieukrywaną satysfakcją Ferrera. Spogląda na Valentinę. - Za pozwoleniem, pani kapitan, czy możemy w końcu nafaszerować ją środkami uspokajającymi i oszczędzić sobie dalszych obrażeń?



## 7.

*Moje ciało zostało obmyte. Bezbarwna skóra marszczy się, nacierana olejkami i perfumami przez wprawne dłonie pollinctores.*

*Błogosławię was, biegli rzemieślnicy ze świątyni Wenus Libityńskiej.*

*Błogosławię was wszystkich, którzy odłożyliście na bok swój osąd o mnie, aby przygotować mnie do godnego zakończenia czasu na ziemi.*

*Wokół siebie widzę znajome twarze.*

*Moja rodzina i przyjaciele, odziani w żałobne vestes pullae z szarej wełny, ich nieumyte ciała, nieuczesane włosy, nieprzycięte paznokcie i odzienie, którego nie zmienili od chwili mojej śmierci.*

*W ciemności na zewnątrz rozlegają się dźwięki fletów. Czekają na mnie. Rozpoczęło się Conclamatio.*

*Słyszę, jak wykrzykują śpiewnie moje imię.*

*Kasandra... Kasandra... Kasandra...*

*Jeden po drugim przystają nade mną, aby wypowiedzieć słowa extremum vale, ostatniego pożegnania.*

*Muzycy otwierają pochód, który niesie moje ciało stopami do przodu, z zakrytą twarzą.*

*Za nimi podążają praeficae. Ich żałobne zawodzenie niesie się w chłodzie nocy.*

*Nie zatrzymają się jednak na forum. Śmierć nie odkupiła całkowicie moich win. Nie zasłużyłam na zaszczyt należny żonie senatora przez hańbę, którą jakoby ściągnęłam na swojego męża.*

*Miejsce mojego ostatniego spoczynku znajduje się daleko za murami miasta, zgodnie z zasadami zapisanymi w Duodecim tabulae, Dwunastu tablicach.*

*Zawodzenie płaczek ustaje, gdy zbliżamy się do ustrina, świętych stosów. Ci, którzy mnie niosą, ze wszystkich sił starają się nie okazywać zmęczenia.*

*Ceremonia pochówku jest długa i skomplikowana. Mój mąż okazuje mi więcej*

*zainteresowania po śmierci, niż za życia.*

*Wzniesiono dla mnie wysoki ołtarz. Cztery równe stosy solidnych, drewnianych kłód.  
Odejdę z godnością.*

*Ciemność rozpraszają pierwsze płomienie stosu.*

*Ogień wznosi się bez końca w nocne niebo i niknie poza światem.*

*Tak jak mój duch.*

*Kassandra zrzuca kajdany.*

## 8.

### *Paryż*

Kilka minut po północy Tom Shaman tkwi w jakimś podejrzanym klubie przy jednej z uliczek odchodzących od Pól Elizejskich, ściskając w dłoni butelkę meksykańskiego piwa. To jedno z tych miejsc, w których kwitnie prywatny hazard i inne atrakcje, na które nawet w Paryżu wymiar sprawiedliwości patrzy krzywo.

Jean-Paul przychodzi tu od ponad dekady. Prowadzi przyjaciela od zatłoczonego baru na tyły lokalu, gdzie zza czarnej zasłony dochodzą entuzjastyczne okrzyki.

- Wiesz, co to jest savate? - pyta Francuz, przekrzykując tłum i rozbryzgując pianę z piwa.

- Nie mam pojęcia.

Jean-Paul nachyla się bliżej.

- To *boxe française*, jedyna sztuka walki wywodząca się z Europy. Możesz go zobaczyć w filmach o X-Menach, w „Kapitanie Ameryce”, nawet w „Przygodach Tintina”. - Francuz się śmieje. - Niełatwa do opanowania, ale bardzo popularna.

- Coś jak kick-boxing?

- W sumie tak. Walczy się rękami i nogami. Savate rozslawili żołnierze Napoleona, a obecnie jest ulubioną rozrywką bywalców takich lokali, jak ten. Ludzie zbijają fortuny na zakładach. Chcesz zobaczyć?

To jego ostatnia noc w Paryżu. Tom jest gotów na wszystko.

- Jasne.

Jean-Paul wyjmuje z kieszeni dziesięć euro i płaci wejściówkę potężnemu, łysemu mężczyźnie w czarnym garniturze. Bramkarz odsuwa zasłonę i obaj przechodzą przez drzwi prowadzące do obszernego pomieszczenia, które niegdyś było halą załadunkową. Wypełniają ją prawie dwie setki widzów, popijających drinki wokół dużego ringu, który jest okolony

pojedynczą liną.

Tom rozgląda się ciekawie. Nigdy nie był człowiekiem agresywnym, ale boks ma w sobie coś, co go przyciąga. To jego słabość. Pozostałość po nadmiernie rozwiniętym instynkcie przetrwania domagającym się uwolnienia przez walkę.

Po prawej stronie pomieszczenia nieduży szczurowaty człowieczek pod trzydziestkę przyjmuje zakłady, ustala stawki i zapisuje nazwiska obstawiających na białej tablicy. Obok niego siedzi grupa mężczyzn wyglądających na biznesmenów, wyraźnie rozdarta między chęcią śledzenia walki a sprawdzaniem zmieniających się stawek.

Na ringu zaś trwa wyjątkowo nierówne starcie.

Monstrualny neandertalczyk pastwi się nad dzieciakiem, który chyba nie ma jeszcze skończonych dwudziestu lat. Z twarzy wielkoluda można wyczytać, że brał w życiu udział w niejednej walce. Brakuje mu kawałka prawego ucha, zapewne oderwanego lub odgryzionego w jakiejś ulicznej bijatyce. Wykrzywiony nos świadczy o licznych złamaniach, na policzkach i czole widoczne są białe smugi blizn. Jego przeciwnik jest dobrze zbudowany i wysportowany, ale przegrywa na wszystkich frontach z neandertalczykiem, który jest o dobre trzydzieści centymetrów wyższy, dwadzieścia kilogramów cięższy, a przede wszystkim ma jakieś dwadzieścia pięć lat doświadczenia więcej.

Jean-Paul wskazuje na walczących.

- Pierwotnie w savate uderzało się wyłącznie w nogi i uda, do wysokości pasa. Ciosy w głowę wolno było wyprowadzać tylko dłonią. A teraz kopie się gdzie popadnie, czasami zdarzają się nawet chwytymy rodem z sumo.

Tom odstawia piwo na wąską półkę przy ścianie.

- Szaleństwo. Żeby kopnąć tego draba powyżej pasa, dzieciak potrzebowałby drabiny.

- Owszem. Ale na tym to między innymi polega. Dawid i Goliat, *oui*?

Tom zauważa coś jeszcze.

- Dlaczego oni stoją w taki dziwny sposób?

- Pozycja wywodzi się z szermierki. Pamiętaj, że kiedyś savate było bardzo szlachetną sztuką walki, uprawianą nie tylko we Francji, ale w całej Europie. Zwłaszcza w Anglii. - Jean-Paul ożywia się coraz bardziej. - Był kiedyś pewien słynny francuski bokser, nazywał się Michael Casseuse. Żeby przestraszyć przeciwnika, wchodził na ring, niosąc na ramionach działo.

- Ciało? Czyje ciało?

Francuz wybucha śmiechem.

- Działo, idioto! Taszczył na ring działo okrętowe.

Tymczasem dzieciak w ringu otrzymuje potężne kopnięcie w twarz i pada nieprzytomny. Na posypaną wiórami podłogę bryzga krew. Publiczność ryczy entuzjastycznie. Biznesmeni przybijają sobie piątki, a w międzyczasie kilku ludzi ściąga chłopaka z ringu i cuci go wodą. Neandertalczyk robi triumfalne kółko po ringu z rękami w górze i miną godną zwycięzcy pojedynku o mistrzostwo świata wagi ciężkiej.

- Czy ten wielkolud nie powinien walczyć raczej z kimś swoich rozmiarów? - pyta Tom, nie spuszczać wzroku z ringu.

- Owszem. W regularnym legalnym pojedynku miałby rękawice i walczyłby tylko z przeciwnikami ze swojej kategorii. Ale tak jest ciekawiej, nie sądzisz? - Jean-Paul wskazuje na grupkę młodych mężczyzn czekających obok ringu na swoją kolej. - Wpisowe kosztuje sto euro. Wytrzymasz jedną rundę z tą bestią i dostajesz pięćset.

- A jeśli go pokonasz?

- Jego się nie da pokonać. - Jean-Paul uważnie przygląda się Tomowi. - Nikomu nawet nie przyszłoby to do głowy.

- Nie, poważnie, co jeśli ktoś go pokona?

- Wtedy ja dam panu dziesięć tysięcy euro - odpowiada jakiś głos z tyłu.

Tom i Jean-Paul odwracają się jednocześnie. Przed nimi stoi szczupły ciemnoskóry mężczyzna po trzydziestce, ubrany w szykowny popielaty garnitur od Christiana Lacroix, śnieżnobiałą koszulę i różowy jedwabny krawat od Hermesa.

- Panowie pozwolą, Sebastian Civrais. Tej bestii, jak był uprzejmy nazwać go pański przyjaciel, jeszcze nigdy nikt nie pokonał. - Taksuje Toma spojrzeniem. - Sądzę jednak, że taki wielki Amerykanin jak pan, przyjacielu, mógłby przekonać kilku ludzi do postawienia na pana. - Uśmiecha się szeroko. - Proponuję zatem następujący układ: pięć tysięcy euro, jeśli wytrzyma pan trzy rundy. Dziesięć tysięcy, jeśli go pan pokona.

Wokół ringu wybucha aplauz.

Kolejny lekko wstawiony młodzieniec przechodzi przez liny na rzeź.

Jean-Paul wygląda na zdenerwowanego.

- Tom, daj spokój. Za dziesięć tysięcy euro nie dostaniesz nowego oka ani szczęki. - Zerka nerwowo na ring. - Nie wydaje mi się, żeby ten kolos potrafił tłuc tylko chudych

nastolatków. Podejrzewam, że nawet gdybyśmy obaj stanęli do walki, to i tak spuściłby nam łomot.

Tom jednak nie podziela zdania przyjaciela. W jego oczach wielkolud wygląda na takiego, który głównie znęca się nad słabszymi.

- Będę walczył, ale pieniądze będzie trzymał mój przyjaciel. Widziałem za dużo filmów, w których ten potencjalnie słabszy wygrywa, ale nie dostaje forsy. I chcę walczyć od razu. Nie mam ochoty patrzeć, jak ten pański jaskiniowiec masakruje kolejne dzieciaki.

Civrais wygląda na rozbawionego. Nie musi nigdzie iść po pieniądze - z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjmuje plik fioletowych banknotów po pięćset euro i odlicza stawkę.

- Dziesięć tysięcy. - Wręcza pieniądze Jean-Paulowi. - A jeśli spróbujesz z tym zwiać, *mon ami*, to moi ludzie rozsmarują cię jak *pâté* na bagietce.

Wielkolud tymczasem szybko rozprawia się z ostatnim nieszczęśnikiem. Kiedy obsługa zbiera go z ringu, promotor zapowiada niespodziewaną walkę z Amerykaninem.

Tom ściąga czarne buty i szare skarpetki, zdejmuje koszulę i podwija nogawki spranych lewisów.

Dwóch pomocników prowadzi go przez liny do narożnika, w którym znajduje się nieduży stołek na trzech nogach, zapewniając się głośno nawzajem, że w życiu nie postawiliby nogi w ringu z tym potworem.

Tom nie zwraca na nich uwagi.

Wpatruje się w bukmachera, który przyjmuje zakłady. Grube pliki banknotów lądują w okazałym czerwonym wiadrze. *Monsieur* Civrais niewątpliwie potrafi szybko zarabiać.

Siedząc na stołku w narożniku, Tom żałuje tylko tego, że wcześniej wypił kilka piw.

Jego refleks będzie przytępiony.

To jakieś szaleństwo. Co ja sobie myślałem?

Ktoś stawia go na nogi i zabiera stołek.

Z tyłu rozlega się dźwięk gongu. Wrzaski tłumu cichną.

Teraz są już tylko oni dwaj.

Twarzą w twarz.

Neandertalczyk wydaje z siebie potężny ryk i uderza zaciśniętymi pięściami o siebie.

Na udzie Toma ląduje kopnięcie. Celne, mocne i zaskakująco szybkie jak na taką górę mięśni.

Wielkolud uśmiecha się z zadowoleniem, prezentując dumnie dwa rzędy powykrzywianych i pokruszonych zębów przywodzących na myśl półkę z trofeami.

Neandertalczyk rzuca się do przodu, biorąc jednocześnie potężny zamach i uderzając z całej siły w Toma.

Nie trafia.

Uderza ponownie.

Tom uchyla się.

Zachęcające okrzyki publiczności najwyraźniej wprawiają wielkoluda w złość. Wyprowadza kolejne kopnięcie. Udo Toma drętwieje od uderzenia. Wielki Francuz jednak nie jest tak głupi, na jakiego wygląda. Tom wie, że po kolejnym takim ciosie nie będzie w stanie utrzymać się na nogach, nie wspominając już o walce.

Bestia najwyraźniej myśli tak samo. Posyła Tomowi kolejny szczerbaty uśmiech i bierze zamach nogą. Jeszcze silniejszy niż poprzedni, mający szybko zakończyć starcie.

Ale cios nie dochodzi celu.

Tom schodzi z linii, chwytając dłonią piętę przeciwnika i rzuca się do przodu.

Wielkolud chwieje się, ale udaje mu się nie upaść.

Tom przykuca gwałtownie i wymierza solidne kopnięcie pod kolano drugiej nogi Francuza.

Tym razem neandertalczyk upada ciężko na ring, który trzęsie się pod jego ciężarem. Tłum szaleje.

Tom szybko wstaje i podnosi gardę w oczekiwaniu, aż wielkolud się podniesie.

Co jednak nie następuje. Gong obwieszcza koniec pierwszej rundy.

Tom z zadowoleniem wraca do swojego narożnika. Oberwał dwukrotnie, ale przynajmniej przetrwał, czego nie można powiedzieć o jego poprzednikach.

Szkoda, że gong zadzwonił akurat teraz, gdy udało mu się znaleźć sposób na tego Francuza.

Satysfakcja nie trwa jednak długo.

Tom nie dociera do stołka.

W jego potylicę nagle uderza pięść z siłą rozpędzonego pociągu.

Tom chwiejnym krokiem uchyla się w bok.

Potężne kopnięcie w nerki rzuca go na kolana.

Tłum ryczy.

Tom instynktownie przylega do podłogi i turla się w bok.

Wielkolud wymierza z góry kopnięcie w jego głowę, ale trafia tylko w bark.

Jeśli w tej walce obowiązywały jakieś zasady, to właśnie przestały.

Tom przetacza się jeszcze kawałek i nieruchomieje. W walce najważniejsze nie są pięści ani nogi, tylko głowa. Zastanawia się, co zrobi przeciwnik.

Albo kopnie go w zębra, albo, co bardziej prawdopodobne, będzie próbował zmiążdżyć mu twarz.

Raczej to drugie.

Po chwili okazuje się, że ma rację. Odsuwa głowę na bok i chwytą wyprostowaną nogę wielkoluda za kostkę. Oplata kolano przeciwnika przedramieniem i ciągnie, jakby próbował wyrwać z ziemi masywny korzeń.

Bestia z hukiem pada na ziemię.

Tom przetacza się na środek ringu i wstaje.

Francuz zrywa się i zasypuje go gradem ciosów pięściami i nogami.

Tom dostaje w usta. Czuje, jak pęka mu warga.

Właśnie o to mu chodziło.

Schyła się i doskakuje do wielkoluda. Z całej siły uderza go w żołądek, a następnie poprawia perfekcyjnym podbródkowym.

Francuz staje w pół kroku. Tłum wstrzymuje oddech.

Tom markuje uderzenie prawą ręką, a potem lewą wyprowadza w skroń wielkoluda cios, który mógłby obalić fabryczny komin.

Oczy bestii robią się szkliste.

Kolana drżą.

Wreszcie uginają się pod nim nogi i Francuz bezwładnie pada na ring.

Tom czuje przypływ pierwotnej energii. Patrzy na przeciwnika i modli się, żeby tamten już nie wstał.

Panie Boże, dla jego własnego dobra niech nie wstaje.

Nagle na ringu kłębi się pełno ludzi.

Krzyczą. Wiwatują. Klepią Toma w plecy.

Ktoś nawet bierze go w objęcia. Bestia została pokonana i nie zamierza się podnosić.



Najwyraźniej ma jednak sporo rozumu.

## 9.

*Zbierają moje kości i prochy. Lojalne dłonie gromadzą to, co po mnie pozostało - to, czym byłam, czym jestem i czym się stanę.*

*Szukają kamienia. Świętego trójkąta zerwanego z mojej szyi przez złodzieja przy Ustach Prawdy.*

*Zniknął.*

*Gdy odkryją, kto go zabrał, to go znajdą. Znajdą i odzyskają bezcenny symbol.*

*Następnie złodziej zginie.*

*Przeszukują dymiące pozostałości stosu obficie podlanego oliwą i perfumami.*

*Mojego męża nie ma wśród poszukiwaczy.*

*Bez wątplenia jest już w naszym małżeńskim łóżu, zaspokajając swój głód wina i młodych chłopców.*

*Arria jest przy mnie. Najdroższa Arria. Będzie wspominać mnie podczas Parentaliów. Albowiem Dies Parentales istnieją dla kobiet o twarzach tak smutnych, jak jej.*

*Urna, którą dla mnie przygotowano, jest pospolita. Zbyt pospolita, by moje prochy mogły spocząć w grobowcu rodzinnym mojego męża.*

*To mnie cieszy. Spoczywanie obok niego po śmierci byłoby jeszcze bardziej przykre niż za życia.*

*Nie będę czekała na niego za trójgłowym Cerberem. Modłę się do wielkiego Plutona, aby kości mojego męża utkwily w zębiskach piekielnego psa. Aby przeżuwał je przez całą wieczność w Hadesie.*

*Widzę moje siostry. Widzę innych ze świata duchów. Tych, którzy byli zawsze i zawsze będą.*

*Strażniczki tajemnic.*

*Wieszczki. Zdradzone. Boginie.*

*Stają wokół mnie, gdy śmiertelni zanoszą moje szczątki do wilgotnego wnętrza kolumbarium. Tu, wśród prochów biedoty, będzie miejsce mojego spoczynku.*

*Półki, na której stawiają moją urnę, nie zdobi żadna tabliczka.*

*Nie ma żadnego posągu ani portretu.*

*Tylko numer.*

*Wraz z siostrami zastanawiamy się w zaświatach, czy śmiertelni usłyszą nasz śmiech.*

*Mój numer to X.*

# 10.

*Rzym*

Jest sobota rano, więc Valentina nie będzie musiała wyjaśniać kolegom żandarmom, dlaczego wygląda jak ofiara przemocy domowej. Z całą pewnością natychmiast posypałyby się niesmaczne dowcipy i uwagi. Dobry makijaż i oszczędne ruchy powinny wystarczyć, żeby uniknąć tego samego w poniedziałek.

Chwilowo jednak odbicie w lustrze w łazience nie pozostawia żadnych wątpliwości.

Opuchlizna wprawdzie zaczyna już schodzić, ale jej wargi wciąż wyglądają okropnie, jak po źle wykonanym zastrzyku z botoksu. Głowa aresztowanej dziewczyny pozostawiła na jej ustach wyjątkowo brzydkie rozcięcie.

A wszystko to w dniu wielkiej randki.

Valentina stara się nie myśleć o spotkaniu z Tomem Shamanem w tych kategoriach. Powtarza sobie, że są tylko przyjaciółmi.

Choć oczywiście istnieje możliwość, że Tom czuje do niej to samo. Zerka na zegarek na ścianie niewielkiej kuchni.

Południe.

Samolot Toma przylatuje za cztery godziny. Valentina ma odebrać go z lotniska. Ponownie spogląda w lustro.

Może opuchlizna zdąży zniknąć.

Włącza ekspres do kawy i postanawia zabrać się do pracy.

Rozmawiała już dzisiaj z Federikiem i dowiedziała się, że wciąż nie ma śladu po ofierze.

Porucznik Assante zdążył już obdzwonić wszystkie miejscowe szpitale, ale do żadnego nie przyjęto nikogo z uciętą dłonią.

Valentina sprawdza pocztę głosową w komórce i automatyczną sekretarkę w telefonie. Żadnych wiadomości.

Dzwoni na komisariat i prosi o połączenie z aresztem.

Dowiaduje się, że dziewczyna przespała większą część nocy. Zapewne głównie dzięki końskiej dawce środków nasennych. Odmówiła śniadania. Rano był u niej lekarz, w ciągu godziny zaś mają przewieźć ją do Policlinico Umberto na kompleksowe badanie psychiatryczne.

Po dwudziestu minutach wydzwaniania i kolejnym espresso Valentinie udaje się ustalić, że badanie będzie przeprowadzała *professoressa* Filomena Schiavone, która akurat przebywa w kostnicy w Policlinico, zajmując się inną sprawą. Jeśli wyjdzie z domu od razu, to przy odrobinie szczęścia powinna ją jeszcze zastać.

Do Quartiere San Lorenzo jedzie się całkiem przyjemnie. Jest koniec października. Liście opadają z masywnych klonów i platanów, zaścielając trawniki czerwono-pomarańczowym dywanem mieniącym się w jesiennym słońcu.

Policlinico Umberto I, bo tak brzmi pełna nazwa szpitala, jest największą publiczną placówką medyczną we Włoszech i jedną z największych na świecie. Klinika nosząca imię króla Humberta I, zamordowanego w zamachu w 1900 roku, jest połączona ze słynnym Uniwersytetem La Sapienza, tworząc olbrzymi kompleks będący w zasadzie miastem w mieście.

Valentina przez kilka minut krąży po terenie szpitala w poszukiwaniu kostnicy. Wreszcie udaje jej się odnaleźć wejście obok oddziału chorób tropikalnych, niemal dokładnie naprzeciwko bramy wjazdowej. Parkuje samochód i mija pacjentów w szlafrokach, którzy wyszli na papierosa.

Wchodzi do bloku kostnicy i odświeża się w łazience dla personelu. Przed drzwiami do gabinetu profesor Schiavone stoi tonące pod stertami papierów biurko, za którym siedzi ładna dziewczyna w okularach, zapewne studentka z La Sapienza. Dziewczyna dzwoni do przełożonej i przekazuje Valentinie, że *professoressa* za chwilę kończy i będzie skłonna poświęcić jej dwadzieścia minut.

„Chwila” trwa prawie godzinę.

Filomena Schiavone jest niewysoką kobietą po sześćdziesiątce o gęstych, siwych lokach, błękitnych oczach, przesywającym spojrzeniu i niecierpliwym wyrazie twarzy.

- Proszę mi przypomnieć, kim pani właściwie jest? I czego sobie pani życzy? Sekretarka mówiła dość pokrętnie. - Patolog sądowa zdejmuje zielony fartuch i wrzuca do kosza na pranie. - Jestem umówiona za godzinę na randkę i nie chcę wyglądać jak mokry pudel, więc proszę się streszczać.

- Kapitan Morassi - przedstawia się Valentina, wyjmując odznakę.

- Schowaj to, dziecko, wierzę ci. - Profesor Schiavone przygląda się twarzy Valentiny. - Coś ty sobie zrobiła? Wyglądasz jak pstrąg.

Valentina dotyka palcami wargi.

- Oberwałam od aresztowanej. Zatrzymano ją w pobliżu Cosmedinu w związku z odciętą dłonią, która, jak sądzę, znajduje się w pani posiadaniu.

Patolog wybucha śmiechem.

- „Znajduje się w posiadaniu”. Urocze. Policja zawsze miała talent do wysławiania się w dziwaczny sposób. A dłoń przysłano do mnie w plastikowej torbie wypełnionej lodem. Ktoś najwyraźniej miał nadzieję, że da się ją przyszyć właścicielowi. Zbadałam ją, zrobiłam notatki i odłożyłam do zamrażarki. - *Professoressa* otwiera wysoką metalową szafkę i wyjmuje prostą, elegancką czarną sukienkę.

- Jak sądzisz? Za grzeczna? Na górze mam jeszcze białą grecką suknię, prosto z pralni.

- Pierwsza czy druga randka?

- Pierwsza.

- Ta będzie bardzo odpowiednia.

- Odpowiednia. *Va bene*. Jestem w posiadaniu odpowiedniego stroju. - Schiavone rozbiera się i wkłada czarną sukienkę.

- Dłoń należała do kobiety. Prawa, odcięta w nadgarstku. Sprawca najwyraźniej nie bardzo wiedział, jak się do tego zabrać. - Kładzie palce lewej ręki na swojej prawej dłoni. - W zasadzie została odrąbana. Pierwsze uderzenie trafiło tutaj, obok kciuka. Następne zadano z większej wysokości, w sklepienie nadgarstka, równoległe do kostek. Podejrzewam, że rękę ofiary odwrócono i zadano jeszcze kilka ciosów pod kciukiem, żeby w końcu oddzielić dłoń. Paskudna sprawa. Mnóstwo krwi. - Schiavone sięga ponownie do szafki i wyjmuje dwie pary butów. - Szpilki czy czółenka?

# 11.

Samolot linii easyJet ląduje na lotnisku Ciampino z opóźnieniem. Podwozie uderza w asfalt pasa startowego tuż przed piątą po południu, bądź, według nomenklatury wojskowej, do której przyzwyczała się Valentina, siedemnastą zero zero.

Mija dwadzieścia pięć minut, zanim Tom wreszcie przechodzi odprawę celną i odbiera bagaż. Kiedy pojawia się w drzwiach wyjściowych, Valentina ledwie go rozpoznaje.

Ma na sobie brązową skórzaną kurtkę, brązowy sweter, sprane džinsy i eleganckie oficerki. Też brązowe. Jego włosy są znacznie dłuższe niż wtedy, gdy widzieli się po raz ostatni, a na twarzy Valentina dostrzega cień zarostu.

Tom jej nie widzi.

Zasłania ją gęsty tłum rodzin i taksówkarzy trzymających w rękach tabliczki z nazwiskami biznesmenów, których mają odebrać.

- Tom! Tom!

Odwraca się i nagle ją zauważa.

Rzuca walizkę na ziemię. Valentina rzuca mu się na szyję i wtula głowę w jego twarz. Tom ściska ją mocno, następnie kładzie dłonie na jej biodrach i odsuwa od siebie, przyglądając jej się z podziwem.

- Wyglądasz fantastycznie. Założę się, że jesteś najładniejszą *capitano* w historii żandarmerii.

- *Grazie*. - Valentina przyjmuje pozę modelki i się uśmiecha. - Ty też dobrze wyglądasz. Ale co ci się stało? Ktoś ci przyłożył?

Tom robi zmieszaną minę.

- Długa historia. - Wskazuje palcem na jej usta. - Mógłbym zapytać cię o to samo. Pobiliś się z nowym szefem czy co?

Valentina z zakłopotaniem dotyka wargi.

- *Sono stupido*. Więźniarka uderzyła mnie głową. - Klepie się dłonią w czoło. - Wpadła w szal w celi. Opowiem ci w samochodzie.

Na ulicach są korki, więc po drodze z leżącego na południu miasta Ciampino do mieszkania Valentiny przy Via Annia Faustina mają sporo czasu na rozmowę. Valentina opowiada Tomowi o dziwnych wydarzeniach poprzedniej nocy na Cosmedinie, on z kolei wyjaśnia, skąd się wzięły jego sińce.

- To znaczy, że masz trochę forsy do przepuszczenia. - Valentina uśmiecha się chytrze. - Stawiasz kolację. To będzie kara za to, że zachowałeś się jak pijany nastolatek.

Tom próbuje protestować, argumentując, że tylko bronił francuskiej młodzieży przed oprawcą, ale z jakiegoś powodu nie brzmi to tak przekonująco, jak wczoraj wieczorem.

Valentina wciska swojego fiata w wąskie miejsce między smartem a starym fordem Fiesta, który wygląda tak, jakby nigdy nie był myty. Bierze Toma pod rękę i prowadzi go przez żelazną furtkę w ceglany murze, który odgradza jej budynek od ulicy.

Gdy otwiera drzwi do swojego mikroskopijnego mieszkanca, natychmiast zaczyna żałować, że nie przyłożyła się bardziej do sprzątnięcia.

- Ładne - komentuje Tom. - Nieduże, ale bardzo ładne.

- Kłamczuch. Tu jest okropnie. - Valentina rzuca marynarkę i torebkę na podłogę i rusza prosto do swojego ukochanego ekspresu DeLonghi. - Wszyscy byli księża tak kiepsko kłamią?

- Możliwe. - Tom staje obok sofy niepewny, co ma zrobić ze swoją walizką.

Valentina włącza ekspres i uśmiecha się do niego.

- Skoro już jesteśmy w środku, mam do ciebie pytanie.

- Jakie?

- Musisz tu podejść, żeby odpowiedzieć.

Tom rzuca kurtkę na walizkę i wchodzi do kuchni. Valentina delikatnie dotyka palcem jego rozbitej wargi.

- Czy usta nie boją cię za bardzo, żeby pocałować mnie na powitanie jak należy?

- Jak należy?

Valentina nie daje mu czasu na znalezienie wymówki. Przechyla głowę i ostrożnie go całuje.

Żadne z nich nie zamyka oczu. Zupełnie jakby oboje się przyglądali, jak to drugie rozpakowuje wyczekiwany od dawna prezent.

Dłonie Toma znajdują jej biodra.

Valentina zmysłowo przesuwając językiem po jego wyschniętej wardze.



Czują przeskakującą między nimi iskrę.

Wtulają się w siebie tak mocno, że nie czują już nic poza ciepłem swoich ciał.

I wtedy rozlega się dzwonek telefonu.

Valentina próbuje go zignorować.

Tom całuje ją w szyję.

Miękną jej kolana.

Włącza się automatyczna sekretarka:

- Mówi porucznik Assante. Federico. Próbowałem dodzwonić się na komórkę, zostawiłem ci wiadomość na poczcie. Przepraszam, że dzwonię do domu, ale w szpitalu doszło do incydentu z tą dziewczyną, którą aresztowaliśmy. Musimy porozmawiać, i to jak najszybciej. Jeśli nie będziesz mogła się dodzwonić, to znaczy, że wyjechałem już do szpitala, a w samochodzie nie mam zestawu głośnomówiącego. *Ciao*.

# 12.

*Splywa na mnie Jej łaska.*

*Łaska Matki.*

*Poprzez śmierć Ona stała się życiem, aby mój duch mógł podnieść się z popiołów.*

*Duch Matki i duchy mych siostr są przy mnie.*

*Odtąd zawsze będą ze mną, a ja z nimi.*

*Tak przepowiedziano. Tak zapisano. Tak będzie zawsze. Wyznajemy wiarę w Wielkie Księgi i skrybów przyszłości. Ich słowa są naszą prawdą, a nasze słowa będą prawdą ich jutra.*

*Siostry prowadzą mnie przez mrok do Jej domu, do wielkiej świątyni znajdującej się u magicznego zbiegu trzech dróg, na polanie w kształcie łona.*

*Na ziemi strzeże go brama, podziemia zaś czuwają Galli.*

*Gdy wchodzimy do wnętrza, słyszę bębny, taniec i śpiew.*

*Powietrze drży od włóczy Korybantów uderzających o tarcze.*

*Przez ciała zebranych przebiegają uderzenia głębokiego rytmu.*

*Dotknięcia niewidzialnego.*

*Matka stała się rytmem.*

*Matka stała się biciem serca.*

*Stała się powietrzem, które przenika naszą skórę.*

*Płynie w naszej krwi i krąży w organach. Jej moc nami wstrząsa.*

*Moje serce drży, gdy napiera na mnie Jej głos.*

*Matka jest niewidzialna jak początek deszczu.*

*Jest wszechpotężna jak fale oceanu.*

*Oczyszcza nas i odnawia przez życie i śmierć.*

*Siostry ze świata śmiertelnych są przestraszone.*

*Nie powinny się obawiać.*

*Matka zaopiekuje się nimi. Przeprowadzi je na drugą stronę istnienia.*

*Stoją kilka kroków od siebie, niezdarnie intonując pieśń. Niepewnymi dłońmi dotykają*

*genitaliów, łona, serca i czoła.*

*Z wahaniem wyciągają ręce ku niebu, sięgając do Niej.*

*Wkrótce Jej dłonie sięgną do nich.*

*Będziemy pożywiać się i pić z bębnów.*

*Staniemy się nieśmiertelne.*

*Tak zostało zapisane.*

*Tak się stanie.*

# 13.

Valentina oddzwania do Federica, ale zgłasza się tylko poczta głosowa.

Nie ma innego wyboru. Musi jechać do szpitala.

Chwila, o której marzyła od tak dawna, uleciała. Głęboko w duszy Valentina obawia się, że bezpowrotnie.

Praca ma to do siebie, że włązi z butami w życie osobiste w najmniej odpowiednim momencie.

Odkłada słuchawkę i odwraca się do Toma.

- Przepraszam.

Na jego wargach lśni czerwona smuga. Po słonym smaku na własnych ustach Valentina orientuje się, że to krew. Jej krew. W jakiś dziwny sposób odczuwa z tego powodu podniecenie.

- Co się stało? - Tom staje na ziemi niczyjej rozdzielającej stały ład sprzed pocałunku i nieznane wody tego, co nastąpi potem.

- Muszę jechać. Pilna sprawa w pracy. Stara śpiewka.

Tom się uśmiecha.

- Rozumiem. Stara śpiewka lubi się powtarzać.

Rozmowa o niczym. Valentina nie ma złudzeń - chwila uleciała. Zbiera swoje rzeczy i kieruje się do drzwi, wyraźnie wyczuwając wiszące w powietrzu napięcie.

Przeklinając w myślach porucznika Assante, zapala silnik i jedzie do kliniki.

Teren szpitala to prawdziwy labirynt. Wielopiętrowe budynki pomalowane są w większości na ten sam łososiowy kolor i mają zielone okiennice. Ścieżki i uliczki biegną w górę i w dół po pagórkowatym terenie, przecinając eleganckie placyki z równo przystrzyżonymi trawnikami. Rosnące tu i ówdzie palmy oraz maszty kojarzą się z kurortem wypoczynkowym, któremu od dawna należy się remont.

Valentina przedziera się przez płataninę przygnębiająco ciemnych korytarzy do oddziału psychiatrycznego, gdzie znajduje Federica, który spokojnie wertuje kieszonkowy notes.

- *Buonasera* - warczy Valentina. - Mam nadzieję, że to naprawdę jest pilne.

Porucznik podnosi wzrok znad notatek i ze zdziwieniem stwierdza, że jego przełożona ma na sobie elegancką sukienkę w kwiaty, makijaż i rozpuszczone włosy.

- *Buonasera*. Chyba w czymś ci przeszkodziłem. *Scusi*. Obawiam się jednak, że to jest ważne. Bardzo ważne. Nasza aresztowana powiedziała w końcu, jak się nazywa.

Ta informacja nie robi na Valentinie wrażenia.

- Ach, *bene*.

- Nawet mi je zapisała. - Federico podsuwa jej notes.

- Kasandra? Co to ma być? - Valentina rzuca mu złowrogie spojrzenie. - Napisała ci, „Jestem Kasandra”, a ty z tego powodu ściągasz mnie tu w sobotę wieczorem? Mogłeś powiedzieć mi przez telefon.

- Mogłem. Ale nie o to chodzi. - Federico przerzuca kilka stron. - Spójrz na to. Zapisała mi praktycznie cały notes. Przeczytaj, a potem się zastanów, czy rzeczywiście ściągnąłem cię tu bez powodu.

Valentina bierze notes do ręki i przygląda się wykaligrafowanym zdaniom: *Jestem Kasandra z dumnego i szlachetnego rodu Sabinów i nie obawiam się śmierci*.

Charakter pisma dziewczyny przyprawia ją o dreszcz. Dociskała długopis z taką siłą i agresją, że litery wyglądają niemal na wryte w papierze.

*Lud Cosmedinu wyległ na ulice w oczekiwaniu na ojiare. Na mnie. Tłoczą się wzdłuż zalanych uryną ulic, zwieszają się jak szmaty z okien murszejących domów, wrzeszcząc i plując, gdy wiozą mnie przed nimi.*

Valentina ze znużeniem pobieżnie przegląda kolejne wersy.

Najważniejsze zdania od razu rzucają się jej w oczy: *... jaką tajemnicę zabiorę ze sobą do grobu... tajemnicy, którą skrywam piersiach... potworna ceremonia... La Bocca della Verità... widzę tylko kosz, a w nim swoją odciętą dłoń... Tajemnica jest bezpieczna.*

- Napisała to przy tobie?

Federico potwierdza.

- A czy ta niewątpliwie szurnięta kobieta raczyła coś z tego wyjaśnić?

- Wciąż się nie odezwała. Ani słowa - mówi Assante, kręcąc przecząco głową. Bierze notes, przewraca kartkę i pokazuje Valentinie kolejny akapit. - Przeczytaj to.

Valentina patrzy na starannie nakreślone litery.

*Złodziej wpatruje się w dziwny kamień, który udało mu się zerwać, matowy trójkąt na*

*plecionym sznurku. Rozczarowanie odbiera mu mowę. Głupiec. Nigdy nie dowie się, jaki skarb ma w ręku.*

Kapitan Morassi marszczy nos.

- Nie rozumiem. W całej tej historii z odciętą dłonią chodzi o zwykłą kradzież?

- Nie. - Federico wręcza jej plastikową torbę. - O to.

Oczy Valentiny się rozszerzają.

W torbie znajduje się wisiołek - trójkątny czarny kamień zawieszony na sznurku.

- Dziwne. To ten sam naszyjnik, o którym pisała. Kompletne pomieszanie faktów i fikcji.

- Rozgląda się wokół. - Skąd to masz? Nie przeszukali jej na komisariacie?

Federico zwija torbę i chowa do kieszeni.

- Przeszukali, ale tego nie znaleźli.

- Chcesz powiedzieć, że ci kretyni nie sprawdzili, co miała na szyi?

- Niezupełnie. Dziewczyna schowała to... - kładzie dłoń na kroczu. - Pielęgniarki go odkryły.

- Nie rozumiem, po co miałyby ukrywać ten naszyjnik. Nie wydaje mi się, żeby był coś wart. Kamień jest wydrążony?

- Nie.

- W środku niczego nie ma?

- Ja nic nie znalazłem. Jak skończymy, odeślę to dochodzeniówce. Teraz już rozumiesz, po co zadzwoniłem?

- *Si.* - Valentina uświadamia sobie, że była wobec niego niegrzeczna. - Przepraszam. Ta sprawa trochę zrujnowała mi weekend. Wczoraj i dziś.

- Wielkie plany? - Assante taksuje wzrokiem jej sukienkę.

Spojrzenie, które posyła mu w odpowiedzi Valentina, nie pozostawia żadnych wątpliwości. Federico ma się trzymać z dala od jej prywatnych spraw.

Kapitan Morassi wciąż ma w ręku notatnik. Stuka okładką o drugą dłoń.

- Co ty o tym sądzisz? Próbuje usprawiedliwić się z odcięcia komuś ręki? Może chce, żeby uznano ją za niepoczytalną?

- Możliwe. Może odcięła nie tylko rękę.

Valentina rozważa jego uwagę.

- Wciąż nie ma śladu ofiary, więc możemy mieć do czynienia z poćwiartowaniem całego

ciała.

- Niewykluczone. Nie zdziwię się, jeśli znajdziemy kolejne części porzucane po całym mieście.

- Masz rację. - Valentina oddaje mu notatnik. - Zapytajmy naszą tajemniczą damę o tę pisaninę.

- Nie sądzę. - Do żandarmów podchodzi jakaś kobieta. - Nazywam się Louisa Verdetti. Jestem ordynatorem tego oddziału i obawiam się, że nie mogę państwa wpuścić do pacjentki, dopóki nie postawię ostatecznej diagnozy.

Verdetti ma około trzydziestu lat, krótkie ciemne włosy i wygląda, jakby urodziła się do noszenia lekarskiego kitla. Na końcu nosa nosi okulary w drogich czarnych oprawkach. Pogardliwie kiwa głową na Federica.

- Pani kolega w ogóle nie powinien był wchodzić do jej pokoju, nie wspominając już o zadawaniu pytań. Nie ma najmniejszych wątpliwości, że dziewczyna ma bardzo poważne zaburzenia i...

Valentina przerywa jej niecierpliwie:

- Pani doktor, stan umysłu pani pacjentki jest niczym w porównaniu ze stanem kobiety, której odcięła dłoń.

Verdetti rzuca jej nieprzyjazne spojrzenie.

- Nie próbuję przeszkadzać państwu w pracy...

- Więc proszę tego nie robić. - Valentina macha jej przed oczami odbitkami z notesu Federica. - Czy rozumie pani coś z tego, co ona tu napisała?

Lekarka łagodnieje.

- Porozmawiajmy w moim gabinecie. - Wskazuje ręką korytarz po lewej.

Valentina idzie za nią. Federico podąża z tyłu.

Gabinet jest ciemny. Naprzeciwko drzwi stoi biurko zarzucone papierami i oświetlone tylko niedużą lampką. Lekarka wskazuje im dwie szare sofy stojące w rogu przy szklanym stoliku, na którym widoczne są plamy po kawie.

Kiedy rozsiadają się na sofach, Louisa Verdetti rozważa, ile powinna powiedzieć żandarmom i ile z tego zrozumieją.

- Zacznijmy od tego, co napisała pacjentka. To bardzo nietypowe.

Valentina teatralnie udaje zaskoczenie.

- Trzeba być lekarzem, żeby to zauważyć?

- Bardzo panią proszę! - Na twarzy Verdetti maluje się prośba o cierpliwość.

- Przepraszam. Proszę mówić dalej.

- Te zapiski są nietypowe, ponieważ wskazują na bardzo rzadkie schorzenie, z którym do czynienia miało niewielu psychiatrów na całym świecie, nie wspominając już o Włoszech. - Lekarka z satysfakcją zauważa, że oboje słuchają jej z najwyższą uwagą. - Dziewczyna cierpi na DID, czyli zaburzenie dysocjacyjne osobowości.

- To znaczy? - pyta Federico.

- Dawniej nazywano to rozdwojeniem jaźni.

Assante wciąż nie do końca rozumie.

- Chce pani powiedzieć, że ona myśli, że jest dwiema osobami jednocześnie? Tym, kim jest w rzeczywistości, i tą Kasandrą z Cosmedinu?

Verdetti ma wielką ochotę zaprzeczyć i wygłosić wykład na temat charakterystyki i zagrożeń DID, ale uznaje, że szczegóły mogą poczekać.

- Mniej więcej. W chwili gdy pisała ten tekst, naprawdę wierzyła, że jest Kasandrą z Cosmedinu wzięoną do La Bocca della Verità, gdzie odcięto jej dłoń. Co ciekawe, w czasach rzymskich, które opisuje, Usta Prawdy jeszcze nie istniały. To typowe dla tego rodzaju złudzeń - następuje pomieszanie epok i faktów.

- Skupmy się wobec tego na rzeczywistości - proponuje Valentina. - Ukryła coś w pochwie. Naszyjnik. Widziała go pani?

- *Si*. Poprosiłam moich pracowników, żeby przekazali go pani koledze.

- Mam go przy sobie - oznajmia Federico, wyjmując torbę z kieszeni.

- Czy wie pani, dlaczego ten naszyjnik był dla niej taki ważny? - pyta Valentina. - Dlaczego uznała, że musi go ukryć?

- Nie wiem. Prawdopodobnie należał do niej, ale nie ma żadnej wartości poza osobistą. Pacjenci cierpiący na DID często przypisują olbrzymie znaczenie określonym przedmiotom, tak jak małe dziecko przywiązuje się do swojego misia albo kocyka.

- Ale pisała o nim - zauważa Valentina. - Naszyjnik pojawia się w tej historyjce z Rzymu. Lekarka uśmiecha się uspokajająco.

- Nie widzę w tym nic niezwykłego. Ta dziewczyna ma bardzo silne zaburzenia. Potrzebuje ciągłej opieki i zrozumienia. Zwróciliście państwo uwagę na jej nadgarstki i ramiona?



Federico kręci głową.

- Ślady po igłach? - pyta Valentina.

- Nie. Coś znacznie trudniejszego do wyleczenia. Na jej rękach są wyraźne ślady po samookaleczeniach. Jak mówiłam, jest bardzo ciężko chora.

Valentina miała już do czynienia z samookaleczaniem. Dawno temu, gdy dopiero zaczynała pracę w żandarmerii, aresztowała za kradzież w sklepie nastolatkę, której przedramiona pokryte były gęstą siatką nacięć.

- Tnie się, gdy jest zestresowana, bo to jej przynosi jakąś ulgę?

- Zgadza się. To wskazuje na głęboką traumę lub krzywdę. Co więcej, wygląda na to, że okaleczała się od wielu lat.

- Przykro mi. Mam nadzieję, że może jej pani pomóc.

- Mogę, pod warunkiem że będę miała dość czasu. Proszę przyjść jutro. Przez następne dwadzieścia cztery godziny będziemy kontynuowali obserwację i postawimy diagnozę. Dziewczyna musi poczuć się bezpieczna. Wtedy zastanowię się, czy pozwolę państwu ją przesłuchać. Pod moim nadzorem.

Valentina kiwa głową. Nie mają wyboru - nie zdołają skłonić doktor Verdetti do zmiany zdania ani prośbami, ani groźbami.

- Wrócimy rano. *Grazie*.

- *Prego*. - Lekarka wstaje z sofy.

- Jeszcze jedno pytanie, zanim pójdziemy - mówi Valentina. - Czy pacjenci z... tym... no...

- Nie może sobie przypomnieć nazwy choroby.

- Zaburzeniem dysocjacyjnym osobowości.

- *Grazie*. Czy pacjenci z zaburzeniem dysocjacyjnym osobowości są zdolni do popełnienia morderstwa?

Twarz doktor Verdetti tężeje.

- Bez wątplenia. Są zdolni praktycznie do wszystkiego.

# 14.

W drodze powrotnej do domu Valentina włącza zestaw słuchawkowy swojego iPhone'a i dzwoni do dowódcy. Jej szef jest w domu. Odbiera telefon takim tonem, jakby miotał w kogoś ciężkim przekleństwem:

- Caesario.

- Panie majorze, mówi kapitan Morassi. Pomyślałam, że będzie chciał pan poznać najnowsze ustalenia w sprawie, którą mi pan przydzielił.

Major wydaje z siebie zmęczone westchnienie.

- *Capitano*, aresztowała pani dwudziestoparoletnią kobietę, która twierdzi, że nazywa się Kasandra i jest na tyle szurnięta, że od razu trafiła na oddział zamknięty. Porucznik Assante powiedział mi, że dochodzeniówka analizuje już jej zakrwawione ubranie i jakąś broń, ale wciąż nie ma śladu ofiary. Czy ma mi pani do powiedzenia cokolwiek, czego już bym nie wiedział?

Valentinę zatyka. Federico za jej plecami złożył raport bezpośrednio do majora.

- Mam nadzieję, że jutro rano uda się przesłuchać podejrzaną.

- To już wiem. Coś jeszcze?

Valentina nawet nie próbuje ukryć irytacji.

- Tak. Panie majorze, czy wydał pan porucznikowi Assante rozkaz składania sobie bezpośrednich raportów? Bo ja z pewnością tego nie zrobiłam.

Następuje chwila ciszy.

- Nie mam ochoty ciągnąć tej rozmowy dłużej, więc uznajmy, że tak, wydałem taki rozkaz. A teraz życzę miłego wieczoru, muszę dokończyć znacznie ważniejszą kłótnię. Z żoną.

Po chwili Valentina słyszy już tylko dźwięk zajętej linii. Ze złością zaciska dłonie na kierownicy i przyspiesza do prędkości, za którą powinna dostać mandat. Wysoki.

Jest już ósma wieczorem, gdy wreszcie wchodzi do mieszkania.

Światło jest zgaszone. Ciemność rozpraszają tylko świece w kuchni.

Valentina czuje zapach świeżych kwiatów. Dopiero po chwili zauważa różowe i białe płatki róż wstawionych do dzbanka na kuchennym blacie.

- Dobry Boże, nie nudziłeś się.

- Żebyś wiedziała. - Tom stoi w wąskiej kuchni plecami do niej. - Odkorkuję tylko wino i opowiem ci o tej niewiarygodnie pysznej rybie, którą dla ciebie przygotowuję.

Valentina się krzywi.

- Zarezerwowałam stolik. Mówiłam przecież, że wychodzimy.

Tom odwraca się do niej z uśmiechem.

- Odwołaj. Ryba to moja specjalność. Lepszego jedzenia i serwisu nie znajdziesz w całym Rzymie.

Valentina nie potrafi ukryć rozczarowania.

- Nie było łatwo dostać tam miejsce.

Tom milczy. Czuje narastające zakłopotanie. Valentina drapie się po karku.

- Dlaczego mężczyznom zawsze wydaje się, że mogą robić wszystko, co im się żywnie podoba, nawet jeśli kobieta ma ochotę na coś zupełnie innego?

Tom jest szczerze zaskoczony jej reakcją.

- Przepraszam, wygłupiłem się. Miałem nadzieję, że świece, kwiaty i wino pomogą nam wrócić do punktu, w którym przerwaliśmy.

Valentina siada na bocznym oparciu sofy i ukrywa twarz w dłoniach.

- *Porca vacca!*

Tom podchodzi do niej.

- To chyba mało parlamentarne wyrażenie?

Valentinie udaje się wydobyć z siebie zduszony chichot.

- Znam mocniejsze, ale fakt, do druku się nie nadaje.

Tom kładzie dłoń na jej ramieniu.

- Tylko podgrzałem jedzenie, nie wiedziałem, o której wrócisz. Jeśli chcesz, to wyłączę i możemy wyjść.

- Nie. Przepraszam. Jestem okropna. Miałam ciężką rozmowę z szefem i nerwy mi puściły. - Rozgląda się po pokoju. - To bardzo miło z twojej strony, że tak tu wszystko przygotowałeś. - Uśmiecha się. - Bardzo romantycznie.

Tom odwzajemnia uśmiech.

- Potrafię być romantyczny, jeśli mam okazję.

- Czyżby?

- Zdecydowanie tak.

Ich spojrzenia się spotykają.

- Zdam się przebrać?

- Jasne, nie spiesz się.

Valentina idzie do sypialni.

- Może ci pomóc? - woła za nią Tom, ale dziewczyna nie odpowiada.

Tom przysiadł na tym samym oparciu, z którego przed chwilą wstała Valentina, i zastanawia się, czy postępuje słusznie. Przez jego ciało przebiegają przyjemne dreszcze wywołane flirtem i oczekiwaniem na rozwój sytuacji. Jednocześnie jakaś część jego mózgu każe mu natychmiast uciekać.

Valentina wraca do salonu. Ma na sobie kremowy jedwabny szlafrok. Jej ciemne włosy spływają po szyi.

- Odkorkowałeś w końcu to wino? Czy potrzebujesz kobiecej ręki?

Tom wstaje i idzie po butelkę. Serce łomocze mu jak oszalałe. Musi się uspokoić, żeby w ogóle wbić prosto korkociąg.

Valentina podnosi szeroki kieliszek i pochyla go w stronę Toma.

- Warga ciągle boli?

Tom nalewa jej złocistego meursaulta.

- Nie. A twoja? - Ich wzrok znów się spotyka.

- W ogóle. - Valentina powoli nachyla się i całuje go delikatnie w spuchnięte usta.

Tom prawie wypuszcza otwartą butelkę z rąk. Valentina odstawia kieliszek na kuchenny blat. Jego dłonie rozwiązują jej szlafrok i wsuwają się pod ciepły jedwab. Jej skóra jest gładka jak aksamit i pachnie mlekiem kokosowym.

Całuje ją ponownie i przesuwając palcami po jej plecach. Valentina wtula się w niego. Jej ręce znajdują guziki jego koszuli. Niektóre udaje jej się rozpiąć. Pozostałe odpadają, gdy zrywa koszulę z jego ramion.

Ich oddechy stają się szybkie, urywane. Usta krwawią od pocałunków. Ciała drżą z podniecenia.

Valentina głaszcze go po torsie. Tom jest od niej znacznie wyższy. Przyciąga go do siebie, a po chwili lądują na podłodze kuchni.

Palce Toma przebiegają po jej nogach. Muska ustami aksamitną skórę jej brzucha i piersi.

Valentina wzdycha wyczekująco.

Tom sięga za jej plecy i zsuwa z niej czerwone figi.

Valentina wygina się jak kotka pod jego ustami całującymi jej biodra, wewnątrz ud, by wreszcie sięgnąć celu.

Tom ujmuje w dłonie jej pośladki i zagłębia się w nią językiem. Głęboko.

Wpija się w niego. Wbija paznokcie w jego szerokie barki, kurczowo, jakby miała za chwilę runąć w przepaść.

I w pewnym sensie to właśnie następuje. Valentina spada w otchłań rozkosznego zapomnienia. Kręci jej się w głowie, a serce niemal wyrywa się z piersi, gdy rzeka tłumionych dotąd uczuć wreszcie zrywa tamy.

# 15.

Strażnik przed drzwiami pierwszy zauważa, że aresztowana wstała z łóżka.

Przez wąską szczelinę przezroczystego szkła dostrzega, że dziewczyna kuli się pod ścianą. Już ma skontaktować się z dyżurującym lekarzem, gdy zjawia się nocna pielęgniarka.

- Wstała - oznajmia strażnik zmartwionym tonem.

- Wiem - odpowiada siostra Elizabetta Erio, puszysta czterdziestolatka. - Pociągnęła dzwonek alarmowy. Zobaczmy, jak się czuje.

Wchodzą razem do pokoju i widzą aresztowaną/pacjentkę na podłodze, wciśniętą w kąt naprzeciwko łóżka. Jej ręce zaplecione są ciasno na podwiniętych kolanach. Wygląda jak przestraszone dziecko.

- Wstawaj, młoda damo - mówi stanowczo pielęgniarka. - Nie powinnaś tu siedzieć. Połóżmy cię do łóżka, będzie ci wygodniej.

Strażnik schyla się, żeby pomóc jej wstać. Dziewczyna kuli się jeszcze bardziej. Mężczyzna dochodzi do wniosku, że pacjentka boi się munduru i pistoletu w białej kaburze.

Elizabetta bierze ją pod ramię i bez zbędnych ceregieli podnosi na nogi.

- Zmarzniesz tu na kość. Chodź, zapakujemy cię pod ciepłą kołdrę.

Pacjentka pozwala zaprowadzić się do wysokiego metalowego łóżka. Jej oczy cały czas uważnie śledzą strażnika.

Siostra Erio szybko poprawia wyblakłą szpitalną koszulę pacjentki i okrywa ją kołdrą. Przeczytała kartę dziewczyny i dobrze wie, że musi cały czas mieć się na baczności. Wprawdzie pacjentka w tej chwili sprawia wrażenie przestraszonej myszy i od momentu przyjęcia do szpitala nie wypowiedziała ani słowa, ale potężny siniak na jej czole stale przypomina siostrze, że w każdej chwili może stać się agresywna.

- Nie boli cię głowa, kochanie? Masz tu sporego guza.

Dziewczyna patrzy na nią złowrogo i ostrożnie dotyka palcami fioletowo-czarnego krwiaka.

- Przyniosę ci środki przeciwbólowe. Może chcesz coś do picia? Zimnej wody? -

Pielęgniarka czeka na potwierdzające kiwnięcie głową.

- *Si. Grazie.*

Elizabetta nieruchomieje w pół kroku i wpatruje się z niedowierzaniem w usta pacjentki.

- W porządku. Dobrze, że wreszcie zaczęłaś mówić. Za chwilę przyniosę ci wodę.

Wychodząc, bierze strażnika na stronę.

- Pilnuj jej jak oka w głowie. Wrócę za minutę.

Elizabetta dzwoni do dyżurującego lekarza i z szafki na leki bierze 400 miligramów ibuprofenu. Napełnia plastikowy kubek wodą z bańki w korytarzu i dokładnie po minucie wraca do pokoju.

Pacjentka łyka tabletki i wypija cały kubek.

- *Grazie.*

- *Prego.* - Elizabetta przysiada na skraju łóżka. - Zbadam ci teraz puls i ciśnienie krwi, dobrze?

Dziewczyna nerwowo kiwa głową.

- Gdzie ja jestem? Dlaczego tu jestem?

- Naprawdę nie wiesz?

Strach w jej oczach wystarcza pielęgnowarce za odpowiedź.

- Nie mam pojęcia. - Pacjentka przygryza zniszczony paznokieć kciuka i rozgląda się. - Jestem ranna? Był jakiś wypadek?

Elizabetta zerka na strażnika.

- *Carabinieri* przywieźli cię do nas. Przypuszczam, że będą chcieli z tobą porozmawiać, wyjaśnić ci, co się stało. - Pielęgniarka uśmiecha się przyjaźnie. - Nie martw się na zapas. Zajmiemy się tobą. Czy możesz mi powiedzieć, jak się nazywasz?

- Suzanna.

Elizabetta robi zadowoloną minę.

- *Va bene.* - Sięga po podkładkę, do której przypięta jest karta pacjentki i zapisuje coś. - A nazwisko, Suzanno? Jak masz na nazwisko?

- Grecoraci. Suzanna Grecoraci.

- Doskonale. To nam bardzo pomoże.

Pacjentka patrzy na nią ze zdumieniem.

- Nie wiedzieliście, kim jestem?

- Nie.

Suzanna pochyla głowę. Kiedy podnosi wzrok, na jej twarzy maluje się wstyd.

- Czy był tu ktoś jeszcze?

- Nie rozumiem?

- Czasami przychodzą inni. Przychodzą i zabierają mi ciało bez pytania o zdanie. A potem robią różne rzeczy. Złe rzeczy.



# 16.

Mija sporo czasu, zanim Tom i Valentina w końcu docierają do sypialni. Jeszcze dłużej zajmuje im powrót do salonu i zostawionej kolacji.

Valentina wkłada czarny dres do biegania. Niezupełnie tak wyobrażała sobie swój strój na pierwszej randce z Tomem, ale dres wydaje się odpowiedni, gdy w końcu opuszczają łóżko.

Stoją obok siebie w kuchni, gotując, rozmawiając, popijając wino, zupełnie jak gdyby byli parą od lat, a nie od kilkudziesięciu minut. Valentina wyjmuje wiekowe białe talerze z szafki obok kuchenki.

- Sporo się zmieniłeś, odkąd się poznaliśmy.

Ta uwaga rozbawia Toma.

- Sprecyzuj.

- Jesteś pewniejszy siebie. Przestałeś się bać ludzi. - Odstawia talerze i siada na blacie, żeby widzieć jego twarz. - Nauczyłeś się tego z Tiną?

- Chyba tak - odpowiada Tom z lekkim zażenowaniem.

- Nie chcesz o niej rozmawiać?

- Nie bardzo. - Wrzuca posiekaną cebulę na rozgrzaną patelnię i zaczyna rozgniatać ząbek czosnku, zastanawiając się, ile powinien jej powiedzieć. - Rozstaliśmy się trochę ponad rok temu. Wydaje mi się, że to było nieuniknione. Pamiętasz Tinę, jest profesjonalistką, której zależy na karierze i stabilizacji. A ja jestem byłym księdzem, który miał ochotę trochę poszaleć, a z całą pewnością nie byłem przygotowany na to, żeby brać na siebie jakąś odpowiedzialność. Nie po tym, co się wydarzyło w Los Angeles.

Valentina wspomina ich pierwsze spotkanie i szok, gdy dowiedziała się, że przypadkowo zabił dwóch bandziorów, którzy napadli kobietę w pobliżu jego kościoła w Los Angeles. Wspomina też tamtą sprawę w Wenecji, w którą go wciągnęła i którą oboje omal nie przypłacili życiem. Bierze do ręki kieliszek z winem, rozmyślając nad tym, czy to właśnie tamto bliskie spotkanie ze śmiercią w jakiś sposób doprowadziło do tego, że wylądowali tego wieczoru w łóżku. Obserwuje, jak Tom kroi pomidory i podsmaża cebulę. Intymna domowa atmosfera

powoduje, że z jej ust pada pytanie, które dla niej samej jest zaskoczeniem:

- Kochałeś Tinę, prawda?

Tom nie podnosi wzroku znad skwierczącej cebuli.

- Tak sędzę.

- Jak to „sędzisz”?

- Próbowałem. Chciałem ją pokochać. - Drewnianą łopatką zsuwa pomidory na patelnię i przyprawia. - Oboje próbowaliśmy i oboje tego chcieliśmy. Pamiętaj, że związek z Tiną był moim pierwszym od czasu, gdy opuściłem Kościół. Była pierwszą kobietą, z którą... no wiesz. I jedyną, z którą kiedykolwiek mieszkałem.

Valentina jest zaskoczona.

- Naprawdę?

- Tak. - Tom się uśmiecha. - Wbrew temu, co piszą w gazetach, większość księży katolickich nie prowadzi aktywnego życia seksualnego.

Teraz Valentina się śmieje.

- To znaczy, że nigdy, no wiesz, nie kochałeś się z nikim? Zanim zostałeś księdzem?

Tom przyprawia dwa solidne steki z tuńczyka, wrzuca je na patelnię i miesza z gęstym pomidorowym sosem.

- Mam wrażenie, jakbyś znowu mnie przesłuchiwała. Za chwilę wejdzie Vito i będziecie na zmianę ciągnęli mnie za język. Tylko tym razem nie na temat ciała w kanale, a moich doświadczeń seksualnych, gdy byłem nastolatkiem.

Valentina nachyla się do niego. Nie zanadto, nie chce, żeby odebrał to jako próbę konfrontacji. Ale dostatecznie blisko, żeby spojrzeć mu w oczy i dać do zrozumienia, że to tylko gra, niewinna próba poznania go trochę lepiej.

- Gdybym naprawdę pana przesłuchiwała, już nabrałabym podejrzeń, panie Shaman. Nie odpowiedział pan na moje pytania.

- A ja, pani kapitan, zażądałbym adwokata i odmówił składania wyjaśnień. Ale skoro się upierasz, to odpowiem: nie, nie miałem z nikim stosunku seksualnego, zanim wstąpiłem w stan kapłański.

- Aha, odpowiedź w stylu prezydenta Clintona. - Valentina udaje nosowy głos byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych: - „Nigdy nie miałem stosunków seksualnych z tą kobietą”. - Przynęła się do jego ramienia. - Ale jakieś obmacywanie było?

Tom nie wierzy, że Valentina może go tak dręczyć.

- Być może. Moglibyśmy zmienić temat? W przeciwnym razie przypałę ci kolację.

- Dobra. - Valentina odpuszcza. Jeszcze będzie miała okazję wydobyć z niego coś więcej.

Zeskakuje z blatu i krąży po mieszkaniu.

Tom usiłuje skupić się na gotowaniu. Mieszkając we Francji, przekonał się, że praca w kuchni jest dla niego najlepszą terapią.

- Mógłbyś na coś spojrzeć? - woła po chwili Valentina. - Chciałabym poznać twoje zdanie.

- Chwileczkę. - Tom zdejmuje patelnię z palnika i nakłada tuńczyka na podgrzane talerze.

- *Fantastico!* Będziesz zachwycona.

Valentina bierze do ręki plik papierów i siada na sofie.

- Kobieta, którą aresztowaliśmy, opowiadałam ci o niej, napisała coś bardzo dziwnego. Mam tu kserokopie.

Tom niesie talerze do stołu jak zawodowy kelner - jeden na nadgarstku, drugi na dłoni, podtrzymywany końcami palców.

- Jeszcze wina?

- Na razie nie, dziękuję. - Valentina klepie dłonią w miejsce obok siebie. - Usiądź. Przepraszam, nie mam porządnego stołu. Jeszcze. I chyba nie będę miała, przynajmniej dopóki się stąd nie wyprowadzę. Tu jest za ciasno.

Tom wręcza jej talerz i sztucce.

- *Buon appetito.* Mam nadzieję, że będzie ci smakowało.

- Wygląda nieźle. - Valentina się uśmiecha. - Na pewno warto było zostać w domu. Zerknij na to i powiedz mi, co o tym myślisz.

Tom bierze od niej kserokopie, kładzie na oparciu sofy i zabiera się do jedzenia.

Tuńczyk jest lekko niedogotowany, natomiast zielona fasolka zdecydowanie zbyt długo przebywała w garnku. To by było na tyle, jeśli chodzi o dobre wrażenie.

Powoli czyta zapiski, zastanawiając się, czy nie powinien zaproponować dogotowania ryby. Zerka na Valentinę i uznaje, że chyba jednak nie. Jej talerz jest już prawie pusty.

Doczytuje do końca i stuka palcem w papiery.

- Fascynujące: Możesz mi coś powiedzieć o tej dziewczynie? Inteligencja? Wiek? Wygląd?

Valentina zastanawia się przez chwilę.

- Wiek około trzydziestki. Biała. Włoszka - tak sędzę. Niezbyt wysoka. Dość szczupła. Raczej drobna. Prawdę mówiąc, taka szara mysz. Do tej pory się nie odezwała, napisała tylko to, co przeczytałeś, więc trudno mi określić jej inteligencję. - Nagle przypomina sobie o czymś. - Kiedy zmyli jej krew z rąk, zauważyłam, że miała połamane paznokcie. Wszystkie. I zaniedbane dłonie. To by wskazywało raczej na robotnicę niż pracownicę biura.

- To, że ktoś jest robotnikiem, niekoniecznie oznacza, że nie jest inteligentny - zaznacza Tom, wymachując przed nią widelcem. - Zmywałem gary w prawie każdej knajpie w Paryżu, ale to jeszcze nie znaczy, że jestem głupi.

- Nic takiego nie powiedziałam. Ale czemu pytasz o inteligencję?

Tom podnosi jedną z kserokopii.

- Pisała bez błędów ortograficznych. Gramatycznie. Staroświeckim formalnym stylem, typowym dla osób starannie wykształconych.

Ta uwaga rozbawia Valentinę.

- To by się zgadzało. Twierdzi, że pochodzi ze szlacheckiego rodu.

- Scena, którą opisała, rozgrywa się w starożytnym Rzymie, z całą pewnością przed narodzinami Chrystusa. Biorąc pod uwagę szacunek, z jakim wyraża się o Senacie, prawdopodobnie także przed Juliuszem Cezarem.

Valentina jest pod wrażeniem.

- Proszę, proszę, niby tylko stary kucharz, a jaki wyedukowany.

- Kto tu jest stary? - protestuje Tom, nakładając na widelec kolejną porcję tuńczyka i zanurzając w sosie pomidorowym. - Jest tu sporo odniesień do religii i rytuałów, co chwilę pojawiają się też aluzje do jakichś tajemnic. Czy imię Kasandra coś ci mówi?

- Absolutnie nic. - Valentina starannie wyciera sos z talerza ostatnim kawałkiem ryby. - Nie wierzę, że zjadłam to wszystko. To przez ciebie byłam taka głodna. To co z tą Kasandra?

- Zagłada - mówi Tom. - Kasandra była prorokinią zagłady.

# 17.

*Matka wybiera mnie spośród innych.*

*Zabiera mnie ze sobą, daleko od pozostałych. Przemawia tylko do mnie.*

*Jestem wyjątkowa.*

*Ona tak mówi.*

*Jestem Jej ulubienicą. Będzie mnie nazywać Melissą. Będę jedną z Jej Melissae - Jej małych pszczół.*

*Opowiada mi o Lagaszu, Anatolii, Frygii, Krecie i Malcie. Mówi o cywilizacji helleńskiej i rzymskiej, o królach i cesarzach, których poznała.*

*O władcach, którzy Ją czcili.*

*O głupcach, którzy Ją ignorowali.*

*O swojej miłości do Attisa, o tym, jak go zabiła, a potem przywróciła do życia.*

*- Życie i śmierć - szepcze mi do ucha, a potem opowiada długo o dziele stworzenia i zniszczenia i swoim miejscu w tym chwalebny kręgu.*

*O miejscu, które kiedyś zajmę.*

*Matka przytula mnie do piersi i głaszcze moje włosy. Uczy mnie, jak zmienić morze w piach, a piach w zieloną trawę. Mówi mi, że razem zmienimy trawę w skalę, skalę w marmur, a marmur w wieże ze szkła i stali, które wzniosą się ponad słońce.*

*Matka może osiągnąć wszystko. Może stworzyć wszystko.*

*Wokół nas widzę kobiety każdej rasy, każdego koloru skóry, w każdym wieku. Matka mogła wybrać dowolną z nich, ale wybrała mnie.*

*Jestem wyjątkowa.*

*Ona tak mówi.*

*Poza ciepłym łonem, które jest naszą świątynią, wschodzi blady księżyc i srebrnym blaskiem oświetla nagie ciała moich sióstr.*

*W pobliżu rozlega się trzask pierwszych iskier ogniska. Słudzy wnoszą duży, płaski kamień, na którym piętrzy się chleb i wino.*

*Przybywają Galli.*

*Uderzają w bębny, wspaniale instrumenty wykonane z rybich pęcherzy i kozich skór,  
wybijając pierwotny rytm.*

*Matka dzieli się z nami rytmem. Zamyka go w nas. Rytm staje się naszym pulsem.  
Przepływa przez nasze genitalia i osiada w naszych łonach.*

*Matka nakazuje mi zamknąć oczy.*

*Mówi, że mnie kocha. Jej miłość sięga od Jej chłodnego posągu na szczycie góry Sipylos  
do krwawych pól Rzymu, gdzie kładzie się obok mnie.*

*Nie obawiam się tego, co ze mną zrobi.*

*Jestem wyjątkowa.*

*Ona tak mówi.*

# 18.

Niedzielny poranek owija Valentinę Morassi jak chłodna, góraska mgła.

Powoli otwiera oczy i zauważa plamy słońca na deskach podłogi. Rzeczywistość daje o sobie znać.

I obwieszcza, że nadszedł koniec nocnego wypoczynku.

Nie żeby Valentina bardzo wypoczywała tej nocy.

Zazwyczaj potrzebuje ośmiu nieprzerwanych godzin snu.

Zerka na budzik z Myszką Miki i uświadamia sobie, że przespała niecałe sześć.

Na własne życzenie.

Jej i Toma.

Ta myśl wywołuje na jej twarzy uśmiech. Z przyjemnością poświęci jeszcze wiele godzin snu, jeśli będzie mogła spędzić je z mężczyzną, który śpi obok niej.

Valentina ma już plan na cały dzień. Raczej nieskomplikowany.

Najpierw będą się sennie kochać. Potem śniadanie w łóżku. Potem znów będą się kochać, już mniej sennie. Prysznic. Ubranie. I wreszcie będzie trzeba niechętnie pomyśleć o pracy.

To przyjemna odmiana od codziennej rutyny, w której praca zawsze była na pierwszym miejscu.

Dobry seks ma to do siebie, że wywraca wszystko do góry nogami. Wystarczy kilka porządnych orgazmów, żeby praca, która jeszcze przed chwilą stanowiła sens życia, spadła na samo dno hierarchii ważności.

Valentina przysuwa się do Toma i głaszcze jego brzuch.

Tom wierci się przez sen.

Valentina postanawia dać mu pospać jeszcze chwilę. W tym czasie rozmyśla nad wczorajszym dniem. Potwornie denerwowała się przed ich spotkaniem na lotnisku, zastanawiając się, czy Tom odwzajemni jej uczucia i czy próba uwiedzenia go nie zniszczy bezpowrotnie ich przyjaźni.

A potem był pierwszy pocałunek.

Wystarczy zaledwie kilka sekund lub kilka słów, żeby między dwojgiem ludzi nawiązała się romantyczna więź. Lub zniknęła. Valentina uważa to za niesprawiedliwość losu.

Gdyby nie zdobyła się na odwagę i nie zażądała od niego „porządnego pocałunku na powitanie”, być może do niczego między nimi by nie doszło. Ilu ludzi zaprzepaściło szansę na coś wspaniałego w życiu tylko dlatego, że komuś zabrakło odwagi, żeby zrobić pierwszy ruch?

Valentina porzuca te melancholijne rozważania i powraca do spraw bieżących.

A właściwie jednej sprawy, której dotyka prawą ręką.

Tom wydaje z siebie głębokie westchnienie dobiegające z samego wnętrza jego ciała, jak odległy ryk dzikiej bestii w przepastnej dżungli. Jej palce przywołują bestię.

Tom się przeciąga. Valentina czuje, jak jego członek twardnieje pod jej dotykiem. Całuje go w plecy i przywiera do niego całym ciałem.

Tom odwraca się i patrzy na nią. W sennych niebieskoszarych oczach pojawia się pierwsza iskra.

Valentina nie pozwala mu nawet powiedzieć „dzień dobry”.

Delikatnie przyciska swoje wargi do jego ust, chcąc zatrzymać atmosferę intymności. Na zawsze.

I wtedy rzeczywistość brutalnie wdiera się w romantyczny poranek, weryfikując jej plany na ten dzień.

Rozlega się dzwonek telefonu.

Złe wieści.

Valentina nie ma co do tego wątpliwości.

Złe wieści się wyczuwa, zanim jeszcze nadejdą. Jak smród zgniłej ryby - uderza w nozdrza z wyprzedzeniem. I podobnie jak w przypadku ryby, nie sposób ich zignorować.

- Przepraszam - mówi miękim głosem.

Tom tylko wzdycha ze zrozumieniem.

Po drugiej stronie linii Federico Assante od razu przechodzi do rzeczy:

- Dzwonili do mnie ze szpitala. Wygląda na to, że nasza podejrzana w końcu doszła do siebie. Na tyle, że podała personelowi swoje imię i nazwisko i jest gotowa zeznawać.

Valentina nie kryje zaskoczenia.

- Jak się nazywa?

Federico zerka w notatki.



- Suzanna coś tam. Czeka, zapisałem to sobie. Gdzie ja to...? O, Grecoraci. Suzanna Grecoraci. Zanim będziemy mogli z nią porozmawiać, mamy spotkać się z tą wredną lekarką Verdeti. Będzie na oddziale jeszcze przez godzinę.

Valentina spogląda na jedyną rzecz, którą ma na sobie - zegarek. Nie ma jeszcze dziewiątej.

- Mogę tam być za dwadzieścia minut - mówi znużonym głosem. - Zdązysz?

Federico potwierdza. Umawiają się w recepcji szpitala.

Valentina przez chwilę rozważa, czy nie powiedzieć mu o swojej rozmowie z majorem Caesario, ale uznaje, że lepiej będzie załatwić to osobiście.

Kiedy odkłada słuchawkę, Tom siedzi na łóżku. Ma zmierzwiłone włosy, a w jego oczach widnieje oczekiwanie.

- Strasznie cię przepraszam - mówi Valentina. - Muszę jechać. Obiecuję, że wrócę najszybciej, jak się da.

Chce go pocałować, na przeprosiny. Chce, żeby wiedział, że nie stawia go na drugim miejscu za pracę. Ale nie ma odwagi.

Jeden pocałunek nie wystarczy.

Jeden pocałunek spowoduje, że spóźni się przynajmniej godzinę.

Ubiera się w pośpiechu - eleganckie czarne dżinsy od Armaniego i ciepły szary golf.

- Z tą lekarką, która rządzi oddziałem psychiatrycznym, trudno się dogadać - tłumaczy Tomowi, naciągając sweter przez głowę. - Wolę jej nie denerwować, bo jeszcze zmieni zdanie. Naprawdę mi przykro.

- Przestań już przepraszać. Nic się nie stało. - Tom obserwuje ubierającą się Valentine niemal z równą fascynacją, co Valentine zdejmującą ubranie. - Myślisz, że któryś z twoich kolegów zainstalował tu kamerę?

- Co?

Tom uważnie przygląda się sufitowi, jakby szukał ukrytego obiektywu.

- Bo za każdym razem, kiedy do czegoś między nami dochodzi, natychmiast dzwonią z żandarmerii.

- Daj spokój - śmieje się Valentina. - Nikt nas nie podgląda, zaręczam ci.

- Jeśli chcesz, mogę wsiąść w metro i spotkamy się gdzieś w mieście, jak już będziesz wiedziała, o której skończysz i gdzie będziesz.

- Niezły pomysł. Zadzwoń do ciebie. Jedzenie jest w lodówce, ale w sumie niepotrzebnie ci o tym mówię, bo sam je wczoraj kupowałeś.

- Dzięki. Masz tu jakiś komputer?

- Mam laptop, jest w torbie w salonie.

- Hasło?

- Electra.

- Elektor?

Valentina chichocze.

- Nie, Electra. Jak motocykl Electra Glide, który sobie kiedyś sprawię.

Teraz, gdy jest już ubrana, postanawia zaryzykować pocałunek.

Delikatny.

Cóż, w każdym razie zaczyna się delikatnie.

To miał być tylko buziak, ale natychmiast przeradza się w coś znacznie bardziej namiętnego.

Valentina z trudem odrywa się od Toma i wzdycha z rozczarowaniem.

Jadąc z domu do Policlinico, nie potrafi przestać myśleć o nim i o tym pocałunku. Tom ma na nią jakiś dziwny, niemal hipnotyczny wpływ.

Wspomnienie porannych namiętności opuszcza ją dopiero wtedy, gdy wchodzi do pachnącego środkami dezynfekującymi szpitala i kieruje się na oddział psychiatryczny.

Federico cierpliwie czeka w recepcji, przeglądając magazyn plotkarski.

- *Buongiorno* - wita się z nią przyjaźnie, odkładając czasopismo i wstając. - Verdetti już na nas czeka.

Kiedy oboje idą do gabinetu kierowniczkii oddziału, Valentina postanawia od razu załatwić swój problem:

- Powiedz mi, Federico, sam zadzwoniłeś do Caesario czy on do ciebie?

Assante prychna obojętnie.

- Major jest moim przełożonym. Zażądał, żebym go informował, więc tak zrobiłem.

Dyplomatyczna odpowiedź, ale Valentina nie zamierza odpuścić mu tak łatwo.

- Nie. To ja jestem twoją przełożoną. Bezpośrednią. I podlegasz bezpośrednio moim rozkazom.

Czeka na jego reakcję. Powinien być przynajmniej odrobinę zawstydzony, może nawet

przestraszony reprimendą od wyższego stopniem oficera. Ale nie jest. Powinien ją przeprosić, powiedzieć, że mu przykro, i obiecać, że to się więcej nie powtórzy. Tylko że najwyraźniej nie ma takiego zamiaru.

Kiedy dochodzą do drzwi gabinetu doktor Verdeti, Valentina podejmuje temat:

- Poruczniku, w żandarmerii stopnie i procedury nie są dla ozdoby. Dla własnego dobra proszę o tym nie zapominać. Jeżeli major Caesario będzie domagał się informacji, usłyszysz je ode mnie. Podlega pan wyłącznie moim rozkazom, chyba że dowództwo zdecyduje inaczej. Rozumiemy się?

Federico wzrusza ramionami i kładzie rękę na klamce.

Valentina chwyta go za nadgarstek.

- Zadałam panu pytanie, poruczniku. Czy zrozumiał pan rozkaz, który przed chwilą panu wydałam?

Assante spogląda na dłoń zaciśniętą na jego rękę i w końcu dociera do niego, że Valentina nie żartuje. Na jego twarzy pojawia się lekki rumieniec, a grdyka lekko podskakuje.

- Zrozumiałem.

- *Va bene.* - Valentina puszcza jego nadgarstek i pozwala mu otworzyć drzwi.

# 19.

*Jesteśmy pod ziemią.*

*W łonie świata.*

*W łonie Matki.*

*Gdy odczuwam strach, Matka jest przy mnie. Gdy wpadam w panikę, Matka przynosi mi ukojenie. Wypełnia moje płuca i uspokaja mnie. Pozwala mi spojrzeć na wszystko z innej perspektywy.*

*A gdy wymierza mi karę, wiem, że robi to dla mojego dobra.*

*Wiem, że ból jest niezbędny.*

*Niezbędny, abym zachowała tajemnicę.*

*Ale chciałabym, żeby nie bolało.*

*Gdy poszczę, głód szarpie moje wnętrze jak szczur posilający się na trupie krowy, ale ten ból jest niczym w porównaniu z upokorzeniem, które wypala mi duszę.*

*Matka mówi, że mnie uleczy. Odpędzi ode mnie lęk.*

*Bez względu na cenę.*

*Bez względu na ból i cierpienie, które musi mi zadać.*

*Mówi, że powinnam pamiętać, że Ona też odczuwa wówczas ból. Jeszcze większy niż ja.*

*Nigdy o tym nie zapomnę.*

*Mówi, że gdybym bardziej się starała, gdybym zdobyła Jej zaufanie, wtedy nie musiałaby mi tego robić. Nie musiałaby udzielać mi lekcji.*

*Mówię Jej, że się staram.*

*Staram się z całych sił, żeby się nauczyć.*

*Ale wtedy Ona śmieje się ze mnie.*

*Jej śmiech nie jest przyjemny.*

*To nie jest śmiech, jaki towarzyszy porozumieniu między matką a córką.*

*Patrzy mi w oczy i mówi, że ogarniają Ją wątpliwości.*

*Że nie jest pewna, czy jestem godna.*

*Godna wysiłku, jaki we mnie wkłada.*  
*Boję się.*  
*Przybliża swoją twarz do mojej i mówi, że wie, co robię.*  
*Wie, że wpuszczam „innych”.*  
*I znów się śmieje.*  
*Tym nieprzyjemnym śmiechem.*  
*Usiłuję odwrócić wzrok, ale Ona chwyta mnie za twarz i zmusza, bym na Nią spojrzała.*  
*Mówi, że wie o ich istnieniu, że ich odnajdzie i ukarze.*  
*Uwięzi ich i sprawi, że stopią się w jedność.*  
*Sprawi, że będą należeć do Niej.*  
*Mówię jej, że nie ma nikogo innego.*  
*Ale Ona wie.*  
*Uderza mnie. Znowu.*  
*Wpycha mi w usta zwój szmat, abym nie mogła krzyczeć. Aby „inni” nie mogli mnie usłyszeć.*  
*A potem udziela mi swojej lekcji.*  
*Kiedy kończy, zostawia mnie.*  
*Samą.*  
*W ciemnościach.*  
*Pod ziemią.*  
*W bezpiecznym ukryciu Jej łona.*

## 20.

Tom bierze prysznic i się goli. Zakłada na siebie czarne lewisy i koszulę w tym samym kolorze.

Przelotne spojrzenie w lustro odbiera mu mowę.

„Wygląda jak ksiądz. Brakuje tylko koloratki.

Przebiera się w zieloną koszulę z grubej egipskiej bawełny.

Dostatecznie ciepłą, żeby nie musieć wkładać swetra.

Włącza telefon komórkowy i wysyła SMS-a do jedyne go przyjaciela, jakiego ma w Rzymie, Alfreda Giordano. Jest niedziela, więc Alfie może być tylko w jednym miejscu. I nie jest to miejsce, w którym można odebrać telefon.

W kościele.

Odprawia mszę.

Czekając na odpowiedź Alfiego, Tom robi sobie gęste jak smoła espresso i włącza laptop Valentiny. W skrzynce odbiorczej piętrzą się stosy nieprzeczytanych e-maili, ale Tom szuka czegoś innego.

Wpisuje w Google „Kasandra przepowiednia zagłady” i z satysfakcją stwierdza, że jeszcze nie zapomniał wszystkiego, co wiedział o greckiej mitologii. Kasandra, nazywana także Aleksandrą, była córką króla Priama i królowej Hekabe, władców Troi. Bóg Apollo, zachwycony jej urodą, dał jej dar widzenia przyszłości.

Tom niejasno przypomina sobie, że Kasandra spędziła noc w świątyni Apollina, a gdy zasnęła, magiczne węże wylizały jej uszy tak dokładnie, że po przebudzeniu potrafiła usłyszeć przyszłość.

Niezła sztuczka.

Gdyby tak dało się zamówić takiego węża na eBayu...

Po kilku minutach przeglądania kolejnych stron udaje mu się odnaleźć drzewo genealogiczne Kasandry. Jej ojciec Priam był synem Laomedona i wnukiem Ilosa, panował w czasie wojny trojańskiej. Tom przekopuje się przez kolejne pokolenia przodków wieszczki, aż do

Trosa, Erichtoniosa i Dardanosa. Powoli zaczyna mu się nudzić, ale mówi sobie, że skoro już zaczął, to wypada skończyć.

Zaparza kolejne espresso i wtedy przypomina sobie, że Dardanos był synem Zeusa i Elektry.

Wtedy nie było motocykli.

Zadowolenie szybko znika, gdy wyczytuje, że żoną Dardanosa była Batea, córka króla imieniem Teukros.

Teukros.

Tom odsuwa się od komputera.

Jeszcze kilka lat temu to imię nic mu nie mówiło.

Aż do tamtej sprawy w Wenecji.

Tam poznał je aż za dobrze.

Kapłan imieniem Teukros stanowił klucz do tajemnicy sięgającej siódmego wieku przed narodzinami Chrystusa. Tajemnicy, która niemal zabiła jego i Valentinę.

Po chwili jednak stwierdza, że chodzi o dwóch różnych Teukrosów.

Bardzo różnych.

Jeden był Grekiem i władał Troją. Drugi pochodził z Etrurii i stanowił źródło mrocznej satanistycznej legendy.

Niemniej jest to dość dziwny zbieg okoliczności.

Chora psychicznie kobieta, uważająca się za Kasandrę, daleką potomkinię Teukrosa, pojawia się cała zakrwawiona dosłownie chwilę po tym, jak w miejscu, w którym bogowie srogo karali kłamstwo i fałsz, ktoś znajduje odciętą dłoń. Już to jest niepokojące.

Natomiast fakt, że wydarzyło się to dokładnie w dniu, w którym spotkał się ponownie z Valentiną, przyprawia go wręcz o dreszcze. Zupełnie jakby los - albo Bóg - wysłał go do Rzymu celowo.

Jakby był tu potrzebny.

Dotyka palcami wargi.

Znowu krwawi.

Za oknem słyszy bicie kościelnych dzwonów oznajmiających rozpoczęcie mszy. Sprawdza, czy Alfie mu odpisał.

Odpisał.

Tom odczytuje wiadomość i nie może uwierzyć własnym oczom.



# 21.

Louisa Verdetti podnosi wzrok znad papierów na biurku i patrzy na żandarmów znad okularów w czarnych oprawkach.

- Proszę usiąść.

Valentina i Federico przysuwają sobie krzesła.

- Pacjentka, którą do nas przywieźliście, jest dzisiaj stosunkowo spokojna i stabilna - przechodzi od razu do rzeczy lekarka. - W każdym razie na tyle, żebyście mogli państwo ją przesłuchać, choć zaznaczam, że nie zdążyliśmy jeszcze przeprowadzić wszystkich niezbędnych w naszej opinii badań.

Federico otwiera swój notatnik.

- Suzanna Grecoraci. Powiedziała, gdzie mieszka? Ile ma lat?

Verdetti się uśmiecha.

- Powiedziała. Mieszka w dzielnicy Corviale, ma dwadzieścia siedem lat i dwójkę dzieci - chłopca i dziewczynkę. Carina ma pięć lat, Carlo trzy.

- Biedne dzieciaki - mruczy porucznik, zapisując imiona w notesie i zastanawiając się, jak zareagują na wiadomość, że ich matka jest szurnięta bardziej niż Szalony Kapelusznik i spędzi długie lata w zamknięciu.

- Niech pan nie marnuje długopisu - przerywa lekarka. - Ta kobieta nie jest Suzanną Grecoraci. A jej dzieci nie istnieją.

- Słucham? - pyta ze zdumieniem Valentina.

- Sprawdziliśmy w naszej bazie danych jej kartotekę medyczną. Nikt o takim imieniu nie figuruje w rejestrze dla Rzymu. Podobnie jak jej rzekome dzieci.

W głowie Federica zdążył uformować się na tyle silny obraz dzieci pacjentki, że teraz nie potrafi ich tak po prostu stamtąd wyrzucić.

- Może rodzina dopiero niedawno przeprowadziła się do Rzymu? Sama pani wie, jak wygląda ewidencja ludności w tym mieście.

- Nie - mówi twardo lekarka. - Znaleźliśmy kilka kobiet o tym imieniu i nazwisku, ale w

żadnym przypadku nie zgadzał się wiek, stan cywilny i posiadane potomstwo.

Valentina rozkłada szeroko ręce w geście bezradności.

- Wciąż nie rozumiem. Dlaczego miałyby nas okłamywać? Aresztowaliśmy ją, trafi do więzienia.

- Wątpię. - Doktor Verdeti daje żandarmom chwilę na przetrwanie tej odpowiedzi. - Suzanna to kolejna osobowość, która od czasu do czasu przejmuje ciało gospodyni.

Valentina kręci głową.

- Czyli mamy Kasandrę i Suzannę. Dwie osobowości, a żadna z nich nie jest prawdziwa?

- Zgadza się. Tę prawdziwą osobę nazywamy gospodarzem. Władzę nad nim może przejmować wiele osobowości.

- To znaczy ile? - pyta Federico.

- To zależy - odpowiada Louisa, starając się jak najbardziej uprościć zagadnienie. - Zazwyczaj o liczbie osobowości decydują poziomy traumy, którą przeżył gospodarz. Im gorsze ma wspomnienia, tym więcej tworzy sobie osobowości.

Żandarmi wymieniają spojrzenia. Oboje dobrze wiedzą, że to, co przed chwilą powiedziała doktor Verdeti, skutecznie uniemożliwi postawienie podejranej przed sądem.

Głos lekarki przerywa ten niewesoły tok myśli.

- Jak mówiłam, możecie państwo zobaczyć się z nią, ale tylko i wyłącznie w mojej obecności.

- *Capiamo* - mówi Valentina, kiwając głową.

- *Va bene*. - Verdeti wstaje z krzesła i wyprowadza ich z gabinetu.

Po drodze Valentina zmienia zdanie o lekarce. Może i jest surowa, może zanadto lubi dyrygować, ale jej profesjonalizm jest imponujący. Poza tym musi mieć anielską cierpliwość, żeby codziennie stykać się z takimi szaleńcami, jak Suzanna czy jakkolwiek się rzeczywiście nazywa. A do tego jeszcze chodzi w czarnych sportowych butach od Gucciego, za które Valentina dałaby się pokroić.

Lekarka otwiera drzwi do pokoju.

Suzanna siedzi na krześle przy łóżku. Zupełnie nie wygląda na zaniepokojoną widokiem pary żandarmów.

Doktor Verdeti dokonuje prezentacji:

- Suzanno, ci funkcjonariusze chcieliby zadać ci kilka pytań. Nie masz nic przeciwko

temu?

- Oczywiście, że nie. - Dziewczyna prostuje się i uśmiecha.

Valentina i Federico podsuwają sobie plastikowe krzesła dla gości.

Federico ostrożnie zaczyna przesłuchanie:

- Powiedziała nam pani, że nazywa się Suzanna Grecoraci i mieszka pani na osiedlu Corviale. Jest pani mężatką i matką dwójki dzieci, zgadza się?

Twarz pacjentki się rozjaśnia.

- Tak. Mam dwójkę wspianałych dzieci. Bóg był dla mnie łaskawy, to moje aniołki.

- Nie wątpię. Gdzie są w tej chwili? - pyta Valentina.

- Z ojcem, Romano. Podróżuje z nimi po świecie. - Suzanna lekko smutnieje. - W tej chwili są w Australii.

- W Australii - powtarza Valentina, usiłując zrozumieć, dokąd zmierza ta rozmowa.

- Wiem, to bardzo daleko. - Suzanna śmieje się nerwowo. - Mieszkają tam rodzice Romana. Są bardzo starzy i słabego zdrowia, więc chciał, żeby dzieci spotkały się jeszcze z dziadkami. Wie pani, ostatni raz.

Valentina stara się nadać swojemu głosowi współczujący ton.

- Dlaczego nie pojechała pani z nimi?

- Och, to długa historia. - Suzanna robi zakłopotaną minę. - Boję się latać. Nigdy nawet nie wsiadłam do samolotu i nie sądzę, żebym kiedyś się odważyła.

Valentina kiwa głową ze zrozumieniem.

- Rozpoznaje mnie pani, Suzanno? Czy pamięta pani, gdzie i kiedy już się spotkałyśmy?

Suzanna spogląda na nią ze zdziwieniem.

- Nie, obawiam się, że nie. Widzę panią pierwszy raz. - Zerka na lekarkę. - Nikt mi państwa nie przedstawił, więc niestety nie wiem, kim państwo są.

Valentina stara się zachować neutralny ton głosu.

- Odwiedziłam panią w policyjnej celi na komisariacie przy Viale Romania. Zaatakowała mnie pani.

Suzanna patrzy na nią z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Och, nie! To niemożliwe. Ja nigdy nikogo nie potrafiłabym skrzywdzić.

- Jeśli to nie ty, Suzanno, to kto inny? - wtrąca doktor Verdeti.

- To znaczy kto z innych?

- Tak.

- Rozumiem. - Suzanna zastanawia się przez chwilę. - No cóż, jeśli to był ktoś z innych, to najprawdopodobniej Klaudia.

- A nie Kasandra? - pyta podstępnie Valentina. - Zdaje się, że Kasandra jest zamieszana w jakieś nieciekawe historie. Czy to mogła być ona?

Suzanna milczy.

Federico uznaje to za dobry moment, żeby przycisnąć podejrzaną.

- Chyba że w rzeczywistości nie istnieje żadna Kasandra, a pani po prostu nas okłamuje. - Pochyla się do przodu na krześle. - Proszę powiedzieć, okłamuje nas pani, Suzanno? Wymyśliła sobie pani to wszystko?

- Federico... - usiłuje powstrzymać go Valentina, ale porucznik Assante zwietrzył krew i nie ma zamiaru porzucić tropu.

- Nie ma pani męża ani dzieci. Wymyśla pani te bzdury o „innych”, ponieważ poważnie zraniła pani kogoś, a teraz próbuje pani wmówić wszystkim, że jest wariatką, żeby uniknąć konsekwencji. Prawda?

Suzanna tężeje.

- Najlepiej będzie od razu powiedzieć nam prawdę - ciągnie porucznik. - Zanim pogorszy pani swoją sytuację.

Valentina przygląda się pacjentce.

Dziewczyna nie wygląda już na zdenerwowaną.

Raczej na rozzłoszczoną, choć nie traci panowania nad sobą.

Przypomina trochę polityka albo dyrektorkę szkoły, której zadaje się niewygodne pytania.

- Myślę, że powinni państwo już iść - mówi doktor Verdetti, zauważając zmianę nastroju dziewczyny. - To chyba nie był dobry pomysł. Jeszcze za wcześnie, żeby zadawać jej pytania.

Valentina ją ignoruje. Nie spuszcza wzroku ze skurczonej ze złości twarzy pacjentki. Jeśli dziewczyna znowu zaatakuje, Valentina będzie przygotowana.

Pacjentka wstaje i zaczyna krążyć po pokoju, mamrocząc coś pod nosem. Po chwili odwraca się i rzuca żandarmom mordercze spojrzenie.

Na jej twarzy maluje się wściekłość.

Jej ciało prostuje się, a postawa wyraża pewność siebie i pełną godności dumę.

- *Juno inferna!* Macie czelność wątpić w moją prawdomówność, wy, pospolita hołoto?

Jak śmiecie, na Zeusa? - Rzuca pogardliwe spojrzenie na Federica. - Słodka Veritas powinna odjąć ci język za bezczelność. - Robi krok w kierunku Valentyny - Ty dziewczyno, jesteś tylko ulicznicą, która zbyt często miała w ustach męskie członki i nie potrafi już się zamknąć. A teraz precz! Zejdźcie mi z oczu, nim każę przywiązać was do koła rydwanu i wychłostać.

Valentina rzuca zdumione spojrzenie lekarce.

- To Kasandra? Ta Kasandra z zapisków w notatniku mojego kolegi?

Lekarka patrzy z niepokojem na pacjentkę.

- Być może. Czy możecie państwo poczekać na zewnątrz?

- Tak! Tak, jestem Kasandra! - Dziewczyna pewnym krokiem podchodzi do obu kobiet. -

A Kasandra jest zbyt dumna, by pozwolić, aby jakieś ładacznice szeptały o niej za jej plecami.

Lekarka otwiera drzwi i popędza żandarmów.

- Proszę, musicie stąd wyjść.

Federico zerka na Valentynę, która odpowiada skinieniem głowy.

Wychodzą z pomieszczenia. Zza zamkniętych drzwi Valentina słyszy jeszcze krzyk pacjentki:

- Wiem, czego chcesz. Och tak, wiem dokładnie, czego chcecie, ty i te wieprze z tego zapowietrzonego Senatu. Nigdy wam nie powiem. Prędzej zabiorę ze sobą tajemnicę do grobu. Chcesz księgi? Chcesz dostać ją w swoje ręce i wszystko zniszczyć. Nigdy na to nie pozwolę. Nigdy!

## 22.

*Nowa usiłuje ukryć swój strach, ale ja go widzę. Wszystkie widzimy.*

*Jest w jej oczach, gdy opuszczają ją w dół. Do łona ziemi.*

*Jest naga i różowa. Kuli się w sobie jak nienarodzone dziecko.*

*Jej miękka, dziewicza skóra wygląda jak jedwabna chusta na tle tysiącletnich skał. Siada na kopcu poplamionym krwią wielu ofiar.*

*Wkrótce będzie ich jeszcze więcej.*

*Ponad nią rozlega się bicie bębnów.*

*Zaczyna się cicho, jak pukanie ptasiego dzioba, potem stukot końskich kopyt, potem narasta i zwielokrotnia się, jak grzmot wzniesany przez pędzące stado bydła.*

*Rozpoczynają się taurobolia.*

*Nowa spogląda przez palce w ciemność ponad sobą i dostrzega pierwsze rozbłyski naszych świateł.*

*Współczuję jej.*

*Zazdroszczę jej.*

*Kocham ją i nienawidzę.*

*Płomyki świateł wyrastają wokół trójkątnego dołu.*

*Jej wzrok napotyka mój. Nie widzę w niej niczego wyjątkowego.*

*Ale starsi twierdzą, że została „wybrana”.*

*Wybrana przez Nią.*

*Ale nie widzę w tej dziewczynie nic, co powstrzymałoby mnie przed zajęciem jej miejsca.*

*Nic, co powstrzymałoby mnie przed zajęciem należnego mi miejsca.*

*Korybanci w tańcu przemieszczają się ku przodowi. Prócz tarcz, mieczy i hełmów są całkowicie nadzy.*

*Uderzenia metalu o metal wybijają złowrogi rytm.*

*Stal jest spragniona.*

*Pragnie ciąć.*

*Pragnie zabijać.*

*Muzyka wybucha nagle orgiastyczną kakofonią.*

*Galli intonują swoją pieśń.*

*Zbliżamy się i splatamy dłonie z naszymi siostrami z Babilonii, Syrii, Azji Mniejszej, Etrurii i Anatolii.*

*Do dziewięciu Korybantów dołączają trzej Daktylowie.*

*Jesteśmy jednością.*

*Muzyka, śpiew i bębny osiągają punkt kulminacyjny.*

*Bogini przybyła!*

*Nasza Matka jest z nami.*

*Unosi w górę dłonie, które osiem tysięcy lat temu rozgarniały ziemię w Çatal Hüyük, dłonie, które rozrzucały ziarno czasu, gdy rodziła otoczona przez lamparty.*

*Z naszych gardel dobywa się krzyk.*

*Tak głośny, że nasze dusze niemal ulatują z naszych piersi.*

*Poniżej, w ciemności, wybrana ubiera się w odświętną szatę, którą dla niej uszyliśmy.*

*Staje na środku dołu.*

*Mięśnie eunuchów napinają się na grubych linach. Krokwie trzeszczą.*

*Ponad nami byk, który przez sześć lat swobodnie biegał po pastwiskach, potrząsa swoim jarzmem.*

*A po chwili nieruchomieje.*

*Ostrza przecinają jego korpus, uwalniając strumienie krwi, które spływają po deskach przerzuconych ponad dołem.*

*Moja siostra kąpie się w życiowych sokach zwierzęcia.*

*Tańczy radośnie, oczyszczona krwią Niebiańskiego Byka.*

*Rodzi się na nowo. Na wieczność.*

*Chyba że ją powstrzymam.*

## 23.

Ojciec Giordano pracuje na drugą zmianę, zastępując znajomego.

Z drugiej strony, pracuje w miejscu, w którym księża z przyjemnością spędzają dowolną liczbę niepłatnych nadgodzin.

W Bazylice Świętego Piotra.

Papale Basilica Maggiore di San Pietro Vaticano, jak brzmi jej oficjalna nazwa.

Tom pędził przez całe miasto, żeby zdążyć na ostatnią mszę Alfiego tego dnia, ale nie żałuje.

Bazylika zapiera dech w piersiach.

Tom nie potrafi znaleźć innego określenia. Piękno i majestat olbrzymiej siedemnastowiecznej fasady z białego trawertynu, otoczonej potężnymi korynckimi kolumnami, przyprawia go o zawroty głowy.

Wchodzi do wnętrza.

Spektakularny łukowato sklepiony przedsionek, ozdobiony wspaniałymi witrażami, przykuwa jego spojrzenie, które jednak po chwili zatrzymuje się na środkowej kopule zaprojektowanej przez Michała Anioła, która wznosi się na wysokość stu trzydziestu sześciu metrów i do dnia dzisiejszego pozostaje najwyższą kopułą świątyni na świecie. Wzrok Toma z fascynacją przebiega po strzelistych kolumnach nawy głównej, narteksie, nawach bocznych i kasetonach, by wreszcie spocząć na jego ulubionym elemencie świątyni - środkowym ołtarzu, nad którym wznosi się *baldacchino*, zdumiewający trzydziestometrowy barokowy baldachim z brązu, zaprojektowany przez Berniniego.

Bazylika jest dla oczu uczcią, na której nie sposób powstrzymać się od grzechu obżarstwa.

Msza odprawiana jest przy większych i mniejszych ołtarzach w całej świątyni, toteż Tomowi dłuższą chwilę zajmuje znalezienie przyjaciela. W końcu odnajduje go w stosunkowo skromnej Kaplicy Najświętszego Sakramentu.

Choć „skromna” jest tu niewłaściwym określeniem.

Już samo połyskujące tabernakulum z brązu, zaprojektowane przez Berniniego, warte jest



więcej niż cały kościół, w którym Tom po raz ostatni odprawiał mszę.

Kłęką wraz z resztą wiernych. Czuje dumę, patrząc na swojego rudowłosego przyjaciela, który wypełnia swoje kapłańskie obowiązki z pasją i wdziękiem.

Dla Toma msza kończy się stanowczo za szybko.

Siada w jednej z ławek i chłonie odwieczny spokój świątyni, czekając, aż Alfie przebierze się z szat liturgicznych. Niewiele jest na świecie miejsc, w których panuje cisza tak głęboka, jak w kościele. Tom wciąż uważa wnętrze kościoła za najlepsze miejsce, żeby spokojnie pozbierać myśli.

A w tej chwili ma w głowie mętlik.

Czy rozsądnie było angażować się w związek z Valentiną?

Czego ona oczekuje po ich relacji?

Jaką mają przed sobą przyszłość?

I jak nastąpi koniec?

Za dużo myśli. Splątanych w kłęb, walczących o jego uwagę, jak klienci baru tuż przed zamknięciem.

Zbliżyli się do siebie po śmierci jej kuzyna Antonia, ale być może od samego początku była między nimi iskra. Jakiś genetyczny magnes popychający ludzi ku sobie i utrzymujący ich razem?

Tom sądzi, że w ich związku jest coś więcej.

Coś więcej niż tylko czysto fizyczne przyciąganie.

Podziwia jej siłę i ambicję, szanuje jej indywidualność i determinację w dążeniu do samodzielności. Uwielbia jej poczucie humoru i pragnienie czynienia dobra.

Logiczna konkluzja brzmi zatem: tak, angażowanie się w związek z Valentiną było rozsądne. Szanse na prawdziwe szczęście raczej nie mają zwyczaju ustawiać się w kolejce pod drzwiami i głośno domagać się wejścia. Zwłaszcza jeśli się jest byłym księdzem bez pracy, domu i oszczędności.

Podnosi wzrok znad ciemnego drewna ławek i dostrzega rumianą twarz Alfiego, jaśniejącą jak zimowe słońce przesączające się przez okna kopuły Michała Anioła. Msza się zakończyła.

- No proszę, największy awanturnik wśród byłych księży zaszczyca nasze progi. - Alfie otwiera ramiona.

Tom ściska go mocno i delikatnie klepie w policzek.

- Wyglądałeś tam wspaniale, stary. Jestem z ciebie dumny. Jakim cudem udało ci się wkłęcić w odprawianie mszy w Bazylice?

Alfie kładzie rękę na ramionach Toma i prowadzi go do drzwi.

- Długa historia. Taka, której najlepiej słucha się przy kawie i najlepszych rogalikach w całych Włoszech.

- Brzmi bosko.

- Powiedzmy, że taka była wola boża. Plus to, że ci, którzy mieli lepsze notowania, gremialnie zapadli na ostrą biegunkę po wątpliwej proweniencji *tortellini*.

## 24.

W szpitalnym bufecie jest gorąco. Czuje się przyprawiający o mdłości zapach rozgrzanego tłuszczu i wybielacza.

Nad kubkiem letniej kawy i czerstwymi rogalikami Valentina i Federico usiłują dojść do ładu z wydarzeniami dzisiejszego dnia.

Jak dotąd idzie im marnie.

Aresztowana kobieta jest ewidentnie ciężko chora psychicznie. I wciąż nie ma śladu po ofierze, co potwierdza szybki telefon na komendę główną.

Po słabym espresso porucznik Assante wychodzi zaopatrzony w wyraźne instrukcje od Valentyny: ma robić notatki, przysyłać je e-mailem do kapitan Morassi i nie rozmawiać o sprawie z nikim, o ile nie otrzyma od niej wyraźnego polecenia. Federico ma serdecznie dość smyczy, na której trzyma go Valentina, ale przy odrobinie szczęścia uda mu się jej pozbyć i zdążyć do domu na obiad z rodziną.

Valentina już ma zadzwonić do Toma, gdy nagle jakieś wewnętrzne przeczucie każe jej wrócić na oddział. Może przynajmniej dowie się czegoś od doktor Verdeti na temat tego wybuchu pacjentki. Pod warunkiem że lekarka jeszcze nie wyszła do domu.

Po chwili okazuje się, że jednak wyszła.

Jej gabinet jest pusty. Światła są zgaszone, rolety zaciągnięte, a drzwi zamknięte na klucz.

Wygląda na to, że większość personelu pielęgniarskiego też już zakończyła pracę, a ci nieliczni, którym akurat wypadł weekendowy dyżur, zniknęli gdzieś w korytarzach zajęci rutynowymi zadaniami.

Valentina postanawia skorzystać z okazji. Macha strażnikowi w korytarzu przed nosem swoim identyfikatorem i po chwili ponownie znajduje się twarzą w twarz z Suzanną.

- Cześć. Jak się czujesz? - pyta na powitanie, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Dziewczyna siedzi na łóżku pochylona nad drewnianym wózkiem, z którego serwuje się posiłki pacjentom.

Zerka na Valentinę, ale nie odpowiada na powitanie.

- Wyglądasz na zajętą. Każą ci odpracowywać koszty pobytu? - trajkocze Valentina,

podchodząc bliżej łóżka.

Odpowiada jej cichy głosik. Głosik zmartwionego dziecka:

- Mamusia mówi, że muszę odrobić pracę domową. Mówi, że jeśli nie odrobię pracy domowej, to nie będę mogła pójść z tatą, jak po mnie przyjdzie. Czy wiesz, która godzina?

Valentina zachowuje spokój.

- Mamy mnóstwo czasu, skarbie. Mnóstwo czasu. Jak się nazywasz?

Dziewczyna nie podnosi wzroku znad pokrytej rysunkami kartki.

- Suzanna.

Valentina oddycha z ulgą.

- Zgadza się, Suzanna Grecoraci. Już pamiętam.

- Wcale nie. To nie jest wcale moje nazwisko. Nazywam się Suzanna Fratelli i mam tylko osiem lat. Suzanna Grecoraci to ta starsza pani, ta, która się przyjaźni z innymi. - Spogląda na Valentinę i chichocze jak mała dziewczynka. - Musisz być strasznie niemądra, jak nie umiesz nas rozróżnić. - Patrzy na Valentinę z dezaprobatą. - Piłeś? Mojemu tacie wszystko się miesza, jak sobie popije.

Valentina przysuwa się bliżej.

- Nie, nic nie piłam. Czy inni ludzie też was mylą?

- Czasami. - Dziewczyna wraca do rysowania. - Inni mówią na mnie mała Suzie, żeby nie się nie pomyliło, jak zostawiam notatki i inne rzeczy.

- Inni? Kim są ci inni?

- No wiesz. Inni. Ci, którzy tu z nami mieszkają.

Valentina szybko traci grunt pod nogami i wie o tym.

- Ilu ich jest, Suzie? Ilu jest innych?

Suzie odrywa się od swojej kartki i odlicza na palcach.

- Więcej! - Podnosi obie dłonie z rozczapierzonymi palcami. - Dużo więcej niż tyle.

- Naprawdę? - Valentina zagląda za ramię dziewczyny. - Bardzo ładne. Co to jest?

Suzie odsuwa dłoń. Na kartce widnieje duży, kolorowy rysunek.

- Rzymianie. Lubisz Rzymian?

- Niektórych. - Valentina pochyla się nad kartką. Dziewczyna potrafi całkiem przywoicie rysować. Bez trudu rozpoznaje rzymskich legionistów, tłum, senatorów w togach i - mruga oczami, żeby upewnić się, że to nie złudzenie - postać kobiety z dłonią wsuniętą w otwór dużej

białej płyty.

La Bocca della Verità.

- To krew! - oznajmia Suzie, entuzjastycznie dziobiąc palcem w czerwoną plamę. - Kasandry.

Tło rysunku stanowią dziwaczne kształty: słońce, coś na kształt księżycy i kiepsko narysowanych gwiazd. Tak kiepsko, że przypominają raczej przekrzywione trójkąty niż gwiazdy.

- Odcinają Kasandrze rękę - wyjaśnia Suzie takim tonem, jakby opowiadała swoją ulubioną bajkę. - To dlatego, że nie chciała im powiedzieć o tajemnicy.

- Uuu, wygląda okropnie. - Valentina bezwiednie pociera swój nadgarstek. - Co to za tajemnica?

Suzie marszczy brwi.

- Nie wiem. To tajemnica Kasandry i ona nigdy o niej nie powie. Choćby nie wiem co.

Z korytarza dobiega skrzypienie kółek wózka wtaczanego do pokoju naprzeciwko i kobiecy głos.

Suzie robi wystraszoną minę.

- Powinnaś już sobie pójść. - Zerka nerwowo na drzwi. - Jeśli nie pójdziesz, mamusia cię znajdzie. I wtedy będziesz miała kłopoty.

Valentina uśmiecha się do niej uspokajająco.

- Jestem policjantką, Suzie. Dopóki tu jestem, nie spotka cię nic złego, obiecuję.

Głos dziewczyny przechodzi w przerażony krzyk:

- Proszę, idź sobie! Nie chcę cię tutaj. Jeśli nie pójdziesz, mamusia mnie ukarze i nie pozwoli przyjść tacie!

Ponownie rozlega się skrzypienie kół wózka. Otwierają się drzwi do pokoju obok. Valentina desperacko chce zapytać dziewczynę o Kasandrę - o tajemnicę - ale zdaje sobie sprawę, że nie ma to większego sensu.

Dziewczyna umiera ze strachu.

Valentina postanawia dać sobie spokój. Musi pomyśleć. Przeanalizować całą tę wariacką historię na spokojnie.

Uśmiecha się do Suzie i podchodzi do drzwi.

- Nie bój się, nikt cię nie skrzywdzi. Wrócę jutro, żeby się upewnić, czy wszystko u ciebie w porządku.

Suzie nie odpowiada.

Chowa się pod kołdrą zwinięta w kłębek.

## 25.

*W łonie rozlegają się szepty.*

*Przyciszone głosy.*

*Poufny ton.*

*Ale ja ich słyszę.*

*Leżę zwinięta w kłębek, udając, że śpię. Słyszę ich sekrety. Słyszę ich śmiech.*

*Matka i wybranka są razem.*

*Poza zasięgiem wzroku, ukryte w ciemności, ale ich słowa dolatują do mnie i przysiadają na mych uszach jak ptaki.*

*Mogę łatwo je sobie wyobrazić.*

*Choć sprawia mi to ból.*

*Siedzą obok siebie. Matka czule obejmuje ją ramieniem. Głaszcze włosy mojej siostry i mówi jej, że jest piękna.*

*Najpiękniejsza z nas wszystkich.*

*Mówi jej, że jest mądra.*

*Najmądrzejsza z nas.*

*Mówi jej, że jest do Niej podobna.*

*Że jest Jej ulubienicą.*

*Inni domagają się, żebym stąd wybiegła.*

*Uciekła.*

*Mówią, że potrafią mnie uwolnić.*

*Mówią, że robili to już wcześniej - we Frygii, na Krecie, w Anatolu, Etrurii, Helladzie i w Rzymie.*

*I mogą zrobić to ponownie.*

*Ale ja wiem, że Matka ich powstrzyma. Powstrzyma ich i mnie.*

*A w głębi duszy wiem, że wcale nie chcę uciekać.*

*Chcę być tutaj. Chcę być jedną z nich.*

*Chcę być tą, która siedzi w objęciach Matki. Chcę być uwielbiana. Chcę być Jej powiernicą.*

*Wytyżam słuch.*

*Czekam cierpliwie, aż kolejne słowa uwiją gniazdo w moich uszach.*

*Słyszę, jak nadlatują. Jak ptaki dźwigające w dziobach tajemnice sprzed wieków.*

*Składają je delikatnie przede mną.*

*Opowieści o królach Rzymu, o Siedmiu Wzgórzach Wiecznego Miasta, o przepowiedniach.*

*I jeszcze o czymś.*

*O Dziesiątej Księdze.*

*O jej tajemnicach.*

*Wkrótce głosy cichną w ciemnościach łona, pozostawiając mnie samą ze strzępami i okruchami.*

*Pozostaje tylko cisza, ciemność i coś jeszcze.*

*Bezgłośny krzyk w mojej głowie.*



## 26.

Poniedziałek rano nie należy do ulubionych momentów w tygodniu Louisy Verdetti. Zwłaszcza jeśli była w pracy przez cały weekend.

Co gorsza, pierwszą część najmniej lubianego dnia tygodnia musi spędzić z człowiekiem, który widnieje na samym szczycie listy najbardziej nielubianych przez nią ludzi.

Sylvio Valducci, dyrektor szpitala, ma około pięćdziesięciu pięciu lat, siwe włosy i należy do tego gatunku szefów, którzy w jednej chwili potrafią pozostawić podwładnym pełną swobodę działania, by w następnej stanąć im nad głową i kontrolować najdrobniejsze szczegóły. Ten typ przełożonego zawsze znika z pola widzenia, kiedy trzeba uporać się z sytuacją kryzysową, za to godzinami wyklóca się o koszt spinaczy, gdy przychodzi do ustalania rocznego budżetu. Louise łączy z szefem tylko jedno - serdecznie się nie znoszą.

Valducci nie zadaje sobie trudu, żeby zapukać czy choćby się przywitać, gdy bezceremonialnie wkracza do jej gabinetu.

- Podobno masz tu jakąś *cause célèbre*. - Z satysfakcją ciska na jej biurko brązową teczkę, która efektownie sunie po blacie. - Z przyjemnością dowiem się czegoś więcej. Od ciebie, a nie od tej bandy troglodytów przesiadujących w bufecie.

Louisa zdejmuje okulary. Powoli obraca się na krześle, obiecując sobie, że tym razem nie straci panowania nad sobą.

- Nie wiem, czy można to nazwać *cause célèbre*, ale przypadek jest niewątpliwie ciekawy. - Otwiera rzuconą przez Valducciego teczkę i zauważa kserokopie swoich notatek. - Tak jak tu napisałam: pacjentka jest Włoszką o dotychczas nieustalonej tożsamości, wiek dwadzieścia-trzydzieści lat, dobrze odżywiona.

- Tyle już wiem. - Dyrektor zasłania usta, udając, że ziewa, i rozsiada się na krześle po drugiej stronie biurka.

- Zatem wiesz również, że pacjentka wykazuje objawy DID, to znaczy zaburzenia dysocjacyjnego...

- Wiem, co oznacza ten skrót - warczy Valducci. - A jeszcze lepiej wiem, czego nie

oznacza. - Dyrektor szczyrzy zęby, co w jego oczach uchodzi za tajemniczy uśmiech. - Lepsi klinicyści od ciebie połamali sobie zęby na tych trzech literach. - Melodramatycznie kładzie dłoń na czole. - Doprawdy czy to nie zadziwiające, że przestępstwa tak często popełniają właśnie ludzie chorzy na DID? Przestępstwa, za które potem można wygodnie zrzucić winę na tę czy inną osobowość. A jeszcze dziwniejsze jest to, że żadna z tych podobno wielu osobowości nigdy nie pofatyguje się na policję, żeby obciążyć zeznaniami tę, która popełniła przestępstwo.

Louisa próbuje zignorować jego prowokacyjny ton.

- Pacjentka ma klasyczne objawy. Pisze i rysuje jako różne osoby. Mówi różnymi głosami, jakby była jednocześnie kilkoma osobami w różnym wieku. Wykazuje bardzo gwałtowne wahania nastroju - od apatii po agresję.

Valducci lekceważąco macha ręką.

- Udaje! To wszystko stek bzdur i ty doskonale o tym wiesz. Zbadałaś ją na pograniczne zaburzenie osobowości?

- Oczywiście i nie zamierzam na tym poprzestać. Nie musisz mi mówić, jak mam wykonywać swoją pracę. Pobrałam od niej więcej próbek moczu i krwi niż kontrola antydopingowa na igrzyskach olimpijskich. Uprzedzając pytanie - nie, to nie jest psychoza wywołana amfetaminą, jeśli to właśnie miałeś mi zasugerować.

Dyrektor jest rozbawiony jej złością i tym, jak łatwo udało mu się wyprowadzić ją z równowagi.

- W sugestiach nie ma nic złego, Louiso. Wobec zatrzaśniętych wrót umysłu czasami mamy do dyspozycji tylko sugestie i domysły.

Louisa ma wielką ochotę wrzasnąć mu w twarz, żeby przestał wygadywać dęte frazesy.

Valducci wstaje i dyrektorskim gestem zaplata ręce na piersi.

- A skoro już jesteśmy przy sugestiach, to powinnaś zrobić badania funkcji endokrynologicznych i sprawdzić, czy nie mamy tu do czynienia z hiperadrenalizmem, niedokrwistością złośliwą albo zaburzeniami tarczycy. - Dyrektor bierze złowrogie milczenie Louisy za kapitulację z jej strony. - Biorąc pod uwagę omamy, powinnaś też rozważyć możliwość schizofrenii. Czasami trudno ją zdiagnozować...

Valducci nie kończy, bowiem Louisa w tym momencie zrywa się z fotela.

- Schizofrenii?! Ona jest taką samą schizofreniczką jak ty czy ja. Z całym szacunkiem, czy mam ci przypomnieć, że mam dyplom z neuropsychiatrii? Przestań traktować mnie jak

kompletną dyletantkę!

Temperatura wrzenia. Valducci uwielbia doprowadzać ludzi do tego stanu.

- Nie w tym kraju. - Kiwa na nią palcem. - Skończyłaś studia na amerykańskiej uczelni, a my tu trzymamy się klasyfikacji Diagnostic and Statistical Manual of Mental Disorders tak niewolniczo, jak twoi amerykańscy wykładowcy.

Louisa kręci głową. Szef czy nie szef, jeszcze jedno słowo i Valducci zarobi solidne uderzenie w twarz. Zdobycie dyplomu kosztowało ją lata ciężkiej harówki, a dziesięć lat spędzonych na Johns Hopkins University powinno coś znaczyć nawet w Rzymie.

Dyrektor zabiera teczkę z biurka.

- Chcę zobaczyć wyniki wszystkich testów krwi, moczu i toksykologii, zanim w ogóle ponownie wspomnisz o DID. Czy wyrażam się jasno?

Gdyby spojrzenia mogły zabijać, Valducci byłby w tej chwili plamą na ścianie jej gabinetu.

- Całkowicie.

- Łóżka w tym szpitalu kosztują. Jeśli się okaże, że ta kobieta nie wymaga hospitalizacji, to jeszcze tego samego dnia ma stąd zniknąć. Niech policja się martwi, co z nią zrobić.

Louisa gotuje się z wściekłości, ale nie ma okazji mu odpowiedzieć. Dyrektor wychodzi, trzaskając drzwiami.

## 27.

Dzień Valentyny Morassi zaczyna się niewiele lepiej.

Zamierzała wziąć urlop na ten tydzień, ale sprawa na Cosmedinie skutecznie rozwiąła jej nadzieje na spędzenie dłuższego czasu z Tomem.

Valentina zmusza się, żeby wypełznąć z łóżka, w którym były ksiądz odsypia skutki kolejnej nocy seksualnych ekscesów i butelki doskonałego barolo, którą wypili po powrocie do domu z kolacji w pobliskiej knajpce.

W drodze do pracy przeżywa emocjonalną huśtawkę. Nadzieje i wątpliwości kłębią się w jej głowie jak stado oszalałych wron.

Kiedy wchodzi do budynku komendy, Federico siedzi już za swoim biurkiem. Wygląda nie najlepiej. Problemy z żoną - wyjaśnia. Rozwiązane za pomocą połowy butelki brandy i nocy spędzonej na kanapie. Valentina nie ma ochoty zagłębiać się w szczegóły.

Miłość powinna kwitnąć, a nie więdnąć i usychać.

Po kilku łykach smolistego espresso i papierosie wypalonym potajemnie w toalecie Federico wreszcie powraca do świata żywych.

- Idę do laboratorium. Zobaczę, czy wyszło coś z badań krwi na szacie tej wariatki. Chcesz się przyłączyć?

Valentina nie daje się prosić.

Już po chwili Federico zaczyna żałować tej propozycji. Przez całą drogę do laboratorium Raggruppamento Carabinieri per la Investigazioni Scientifiche kapitan Morassi zadrecza go pytaniami o postępy śledztwa.

- Zejdź ze mnie - mówi znużonym tonem, gdy przechodzą przez recepcję i wspinają się na schody. - To musi potrwać. Musisz się nauczyć, że w Rzymie wszystko dzieje się w swoim tempie.

- Ślimaczym tempie - odpowiada Valentina. - Chcę jak najszybciej zamknąć tę sprawę. Mam wrażenie, że im dłużej będziemy nad nią pracować, tym więcej będziemy mieli kłopotów.

Federico nie ma ani ochoty, ani siły z nią dyskutować.

Idą korytarzem, którego ściany mają kolor wysuszonych liści tytoniu. W końcu docierają do drzwi niedużego gabinetu, zajmowanego przez otyłego mężczyznę w średnim wieku i białym laboratoryjnym fartuchu, który siedzi na stanowczo za małym obrotowym fotelu. Valentina zauważa telefon wciśnięty między ucho i lewy policzek analityka, a także liczne ślady okruchów po rogaliku na czarnej koszulce, która wystaje spod fartucha.

Federico dokonuje prezentacji machnięciem ręki.

- *Professore* Enrico Ferrari, to moja przełożona, *capitano* Valentina Morassi.

- *Buongiorno*. Bardzo miło panią poznać, *capitano*. - Analityk zerka na Assante. - Muszę przyznać, że jestem nieco zaskoczony. Federico zwykle o tej porze jest raczej niemrawy.

Valentina ścisną dłoń profesora i powstrzymuje się od cisnącego się na usta komentarza o jego posturze i bolidach Formuły 1.

- Jak rozumiem, ubranie i broń znalezione na miejscu przestępstwa na Cosmedinie są u pana?

- Owszem. - Ferrari z trudem dźwiga się z fotela i strzepuje okruchy. - Miecz znajduje się w tej zamkniętej szafce. Zrobimy mu dzisiaj jeszcze trochę zdjęć. Zdziwiająca rzecz.

Otwiera górną szufladę szafki i wyjmuje stamtąd okazały, metalowy przedmiot, zawinięty w brązowy papier.

- Zdjęliśmy już odciski palców. Miało go w rękach co najmniej kilka osób, ale jak na razie nie znaleźliśmy w bazie żadnych pasujących. - Kładzie miecz na biurku i odsuwa na bok papiery, zszywacz i laptop. - Jest bardzo stary.

- Bravo! - rzuca kąpiąco Federico. - Trzeba być wybitnym specjalistą od kryminologii, żeby stwierdzić, że to żelastwo jest „bardzo stare”.

- No dobrze. Jest bardzo, bardzo stary. - Ferrari uśmiecha się do przyjaciela. - Wiem, że potrzebujecie twardych faktów, ale dopóki go nie prześwietlimy i nie przeprowadzimy datowania węglem, nie zamierzam nawet próbować odgadnąć jego wieku. Mogę wam jednak powiedzieć, że z całą pewnością nie jest to replika. To broń z czasów rzymskich wykuta kilkanaście wieków temu.

Valentina bez powodzenia próbuje wyobrazić sobie miecz w ręku Suzanny. Obraz delikatnej Włoszki wymachującej ciężkim rzymskim mieczem w kościele w dwudziestym pierwszym wieku wydaje się jej zupełnie absurdalny. Prawie tak absurdalny, jak rozważanie, w jaki sposób broń mogła do niej trafić. Rodzinna pamiątka? Może ukradła go mężowi albo

chłopakowi?

- Naprawdę dałoby się odciąć nim komuś dłoń?

- Tak sędzę. - Ferrari podnosi ostrze na wysokość oczu Valentiny. - Nie sprawdzałem tego osobiście, ale stal prawdopodobnie została zahartowana. Dzięki temu klingę można lepiej naostrzyć, jest twardsza i bardziej wytrzymała, ale paradoksalnie staje się też bardziej łamliwa. W starciu z cięższą bronią najprawdopodobniej pękłaby na pół, ale w ciało weszłaby jak w masło. Do przecięcia kości wystarczyłoby kilka cięć.

Choć Suzanna jest niewątpliwie chora psychicznie, Valentina jakoś nie potrafi wyobrazić sobie jej z tym mieczem, odcinającej rękę innej kobiecie.

Być może Tom ma rację.

Może ta sprawa ma drugie dno. Albo i trzecie.

- Odzież jest w magazynie dowodowym na końcu korytarza - ciągnie Ferrari obojętnym tonem. - Poczekajcie, poproszę, żeby ją wyjęli. - Otwiera drzwi na korytarz i, wyrzucając z siebie słowa jak karabin, wydaje polecenie sekretarce.

- Rzym jest pełen pamiątek po starożytności - komentuje Federico, zwracając się do Valentiny. - Ale tak dobrze zachowane przedmioty to wielka rzadkość. Prawdopodobnie został skądś skradziony, z muzeum albo prywatnych zbiorów. Nie powinno być problemów z namierzeniem.

Ferrari powraca do biurka, zawija miecz z powrotem w papier i ostrożnie umieszcza go w szufladzie, którą zamyka na klucz.

- Pozwoli pani?

- Proszę - odpowiada Valentina.

Profesor nie odrywa od niej wzroku.

- Bardzo przepraszam. Proszę wybaczyć, że tak się na panią gapię. Pomyślałem sobie tylko, że jest pani bardzo młoda - i ładna - jak na kapitaną.

Federico parska nerwowym śmiechem.

Valentina zaś obrzuca profesora spojrzeniem pełnym starannie wyćwiczonej obojętności.

- Rzadko się je spotyka - kobiety w stopniu kapitan - kontynuuje dzielnie Ferrari. - Prawdę mówiąc, jedyna kapitan, jaką w życiu poznałem oprócz pani, była od pani dwukrotnie starsza i, tak między nami, podejrzewam, że była jednak facetem. - Śmieje się nerwowo i zwraca do Federica: - Jak sądzisz, Giovanna Ponti jest mężczyzną czy kobietą?

- To bez znaczenia - przerywa chłodno Valentina. - Kapitan Ponti jest przede wszystkim wyższym oficerem *carabinieri* i powinien jej pan okazywać szacunek, na jaki zasługuje.

- Istotnie. - Ferrari marszczy brwi z zakłopotaniem i wyprzedza oboje żandarmów. - Nie miałem nic złego na myśli, *capitano*. Proszę spytać Federica, on pani powie, że kompletnie nie potrafię rozmawiać z kobietami. Przepraszam, jeśli panią uraziłem.

Resztę korytarza pokonują w milczeniu. Wchodzą do chłodnego magazynu wypełnionego lodówkami, półkami, regałami i szafami.

- Wciąż sporządzamy profile DNA - wyjaśnia profesor zadowolony z okazji do zmiany tematu i powrotu na zawodowy grunt.

- Mogę jednak powiedzieć wam coś ciekawego na temat próbek krwi pobranych z odciętej dłoni, miecza i z ubrania, które miała na sobie aresztowana.

Valentina traci cierpliwość:

- Mianowicie?

- Nie pasują do siebie.

Profesor obserwuje twarze żandarmów, do których stopniowo dociera znaczenie tej informacji.

- Żadne? - pyta w końcu Federico.

- Żadne - potwierdza Ferrari. - Krew z dłoni ofiary należy do innej osoby niż krew pobrana z miecza. Krew z ubrania kobiety, którą aresztowaliście, też do nich nie pasuje.

Valentinie całe to śledztwo zaczyna przypominać rozwiązywanie sudoku.

Do magazynu wchodzi młoda laborantka, niosąc biały płaszcz z kapturem w plastikowym pokrowcu.

Ferrari odbiera od niej szatę i obraca ją do żandarmów tak, żeby mogli zobaczyć plamy krwi.

- Jeszcze raz, dla jasności: krew z odzieży należy do innej osoby niż krew z odciętej dłoni, ale nie do waszej podejrzanej. - Przerywa na chwilę, po czym kontynuuje: - Krew na szacie ma grupę AB. Krew pobrana z miecza ma czynnik Rh plus, natomiast krew z dłoni ma Rh minus. Czynnik Rh minus występuje tylko u około piętnastu procent populacji ludzi na świecie.

Valentina oddycha głęboko, uświadamiając sobie, że wstrzymywała oddech.

- Chociaż tyle. Mamy ofiarę z nietypową grupą krwi. Jeśli przetaczała sobie krew, powinno nam się udać ją namierzyć.

- Więc miejmy nadzieję, że to zrobiła - mówi ponuro Federico.

Valentina podnosi pokrowiec.

- Jeżeli ta krew nie należy do ofiary ani do aresztowanej... to do kogo?

Ferrari i Federico nie odpowiadają.

Nie muszą.

Wszyscy już wiedzą, że pojawi się kolejna ofiara.

Co najmniej jedna.



## 28.

*Matka opowiada nam swoją historię.*

*Tę o starym Królu, który mógł wejść w posiadanie wszystkich dziewięciu ksiąg.*

*Gdyby tylko nie był takim głupcem.*

*Gdyby zorientował się, że Matka oferowała mu najwspanialszy dar na ziemi.*

*Dziewięć ksiąg, które zapewniłyby Rzymowi bezpieczeństwo i dobrobyt po kres czasów.*

*Dziewięć ksiąg, które obroniłyby jego tron, jego lud i jego samego.*

*Ale stary głupiec roześmiał się Jej w twarz.*

*Trzymał się za swój opasy królewski brzuch i zataczał jak pijak na Awentynie.*

*Matka mówi, że nigdy wcześniej tak Jej nie upokorzono.*

*Poprosiła tylko o niewielką część skarbów, które pomogła mu zgromadzić.*

*Drobny udział w bogactwach, którymi cieszył się dzięki Jej przepowiedniom.*

*Ale on odpędził Ją jak kuchenną służkę.*

*Wraz z siostrami czujemy Jej ból. Nawet teraz płonie w Jej duszy, gdy opowiada nam, jak sprzeciwiła się królowi. Jak patrząc mu prosto w oczy, spaliła pierwsze trzy tomy swojego bezcennego dzieła.*

*Król nie przejął się tym w najmniejszym stopniu.*

*Nawet uśmiechnął się, gdy czerwone języki płomieni chciwie pożerały święte karty Jej ksiąg.*

*Nieszczęsna Matka.*

*Mówi, że szaleństwo przesłoniło królowi rozum. Śmiał się bowiem jak opętany i grzał dłonie w ogniu paleniska, w którym księgi zmieniały się w popiół.*

*Matka odeszła.*

*Podczas Jej nieobecności nad rzymskie niebo nadciągnęły chmury zarazy. W mrocznych trzewiach ziemi bogini Prozerpina skierowała wzrok na Wieczne Miasto, a wraz z nią jej piekielne sługi.*

*Augurowie króla dostrzegli czarne chmury klęski i wezwali Matkę, aby powróciła.*

*Ale wciąż nie traktowano Jej z należyтым szacunkiem.*

*Pytamy, dlaczego godziła się na te upokorzenia. Matka odpowiada, że każdy popełnia błędy.*

*Nawet królowie.*

*I każdy zasługuje na drugą szansę.*

*Nawet głupcy.*

*I tak król głupiec dostał swoją szansę, by otrzymać pozostałych sześć ksiąg za tę samą cenę, której Matka zażądała najpierw za dziewięć.*

*Bogini Minerva nie obdarzyła go jednak mądrością.*

*Powiedział, że cena jest za wysoka. Za wysoka jak na coś tak bezwartościowego.*

*Matka odparła, że jego głupota go oślepiła.*

*Postanowiła ukazać mu światło.*

*Spaliła kolejne trzy księgi.*

*To podziałało.*

*Gdy król patrzył bowiem w narastające płomienie, do jego uszu dotarł szept bogów. Zupełnie jakby szybko nogi Merkury przybył do niego z posłaniem od Jowisza i Junony.*

*- Stój! - zakrzyknął król.*

*Matka uśmiecha się, a my chciwie chłoniemy każde słowo z Jej opowieści.*

*Mówi nam, że król błagał ją, aby dała mu pozostałe trzy księgi.*

*Zwycięstwo! Wznosimy radosne okrzyki.*

*Matka nakazuje nam się uciszyć.*

*Wyjaśnia nam, że choć król ofiarował Jej wszystko, czego tylko mogła zapragnąć - zaszczyty, władzę, ziemie i góry srebra - wypełniał Ją wielki smutek.*

*Smutek i zwątpienie, czy króli jego następcy będą potrafili właściwie wykorzystać i chronić wiedzę, którą Ona im przekaże.*

*Pochylamy głowy ponieważ wiemy, że Matka posiada dar widzenia przyszłości, a Jej obawy się sprawdziły.*

*Ostatnie trzy księgi czekać miał ten sam los, co poprzednich sześć.*

*Matka uśmiecha się do nas.*

*- Nie troskajcie się jednak, moje dzieci - mówi. - To wiośnie te wątpliwości i ci głupcy spowodowali, że jesteście mi tak drogie i tak cenna jest wasza niewinność. To dlatego powstała*

*Dziesiąta Księga. Nasi wrogowie czają się w cieniu, dlatego nigdy nikomu nie wolno wyjawić wam, gdzie znajduje się Księga ani co zawiera. Nikomu. Nigdy.*

## 29.

Major Armando Caesario słucha uważnie, rozparty w skórzanym fotelu z wysokim oparciem za biurkiem z orzechowego drewna, opierając podbródek na splecionych dłoniach.

Jego najnowsza *capitano* opowiada bardzo ciekawą historyjkę.

Caesario już nie może czekać się, aż skończy i wyjdzie, żeby mógł zapytać porucznika Assante, czy kapitan Morassi przypadkiem nie zwariowała.

Awansowanie kobiet na kapitanów nie jest dobrym pomysłem.

Nigdy nie było i nigdy nie będzie. Dowództwo w swej nieprzeniknionej postępowej mądrości najwyraźniej uważa, że awansowanie kobiet jest rozsądne.

Nie jest.

To błąd i pewnego dnia nawet dowództwo zda sobie z tego sprawę.

Ale zanim to nastąpi, zasłużeni oficerowie, tacy jak Caesario, będą musieli znosić indywidua w rodzaju Valentyny Morassi i jej mętne opowieści o jakichś kościołach, odciętych dłoniach, płaszczach z kapturem i starożytnych mieczach.

Stek bzdur.

Caesario ma pretensje do siebie.

To on przydzielił jej sprawę na Cosmedinie, sugerując się reputacją, którą zdobyła w Wenecji, gdzie rozwiązała jakąś grubszą historię z satanizmem w tle. Major uznał, że zabawnie będzie posłać ją znów do kościoła.

A teraz tego żałuje.

- Nie - odpowiada głośno. - Żadnych dodatkowych zasobów. Żadnego dodatkowego wsparcia. Żadnego dodatkowego czegokolwiek.

Nawet Assante wygląda na zszokowanego.

- Odmawiam, ponieważ jak dotąd nie znaleźliście nawet jednej ofiary, nie wspominając o dwóch. - Caesario drapie się po uchu. - To wszystko może się okazać jakimś chorym kawałem. Może tej wariatce ktoś po prostu podrzucił dłoń wykradzioną z kostnicy, ale nie wziął pod uwagę traumy, jaką to może w niej wywołać.

- Krew na szacie tej, jak był pan łaskaw określić, wariatki nie pochodzi z odciętej dłoni. - Valentina nie ustępuje. Jest rozdrażniona tonem dowódcy i faktem, że niczego nie zrozumiał z jej wyjaśnień. - Prawdopodobnie należy do innej ofiary.

- Niewykluczone - odpowiada zirytowanym głosem Caesario. - Ale w tej sprawie nic się nie trzyma kupy, a ja nie zamierzam marnować czasu i pieniędzy na rzekome morderstwo bez ciała.

Valentina już otwiera usta, ale major nie pozwala jej dojść do głosu:

- Pani kapitan, ma pani czterdzieści osiem godzin na znalezienie ofiary bądź ofiar. W przeciwnym razie zamknę sprawę. A teraz czy byłaby pani łaskawa nas zostawić? Mam pewną pilną sprawę do omówienia z porucznikiem Assante.

Valentina w mgnieniu oka wypada na korytarz. Jest tak wściekła, że mogłaby gołą ręką wybić w betonowej ścianie pokazałą dziurę.

Dłoń wykradzioną z kostnicy?

To ma być jakiś żart?

Serce bije jej jak młotem. Nie zamierza bynajmniej potulnie czekać przy biurku, aż Assante wyłoni się z gabinetu majora z seksistowskim uśmiechem na twarzy.

Zabiera płaszcz, kluczyki i wychodzi na zewnątrz, zastanawiając się, dlaczego do diabła nie została w Wenecji, gdzie ją doceniano i szanowano.

W ciągu kolejnego kwadransa przemyka tuż przed tramwajem linii 30 sunącym Via Regina Elena, zatrzymuje swojego fiata na parkingu Policlinico Umberto i wpada do gabinetu Louisy Verdetti.

- O nie. Nie ma mowy. - Doktor Verdetti unosi się zza biurka. - Pani kapitan, błagam. Od samego rana mam tu prawdziwe piekło...

- Ja też - przerywa Valentina. - Za sprawą krótkowzrocznych kretynów, którzy nie potrafią patrzeć dalej niż na koniec własnych małych fiutków.

Louisa zaczyna się śmiać. Dokładnie rozpoznaje objawy.

- W takim razie obie zmagamy się z tym samym problemem. - Wskazuje Valentinie sofę.  
- Kawy? Mam nawał pracy, ale znajdę dziesięć minut dla towarzyszek niedoli.

- Bardzo chętnie. Espresso, bez cukru. *Grazie*.

Louisa zamawia przez telefon dwie kawy, po czym zasiada na sofie naprzeciwko niespodziewanego gościa.

- No dobrze, to jak mogę pani pomóc? Podejrzewam, że chodzi o Suzannę Grecoraci?

- *Si.* - Valentina z niejakim trudem wyplątuje się z wełnianego płaszcza, żałując, że nie pomyślała o zdjęciu go, zanim usiadła. - Wciąż nie znaleźliśmy ofiary, a mój szef zamknie śledztwo, jeżeli w ciągu czterdziestu ośmiu godzin nie przedstawię mu żadnych konkretów.

- Mnie też przystawiono do głowy pistolet. Mój dyrektor chce ją wypuścić. Na ulicę, gdzie przestanie być jego problemem, a stanie się waszym.

Valentina przeczesuje włosy palcami.

- Jeśli to zrobi, to po prostu zamkniemy ją w skrzydle szpitalnym na komendzie, bez właściwej opieki. I to pod warunkiem że uda mi się wykombinować jakieś wiarygodne zarzuty.

Louisa wzdycha ciężko.

- Jakim cudem tym facetom udaje się zejść tak wysoko? Czasami zachowują się jak skończeni idioci do tego stopnia, że byłabym skłonna uwierzyć, że naprawdę nimi są.

- Jedna z tajemnic wszechświata - komentuje zgrzyźliwie Valentina, po czym przechodzi do sprawy, która nurtuje ją od pewnego czasu: - Na zajęciach z psychologii na studiach czytałam kiedyś o kompleksie Kasandry. Czy to może mieć coś wspólnego z Suzanną?

Louisa wygląda na zaskoczoną.

- Ciekawe pytanie. Zakładam, że wywołane lekturą jej zapisków?

- Tak.

- Pojęcie kompleksu Kasandry jako pierwszy sformułował pod koniec lat 40, dwudziestego wieku francuski filozof Gaston Bachelard na określenie pacjentów, którzy wierzyli, że mają dar widzenia przyszłości.

- Więc to może być prawidłowy trop?

- Nie bardzo. - Louisa się krzywi. - Jedna z alternatywnych osobowości Suzanny twierdzi, że nazywa się Kasandra, ale jak na razie nie wygłosiła żadnych przepowiedni. Z jej zapisków wynika, że została publicznie ukarana i zhańbiona za ukrywanie jakichś informacji.

- Tajemnicy. Powiedziała, że prędzej umrze, niż wyjawি, w co była zaangażowana. A jeśli ta tajemnica była właśnie jakąś przepowiednią, albo czymś w tym rodzaju?

Louisa przez chwilę milczy, przetrząsając w myślach zakurzone szuflady pamięci w poszukiwaniu na wpół zapomnianej wiedzy.

- Pewna psycholożka ze szkoły jungowskiej, Laurie Schapira, pisała sporo o kompleksie Kasandry w odniesieniu do ciężko zaburzonych pacjentów, którym nie wierzono, gdy ujawniali

prawdziwe przyczyny swojej choroby. Chwileczkę, poszukam w internecie. - Louisa wraca za biurko i wpisuje zapytanie w przeglądarkę medycznej bazy danych. - Z tego, co pamiętam, w terminologii tego syndromu pojawia się sporo odwołań do mitologii greckiej. O, już mam. Schapira pisze, że kobiety dotknięte kompleksem Kasandry widzą uzasadnione zagrożenia, których inni nie dostrzegają i których nie można podeprzeć twardymi faktami. Przewidują negatywne lub niespodziewane skutki pewnych sytuacji, których inni, zwłaszcza osoby posiadające władzę, nie przyjmują do wiadomości albo nie chcą w nie uwierzyć. - Odwraca się do Valentyny. - Wygląda na to, że też miała do czynienia z paroma seksistowskimi samcami. - Wraca do monitora i czyta dalej: - W momencie gdy kasandryczna kobieta przestraszy się i utraci poczucie własnego ja, zaczyna wykrzykiwać swoje wizje, podświadomie żywiąc nadzieję, że inni ją zrozumieją. Rzecz jasna, inni nie rozumieją. Dla osób z zewnątrz słowa Kasandry nie mają większego sensu i co najwyżej świadczą o ataku histerii.

Do gabinetu wchodzi chuda trzydziestoparoletnia asystentka, niosąc kawę na plastikowej tacy. Stawia ją na biurku i natychmiast znika za drzwiami.

Valentina obejmuje dłońmi ciepły kubek.

- Czy mogłabym porozmawiać z pacjentką?

Louisa wraca na sofę i bierze swoją kawę.

- Ma pani na myśli Suzannę?

- Nie. Potrzebuję Kasandry. Czy mogłaby pani przekonać Suzannę, żeby pozwoliła mi porozmawiać bezpośrednio z nią?

## 30.

Istnieje przynajmniej sto powodów, dla których Louisa Verdetti nie powinna robić tego, co właśnie zamierza.

A jednak to robi.

Łamie zasady. Podejmuje ryzyko. Improwizuje.

Liczni mentorzy i wykładowcy całymi latami starali się wykorzenić z niej skłonność do nieortodoksyjnego postępowania, ale żadnemu do końca się to nie udało.

Louisa ufa swojemu instynktowi.

Między innymi dzięki temu jest doskonałym psychiatrą klinicznym. Dogłębna znajomość teorii i lektur jest niezbędna, żeby w ogóle stanąć do tego wyścigu. Doświadczenie pozwala dobiec do mety. Ale trzeba jeszcze umieć zerwać ze schematem, żeby minąć ją jako pierwsza.

Lub stracić pracę.

Louisa odrzuca tę ostatnią myśl, przedstawiając Valentinę Suzannie i upewniając się, że drzwi do pokoju są zamknięte na klucz.

Valentina dokładnie trzyma się udzielonych jej wcześniej instrukcji. Powoli. Delikatnie. Jeśli pacjentka okaże najdrobniejsze oznaki zdenerwowania, należy się natychmiast wycofać.

Pochyla się lekko do przodu i zwraca do dziewczyny łagodnym tonem:

- Suzanno, muszę porozmawiać z Kasandrą. Chciałabym, żebyś zapytała ją, czy zgodzi się z nami pomówić.

Blade stworzenie, skulone na krześle obok metalowego łóżka, rzuca jej zbolące spojrzenie.

- Mogę spróbować, ale wiem, że Kasandra jest w złym humorze. A kiedy ma zły humor, nie lubi z nikim rozmawiać.

- Spróbuj. To dla nas bardzo ważne. - Valentina jest na tyle blisko, żeby ująć dłoń Suzanny w swoje.

- Co ty wyprawiasz? Jak śmiesz mnie dotykać?

Głos nie należy już do Suzanny. Jest głębszy. Mocniejszy. I znacznie pewniejszy siebie.



- Bezczelna dziewucho! Za kogo ty się uważasz? Wracaj na ulicę, gdzie twoje miejsce. - Kobieta zrywa się z krzesła i prychna pogardliwie. - Skąd się tu wzięłaś? Zapewne z jakiegoś lupanaru. Dobrzy bogowie, dlaczego karzecie mnie towarzystwem takiej hołoty?

Valentina obserwuje kobietę. Kasandra porusza się zupełnie inaczej niż szara myszka, którą była przed chwilą. Każdy jej krok kipi od gniewu. Brwi ma ściągnięte z napięcia i złości. Wyzywająco wysuwa szczękę ku Valentinie.

- Czego chcesz, dziewczyno? Mów albo idź precz.

Valentina przypomina sobie, co ma powiedzieć. Na pewno zabrzmiałoby idiotycznie, ale jej słowa mają posłużyć za psychologiczny most w nieznaną.

- Kasandro, przysłano nas do ciebie. - Kiwa głową w kierunku Louisy. - Moja przyjaciółka i ja znalazłyśmy się tu, ponieważ wierzymy. Wiemy, że chcesz opowiedzieć nam o pewnych sprawach. Sprawach, w które inni nie wierzą.

Kasandra przygląda im się ciekawie, jak matka obserwująca dziecko, które stawia pierwsze niepewne kroki.

- O czym ty mówisz, dziewczyno? Jakich sprawach? Mów!

Służąc w żandarmerii, Valentina zdążyła całkiem nieźle opanować sztukę blefowania w czasie przesłuchań.

- Wiesz, że nie możemy mówić otwarcie. Musimy stale się strzec, prawda?

- Istotnie. - Kasandra wraca na krzesło i kładzie ręce na podłokietnikach, jakby siedziała na tronie. - Czy jesteście wiernymi córkami *Mater*?

Valentina nie wie, co odpowiedzieć.

- Zadałam ci pytanie, dziewczyno.

Pora na blef.

- Skąd mam wiedzieć, że mogę ci zaufać? - Valentina marszczy brwi. - Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś oszustką? Że nie kłamiesz?

W oczach Kasandry błyska gniew.

- Kłamie? Ty oskarżasz mnie o kłamstwo? Ty, ulicznica cuchnąca latryną, masz czelność zarzucać mi, że jestem oszustką? Precz, nim każę cię wychłostać i wrzucić do wychodka!

Valentina odwraca się do Louisy. Potrzebuje pomocy. Blef jest strategią na krótki dystans.

- Kasandro, sądzę, że powinnaś już zamilknąć - odzywa się lekarka. - Czas ustąpić

miejsca Suzannie. Pozwól jej wrócić i porozmawiać z nami.

W ułamku sekundy, gdy Louisa spojrzeniem dyskretnie informuje Valentine, że przesłuchanie dobiegło końca, rozpętuje się piekło.

Koścista dłoń łapie lekarzkę za gardło i uderza jej głową o ścianę.

- *Domina! Dominus! Templum! Libera nos a malo!* - Palce pacjentki mocno zaciskają się na szyi Louisy, odcinając dopływ powietrza. - *Domina! Dominus! Templum! Libera nos a malo!*

Valentina błyskawicznie otrząsa się z szoku. Łapie pacjentkę za szyję od tyłu i uderza ją w rękę, która dusi lekarzkę. Louisa uwalnia się z uścisku.

Valentina uderza kolaniem w nogi Kasandry, pozbawiając ją równowagi. Pacjentka z krzykiem upada na ziemię. Kapitan Morassi przygważdża ją do podłogi, obraca i skuwa kajdankami.

- *Suffragio! Le anime nel purgatorio! Suffragio!* - wrzeszczy Kasandra.

- Ostrożnie, nie zrób jej krzywdy. - Louisa jest sina na twarzy, ale nie przestaje troszczyć się o swoją pacjentkę.

Valentina podnosi dziewczynę i prowadzi ją do łóżka.

Ich spojrzenia się spotykają.

Oczy pacjentki są inne.

Kasandra odeszła.

# 31.

Ani Valentina, ani Louisa nigdy nie piją w pracy.

Dzisiaj robią wyjątek.

Otwierają butelkę kiepskiego czerwonego wina podarowaną lekarce na Boże Narodzenie.

Opróżniają ją do połowy, zanim są w stanie normalnie rozmawiać.

- Przepraszam - mówi Valentina, siedząc na sofie, na której zrodził się ten idiotyczny pomysł. - Czuje się okropnie. Zaatakowała cię przeze mnie.

Louisa wypija kwaśne wino i uzupełnia kieliszek.

- Moja wina. Powinnam była przewidzieć, że może mieć napad agresji. - Ostrożnie dotyka szyi. - Przez parę dni będę musiała chodzić w szaliku albo wysłuchiwać kiepskich dowcipów o randkach z wampirami.

Valentina się śmieje. Polubiła tę lekarzkę i ma szczerą nadzieję, że zdoła jej jakoś wynagrodzić dzisiejszy dzień.

- Mam u ciebie dług. Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dzwoń.

Louisa unosi dłoń.

- Nie ma takiej potrzeby. Wiem, że nie masz tu łatwego życia. Nie zawsze możemy pomóc, ale zawsze się staramy.

- *Grazie*. - Valentina zastanawia się, czy Kasandra, Suzanna, czy kimkolwiek naprawdę jest ta kobieta, zabiłaby Louisę gdyby nie jej interwencja. Prawdopodobnie tak.

- Mogę poprosić cię o ostatnią przysługę? Obiecuję, że tym razem to nie będzie nic niebezpiecznego.

- Być może - odpowiada ostrożnie Louisa.

- Kasandra krzyczała coś po włosku i po łacinie. Zapisałam to. Jeśli powie coś jeszcze, mogłabyś to zanotować i do mnie zadzwonić?

- Jasne.

Valentina zapisuje na wizytówce numer swojej prywatnej komórki i stacjonarny do domu.

Wręczając ją lekarce, zauważa, że dłonie Louisy drżą.

- Możesz wziąć sobie wolne na resztę dnia?

Lekarka się uśmiecha.

- Nie mogę. A ty? .

- Może. - Valentina zerka na zegarek. Dochodzi trzecia. Powinna wrócić na komendę, ale nie ma takiego zamiaru. Czterdzieści osiem godzin. Tyle dał jej Caesario, a zegar tyka. O wiele za szybko. - Muszę lecieć. - Z niechęcią podnosi się z wygodnej sofy. - Zadzwoń. Nawet jeśli będziesz miała ochotę tylko pogadać.

Louisa kiwa głową i zamyka drzwi za Valentina. Następnie dotyka dłonią szyi, usiłując się nie rozpłakać. Popelniła błąd. Poważny błąd. Być może Valducci miał rację. Może rzeczywiście zbyt pochopnie wyciągnęła wnioski, diagnozując rzadkie schorzenie tam, gdzie go nie ma? Może kobieta, która próbowała ją udusić, naprawdę jest tylko psychopatyczną morderczynią?

## 32.

Tom jest zaskoczony, widząc Valentinę.

Przyjemnie zaskoczony.

Jednak jedno spojrzenie na jej twarz mówi mu, że nie wróciła do domu, żeby się zrelaksować.

- Wszystko w porządku? - Odkłada czytaną książkę i podchodzi do niej.

- Zależy od twojej definicji „w porządku”. - Valentina otwiera lodówkę i wyjmuje butelkę wody. - Zaraz ci opowiem.

Nalewa wodę do szklanki, wypija duszkiem i nalewa znowu.

- Jeśli nie napiję się wody zaraz po wejściu do domu, obżeram się potem jak smok. - Zdejmuje płaszcz i idzie do wieszaka.

Tom wyraźnie wyczuwa, że nerwy Valentiny są napięte jak struny świeżo nastrojonej gitary. Pozwala jej krążyć przez chwilę po pokoju, po czym rozkłada ramiona.

- Chodź tu.

Valentina wsuwa się w jego objęcia. Kładzie głowę na ramieniu Toma i w milczeniu cieszy się bliskością jego ciała. Tak długo walczyła ze swoimi problemami w pojedynkę, że obecność kogoś, z kim może się nimi podzielić, wydaje jej się zaskakujące. Wręcz dziwne.

Całuje Toma w policzek i powoli wysuwa się z jego ramion.

- Możemy chwilę porozmawiać?

Siadają obok siebie na sofie. Valentina bierze Toma za rękę.

- Wydawało mi się, że mam wszystko pod kontrolą. Wydawało mi się, że widzę cel, do którego zmierzam. A prawda jest taka, że cała ta historia nie ma najmniejszego sensu, a ja kręcę się w kółko.

- Opowiedz mi. Może dzięki temu znowu zobaczysz drogę.

Valentina podciąga nogi i siada naprzeciwko niego, opierając się o podłokietnik.

- Pojechałam dzisiaj do szpitala, do tej kobiety, którą aresztowaliśmy. Dostała szau. Mówiła w taki sposób, jakby była kimś sprzed kilkunastu wieków, wykrzykiwała coś dziwnego.

A potem jej odbiło i omal nie zabiła Louisy.

- Louisy?

- Doktor Verdetti, ordynator oddziału w klinice. Niemal ją udusiła.

- Ale wszystko z nią w porządku?

- Mniej więcej. Trochę to nią wstrząsnęło.

- Nie dziwię się. - Tom próbuje wyobrazić sobie sytuację. - Napastniczka jest prawo- czy leworęczna?

- Leworęczna.

- Pamiętam, jak mówiłaś, że sprawca z kościoła na Cosmedinie był leworęczny. Czy to ona?

Valentina wzdycha.

- To jedna z tych rzeczy, z którymi mam problem. Krew na ubraniu podejrzanej nie pasuje do krwi z odciętej dłoni z kościoła.

- Dziwne.

128- Co ty powiesz.

- Nie możesz zabrać jej na wizję lokalną?

- Jeszcze nie. Co gorsza, tam nie ma żadnych kamer monitoringu, miejscowi też niczego nie widzieli. Dochodzeniówka ciągle bada odciski palców i szuka jakiegoś dowodu na to, że ta kobieta w ogóle była przy Ustach Prawdy.

Tom przekręca się na sofie, tak aby siedzieć twarzą w twarz z Valentiną.

- Co mówiła? Wspomniałaś, że powiedziała coś dziwnego.

- To było niewiarygodne. W jednej chwili stała się kimś zupełnie innym. - Valentina strzela palcami. - Pstryk i nagle mam przed sobą Kasandrę, która mówi, jakby żyła w starożytnym Rzymie.

- I co powiedziała?

- Nic szczególnie interesującego - przypomina sobie Valentina. - Zachowywała się, jakby była z wielkiego rodu, miała olbrzymi dom i mnóstwo pieniędzy - śmieje się. - Wredna suka nazwała mnie ulicznicą!

Tom uśmiecha się i głaszcze jej stopę, która nie wiadomo kiedy znalazła się na jego kolanach.

- Gdyby tylko wiedziała, jak cnotliwie się prowadzisz.

Valentina wymierza mu żartobliwe kopnięcie.

- Prowadziłam się cnotliwie, dopóki nie sprowadziłeś mnie na drogę grzechu.

Tom dostrzega figlarny błysk w jej oczach.

- Co jeszcze?

Valentina się krzywi.

- *Domina! Dominus! Templum! Libra nos a malo!*

- Władczyni. Władca. Świątynia. Zbaw nas ode złego.

- Powtórzyła to dwa razy. Jak mantrę.

- Nic mi to nie mówi.

- Louisa twierdzi, że to typowe dla kobiet z kompleksem Kasandry.

Tom patrzy na nią pytająco.

- To choroba psychiczna. Polega mniej więcej na tym, że kobieta traci poczucie rzeczywistości i zaczyna wykrzykiwać słowa i komunikaty, których nikt poza nią nie rozumie.

- I na tym polega twój problem, prawda? Bo ty musisz zrozumieć.

- Zgadza się.

- Jeszcze coś?

- Tak. *Suffragio. Le anime nel purgatorio. Suffragio!* To zrozumiałam. „Wstawiennictwo”. „Dusze w czyścicu”.

- To nie łacina tylko włoski.

Valentina patrzy na niego spode łba.

- Przecież wiem.

Tom się zamyśla. Próbuje całkowicie odciąć się od świata zewnętrznego, skupiając się wyłącznie na tajemniczych słowach. Władczyni. Władca. Świątynia. Wstawiennictwo. Dusze. Czyściec. Ogarnia go wrażenie poszukiwania igły w bardzo dużym stogu siana.

- Słowa po łacinie brzmią sztucznie. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to odniesienie do jakichś starożytnych bogów, którzy mieli wspólną świątynię. Czy to coś ci mówi?

Z wyrazu jej twarzy Tom wnioskuję, że raczej nie.

- Ostatnia część powinna być łatwiejsza. Czy w Rzymie nie ma przypadkiem jakiegoś kościoła poświęconego duszom w czyścicu?

- Jasne - odpowiada ze śmiechem Valentina. - Jest ich jakiś tysiąc.

- Pytam poważnie. Pamiętam z mojej poprzedniej pracy, że jest tu jakaś świątynia

poświęcona właśnie duszom czyścącym.

Valentina wstaje z sofy.

- Moja znajomość łaciny jest mniej więcej na tym samym poziomie, co moja religijność.

Jedynе łacińskie zdanie, które pamiętam, to *Draco dormiens nunquam titilandus*.

Tom wybucha śmiechem.

- „Nigdy nie łaskocz śpiącego smoka”?

- Właśnie. To z „Harry'ego Pottera”, chyba motto Hogwartu. - Valentina bierze z półki garść ulotek dla turystów i przewodników. - Dostałam gratis razem z mieszkaniem. - Rzuca stos papierów na kolana Toma. - Przejrzyj te, a ja poszukam w tych.

Valentina siada i popełnia taktyczny błąd, prostując nogi.

Tom łapie za nie i popycha ją na plecy.

Valentina nie potrafi powstrzymać się od pisku, niczym mała dziewczynka.

Tom nachyla się nad nią, opierając się na potężnych ramionach. Jego uśmiech jest szerszy od Tybru.

- Za minutę. Zajmiemy się nimi za minutę, dobrze?

W oczach Valentyny tańczą iskry. Unosi głowę, tak że jej usta znajdują się o milimetry od jego warg.

- Dobrze. Ale skoro już robimy przerwę, to lepiej, żeby potrwała dłużej niż minutę.



## 33.

Kilka godzin później Valentina i Tom stoją przed Chiesa del Sacro Cuore del Suffragio, kościołem Najświętszego Serca Jezusa przy Lungotevere Prati nad brzegiem Tybru, niedaleko monumentalnego Il Palazzaccio, rzymskiego Pałacu Sprawiedliwości.

Żadne z nich nie ma pewności, czego właściwie szukają.

Oboje jednak są przekonani, że powinni tego szukać właśnie w tym miejscu.

Zmierzch zdążył już przerodzić się w czerń nocy. Srebrne światło księżyca padające na fasadę świątyni powoduje, że kościół przypomina bajkową twierdzę z lodu. Kompletnie nie pasuje do otaczających go zwyczajnych budynków. Dwudziestometrowa budowla najeżona jest wieżyczkami, posągami naturalnej wielkości i spektakularnymi witrażami. Tom z początku sądzi, że kościół odcina się od otoczenia dzięki marmurowej elewacji, ale po bliższych oględzinach stwierdza ze zdumieniem, że fasada świątyni wykonana jest z betonu.

Tak czy owak, jest imponująca.

Jedyny neogotycki kościół w całym Wiecznym Mieście.

Tak niezwykle, że w czasach świetności nadano mu przydomek Małej Katedry Mediolańskiej.

W portyku stoi niewysoki łysiejący ksiądz w koszuli z krótkim rękawem, pocierając chude, owłosione ręce w oczekiwaniu na późnych gości.

Wie, po co przyjechali.

Dzwonili do niego wcześniej, żeby sprawdzić, czy kościół jest otwarty.

Valentina obdarza księdza swoim najpiękniejszym uśmiechem.

- Ojciec Bra?

- Si.

Valentina wyciąga dłoń na powitanie.

- Bardzo miło mi pana poznać. Jestem kapitan Morassi, Valentina Morassi. A to pan Tom Shaman. - Przez chwilę zastanawia się, czy nie dodać, że Tom był kiedyś księdzem, ale postanawia nie komplikować sytuacji bez potrzeby. Jeśli Tom będzie miał ochotę, sam się

przyzna.

- *Buonasera*. - Tom zdecydowanie ściska dłoń ojca Brancatego. - Wspaniały kościół. Fasada zapiera dech w piersiach.

- *Grazie*. - Ksiądz wprowadza ich do środka. - Wnętrze nie jest tak spektakularne, ale jak państwo zapewne wiecie, znacznie bardziej intrygujące.

Tom i Valentina wymieniają spojrzenia.

- Jest to kościół parafialny, prowadzony przez zgromadzenie Misjonarzy Najświętszego Serca Jezusowego, do którego należę. Wybudowano go pod koniec XIX wieku, a poświęcono w czasie pierwszej wojny światowej - ksiądz prycha. - Tak zwanej wielkiej wojny. Choć osobiście nie widzę powodu, żeby nazywać ją wielką. Żadna wojna na to nie zasługuje, a ta była wyjątkowo potworna.

- Czy pańska rodzina straciła kogoś w czasie wojny? - pyta Tom, mrugając, żeby przystosować wzrok do słabego żółtawego światła świec.

- I po stronie matki, i po stronie ojca, w bitwie o Caporetto. Zginęli w odstępie kilku dni, zastrzeleni nad brzegami rzeki Isonzo.

- Przykro mi.

- *Grazie*. Minęło wiele lat, ale w mojej rodzinie zawsze będzie się o tym pamiętać. - Ksiądz zatrzymuje się i pokazuje ręką olbrzymie sklepienie. - W świetle dziennym światło wpadające

przez rozety tworzy niewiarygodny efekt, zwłaszcza nad ołtarzem. Ten kościół był marzeniem pewnego francuskiego księdza Victora Joueta.

Przez chwilę stoją wśród chłodnych ścian świątyni, przyglądając się nawie z trzema przejściami rozdzielonymi kolumnami o przekroju czterolistnym. Każde przejście kończy się apsydą.

Tom ma wielką ochotę usiąść w jednej z ław i napawać się spokojem tchnącym z murów kościoła.

Niestety, nie ma na to czasu.

Ojciec Brancati klęka przed ołtarzem i skręca do zakrystii.

Najsłynniejszej zakrystii w Rzymie.

Komnaty cudów.

- Proszę. - Ksiądz dłonią zatacza krąg. - Museo delle Anime del Purgatorio. - Muzeum

Dusz Czyścicowych.

Muzeum nie robi oszalamiającego wrażenia.

Przy ścianie stoi masywna przeszklona gablota z długimi półkami i przesuwanymi drzwiami. Pomieszczenie wyłożone jest brzydką boazerią. Ekspozyty są niewielkie, zawieszane na kartonowej płycie. Na ulicznej wyprzedaży trudno byłoby dostać choćby dziesięć euro za wszystkie. Kawałki materiału, książki, stare dokumenty - nic specjalnego.

Tom dokładnie bada ekspozyty. Już sama ich bliskość napawa go dziwną energią, jakby przez jego nerwy przepływały pulsujące fale prądu.

Ojciec Brancati dostrzega jego zafascynowanie.

- Pan rozumie, czym są te przedmioty? Jakie mają znaczenie?

Tom nie spuszcza wzroku z szafy.

- Rozumiem. To wiadomości z czyścica. Prośby od uwięzionych tam dusz oczekujących oczyszczenia z grzechów i dopuszczenia do życia wiecznego.

Valentina przygląda się szafie. Zauważa wypalone ślady dłoni i palców na modlitewnikach.

- To dowody na istnienie innego świata - wyjaśnia Brancati - Dowody na to, że po śmierci nasze dusze trafiają do czyścica, aby oczyścić się z grzechu i zasłużyć na wejście do królestwa niebieskiego. - Ksiądz stuka palcem w szkło. - Poprzez te przedmioty dusze zwracają się do świata doczesnego, prosząc o modlitwę, która pozwoli im wreszcie ujrzeć oblicze Pana.

Valentina nie może powstrzymać się przed zadaniem typowo policyjnego pytania:

- Jakie są dowody na to, że tych przedmiotów nie sfalszowano?

Ojciec Brancati nie wpada w złość. Odpowiadał na to pytanie już tysiąc razy.

- Wszystkie przedmioty posiadają złożone pod przysięgą zeznania osób, które były świadkami pojawienia się znaków. Proszę się przyjrzeć, zobaczy pani, że przy każdym znajduje się historia jego pochodzenia.

Valentina przygląda się, ale w dalszym ciągu jest sceptyczna. Nie ma tu nic, co obroniłoby się w sądzie. Z drugiej strony, to jest kwestia wiary, a wiary nie da się zbadać testem DNA.

Brancati ponownie stuka w szkło gabloty.

- W grudniu 1838 roku niejaki Giuseppe Stitz oddawał się lekturze modlitewnika, gdy nagle na okładce pojawił się odcisk dłoni. Stitz zeznał, że usłyszał wówczas głos swojego

zmarłego brata, proszącego o modlitwę w swojej intencji.

Valentina zobaczyła już dosyć.

- Dziękujemy, proszę księdza. Był ksiądz bardzo pomocny.

Tom ściska dłoń Brancatiego.

- Czy kapitan Morassi i ja moglibyśmy rozejrzeć się po kościele, a potem przyjść do księdza do zakrystii, jeśli będziemy mieli jeszcze jakieś pytania?

- Muszę wyjść za dwadzieścia minut. - Ksiądz zerka na tani zegarek na nadgarstku. -  
Zdążycie?

- Zdążymy - odpowiada zdecydowanie Valentina.

Ksiądz kiwa im głową i wychodzi.

- No dobra. - Valentina odwraca się do Toma. - Co o tym sądzisz?

- Sądzę, że odbieram to miejsce trochę inaczej niż ty, ale nie w tym rzecz. - Tom się rozgląda. - Nie widzę tu żadnego powiązania z tą aresztowaną kobietą. Poza tym, że nas tu skierowała.

- Być może.

- Niech ci będzie, być może nas tu skierowała - zgadza się Tom i podąża ku głównej nawie kościoła.

Wnętrze pogrążone jest w półmroku. Szukanie czegokolwiek w tym świetle wydaje się bezcelowe.

Tom bada lewą stronę świątyni. Valentina rusza na prawo i nagle uświadamia sobie bezsensowność tych działań. Podczas przeszukania zwykle wiadomo, czego się szuka - broni palnej, noża, narzędzia zbrodni, śladów krwi, odcisków butów, odcisków palców, włosów, włókien, listu pożegnalnego, nawet treści ostatniej spowiedzi.

Znajduje stos starych książeczek do nabożeństwa.

Bez sensu.

Są ich dziesiątki.

Każda po kilkaset stron, zadrukowanych tysiącami słów.

Rozgląda się po kościele i nagle nieruchomieje. O czym przed chwilą myślała?

O listach pożegnalnych. O spowiedzi. Przeciska się między ławami do jednego z konfesjonałów stojących pod prawą ścianą kościoła.

Tom zauważa ją z drugiej strony.

Valentina odsuwa brązową zasłonkę i siada na ławce przeznaczonej dla spowiednika. Zauważa, że na obu ściankach znajdują się kraty umożliwiające księdzu spowiadanie z obu stron.

Otwiera obie kraty i uśmiecha się na widok paczki miętówek, wciśniętej w kąt wąskiej półki.

W kratce z przodu nagle pojawia się twarz Toma, niemal przyprawiając Valentine o zawał.

- *Madonna!* - wykrzykuje cicho. Na szczęście udaje się jej powstrzymać przed bardziej nieparlamentarnym okrzykiem.

- Trzy zdrowaśki za pokutę - żartuje Tom. - Znalazłaś coś?

- Nic. - Valentina wyjmuję z kieszeni małą latarkę i świeci po ścianach konfesjonału. - Tylko spizarnię ojca Brancatiego.

- Kiedyś spowiadałem, jedząc hamburgera z McDonalda. To było tuż przed Bożym Narodzeniem, pracowałem na dwie zmiany. Zdziwiłabyś się, co księża przemycają do konfesjonałów.

Tom wciska się do środka obok niej.

Jest ciasno.

Valentina musi nagle odpędzić z głowy natłok raczej niestosownych myśli, za które z całą pewnością wylądowałaby na długo w czyścicu albo i gorzej.

- Kiedy ostatni raz byłeś w konfesjonale? - pyta, omiatając światłem latarki ścianę i sufit.

- Szukając rozgrzeszenia czy go udzielając?

- Jedno i drugie.

- Ostatni raz spowiadałem trzy lata temu. A swój rejestr grzechów wyczyściłem całkiem niedawno.

- To naprawdę tak działa? - Valentina macha latarką po wnętrzu konfesjonału.

- W przypadku grzechów powszednich, owszem. Na grzechy śmiertelne, takie jak moje, już nie.

Valentina przypomina sobie, jak spotkali się po raz pierwszy. Jak Tom opowiedział jej o bójce w Los Angeles. O dwóch młodocianych bandytach, których zabił na trawionych wojnami gangów ulicach dzielnicy Compton. Na końcu języka ma słowa pocieszenia, ale nagle zauważa coś kątem oka.

- Przesuń się trochę w bok.

Tom posłusznie się odsuwa.

Valentina kuca przy akompaniamencie trzeszczących kolan. Przytrzymuje latarkę między kciukiem i palcem wskazującym, kierując promień na ścianę. W tynku wydrapane są słowa: DOMINA. DOMINUS. TEMPLUM. LIBERA NOS A MALO.

Valentina wpatruje się w słowa Kasandry.

Wzrok Toma pada na coś jeszcze, pod słowami.

Geometryczny kształt tuż pod zwrotem: ZBAW NAS ODE ZŁEGO.

Trójkąt.

Bardzo charakterystyczny trójkąt.

## 34.

Ojciec Brancata dostaje szału na widok napisów.

- *Vandali!* - wykrzykuje. - Żadnego szacunku! Kradną! Niszczą! Nie uszanują nawet kościoła!

- To trochę dziwne - wtrąca spokojnym głosem Tom - żeby wandalę pisali po łacinie.

Brancati dopiero teraz zwraca na to uwagę. Posługuje się łaciną na co dzień od tylu lat, że podświadomie przetłumaczył sobie w głowie słowa z konfesjonału.

- No tak. Bardzo dziwne. - Przesuwa palcami po literach, starając się wyczuć, jakiego narzędzia użyto do wyskrobania słów.

Valentina łapie go za nadgarstek.

- Proszę nie dotykać. To miejsce przestępstwa, musi zostać sfotografowane.

Brancati jest zszokowany.

- Przestępstwa? Jak to? Jakiego przestępstwa?

Valentina delikatnie wyprowadza księdza z konfesjonału.

- Jak wspomniałam księdzu przez telefon, prowadzimy śledztwo w sprawie brutalnego ataku. Znaleźliśmy powiązanie między tą sprawą, a kościołem księdza i teraz musimy mu się przyjrzeć. - Valentina odprowadza go przejściem między ławkami. - Był ksiądz bardzo uprzejmy i pomocny. Czy nie miałby ksiądz nic przeciwko temu, żeby poczekać w zakrystii, aż skończę?

Ojciec Brancati miałby całkiem sporo przeciwko temu, ale posłusznie wraca do siebie.

Martwi się.

Martwi się opinią publiczną. Tym, jaki cała ta historia będzie miała wpływ na misję. Co powiedzą jego przełożeni. Wchodzi do zakrystii i kieruje się prosto do kredensu, w którym obok wina mszalnego stoi butelka brandy.

Miętówek poszuka później.

Tom robi zdjęcie napisu telefonem komórkowym, a Valentina dzwoni na komendę.

- Federico przyśle tu fotografa i kogoś z dochodzeniówki - oznajmia po chwili. - Zrobią zdjęcia, oczyszczą i zbadają cały konfesjonał i okolice. - Pokazuje palcem rysunek trójkąta. - Jest

identyczny z wisiorkiem, który znaleźliśmy przy tamtej dziewczynie. Wspominała nawet o nim w swoich zapiskach, twierdziła, że ukradziono go jej podczas egzekucji w starożytnym Rzymie. Czy ten trójkąt z czymś ci się kojarzy?

Tom klęczy, przyglądając się z bliska wydrapanej figurze.

- Wydaje mi się, że jest nierównoboczny.

- Jaki?

- Nierównoboczny. To znaczy, że każdy bok ma inną długość i każdy kąt jest inny. To jedyna figura trójkąta, w której nie ma dwóch identycznych boków ani kątów.

- Geometria nie była moją specjalnością w szkole.

- A co było?

- Chłopaki - odpowiada Valentina z figlarnym uśmiechem.

- A kojarzy ci się z czymś niegeometrycznym?

Tom wpatruje się intensywnie w trójkąt.

- Trójkąt zawsze miał duże znaczenie symboliczne. Naziści stosowali trójkąty do rozróżniania mniejszości w obozach koncentracyjnych. Czerwone były dla dysydentów politycznych, zielone dla kryminalistów, fioletowe dla świadków Jehowy, brązowe dla Cyganów, czarne dla lesbijek i różowe dla gejów. O ile sobie przypominam, homoseksualni żydzi musieli nosić różowe trójkąty nałożone na żółte, oznaczające ich wyznanie i tworzące razem gwiazdę Dawida.

- Gdzie nie spluniesz, tam trójkąt - zauważa złośliwie Valentina.

Niezrażony jej uwagą, Tom kontynuuje:

- Istotnie. Żydowski komuniści musieli nosić czerwone i żółte trójkąty. Homoseksualiści do dzisiaj używają różowych trójkątów jako symboli wyzwolenia gejów i lesbijek.

Valentina próbuje znaleźć jakieś powiązanie ze sprawą.

- To znaczy, że łaciński zwrot „Zbaw nas ode złego”, odniesienia do modlitw wstawienniczych i dusz w czyśćcu możemy zinterpretować jako wołanie o wolność uwięzionych dusz?

Tom nie odpowiada od razu.

- Symbole często są wypaczane - mówi w końcu. - Błędnie interpretowane. Musisz uważać, żeby ten trójkąt nie wyprowadził cię na manowce. Na przykład w symbolice kosmologicznej trójkąty podkreślają połączenie między niebem a ziemią.



- Czyli czyścić?

- Może. A może nie. W starożytnym Egipcie trójkąt z okiem w środku symbolizował boga światła Horusa, przed którego wzrokiem nic nie mogło się ukryć. Egipski trójkąt stał się podstawą uroków przeciwko złym mocom. Z drugiej strony, w Grecji trójkąt miał bardzo pozytywne konotacje: stanowił symbol waginy bogini Demeter. W judaizmie z kolei trójkąt stanowił symbol prawdy.

- Jak w Ustach Prawdy? - Valentina przesuwając palcami po włosach. - Za dużo w tym wszystkim zbiegów okoliczności. Kobieta ze starożytnym mieczem, która mówi jakby była opętana, albo żyła dwa tysiące lat temu. Brutalny atak w kościele słynącym z rytuału sprawdzania prawdomówności. A teraz jeszcze symbole w kościele poświęconym duszom czyścącym.

- To jeszcze nie wszystko. - Tom wstaje i się przeciąga. Konfesjonał nie jest zbyt wygodnym miejscem dla potężnie zbudowanego, prawie dwumetrowego mężczyzny. - Trójkąt ma jeszcze jedną konotację.

Valentina wpada w irytację.

- To znaczy?

- Okultystyczną. Sataniści posługują się pentagramem - pięcioma połączonymi trójkątami, symbolizującymi żywioły ziemi, powietrza, ognia i wody oraz piąty element, duchowy. Pentagram ma różne znaczenie w zależności od tego, jak zostanie narysowany i w którym miejscu umieszczony zostanie piąty trójkąt. Skierowany w dół służy do odprawiania rytuałów mających na celu skierowanie określonych sił i energii przeciwko wrogom. Skierowany w górę ma moc ochronną.

- Człowiek codziennie uczy się czegoś nowego. - Valentina bezradnie rozkłada ręce. - Tylko co z tego? Jak mam znaleźć w tym wszystkim jakiś sens?

- Nie znajdziesz - odpowiada Tom. - Oboje wiemy, że tylko jedna osoba to potrafi.

## 35.

Streściwszy sytuację policyjnemu fotografowi i funkcjonariuszowi z dochodzeniówki, Valentina pozostawia zbieranie dowodów w kościele w rękach młodego oficera imieniem Paulo Benchabo, który rozsiewa wokół siebie aromat makaronu z czosnkiem i co najmniej kilku szklanek czerwonego wina.

Kiedy zbierają się z Tomem do domu, do Valentyny dzwoni doktor Verdeti.

- Przepraszam, że przeszkadzam - mówi Louisa nerwowym głosem. - Wiem, że zostało ci niewiele czasu, a właśnie odbyłam dość interesującą sesję z Suzanną.

Valentina otwiera drzwi swojego fiata punto, podtrzymując telefon ramieniem.

- Powiedziała, co się wydarzyło w kościele? Skąd się wzięła krew na jej ubraniu?

- Nie, niestety nie. - Głos Louisy zdradza napięcie. - Posłuchaj, nie chcę robić wam złudnych nadziei, to równie dobrze może nic nie znaczyć. Ale pomyślałam, że powinnaś o tym usłyszeć.

- Dzięki. - Valentina wsiada do samochodu i otwiera drzwi Tomowi. - Co dokładnie ci powiedziała?

- To dość skomplikowane. Pojawiła się kolejna osobowość, a wraz z nią, obawiam się, jeszcze więcej pytań.

Valentina kładzie wolną rękę na czole, a następnie wsuwa kluczyki do stacyjki. Właśnie tego w tej chwili potrzebuje - kolejnych zagadek.

- Poczekaj chwilę, wezmę coś do pisania.

- Lepiej tu przyjedź i zobacz sama. Nowa osobowość pojawiła się w czasie sesji diagnostycznej. Zawsze nagrywamy je na wideo.

Valentina uruchamia silnik.

- Już jadę. Będę u ciebie za pół godziny.

Oboje z Tomem zdają sobie sprawę, że to mocno optymistyczne założenie. Od szpitala dzieli ich niecałe siedem kilometrów, ale

rejon Piazza del Popolo i Viale del Muro Torto jest wiecznie zakorkowany.

Zanim udaje im się przedrzeć przez rzekę samochodów i zaparkować, upływa niemal czterdzieści minut.

Louisa Verdeti siedzi sama w gabinecie. Rolety okienne są do połowy zasunięte. Lekarka podnosi wzrok, gdy Valentina puka do drzwi i wchodzi do środka.

- *Buonasera* - wita ją zmęczonym głosem.

- *Buonasera*. To jest Tom Shaman, mój przyjaciel i nieoficjalny pomocnik.

- *Buonasera*. - Tom ściska dłoń lekarki i uśmiecha się ciepło. - Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko mojej obecności. Jeśli pani woli, mogę poczekać na korytarzu.

- Tom jest byłym księdzem - wtrąca szybko Valentina. - Rozpracowywaliśmy razem sprawę poważnego morderstwa w Wenecji. Mogę ręczyć za jego dyskrecję.

Louisa wygląda na zbyt zmęczoną, żeby się kłócić. Macha ręką w kierunku sofy i bierze z biurka płytę DVD.

- Siadajcie, włączę nagranie. Coś do picia?

- Wodę, jeśli można - odpowiada Valentina.

Tom potwierdza skinieniem. Louisa wyjmuje z metalowej szafki trzy szklanki i butelkę. Wsuwa płytę do odtwarzacza pod wiszącym na ścianie telewizorem i włącza nagranie. Spogląda na zarejestrowany czas i przewija do przodu. Nagranie rozpoczyna się w pół zdania:

Louisa: ... kontynuować, Suzanno?

Suzanna: Nie jestem Suzanna. Dlaczego tak mnie nazywasz? Szybko, na ziemię! Leż i nie wstawaj!

Louisa: Przepraszam, myślałam, że nazywasz się Suzanna. Jak masz na imię?

Suzanna: Klaudia. Jestem Klaudia.

Louisa; Klaudia. Ładnie.

Klaudia: Kim jesteś? Nie widziałam cię wcześniej. Nie podróżowałaś z nami. Czy jesteś demonem z podziemi przysłanym, żeby mnie ukarać?

Louisa: Nie, nie jestem demonem. Nie bój się. Chcę ci pomóc. Możesz mi zaufać.

Klaudia: W takim razie kładź się, płasko na ziemi, inaczej cię zobaczą.

Louisa: O tak?

Klaudia: Bardziej. Jak wąż.

Louisa: Dotykam twarzą podłogi, Klaudio, nie dam rady...

Klaudia: Cicho. Nic nie mów! Jeśli cię usłyszą, schwytają nas obie.

Louisa: Ale kto? Kto nas schwyta?

Klaudia: Tamci żołnierze. Ci, którzy kryją się między skałami jak jaszczurki.

Louisa: Klaudio, nie widzę tam żadnych żołnierzy. Za drzwiami stoi tylko jeden żandarm, ale jest tu po to, żeby cię chronić.

Klaudia: Jak możesz tak mówić? Toczymy z nimi wojnę. Zabrali moją siostrę i moich przyjaciół. Zamordowali mojego brata i ojca. Toczymy z nimi wojnę.

Louisa: Nie rozumiem. Jaką wojnę?

Klaudia: Wojnę, która nigdy się nie kończy. Wojnę między nami, rodem Sabinów, a tymi wieprzami z Rzymu. Nasi mężczyźni puciekali, poginęli albo wciąż walczą. Mój brat próbował mnie bronić, ale jeden z tamtych wielkoludów ściął go mieczem.

Louisa: Jak uciekałeś, Klaudio? Biegałeś?

Klaudia: Nie. Rzymianie najpierw mnie złapali. Związali mnie jak jagnię do rzeźni i wrzucili na wóz razem z pozostałymi Sabinkami. Wielka Junona Quiritis musiała mnie mieć w swej opiece. Kilka godzin temu rozpętała się bitwa. Żołnierze ruszyli do walki z wojownikami Mettusa, porzucając nasz wóz w zakolu rzeki, w pobliżu wyspy. Widziałyśmy Rzymian wokół ognisk na wzgórzach. W zamieszaniu walki zdołałam uciec, a wraz ze mną jeszcze jedna kobieta. Przecięłyśmy więzy o kamienie na brzegu. Byłyśmy pod mostem, usiłując przedostać się na wyspę, aby się ukryć, gdy...

Louisa: Co się wydarzyło, Klaudio?

Klaudia: ...jeden z żołnierzy mnie złapał. Nie zauważyłam go. Podkraść się do mnie od tyłu i chwycił mnie za gardło. Myślałam, że za chwilę się uduszę. I z pewnością tak by się stało, gdyby nie ta druga kobieta. Była bardzo dzielna. I szybka.

Louisa: Co zrobiła?

Klaudia: Uderzyła go. Musiała. Uderzyła go kamieniem. Mocno, w tył głowy. Usłyszałam dźwięk, jakby ktoś upuścił na ziemię dojrzały melon. Uderzała, dopóki nie upadł. Potem... Potem wzięła jego miecz i wbiła mu go w brzuch. To było straszne. Wszędzie była krew - na jego ciele, na mojej twarzy i odzieniu. Byłam przerażona.

Louisa: Dobrze się czujesz?

Klaudia: Ciągle widzę jego oczy wpatrujące się w nas. Tamta kobieta wyciągnęła miecz z jego ciała i wbiła go ponownie, i jeszcze raz, żeby w końcu zamilkł.

Louisa: Już wszystko w porządku. To już przeszłość. Nie musimy więcej o tym

rozmawiać, Klaudio.

Klaudia: Ukryliśmy jego ciało. W miejscu, z którego Rzymianie wodują łodzie. Zasyпалиśmy zwłoki kamieniami z rzeki mokrymi od wodorostów. Zasyпалиśmy i zostawiłyśmy go tam. Tamta kobieta powiedziała, że ma nadzieję, że Mars, bóg tego żołnierza, wybaczy mu tak haniebną śmierć.

Louisa: Jak miała na imię ta druga kobieta?

Doktor Verdetti zatrzymuje film i spogląda na Toma i Valentynę.

- Nie odpowiedziała. Pytałam kilka razy, ale to tylko potęgowało jej przerażenie. - Wskazuje palcem na biurko. - Była tak emocjonalnie wyczerpana i wystraszona, że wczołgała się pod biurko i zasnęła. Nie byłam w stanie jej obudzić. Zupełnie jakby wpadła w śpiączkę.

Valentina chciałaby mieć czas na to, żeby poczuć współczucie dla ciężko chorej kobiety.

Ale nie ma.

Zerka na swoje notatki i stara się zadawać pytania z największą możliwą delikatnością:

- Louiso, muszę przyznać się do niewiedzy. Mieszkam w Rzymie od niedawna. Czy w tym, co powiedziała Klaudia, było coś istotnego? Coś, co ma znaczenie w tym mieście?

Lekarka kiwa głową.

- Miejsce, które opisała - to, w którym wraz z towarzyszką zabiły żołnierza - znajduje się na skraju Campus Martius, Pola Marsowego. Wiem dokładnie, o którym miejscu mówiła. To Ponte Fabricio, bodajże najstarszy most w Rzymie, a może i na świecie, łączący brzeg z Wyspą Tyberyjską. Klaudia wspomniała o Rzymianach na wzgórzach nad rzeką - sądzę, że miała na myśli Kwirynał.

- To znaczy? - wtrąca Tom.

- Jedno z rzymskich wzgórz, jak Awentyn, z tym że poświęcone Kwirynowi, sabińskiemu odpowiednikowi boga Marsa.

Valentina bierze głęboki wdech. Zdaje sobie sprawę, że nie powinna prosić lekarki o to, o co zamierza, ale nie ma wyboru.

- Louiso, to może dziwnie zabrzmieć, ale czy mogłabyś nas tam zabrać?

Doktor Verdetti marszczy brwi.

- Teraz?

- Wiem - mówi Valentina. - Jest ciemno, zimno i koszmarnie późno. Ale mam coraz mniej czasu. Zrobisz to dla nas? Proszę.

## 36.

Louisa siada na miejscu pasażera, natomiast Tom wciska się na tylne siedzenie fiata punto, niewątpliwie bijąc rekord Guinnessa w kategorii „największy były ksiądz wepchnięty w najmniejszą możliwą przestrzeń”.

Fiat toczy się w kierunku Pola Marsowego, a Tom przypomina sobie, że raptem kilka dni wcześniej stał na szczycie wieży Eiffla w towarzystwie Jean-Paula, spoglądając na paryski park o tej samej nazwie.

Przypadek?

Oby.

Na świecie muszą być dziesiątki placów defiladowych poświęconych rzymskiemu bogu wojny. Jest tylko jeden kłopot - wtedy, wpatrując się w ciemną przestrzeń, był przekonany, że nie wróci już do Francji. Wtedy wydawało mu się, że to Rzym będzie celem jego podróży, w którą wysłał go Bóg. Że to w Rzymie przyjdzie mu stoczyć bitwę.

Ostateczną bitwę o siebie samego.

Louisa tymczasem pilotuje Valentine:

- Przez idiotyczny układ ulic będziesz musiała dwa razy przejechać rzekę. Na Popolo skręć na zachód, następnie jedź Lungotevere na południe, aż minimy Ospedale Santo Spirito. Potem pokieruję cię dalej.

- Szczerze mówiąc, kręcę się w kółko - mówi Valentina. - Nie mówię o ulicach, tylko o sprawie. Wydawało mi się, że kompleks Kasandry do czegoś mnie w końcu doprowadzi, a tu bum, ni stąd, ni zowąd pojawia się kolejna osobowość i wywraca wszystko do góry nogami.

Louisa uśmiecha się.

- Rozumiem cię. Ja też mam wrażenie, że stoję w miejscu. Ale w tym wszystkim jest pewien wzorzec.

- Tak?

- Nasza pacjentka ma obsesję na punkcie wyjątkowych kobiet i zdarzeń. Kasandra to w końcu imię bogini.

- A Klaudia?

- Podobnie. Klaudiusze byli jednym z najpotężniejszych i najbardziej wpływowych rodów w starożytności. Kasandra była zamieszana w historię La Bocca della Verità, natomiast Klaudia uczestniczyła w historycznym wydarzeniu, jakim było uwiedzenie Sabineek.

- Chociaż nie było to uwiedzenie w klasycznym tego słowa znaczeniu - zauważa Tom.

- Zgadza się. Nie chodziło tam o seks, a przynajmniej nie od razu. Ta historia wydarzyła się bardzo dawno temu, prawdopodobnie w czasach Romulusa, gdy Rzym zamieszkiwali przeważnie mężczyźni, a miasto cierpiało na ciągły niedobór kobiet. Wydarzenie, które odegrała Klaudia, miało miejsce, gdy rzymscy żołnierze wkroczyli na ziemie Sabinów, które leżały na terenie dzisiejszego Lacjum, Umbrii i Abruzji. Rzymianie porwali miejscowe kobiety i uprowadzili na siedem wzgórz, aby założyć z nimi rodziny.

Tom wzdryga się.

- Potworność.

- No cóż, porwane Sabinki traktowano w Rzymie bardzo dobrze. Większość z nich została żonami i matkami Rzymian. Podejrzewam, że nie wróciłyby do Sabiny, nawet gdyby mogły.

Valentina pomału zaczyna rozumieć.

- Nastąpiło coś w rodzaju syndromu sztokholmskiego?

- Mniej więcej. - Louisa wskazuje dłonią przez przednią szybę. - Tam jest Wyspa Tyberyjska, Insula Inter-Duos-Pontes. - Odwraca się do Toma. - To znaczy „wyspa pomiędzy dwoma mostami”. Jesteśmy po niewłaściwej stronie. Historyczna Klaudia znajdowałaby się na wschodnim brzegu. Skręć w lewo.

Valentina posłusznie zjeżdża na Ponte Garibaldi, szeroką, nowoczesną ekspresówkę umożliwiającą szybki przejazd przez Tybr.

Kolejne pół godziny zajmuje im przejechanie na drugą stronę, następnie wjazd na Ponte Cesio łączący brzeg z Wyspą Tyberyjską od południa i wreszcie Ponte Fabricio, który spina Wyspę ze wschodnim brzegiem Tybru. Za dnia na moście tym tłoczą się chmary muzyków, artystów, naciągaczy i kieszonkowców.

Teraz jednak jest całkowicie opuszczony.

Valentina parkuje samochód. We trójkę wędrują przez most i wzdłuż brzegu rzeki.

Mija północ. Znad wód Tybru zrywa się zimny wiatr, chłoszcząc ich lodowatymi

podmuchami.

Tom nalega, żeby Valentina i Louisa wróciły do samochodu, podczas gdy on zbada jeszcze chodniki biegnące na północ i południe od starego mostu.

Kobiety nie protestują.

Tom nie jest pewien, czego właściwie szuka.

Zapewne jakiegoś znaku.

Jakieś nietypowej wskazówki, jak tamten napis wydrapany w konfesjonale w kościele Sacro Cuore del Suffragio. Ogniwa, które połączyłoby lodowatą rzymską noc z majaczeniami chorej psychicznie kobiety, której nigdy nawet nie poznał.

Tom stara się wyciszyć, wyłączyć z otaczającego go świata - szumu ulicy, warkotu samochodów, modnie ubranych par, spieszących się do domu. Próbuje wyobrazić sobie pierwsze lata istnienia Rzymu. Poczucie strach Sabine, którym przyszło żyć w czasach, gdy gwałt i plądrowanie były powszechnym zjawiskiem. To był okrutny wiek, w którym bogowie grali w kości ludzkim losem, a przesąd i zabobon rządziły każdą sferą życia.

Spacerując chodnikiem wzdłuż ulicy, Tom uświadamia sobie, że gdyby, tak jak Klaudia, musiał uciekać przed żołnierzami, to przede wszystkim skierowałby się na niżej położony teren na wschodnim brzegu Tybru, gdzie byłby niewidoczny z szerokiej równiny wokół rzeki.

Strome schodki prowadzą go poniżej poziomu ulicy na szeroką żwirową ścieżkę. Po prawej ma Wyspę Tyberyjską. Z nurtu rzeki wylania się łuk starożytnego mostu. Za jego plecami majaczą w ciemności światła Ponte Palatino.

Tom rusza w kierunku Ponte Fabricio, ale nagle coś, może instynkt, każe mu zawrócić i iść na południe. Nadbrzeżna ścieżka schodzi ku rzece szeroką stromą łachą, porośniętą zaroślami.

Kamienie są miejscami śliskie jak lód i grożą upadkiem prosto w lodowate wody Tybru. Sam upadek zapewne byłby przekomiczny, ale jego konsekwencje już niekoniecznie. Tomowi w końcu udaje się pokonać spadek i wyjść na równiejszy teren. Bliskie sąsiedztwo czarnych wód Tybru przyprawia go o dreszcz. Nurt w tym miejscu jest szybki i niebezpieczny.

Tom nie może powstrzymać się przed wyobrazeniem sobie zielonych rąk topielców wylaniających się z wody i chwytających go za kostki, aby wciągnąć go w huczącą toń.

Wpatruje się w ciemności w kierunku Pola Marsowego, gdzie przed wiekami w sztuce wojennej szkolila się najgroźniejsza armia starożytnego świata. Tam, gdzie niegdyś płonęły obozowe ogniska, teraz błyszczą okna mieszkań.



Tom wyjmuje z kieszeni latarkę Maglite, którą dostał od Valentyny, i omiata brzeg rzeki snopem światła. Promień latarki po chwili pada na miejsce, w którym Ponte Fabricio łączy się z Lungotevere dei Pierleoni. Ze spienionego nurtu rzeki wystaje olbrzymia łacha, niegdyś zapewne połączona z brzegiem, lub Wyspą Tyberyjską.

Tom się odwraca. Świeci latarką przed siebie, aby przypadkiem nie skrócić kostki lub nie wyrócić się na jakimś zdradliwym kamieniu. Snop światła pada nagle na różową plamę po prawej.

Ciało.

Ludzka twarz.

Serce Toma nieruchomieje na sekundę.

- *Vaffanculo!*- odzywa się zduszony męski głos.

Mężczyzna ze złości przesłania dłonią oczy.

Tom w końcu widzi go w całej okazałości.

Siedzi na kępie trawy, oparty plecami o kamienie. Spodnie ma spuszczone do kostek, a nad jego kroczem pracowicie pochyla się jakaś kobieta.

Tom kieruje latarkę w drugą stronę i odchodzi. Zastanawia się, czy ci ludzie czerpią jakąś fetyszystyczną przyjemność z uprawiania seksu w pobliżu zdradzieckiego nurtu.

Zaczyna wspinać się po kamieniach z powrotem na ścieżkę.

W tym miejscu nie ma już ani źdźbła trawy, tylko stosy głazów usypane dla ochrony przed wezbraną wodą. Tom przeskakuje po nich jak po skałach w strumieniu, poruszając się naprzód i na boki.

Światło latarki pada na kolejną parę.

Nie, tym razem to pojedynczy człowiek.

Włóczęga odsypiający nadmiar taniego wina albo po prostu chowający się tu przed wiatrem i policją.

Tom oświetla leżącą sylwetkę.

Najpierw ulega złudzeniu - wydaje mu się, że widzi całą postać śpiącego.

Ale tak nie jest.

Tom widzi tylko jego nogę, fragment prawego boku i rękę.

Reszta ciała jest zagrzebana pod kamieniami.

Mężczyzna nie żyje.

Tom odkłada latarkę, która stacza się między kamienie.

Zapada ciemność.

Tom po omacku szuka stalowej rękojeści Maglite'a.

W końcu znajduje ją i kładzie latarkę na płaskim głazie.

Snop światła pada na zwłoki.

Tom podchodzi bliżej.

Ostrożnie odsuwa kilka głazów i układa je w stos, tak aby nie stoczyły się do rzeki, która mogłaby zatrzeć ewentualne ślady.

Wciąż nie widzi całego ciała, ale mimo wiatru czuje jego smród. Przesuwa się w bok, zasłaniając światło latarki. Jego dłoń natrafia coś miękkiego. Zmiażdżonego.

W głowie trupa ziejże pokaźna dziura.

Pod palcami czuje miękką, wilgotną masę. Natychmiast cofa rękę. Coś prześlizguje się po jego dłoni.

Robactwo zdążyło już dobrać się do mózgu martwego mężczyzny. Tom nerwowo wyciera ręce o marynarkę. Lepka masa zasycha na jego palcach. Uspokojenie oddechu zajmuje mu całą minutę.

Sięga po latarkę i oświetla odkopane zwłoki.

Ciało jest spuchnięte. Przypomina nadmuchany balon.

Żołądek skręca mu się w ciasny supeł. Tom odwraca się i wymiotuje.

Wypluwa resztki wymiocin z ust i łapczywie wdycha powietrze.

Ogarnia go wstyd. Powinien myśleć o tym nieznanym mężczyźnie ze współczuciem i szacunkiem, a nie z obrzydzeniem.

Były ksiądz pochyła się nad zwłokami, składa dłonie i odmawia krótką modlitwę:

- Wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj mu świeci. Amen. - Tom żegna się i rozgląda wokół.

Powinien zostawić ciało w spokoju i zadzwonić po Valentinę. A już z całą pewnością nie powinien dotykać zwłok i zacierać kolejnych ewentualnych śladów w miejscu przestępstwa.

Ale nie może się powstrzymać.

Ciekawość bierze górę.

Musi sam to zobaczyć.

Odwraca ciało na plecy.

Nawet w panujących ciemnościach widać wyraźnie, co zabiło mężczyznę.

W jego brzuchu widnieje duży otwór.

Został zadźgany.

# 37.

Następna godzina jest jak rozmazany obraz.

Czas pędzi na złamanie karku. Tom ma wrażenie, jakby znajdował się na fotografii wykonanej z długim czasem naświetlania, gdzie tło, przechodnie i światła samochodów zlewają się w barwne smugi.

Valentina dokonuje pobieżnych oględzin zmasakrowanego ciała, po czym dzwoni po Federica, który informuje centralę i przekazuje prośbę o wsparcie.

Wezwana taksówka odwozi Louise Verdeti do domu.

Cała okolica zostaje oczyszczona z przechodniów i zabezpieczona policyjną taśmą.

Stopniowo rusza machina dochodzenia w sprawie zabójstwa.

Przy taśmie pojawia się żandarm, który kontroluje dostęp do miejsca przestępstwa i zapisuje nazwiska wszystkich wchodzących i wychodzących.

Przyjeżdża dyżurny patolog sądowy.

Policyjny fotograf robi zdjęcia.

Funkcjonariusze z dochodzeniówki ustawiają lampy łukowe i pomosty, aby zapobiec dalszemu zacieraniu śladów.

Żandarmi ruszają na okoliczne ulice, przesłuchując ludzi wychodzących z nocnych klubów i mieszkańców, których pokaźna grupa zdążyła już zgromadzić się przy policyjnej taśmie.

Tom i Valentina siedzą w samochodzie.

Były ksiądz wciąż jest w lekkim szoku.

- Będziesz miała z tym problemy?

Na twarzy Valentiny pojawia się cień uśmiechu.

- Mnóstwo.

- Przepraszam. - Tom lekko ściska jej dłoń. - Wiesz już, co powiedzieć przełożonym o nas i o tym, w jaki sposób natknąłem się na te zwłoki?

Valentina wzrusza ramionami.

- Powiem im wszystko. Albo nic. - Odwraca się do niego. - Nie zamierzam kłamać, Tom. Nie zrobiłam nic złego i nie mam zamiaru zaprzeczać, że coś nas łączy.

- Przepraszam.

- Przestań to powtarzać. Gdyby nie ty, w ogóle nie znaleźlibyśmy tego ciała. Nie masz za co mnie przepraszać. Wręcz przeciwnie.

Valentina zdaje sobie jednak sprawę, że nie pójdzie jej tak łatwo. Będzie musiała jakoś wytłumaczyć, dlaczego cywil, w dodatku obcokrajowiec, znalazł się w centrum jej śledztwa, i w dodatku odkrył zmasakrowane ciało.

Przez przednią szybę dostrzega Federica. Postawiony kołnierz płaszcza nadaje mu wygląd Elvisa Presleya. W pomarańczowoczerwonym świetle świtu z jego ust wydobywają się obłoczki pary.

Valentina wysiada z samochodu i podchodzi do niego.

- *Buongiorno, Capitano.* - Federico rozciera sobie dłonie. - Pracując z tobą, człowiek nie ma najmniejszych szans się wyspać.

Valentina ignoruje tę uwagę i idzie w kierunku ciała.

- Mamy martwego mężczyznę. Przed śmiercią otrzymał dużą ilość ciosów w głowę i brzuch. Sporo obrażeń pośmiertnych od gładów, którymi go przykryto. Wiek mniej więcej dwadzieścia-trzydzieści lat, ale w tym stanie ciężko precyzyjnie określić.

- Rozkład?

- Niecałkowity, ale sądzę, że przez pewien czas znajdował się w wodzie. Podejrzewam, że ciało pozostawiono tu w trakcie odpływu, więc znalazło się pod wodą, gdy rzeka znowu wezbrała.

- Logiczne. - Federico przechodzi pod taśmą. - Kto go znalazł?

Valentina waha się chwilę przed odpowiedzią.

- Człowiek spacerujący nad rzeką.

- Włóczęga? Bezdomny? Sporo ich tutaj. Kryją się przed wiatrem i używają Tybru w charakterze kibla.

- Nie, normalny facet - odpowiada Valentina. - Obcokrajowiec. Amerykanin. - W końcu decyduje się wyłożyć karty na stół: - Siedzi w moim samochodzie.

- Wspaniale. - Federico dostrzega okazję, żeby szybko uporać się ze sprawą i wrócić do łóżka. - Przesłuchałaś go już? Spisałaś zeznania?

- Nie. I najlepiej będzie, jeśli zrobi to ktoś inny. Ty na przykład. Albo poproś kogoś.

Federico wyczuwa nerwowość w jej głosie.

- Dlaczego?

Valentina zatrzymuje się.

- Słuchaj, niech to zostanie między nami. Ja znam tego człowieka. Chwilowo z nim mieszkam.

Porucznik Assante robi zdziwioną minę.

- Jak to z nim mieszkasz?

- To mój przyjaciel. Znamy się od dawna.

- Platonicznie czy sypialnie?

- To już nie twoja sprawa - odwarkuje Valentina.

- Prawdę mówiąc, to jest moja sprawa. - Federico wskazuje na ciało. - Bo wygląda na to, że prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa, a ciało znalazł kochanek oficer prowadzącej śledztwo.

Valentina nie ma na to żadnej odpowiedzi.

- Możemy porozmawiać o tym kiedy indziej? - Rozciera sobie ramiona. - Jest zimno, jestem zmęczona, a ty masz miejsce przestępstwa do zbadania i świadka do przesłuchania. Wrócimy do tego później, dobrze?

Federico przez chwilę rozważa kolejne pytania, ale postanawia odpuścić. Kapitan Morassi jest jego przełożoną. Zachowuje się dziwacznie, ale mimo wszystko jest szefową.

- Bene - odpowiada krótko. Przechodzi przez murek i w dół na brzeg.

Dobrze zna te okolice.

Jak większość ludzi urodzonych w Wiecznym Mieście. Czekają, aż Valentina go dogoni i zgłosi ich oficerowi dyżurnemu. Wskazuje palcem pobliski most.

- To nie jest zwykły kawałek brzegu - mówi do Valentiny. - Stoisz dokładnie w miejscu narodzin Rzymu. To tu rozegrały się wydarzenia największej legendy w historii tego miasta.

## 38.

Przesłuchanie Toma się przeciąga. Gdy w końcu docierają do mieszkania Valentiny, jest już szósta rano.

Nie ma sensu już kłaść się spać.

Valentina bierze prysznic i przebiera się do pracy.

Tom smaży jajecznicę i zaparza kawę.

Stare, poplamione farbą radio na parapecie wypływa dudniącą popową muzykę w brązowe liście wyschniętego kwiatka.

Plama zimowego słońca stopniowo rozlewa się po blacie. Tom i Valentina siadają naprzeciwko siebie, pochylając się nad stołem ze zmęczenia.

Valentina umiera z głodu.

- Mmm, świetne jajka.

Tom wybucha śmiechem.

- Ja czy jajecznica?

- *Scusi?*

- Taki żart. Jest takie amerykańskie albo brytyjskie powiedzenie - jeśli nazwiesz kogoś dobrym jajkiem, to mówisz mu komplement.

- Przepraszam, chyba zostawiłam poczucie humoru nad Tybrem. - Valentina sięga przez stół i bierze go za rękę. - Ale naprawdę dobre z ciebie jajko.

- *Grazie.*

Tom podejrzewa, że Valentina zostawiła nad rzeką coś więcej niż tylko dobry humor. Pewien gliniarz powiedział mu kiedyś, że widząc ofiarę morderstwa człowiek za każdym razem traci mały okruch duszy.

Delikatnie ściska jej dłoń.

- Wszystko w porządku?

Valentina się uśmiecha.

- Od dawna nikt mnie o to nie pytał. Nic mi nie jest. A z tobą?

Tom odpowiada kiwnięciem głowy.

- Dobrze słyszałem, że ktoś powiedział, że dokładnie w tym miejscu, w którym znalazłem tego biedaka, wilczyca odnalazła Remusa i Romulusa?

- Tak twierdzi Federico. - Valentina odkłada widelec na pusty talerz i rzuca mu zadowolone spojrzenie. - Doskonałe jajka. - Nagle na jej czole pojawia się zmarszczka. - Dlaczego pytasz? Coś ci przyszło do głowy?

- Ta wyspa, Wyspa Tyberiańska - co jest w niej takiego niezwykłego? To znaczy wiem, że most jest strasznie stary, no i jest jeszcze ta legenda o Remusie i Romulusie, ale co z samą wyspą?

Tom wstaje od stołu, przelękając ostatnie kęsy.

- Mogę skorzystać z twojego laptopa?

- O tej porze? Nie powinieneś się położyć i trochę przespać?

- Jestem tak nakręcony, że nigdy już chyba nie zasnę - odpowiada ze śmiechem.

Otwiera obudowę komputera, wyłącza tryb hibernacji i wpisuje Wyspę Tyberiańska w Google.

W międzyczasie Valentina krząta się po mikroskopijnej kuchni, zbierając naczynia i wrzucając je do zlewu wypełnionego ciepłą wodą z płynem do mycia. Jeśli będzie miała szczęście, Tom oszczędzi jej zmywania.

- Dobra, to jest ciekawe. Chodź zobaczyć.

Valentina podchodzi do niego i nie może się powstrzymać przed wytarciem mokrych rąk w jego szeroki kark.

- Ej!

Valentina całuje go w wilgotną szyję i obejmuje od tyłu.

- To jedyna wyspa na Tybrze - mówi Tom, przebiegając wzrokiem po tekście na monitorze. - Jak już wiemy, z brzegiem spina ją Ponte Fabricio, który łączy wyspę z Polem Marsowym, oraz Ponte Cestio. - Dotyka palcem ekranu. - Zobacz, kolejna legenda.

- Nie ekscytuj się tak, w Rzymie każdy krawężnik ma swoją legendę.

- Może masz rację, ale ta dotyczy jednego z ostatnich etruskich królów. Pozbawiono go władzy, a jego ciało wrzucono do Tybru. Taki los był zwykle zarezerwowany dla drobnych rzezimieszków. Według legendy Wyspa Tyberiańska powstała z mułu i gałęzi, które nagromadziły się wokół ciała obalonego tyrana.



- Nieźle. - Valentina uśmiecha się złośliwie. - Przynajmniej nie musieli sypać mu królewskiego kurhanu.

Żart nie dociera jednak do Toma, który jest całkowicie pochłonięty tekstem.

- Słuchaj dalej. Przez stulecia na wyspę zsyłano najgorszych kryminalistów i ludzi cierpiących na zakaźne choroby. A kiedy Rzym dotknęła zaraza, miejscowa sybilla - to chyba łaciński odpowiednik greckiego słowa sibylla oznaczającego wieszczkę - zaleciła wybudowanie na wyspie świątyni Asklepiosa, aby powstrzymać epidemię.

- Kogo?

- Asklepiosa. Greckiego boga medycyny.

Valentina jest pod wrażeniem.

- Skąd ty to wszystko wiesz?

- Ja sporo wiem. Pamiętasz, jak parę dni temu powiedziałeś, że seks jest panaceum na wszystkie choroby?

Valentina czerwieni się lekko.

- Panacea była córką Asklepiosa. Jej imię jest powszechnie używane - i nadużywane - we współczesnym świecie w kontekście chorób i przypadłości, natomiast w czasach starożytnej Grecji i Rzymu takim symbolem był jej ojciec. Laska Asklepiosa - czy też Eskulapa, jak nazwali go Rzymianie - do dziś jest potężnym symbolem astrologicznym i trzynastym znakiem Zodiaku.

- Co w nim takiego specjalnego?

- Laska Asklepiosa to kij, wokół którego owinięty jest wąż.

- Boże święty! - wykrzykuje z udawaną egzaltacją Valentina. - Tylko nie węże i demony!

- Bez obaw, to nie ma nic wspólnego z satanizmem. Asklepios był wybitnym lekarzem. Według legend posiadał umiejętność wskrzeszania zmarłych. Jego symbolem w Stanach posługuje się Amerykańskie Towarzystwo Medyczne, Amerykańska Akademia Psychiatrii Sądowej i Korpus Medyczny Sił Powietrznych USA. - Tom przypomina sobie jeszcze kilka organizacji: - Prawdę mówiąc, używa go też Korpus Medyczny Armii Brytyjskiej, Kanadyjskie Towarzystwo Medyczne, a nawet Światowa Organizacja Zdrowia.

- Dobra, poddaję się w obliczu autorytetów medycznych, ale do czego zmierzasz? Co oznacza ten wąż i jaki to ma związek z naszą sprawą?

- Nie wiem, czy będę potrafił udzielić ci jednoznacznej odpowiedzi, ale pomyśl: Asklepios pozostawił po sobie potężny kult, który miał wpływ na największe medyczne umysły

świata. Laska i wąż nawiązują do wewnętrznej sprzeczności medycyny posługującej się środkami, które w małych dawkach leczą, ale w większych zabijają. Krótko mówiąc, we współczesnym świecie lekarz jest bogiem dysponującym mocą dawania i odbierania życia.

## 39.

Louisa Verdetti przychodzi do pracy wyczerpana.

Przez całą noc nie zmrużyła oka.

Od razu po przyjściu do szpitala idzie do gabinetu Valducciego i opowiada mu swoją nocną przygodę z żandarmerią.

Dyrektor w milczeniu słucha relacji o znalezieniu zwłok nad rzeką i możliwego związku morderstwa z tajemniczą pacjentką na ich oddziale.

- Przepraszam, powinnam była zadzwonić i poinformować cię, że policja poprosiła mnie o współpracę.

- Powinnaś była. Wplątałaś w to nie tylko siebie, ale i nasz szpital. - Valducci obraca się na fotelu i spogląda przez okno. - Sądysz, że będą chcieli cię przesłuchać?

Louisa wzrusza ramionami.

- Nie wiem. Pewnie tak.

Valducci ponownie odwraca się do niej.

- Nie ma nic złego w pomaganiu policji, ale chcę o wszystkim wiedzieć. Czy proszę o zbyt wiele?

- Oczywiście, że nie.

- Dobrze.

Louisa podnosi się z krzesła.

- Jeszcze jedno - rzuca dyrektor. - Chciałbym spojrzeć na twoje notatki na temat naszej gwiazdy.

- *Scusi?*

- Chcę postawić ostateczną diagnozę. Twierdzisz, że ta kobieta cierpi na DID, a ja wciąż uważam, że to schizofrenia, więc spróbujmy

w końcu to rozstrzygnąć, żebyśmy mogli zaprezentować policji jedną wersję.

Propozycja dyrektora ma sens, ale w tej chwili porównywanie diagnoz jest ostatnią rzeczą, na jaką Louisa ma ochotę.

Valducci wyczuwa jej niechęć.

- Louiso, jeśli moja analiza wykaże, że twoja diagnoza jest błędna, unikniesz kompromitacji na zewnątrz naszego szpitala.

- Przepraszam. Po prostu miałam fatalną noc, a teraz mam migrenę.

- Analiza objawów schizofrenii i dysocjacyjnego zaburzenia osobowości w kontekście naszej pacjentki postawi cię szybko na nogi. Jakich narzędzi diagnostycznych dotąd użyłaś?

Louisę irytuje już pierwsze pytanie.

- DES, DDIS, SDQ-20. Przed postawieniem ostatecznej diagnozy dokładnie przebadaliśmy ją pod kątem amnezji, depersonalizacji i derealizacji.

- Dobrze, to znaczy, że jesteś przygotowana. Wymień mi jednoznaczne objawy u tej kobiety, które nie wskazują na schizofrenię.

Louisa z trudem zmusza swój mózg do pracy.

- Zaburzenie osobowości. Suzanna ma ciągle problemy z osobowością, które w oczywisty sposób manifestują się pod postacią alter ego.

- Oczywiście - prycha sarkastycznie Valducci. - Schizofrenicy również cierpią na zanik osobowości i tracą poczucie swojej roli społecznej. Niejednoznaczne, argument obalony. Następny.

- Omamy zgodne z klasyfikacją Schneidera. Również potwierdzone obecnością wielu osobowości, jak również zmianami fizycznymi następującymi po przejściu ciała przez kolejne alter ego.

- Hm, nie jestem przekonany, czy zmiany fizyczne cokolwiek tu potwierdzają. Mogą być spowodowane czynnikami psychosomatycznymi. A poza tym schizofrenicy też cierpią na omamy - pełno mamy na oddziale takich, którym wydaje się, że ścigają ich kosmici, albo rząd, albo mafia.

- Niewykluczone, że niektórych naprawdę ktoś ściga.

Valducci niemal wybucha śmiechem.

- Argument obalony. Następny.

- Schorzenia współistniejące.

Dyrektor gapi się na nią ze zdumieniem.

- Zdiagnozowałaś u niej kliniczną depresję?

- Nie. To tylko podejrzenie, ale mam mocne poszlaki.

Pacjentka prawdopodobnie...

- Poszlaki to za mało. Poza tym nawet gdyby kliniczna depresja albo mania współistniały razem z objawami dysocjacyjnymi, to wciąż to wszystko nie wskazuje jednoznacznie na DID. Schizofrenicy regularnie cierpią na zaburzenia nastroju. Argument obalony. Następny.

Louisa czuje narastające napięcie.

- W ten sposób możemy spędzić tu cały dzień. Ja rzucam ci objaw DID, ty odpowiadasz objawem schizofrenii. W ten sposób do niczego nie dojdziemy. Suzanna nie ma typowych objawów schizofrenii.

- Na przykład?

- Katatonii.

- Zgoda.

- Innych objawów psychotycznych.

- Na przykład?

- No... W jej rozumowaniu nie ma sprzeczności.

- Zgoda.

Louisie kończą się argumenty.

Zostaje jej tylko jeden, ale będzie musiała przyznać się do czegoś, co wolałaby zachować w tajemnicy.

- Nagrałam swoją ostatnią sesję z nią.

- Słucham?

- Głównie dla celów diagnostycznych, chociaż miałam nadzieję, że dzięki temu znajdę jakiś punkt zaczepienia dla terapii. Obejrzyj to i wtedy wydaj swoją diagnozę.

Valducci ma minę kota, który właśnie zeżarł kanarka.

- Z przyjemnością!

Louisa wstaje i kieruje się w stronę drzwi.

- Będę bardzo zaskoczona, jeśli po obejrzeniu nadal będziesz się upierał, że dziewczyna ma schizofrenię.

Valducci uśmiecha się złośliwie.

- A ja nie.

Doktor Verdeti kładzie dłoń na klawce i ostatni raz odwraca się do dyrektora.

- Dziękuję za wyrozumiałość w sprawie wczorajszej nocy. Jestem ci wdzięczna. I

obiecuję, że od teraz będę cię informować o wszystkim na bieżąco.

Valducci nie odpowiada.

Wie, że jeśli tylko wręczy jej odpowiednio długą linę, Louisa sama się na niej powiesi.

A przy odrobinie szczęścia żandarmeria jeszcze jej w tym pomoże.

## 40.

Profesor Enrico Ferrari siedzi za biurkiem w laboratorium kryminalistycznym, zmagając się z największym problemem tego poranka.

Ma przed sobą klasyczny dylemat, który rozstrzygnąć można tylko poprzez eliminację jednej z możliwości, ale w gruncie rzeczy chciałoby się zachować obie.

Pączki z dżemem malinowym albo sałatka owocowa? Oto jest pytanie. Wprawdzie idąc do kantyny, zamierzał kupić sobie wyłącznie espresso, jednak w jakiś sposób wrócił do laboratorium z sałatką i pączkami.

I to wcale nie była jego wina.

Pokusa spadła na niego przy samej kasie. Cichy głosik zaczął szeptać mu do ucha, że tak postawny mężczyzna nie przetrwa na samych owocach. Że jego obowiązkiem jest zadbać o właściwe proporcje w odżywianiu.

Dlatego kupił też pączki.

W rezultacie stanął przed wyborem: trzymać się diety czy ją zignorować. Tak naprawdę powinien zjeść owoce, a potem wykazać siłę woli i wyrzucić pudełko z pączkami do kosza.

Nic z tego.

Profesor Ferrari zlizuje lukier z palców.

O, bogowie...

Pączek eksploduje w jego ustach malinową fontanną, ciepłą i słodką, otoczoną miękkim ciastem o chrupiącej skórce.

O, wielcy bogowie...

Profesor Ferrari zdaje sobie sprawę, że pochłania właśnie tysiące, miliony kalorii. Zdaje sobie również sprawę, że za swoje grzechy będzie do końca życia pokutował w piekle otyłości, ale przez kolejne trzy minuty nie ma to najmniejszego znaczenia.

Gdy Valentina Morassi bez zapowiedzi wchodzi do laboratorium, profesor jest w trakcie szukania jakiejś chusteczki.

Sądzi, że od kolejnego pączka lepiej smakowałaby tylko pełna pani kapitan.

Bogowie, dla niej porzuciłby nawet owoce i żył o samej kawie.

- *Buongiorno* - wita się z nią wesoło, szukając wzrokiem Federica, którego jednak nigdzie nie widać. - Przyszła pani sama?

Valentina unosi jedną brew.

- Ma pan coś przeciwko? Moja *mamma* zawsze powtarzała, że wolno mi wychodzić samej, jeśli będę uważać na przejściu przez ulicę.

Profesor przepaszającym gestem unosi dłonie.

- *Scusi*. Po prostu spodziewałem się Federica.

Valentina nie wyjaśnia jednak nieobecności partnera.

- Kilka godzin temu nad rzeką w pobliżu Wyspy Tyberiańskiej znaleziono ciało. W tej chwili jest w kostnicy, ale ubiegłej nocy poprosiłam o szybkie testy krwi z ubrania ofiary.

- Ach tak. Odwieczne poszukiwanie ketsueki-gata.

Valentina gapi się na niego ze zdumieniem.

- Ket... co?

- Ketsueki-gata. Japończycy wierzą, że grupa krwi jest kluczem do osobowości człowieka. Ja na przykład mam grupę A. To oznacza, że jestem uczciwy, twórczy i rozsądny, choć bywam czasami nadmiernie drobiazgowy.

- Fascynujące, ale niestety szukam czegoś innego. Grupę, która mnie interesuje, zebrano z zadźganego ciała mężczyzny dziś rano.

Nadzieje na flirt ulatują.

- Dopiero przyszedłem, nie wiem, czy już ją zbadali. - Profesor wyciera lepkie od lukru dłonie o fartuch i wstaje. - Proszę za mną. Zajrzymy w papiery i wszystkiego się dowiemy.

Valentina podąża za nim labiryntem szarych korytarzy.

- Czy zna pani imię albo nazwisko ofiary?

- Nie. Ofiarą jest mężczyzna. Próbkę powinny trafić do laboratorium około czwartej rano. Mam nadzieję, że w tym samym czasie nie przysłano panu do analizy więcej krwi zamordowanych anonimowych mężczyzn.

- Miejmy nadzieję, że nie. - Profesor zerka na zegarek na ręce. Dochodzi dziewiąta. - Laboranci z nocnej zmiany poszli już do domu. Będzie pani miała szczęście, jeśli w ogóle sporządzili raport.

- Ja mam szczęście.



Ferrari zatrzymuje się w pół kroku i odwraca.

- Co proszę?

- Mam szczęście - odpowiada Valentina. - Jestem jedną z tych osób, które generalnie mają szczęście we wszystkim. W miłości, w życiu. No, prawie we wszystkim - poprawia się po chwili.

Ferrari jest skłonny w to uwierzyć. Dziewczyna doszła do stopnia kapitana, jest wyjątkowo bystra, a jeśli chodzi o urodę, to profesor czołgałby się nagi po tłuczonym szkle, byle tylko móc zlizać brud z jej stóp.

- Co? - Valentina marszczy brwi.

- Hm?

Morassi wybucha śmiechem.

- Gapi się pan na mnie. Coś się stało?

Profesor otrząsa się z chwilowego transu.

- *Mi dispiace*. Pani uroda mnie poraziła.

- Ooo, ładnie powiedziane. - Valentina uśmiecha się przebiegle. Podchodzi do niego bliżej, stanowczo zbyt blisko i unosi smukły palec niemal do samych ust profesora. - Gdyby w moim życiu nie było faceta, którego uwielbiam, i gdyby nie miał pan całego policzka usmarowanego lukrem jak dwulatek - wyciera jego twarz czubkiem palca - to nie wykluczam, że miałby pan u mnie szansę.

Kryminolog stoi z przerażoną miną i rozdziawionymi ustami.

Tłuste palce natychmiast wędrują do twarzy.

- Śniadanie! - wykrzykuje żalonym głosem, wycierając się desperacko. - *Scusi*. Akurat jadłem śniadanie, kiedy pani weszła.

Od dalszego upokorzenia ratują go otwarte drzwi. Ferrari wpada do biura wypełnionego brzęczącymi telefonami i grzechoczącymi drukarkami. Kilkoro pracowników administracyjnych i sekretarek patrzy ciekawie na profesora, który rzuca się na półkę z dokumentami przychodzącymi w szafce przy wejściu.

Valentina cierpliwie obserwuje, jak Ferrari przekopuje się przez kolejne dokumenty, doskonale zdając sobie sprawę, że sama jest obserwowana przez przynajmniej połowę biura. Sekretarki podziwiają jej strój, a także fakt, że sam Enrico Ferrari grzebie dla niej w papierach jak pierwszy lepszy asystent.

- Mam! - woła profesor, wymachując radośnie kartką. - Testy krwi z odzieży niezidentyfikowanego mężczyzny znalezionego wcześniej rano. Figuruje pani jako oficer prowadzący śledztwo.

- *Grazie*. - Valentina wdzięcznie kiwa głową w kierunku papierów w dłoni profesora. - Coś więcej?

Tym razem to Ferrari ma przewagę. Wie, że Valentina szuka związku między ciałem znad rzeki a testami krwi zebranej z ubrania i miecza tamtej kobiety sprzed kilku dni. W milczeniu przebiega wzrokiem po kolumnach i akapitach.

- Niestety, nie mam dobrych wieści - mówi, podnosząc wzrok. - Na ciele z wczoraj znaleziono tylko jedną grupę krwi, 0 Rh+. Najbardziej powszechną we Włoszech i na świecie w ogóle. - Profesor macha dłonią w górę i w dół. - Czasami w niektórych krajach najbardziej powszechna jest grupa A Rh+, ale niestety nie w tej chwili i nie tutaj. Tak czy owak, obawiam się, że krew tego mężczyzny nie pasuje do żadnej z próbek, które pobraliśmy dla pani wcześniej.

Valentina czuje potworne znużenie.

- Żadnej?

- Żadnej. - W oczach profesora pojawia się współczucie. - Podsumuję to dla pani jeszcze raz: próbka z wczoraj ma grupę 0 Rh+. Krew pobrana z odzieży tamtej kobiety ma grupę AB. Krew z miecza ma czynnik Rh+, a krew z odciętej dłoni Rh-. Krótko mówiąc, mamy tu imponujący chaos: nic do niczego nie pasuje.

Valentina kręci głową. Nie widzi w tym nic imponującego. Czuje się tak, jakby nie trafiła żadnej liczby na loterii i został jej tylko szereg pechowych cyfr.

Przyszła do laboratorium w nadziei na odpowiedzi, a znalazła tylko kolejne pytania.

Całe mnóstwo pytań.

# 41.

La Rambla to hiszpański bar wciśnięty w róg ulicy pomiędzy placem św. Piotra a Ospedale Generale Santo Spirito, jak porzucony skuter Vespa. Alfie Giordano przychodzi tu na kiepskie tapas i solidne śniadania od pierwszego dnia w Rzymie.

Wraz z Tomem siedzą na wysokich chromowanych stołkach barowych przy zakurzonej witrynie, wspominając dawne czasy i pochłaniając *colazioni* serwowane przez Josepha, właściciela lokalu, który podaje porcje godne wygłodzonego pułku kawalerii.

- Sprawa Valentyny jest powiązana z kościołem na Cosmedinie.

- Santa Maria?

- Tak.

Alfie dobrze zna tę świątynię.

- Poświęcony Najświętszej Pannie, znany też pod nazwą Santa Maria in Schola Graeca - kościół Naszej Pani w Dzielnicy Greków - podaje Tomowi mikroskopijną filiżankę espresso i talerzyk.

- Ale słynie z kamiennych ust.

- La Bocca della Verità. - Alfie chwyta lewą dłonią swój prawy nadgarstek. - Oraz z tysiąca opowieści o kłamcach i oszustach, którzy potracili w nich ręce.

- No to być może powstanie kolejna. Sprawa Valentyny dotyczy odciętej dłoni znalezionej w portyku niedaleko Ust Prawdy.

Alfie wrzuca do kawy kostkę brązowego cukru.

- Nic o tym nie słyszałem.

- To dobrze, Valentina bardzo się stara, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Aresztowali jedną kobietę, Suzannę Grecoraci, ale wygląda na to, że jest psychicznie chora.

- Ludzie, którzy odcinają ręce innym ludziom, zazwyczaj są chorzy.

- Valentina nie sądzi, żeby to ona była sprawczynią. Nawet mimo faktu, że napisała jakąś dziwną historię, w której przedstawiła się jako Kasandra, dama z wysokiego rodu w starożytnym Rzymie, której odcięto dłoń w tym kościele.

Alfie miesza kawę.

- Dość nieprawdopodobny zbieg przypadków.

- Zgadza się. - Tom wpatruje się w ulicę za szybą. Przechodnie mają postawione kołnierze. Szalik powiewa na dziecięcej szyi jak bandera na statku w czasie sztormu.

Alfie wypija espresso i odstawia filiżankę.

- W kościele Santa Maria in Cosmedin znajduje się również grób świętego Walentego.

- Naprawdę? Nie wiedziałem o tym.

- Widziałem czaszkę. Imponujący widok, choć raczej mało romantyczny.

- Podejrzewam, że cieszy się sporym zainteresowaniem w okolicach walentynek.

- Kościół jest wypełniony po brzegi. - Alfie rzuca Tomowi uważne spojrzenie. - A skoro już mowa o romantycznych porywach serca, to ty z Valentiną tak na poważnie?

Tom niemal krztusi się kawą.

- W jakim sensie na poważnie?

- W takim, w którym pewnego dnia poprosisz mnie o udzielenie sakramentu. - Alfie wykonuje teatralny znak krzyża.

Na twarzy Toma z kolei maluje się przerażenie.

- Jest stanowczo za wcześnie, żeby w ogóle na ten temat dyskutować!

- Ach tak. Za wcześnie. Ciekawy dobór słów. Oznacza, że nie tylko nie wykluczasz takiej ewentualności, ale wręcz nie chcesz jej wykluczyć. Intrygujące. Można by to zinterpretować wręcz jako „kiedyś w przyszłości”.

- Ktoś, kto odprawia msze w świętym Piotrze, nie musi chyba szukać dodatkowych fuch?

A poza tym Valentina już wzięła ślub. Ze swoją pracą.

- Jaka szkoda. - Alfie wydyma usta z udawanym współczuciem. - Ta dziwaczna sprawa z odciętą dłonią odciąga ją od ciebie?

- Sprawa jest znacznie dziwniejsza niż to, co ci opowiedziałem. - Tom nalewa sobie i przyjacielowi po szklance soku pomarańczowego. - Morderstwo, rytualne odcięcie części ciała, podejrzenie dysocjacyjnego zaburzenia osobowości, a do tego więcej pogańskich kultów, mitów i legend, niż mógłby sobie wyobrazić sam Tolkien.

Alfie wybucha śmiechem.

- W Rzymie wszystko ma związek ze starożytnymi pogańskimi kultami, mitami i legendami. Całe to miasto wznosi się na zapomnianych opowieściach. Oraz na pokaźnej liczbie

morderstw i okaleczeń.

- Valentina powiedziała mi mniej więcej to samo.

- Bystra dziewczyna. Powinieneś się z nią ożenić. - Alfie macza rogalik w dżemie z tokańskich wiśni. - To, co powiedziałeś o DID, jest ciekawe. Jesteś pewien, że chodzi o rozdwojenie osobowości, a nie opętanie?

- Myślałem o tym. Z tego, co widziałem, alternatywne osobowości mają źródło psychologiczne, a nie duchowe. Wydaje się, że są mechanizmem obronnym ukrywającym jakąś traumę z dzieciństwa, a nie indywidualnymi manifestacjami zła.

- Jesteś w stanie z całą pewnością stwierdzić, że żadna z alternatywnych osobowości nie jest demonem?

Tom nie musi długo zastanawiać się nad odpowiedzią.

- Nie. Nie jestem. Nie widziałem wszystkich osobowości, więc ferowanie ostatecznych wyroków byłoby głupotą.

Alfie przełamuje rogalik wypełniony waniliowym kremem.

- A to morderstwo, o którym wspomniałeś? Chodzi o ofiarę z Cosmedinu?

- Nie, tego ciała jeszcze nie znaleźli. Wczoraj z kolei odkryli zwłoki mężczyzny przy Ponte Fabricio.

Alfie zlizuje krem z czubków palców.

- Mieszkam w Rzymie dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że Ponte Fabricio to w zasadzie miejsce narodzin imperium. Jaki to ma związek z resztą sprawy?

- Kobieta aresztowana w związku z Cosmedinem mówiła o zwłokach pod mostem w czasach jednego z jej alter ego, Klaudii - relacjonuje Tom. - Pojechaliśmy tam z Valentiną i lekarką z oddziału psychiatrycznego, która opiekuje się tą kobietą. Znalazłem ciało dokładnie w miejscu, w którym Klaudia zabiła jakiegoś żołnierza setki lat temu.

Alfie jest wyraźnie zaintrygowany.

- A może ta cała Suzanna zabiła go naprawdę, a potem nie poradziła sobie z ciężarem tego, co zrobiła, i uciekła w świat fantazji?

Tom kręci głową.

- Ciało było pocięte nożem, a czaszka zmiądzona. Nie wyobrażam sobie, żeby jakakolwiek kobieta zdołała zrobić coś takiego. A już na pewno nie Suzanna. Po prostu nie wygląda na morderczynię.

- Może widziałeś w życiu za mało morderczyń.

- Widziałem dosyć. Nie zapominaj, że byłem duszpasterzem w kilku więzieniach w Kalifornii i pracowałem w San Quentin ze skazanymi na śmierć. Wiem, że ci ludzie nie mają na czole wytatuowanego napisu „morderca”. - Tom łowi wzrok Josepa i gestem prosi go o dolewkę kawy. - Co wiesz o kościele Sacro Cuore del Suffragio i Muzeum Dusz Czyścicowych?

- Trochę. - Alfie kończy pochłanianie rogalika. - Uważam, że przynajmniej część eksponatów to fałszywki. Kiedy tam wchodzę, mam wrażenie, że jestem raczej w cyrku niż w świętym miejscu.

Tom czuł się w muzeum dokładnie tak samo.

- Na ścianie konfesjonau w tym kościele znaleźliśmy wydrapane słowa „władca”, „władczyni”, „świątynia” i „zbaw nas ode złego”.

- W sumie właściwe miejsce na takie słowa.

- Tylko że napisano je po łacinie. W dodatku te same słowa wypowiedziała wcześniej jedna z alternatywnych osobowości podejrzanej, Kasandra. Ta, która straciła dłoń w Ustach Prawdy.

- Kasandra? - Alfie stuka palcami w blat. - Kasandra była grecką wieszczką zagłady.

- Wiem. Co więcej, w konfesjonale ktoś narysował jeszcze trójkąt.

- Symbol?

- Być może. Valentina mówiła, że aresztowana kobieta miała na sobie naszyjnik w tym samym kształcie.

- Sądzę, że sporo kobiet nosi trójkątne naszyjniki - mówi sceptycznie Alfie. Po chwili dodaje: - Dawno temu czytałem, że trójkąt symbolizuje płodność. - Rysuje palcem kształt w powietrzu. - Stanowi reprezentację kobiecego łona i ma jakieś mistyczne związki z macicą.

- To samo powiedziałem Valentinie. Grecy posługiwali się trójkątem jako wyobrażeniem sromu bogini Demeter.

- Przyznaj się, używasz takich słów, żeby sprowadzić mnie na ścieżkę grzechu.

- Srom, srom, srom - powtarza ze śmiechem Tom.

Alfie krzyżuje palce wskazujące.

- Odejdź ode mnie, szatanie!

Obaj wybuchają śmiechem.

- Tak naprawdę trójkąt od razu kojarzy mi się z pentagramem, ale podejrzewam, że to

skrzywienie zawodowe.

- *Pentagrammon, pentagrammos* - odpowiada Alfie, popisując się znajomością greki. - Pięć linii, pięć boków. Ta przeklęta gwiazda pojawia się już w pismach z Mezopotamii, datowanych na trzy tysiące lat przed tym, jak nasz dobry Pan zstąpił na ten parszywy padół.

- Pitagorejczycy nazywali pentagram Higieją - od imienia bogini zdrowia.

Alfie nie zamierza składać broni w pojedynku na erudycję.

- Tak, ale średniowieczni neopitagorejczycy - którzy w gruncie rzeczy z pitagoreizmem nie mieli nic wspólnego - twierdzili, że pentagram reprezentuje pięć klasycznych żywiołów. - Alfie kreśli w powietrzu pięcioramienną gwiazdę. - Cztery z nich to ogień, woda, powietrze i ziemia oraz piąty, nadnaturalny, czyli duch.

Tom ma już dość tej intelektualnej szermierki.

- No dobrze, to teraz powiedz mi, czy widzisz w tym wszystkim jakiś sens? Dostrzegasz las za drzewami? Bo ja nie widzę niczego.

Alfie z namysłem obraca w palcach filiżankę po espresso.

- Nie bardzo. Symbole zawsze są obudowane tajemnicami. Tajemnice z kolei często oznaczają, że kryje się za tym jakiś kult. A kultury z reguły przyciągają wariatów.

Tom nie bardzo rozumie, do czego zmierza jego przyjaciel.

- No i...?

- Wiesz, że miłośnicy kawy przychodzą do takich kawiarni jak ta, kiedy chcą się napić prawdziwej siekiery? Z najlepszych ziaren?

- Jasne.

- Analogicznie jest z kultami i ludźmi, którzy wierzą w moc symboli. Oni też zbierają się w swoich metaforycznych kawiarniach, żeby wspólnie napić się mistycznej kawy.

- Masz na myśli świątynie?

- Otóż to. A w Rzymie to mogą być nawet zburzone świątynie.

- Innymi słowy, ludzie noszący trójkątne naszyjniki zbierają się w świątyni trójkątnych naszyjników. Mam szukać pod „T” w książce telefonicznej?

Alfie śmieje się.

- Pod „T” jak trójkąt albo „Ś”, jak świątynia.

- Wariactwo. - Tom machinalnie zrywa etykietę z butelki wody na stole. - Przede wszystkim trzeba pamiętać, że ta nieszczęsna kobieta jest psychicznie chora. Cierpi na ciężkie

rozdwojenie jaźni i nie wie nawet, jak się naprawdę nazywa, czy ma męża albo dzieci.

Alfie zabiera mu butelkę i posyła karcące spojrzenie, jak matka napominająca krnąbrne dziecko.

- Może ta biedaczka nie jest tak całkiem szalona. Może wykorzystuje alternatywne osobowości, żeby zostawiać ślady i wskazówki.

Może prosi w ten sposób o pomoc. Może ma nadzieję, że ktoś taki jak ty - albo twoja przyszła małżonka - odszyfrujecie te wskazówki i zdołacie jej pomóc.

Tom rzuca mu mordercze spojrzenie.

- Miałem cię zaprosić na kolację z Valentiną, ale widzę, że to by się źle skończyło.

- *Mea culpa.*

Tom dochodzi do wniosku, że domysły Alfiego nie są tak całkiem pozbawione sensu. Jeżeli Suzanna wplątała się w jakiś kult lub sektę, to naturalne, że boi się o tym mówić. Być może nie jest pewna, czy powinna w ogóle zdradzać jakieś sekrety. Historyczne postacie jako alternatywne osobowości i dziwaczne wskazówki rzeczywiście wskazują na błaganie o pomoc. Tom bierze łyk gęstego jak smoła espresso.

- Wspomniałeś o świątyniach.

Alfie kiwa głową.

- W Rzymie są ich z pewnością setki, ale czy któraś ma coś wspólnego z trójkątami?

- Znam to miasto całkiem dobrze, ale nie aż tak. - Alfie zeskakuje ze stołka i podchodzi do baru. - Josep, pożyczylbyś nam na chwilę komputer? - pyta, wskazując na lśniący nowością tablet Apple iPad, obiekt nieskrywanej dumy właściciela, leżący na blacie obok kasy.

- *Si*, ale niech go ksiądz nie zepsuje, dobrze? - Josep wręcza Alfiemu tablet z taką miną, jakby oddawał nowo narodzone dziecko w łapy pijanego rugbysty.

Alfie troskliwie obejmuje urządzenie i się uśmiecha.

- Będę o niego dbał jak o twoją duszę, Josep.

Tom nie jest fanatykiem nowych technologii, ale smukły, futurystyczny kształt iPada nawet na nim robi wrażenie.

- Bajerancka zabawka. Słyszałem o nich, ale nigdy nie widziałem żadnego na własne oczy.

- No to teraz możesz zobaczyć - i dotknąć! - Alfie odsuwa stołek, tak żeby obaj mieli dostęp do tabletu. Otwiera przeglądarkę Safari i wpisuje trzy słowa: świątynia, trójkąt, Rzym.



I natychmiast zaczyna żałować.

Przeglądarka odpowiada beużytecznymi linkami do stron poświęconych templariuszom, Trójkątowi Bermudzkiemu i „Rzymskim wakacjom”.

Kolejne wyniki są nieco bardziej obiecujące - znajdują kilka stron dotyczących roli trójkątów w historii starożytnej Grecji i Rzymu.

- Przyjrzyjmy się bliżej - proponuje Tom.

Alfie otwiera kolejne strony opisujące symbolikę trójkąta aż do czasów epoki brązu. Ich uwagę przyciąga najpierw artykuł na temat geometrii euklidesowej, potem przekopują się przez historię trójkątnych symboli w pałacach i świętych jaskiniach Krety oraz w górskich sanktuariach i grobowcach Grecji przedhelleńskiej.

- Powinniśmy zawęzić kryteria - mówi w końcu Alfie, który ma serdecznie dosyć czytania kolejnych, interesujących wprawdzie, ale beużytecznych stron. - Wpiszę po prostu „świątynie w Rzymie” i zobaczymy, co wyjdzie.

Wyszły dwa miliony trafień.

Tom odchyła się na stołku.

- Fiuu! To się nazywa szukanie igły w stogu siana. Myślałem, że chciałeś zawęzić wyszukiwanie.

- Ja też tak myślałem - odpowiada ponuro Alfie, otwierając stronę z Wikipedii, na której znajduje się ułożona alfabetycznie lista świątyń, ośrodków kultu i pogańskich budowli w Wiecznym Mieście. - No dobra, co my tu mamy?

Linki do poszczególnych świątyń podzielone są geograficznie, a także według bóstw, którym są poświęcone.

- Mamy tu siedem głównych obszarów - mówi Tom, przesuwając palcem po ekranie tabletu. - Campus Martius, czyli Pole Marsowe, Wzgórze Kapitolińskie, Palatyn, Forum Boarium, Forum Romanum, fora cesarskie i Fora Venalia.

- O kurde - komentuje elokwentnie Alfie.

- Jest jeszcze pięć dodatkowych kategorii. - Tom sunie palcem po ekranie. - Świątynie: Kybele, Heliogabala, Marka Aureliusza, Minerwy Uzdrowicielki i Cnoty.

- O cholera.

Słońce wpada jasnymi smugami do wnętrza baru, ogrzewając ich twarze. Tom ziewa i przypomina sobie, że musi nadrobić brak snu z poprzedniej nocy. I to szybko.

- Mam dość. Zapłacę rachunek. - Zsuwa się ze stołka i idzie uiścić należność Josepowi. -  
Zapisz mi adresy tych stron, Alfie. Pokażę je Valentinie.

- Jasne. - Alfie zapisuje odnośniki na papierowej serwetce, po czym dołącza do Toma przy barze, ostrożnie niosąc tablet.

Odkłada go za kontuar i podłącza do ładowania. Sokole oczy Josepa śledzą każdy jego ruch.

Tom i Alfie żegnają się ze sobą wylewnie i rozchodzą w przeciwne strony.

Żaden z nich nie zauważa mężczyzny po drugiej stronie ulicy.

Mężczyzny, który obserwował ich przez ostatnie dwie godziny.

## 42.

Miejscowi policjanci i pracownicy kostnicy mówią na nią Nonna. Babcia.

Professora Filomena Schiavone, patolog sądowa, w rzeczywistości jest babcią, więc ten przydomek niespecjalnie jej przeszkadza.

Choć nie zawsze tak było.

Kiedyś Filomena Schiavone miała obsesję na punkcie upływającego czasu.

Trzydzieste urodziny było dla niej traumatycznym przeżyciem. Pierwszy siwy włos, który wtedy zauważyła, stanowił ostateczne i bolesne zakończenie młodości.

Czterdziestka była potworna. Wszyscy wokół się rozwodzili albo uświadamiali sobie, że nie doczekają się już dzieci. Wtedy profesor Schiavone po raz pierwszy zaczęła odczuwać niepewność co do przyszłości.

Pięćdziesiąte urodziny to już prawdziwa katastrofa.

Wtedy kłamała na temat swojego wieku. Długo odpychała od siebie świadomość przekroczenia tego Rubikonu. Bardzo długo.

Mimo osiągnięcia półwiecza wciąż miała admiratorów. Nawet po śmierci męża, cztery dni przed jej pięćdziesiątymi piątymi urodzinami.

Sześćdziesiątka zmieniła wszystko.

Filomena Schiavone w końcu nauczyła się akceptować upływający czas.

Życie było krótkie i ubywało go z każdą chwilą. Dlatego należało przeżyć je jak najpełniej.

W porównaniu z utratą ukochanego Maria siwe włosy i coraz bardziej obwisła skóra były błahostką. Jego śmierć wstrząsnęła posadami jej świata. Przez pięć lat żyła jak pustelniczka, znajdując czas wyłącznie dla córki, dwójki wnuków i, rzecz jasna, pracy.

Ale to już zamknięty rozdział.

Filomena znów zaczęła umawiać się z mężczyznami.

Jakkolwiek absurdalnie by to nie brzmiało, profesor Schiavone ponownie, jak mówi,

„wyruszyła na łowy”. Obecnie spotyka się z emerytowanym prawnikiem, który w przyszłym roku skończy siedemdziesiąt lat.

Filomena Schiavone wie teraz całkiem przyjemne życie.

A w każdym razie wiodła do momentu, kiedy pochyliła się nad zwłokami, które do jej laboratorium wnieśli asystenci.

Podłoga jest zachlapaną brunatną wodą, która sączy się z otworów zmasakrowanego ciała.

Filomena bada rozległe rany, w których zdążyły zagnieździć się robaki i skorupiaki.

Ciało należy do w miarę dobrze odżywionego mężczyzny po trzydziestce. Wzrost około metra osiemdziesiąt. Ważył zapewne około osiemdziesięciu kilogramów, przynajmniej do momentu, aż rozcięto mu żołądek i połowa organów wypłynęła na zewnątrz. Schiavone unosi dłonie ofiary i zauważa, że większość palców została wyłamana. Niewykluczone, że to ślad po torturach albo też pozostałość po gładkach i kamieniach, którymi przywalono ciało. Połamane żebra, pęknięta szczęka i uszkodzony łuk brwiowy wskazują raczej na tę drugą możliwość. Za jakiś czas zrobi mu prześwietlenie. Rentgenowskie zdjęcie kości to wciąż najlepsza metoda na określenie wieku ofiary.

Filomena obraca zwłoki na bok i dostrzega ślady przygniecenia także na plecach. Znaleziony nad rzeką mężczyzna nie jest najbardziej makabrycznym obiektem, jaki badała w karierze, ale plasuje się w pierwszej piątce. Na czaszce widoczne są niewielkie otarcia z przodu i na skroniach, natomiast na potylicy ziele pokaźna dziura, w której wciąż znajdują się odłamki kości. W tej chwili nie sposób określić jednak, czy ranę zadano przed śmiercią, czy też spowodowały ją kamienie.

Układa ciało płasko na plecach i zaczyna badanie rany na brzuchu, która jest jeszcze bardziej zaskakująca od dziury w głowie.

Mężczyzna nie został zadźgany - powłoki brzuszne zostały rozcięte, jakby w ramach jakiegoś obrzędu. Filomenie kojarzy się to z seppuku - japońskim rytuałem samobójstwa przez rozcięcie brzucha, zarezerwowanym wyłącznie dla wysoko urodzonych, który polega na wbiciu rytualnego sztyletu w brzuch i wykonaniu poziomego cięcia od lewej do prawej.

Profesor Schiavone kontynuuje badanie, ignorując smród spuchniętego ciała. Wygląda na to, że cięcia dokonano od lewej. Ślady na dolnych żebrach wskazują, że ostrze prowadzone było poziomo, a następnie zostało pociągnięte o około siedemnaście centymetrów w dół, pod kątem

czterdziestu pięciu stopni. Filomena robi notatki i zastanawia się, czy przy ofierze znaleziono broń. Żandarmeria nie wspominała o broni, której nieobecność wskazywałaby zresztą raczej na morderstwo niż samobójstwo.

W umyśle Filomeny tworzy się obraz przebiegu morderstwa: ofiara zostaje uderzona od tyłu, a następnie zaatakowana nożem już w pozycji leżącej.

Patolog ponownie przygląda się ranie brzucha.

W tej hipotezie czegoś jednak brakuje.

Ślady cięć na żebrach skierowane są ku górze, tak jakby zadano je, gdy ofiara wciąż znajdowała się w pozycji pionowej.

Coś się zdecydowanie nie zgadza.

Filomena odchyła płat powłoki brzusznej i odskakuje.

Z jamy brzucha wyskakują dwie małe myszki.

Schiavone piszczy jak nastolatka.

W mgnieniu oka zjawia się obok niej salowy.

*Professoressa* pokazuje mu drżącym palcem gryzonie, które właśnie usiłują ukryć się pod szycją ofiary.

Roberto, mężczyzna po trzydziestce, łapie je za pomocą wiadra ze stali nierdzewnej, a następnie ze zręcznością godną iluzjonisty chwyta w ręce i wynosi z prosektorium. Uśmiecha się przy tym dyskretnie pod nosem. Strach Nonny przed myszami przeszedł już do legendy, a niestety mali intruzi pojawiają się w kostnicy dość często.

Po krótkiej chwili dla złapania oddechu Filomena woła Roberta z powrotem.

Wraca do oględzin dopiero po dokładnym zbadaniu zwłok przez salowego i potwierdzeniu całkowitego braku kolejnych myszy.

Ustalenie czasu zgonu nie będzie łatwe.

Ciało było wystawione na działanie pogody, w dodatku przez pewien czas znajdowało się pod wodą. Ponadto przykryto je kamieniami, które raczej nie stanowią najlepszej osłony.

Filomena zawsze powtarza policjantom, że czas zgonu to okres pomiędzy momentem, gdy ofiarę widziano po raz ostatni, a odnalezieniem ciała.

Dolna część klatki piersiowej została poważnie zmiażdżona przez kamienie. Na kolanach i goleniach widoczne są rozległe obrażenia.

Schiavone skrupulatnie zaznacza wszystkie rany na standardowym schemacie

anatomicznym.

I dopiero wtedy uświadamia sobie, że dziury w głowie i brzuchu ofiary odciągnęły jej uwagę od czegoś, co powinna była zauważyć od razu.

Mężczyzna jest pozbawiony moszny i jąder.

Filomena przygląda się z bliska. Rana w kroczu jest stara.

Prawdę mówiąc, to w ogóle nie jest rana.

Ofiara została wykastrowana.

Sądząc po bliznach, operacji raczej nie przeprowadził wykwalifikowany chirurg.

Mężczyzna na stole w prosektorium jest eunuchem.

## 43.

Bez Valentyny mieszkanie wydaje się dziwnie nieprzyjazne. Puste. Milczące. Obojętne.

Tom bierze prysznic, po czym wczółguje się do łóżka.

Może jego życie także byłoby puste i dziwne, gdyby nie było w nim Valentyny.

Interesująca myśl.

Przypomina sobie słowa Alfiego. Jego przyjaciel zapewne zinterpretowałby stwierdzenie „interesująca” jako oznakę nadziei na spędzenie reszty życia u boku Valentyny.

Może Alfie ma rację.

A może ze zmęczenia Tom po prostu zrobił się sentymentalny. Podciąga kołdrę pod szyję. Długi, mocny sen pomoże mu nabrać odpowiedniej perspektywy. Jak zawsze.

Przez chwilę międli poduszkę, aż uzyskuje odpowiedni kształt, po czym zamyka oczy.

Kilka godzin snu i będzie jak nowo narodzony.

Tylko że nie uda mu się zasnąć.

Oczy ma zamknięte, ale nie ma najmniejszych szans na sen.

To jedna z tych parszywych chwil, gdy im bardziej chce się zasnąć, tym bardziej człowiek się rozbudza.

W końcu Tom wstaje i idzie do salonu, zabiera laptop Valentyny i wraca do łóżka.

Musi czymś zająć myśli. Wtedy jego mózg zwolni obroty, powieki zrobią się ciężkie i wreszcie zdoła zasnąć. Fantastycznie.

Przez dziesięć następnych minut przegląda internet. Zagląda na strony sportowe „Los Angeles Times” i przewija do wyników ostatnich meczów Lakers i Dodgers. Z nudów sprawdza nawet, jak radzą sobie Clippers, Kings i Ducks.

Sen wciąż się nie zjawia.

Nie widać go nawet na horyzoncie.

Tom sięga pod łóżko po spodnie i wyjmuje z kieszeni serwetkę, na której Alfie zapisał mu adresy stron internetowych.

Równie dobrze może zabrać się za szukanie informacji o świątyniach i trójkątach.

Zaczyna od A. Świątynia Apollina Sosianusa.

Na stronie wyświetlają się zdjęcia z Pola Marsowego, zaledwie kilkaset metrów od miejsca, w którym znalazł zamordowanego mężczyznę.

Na fotografiach widać, że ze świątyni zachowały się tylko trzy kolumny. Autorzy strony piszą oprócz tego o kulcie Apollina, który rozwijał się na zewnątrz *pomerium*, świętej linii wyznaczającej granice Rzymu, wytyczonej pługiem jeszcze przez Romulusa.

Tom szuka w Google informacji o Apollinie, ale nie znajduje nic, czego by już nie wiedział. Heros, cieszący się równą popularnością w Grecji i w Rzymie. Syn Zeusa i Leto, brat Artemidy i bóg wszystkiego - od łucznictwa, przez medycynę, po muzykę i poezję.

Zdjęcie marmurowego posągu z II wieku, przedstawiającego Apollina z lirą i pytonem, przyprawia go o dreszcz.

Węże zawsze tak na niego działają.

Nie znajduje jednak ani śladu trójkątów. Żadnych opowieści o odciętych dłoniach, które powiązałyby postać olimpijskiego boga ze współczesną sprawą morderstwa.

Wraca na stronę główną.

Następna w kolejce jest litera B. Jak Bellona.

Świątynia znajduje się w pobliżu sanktuarium Apollina i jest poświęcona bogini wojny, wywodzącej się prawdopodobnie z mitologii Etrusków. Według autorów strony wyznawcy Bellony połączyli swoje rytuały z obrzędami innej sekty, czczącej Wielką Matkę. Na stronie widnieje obraz Bellony pędzla Rembrandta. Tom zastanawia się, czy jeszcze gdzieś widział wyobrażenie kobiety o tak męskich rysach. Poniżej wyświetla się zdjęcie rzeźby z brązu Rodina, która przedstawia Bellonę w nieco bardziej kobiecy sposób.

Tom wraca do zdjęć świątyni.

Ruina. Odłamki odlupanego marmuru i fragmenty filarów.

Po majestatycznej niegdyś budowli został tylko pojedynczy podest.

Tom zamyka oczy. Ciekawe, jaki bóg zaczyna się na literę C.

Tego się już jednak nie dowiadyje.

W końcu morzy go sen. W najgorszym możliwym momencie.



## 44.

Wietrzny i chłodny poranek nie wiadomo kiedy zmienia się w ciepłe i słoneczne południe.

Do wiosny jeszcze daleko, ale jest na tyle ciepło, że Valentina wynosi tacę z lunchem na patio przed kantyną oficerską.

Desperacko potrzebna jest jej przerwa w pracy.

Ranek był koszmar.

Najpierw fatalne wiadomości z laboratorium, a potem dziwny telefon od Federica z kostnicy.

Martwy eunuch?

Przecież to nie ma żadnego sensu.

Valentina zdejmuje z tacy sałatkę z pomidorów, dwie kromki świeżego razowego chleba, filiżankę espresso i szklankę wody.

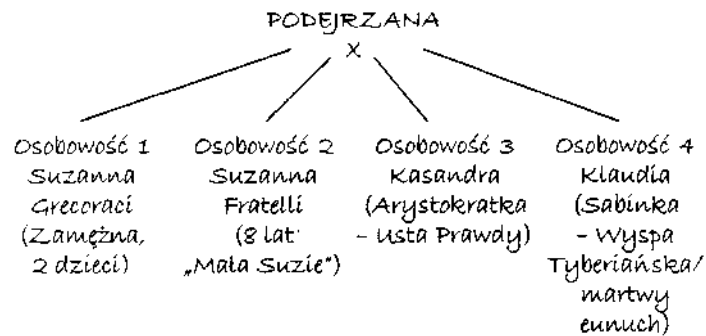
Zabiera się do jedzenia. Tłumiąc ziewnięcie, wolną ręką robi notatki.

Ciało nad Tybrem jest istotne, ale odciąga uwagę od sedna. Valentina jest bowiem przekonana, że prawdziwe wskazówki, które zaprowadzą ją do rozwiązania tej sprawy, kryją się wśród alternatywnych osobowości kobiety, którą zdążyli już nazwać Podejrzaną X. Chudego, wystraszonego stworzenia, zamkniętego w izolatce w Policlinico.

Valentina wypija espresso i rozrysowuje schemat powiązań i tropów podrzuconych przez osobowości Podejrzanej X. Powstaje niewielki, ale fascynujący wykres:

Suzanna i mała Suzie są osobowościami współczesnymi, natomiast Klaudia i Kasandra - obie noszą typowe imiona ze starożytnego Rzymu - należą do kategorii „legend”.

Mała Suzie wspomniała, że osobowości było więcej.



Czy naprawdę jest ich więcej? Kolejne pytania roją się wokół niej jak muchy w letni dzień.

Dlaczego dwie osobowości posługują się tym samym imieniem - Suzanna? Valentina uważa, że istnieje jakieś psychologiczne wyjaśnienie - może to pomost łączący Podejrzaną X z jej prawdziwą osobowością. Być może imię Suzanna nosiła kobieta, która okazała jej dobroć, pomagała w trudnych chwilach, albo po prostu była kimś, kogo Podejrzana podziwiała.

Valentina już wcześniej zleciła odszukanie nazwiska Grecoraci w kartotekach żandarmerii.

Ale niczego nie znaleziono.

Niczego nie dały też poszukiwania pracowników szpitala.

W żadnej oficjalnej kartotece w całych Włoszech nie figuruje nikt o tym nazwisku odpowiadający wiekiem i wyglądem Suzannie. Valentina przypomina sobie jednak, że nikt nie sprawdzał jeszcze Suzanny Fratelli. Zapisuje sobie w notatkach, żeby zlecić poszukiwanie tego zestawienia, a także Kasandry i Klaudii Fratelli.

Na niebie zaczynają się zbierać chmury, na patio robi się coraz chłodniej. Valentina wraca do środka i zostawia tacę na krzywym stojaku przy drzwiach do kantyny. Rezygnuje z windy na rzecz schodów i rozważa telefon do Toma przed czekającym ją ciężkim spotkaniem z majorem Caesario.

Gabinet majora jest jednym z największych i najbardziej komfortowych w całym budynku. Znajduje się w południowym narożniku komendy i zajmuje przestrzeń, która mogłaby pomieścić całą paradę.

Ciemne deski podłogi skrzypią pod jej butami. Po lewej stronie znajdują się dwa duże fotele, obite ciemnobrązową skórą oraz indyjski dywan w odcieniach głębokiej czerwieni. Nad pozostałą częścią gabinetu dominuje masywne mahoniowe biurko, stojące dokładnie

naprzeciwko drzwi. Sylwetkę niewysokiego mężczyzny, który za nim siedzi, oświetla od tyłu pionowe okno z widokiem na miasto.

Stare drewniane krzesła z wyblakłymi skórzanymi obiciami stoją na baczność po obu stronach biurka majora. Gabinet dowódcy nie jest miejscem, w którym podwładny ma się czuć swobodnie.

- Siadaj - burczy pod nosem Caesario, kończąc coś pisać.

Za plecami Valentiny rozlega się pukanie do drzwi.

- Wejść!

Valentina nie musi się odwracać, żeby odgadnąć, kto wszedł do gabinetu.

Podłoga skrzypi donośnie pod energicznymi krokami porucznika Federica Assante, który bez słowa zajmuje krzesło najbliżej majora.

Dowódca odkłada długopis. Składa dłonie i przygląda się obojgu żandarmom. Na jego twarzy pojawia się mina zirytowanego ojca, który zamierza właśnie dać dzieciom solidną burę.

- Kapitan Morassi, doszły do mnie informacje, że bez upoważnienia włączyła pani osobę cywilną w poważne śledztwo kryminalne i w rezultacie prawdopodobnie zniweczyła nasze dochodzenie.

Valentina z kamienną twarzą wpatruje się w przełożonego.

- Nic mi nie wiadomo na temat zniweczenia czegokolwiek, panie majorze. Z całym szacunkiem, włączenie tego cywila raczej popchnęło śledztwo do przodu.

Caesario wzdycha i rozsiada się wygodniej w skórzanym fotelu.

- W jaki sposób?

Valentina przeszywa Federica pogardliwym spojrzeniem.

- Cywil, o którym pan mówi, nazywa się Tom Shaman. Współpracowaliśmy przy sprawie seryjnego mordercy w Wenecji, o której pan słyszał. Udzielił nam wtedy nieocenionej pomocy. Jeśli pan sobie życzy, jestem pewna, że major Vito Carvalho poręczy za jego uczciwość. Ja...

- Były major Carvalho - przerywa jej Caesario. - I nie, nie życzę sobie, pani kapitan. Nie prosiłem pani o referencje pana Shamana, tylko o odpowiedź na pytanie, w jaki, pani zdaniem, sposób, ten człowiek pomógł w naszym śledztwie.

- Panie majorze, to Tom Shaman odkrył ciało nad Tybrem. Towarzyszył mi, gdy pojechałam na Ponte Fabricio z doktor Louisa Verdeti z kliniki psychiatrycznej w Policlinico Umberto.

- Stop! - Major unosi dłoń jak policjant kierujący ruchem. - Wyjaśnijmy coś. Poruczniku Assante, czy nie był pan pierwszym oficerem, którego wysłałem na miejsce przestępstwa w Cosmedinie?

- Byłem, panie majorze.

- I czy nie wydałem panu wyraźnego polecenia, żeby jako rodowity rzymianin, obeznany z miejscowymi realiami, informował mnie pan o wszystkich działaniach w związku z prowadzonym dochodzeniem?

- Wydał mi pan takie polecenie, panie majorze.

- Dobrze, cieszę się, że to sobie wyjaśniliśmy. A teraz proszę mi wyjaśnić, poruczniku, dlaczego aż do tej chwili nie powiadomił mnie pan o włączeniu do śledztwa cywila i lekarza spoza żandarmerii?

- Nie wiedziałem o tym, panie majorze. Dowiedziałem się dopiero po fakcie.

- Z całym szacunkiem, panie majorze... - usiłuje wtrącić Valentina.

- Proszę milczeć, pani kapitan. W tej chwili trzymanie buzi na kłódkę jest najlepszym sposobem, żeby okazała mi pani szacunek. Do pani wyjaśnień wrócimy za chwilę.

Major pochyla się w kierunku Federica.

- Proszę kontynuować, poruczniku. Twierdzi pan, że dowiedział się pan po fakcie?

- Kapitan Morassi zatelefonowała do mnie do domu i powiedziała, że była w klinice. Mówiła, że rozmawiała z lekarką i aresztowaną, a potem udała się nad rzekę w okolice Wyspy Tyberyjskiej, gdzie znaleziono ciało mężczyzny. Dopiero kiedy zjawiłem się na miejscu, zorientowałem się, że kapitan Morassi jest związana uczuciowo z cywilem, który znalazł zwłoki.

Major ponownie przerywa rozmowę gestem gliniarza z drogówki.

- Proszę mi to wyjaśnić, pani kapitan.

- Co mam panu wyjaśniać, panie majorze? - pyta Valentina, doskonale zdając sobie sprawę, o co pyta dowódca. I o co tu naprawdę chodzi. Ten seksistowski wieprz próbuje ją dopaść. Upokorzyć. Pokazać, że na tym posterunku rządzą mężczyźni. Mężczyźni, którym nie podoba się awansowanie kobiet na wysokie stopnie.

Caesario kładzie łokcie na blacie i wychyla się do przodu na pulchnych białych ramionach.

- Zacznijmy od pani związku z tym człowiekiem, Tomem Shamanem. Proszę mi wyjaśnić, co panią z nim łączy.

Valentina czuje na sobie wzrok Federica. Zdradziecki sukinsyn świetnie się bawi. Przełyka ślinę i odpowiada spokojnie:

- Tom i ja jesteśmy w związku. Seksualnym. Od niedawna. Mieszkamy razem.

Caesario nie potrafi ukryć złośliwej satysfakcji.

- Rozumiem. A...

- Czy to jest przesłuchanie dyscyplinarne, panie majorze? - przerywa Valentina, kładąc dłonie na krawędzi biurka i pochylając się ku dowódcy. - Bo jeśli tak, to powinnam była zostać o tym poinformowana. A nie zostałam.

Major, zaskoczony jej bezczelnością, wpatruje się w nią, ale Valentina nie ma zamiaru na tym poprzestać:

- Panie majorze, muszę ponadto formalnie zaprotestować przeciwko faktowi, że polecił pan porucznikowi Assante składać bezpośrednio do siebie raporty w sprawie, którą prowadzę na pańskie wyraźne polecenie.

Teraz to Caesario musi zapanować nad narastającym gniewem.

- Czyżby?

Valentina wstaje. Odsuwane krzesło głośno skrzypi.

- Panie majorze, chciałabym oficjalnie poinformować, że w mojej opinii polecenie wydane przez pana porucznikowi Assante podważa moją pozycję jako oficera żandarmerii. Ponadto informuję pana, że sporządzę obszerną notatkę z tej rozmowy i zamierzam złożyć formalną skargę.

- Proszę siadać, kapitanie!

Valentina nie rusza się z miejsca.

- Proszę siadać. To rozkaz!

Valentina siada. Podsuwa sobie krzesło i czuje, że drżą jej nogi.

- Assante, wyjdź.

Porucznik wstaje, saltuje i bez słowa opuszcza gabinet.

Drzwi zamykają się za nim. Caesario bierze głęboki wdech.

- Co pani wyprawia?

Valentina nerwowo przyciska klawisze telefonu komórkowego.

- Przepraszam, panie majorze. Zapomniałam wyciszyć telefon, a przed chwilą ktoś do mnie dzwonił.

Major nie wierzy własnym oczom. Co za bezczelna baba.

- Proszę to odłożyć! Na litość boską, kobieto, zachowaj choć pozory profesjonalizmu!

Valentina prawie upuszcza swojego BlackBerry na biurko.

- Jestem profesjonalistką, panie majorze. W całej rozciągłości.

Teraz, gdy zostali sami za zamkniętymi drzwiami, major nie musi już kontrolować wściekłości.

- Profesjonalistką? Powiem ci, czym jesteś, Morassi. Kiepskim dowcipem. Gdyby nie naciski polityczne na dowództwo, żeby awansować więcej bab na wyższe stopnie, kierowałabyś ruchem na podrzędnym skrzyżowaniu. Wróć, kierowanie ruchem to zbyt poważne zadanie dla kobiet. Siedziałabyś za biurkiem i wypełniała papierki.

- Panie majorze!

- Jest pani cholernie bezczelna, pani kapitan. Gdy mówi do pani starszy stopniem oficer, ma pani siedzieć i słuchać. Zrozumiano?

- Tak, panie majorze.

- Dobrze. - Głos Caesario wraca do normalnego tonu. - Nie wiem, komu pani tak zaimponowała ani jak, ale nie chciałem pani w moim oddziale i nadal nie chcę. Pani twarz jest na okładkach cholernych kolorowych czasopism, a biuro prasowe zalewają prośby o wywiad z panią. Jest pani dla nas problemem, pani kapitan.

- Panie majorze, to biuro prasowe nalegało na sesję dla „Vanity Fair”. Zapewniam pana, że nie miałam na to najmniejszej ochoty.

- Dość! - Caesario dudni serdelkowatymi palcami w biurko i zgrzyta zębami. - Wyjašnjmy sobie coś szczerze, jak oficer oficerowi. Oboje wiemy, że nie ma pani przyszłości w mojej kompanii. Potrzebuję oficerów z prawdziwego zdarzenia, a nie panienek z plakatu rekrutacyjnego. Jest pani w żandarmerii, a nie w gabinecie Berlusconiego. - Major wydaje z siebie bolesne westchnienie. - Proszę posłuchać. Udzielę pani rady. W tej chwili powinna pani złożyć podanie o przeniesienie. Dostanie pani wolne, a potem trafi do jakiejś spokojnej brygady i będzie pani mogła spędzać więcej czasu ze swoim kochasiem. - Caesario uśmiecha się protekcjonalnie. - Jak się pani podoba moja oferta?

Valentina wpatruje się w obszerny blat biurka. Tłuste palce majora znowu zaczynają bębnić zaledwie kilka centymetrów od telefonu, za który ją opieprzył. Valentina podnosi aparat i obraca w dłoniach.

- Pańska oferta brzmi znakomicie. - Stuka palcem w ekran dotykowy i podsuwa telefon majorowi. Z głośnika rozlega się głos Caesario: „Gdyby nie naciski polityczne na dowództwo, żeby awansować więcej bab na wyższe stopnie, kierowałabyś ruchem na podrzędnym skrzyżowaniu”.

Valentina zatrzymuje nagranie i patrzy majorowi prosto w oczy.

- To jeszcze nie jest najgorszy fragment, panie majorze, ale sądzę, że wystarczy, żeby zakończyć karierę takiego mizoginistycznego palanta jak pan. - Wyłącza BlackBerry'ego i wsuwa do kieszeni marynarki.

Caesario gapi się na nią ze zdumieniem.

Nie może uwierzyć, że ta baba zrobiła coś takiego.

Mężczyzna nigdy by się do tego nie posunął. Mężczyzna przyjąłby jego argumenty i postąpił jak należy. Co za podstępne, tchórzliwe, dwulicowe babsko.

Głos Valentiny jest spokojny:

- Wyjašnjmy sobie coś, panie majorze, jak oficer oficerowi. Nie zamierzam porzucić ani swojego stanowiska w tej kompanii, ani tej sprawy. Dlatego jeśli nie chce pan, żeby to nagranie stało się gwoździem programu nie tylko pańskiego przesłuchania dyscyplinarnego, ale wszystkich programów informacyjnych jak Włochy długie i szerokie, od tej chwili udzieli mi pan całkowitego zaufania i wsparcia i pozwoli mi wykonywać moją pracę.

Caesario wciąż nie może odzyskać głosu.

- Pańska odpowiedź, panie majorze.

Major kiwa w końcu głową.

Valentina wstaje.

- I dla jasności - całkowite zaufanie obejmuje też pozostawienie mi swobodnego wyboru co do tego, kogo włączam w śledztwo.

Caesario ponownie kiwa głową.

- Dziękuję, panie majorze. Doceniam pańskie wsparcie i zaufanie. - Valentina pozwala sobie na niewielki uśmiech, upewniając się, że major go zobaczy, po czym odwraca się na pięcie i wychodzi.

## 45.

W obszernej sali na komendzie znajduje się około trzydziestu policyjnych biurk zajmowanych wspólnie przez dwa oddziały żandarmerii do zwalczania przestępczości kryminalnej. Biurko porucznika Federica Assante stoi w samym środku sali. Porucznik przyciszonym głosem przekonuje kolegów, że dni kapitan Morassi w żandarmerii można policzyć na palcach jednej ręki.

W pewnym momencie wszystkie telefony wędrują z powrotem na widelki, a normalny gwar komendy cichnie. Valentina wychodzi z gabinetu majora Caesario na końcu korytarza.

Wita ją martwa cisza.

Słysząc tylko stukot jej butów o podłogę.

Valentina wbija wzrok w Federica, który odpowiada lekceważącym spojrzeniem.

Kapitan Morassi podchodzi do jego biurka, spokojnie splata ręce na piersi i patrzy na niego z pogardą.

- W ciągu najbliższej godziny wszystkie twoje akta, dokumenty i kontakty w związku ze sprawą mają się znaleźć na moim biurku.

- *Scusi?* - Federico obraca się na krześle, demonstrując wszystkim wokół niedowierzającą minę.

- Wstań, gdy zwracasz się do wyższego stopniem oficera.

Assante się waha.

Valentina pochyla się nad biurkiem i podnosi słuchawkę telefonu.

- Mam zadzwonić po Caesario, żeby przypomnieli ci regulamin?

Wszystkie oczy skierowane są teraz na nich. Gdzieś w tle odzywa się dzwonek telefonu.

Ktoś odbiera i natychmiast się rozłącza. Nikt nie chce stracić ani sekundy z tego spektaklu.

Assante powoli wstaje i prostuje się nonszalancko.

- Zdejmuję cię z tej sprawy - oznajmia spokojnie Valentina.

Przez salę przebiega cichy pomruk.

- Masz zebrać wszystkie materiały - notatki, kontakty, pliki elektroniczne. Wszystko, co



ma związek z moją sprawą.

- Żartujesz, prawda?

- Ja żartuję tylko w obecności przyjaciół, poruczniku. A pan zrobił wszystko, żeby nie zostać jednym z nich.

- Nie rozumiem.

- Ależ rozumiesz - odpowiada Valentina z sardonycznym uśmiechem. - Wydawało ci się, że podkopując moją pozycję, zarobisz kilka punktów u Caesario i poprawisz swoje szanse na awans. Postawiłeś na złą kartę, Federico. - Valentina wzrusza ramionami z pozorną obojętnością.

- Grałeś nieczysto, bo stawka była wysoka, ale teraz przyszła pora zapłaty. A zapłacisz zdjęciem ze śledztwa przez kobietę, którą chciałeś upokorzyć. W życiu nie ma lekko, Federico, a gdybyś był kobietą służącą w żandarmerii, to wiedziałbyś o tym lepiej niż ktokolwiek.

Z tyłu rozlega się aplauz. Valentina odwraca się i widzi, że kilka funkcjonariuszek wstało i bije jej brawo.

- To wszystko - mówi chłodno, zwracając się ponownie do porucznika Assante. - Teraz wychodzę. Skontaktuję się z tobą później i poinformuję, komu masz przekazać dokumentację.

Nie czekając na odpowiedź, Valentina odwraca się na pięcie i idzie do wyjścia na korytarz przy akompaniamencie gromkich oklasków i entuzjastycznych gwizdów.

## 46.

Nagranie z sesji ogląda się jak dobry film.

Dyrektor Sylvio Valducci nadal nie jest przekonany, czy objawy pacjentki świadczą o dysocjacyjnym zaburzeniu osobowości, ale są na tyle fascynujące, że pozwoli mu wywalczyć kilka lukratywnych grantów na badania naukowe. Najlepszy jest fragment, w którym pacjentka chowa się pod biurkiem doktor Verdeti. Czyste kino.

Kto wie, może dzięki temu nagraniu uda się wygłosić otwierający referat na kilku czołowych kongresach psychiatrycznych?

Jego referat, rzecz jasna, nie Louisy Verdeti.

Ordynator kliniki jest jak drzazga pod paznokciem. Valducci miał szczerą nadzieję, że ta sprawa pograży ją na tyle, żeby można było z czystym sumieniem wręczyć jej dyscyplinarkę.

Jak na razie jednak jego plan nie działa.

Nawet jej wątpliwa współpraca z policją nie stanowi jeszcze podstawy do nagany. W końcu pomagała wymiarowi sprawiedliwości. Wprawdzie nie raczyła poinformować go o żądaniach *carabinieri*, ale to stanowczo za mało, żeby zasłużyć na dyscyplinarne zwolnienie.

Szkoda. Valducci z przyjemnością podciąłby skrzydła nadmiernie ambitnej Louisy i ułatwił sobie życie. Ostatnia rzecz, jakiej życzy sobie dyrektor szpitala, to pyskata szefowa kliniki, której ambicje z roku na rok kosztują go coraz więcej.

Valducci wkłada płytę z nagraniem z powrotem do pudełka i odstawia na półkę.

Żeby dotrzeć do gabinetu Louisy, musi pokonać dwa piętra windą i kilka wąskich korytarzy. Zamierza ją pochwalić. To ją wytrąci z równowagi. Sylvio Valducci już dawno nauczył się, że najlepszą metodą biurowej polityki jest być miłym dla tych, których lubi się najmniej. Dzięki temu można swobodnie manipulować nimi tak, aby osiągać własne cele. Zwłaszcza jeśli są zestresowani i zmęczeni.

Kiedy wyłania się zza rogu, oczy młodej pielęgniarki przybierają rozmiar spodków. Dziewczyna zrywa się na nogi i przewraca plastikowy kubek na papiery.

- Proszę to wytrzeć! - warczy Valducci. - Zanim zaleje się komputer.

Eva Boscono w pośpiechu wyciera rozlaną kawę chusteczkami higienicznymi. Valducci tymczasem opiera się łokciem o biurko, nawet nie zamierzając pomóc.

- Przepraszam, panie dyrektorze. - Pielęgniarka wrzuca ostatnią chusteczkę do kosza pod biurkiem i wyciera wilgotne dłonie o fartuch. - W czym mogę panu pomóc?

- Szukam doktor Verdetti. W jej gabinecie są zgaszone światła.

- Wyszła mniej więcej godzinę temu, panie dyrektorze. - Pielęgniarka zerka na kalendarz na biurku. - Ma dziś pogrzeb. Powinna wrócić po południu.

Valducci się krzywi. Louisa nie wspominała mu o żadnym pogrzebie. Z pewnością złożyła odpowiedni wniosek o zwolnienie, ale i tak zamierza to sprawdzić.

- Nieważne. Proszę jej przekazać, że jej szukałem. Niech zadzwoni do mojej sekretarki i umówi spotkanie ze mną.

- Dobrze, proszę pana.

Valducci odchodzi, ale po chwili wpada mu do głowy pewien pomysł.

- Jak się czuje pacjentka z pokoju 116?

Eva przerzuca wilgotne kartki na tacce.

- Zaraz znajdę notatki doktor Verdetti.

- Nie interesują mnie jej notatki - syczy dyrektor. - Proszę mi tylko powiedzieć, jak się czuje ta kobieta. Tyle powinna chyba pani wiedzieć o pacjentach, którzy znajdują się pod pani bezpośrednią opieką?

Eva się czerwieni.

- Spała bez komplikacji. Kiedy widziałam ją dziś rano, była spokojna, choć nie podano jej środków uspokajających. Mniej więcej trzy godziny temu narzekała na ból głowy. Podano jej ibuprofen. Godzinę temu czuła się dobrze. Wstała z łóżka, rysowała coś i pisała.

- Co rysowała?

Pytanie zaskakuje pielęgniarkę.

- Nie wiem, proszę pana. Lubi bazgrać, to ją chyba uspokaja.

- Dostała długopis?

- Nie. Daliśmy jej kredki, ale w pokoju nie ma żadnych ostrych przedmiotów, kiedy zostaje sama. Pilnujemy, żeby nie doszło do samookaleczenia.

- Dobrze. Proszę mnie do niej zaprowadzić.

- Teraz, proszę pana?

Valducci przewraca oczami.

- A kiedy? Mam się umówić z panią na dogodniejszy termin?

- Nie, proszę pana. - Pielęgniarka zrywa się zza biurka. - Proszę za mną.

Żandarm pilnujący pokoju zapisuje ich imiona i nazwiska, i wpuszcza do środka.

Siostra Boscono zamyka drzwi i przedstawia Suzannie swojego szefa:

- To jest *signor* Valducci, dyrektor. Kieruje całym szpitalem.

Sylvio uśmiecha się do Suzanny, po czym zwraca do pielęgniarki:

- Może pani nas zostawić. Chciałbym porozmawiać z pacjentką na osobności.

## 47.

Valentina parkuje przed budynkiem kostnicy. Zanim uda się na umówione spotkanie z Filomeną Schiavone, musi zadzwonić.

Ale nie do Toma. Do innego mężczyzny.

Mężczyzny, który jest dla niej jak drugi ojciec.

- Vito?

- *Si.*

- Vito, mówi Valentina. Jak się miewasz?

- Znakomicie, znakomicie. A co słyszę u ciebie?

- *Bene. Va bene.* Ale przydałaby mi się rada.

Przez kolejnych dziesięć minut świeżo upieczona pani kapitan w szeregach *carabinieri* relacjonuje dawnemu dowódcy swoje spięcia z seksistowskim wieprzem, który jest jej obecnym przełożonym, i wyrzucenie ze śledztwa nielojalnego porucznika.

Były major Vito Carvalho słucha uważnie. Dyskryminacja i prześladowanie podwładnych nie są dla niego niczym nowym. Zaczynał służbę w dawnych czasach, gdy kobiety w mundurach uważano za przydatne wyłącznie do opieki nad rannymi, pracy biurowej lub gotowania.

- Caesario będzie próbował się na mnie odegrać, Vito. Na razie dostał po łapach, ale w którymś momencie się zemści. Co mam zrobić?

- Nadal chcesz przekazać to nagranie wyżej?

- Myślałam o tym. Może jeśli pójdę z tym do pułkownika, to nie zamiotą tego pod dywan. Powiem, że nie złożę oficjalnej skargi, ale w zamian zażądam gwarancji, że nikt nie będzie próbował w ramach odwetu wrabiać mnie w jakieś brudne historie.

- Polityka to brudna gra, Valentino.

- Wiem. Ale muszę w nią grać, nie mam wyboru.

- Nie masz. Ale na razie nie idź z tym do pułkownika, spróbuję jakoś to rozwiązać. Mam pewien pomysł, jak ci pomóc, ale zanim cokolwiek ci obiecuję, muszę zadzwonić do kilku starych przyjaciół.

- *Grazie*. Przepraszam, że zawracam ci głowę. Po prostu zawsze szanowałam...

- Daj spokój, chętnie pomogę ci, jak będę mógł. - Vito się śmieje. - To miłe uczucie, kiedy dawni podwładni ciągle cię potrzebują.

Humor Valentyny się poprawia.

- Zawszę będę potrzebowała twoich rad, Vito. W końcu ukształtowałeś mnie na swój obraz i podobieństwo.

Vito Carvalho martwi się o swoją byłą podopieczną znacznie bardziej, niż Valentina może przypuszczać.

- Przemyśl jeszcze sprawę z tym porucznikiem. Publiczne mieszanie kolegów z pracy z błotem potrafi się zemścić.

- Co masz na myśli?

- Cóż, jestem pewien, że większość twoich kolegów i koleżanek popiera to, co zrobiłaś. Ja na pewno. Ale możesz być pewna, że nie wszyscy. Choćby jego przyjaciele. Staną za nim murem. A to znaczy, że zrobiłaś sobie dzisiaj więcej niż jednego wroga. Będziesz miała przeciwko sobie gliniarzy, którzy znają teren i miejscowe realia znacznie lepiej od ciebie.

Valentinie w ogóle nie przyszło to do głowy.

- Chcesz powiedzieć, że moje małe taktyczne zwycięstwo to tak naprawdę strategiczna porażka?

Vito odpowiada wybuchem śmiechu.

- Aż tak daleko bym się nie posunął. Po prostu przemyśl to i zadbaj, żeby twoje zwycięstwo pozostało zwycięstwem. Taktycznym i strategicznym. - Vito wie, że najwyższa pora zmienić temat. - Kilka dni temu spotkałem twoich rodziców. Wszystko u nich w porządku. Powiedzieli, że są z ciebie bardzo dumni.

Valentina się uśmiecha.

- Byliby ze mnie dumni, gdybym nalewała piwo za pięć euro za godzinę.

- Oczywiście. To przywilej bycia rodzicem.

Valentina zerka na zegar na desce rozdzielczej. Za chwilę spóźni się na spotkanie z profesorem Schiavone.

- Muszę kończyć, Vito. Dzięki za radę, jestem twoją dłużniczką.

- Owszem i nigdy o tym nie zapominaj. Zadzwoń, kiedy uda mi się załatwić sprawę z twoim majorem. *Ciao!*

- *Ciao!*

Valentina uśmiecha się, zamykając samochód i kierując się do drzwi wejściowych szpitala.

Gdyby tylko jej nowy dowódca był taki jak poprzedni, życie byłoby piękne.

# 48.

No to kim dzisiaj jesteś?

Sylvio Valducci siada na krześle obok łóżka, bardzo z siebie zadowolony.

Młoda kobieta siedząca metr od niego nie odpowiada.

Jeśli udaje zaburzenia, Sylvio bez trudu zdoła to zauważyć.

Zawsze mu się to udaje.

Ta mała aktoreczka może i potrafiła nabrać Louise Verdeti, ale z nim nie pójdzie jej tak łatwo.

- Zapytałem, jak się nazywasz. Kim jesteś?

- Suzie - pada odpowiedź wypowiedziana drżącym głosem przestraszonego dziecka.

Valducci pochyla się do przodu.

- Znakomicie. Dziękuję, że mi powiedziałaś. Suzie, pielęgniarka mówiła, że lubisz rysować. Mógłbym zobaczyć twoje rysunki? Chciałabyś mi je pokazać?

- Nie. - Kobieta zasłania dłonią zarysowaną kartkę papieru na kolanach.

- Nie? - Valducci uśmiecha się i udaje, że próbuje podejrzeć rysunek. - Co to jest? Bardzo chciałbym zobaczyć.

Pacjentka wbija wzrok w swoje kolana.

- Nie chcę ci pokazywać. Nie muszę ci nic pokazywać, jeśli nie zechcę.

- W takim razie powiedz mi o tym rysunku, Suzie. Co przedstawia?

Kobieta się waha.

- Rzymian - odpowiada po chwili.

- *Bene*. Lubię Rzymian. Co robią na twoim rysunku?

Suzie niechętnie odsuwa dłoń i pozwala mu spojrzeć na kartkę. Valducci nie bardzo wie, co o tym myśleć. To zwykły bazgroł.

Grube czerwone i pomarańczowe linie, nakreślone na papierze mocno dociskaną kredką. Jak dzieło trzyletniego dziecka. Rysunek przedstawia postać człowieka z kresiek leżącego na plecach. Poza tym nie ma nic, co sugerowałoby, że postać jest Rzymianinem. W rogu z kolei



pacjentka narysowała koślawą gwiazdę, która przypomina raczej krucyfiks.

- Opowiesz mi, o czym jest ten rysunek, Suzie?

Kobieta kręci głową i ponownie wbija wzrok w kolana.

- Dlaczego? Jest ładny. Chciałbym po prostu lepiej go zrozumieć.

- Wcale nie jest ładny, jest okropny. - Pacjentka nerwowo zaplata włosy na palce. - Wcale nie ma być ładny.

- Nie? Dlaczego?

Suzie przygryza wargę i jeszcze bardziej kurczy się w sobie.

Valducci przykłęka na podłodze obok niej i podnosi głowę tak, żeby patrzeć jej prosto w oczy.

- Nie musisz się mnie bać. Nie skrzywdzę cię. Chcę ci tylko pomóc.

Kobieta odwraca głowę, unikając jego wzroku.

Dyrektor wzdycha.

- Dlaczego nie chcesz ze mną porozmawiać, Suzie?

Pacjentka w końcu patrzy na niego.

- Bo jesteś obcy. Mama zakazała mi rozmawiać z obcymi, bo mogą być niedobrzy.

- Ach, rozumiem - mówi Valducci, usiłując dotrzeć do niej racjonalnymi argumentami: -

W normalnej sytuacji powinnaś robić

tak, jak kazała ci mama. Ale nie tym razem. Tym razem jest inaczej, ponieważ znalazłaś się w moim szpitalu. Wszyscy moi lekarze i pielęgniarki próbują ci pomóc. Jak widzisz, nie jestem niedobry.

- Mama mówi, że jesteś.

Valducci nie daje się zbić z tropu.

- Nie, Suzie. Powiedziałaś mi, że mama zakazała ci rozmawiać z obcymi, ponieważ mogą być niedobrzy i z reguły tak właśnie powinnaś postępować. Ale wyjaśniłem ci właśnie, że jesteś tu, żebym mógł ci pomóc, więc chyba nie jestem niedobry?

- Mama mówi, że jesteś.

W jej głosie jest coś intrygującego.

- A kiedy mama ci to powiedziała?

- Teraz. Przed chwilą.

Dyrektor rozgląda się teatralnie, po czym wbija wzrok w pacjentkę.

- Czy twoja mama jest w tym pokoju, Suzie? Nigdzie jej nie widzę.

Suzie potrząsa głową, za wszelką cenę unikając jego spojrzenia.

- Tak sądziłem. - Valducci wzdycha z rozczarowaniem. - Nie powinnaś kłamać. Wiesz, że nie zdołamy ci pomóc, jeśli będziesz nas oszukiwać.

Suzie nie podnosi wzroku.

- Nie kłamałam.

Dyrektor patrzy na nią pytająco.

- Mamę nie ma w pokoju. Mama jest we mnie.

To, co dzieje się potem, całkowicie zaskakuje Valducciego.

Prawa ręka Suzie wystrzela do przodu.

Palce dźgają go z całej siły w oczy.

Dyrektor zatacza się do tyłu i upada na podłogę.

- Widzisz mnie teraz? - grzmi kobiecy głos. Kobieta, która staje nad nim, nie jest już ośmioletnią Suzie.

Valducci trzyma się dłońmi za twarz. Oczy palą go żywym ogniem. Pod powiekami gęstnieje czerwona chmura.

- Powiedz mi! Powiedz mi, głupcze! Czy teraz mnie widzisz?

# 49.

Tom śpi przez kilka godzin.

Budzi się zwinięty w kłębek w łóżku Valentyny, myśląc o stu rzeczach jednocześnie.

O Valentinie.

O świątyniach, boginiach i kultach.

O Valentinie.

O trójkątach, kościołach i zwłokach.

I znów o Valentinie.

Tom znajduje się w tym punkcie między jawą a snem, w którym może albo ponownie zasnąć, albo - sporym nakładem siły woli - rozbudzić się na dobre i wstać.

Dochodzi do wniosku, że powinien napić się kawy i zrobić coś konstruktywnego, zanim Valentina wróci do domu.

Ale siła woli go zawodzi.

Tom ponownie zasypia. Głęboko.

We śnie nawiedzają go obrazy smukłych, czarnych gondoli kiwających się na wodach Wenecji jak łabędzie. Mgła znad laguny rozlewa się gęstym dymem po uliczkach, sklepach i restauracjach. Wszyscy kaszlą i duszą się w gęstniejących ciemnościach. Tom widzi siebie samego z Valentiną w kawiarni. Czarna mgła zbliża się ku nim ze wszystkich stron. Łapią się za ręce jak bohaterowie hollywoodzkiego filmu i uciekają przed bezlitosną ciemnością.

Sen jest bardzo dziwny, a jednocześnie tak realny, że Tom niemal czuje wdzierający się do gardła dym.

A potem zdaje sobie sprawę, że naprawdę czuje dym.

Zrywa się z łóżka.

I traci oddech.

Jego płuca wypełnia dym.

Całe mieszkanie tonie w czarnej mgle.

Do sypialni sączy się gęsty, zabójczy dym.

Tom wyskakuje z pościeli i w ostatniej chwili powstrzymuje się przed otwarciem okna. Jeśli ogień szaleje w korytarzu, przeciąg tylko roznieci płomień.

Rzuca się na podłogę i zagląda przez szparę pod drzwiami.

Po drugiej stronie migocze czerwonopomarańczowe światło.

Płomienie!

Mieszkanie znajduje się kilka pięter ponad ziemią. W pobliżu okna nie ma żadnego drzewa. Ani drabiny przeciwpożarowej.

Jedynе wyjście prowadzi przez salon i drzwi frontowe.

Zaczynają go piec oczy i gardło. Brak tlenu już zdążył go osłabić. Tom z wysiłkiem zgarnia kołdrę z łóżka i wchodzi do łazienki. Odkręca prysznic i szybko oblewa kołdrę wodą, następnie owija głowę i ręce kilkoma ręcznikami. Jego stopy są bosc, ale Tom wie, że nie ma najmniejszych szans na odnalezienie butów.

Wraca do sypialni i bardzo ostrożnie otwiera drzwi do salonu.

Kłęby czarnego dymu i płomieni pełzną w jego stronę.

Tom przez chwilę jest kompletnie zdezorientowany.

Spodziewał się, że ogień będzie szalał w kuchni, z całą pewnością wywołany niezakręconym kurkiem od gazu.

Ale tak nie jest. Płomienie spowijają przedpokój. Od wyjścia dzieli go ściana ognia. Owinięty kołdrą Tom rzuca się w sam środek pożaru.

Z drzwi wejściowych zostały spopielone drzazgi.

Spalony szkielet pęka pod naporem jego ciała i Tom wypada na klatkę schodową.

Kołdra zajmuje się ogniem. Tom zrzuca ją z grzbietu. Jeden z ręczników, którymi owinał dłonie, pali się jak pochodnia. Tom ciska go na ziemię i się odsuwa.

Świeże, chłodne powietrze wypełnia jego płuca tak gwałtownie, że sprawia mu ból.

Obok niego przebiegają ludzie. Krzyczą. Niosą dzieci na rękach. Wpadają na siebie w panice, za wszelką cenę próbując dostać się do wąskiej klatki schodowej i uciec na ulicę.

Tom biegnie boso za nimi. Szkło chrzęści i pęka pod jego stopami. Kiedy dociera w końcu do wyjścia, ogień trawi już większość budynku. Na sąsiednich ulicach rozlega się urywany sygnał wozów strażackich. I wtedy Tom uświadamia sobie, że jest kompletnie nagi.

## 50.

Valentina po raz pierwszy widzi w przyzwoitym świetle ciało mężczyzny znalezione nad Tybrem.

W blasku latarek i lamp łukowych pod mostem ofiara bardziej przypominała obcą formę życia z kosmosu niż człowieka.

Teraz jednak, rozłożone na stole autopsyjnym Filomeny Schiavone, zwłoki wyglądają boleśnie ludzko. To, co pozostało z ofiary, ma zaskakująco kobiece rysy.

- *Ciao!* - wita się radośnie patolog z drugiego krańca prosektorium, nie zwracając większej uwagi na blade, zmasakrowane ciało na środku pomieszczenia. - Mamy dzisiaj prawdziwy młyn - oznajmia Nonna energicznym głosem. - Dwa wypadki drogowe rano, wczoraj wieczorem masturbacja ze skutkiem śmiertelnym, przedawkowanie narkotyków i zabójstwo małżonka. - Patolog wskazuje ręką szafkę ze stali nierdzewnej pod ścianą. - Mam tu dla pani pełny raport z autopsji. Dałam też wstępny egzemplarz pani porucznikowi, gdy pani koledzy zdejmowali odciski palców z ciała.

- Dziękuję bardzo - odpowiada Valentina.

- Dobrze odżywiony mężczyzna - kontynuuje Nonna.

- Wzrost sto siedemdziesiąt osiem centymetrów. Waga przedśmiertna około siedemdziesięciu dwóch kilogramów. Stosunkowo wysportowany, wiek między dwadzieścia a trzydzieści lat. - Profesor Schiavone przerywa na chwilę. - Wie pani o tym, że był eunuchem?

- Wiem - potwierdza Valentina. - Ale mam raczej mgliste pojęcie, co to znaczy. Mogłaby pani mi to wyjaśnić? - Dobrze, że pani pyta. Zbyt wielu policjantów uważa, że pozjadali wszystkie rozумы. Historycznie eunuchowie byli kastratami, których pozbawiano genitaliów w sposób wpływający na gospodarkę hormonalną. Pomimo bardziej kobiecej natury - a może dzięki niej - eunuchowie często bywali bardzo lojalnymi i groźnymi strażnikami. W starożytnym Rzymie i Grecji powszechnie wykorzystywano ich jako służbę, ale zdarzało się, że zostawali nawet urzędnikami państwowymi.

Valentina zerka na ciało i się krzywi.

- To brzmi jak kompletnie bezsensowna tortura.

- Istotnie. Chociaż znam kilku mężczyzn, których chętnie sama bym wykastrowała. Co ciekawe, samo określenie „eunuch” nie wywodzi się od aktu kastracji, ale od greckiego słowa eunoukhos, oznaczającego strażnika komnaty sypialnej lub haremu.

Valentina kiwa głową w kierunku stołu autopsyjnego.

- Czy może pani stwierdzić, kiedy go wykastrowano?

- Dawno. Blizny są stare. Podejrzewam, że operację przeprowadzono, kiedy był jeszcze nastolatkiem.

- Uch!

- Kastracji nie wykonał lekarz. Układ blizn wskazuje, że cała moszna, wraz z jądrami, została bardzo ciasno związana i odcięta. Pozostałości skóry pod miejscem podwiązania uległy martwicy, natomiast skóra nad cięciem się wyleczyła. Bardzo niebezpieczna i bardzo bolesna operacja. Zdziwiające, że nie dostał gangreny.

- Nie miał lekkiego życia.

- Śmierci też nie. Proszę podejść z tej strony, zobaczy pani, jaki koniec go spotkał.

Valentina podchodzi do szczytu stołu.

Głowę ofiary ułożono na białym podgłówku. *Professoressa* wprawnym ruchem obraca ciało, aby pokazać Valentinie odpowiedni fragment.

- W czaszce znajduje się otwór. Dostatecznie duży, żeby zmieścić dłoń dorosłego człowieka. - Schiavone dotyka palcami krawędzi rany. Valentina czuje mdłości. - Na głowie widoczne są także ślady słabszych uderzeń. Pęknięcia mogą przebiegać przez szwy czaszki, ale nie przez inne pęknięcia, więc jestem pewna, że są to ślady osobnych uderzeń.

Schiavone przechodzi na drugą stronę stołu, aby pokazać Valentinie twarz ofiary.

- To jest interesujące. Cała twarzoczaszka, w tym otwory nosowe i oczodoły, jest pokryta ziemią i żwirem.

Valentina nie dostrzega w tym nic niezwykłego.

- Co to oznacza?

- Ofiara leżała twarzą w dół, gdy sprawca uderzył ją w potylicę dużym kamieniem, wybijając największy otwór w czaszce.

- Po co? Żeby go zabić? Dobić?

- Być może.

- Nie może pani stwierdzić, czy w tamtym momencie jeszcze żył?

Nonna robi niepewną minę.

- Z technicznego punktu widzenia powiedziałabym, że jeszcze żył, ale był już o włos od śmierci. Chodzi mi o to, że ten ostatni cios mógł zostać zadany nie po to, żeby skrócić mękę ofiary, ale z wściekłości. Być może sprawca musiał się jakoś wyładować.

- Typowy przypadek ślepej furii.

Schiavone zastanawia się przez chwilę nad tym stwierdzeniem.

- Możliwe.

- Czyli ofiara leżała twarzą do ziemi, gdy uderzono ją w tył głowy dużym kamieniem. Następnie ciało zostało przykryte głazami. Jak to możliwe, skoro znaleziono go leżącego twarzą do góry?

- *Fermare!* Za szybko wyciąga pani wnioski.

Valentina unosi dłonie w obronnym geście.

- *Mi dispiace.*

- W porządku. Większość dobrych detektywów tak robi. - Nonna dotyka twarzy ofiary palcami. - Pozostałości piachu i żwiru w skórze twarzy nie pochodziły z rzeki. Przesłałam próbki do laboratorium do analizy, ale prawdę mówiąc zdążyłam w życiu zobaczyć dostatecznie dużo ciał z Tybru, żeby rozpoznać piasek z dna rzeki bez mikroskopu. Pani ofiarę zabito gdzie indziej, w bardziej zurbanizowanym miejscu. Po śmierci ciało zaniesiono na brzeg rzeki i pochowano pod mostem.

Valentina zastanawia się, po co ktoś miałby to zrobić. Znacznie więcej sensu miałoby wrzucenie ciała do wody, a nie ukrywanie go pod stosem kamieni nad wodą.

W jej głowie pojawiają się hipotezy: być może sprawca lub sprawcy byli chorzy psychicznie, być może część z nich uciekła, a ten, który został, nie był w stanie sam zaciągnąć ciała do rzeki.

Schiavone zabiera podglówek i układa zwłoki płasko na plecach.

- Przejdźmy do ran brzucha. Z początku sądziłam, że ofiara sama je sobie zadała, w ramach seppuku albo innego rytuału, ale po prześwietleniu i bliższym zbadaniu rany doszłam do wniosku, że jednak nie.

Valentina wpatruje się w ziejący otwór.

- Czy ślady śmiertelnych ciosów nożem nie są zwykle bardziej nieregularne? To wygląda

na cięcie wykonane z zimną krwią.

- Słuszna uwaga. Nie wykluczyłam możliwości, że ranę zadano w ramach jakiegoś rytuału. Jestem jednak pewna, że to nie ofiara trzymała nóż. - Patolog ponownie przechodzi wokół stołu i staje naprzeciwko Valentyny. Wyciąga do niej lewą rękę. - Proszę sobie wyobrazić, że trzymam solidny i bardzo ostry nóż, krótki miecz lub bagnét.

Valentina kiwa głową.

- Sprawca trzymał ostrze w pozycji pionowej. - Schiavone przykłada palec wskazujący do brzucha Valentyny. - Na skórze widnieją ślady płytkich ciosów, ale śmiertelne cięcie zadano od prawej strony. - Dociska palec, aż czuje żebro kapitan Morassi. - Ostrze wprowadzono na tej wysokości, prawdopodobnie dwukrotnie, zahaczając o ostatnie żebro. - Patolog przesuwając palec poziomo do drugiego boku Valentyny. - Następnie sprawca wykonał głębokie cięcie w poziomie, przechodząc przez przeponę do lewego boku. - Patolog ponownie dociska palec, tym razem pod żebrem po drugiej stronie. Valentina wydaje z siebie lekkie sapnięcie. - Zrobiła pani wydech, ponieważ docisnęłam przeponę. Wystarczy nawet słabe uderzenie w to miejsce, żeby całkowicie stracić oddech. Cios nożem w przeponę jest śmiertelny.

- Czym dokładnie jest przepona?

- Lubię policjantów, którzy zadają pytania. Przepona to mięsień oddechowy rozciągający się pod żebrami, oddzielający jamę klatki piersiowej - w której mieszczą się płuca, serce i tak dalej - od jamy brzusznej, w której znajduje się żołądek, wątroba, nerki, *et cetera*. Nadażę pani?

Valentina spogląda na palec Schiavone, wciąż boleśnie wwiercający się pod jej żebro.

- Jeszcze nadażam.

- *Bene*. - Nonna przesuwając palec w dół. - Drugie cięcie sygnalizuje, że sprawca zmienił chwyt. Musiał poprawić dłoń na rękojeści, żeby przebić się od klatki piersiowej do górnego otworu miednicy. - Ponownie dociska palec. - Po drodze przeciął śledzionę i fragment dwunastnicy. - Schiavone nachyla się bliżej, po czym prowadzi palec w górę ku przeponie Valentyny. - Ostatnie cięcie zadano w tym kierunku. Przeszło przez pęcherzyk żółciowy i wątrobę. Gdyby sprawca pociągnął ostrze dziesięć centymetrów wyżej, wyciąłby pełny trójkąt. - Nonna w końcu cofa palec i spogląda na ciało. - Wycięty fragment utrzymywał się tylko na płacie skóry.

Trójkąt?

Valentina zastanawia się, czy to przypadek.



W ostatnim czasie usłyszała o trójkątach tyle, że teraz dostrzega je wszędzie.

- Czy ten rodzaj cięcia jest w jakiś sposób znany?

- Co ma pani na myśli?

- Czy to jest procedura medyczna? Może dawny sposób wykonywania sekcji?

Nonna kręci zaprzeczająco głową.

- O ile mi wiadomo, to nie - zamyśla się na sekundę. - Nie przypominam sobie żadnej procedury medycznej, która by to przypominała.

Valentina patrzy na martwego mężczyznę, próbując wyobrazić sobie jego ostatnie chwile.

Filomena Schiavone instynktownie przyłącza się do tych rozważań:

- Jak sama pani przed chwilą widziała, ten rodzaj zabójstwa ma bardzo osobisty charakter. Sprawca musi znajdować się w bliskiej odległości od ofiary, żeby uderzyć precyzyjnie. Gdybym zaatakowała panią nożem, a nie palcem, to z całą pewnością usiłowałaby pani ze mną walczyć - uchylić się, zwinąć w kłębek, upaść na ziemię, próbować się bronić - natomiast ja uderzałabym na oślep, zadając rany, gdzie popadnie. W przypadku tego mężczyzny nie ma żadnych śladów walki.

- Czyli ofiara była związana?

- Niekoniecznie.

Valentina patrzy na Schiavone ze zdziwieniem.

- Był już martwy. Albo prawie martwy. Sądząc po śladach noża na kości, można stwierdzić, że przez większość czasu leżał na plecach.

Rozlega się dzwonek telefonu komórkowego Valentiny.

Na ekranie wyświetla się nieznany numer.

Ktokolwiek do niej dzwoni, będzie musiał poczekać.

- *Professoressa*, widziała już pani coś takiego?

Schiavone prycha lekko.

- Jasne. Codziennie przywożą mi tu wypatroszonych eunuchów. Do tego jeszcze co chwilę ktoś podrzuca mi odcięte dłonie znalezione w kościołach. Ledwo się wyrabiam.

- Przepraszam, to było głupie pytanie. Po prostu miałam nadzieję, że może mi pani powiedzieć coś więcej.

Nonna zaczyna przygotowywać stół do następnej sekcji.

- Obawiam się, że nie. Bardzo chciałabym pani pomóc, ale to pierwszy taki przypadek w

mojej karierze.

- *Grazie*. I tak bardzo mi pani pomogła. - Valentina zabiera z szafki raport sporządzony przez Schiavone.

- Udzielę pani ostatniej rady.

Valentina zatrzymuje się w drzwiach.

Filomena Schiavone wskazuje palcem na zmasakrowane ciało.

- Ten, kto to zrobił, jest bardzo niebezpieczny, pani kapitan.

Niech pani będzie ostrożna. Bardzo ostrożna. Wolałabym, żeby nie znalazła się pani na jego miejscu.

# 51.

Wracając na komendę, Valentina sprawdza pocztę głosową.

W prosektorium dzwonił do niej Tom. Z automatu w szpitalu.

W jej mieszkaniu wybuchł pożar. Tomowi nic się nie stało, ale z mieszkania zostały zgliszcza.

A to znaczy, że Valentina jest chwilowo bezdomna.

Najważniejsze jednak, że Tom jest cały i zdrowy.

Zadzwoń do szpitala i zabierz go stamtąd, jak tylko upora się z najpilniejszą sprawą.

Café Luigi znajduje się tuż obok komendy żandarmerii.

Wielu funkcjonariuszy zagląda tam na poranną kawę albo piwo po pracy.

Niektórzy prawdopodobnie również przed pracą.

To tu umówiła się z porucznikiem Assante.

Federico siedzi przy stoliku w kącie.

W obu dłoniach ściska kubek czarnej kawy.

Valentina rozpina guziki krótkiego wełnianego płaszcza, wieszona na oparciu krzesła i siada. Assante patrzy na nią z udręczoną miną.

I dobrze.

Właśnie tak powinien się teraz czuć.

Valentina ściąga skórzane rękawiczki.

- Za dwadzieścia minut jestem umówiona w kadrach. Dadzą mi listę poruczników, których można zwolnić z bieżących zadań i przydzielić do mojej sprawy. - Valentina patrzy Federico prosto w oczy. - Wolałabym nie musieć tam iść. Chcę ci dać drugą szansę. Chcę, żebyś to ty pomógł mi rozwiązać tę sprawę. Co ty na to?

Federico jest zdziwiony.

- Na komendzie powiedziałaś...

- Wiem, co powiedziałam. Nie mam problemów z pamięcią krótkoterminową. Powtórzę pytanie: chcesz ze mną pracować, czy nie?

Assante nie musi długo zastanawiać się nad odpowiedzią.

- Chcę.

- *Bene*. Mam kilka warunków.

Federico nie jest tym zaskoczony.

- Będziesz harował, aż rozboli cię ten twój seksistowski zadek. Będziesz pracował dłużej niż kiedykolwiek wcześniej i nikomu nie piśniesz nawet słowa skargi. Zrozumiano?

Federico potwierdza kiwnięciem głowy.

- *Perfetto*. Teraz powiem ci, co dostaniesz w zamian. Jeśli włożysz w tę sprawę stuprocentowe zaangażowanie i lojalność, będę wyśpiewywać hymny pochwalne na twoją cześć i podkreślać twoje zasługi wszędzie, gdzie się da. Ale jeśli spróbujesz ze mną pogrywać, jeśli znowu będziesz się bawił w politykę za moimi plecami, to zrobię z twojej kariery taką jesień średniowiecza, że gdy skończę, nie dostaniesz nawet posady pucybuta u Caesario. Zrozumiano?

- Zrozumiano.

- *Va bene*. Znowu gramy w jednej drużynie.

- *Grazie*. - Następuje chwila kłopotliwej ciszy, po czym Federico dodaje: - Chcę, żebyś wiedziała, że to major nalegał, żebym składał mu bezpośrednie raporty. To był jego pomysł, nie mój.

- To bez znaczenia. - Valentina ponownie wbija w niego stalowe spojrzenie, które nie pozostawia porucznikowi żadnych wątpliwości, że wciąż stąpa po kruchym lodzie. - Major nie zrobi tego ponownie. Ty też nie. Od tej chwili będziemy oceniani wyłącznie za wyniki, a nie za płeć, czy przyjaźń z dowódcą.

- *Si*.

- Dla scementowania naszej nowej przyjaźni możesz zamówić mi espresso.

Federico jest przy barze po niecałej sekundzie.

Valentina się uśmiecha. Vito Carvalho miał rację. Zakopanie topora wojennego z porucznikiem Assante było mądrym posunięciem.

## 52.

Późnym popołudniem Louisa Verdetti w ponurym nastroju wchodzi do gabinetu Sylwia Valducciego. Dyrektor jest zmęczony. Ma potwornie przekrwione oczy, które bez przerwy przeciera chusteczką. Louisa nie zadaje sobie trudu zapytania go, czy wszystko w porządku. Poza tym myślami wciąż jest przy grobie swojej szkolnej przyjaciółki, matki trojga dzieci, pochowanej dwie godziny temu, niecałe sześć miesięcy po tym, jak zdiagnozowano u niej raka piersi.

Wielkie R. Najstraszniejsza litera medycznego alfabetu.

Chorobę wykryto zbyt późno. Nowotwór zdążył już zaatakować całe ciało.

- Widziałaś to już?

Louisa podnosi wzrok na Valducciego.

- Przepraszam. Co miałam widzieć?

Dyrektor triumfalnym gestem podsuwa jej wykonany kredkami rysunek.

- Ostatnie dzieło Suzanny. Albo raczej Suzie. - Valducci ma minę kota, który właśnie zeżarł kanarka. - Co o tym sądzisz?

Louisa marszczy brwi.

- Skąd to się wzięło?

- Odwiedziłem naszą pacjentkę, kiedy cię nie było. Chciałem przyjrzeć jej się osobiście. Kiedy przyszedłem, właśnie to rysowała.

- Byłeś u niej, nie konsultując się wcześniej ze mną?

Valducci wzrusza ramionami.

- Mam do tego prawo. Mogę odwiedzić każdego pacjenta. - Rzuca jej wyzywające spojrzenie, po czym dodaje: - Być może ucieszy cię fakt, że wykazała sporo objawów, o których mi wspominałaś, łącznie z agresją.

Louisa nie musi już pytać, skąd się wzięły ślady zadrapań na jego twarzy.

Valducci stuka palcem w papier i powtarza pytanie:

- Co o tym sądzisz?

Verdetti ponownie zerka na kartkę.

- Złość? - Przesuwa palcem po czerwonych i pomarańczowych liniach. - W tym miejscu dociskała tak mocno, że kredka pękła. Został ślad wosku. - Louisa patrzy na swojego szefa i uświadamia sobie, że nie znosi go za to, że wtrąca się w terapię jej pacjentki. Ale nie tylko. Chodzi o coś więcej. Louisa czuje się, jakby Valducci brutalnie naruszył jej prywatność, bezczelnie wkroczył z butami w intymność, którą budowała z pacjentką. Ponownie spogląda na rysunek.

- Co ci powiedziała? To przedstawia jakiś pożar?

- Ciekawe, nie przyszło mi to do głowy. - Valducci przysuwa sobie kartkę. - Powiedziała, że to Rzymianie.

- Rzymianie? To zawsze są Rzymianie.

Dyrektor dostrzega w końcu jej nerwowość.

- Wszystko w porządku?

Pytanie ją zaskakuje.

Gdyby zadał je przyjaciel, odpowiedziałaby przecząco.

Zapewne wyrzuciłaby z siebie żal, który narasta w niej od pogrzebu, ale nie zamierza otwierać się przed kimś takim jak Valducci.

- W porządku. Pogrzeby raczej nie nastrajają mnie radośnie.

Valducci dźga palcem róg kartki.

- Właśnie sobie coś uświadomiłem. Wydawało mi się, że ten czarny bazgroł to coś w rodzaju gwiazdy, ale kiedy wspomniałaś o ogniu, nasunęło mi się skojarzenie z krzyżem. Być może to krucyfiks w rzymskiej świątyni albo kościele, otoczony płomieniami.

Ta uwaga budzi w końcu Louise z letargu.

Nie ma wątpliwości, że rysunek przedstawia ogień.

Pacjentka narysowała też symbol religijny i coś jeszcze. Ludzką postać.

- Powiedziała, co ma przedstawiać ten kształt? Wygląda jak człowiek leżący na plecach.

- Może to posąg nagrobny - podsuwa podekscytowany dyrektor. - Może narysowała pożar w kościele, w którym pochowano jakiegoś słynnego świętego?

Louisa przypomina sobie proroczą opowieść Klaudii o morderstwie pod mostem na Tybrze.

- Dzwoniłeś do *carabinieri*?

- Nie. - Valducci w duchu klnie na siebie. Gdyby nie musiał co chwila zajmować się

piekącymi oczyma, zapewne zadzwoniłby do żandarmów. Powinien był. To mogłoby nawet pomóc mu załatwić Verdeti na dobre. - Chciałem najpierw omówić to z tobą - kłamie gładko.

- Zadzwonię do Morassi, tej kapitan, z którą wczoraj byłam nad rzeką. - Louisa sięga po torebkę i grzebie w środku w poszukiwaniu telefonu komórkowego.

- Mam pomysł - oznajmia Valducci z miną pełną dziecięcego entuzjazmu.

Louisa wyławia w końcu telefon, po czym ponownie zanurza rękę w torebce, żeby znaleźć wizytówkę Valentiny.

- Co za pomysł?

- Na razie dajmy sobie spokój z policją. Jeżeli to się uda, skorzystają na tym i Suzie, i twoi znajomi z żandarmerii.

## 53.

Zupełnym przypadkiem Tom Shaman trafia pod opiekę lekarzy z Policlinico. Tego samego szpitala, w którym Valentina spędziła poranek w towarzystwie profesor Schiavone.

Valentina dzwoni do niego i mówi, że musi załatwić kilka spraw, zanim po niego przyjedzie.

Siedząc w poczekalni izby przyjęć z brązowym kubkiem nędznej kawy, Tom z zadowoleniem stwierdza, że wyszedł z pożaru właściwie bez szwanku.

Oparzony bark, rozcięty palec u nogi, lekkie mdłości i kaszel to tylko drobiazgi. Poza tym w końcu dostał jakieś ubranie.

Wprawdzie po zmarłym, ale zawsze.

Przyniósł mu je jeden z salowych. Najpierw próbowano znaleźć dla niego coś w szpitalnym sklepie charytatywnym, ale okazało się, że Tom jest zdecydowanie zbyt wysoki i potężnie zbudowany. Włoscy mężczyźni w znakomitej większości są od niego niżsi i drobniejsi. Ale to bez znaczenia. W tej chwili ma na sobie szare bawełniane spodnie, które pasują na długość, ale ich poprzedni właściciel musiał cierpieć na chorobliwą otyłość. Po włożeniu ich w pasie zostało mu dobre piętnaście centymetrów materiału. Tom uporał się z tym problemem za pomocą starego plastikowego paska. Różowa koszula z naderwanym kołnierzykiem i mankietami należała prawdopodobnie do tego samego człowieka. Na karku i ramionach układa się nieźle, ale na plecach wydyma jak spadochron. Niedobrany strój uzupełniają brązowe skarpety i czarne buty ze skaju na gumowej podeszwie.

Około szesnastej Tom zapada w drzemkę na krześle. Budzi się po godzinie i pierwsze, co widzi, to twarz Valentiny.

Śniło mu się płonące mieszkanie.

Valentina zauważa atak paniki w jego oczach.

- Wszystko w porządku?

Tom oddycha głęboko.

W porządku.



Nic się nie pali.

Wszystko jest w najlepszym porządku.

- Jasne - odpowiada sennie i prostuje nogi. - Jak ci się podobają moje nowe ciuchy?

Valentina dostrzega zabawną stronę całej sytuacji.

Siada na drewnianym krześle obok, zarzuca mu ramiona na szyję i całuje.

- Bardzo twarzowe.

Tom przytula ją mocno do siebie.

Jej skóra jest chłodna i pachnie świeżym powietrzem.

Jej pocałunek jest ciepły i miękki, a dotyk jej włosów odpędza ostatnie ślady stresu.

Są w miejscu publicznym, więc pocałunek jest znacznie krótszy i znacznie grzeczniejszy, niż oboje by chcieli.

Valentina niechętnie odsuwa się od Toma i długo mu się przygląda.

- No dobra, kto cię w to ubrał? Za coś takiego mogę go wsadzić na sześć dni. A może niewidomy? Niewidomemu okazałabym miłosierdzie.

- Zdaje się, że nieboszczyk.

Valentina się krzywi.

- Och, po co mi to mówiłeś? Pół dnia spędziłam dzisiaj w prosektorium. - Łapie go za rękę i próbuje pomóc wstać. - Chodź, zbierajmy się stąd.

Tom dźwiga się z krzesła, na którym spędził ostatnie trzy godziny.

- Dokąd? Z twojego mieszkania zostały ściany.

Valentina splata palce z jego dłonią i ciągnie go do wyjścia.

- Wiem. Federico ma paru znajomych w straży pożarnej. Pojechali tam zebrać wszystko, co się da, zanim zjawią się sępy.

- Sępy?

- No pewnie. Rzymianie swego czasu spalili i złupili prawie całą Europę. Nie sądzisz chyba, że odpuszczą okazję, żeby wynieść z mojego mieszkania wszystko, co ma jakąkolwiek wartość?

- Skoro tak mówisz.

Tom niepewnym krokiem idzie do samochodu Valentiny.

Wsiada, otwiera okno i zapina pas.

- Bardzo mi przykro z powodu twojego mieszkania.

- I słusznie - drażni się z nim Valentina. - Masz pojęcie, ile będzie mnie kosztowało odtworzenie garderoby?

Tom kręci głową.

- Na same buty pójdą całe moje roczne zarobki. Nie wspomnę nawet o sukienkach, spódnicach, swetrach, płaszczach i bieliźnie.

- Boże, przepraszam. Naprawdę nie wiem, co tam się stało. - Tom pociera czoło kciukiem i palcem wskazującym. - Wiem na pewno, że nie zostawiłem niczego na gazie. W ogóle nie włączałem kuchenki, kiedy wyszłaś. Zrobiłem sobie tylko kawę.

- Nieważne. - Valentina nachyla się i całuje go. - Ważne jest tylko to, że nic ci nie jest. Resztę pokryje ubezpieczenie. - Obdarza go kolejnym pocałunkiem. - Ale w ramach kary będziesz musiał pójść ze mną na zakupy. Poważne zakupy!

## 54.

Louisa sama nie wierzy, że się na to zgodziła. Całe jej doświadczenie i praktyka mówią jej, że to zły pomysł, zwłaszcza po ataku Suzanny na dyrektora.

Z drugiej strony, lepsza okazja może się już nie nadarzyć.

Louisa podejrzewa, że zgodziła się tylko dlatego, że pomysł wyszedł od Valducciego i to jego głowa spadnie, jeśli coś pójdzie źle. A zapewne pójdzie. Ale istnieje też możliwość, że dyrektor wpadł na właściwy trop, a Louisa nie chce tego przegapić.

227Dlatego teraz siedzi obok Suzanny na tylnym siedzeniu alfy romeo dyrektora, która zmierza do Cosmedinu.

Zastosują terapię kognitywną.

Powrót do miejsca, które ma kluczowe znaczenie psychologiczne w momencie, gdy pacjentka pozostaje w stanie wzburzenia emocjonalnego. Ryzykowne, ale potencjalnie obiecujące.

Parkują tuż przy placu. Suzanna zaczyna się denerwować.

Przyciska twarz do szyby samochodu, wlepiając wzrok w słynną dzwonnice kościoła Santa Maria in Cosmedin.

Louisa dotyka jej dłoni.

- Uznaliśmy, że powinniśmy cię tu przywieźć i zobaczyć, czy przypomnisz sobie coś, co pozwoli nam ci pomóc.

Tylne drzwi na szczęście mają blokadę. W przeciwnym razie Suzanna wyskoczyłaby na ulicę i prawdopodobnie natychmiast zginęła przejechana przez któryś z samochodów pędzących Via della Greca.

- Poczekaj! Jedną sekundę! - krzyczy Valducci z przedniego fotela.

Wyłącza silnik i zaciąga hamulec ręczny.

Wysiada z samochodu i otwiera Suzannie drzwi.

Bierze ją za rękę, żeby pomóc jej wysiąść.

A w każdym razie tak to z pozoru wygląda.

W rzeczywistości Valducci ściska nadgarstek pacjentki żelaznym chwytem i nie ma najmniejszego zamiaru jej puścić. Suzanna sztywnieje i wpatruje się w nabiegłe krwią oczy dyrektora.

- Musimy być ostrożni. Będę szedł z tobą i dopilnuję, żeby nie stała ci się żadna krzywda.

Na twarzy Suzanny maluje się ból. Ponownie wbija wzrok w kościół i kurczy się w sobie, jakby spodziewała się, że za chwilę wybuchnie bomba.

- Czy to jest budynek, który narysowałeś? - pyta Louisa, zauważając jej napięcie. - Na twoim rysunku był ogień. Czy to jest to miejsce?

Suzanna patrzy na nią nierozumiejącym wzrokiem jak na kogoś zupełnie obcego, kto przystanął na ulicy.

- *Signora*, nie mam bladego pojęcia, o czym pani mówi. - Odwraca się do dyrektora, który wciąż trzyma ją za nadgarstek.

- *Vaffanculo!* Zabieraj te parszywe łapy, śmieciu!

Dyrektor gapi się na nią ze zdumieniem.

Łup!

Suzanna uderza go na odlew w twarz.

Valducci krzywi się z bólu, ale nie zwalnia uścisku.

Suzanna uderza go ponownie, tym razem dodaje jeszcze cios lewym kolaniem w krocze.

Dyrektor zgina się w pół i puszcza jej rękę.

- *Testa di cazzo!* - Suzanna jak gdyby nigdy nic odchodzi, odwracając się plecami do kościoła.

Louisa nieruchomieje.

Powinna pomóc Valducciemu czy gonić Suzannę?

Nie ma wyboru.

- Suzanno, poczekaj!

Niemal dziesięć sekund zajmuje jej dogonienie pacjentki.

Zrównuje się z nią, zachowując bezpieczny półmetrowy dystans.

- Dlaczego to zrobiłaś?

Suzanna rzuca jej niedowierzające spojrzenie.

- Dlaczego? Ten prosiak mnie trzymał. Nie widziałaś? Próbował wcisnąć mnie do samochodu i dobrać mi się do majtek. Nie ma mowy, sestro. Nie z Anną Fratelli te numery, o

nie.

- Anna?

- Co?

Louisa nie zamierzała zadawać jej pytania. Powtórzyła tylko głośno imię, ponieważ usłyszała je po raz pierwszy.

Było nowe, a jednak z czymś jej się kojarzyło.

Wreszcie jej pamięć postanawia ruszyć z miejsca i pomóc.

Jedna z osobowości nazywała się Suzie Fratelli.

Nowe alter ego połączyło poprzednie nazwisko, należące do małej Suzie, z zupełnie nową i agresywną osobowością imieniem Anna. Będącym fragmentem imienia Suzanna.

- Czy ja cię znam? - Anna maszeruje szybko, oddalając się od placu w kierunku bocznej uliczki, którą zdaje się rozpoznawać.

- Jestem lekarką ze szpitala, w którym byłaś. Nazywam się Louisa Verdeti.

- Niece. Nie byłam w żadnym szpitalu. Cały dzień tyrałam w robocie. W dwóch miejscach, ot co. Louisa, mówisz? Ładne imię.

Verdeti postanawia pójść za ciosem.

- *Grazie*. Anna to też ładne imię. Gdzie jest twoja rodzina?

- Żartujesz sobie? - Anna skręca w prostopadłą uliczkę.

- Dlaczego miałabym żartować?

- Skoro jesteś moją lekarką, to powinnaś wiedzieć to i owo o mojej rodzinie. Na przykład to, że żadnej nie mam. - Anna ponownie gwałtownie skręca, tym razem w ulicę prowadzącą do starego parku.

Louisa prawie traci oddech, próbując za nią nadążyć.

Skręca i nagle coś ciężkiego ląduje na jej twarzy.

Siła uderzenia przewraca ją na plecy. W oczach migoczą jej gwiazdy. W ustach czuje smak krwi.

Do oczu napływają łzy.

Kiedy w końcu rozgląda się wokół, po Annie nie ma już śladu.

## 55.

Tom i Valentina kupują najpotrzebniejsze rzeczy w niewielkim *supermercato* w pobliżu szpitala i jadą do należącego do żandarmerii mieszkania w północnej części miasta. Funkcjonariusze z wydziału kryminalnego wykorzystują je jako kryjówkę dla świadków, którzy mają zeznawać w głośnych procesach.

W mieszkaniu jest zimno, w powietrzu wisi smród dymu tytoniowego i alkoholu. Valentina otwiera okna i szuka odświeżacza powietrza. Tom znajduje włącznik centralnego ogrzewania i rozkręca go do maksimum. Żadne z nich na razie nie ma odwagi zajrzeć do sypialni.

Wnętrze ma spartański wystrój - podniszczona welurowa kanapa i krzesło stoją przy starym telewizorze. Po drugiej stronie salonu znajduje się składany stół z okleiny imitującej tekowe drewno, na którym walają się zgniecione puszki po piwie, pełna popielniczka i mocno zużyta talia kart.

- Urządzone wyłącznie dla mężczyzn - stwierdza Valentina, rozglądając się po pokoju. - Upredzali mnie, że nie zostało sprząnięte, ale nie sądziłam, że będzie aż tak źle.

- Bezdomni nie mają wyboru - odpowiada Tom z niedużego aneksu kuchennego. - Przynajmniej jest ekspres do kawy. - Unosi w górę ciśnieniowy ekspres Gaggia znaleziony w jednej z szafek.

Valentina klaszcze.

- Super! Zrób mi kawę, to może ci wybaczę, że, puściłeś z dymem mój dom.

- Już się robi.

Valentina otwiera drzwi lodówki i cofa się gwałtownie. Ze środka wydobywa się odór jak z trumny. W lodówce znajduje się tylko kilka zapomnianych warzyw i dość smrodu, żeby wytruć całą dzielnicę.

- Buee! Ostatni raz widziałam tak obrzydliwą lodówkę na studiach.

Tom porzuca skomplikowane zadanie podłączenia ekspresu.

- Może po prostu wrzucimy do środka zakupy w torbach i pójdziemy spać? - Kładzie

dłonie na jej biodrach. - W tej chwili chcę tylko zwinąć się z tobą w łóżku i zapomnieć o tym dniu.

Valentina całuje go w policzek.

- Połóż się. Zrobię z tym porządek, wystarczy mi dziesięć minut, gorąca woda i płyn do mycia naczyń. - Całuje go ponownie i rusza do zlewu.

Nie dociera jednak do kranu, bo w tym momencie zaczyna dzwonić jej telefon.

Czy ten dzień może być jeszcze gorszy?

Po trzydziestu sekundach okazuje się, że może.

- Suzanna zniknęła - informuje Valentina po zakończeniu rozmowy, wymachując rękami w bezsilnej złości. - Verdeti i jej szef zabrali ją do Cosmedinu, żeby przeprowadzić jakąś terapię kognitywną czy coś w tym rodzaju. Wyrwała im się i uciekła. Dasz wiarę? Przecież wiedzieli, że ta kobieta jest niebezpieczna. Po co ich zdaniem postawiliśmy strażnika przed drzwiami do jej pokoju, dla ozdoby? - Valentina wybiera numer Federica na klawiaturze i, posługując się barwnym słownictwem, relacjonuje mu wydarzenia z Cosmedinu.

W tym czasie Tomowi w końcu udaje się podłączyć ekspres i opróżnić lodówkę z gnijących resztek.

Kiedy Valentina kończy rozmawiać, na stole stoją dwie filiżanki przyzwoitego espresso, a lodówka jest prawie czysta.

- Jesteś aniołem - oznajmia Valentina, ujmując małą filiżankę obiema dłońmi.

Tom stuka swoją filiżanką o jej naczynie jak kieliszkiem do toastu.

- Musisz wyjść?

- Mam nadzieję, że nie - odpowiada Valentina bez przekonania. - Federico roześle zgłoszenia do wszystkich naszych oddziałów. *Polizia* też będzie jej szukać. Louisa i jej szef są w drodze na przesłuchanie.

- Chcesz sama z nimi porozmawiać?

Mina Valentyny zdradza odpowiedź.

- Chcę być tutaj i dopilnować, żeby nic więcej ci się nie przydarzyło.

- Ej, potrafię wyciągać wnioski. Obiecuję, że nie dotknę żadnego sprzętu elektrycznego, gdy cię nie będzie.

- Nie to miałam na myśli. - Valentina dotyka jego twarzy. - Wyglądasz na wykończonego.

- Jestem wykończony. I myślę, że ty też.

Valentina kiwa głową i bierze kolejny łyk gęstej, słodkiej kawy.

- Dopóki mam kofeinę - i ciebie - nic mi nie będzie.

Jej telefon znowu zaczyna dzwonić.

- Panie Boże, daj mi siłę. - Valentina rozzłoszczonym ruchem zgarnia aparat z blatu. -

*Pronto!*

Tom obserwuje, jak z jej twarzy odpływa złość, ustępując miejsca czemuś znacznie gorszemu.

Niedowierzaniu.

- *Grazie*. - Valentina kończy połączenie. Telefon wypada jej z dłoni.

- Co się stało?

Valentina patrzy na niego tak, jakby stał na cienkim lodzie, który w każdej chwili może się załamać.

- Dzwonił znajomy Federica ze straży pożarnej.

- No i...?

Valentina podchodzi krok bliżej.

- To nie ty zaproszyłeś ogień.

Tom marszczy brwi.

- Nie rozumiem.

- Ktoś oblał skrzynkę na listy benzyną i podpalił. Strażacy doszli do tego po śladach ognia na suficie i podłodze. Ogień nie wybuchł w kuchni. To nie była twoja wina. Pożar zaczął się w drzwiach.

Tom jest w szoku. Valentina przytula go do siebie. Przez kilka minut stoją objęci w milczeniu. Myśli obojga pędzą jak szalone w tym samym kierunku.

Kto to zrobił? Po co? I kogo właściwie usiłował zabić?



## 56.

Tom i Valentina nie czują się bezpieczni w kryjówce żandarmerii.

Prawdę mówiąc, nigdzie nie czują się już bezpieczni.

Jadą razem na komendę.

Tom nie chce nawet słyszeć o tym, żeby Valentina pojechała sama. A ona nie ma najmniejszego zamiaru spuszczać go z oka choćby na chwilę.

Dochodzi północ. Panuje dojmujący chłód, który przypomina, że do końca zimy jeszcze daleko.

W fiacie Valentiny robi się względnie ciepło dopiero wtedy, gdy parkują pod budynkiem komendy.

Przez szklaną ściankę działową Valentina zauważa Louise Verdetti i Sylvia Valducciego siedzących w ponurej poczekalni. Oboje wyglądają na przemarzniętych i zmęczonych.

Przypominają trochę stare małżeństwo, które przestało ze sobą rozmawiać wiele lat temu, ale wciąż w milczeniu zasiada razem do stołu. Valentina zabiera ich do swojego gabinetu i po drodze przedstawia im Toma, który mniej więcej w połowie drogi orientuje się, że wciąż ma na sobie różową spadochronową koszulę i monstrualne szare spodnie. Na szczęście dramatyczna ucieczka pacjentki zajmuje wszystkich na tyle, by nikt nie zwrócił uwagi na jego zbrodnię przeciwko modzie.

Tom siada na krześle w kącie gabinetu i usiłuje nie zasnąć.

Bierze do ręki starą gazetę, ale i tak przez większość czasu przysłuchuje się rozmowie Valentiny z psychiatrami.

Obserwacja interakcji pomiędzy Verdetti a Valduccim jest fascynująca. Ta dwójka serdecznie się nie znosi.

W pewnym momencie dyrektor dotyka jej ramienia uspokajającym gestem, a Louisa odskakuje jak oparzona, zupełnie jak ktoś, nad kim przez dłuższy czas się znęcano.

Pół godziny później Valentina przywołuje Toma do swojego biurka.

- Spójrz na to - mówi ponurym głosem.

Rozprostowuje pogniecioną kartkę papieru, na której widnieje dziecięcy rysunek wykonany kredkami.

- Nasza podejrzana to narysowała kilka godzin przed ucieczką.

Na pierwszy rzut oka Tom widzi tylko płataninę czerwonych i pomarańczowych linii. Dopiero po chwili dostrzega to, co zobaczyła Valentina.

Postać człowieka leżącego pod płonącym krucyfikssem.

Przez jego ciało przebiega dreszcz jak po porażeniu prądem.

Czy pacjentka naprawdę posiada dar przewidywania przyszłości?

Zerka na Louise i Valducciego, a potem na Valentine, która kręci głową, dając mu wyraźny sygnał, żeby milczał. Nie chce dyskutować na ten temat w obecności dwojga psychiatrów. Zwłaszcza dyrektora, któremu nie ufa nawet jego bezpośrednia podwładna.

Tom wraca do swojego kąta pełen posępnych myśli.

Może to złudzenie.

Ten rysunek może przedstawiać cokolwiek.

Niewykluczone, że pacjentka narysowała scenę bitwy z czasów rzymskich. Żołnierzy podpalających wioskę i wieszających mieszkańców lub niewolników na krzyżach.

Gdy Verdeti i Valducci w końcu wychodzą, w gabinecie od razu zjawia się Federico.

Wita się z Tomem grzecznym skinieniem głowy, po czym przyciszonym głosem długo rozmawia z Valentine.

Tom jeszcze raz zerka na kartkę. Nagle ogarnia go gwałtowna fala senności.

Siłą woli, niemal podtrzymując powieki, przygląda się obojgu żandarmom, którzy zapisują coś w notatnikach, stukają w klawiaturę komputera i co chwilę do kogoś dzwonią.

I nagle kończą.

Zbierają płaszcze, wyłączają lampę na biurku i żegnają się przyjaznym „*Ciao!*”. Federico nawet posyła Tomowi wymuszony uśmiech.

- Do domu! - oznajmia Valentina, triumfalnie klaszcząc smukłymi dłońmi. - A w każdym razie do tego, co chwilowo służy nam za dom.

Tom wstaje. Każda komórka jego ciała jest zmęczona. Każdy ruch wywołuje u niego bolesne jęknięcie.

- Co sądzisz o tym rysunku? - pyta Valentina, gdy schodzą do samochodu.

- Być może to nic nie znaczy. Oboje jesteśmy wykończeni, a w tym stanie wydaje ci się,

że za każdym rogiem widzisz potwora. Porozmawiajmy o tym jutro, jak trochę się prześpimy.

Valentina uważa, że Tom zbyt pochopnie lekceważy rysunek, ale widzi też, że były ksiądz nie ma w tej chwili ochoty na dłuższe dyskusje na ten temat.

Na zewnątrz tymczasem zrobiło się jeszcze zimniej. Każdy oddech zmienia się w obłok pary w mroźnym powietrzu przedświt. Dzięki Bogu fiat nie zdążył jeszcze się wychłodzić. Valentina wyjeżdża z parkingu i gładko podrzuca nowy temat rozmowy:

- Wygląda na to, że nasza przyjaciółka ma kolejną osobowość.

- Niech zgadnę, kolejna legendarna Rzymianka?

- Nie, tym razem nie. - Valentina zastanawia się przez chwilę. - Hm, prawdopodobnie jednak jest rzymianka, tyle że współczesną.

- To znaczy?

- Anna Fratelli. Tak się nazywa najnowsze alter ego. Podobno jest wredna i klnie jak szewc. To ona kontrolowała pacjentkę podczas ucieczki przed Louisa i jej szefem.

Obojgu jednocześnie przychodzi do głowy ta sama myśl, ale to Valentina odzywa się pierwsza:

- Może to nie jest alternatywna osobowość, tylko prawdziwa. Z opisu wynika, że jest dość silna, żeby przetrwać samodzielnie.

- Tak myślisz?

- A dlaczego nie? Przecież pod tymi wszystkimi alternatywnymi osobowościami gdzieś musi tkwić prawdziwa osoba.

- No tak. Louisa nazwała ją gospodarzem.

Tom wyciera zaparowaną szybę i wygląda w ciemność.

- W Los Angeles miałem znajomego gliniarza, który pomagał mi w centrum pomocy społecznej w Compton. Czarnoskóry olbrzym. Nazywa się Danny Moses.

- Moses? Jak Mojżesz?

- Tak. To zawsze bawiło bandziorów z Compton. Wołali na nas: „Idzie Mojżesz i kolo od Jezusa!”. Zarykiwali się ze śmiechu, jakby usłyszeli najlepszy dowcip na świecie. W każdym razie Danny miał talent do szukania uciekinierów. Twierdził, że zawsze uciekają do miejsc, które znają i czują się w nich bezpieczni. Do domu, do przyjaciół albo w miejsca, które regularnie odwiedzali. Kilkoro dzieciaków, które okradały kościół, znaleźliśmy w przykościelnej świetlicy.

Valentina zaczyna rozumieć.

- Czyli uważasz, że Anna wróciła do szpitala? Czy do Cosmedinu?

Tom nie jest pewien.

Prawie żałuje, że opowiedział jej tę historyjkę.

- Nie wiem. Jest zimno jak w piekle na tysiąc lat przed rozpaleniem pierwszego ognia, a Anna poruszała się na piechotę, więc musiała kierować się gdzieś niedaleko. Możliwe, że nawet nie oddaliła się za bardzo od miejsca, w którym zostawiła Louise i tego jej zboczonego szefa.

- Valducci? Uważasz, że wygląda na zboczeńca?

- Niech mi Bóg wybaczy osądzanie książki po okładce, ale tak, wygląda jak zboczeniec. Możesz mi wierzyć, spotkałem w życiu dość katolickich księży, żeby rozpoznać objawy.

Valentina śmieje się i skręca w kierunku Cosmedinu.

- Nie będziesz miał nic przeciwko, jeśli szybko obejrzymy miejsce, w którym Louisa ostatni raz ją widziała? To tylko kilka kilometrów stąd, a ja będę spokojnie spała, wiedząc, że to sprawdziliśmy.

Tom drapie się po głowie.

- Jasne. Chociaż nie ma takiej potrzeby.

Valentina patrzy na niego ze zdziwieniem.

- Znam inne sposoby na to, żebyś mogła spokojnie zasnąć. Znacznie przyjemniejsze sposoby.

## 57.

Po drodze do Cosmedinu Valentina wykonuje kilka telefonów do funkcjonariuszy pełniących nocny dyżur na dyspozytorni. Tom skrupulatnie zapisuje adresy, które mu podaje.

Kiedy dojeżdżają do Piazza della Bocca della Verità, w notatniku widnieje pięć adresów kobiet imieniem Anna Fratelli. Tylko jedna z nich ma dwadzieścia siedem lat i mieszka w Cosmedinie.

Valentina wyłącza silnik. Ma poczucie winy.

Pomimo makabrycznej pory, dzwoni do Federica. Telefon porucznika Assante jest wyłączony, co odrobinę poprawia jej nastrój. Zostawia mu rzeczową wiadomość, informując go, dokąd pojechała i po co. Szczegółów dowie się następnego dnia. Jest kilka przyczyn, dla których Valentina czuje ulgę, że Federico nie odebrał. Choćby to, że jest zbyt zmęczona, żeby czekać, aż Assante do niej dołączy. Na pewno wkurzy się, kiedy odsłucha wiadomość. Trudno.

Po tym, co zrobił, ma szczęście, że Valentina w ogóle uznaje jeszcze za stosowne informować go o czymkolwiek.

Adres mieści się w budynku na południe od bazyliki, w plątaninie wąskich uliczek, za parkingiem otaczającym nieduży trzygwiazdkowy hotel.

Valentina wyłącza światła i podjeżdża do końca uliczki, parkując w sporej odległości od podanego adresu.

Mieszkanie Anny Fratelli mieści się na parterze czteropiętrowego budynku.

Pozycja nazwiska Anny na liście mieszkańców przy domofonie wskazuje, że mieszka po lewej stronie klatki schodowej.

Valentina nachyla się do Toma i szepcze, osłaniając usta dłonią:

- Wyjdź na zewnątrz i obserwuj te okna. - Wskazuje palcem na parter. - To nieprzejrzyste to łazienka. Drugie może znajdować się w sypialni albo salonie. Jeśli będzie próbowała uciekać, to właśnie tędy.

Tom potwierdza kiwnięciem głowy i rozciera zziębnięte ramiona. Jego spadochronowa koszula nie jest odpowiednim strojem na zasadzki na mrozie.

Tak jak obawiała się Valentina, drzwi wejściowe do budynku mają magnetyczny zamek. Dzwoni pod kilka adresów na czwartym piętrze, aż w końcu ktoś częstuje ją przez domofon soczystym przekleństwem i otwiera.

Valentina szybko wślizguje się na klatkę schodową.

Mieszkanie Anny znajduje się kilka metrów od niej.

Trzykrotnie uderza w drzwi.

- *Carabinieri!* Otwierać!

Wcisła guzik dzwonka po prawej i przytrzymuje. Potem ponownie wali do drzwi.

- *Rapidamente!*

Przykłada ucho do drzwi.

Niczego nie słyhać.

Nie może czekać dłużej. Narobiła dość hałasu, żeby obudzić cały budynek, więc jeśli w środku ktoś jest, to miał dostatecznie dużo czasu, żeby otworzyć.

Valentina wyjmuje z kabury berettę i wyćwiczonym ruchem kopie z rozbiegu w drzwi.

Pod zamkiem pojawia się pęknięcie, ale framugi ani drgną.

Drzwi mają bolce antywłamaniowe.

- *Cazzo!*

Valentina bierze rozbieg i kopie ponownie.

Tym razem framuga pęka i drzwi otwierają się na oścież.

Valentina wpada do środka i prawie traci równowagę.

W mieszkaniu panuje mrok.

Instynktownie podnosi broń i omiata lufą otoczenie.

Z lewej strony otwierają się drzwi.

Żółte światło ulicznych latarni sączy się przez okna do przedpokoju.

Zza drzwi wypada ciemny wrzeszczący kształt.

Valentina uskakuje i wpada na jakiś przedmiot.

Za nią rozlega się trzask tłuczonej lampy.

Kształt uderza ją w nogi i popycha na ścianę.

Beretta wypada jej z dłoni i znika w ciemności.

Na jej kolanach zaciskają się czyjeś ręce.

Valentina uderza w dół łokciem i trafia napastnika w czubek głowy.

Z podłogi dobiega zduszony krzyk.

Uścisk na jej kolanach rozluźnia się, ale ręce nie znikają.

Napastnik łapie ją za stopy i ciągnie po podłodze.

Valentina sunie po rozbitym szkle lampy, które wbija się w jej skórę jak cierń.

Wyrzuca ręce w kierunku napastnika, ale chwytą tylko powietrze. Zadaje cios prawą ręką, która boleśnie zderza się ze ścianą.

Napastnik puszcza jedną z jej nóg.

Z ciemności nadchodzi kopnięcie w nerki. Valentina ze świstem wciąga powietrze i zwiija się z bólu.

Następne kopnięcie trafia w kręgosłup. Valentine zaczyna ogarniać panika. Prawdopodobnie za chwilę zostanie ciężko pobita. Lub gorzej.

Oślepiający błysk.

Ktoś włączył światło.

W drzwiach stoi Tom, trzymając rękę na przełączniku.

Widzi Valentine i pochylonego nad nią napastnika.

To nie Anna. Zaatakował ją jakiś mężczyzna.

W kolejnej sekundzie wszyscy troje nieruchomieją. Są zaskoczeni sytuacją.

Pokój jest nieduży, więc wystarczają mu dwa kroki, żeby wymierzyć celne kopnięcie w brzuch mężczyzny.

Tamten zgina się w pół, a Tom chwytą go od tyłu za gardło i zaczyna dusić. Mężczyzna jest od niego prawie o głowę niższy, więc żeby całkowicie go unieruchomić, Tom musi tylko obrócić się i zastawić wyprostowaną nogą.

Valentina podnosi się z podłogi.

Zdejmuje z pasa kajdanki i zapina je na nadgarstkach napastnika. Potem popycha go na kolana i głośno oddycha z ulgą.

Tom ma wielką ochotę wziąć ją w ramiona i przytulić, ale wie, że nie może tego zrobić. Nie teraz. To jej przedstawienie.

Valentina musi całkowicie zapanować nad sytuacją, a w tym celu Tom musi się wycofać.

Valentina staje przed klęczącym mężczyzną.

- Nazwisko.

Napastnik opuszcza głowę.

Valentina chwytą go za twarz, sięga do tylnej kieszeni i wyciąga odznakę.

- Jestem kapitan Valentina Morassi. Kim jesteś? Po co tu jesteś?

Mężczyzna nie odpowiada.

Jest w nim coś niepokojącego.

Valentina zauważa to dopiero po chwili.

Napastnik praktycznie nie ma zarostu.

Jego rysy są niemal kobiece.

Przed oczami Valentiny staje prosekatorium.

Ciało kastrata znalezione nad Tybrem z rozprutym brzuchem.

Czyżby kolejny eunuch?

- Wstawaj!

Mężczyzna albo nie chce, albo nie jest w stanie spełnić polecenia.

- Tom, pomóż mi.

Razem podnoszą napastnika. Valentina zaczyna rozpinać mu dżinsowe spodnie.

Tom patrzy na nią ze zdumieniem.

- Co ty wyprawiasz?

Valentina najwyraźniej nie zamierza przejmować się prawami aresztowanego. Ściąga mu spodnie i majtki do kostek, popycha na sofę i rozchyła mu stopą nogi.

- *Porca vacca!* Następny eunuch! - Odwraca się od półnagię więźnia i włącza krótkofalówkę.

Przez radio wzywa wsparcie, po czym otwiera drzwi do sypialni, cały czas trzymając przed sobą pistolet.

W pomieszczeniu panują ciemności.

Valentina dostrzega zarys niskiego łóżka, niedużej komody i szafy.

Ani śladu Anny.

Wraca do salonu.

- Tom, ubierz tego dupka, a ja doprowadzę się do porządku. Mam pełno szkła we włosach i Bóg jeden wie, gdzie jeszcze.

- To chyba wykracza poza standardowy zestaw obowiązków twojego chłopaka?

Valentina uśmiecha się słabo.

- Wiem. Zapnij kajdanki na krześle i najlepiej na nim usiądź.



Tom rzuca jej spojrzenie, które wyraźnie mówi, że jest w stanie poradzić sobie z więzieniem bez uciekania się do tak drastycznych środków.

Łazienka jest mikroskopijna.

Valentina zauważa, że na półkach stoją wyłącznie damskie kosmetyki. Jedna szczoteczka do zębów, jedna tubka pasty i peseta do brwi na szklanej półce pod plastikową szafką z lustrem.

Otwiera drzwiczki. W środku znajduje tubkę kremu przeciwko grzybicy, pudełko tamponów, buteleczkę pigułek przeciwbólowych i kilka opakowań zyrtecu.

Ani śladu ligniny ani wacików, na które liczyła.

Zamyka drzwi i patrzy na siebie w lustrze. Dotyka głowy i czuje pod palcami kilka odłamków szkła. Ostrożnie wyjmuje je z włosów, przygląda im się przez chwilę, po czym wrzuca do zlewu. Pozbycie się wszystkich odłamków zajmuje jej kilka minut.

Ściąga bluzkę i odwraca się plecami do lustra. W odbiciu widzi kilka szklanych odłamków wbitych w skórę wzdłuż kręgosłupa.

Na wysokości lędźwi widnieje też czerwony ślad po kopnięciu.

Za pomocą pesety i lustra po kolei wyciąga szkło z pleców. Zerka na kabinę prysznicową. Kuszące. Gorąca kąpiel jest dokładnie tym, czego teraz potrzebuje, ale będzie musiała jeszcze poczekać. Samo przesłuchanie tego wykastrowanego pajaca zajmie kilka godzin.

Wkłada bluzkę i uświadamia sobie, że jej prawa dłoń nie wyszła bez szwanku z uderzenia w ścianę. Wprawdzie może poruszać wszystkimi palcami, ale skóra na kostkach jest zdarta i opuchnięta. Szkoda, że zamiast w ścianę nie trafiła tego sukinsyna w pysk.

Kiedy wraca do salonu, napastnik leży twarzą do podłogi.

Tom siedzi na krześle obok, opierając nogę o środek pleców mężczyzny.

- W porządku? - pyta Valentina.

- Jasne - odpowiada Tom znudzonym tonem.

- Sprawdzę resztę mieszkania, dobra?

Tom odpowiada skinieniem.

Valentina wraca do sypialni i po omacku szuka włącznika światła. Kiedy w końcu go znajduje, światło się nie włącza.

Próbuje ponownie. Nic. Coś jest nie tak. Valentina czuje to przez skórę.

Coś przegapiła.

Coś ważnego.

## 58.

Na miejscu zjawiają się żandarmi z wydziału prewencji. Dopiero wtedy Valentina może zbadać sypialnię.

Przekazuje żandarmowi więźnia i relacjonuje okoliczności aresztowania.

Może noc w celi rozwiąże mu język. Na razie Valentina musi odpocząć. Do jutra nabierze sił, żeby dowiedzieć się, co ten eunuch właściwie robił w mieszkaniu należącym do poszukiwanej przez nich kobiety.

Pożycza od żandarmów latarkę i wraca do sypialni.

W pokoju panuje przejmujące zimno. W powietrzu unosi się zapach wilgotnego zardzewiałego żelaza.

Światło latarki rozprasza nieco mrok. Oprócz drzwi wszystkie ściany i sufit pokryte są czymś, co przypomina odstającą brudną glazurę. Valentina kieruje promień w górę.

Na suficie nie ma żyrandola, ani nawet żarówki. Tylko wiązka kabli z gniazdem.

Latarka wędruje po ścianach. Za smugą światła podążają dziwaczne cienie. Valentina ponownie oświetla sufit.

Nieprawdopodobne.

Ze stropu zwieszają się setki różańców ze srebrnymi krzyżkami.

- Tom! Musisz to zobaczyć. - Valentina zwiększa moc latarki.

Były ksiądz staje w drzwiach. Valentina świeci po ścianach.

- Co o tym sądzisz?

Tom zasłania oczy przed światłem.

- Nic nie widzę. Możesz opuścić? Świecisz mi prosto w oczy.

- *Scusi.* - Valentina kieruje promień w dół i zauważa, że podłogę również pokrywa dziwna powłoka.

Tom staje na środku pokoju i dotyka jej dłoni.

- Ten pokój to sanktuarium. Kryjówka kogoś, kto się bardzo boi.

- I kogoś kompletnie stukniętego - mruczy Valentina, oświetlając podłogę. - Czy to nie

jest Biblia? Cała podłoga jest zaklejona tekstami z Biblii.

Tom robi znak krzyża.

Valentina przesuwa ręką po zaklejonej papierem ścianie.

- Przerażające.

- Słowo Boże cię przeraża?

- Owszem. Jeśli ktoś tapetuje nim ściany, tak jak tu, to jest to cholernie przerażające. -

Światło latarki pada na mosiężne lichtarze stojące wokół figurki Madonny z Dzieciątkiem. - Nie tylko przerażające, ale i niebezpieczne. To miejsce aż się prosi o pożar. Wystarczyłaby jedna iskra ze świecy.

Tom przygląda się kartkom pokrywającym ściany. O ile się nie myli, pokój wytapetowano kartami nie tylko z Wulgaty, standardowego przekładu Biblii na łacinę. Rozpoznaje też ustępy z Nowego Testamentu po grecku z Biblii Polyglotta. Idzie wzdłuż ścian, przesuując palcami po kolejnych akapitach.

Zauważa kilka stron zadrukowanych staromodną czcionką.

- To fragmenty z Septuaginty, najstarszego greckiego przekładu Starego Testamentu. -

Robi krok dalej. - A tutaj są fragmenty Starego Testamentu po hebrajsku. - Wskazuje miejsce na ścianie palcem, który rzuca długi cień. - Poświeć tam, zdaje się, że widzę tekst po angielsku. To też Stary Testament.

- O co tu chodzi, Tom?

- Nie jestem pewien. Wydaje mi się, że ten, kto tu mieszka, postanowił urządzić sobie duchową twierdzę ze wszystkich możliwych wersji Biblii.

Stopa Toma zawadza o coś na podłodze.

- Poświeć mi tutaj.

Promień latarki wędruje ku jego nogom.

- Na stopy.

- Dobry Boże, co to jest?

Tom przyklęka.

- Łóżko. Z egzemplarzy Biblii.

Valentina klęka obok niego.

Tom bada jednoosobowe łóżko.

- Ramę zbudowano na wysokość czterech egzemplarzy i szerokość jednego... dwóch...

nie, trzech. Wykorzystano je jak cegły, żeby zbudować niewysoki murek grzbietami do środka, tak żeby podtrzymały materac. - Udaje mu się otworzyć kilka okładek. - Wygląda na to, że przybito je do podłogi gwoździami murarskimi.

Valentina dotyka ręką łóżka.

- Materac i kołdra też są podbite stronami z Biblii. - Wstaje. - Ciebie to nie przeraża?

Tom również się podnosi.

- Nie. Widywałem już takie miejsca.

- Poważnie? - pyta z niedowierzaniem Valentina.

- Niektórzy ludzie bardzo boją się ataku demonów - opętania - we śnie. Boją się, że diabeł wykorzysta to, że przez sen nie mogą się bronić. Podejrzewam, że chodzi tu o to samo. Dziewczyna boi się, że kiedy zaśnie, jakiś demon posiadzie jej ciało.

Z salonu dobiega hałas i głosy.- Przyjechała dochodzeniówka - wyjaśnia Valentina, zauważając jego nerwowość. - Lepiej stąd wyjdźmy i pozwólmy im pracować.

Wracają do salonu. Tom staje pod ścianą, natomiast Valentina przejmuje dowodzenie, wydając rozkazy kilku funkcjonariuszom.

Po kilku minutach w mieszkaniu pojawiają się składane lampy, a ludzie w lateksowych rękawiczkach otwierają nesesery z narzędziami. Nikomu nie umyka dziwna różowa koszula i workowate spodnie Toma.

W sypialni rozlega się okrzyk po włosku. Valentina rusza tam biegiem.

Tom podąża tuż za nią.

Kilku funkcjonariuszy stoi wokół niewysokiej szafy.

W środku siedzi młoda kobieta zwinięta w kłębek.

Cała jest we krwi.

## 59.

Louisa Verdetti śpi. Rozpaczliwie potrzebowała odpoczynku. Głębokiego, spokojnego snu, który choć na jakiś czas pozwoliłby jej zapomnieć o najgorszym dniu, jaki kiedykolwiek przeżyła.

Zgubienie pacjentki, uderzenie w twarz, kłótnia z szefem, a w końcu upokarzające przesłuchanie przez żandarmerię stopniowo rozwiewają się w sennej mgle.

Za kilka godzin ten dzień stanie się tylko nieprzyjemnym wspomnieniem, a Louisa będzie zwarta i gotowa na wszystkie tajemnice i przeszkody nowego dnia.

Ale jeszcze nie teraz.

W tej chwili Louisa Verdetti nie nadaje się do czegokolwiek oprócz snu, a ostatnią rzeczą, której mogłaby sobie życzyć, jest dzwoniący telefon.

A jednak.

Przez długą, leniwą chwilę Louisa próbuje wmówić sobie, że brzęczenie telefonu to wciąż sen, w którym na przykład dzwoni do niej były chłopak i błaga o drugą szansę.

Ale to nie sen.

Telefon jest prawdziwy.

I nie przestaje dzwonić.

Co gorsza, dzwoni w chłodnych ciemnościach po drugiej stronie miękkiej i nagrzanej kołdry.

Louisa sięga ręką po słuchawkę i chowa się z nią z powrotem w przytulną kryjówkę pościeli.

- *Si. Verdetti.*

Po drugiej stronie słyszy Valentinę Morassi. Resztki snu ulatniają się błyskawicznie.

Louisa zrywa się i natychmiast siada.

W milczeniu słucha relacji Valentiny.

Kiedy kapitan Morassi kończy rozmowę, Louisa jeszcze przez chwilę trzyma słuchawkę. Próbuje przetworzyć to, co przed chwilą usłyszała.

Wczorajszy koszmar wcale się nie skończył.

Co gorsza, wygląda na to, że dopiero się zaczął.

Louisa ubiera się w pośpiechu, rezygnując z prysznicza czy choćby przyczesania włosów. Wypada z mieszkania, wsiada do samochodu i pędzi do szpitala.

Suzanna - czy też Anna lub Kasandra, czy kimkolwiek tak naprawdę jest - walczy o życie na oddziale intensywnej terapii Policlinico.

Lekarka wpada do szpitala bez tchu, jak spanikowana krewna ofiary wypadku.

Zgłasza się do recepcji. Pielęgniarka prowadzi ją do lekarza o pociągłej twarzy. Nazywa się Ricardo Contessi i jest jednym z pechowców, którym tego dnia wypadł nocny dyżur na chirurgii urazowej.

- Twoja dziewczyna żyje, ale jest w bardzo ciężkim stanie. Zrobiła sobie około dwudziestu cięć. W większości płytkich, poziomo przez nadgarstek. - Contessi wyciąga lewą rękę i palcem demonstruje miejsca okaleczeń. - Uszkodziła ścięgno, trzeba było zszyć. Największy problem był jednak z pionowym nacięciem przez całą długość ramienia.

Louisa krzywi się mimowolnie. Ludzie, którzy dokonują samookaleczeń, z reguły wiedzą, że poziome cięcia są raczej bezpieczne. Co innego pionowe - to krótka droga do samobójstwa. Rozerwanie nawet jednej tętnicy w przedramieniu może skończyć się tragicznie.

Contessi powoli przesuwając palcem po długim owłosionym ramieniu.

- Na szczęście wbiła ostrze kilka centymetrów poniżej skrzyżowania tętnicy łokciowej i promieniowej, więc uszkodziła głównie mięśnie. Udało się jej jednak zahaczyć o tętnicę łokciową. Straciła bardzo dużo krwi.

- Wyjdzie z tego?

- Sądzę, że tak. Ratownicy wykonali kawał dobrej roboty w karetce. Dziewczyna została już opatrzona i dostała środki uspokajające. - Contessi kiwa głową w kierunku tablicy z nazwami oddziałów na ścianie. - Leży na otwartym oddziale. Jest przy niej jakaś kobieta z żandarmerii.

Louisa dochodzi do wniosku, że tą kobietą musi być Valentina. Drapie się w głowę i uświadamia sobie, że zamiast włosów ma gęsty kołtun, w którym z przyjemnością uwiłby sobie gniazdo jakiś ptak.

Chirurg zerka na podkładkę z kartą pacjenta.

- Było trochę zamieszania z nazwiskiem. Wiesz, jak ona się naprawdę nazywa?

Louisa blado się uśmiecha.

- Dla spokoju wpisz Suzanna Anna Kasandra Fratelli.

Lekarz rzuca jej zdziwione spojrzenie, ale wpisuje dane do karty.

- *Grazie*. Zajrzę do niej, zanim skończę dyżur. *Ciao!*

- *Ciao*. - Louisa bierze głęboki wdech i szybkim krokiem pokonuje korytarz prowadzący na oddział.

Valentina krąży po pokoju, rozmawiając przez telefon. Tuż nad nią na ścianie wisi duży zakaz używania komórek.

Tom drzemie na krześle.

Przy oknie stoi młody żandarm w mundurze. Naprzeciwko niego pielęgniarka wypełnia dokumentację, od czasu do czasu rzucając powłóczyście spojrzenia na przystojnego żołnierza.

Anna jest nieprzytomna.

Louisa podchodzi do łóżka. Jej pacjentka sprawia wrażenie kruchej jak porcelanowa lalka.

Valentina tymczasem kończy rozmawiać i odwraca się do lekarki.

- Znaleźliśmy ją nieprzytomną w szafie w jej mieszkaniu.

Louisa nie potrafi sobie nawet wyobrazić, jaki koszmar musiała przeżyć ta dziewczyna.

- Anna Fratelli to jej prawdziwe imię i nazwisko?

- Na to wygląda. W mieszkaniu nie znaleźliśmy żadnych rachunków ani dokumentów.

Będzie pani mogła wydobyć jej kompletną dokumentację medyczną?

Louisa zerka na zegarek.

- Nie o trzeciej nad ranem. Myślę, że będę mogła ją dostać za parę godzin.

Valentina zerka w stronę łóżka.

- Ma pani jakiś pomysł, co jej się przydarzyło? Skąd się wzięły te zaburzenia?

Lekarka pochyla się nad Anną i odgarnia kosmyk włosów z jej twarzy.

- Mogłabym zadać pani to samo pytanie. Nie zdziwiłabym się, gdyby się okazało, że źródło jej zaburzeń jest ściśle powiązane z przestępstwami, które pani bada.

Tom wierci się na krześle przez sen i zsuwa nieco w dół. Pod głową ma poduszkę opartą o ścianę.

Louisa przygląda się Valentinie, która patrzy na Toma.

Valentina wyczuwa na sobie jej spojrzenie.

Louisa się uśmiecha.

- Jako profesjonalistka w dziedzinie obserwacji ludzkich zachowań stwierdzam, że łączy was nie tylko przyjaźń.

Valentina nie odpowiada.

- Dobra, przepraszam, już nic nie mówię. Sprawy prywatne to sprawy prywatne. - Louisa odchrząkuje. - Czy jest coś jeszcze, co powinnam wiedzieć o Annie? Znaleźliście coś w jej mieszkaniu? Jakies leki?

- Tylko standardowy zestaw - tabletki na ból głowy, leki antyalergiczne i tak dalej. Musi pani zobaczyć jednak jej sypialnię. Prześlę pani kilka zdjęć.

- Dlaczego muszę?

- Żeby w to uwierzyć. Urządziła tam sobie małą świątynię. Ściany, podłoga i sufit są w całości pokryte stronami z Biblii. Na stropie wiszą setki różańców. Dość przerażające.

Louisa milczy.

- Pani doktor?

- Myślałam o czymś. Wydaje mi się, że żadna z alternatywnych osobowości nie wspominała w ogóle o wierze katolickiej.

- To jest katolicyzm do dziesiątej potęgi. Nawet łóżko zbudowane jest z egzemplarzy Biblii, zupełnie jakby bała się zasypiać bez bliskiego kontaktu z Bogiem.

- Potworność - żyć w ciągłym strachu, w dzień i w nocy. - Louisa drapie się po szopie nieuczesanych włosów i spogląda na nieprzytomną pacjentkę. - Tak bardzo jest mi jej żal. Chciałabym móc jakoś wydobyć ją z tej czeluści.

Przez niemal minutę obie kobiety wpatrują się w Annę.

Dziewczyna wygląda na bardzo osłabioną.

Od bladej skóry twarzy odcinają się zaczerwienione powieki. Spod bandażu na rękach wyrasta gąszcz rurek i przewodów prowadzących do plastikowych torebek i urządzeń monitorujących.

- Nie powinniśmy byli zabierać jej do Cosmedinu - odzywa się Louisa, przerywając ponurą ciszę. - To było idiotyczne posunięcie. Gdyby Valducci w kółko mnie nie popędział, zadzwoniłabym do pani i poprosiłabym o pozwolenie.

- I nie wymknęłaby się pani mojemu strażnikowi.

- I nie wymknęłabym się strażnikowi. Czy on ma przez to kłopoty?

Valentina się uśmiecha.



- Wprawdzie nie szoruje toalet szczoteczką do zębów, ale trafił niewiele lepiej. -  
Wskazuje ręką bańkę z wodą. - *Aqua?*

- *Si. Grazie.*

Valentina napełnia dwa kubki i wręcza jeden Louisie.

- Powinna pani wiedzieć o czymś jeszcze. Po drodze tutaj zadzwonił do mnie oficer z dochodzeniówki i powiedział, że w mieszkaniu Anny znaleźli kilkanaście zeszytów zapisanych i wypełnionych rysunkami.

- Dzienniki.

- *Scusi?*

- Ludzie cierpiący na DID często mają świadomość, że ich ciało przejmują kilka osobowości, dlatego podświadomie zmuszają swoje alternatywne osobowości do zapisywania w dzienniku tego, co się z nimi dzieje. Dzięki temu gdy gospodarz odzyskuje kontrolę nad ciałem, może odtworzyć przebieg zdarzeń.

- Chwileczkę. Chce pani powiedzieć, że jeśli Anna chciałaby się dowiedzieć, co się działo z nią, z jej ciałem, przeczytałaby o tym w dzienniku zapisanym przez którąś z alternatywnych osobowości?

- Mniej więcej.

Valentina nie wypowiada na głos tego, co właśnie przychodzi jej do głowy.

To może być przełom.

W dziennikach Anny może kryć się wyjaśnienie tajemnicy odciętej dłoni w kościele w Cosmedinie i martwego eunucha nad brzegiem Tybru.

## 60.

Kiedy oficerowie żandarmerii kończą przesłuchiwać więźnia, dochodzi czwarta rano.

Pod prysznicami rozgrywa się obrzydliwy spektakl. Żołnierze tłoczą się, żeby zobaczyć faceta z odciętymi jajami i najmniejszym penisem w dziejach ludzkości.

- Powinienem, kurwa, sprzedawać bilety. Wracać do roboty! - ryczy Piero la Malfa, oficer nadzorujący areszt.

Na zewnątrz, przy biurku dyżurnego, Federico Assante próbuje pozbyć się pozostałości nocnego pijaństwa, przeszukując ubrania więźnia. Nikt nie mógłby zaprzeczyć, że przeżył wczoraj wyjątkowo parszywy dzień. Dlatego kiedy wrócił do domu, uznał, że najszybszym sposobem na znalezienie się w miejscu, w którym cały ten bajzel z Caesario i Morassi nie ma najmniejszego znaczenia, będzie butelka brandy.

A potem zadzwoniła Valentina.

Ta przeklęta baba była niezmordowana. Nie odebrał telefonu, więc zostawiła mu wiadomość na poczcie głosowej. Jedną z tych, których nie da się zignorować i które w najgorszy możliwy sposób przypominają ci o bagnie, w które się wpakowałeś.

Federico układa przed sobą plastikowe policyjne torby z ubraniami. Czarne adidasy, czarne skarpety, czarne spodnie, czarna koszulka, czarna bluza z kapturem i czarne rękawiczki. Cholerny kastrat. Albo jego fetyszem jest kolor czarny, albo pracuje w branży, w której lepiej nie pokazywać się za dnia.

Federico nie ma wątpliwości, że chodzi raczej o to drugie.

Czerń nie tylko pomaga włamywaczom, złodziejom i gwałcicielom rozplynać się w mroku, ale jest też bardzo myląca dla świadków. Prokuratorzy i sędziowie z zasady ostrożnie traktują zeznania, w których pada stwierdzenie „chyba był ubrany na czarno”, zwłaszcza jeśli w relacjach nie ma ani słowa o wyróżniających się elementach stroju.

Młody porucznik czuje zniechęcenie. W ubraniach nie ma nic, co mogłoby naprowadzić go na tożsamość więźnia, a jak dotąd sukinsyn nie pisnął ani słowa.

Może oprócz jaj odcięli mu też język.

Assante ponownie spogląda na przedmioty znalezione przy więźniu: dwieście euro, paczka chusteczek higienicznych i szpula żyłki wędkarskiej. Żyłka może być istotna - można nią kogoś związać, albo udusić. Oprócz tego eunuch miał przy sobie kluczyki do samochodu i intrygującą, choć tanią, biżuterię.

Czarny naszyjnik na sznurku.

Federico czuje dreszcz, podnosząc przezroczystą torbę.

Naszyjnik jest identyczny z tym, który pielęgniarka zdjęła w szpitalu z szyi Anny Fratelli.

- Analiza odcisków coś wykazała? - pyta Federico przez otwarte drzwi do bloku cel.

- *Domani!* - odpowiada la Malfa. - A może byś tak ruszył dupę i sam sprawdził?

- Daj mi spokój, człowieku. Mówiłem ci, że mam kaca mordercę. Ledwo trafiam do kibla.

Pomóż koledze.

- *Vaffanculo stronzo!*

- Piero, *per favore*.

La Malfa znika bez słowa w korytarzu.

„Leniwy palant”, myśli Assante. On na pewno nie zostawiłby żandarma w potrzebie.

Przysuwa sobie drugie krzesło, kładzie na nim nogi i zamyka oczy. Dwadzieścia minut snu. Króciutka drzemka, a potem zajmie się odciskami.

Gdzieś w oddali rozlegają się podniesione głosy.

Łomot zatraskiwanych żelaznych drzwi. Grzechot kluczy. Pijackie wrzaski. Ktoś wymiotuje. Więcej wrzasków. Śmiechy żandarmów.

Stary kaloryfer, przy którym siedzi Federico, cicho syczy i bulgocze. Po kilku minutach porucznik Assante zapada w sen.

- Chcesz ten raport czy nie?

Federico rozgląda się półprzytomnie. Nie rozpoznaje tego głosu.

- Pytam, czy chcesz ten raport?

La Malfa stoi nad nim i wymachuje kartką papieru.

- Koniec służby. Przy odrobinie szczęścia zdążę wrócić do domu, zanim moja żona się obudzi i zacznie zrzędzić.

Federico zerka na zegarek. Szósta trzydzieści.

Niewiarygodne.

Wydaje mu się, że zamknął oczy dosłownie przed sekundą, a nie przed dwiema

godzinami.

La Malfa rzuca mu kartkę.

- Trafiliśmy w dziesiątkę. Z analizy odcisków wynika, że ten koleżka ma na sumieniu więcej niż pieprzony Kaligula.

# 61.

Sypialnia jest tak brudna, że Tom i Valentina większość czasu spędzają na drapaniu się i kichaniu.

Poranne światło sączy się przez zbyt wąskie zasłony i pod źle dopasowanymi drzwiami. Tom i Valentina leżą przytuleni do siebie w ubraniach na poplamionym materacu, przesiąkniętym zapachem cudzego potu.

Po powrocie ze szpitala byli tak wykończeni, że po prostu położyli się na łóżku i natychmiast zasnęli.

Valentina otwiera jedno oko i odruchowo szuka wzrokiem budzika z Myszka Miki. Dopiero po chwili uświadamia sobie, że już go nie ma. Nieobecność uszatego budzika boleśnie przypomina jej - choć wcale nie potrzebuje przypomnienia - o pożarze, który strawił jej mieszkanie, pozbawił pokaźnej części pamiątek z przeszłości i prawie odebrał bardzo istotną część przyszłości.

Całuje Toma, który rozbudza się powoli.

- Wstawaj - mówi cicho. - Będziemy się kochać pod prysznicem, a potem pójdziemy poszukać jakiegoś śniadania.

Tom wciąż nie otwiera oczu.

- Dobry Boże, kobieto, ciebie nie da się zaspokoić. Mógłbym się najpierw obudzić?

Valentina wsuwa się na niego.

- Nie. Obudzę cię pod prysznicem.

Dotrzymuje słowa.

Budzi go na tyle skutecznie, że żadne z nich nawet nie narzeka na letnią wodę ciekącą z brudnej słuchawki prysznica, pokrytej grubą warstwą kamienia.

Wsiadają do samochodu i po pięciu minutach są już w kawiarni. Jest krótko po ósmej. Lokal jest wypełniony rzymianami, którzy w pośpiechu wychylają espresso jak setkę wódki i biegną do pracy.

Valentina nakłada na tacę rogaliki, dżem, ser, owoce, wodę i kawę. Płaci w kasie i

dołącza do Toma przy stoliku w kącie pod grzejnikiem, który wydaje z siebie przedśmiertne rżenie.

- Umieram z głodu - oznajmia, łapiąc rogalika, zanim usiądzie.

Tom zdejmuje śniadanie z brązowej tacy i odkłada ją na pusty sąsiedni stolik.

- Mam nadzieję, że dzisiaj nie będziemy mieli tylu atrakcji.

- Wypiję za to. - Valentina bierze łyk kawy i patrzy Tomowi prosto w oczy. - Zanim zacniemy rozmawiać o pracy i całym tym bałaganie, chcę ci coś powiedzieć.

- Co?

Valentina nachyla się do niego i szepcze:

- Chcę ci powiedzieć, że nie tylko jesteś najlepszym kochankiem, z jakim kiedykolwiek byłam, ale nigdy w życiu nie byłam tak szczęśliwa, jak w tej chwili z tobą.

To wyznanie zaskakuje Toma.

Dotyka jej aksamitnego policzka i całuje ją. Odrobinę zbyt namiętnie jak na miejsce publiczne.

Valentina właściwie powiedziała mu przed chwilą, że go kocha. Tom chciałby mieć w sobie tyle pewności, żeby mówić otwarcie o swoich uczuciach. Ale nie ma. To cena, jaką płaci za zbyt wiele lat spędzonych w sutannie.

Z sąsiednich stolików dobiegają oklaski. Tom i Valentina odrywają się od siebie speszeni.

- Ja też jestem z tobą bardzo szczęśliwy - wykrztusza w końcu Tom.

Valentina się rumieni.

- Domyśliłam się po tym pocałunku.

Oboje ze śmiechem sięgają po kawę.

Tom wychyla swoją filiżankę i zmienia temat.

- Jakie masz plany na dzisiaj?

- No cóż, jeżeli za chwilę nie aresztują nas za obrazę moralności, zamierzam zadzwonić do Federica i sprawdzić, czego dowiedział się od faceta, którego wczoraj aresztowaliśmy. A potem chcę jeszcze raz przesłuchać Suzannę. To znaczy Annę. I chciałabym, żebyś przy tym był.

- Ja? Po co?

- Względy zawodowe. - Valentina się uśmiecha. - A może po prostu wolę się dzisiaj z tobą nie rozstawać. Chcę cię mieć pod ręką.

- A jeśli nie będę miał na to ochoty? - Tom otwiera słoiczek z dżemem.

- To cię rzucę i nie będę chciała cię znać. A ty będziesz musiał wynieść się z tej rezydencji, w której spędziliśmy noc.

Tom zanurza koniec rogalika w dżemie.

- I to ma być groźba?

Valentina wybucha śmiechem, ale po chwili poważnieje.

- Ta sprawa ma bez wątpienia jakiś pokręcony religijny aspekt. Może uda ci się go rozszyfrować.

- Z chęcią pomogę ci, jak będę mógł.

Valentina waha się przez chwilę.

- Nie jestem pewna, czy będę mogła ci za to zapłacić - wiesz, tak jak wtedy w Wenecji. Biorąc pod uwagę nasz... związek, to mogłoby źle wyglądać.

Tom rozumie jej dylemat.

- Nie ma takiej potrzeby. Zadowolę się sypianiem z szefową.

- Umowa stoi. - Valentina bierze łyk wody. - Kiedy pojedziemy do Anny, poproszę Federica, żeby ją sprawdził. Dokumentację medyczną, kartotekę kryminalną, rejestry urzędowe i tak dalej. Musimy się dowiedzieć, gdzie pracuje, jak zarabia, kogo zna i kto ją.

- I kto budzi w niej takie przerażenie, że musi spać w łóżku z Biblii.

- Otóż to. - Valentina odkrawa plasterek sera. - Chcę też przeczytać zeszyty, które znaleźliśmy w jej mieszkaniu. Wczoraj, kiedy spałeś, zadzwoniłam do Louisy. Uważa, że to mogą być dzienniki pisane przez alternatywne osobowości Anny. Postaram się, żeby też mogła na nie spojrzeć.

- Zastanawiałaś się nad tym pożarem? Kto mógłby podłożyć ogień w twoim mieszkaniu?

Valentina myślała o tym. Długo i intensywnie. Próbuje zlekceważyć odpowiedź, którą podsuwa jej intuicja.

- Ktoś, kto miał pretensję do ludzi, którzy mieszkali tam przede mną? Może mieli długi albo nadepnęli na odcisk jakiemuś *mafioso*. Albo zrobił to jakiś walnięty dzieciak. Nieletni wandale często dostają *pazzo*.

- Nie wydaje mi się.

- No to może właściciel budynku chciał oskubać firmę ubezpieczeniową.

- Też nie.

Valentina wie, że Tom ma rację.

Tom wyciąga rękę przez stół i ujmuje jej dłoń.

- Ten, kto podłożył ogień, próbował cię zabić. Chciał cię wyeliminować, żebyś nie odkryła jakiejś niewygodnej tajemnicy w związku z tą sprawą.

- Nie mamy pewności - odpowiada Valentina, ściskając jego rękę.

- Sądzę, że jednak mamy.

Valentina nie ma wyboru. Musi powiedzieć mu to, co sama podejrzewa.

- A jeśli to nie mnie próbowali zabić, tylko ciebie?



## 62.

Federico prawie zdołał wytrzeźwieć.

Spędził dwadzieścia minut pod prysznicem, splukując z siebie kaca.

W ramach śniadania wypija czarną kawę w kantine, doprawiając ją dwoma papierosami wypalonymi jeden po drugim na schodach komendy. Nie był to najzdrowszy posiłek, ale przynajmniej niskokaloryczny i bez tłuszczu.

Po powrocie do swojego biurka wpisuje dane aresztowanego wczoraj eunucha. Na monitorze wyświetla się wpis z kartoteki ze zdjęciem. Z pewnością zrobionym kilka lat wcześniej.

Z informacji pod zdjęciem dowiaduje się, że więzień nazywa się Giulio Brygus Angelis, lat trzydzieści. Kawaler, bezdzietny.

Trudno się dziwić.

Federico przewija niżej. Urodzony w Atenach, przeniósł się do Rzymu z matką imieniem Maya w wieku trzech lat. Tu też bez zaskoczeń. Drugie imię i nazwisko są greckie, nie włoskie.

Maya Angelis pracowała jako bibliotekarka, zmarła rok później.

W kartotece nie ma informacji na temat przyczyn śmierci.

Federico czyta dalej. Nie ma żadnych danych wskazujących na to, że mały Giulio został adoptowany lub oddany do domu dziecka. Pojawia się w kartotekach dopiero jako nastolatek. Wygląda na to, że regularnie pakował się w kłopoty.

Poważne kłopoty.

W kartotece kryminalnej figuruje posiadanie narkotyków, napaść na dwóch nauczycieli, a nawet napaść na katolickiego księdza w ośrodku resocjalizacyjnym, w którym spędził nieco ponad rok.

Później do całej listy dorzucił też włamania i rozboje. Dwudzieste pierwsze urodziny spędził w więzieniu za kradzież i napaść oraz niestawianie się na rozprawę.

W ostatnich latach nie ma jednak żadnych informacji o skazaniach lub nakazach aresztowania.

Z pozoru wygląda to tak, jakby Giulio postanowił zacząć nowe życie.

W każdym razie do momentu, aż został nakryty na gorącym uczynku w mieszkaniu Anny i omal nie zabił Valentiny.

Federico przestaje czytać i siada wygodniej w fotelu.

Zaskakuje go tylko jedno.

Nie ma żadnych informacji o współnikach. Z tego, co przed chwilą przeczytał, wynika, że facet nigdy nie kręcił się w pobliżu żadnego gangu. Wszystkie przestępstwa popełniał samotnie.

Dziwne.

Federico otwiera kolejne pliki i czyta ocenę Angelisa sporządzoną przez dyrektora ośrodka resocjalizacyjnego.

W końcu znajduje wskazówkę.

Giulio został opisany jako „chorobliwie nieśmiały”, ale „skłonny do wybuchów agresji” i „samotnik”. Raport psychiatryczny stwierdza, że „kastacja w dzieciństwie prawdopodobnie odpowiada nie tylko za agresję, ale także introwertyczny charakter”.

Federico zamyka kartotekę i zjeżdża windą do recepcji.

Wychodzi na zewnątrz zapalić papierosa, zanim zacznie przesłuchiwać Angelisa. Obserwuje ludzi mijających budynek żandarmerii. Zima znów daje o sobie znać. Przechodnie są szczelnie otuleni płaszczami i szalikami. Federico nie znosi tej pory roku. Najlepiej czuje się latem, gdy na ulicach, jak dobry Bóg przykazał, pełno jest uśmiechniętych dziewczyn w krótkich spódniczkach.

## 63.

Dyrektor Sylvio Valducci za godzinę ma przyjąć ważnych gości z zagranicy. Dlatego z nieskrywaną satysfakcją może wysłać Louise Verdetti samą na spotkanie z żandarmerią. Przy odrobinie szczęścia *carabinieri* od razu ją zamkną i wyrzucą klucz.

Jeszcze zanim zadzwoniła do niego wczesnym rankiem, Valducci stwierdził, że najlepiej będzie się wycofać i pozwolić Louisie nadstawić karku w sprawie pacjentki z rzekomym DID. Jeżeli zaś wszystko skończy się pomyślnie, to zaszczyty i tak spadną na niego.

Bezpośredni kontakt z organami ścigania nie należał do przyjemnych, ale przynajmniej będzie o czym mówić podczas wykładów na konferencjach. A jeśli to wszystko skończy się jakimś skandalem, to dystansując się od Louisy, wydatnie zwiększy szansę na wyrzucenie jej z kliniki raz na zawsze.

Louisa Verdetti doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Orientuje się w taktyce szefa tak dokładnie, jakby Valducci powiedział jej o tym prosto w oczy, a potem jeszcze przesłał e-maila ze streszczeniem najważniejszych punktów.

Dyrektor jest przede wszystkim politykiem, a dopiero potem lekarzem. Pracuje w służbie zdrowia głównie dla profitów i przywilejów, nie z powołania.

Z oddziału psychiatrycznego na intensywną terapię idzie się zaledwie pięć minut, więc Louisa zjawia się tam na długo przed Tomem i Valentina. Młodego żandarma, który do wczoraj pełnił straż przy drzwiach, zastąpił weteran o ponurej twarzy, który skrupulatnie

sprawdza identyfikator Louisy i nakazuje jej wpisać się do książki odwiedzin.

Pacjentka - Anna Fratelli, jak się w końcu okazało - spała bez problemów. Szwy założone przez chirurga nie popękały, a środki uspokajające zadziałały jak należy - Anna jest spokojna i przytomna. Według siostry oddziałowej nie ma w tej chwili żadnych przeciwwskazań, żeby po badaniach przenieść ją z powrotem na oddział psychiatryczny.

Tom i Valentina pojawiają się w drzwiach pokoju pielęgniarek akurat w momencie, w którym oddziałowa kończy swój raport.

- *Buongiorno* - wita się kapitan Morassi. - Jak ona się czuje?

Louisa pokazuje jej egzemplarz raportu.

- Wygląda na to, że nieźle. - Kiwnięciem głowy dziękuje pielęgniarce, która przygląda im się uważnie zza biurka. - Wyjdźmy na korytarz, opowiem wam wszystko, a potem pójdziemy ją odwiedzić.

Valentina przyjmuje te wiadomości z zadowoleniem. Obawiała się, że ewentualne komplikacje medyczne zmuszą ją do odłożenia przesłuchania Anny na później.

Tom wita się z Louisą i idzie krok z tyłu, przysłuchując się rozmowie obu kobiet.

- Przeniesiono ją do pojedynczej sali - oznajmia lekarka. - Będziemy mogli spokojnie z nią porozmawiać, ale nie chcę, żeby się zdenerwowała. Najlepiej będzie, jeśli zada pani jej kilka pytań, potem zrobi przerwę, a potem znowu kilka pytań, jeśli będzie taka potrzeba. Dobrze?

- W porządku - zgadza się Valentina.

- Ma pani ze sobą odbitki z tych dzienników, o których wspominała pani wczoraj wieczorem?

- Nie, ale są już w drodze do pani gabinetu. Powinna pani dostać je w ciągu najbliższych godzin.

Louisa wchodzi do pokoju pierwsza, nie mając pewności, z kim przyjdzie jej rozmawiać. Z Anną czy też z którąś z licznych alternatywnych osobowości.

Pacjentka drzemie w łóżku uniesionym o trzydzieści stopni. Oczy ma zamknięte, ale na odgłos otwieranych drzwi i kroków uchyla powieki.

Lekarka postanawia od razu sprawdzić, z kim ma do czynienia.

- *Buongiorno, Anna. Come lei è?*

- *Bene* - odpowiada kobieta słabym zaspanym głosem. Próbuje unieść się do pozycji siedzącej.

Louisa zdejmuje kartę choroby z wieszaka w nogach łóżka.

- Przypominasz sobie, co się wydarzyło wczoraj? Skąd się tu wzięłaś?

Anna spogląda na zabandażowaną rękę.

- Ukrywałam się w mieszkaniu. Pocięłam się. - Podnosi wzrok na lekarkę. - Pani wie, że czasami to robię.

W jej oczach jest wstyd.

- To sprawia, że czuję się bezpiecznie. Tylko tym razem cięłam zbyt głęboko. - Zerka na Toma i Valentinę i ponownie na Louisę. - Kto to?

- Przyjaciele - uspokaja ją Verdetti. - Valentina Morassi jest kapitanem żandarmerii. Już się spotkałyście.

- Nie wydaje mi się.

Louisa nie draży tego tematu.

- Jej towarzysz nazywa się Tom Shaman i jest byłym księdzem.

Tom robi krok naprzód, tak żeby Anna mogła wyraźnie go zobaczyć.

- Cześć, Anno. Miło mi cię poznać.

Pacjentka odpręża się nieco.

- Ksiądz?

- Tak. Pełniłem posługę w parafii w Los Angeles przez prawie dziesięć lat.

Anna sprawia wrażenie, jakby za chwilę miała wybuchnąć płaczem.

- Bardzo się boję, proszę księdza. Rozumie ksiądz?

Tom nie zamierza jej poprawiać. Bierze jej drżącą dłoń w swoje długie palce i siada na krawędzi łóżka.

- Myślę, że rozumiem. Wczoraj widziałem twoje mieszkanie i sypialnię.

Anna ściska jego dłoń z taką siłą, że skóra pod jej palcami bieleje.

- Myśli ksiądz, że ona wie, że z księdzem rozmawiam? - Anna zerka nerwowo na Valentinę i Louise. - Że jestem tu z wami?

- Kto, Anno? Kto ma o tym wiedzieć?

Pacjentka zamyka oczy, opuszcza głowę i zaczyna się modlić:

- *En ego, o bone et dulcissime Iesu, ante conspectum tuum genibus me provolvo, ac máximo animi adore te oro atque obtestor, ut meum in cor vividos fidei, spei et caritatis sensus, atque veram peccatorum meorum poenitentiam, eaque emendandi firmissimam voluntatem velis imprimere.*

Valentina nachyla się do Toma.

- Co to za modlitwa? - pyta szeptem.

- Powiem ci później - szepcze Tom, nie odrywając wzroku od zamkniętych oczu Anny.

Głos pacjentki przybiera na sile, jakby każde kolejne słowo dodawało jej siłę:

- *Dum magno animi affectu et dolore tua quinqué vulnera mecum ipse considero ac mente contemplor, illud prae oculis habens, quod iam in ore ponebat tuo David propheta de te, o bono Iesu: Foderunt manus meas et pedes meos: dinumeraverunt omnia ossa mea. Amen.*

Anna bierze głęboki wdech, otwiera oczy i uśmiecha się do Toma.

- Czy przybył ksiądz, żeby mnie ocalić? Żeby mnie chronić?

- Wszyscy jesteśmy tu w tym celu - odpowiada Tom. - Ale musisz powiedzieć nam, przed kim mamy cię ochronić.

Anna patrzy na niego ze zdziwieniem.

- Przed Matką oczywiście. Przed Najświętszą Matką.

Louisa przerywa rozmowę, obawiając się, że kontynuowanie może sprowokować którąś z alternatywnych osobowości Anny. Valentina niechętnie zgadza się na opuszczenie sali i przejście do pokoju socjalnego na końcu korytarza.

Kiedy Louisa informuje ją, kiedy i w jaki sposób będą mogli kontynuować przesłuchanie, Valentina z trudem powstrzymuje się przed wybuchem.

- W takim razie co pani proponuje? - pyta w końcu niecierpliwie. - Mamy wrócić innego dnia? Nie ma takiej możliwości.

- Za godzinę. Lub dwie. Pozwólmy jej poczuć się pewniej i bezpieczniej we własnym wcieleniu.

- Pani doktor, mam na głowie poważne dochodzenie w sprawie morderstwa. Nie będę w stanie go rozwiązać, jeśli będzie mi pani przerywać za każdym razem, gdy Anna zacznie mówić nam, kogo lub czego się obawia.

- Wiem. Rozumiem pani sytuację, ale moim zadaniem jest chronić zdrowie psychiczne pacjentów.

- A moim jest znalezienie osoby lub osób, które podrzuciły zwłoki na brzeg rzeki, odcięły dłoni jakiejś kobiety i budzą w pani pacjentce przerażenie graniczące z szaleństwem.

- Rozumiem to, pani kapitan. Jestem gotowa z panią współpracować przy rozwiązaniu zagadki tych przestępstw, ale nie kosztem pogłębienia traumy i tak już ciężko chorej pacjentki. - Louisa odwraca się do Toma. - Co to była za modlitwa?

- Błaganie o pomoc zanoszone bezpośrednio do Chrystusa.

- Myślałam, że wszystkie modlitwy kieruje się do Niego?

- Nie wszystkie. Niektóre modlitwy znosi się do Boga Ojca, niektóre do aniołów, jeszcze inne do Ducha Świętego. Istnieją różne modlitwy służące różnym celom.

- A ta?

- Jest bardzo żarliwa. Odmawiana osobiście i bezpośrednio do Chrystusa w

najczarniejszych chwilach, na przykład w obliczu zagrożenia życia lub bardzo poważnego problemu. Tak naprawdę ta modlitwa to zew, który ma umocnić wiarę, deklaracja pokuty i pobożności. - Tom powtarza treść modlitwy w myślach i tłumaczy na głos zakończenie: - „Oto z sercem przepelnionym wielkim uczuciem i z boleścią oglądam pięć ran Twoich i myślą się w nich zatapiam, pamiętając o tym, dobry Jezu, co już Dawid włożył w usta Twoje: Przebodli ręce moje i nogi, policzyli wszystkie kości moje. Amen”.

Obie kobiety milczą.

Dla Louisy, dumnej ateistki, te słowa nie mają żadnego znaczenia.

Z kolei policyjne wyszkolenie natychmiast kieruje uwagę Valentyny na kluczowe wyrażenia: „przebodli ręce moje”, „pięć ran” i „kości”.

- Ściśle rzecz ujmując - kontynuuje Tom - należy ją odmawiać, klęcząc przed krucyfiksem. Modlitwa zaczyna się tak: „Oto ja, dobry i najśłodszy Jezu, upadam na kolana przed Twoim obliczem...”. Podejrzewam, że gdyby Anna nie była tak osłabiona, prawdopodobnie wyszłaby z łóżka i uklękła.

Valentina kręci głową.

- Nie sądzę. Pamiętasz jej mieszkanie? Wszystkie krucyfiksy były zawieszane na suficie, nie na ścianach. - Nagle uświadamia sobie wszystkie implikacje swoich słów i dodaje: - Wydaje mi się, że ona odmawiała tę modlitwę w kółko w łóżku. Mogę sobie bez trudu wyobrazić, jak leży na tym stosie Biblii, wpatrując się w cienie różańców na suficie i powtarzając modlitwę bez końca, aż w końcu udaje się jej zasnąć.

Louisa nie całkiem nadąża.

- Miała nadzieję, że ta modlitwa ochroni ją we śnie?

- Liczyła na to - odpowiada Tom. - Tylko przed czym miałyby ją chronić? Przed Najświętszą Panną? Przecież to bez sensu.

- Z mojego doświadczenia wynika, że sensowność raczej nie jest mocną stroną pacjentów z DID.

- Anna nie mówiła o Najświętszej Pannie - zauważa Valentina. - Tylko o Najświętszej Matce. Jest jakaś różnica?

Tom musi chwilę pomyśleć.

- Z czysto teologicznego punktu widzenia jest, jeśli chcemy być bardzo pedantyczni. Kiedy Bóg wybrał Maryję, żeby wydała Jezusa na świat, była jeszcze panną. Inaczej mówiąc,

dziewicą. W doktrynie Kościoła pozostała nią na zawsze.

- Wydaje mi się, że wybraliście niewłaściwy kierunek - przerywa im Louisa. - Czy też niewłaściwą kruchtę.

Tom i Valentina patrzą na nią wyczekująco.

- Myślę, że przymiotnik „najświętsza” miał być raczej sarkazmem. Mógł na przykład dotyczyć jej własnej matki, która być może uważała się za wcielenie świętości, niezdolne do popełnienia jakiegokolwiek błędu.

Valentina orientuje się, do czego zmierza Louisa.

- Możliwe. Sądzi pani, że źródłem traumy Anny mogli być rodzice?

- To by pasowało do wzorca dysocjacyjnego zaburzenia osobowości.

- W jaki sposób?

- To dość skomplikowane, ale postaram się wam wyjaśnić. Wyobraźcie sobie, że pewnego dnia matka Anny zaczyna się nad nią znęcać.

- Fizycznie czy seksualnie? - doprecyzowuje Valentina.

- To nie ma znaczenia, przynajmniej nie na potrzeby tego przykładu. W każdym razie Anna jest w szoku i czuje się głęboko zraniona. Matka znęca się nad nią regularnie. Stres popycha Annę do ucieczki w mechanizm obronny i kiedy matka po raz kolejny bierze do ręki kabel od żelazka, Anna ucieka w dysocjację.

- Co to znaczy?

- Wyobraża sobie, że jest gdzie indziej, a matka robi te wszystkie straszne rzeczy komuś innemu. Komuś dostatecznie silnemu, żeby to znieść.

Wyjaśnienia Louisy wywołują dreszcz, ale Valentina zaczyna rozumieć logikę zachowania Anny.

- Proszę mówić dalej.

- W efekcie za każdym razem, kiedy matka zaczyna znęcać się nad Anną, Anna wysyła alternatywną osobowość, silniejszą i mniej zaangażowaną emocjonalnie, która wytrzymuje bicie i upokorzenie. Im dłużej to trwa, tym bardziej utrwała się alternatywna osobowość Anny, w tym wypadku zapewne mała Suzie Fratelli.

- A jak wyjaśni pani obecność pozostałych? - pyta Tom. - Kasandry, ofiary Ust Prawdy? Suzanny Grecoraci, matki dwójki dzieci? Klaudii z rodu Sabinów?

- Czasami gdy osoba chora na DID pada ofiarą kolejnych prześladowców, wykształca



kolejne alternatywne osobowości. Wraz z kolejnymi warstwami traumy potrzebne są kolejne warstwy ochronne. Czyli alternatywne osobowości.

Tom wciąż sceptycznie odnosi się do tej teorii.

- Wiem, że znęcanie się nad dziećmi jest jednym z największych koszmarów współczesnego świata, ale czy przemoc nie dopuszcza się zwykle raczej ojciec, nie matka? Molestowanie seksualne córki przez matkę chyba się praktycznie nie zdarza?

- Zdarza się - wtrąca Louisa. - Choć bardzo rzadko. I pamiętaj, że sprawcą może równie dobrze być macocha. W Wielkiej Brytanii było swego czasu głośno o seryjnej zabójczyni, która latami znęcała się nad swoją córką seksualnie, fizycznie i psychicznie. Razem z ojcem dziewczynki zamordowała jej siostrę i zakopała zwłoki pod tarasem. - Głos Louisy nabiera rzeczowego tonu: - Jak już mówiłam, ponieważ mamy w końcu jej prawdziwą tożsamość, sprawdzę, czy figuruje w kartotekach medycznych w Rzymie w kontekście przemocy fizycznej, psychicznej lub seksualnej.

- Zrobimy to samo - odpowiada Valentina. - Poszukamy jej rodziców. Sprawdzimy w rejestrach policyjnych, czy sąsiedzi lub dalsza rodzina nie zgłaszali kazirodztwa lub molestowania seksualnego.

Tom milczy zatopiony we własnych myślach. Nie może pozbyć się przeczucia, że w tej historii chodzi o coś znacznie poważniejszego niż znęcanie się nad dzieckiem.

## 64.

Giulio Brygus Angelis trafia do pokoju przesłuchań skuty kajdankami na nadgarstkach i wokół kostek.

Federico Assante przedstawia się, włącza magnetofon, odczytuje Angelisowi jego prawa, po czym siada naprzeciwko niego.

Próbuje ocenić więźnia.

Sprawa jest nietypowa. Ofiary także. A teraz siedzi przed nim nietypowy podejrzany.

Na pierwszy rzut oka Federico ocenia, że facet waży mniej niż siedemdziesiąt kilogramów. Na ciele nie ma jednak ani grama tłuszczu, a na ramionach wyraźnie zarysowują się żyłaste mięśnie. Nie ma wątpliwości, że pan Angelis dba o siebie, niewykluczone, że trenuje sztuki walki. Federico zastanawia się z pewnym rozbawieniem, czy eunuchowie mają jakąś własną sztukę walki, tak jak mnisi z Shaolin.

Przygląda się twarzy więźnia.

Facet nie ma brwi.

Niesamowite, jak brak jednej cechy potrafi wpłynąć na wygląd.

Nie widać też śladu zarostu. Rysy twarzy Angelisa są dziwnie miękkie, jak u modela. Metroseksualne, stwierdza Federico.

Więzień ma cerę dziesięciolatka. Assante przesuwa palcami po szorstkich włosach na twarzy. Miło byłoby nie musieć się golić.

Ale nie za cenę odcięcia jaj.

I te oczy.

Federico widział takie oczy już wcześniej.

Wielokrotnie.

Oczy przestępcy.

Oczy, które nie zamykają się, gdy zaczyna się walka. Oczy, które nie odwracają się na widok krwi i noży błyskających w świetle lamp ulicznych.

Federico wreszcie wyrabia sobie wstępną opinię o więźniu.

Teraz może zacząć przesłuchanie.

- No dobra, Giulio, będziesz tak uprzejmy i odpowiesz nam dziś na kilka pytań? Czy mamy po prostu postawić twój milczący ryj przed sądem za włamanie, napaść, a jak dobrze pójdzie, to usiłowanie zabójstwa Anny Fratelli?

Angelis w milczeniu rysuje palcem wskazującym kółko na zakurzonej stole.

Po chwili podnosi wzrok i kieruje na porucznika lodowate spojrzenie.

Zadowolony z siebie drań.

Ciężko pracujący glina, choć niezbyt bystry.

Wydaje mu się, że jest sprytniejszy niż w rzeczywistości.

Wydaje mu się, że rozumie, o co w tym wszystkim chodzi, ale tak naprawdę nie ma o tym zielonego pojęcia. I z całą pewnością nie zdaje sobie sprawy z tego, jak bardzo się pomylił. No dobra, jest na tyle inteligentny i pracowity, żeby zdjąć odciski palców i wyciągnąć jego kartotekę.

Wielkie rzeczy.

To i tak musiało nastąpić, wcześniej czy później.

Prawdopodobnie gliniarz namierzył już jego adres i wysłał tam paru swoich przygłupich kolegów na przeszukanie.

To bez znaczenia.

Niczego nie znajdą. A już na pewno niczego, co mogłoby naprowadzić ich na jakiś trop.

Ale wiedzą o Annie.

I to jest poważny kłopot.

Anna powinna być niewidzialna.

Nie powinni oglądać jej tacy kretyńcy jak ten tutaj, albo tamta policjantka i ten jej wielkolud.

Szkoda, że nie miał więcej czasu.

Wtedy mógłby policzyć się z nimi raz na zawsze.

- No to jak będzie, Giulio? Porozmawiamy, może spróbujemy trochę złagodzić zarzuty, czy wolisz trafić od razu pod sąd, a potem prosto za kratki, gdzie współwięźniowie poużywają sobie na twojej chudej dupie?

Angelis pozwala sobie na wyrachowany uśmiezek.

- Chciałbym poprosić o prawnika. Jeśli załatwi mi go pan w ciągu godziny, to zastanowię się nad złagodzeniem treści mojego pozwu.

Federico wybucha śmiechem.

- Pozwu z tytułu?

Giulio odchyła się na krzesło i krzyżuje ramiona na piersi.

- Bezpodstawnego aresztowania. Napaści. Pomówienia.

- Bardzo śmieszne. Ha, ha. Złapaliśmy cię ukrywającego się po ciemku w tym cholernym mieszkaniu.

Angelis wpatruje się w Federica z kamienną twarzą.

Porucznik Assante zaczyna mieć złe przeczucia.

- Zadaliście sobie trud zapytania o mnie Anny? - Angelis przerywa i przygląda się minie Federica. - Tak myślałem. Porozmawiajcie z nią, to dowiecie się, dlaczego byłem w jej mieszkaniu.

- To znaczy?

- Poprosiła mnie, żebym do niej przyjechał. - Giulio pochyla się nad stołem. - Ja jej nie zaatakowałem, kretynie. Ja ją chronięm.

# 65.

Ku uldze wszystkich zebranych Anna wciąż jest Anną.

Louisa Verdeti roznosi napoje - colę light dla Valentiny i Anny i *espresso doppio* z wodą dla siebie i Toma.

Rozlega się dzwonek telefonu Valentiny, która przeprasza i wymyka się na korytarz, żeby odebrać.

Louisa ma nadzieję, że kapitan Morassi już nie wróci do pokoju.

Przebicie się przez warstwy alternatywnych osobowości do gospodarza jest klinicznym przełomem. W przypadku DID szansa na rozmowę z prawdziwą osobowością chorego zdarza się niezmiernie rzadko. Louisa obawia się, że pytania o morderstwa i śledztwo mogłyby popchnąć Annę do ukrycia się za którąś z alternatyw.

- Czy możemy kontynuować naszą rozmowę? - pyta Louisa uprzejmie.

- Jasne - mówi Anna energicznie, jakby odpowiadała na pytanie zagubionego turysty w ciepły, letni dzień. - Co chcecie wiedzieć?

Przerywa im powrót Valentiny, która uśmiecha się przepraszająco, cicho zamyka za sobą drzwi i, nie zwracając uwagi na Louise, zadaje Annie swoje pytanie:

- Czy znasz człowieka imieniem Giulio Angelis?

- Tak. Pracujemy razem.

Valentina siada na krześle obok łóżka.

- Spotkaliśmy go wczoraj w twoim mieszkaniu, zanim znaleźliśmy ciebie. Zaprosiłaś go?

Anna zamyśla się. Od wczoraj sporo się wydarzyło. Pamięta twarz pochylającego się nad nią lekarza, jakieś postacie w maskach chirurgicznych, krew - jej krew - a wcześniej ciemność.

Ciemność w szafie, w której ukryła się przerażona.

Ciemność w tym bezpiecznym miejscu w jej umyśle, do którego ucieka, gdy dzieje się coś złego.

A przedtem?

W końcu zaczyna sobie przypominać.

- Giulio przyjechał z pracy, żeby mi pomóc.

Valentina wzdycha ciężko.

- Zaprosiłaś go do siebie do domu?

- Si.

- Skąd znasz tego człowieka, Anno?

- Już mówiłam, pracujemy razem.

- Gdzie?

- W restauracji Rosati przy Piazza del Popolo.

- Od kiedy tam pracujesz?

- Trzy, cztery lata. Najpierw przez jakiś rok pracowałam w kawiarni, a potem przenieśli mnie do *ristorante*.

- A Giulio?

Kolejna przerwa.

- Mniej więcej tak samo. Chyba nawet zaczynaliśmy pracę w tym samym momencie. Jest bardzo dobrym kelnerem.

Valentina czuje, że grunt zaczyna jej usuwać się spod nóg.

Podejmuje ostatnią desperacką próbę:

- Anno, to jest bardzo ważne. Czy jesteś absolutnie pewna, że wczoraj zaprosiłaś Giulia Angelisa do swojego mieszkania? Nie wprosił się? Nie groził ci w żaden sposób?

- Nie. - Anna robi zdziwioną minę. - Giulio to mój przyjaciel. Zawsze nim był. Dlaczego miałby chcieć mnie skrzywdzić?

Valentina klnie cicho pod nosem i patrzy Annie prosto w oczy.

Pacjentka nie zmieni zeznań, co do tego nie ma wątpliwości.

Valentina zerka na Louise.

- Proszę mi dać chwilę, muszę zadzwonić do mojego partnera.

- Nie ma sprawy.

Valentina wychodzi, a Louisa wręcza Annie szklankę i nalewa do niej coli.

- Nie musimy kontynuować tej rozmowy, jeśli nie chcesz. Jeżeli jesteś zbyt zmęczona lub zdenerwowana, możemy odłożyć to na kiedy indziej.

Anna uśmiecha się słabo.

- Nie, wszystko w porządku. - Dotyka zabandażowanego ramienia. - No, prawie

wszystko. - Spogląda w kierunku drzwi. - Powiedziałam coś złego?

- Nie, skądże.

- Czy Giulio ma kłopoty?

Louisa nie wie, jak odpowiedzieć na to pytanie.

- Najlepiej zapytaj *capitano*, kiedy wróci.

Valentina pojawia się dopiero po kilku minutach.

Rozmowa raczej nie należała do przyjemnych.

Policzki kapitan Morassi są zaczerwienione, a usta ściągnięte w wąską kreskę.

Anna zerka na nią nerwowo.

- Dlaczego pytała mnie pani o Giulia?

Valentina siada na krześle.

- Musieliśmy upewnić się, że powiedział nam prawdę i nie włamał się do twojego mieszkania, żeby cię skrzywdzić.

Anna milknie, ale chyba akceptuje to wytłumaczenie.

Valentina podejrzewa, że w tej historii kryje się coś jeszcze.

- Anno, czy zawsze mieszkałaś w tym mieszkaniu?

Na czole pacjentki pojawia się zmarszczka.

- *Si.*

- Jest raczej niezwykle.

Anna wpatruje się w swoją szklankę.

- Chodzi pani o moją sypialnię, tak?

Valentina kiwa głową.

- Tylko tak mogę się czuć bezpieczna w nocy. - Anna spogląda na Toma. - Ksiądz to rozumie, prawda?

Tom nie rozumie, ale stara się stworzyć przekonujące wrażenie.

- Pomóż nam to zrozumieć, Anno - uśmiecha się łagodnie.

- Opowiedz nam swoimi słowami, dlaczego tak urządziłaś swój pokój.

- Bóg mnie chroni. Jezus mnie chroni. Kiedy jestem pośród Jego słów, wierzę w Niego i wierzę, że zdoła mnie obronić.

- Anna przymyka oczy. - *Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną.* - Spogląda ponownie na Toma.

- Naprawdę w to wierzę, proszę księdza.

- Nie wątpię w to, Anno. Czynisz słusznie. - Tom usiłuje odpowiednio dobrać słowa. -

Ale powiedz nam, przed czym - lub przed kim - potrzebujesz Jego ochrony?

- Już mówiłam. Przed Matką.

- Czy masz na myśli Matkę Bożą, Dziewicę Maryję? Czy swoją własną matkę?

Anna zaciska pięści.

Krzyżuje ramiona na piersi jak krucyfiks.

- Czy ksiądz tego nie wie? Nie rozumie?

Tom orientuje się, że całe zaufanie, jakie udało mu się zbudować, wyparowuje szybciej niż kadzidło na porannej mszy.

- Ja wiem, Anno, ale chciałbym, żebyś opowiedziała o tym innym - wskazuje dłonią Louise i Valentine. - One w to nie uwierzą, jeśli ja im powiem. Muszą to usłyszeć od ciebie.

Anna oddycha głęboko.

Bardzo głęboko.

Dyszy.

Louisa obawia się, że za chwilę pacjentka wpadnie w hiperwentylację.

Anna rozprostowuje ręce i cofa ramiona jak ptak zrywający się do lotu.

Valentina przesuwają się na krawędź krzesła.

Za chwilę coś się wydarzy, ale tym razem będzie przygotowana. Tym razem nie pozwoli zaskoczyć się nagłym uderzeniem głową i ponownie rozbić sobie ust.

- Matka jest wszystkim! - krzyczy Anna.

Tylko że to już nie jest Anna.

Tom wstaje i robi krok w kierunku pacjentki.

- *Mater*, która jest wszystkim, jest w nas. - Anna zrywa bandaż z okaleczonego ramienia.

Louisa zrywa się z miejsca i usiłuje ją powstrzymać.

- *Mater*, która jest wszystkim, jest z nami zawsze. - Anna odpycha Louise i rozdrapuje szwy.

Valentina podbiega do łóżka.

- Od Niej pochodzimy, do Niej zmierzamy!

Chwyta Annę za nadgarstki i obezwładnia ją.

- Od Niej pochodzimy, do Niej zmierzamy! - Krzyk Anny przechodzi we wrzask. - Od



Niej pochodzimy, do Niej zmierzamy!

Tylko jedna osoba w pokoju wie, co się dzieje.

Tom Shaman słucha w milczeniu wrzasków Anny.

Słucha i rozumie.

## 66.

Całe mieszkanie cuchnie.

Federico ma wrażenie, że za chwilę zwymiotuje od samego smrodu.

Nie ma najmniejszego zamiaru wypuścić tego wykastrowanego sukinsyna, dopóki osobiście nie sprawdzi, gdzie ten eunuch mieszka i co ukrywa.

W jego mieszkaniu panuje bród jak w najgorszych slumsach Kalkuty.

Oprócz brudu nie ma tam nic więcej.

Żadnych narkotyków, broni ani fantów.

Zespół dochodzeniowy żandarmerii przetrząsnął już każdy kąt zapuszczonego mieszkania Giulia Angelisa na Awentynie, ale Federico nie zamierza niczego przegapić.

Oślaniając nos chusteczką, dołącza do jednego z funkcjonariuszy w niewielkiej łazience z malutkim oknem, pokrytym zielonym nalotem grzyba.

Smród jest obezwładniający.

Klozet nigdy nie oglądał szczotki ani płynu do czyszczenia.

Poprawka: klozet prawdopodobnie nigdy nie był spłukiwany.

- Pokaż mi jeszcze raz spłuczkę - poleca Federico. - Upewnijmy się, że nie ukrył niczego pod lustrem wody.

Młody żandarm opuszcza deskę klozetową, wchodzi na krawędź klozetu i zdejmuje ciężką ceramiczną pokrywę spłuczki.

Federico wspina się na zlew i uderza głową w sufit.

- *Madonna porca!* - rozciera bolące miejsce. Włosy na jego głowie unoszą się, naelektryzowane lateksem rękawiczki.

Federico pochyla się do przodu i patrzy w brązową wodę, w której zanurzony jest zawór i pływak. Z grymasem obrzydzenia zanurza dłoń do spłuczki i maca po ściankach.

- Dlaczego ta woda jest taka paskudna?

- Kiepskie rury. Rdza - wyjaśnia towarzyszący mu funkcjonariusz. - Jeden łyk albo pana zabije, albo uczyni nieśmiertelnym.

- Doprawdy?

Federico zeskakuje ze zlewu.

- Nic. - Ściąga przesiąkniętą rękawiczkę i spogląda na zlew. - Tylko mi nie mów, że ta brudna świnia nie ma tu nawet kawałka mydła. Niewiarygodne.

- Mamy płyn dezynfekujący, panie poruczniku.

- Dawaj. - Federico strzepuje wodę z dłoni i przypomina sobie o manierach: - *Scusi, per favore.*

Czekając na powrót młodego oficera z płynem do rąk, Assante wraca do niedużego salonu.

Nie ma telewizora.

Jak ktoś w ogóle może dzisiaj żyć bez telewizora?

Facet nie ma jaj i nie ogląda telewizji.

To jak, do cholery, spędza czas wolny?

Federico rozgląda się po salonie.

Nie ma również książek.

Ten eunuch nie czyta, nie ogląda telewizji, nie uprawia seksu, nawet się nie onanizuje.

Krótko mówiąc, nie robi nic.

Pan Nic.

Federico wchodzi do drugiego pokoju.

W sypialni nie ma nawet łóżka, tylko materac na gołej podłodze.

Żadnej pościeli.

Assante otwiera niewielką szafę ścienną.

Przeszukujący mieszkanie funkcjonariusze wyrzucili z niej wszystkie ubrania i buty.

W środku nie ma już nic oprócz starych gazet na dnie.

Federico sięga po pożółkły papier.

To nie są stare gazety.

To strony z Biblii.

Setki stron z dziesiątków egzemplarzy różnych wersji Biblii.

# 67.

Wszystko będzie dobrze. Mogę ci pomóc. Bóg cię obroni. Tom przysuwa krzesło, tak żeby Anna widziała tylko jego. - Wiem, że wierzysz w Boga, że modlisz się do Niego i ufasz Mu.

Anna z całej siły ściska jego dłoń, ale jest to raczej wyraz strachu niż ufności. Ledwo powstrzymuje płacz.

Stres, zamiast zanikać, narasta.

- Dobrze się czujesz? - pyta łagodnie Tom.

- Zabiją mnie. - Po policzku Anny toczy się pierwsza Iza. - Błagam, nie pozwól im mnie zabić.

Tom głaszcze ją po dłoni.

- Nikt cię nie skrzywdzi.

- Muszą. Twierdzą, że muszą.

- Kto, Anno? Kto musi cię zabić?

- *Galli* i Siostry. - Anna pociąga nosem i sięga po chusteczkę. - Wiem, że mnie zabiją.

Tom podaje jej kilka papierowych chustek z pudełka na szafce nocnej.

- Nikt nie zrobi ci krzywdy. Obiecuję.

Nastrój Anny zmienia się w mgnieniu oka.

Na jej twarzy pojawia się gniew, a głos nabiera dziwnego agresywnego tonu:

- Anna nas zdradziła. *Sacer! Mater* mówi, że musimy pochować tych, których ofiarowano bogom, w świętych ścianach naszego łona.

Po chwili jednak odzywa się słabym głosem Anny Fratelli:

- Nie zrobiłam nic złego.

- Jesteś zagrożeniem - odpowiada znów alternatywna osobowość. - Zagrożeniem dla naszego istnienia w łonie i dla księgi.

- Nie jestem! - protestuje słabo Anna. - To nie jest żadne łono. Miejsce, w którym mnie trzymacie, to piekielny loch, pieczara w otchłani Hadesu!

- Milcz, siostrze, albo, nim ta noc się skończy, zostaniesz pochowana. A teraz chodź z

nami.

- Nie! Nie chcę! Zostawcie mnie.

Oba głosy niemal nakładają się na siebie. Z ust pacjentki płynie potok słów - werbalne świadectwo walki, jaka toczy się wewnątrz jej umysłu. W pewnym momencie nie sposób już rozróżnić głosu Anny od jej alternatywnej osobowości.

- Nigdy nie będziesz sama. Zawsze będziemy przy tobie, w twoich oczach i w twojej duszy.

- Zostawcie mnie! Boję się tej ciemności. Błagam, wypuście mnie, pozwólcie mi wyjść.

- Ci, którzy nas zdradzają, nie mają dokąd pójść.

- Dość! - krzyczy Louisa, zrywając się z krzesła i przepychając między Valentina i Tomem.

- Precz! - wrzeszczy Anna. - Rzucę cię na pożarcie piekielnemu psu o trzech łbach!

- Nie ma żadnego psa! Wymyśliłaś go, żeby nas straszyć.

- Wielki Cerber czuje już smak twojej krwi i twoich kości.

Louisa ciągnie za przewód alarmowy na suficie i zwraca się do Valentyny:

- Wyjdźcie. Zajmę się tym.

Tom i Valentina powoli się wycofują. Żadne z nich nie jest przekonane, że doktor Verdeti zdoła sama opanować sytuację.

Oczy Anny wychodzą z orbit. Na jej twarzy wykwitają rumieńce. Alternatywne osobowości zjadłe walczą o przejęcie kontroli nad jej ciałem.

- Matka nadchodzi. Jest na ciebie bardzo zła.

- Ona nie jest prawdziwa. Nie wierzę w nią.

- Ona cię słyszy, Anno. Słyszy cię i przychodzi, żeby cię ukarać.

Do pokoju wpadają pielęgniarki i lekarz dyżurny, potrącając w biegu Toma i Valentynę, którzy ciąg dalszy obserwują przez szybę na korytarzu. Anna zostaje unieruchomiona i dostaje środki uspokajające.

W końcu z pokoju wychodzi Louisa.

Kipi z wściekłości.

- Pani to w ogóle nie obchodzi, co? Ma pani gdzieś wszystko i wszystkich poza sobą i tą swoją idiotyczną sprawą!

- Proszę się uspokoić - mówi Valentina, cofając się o krok.

- Uspokoić? - Louisa aż się gotuje. - Przed chwilą musiałam wezwać lekarza, żeby podał środki uspokajające mojej pacjentce. Wyrwała sobie z ręki szwy, które założyliśmy jej tuż po tym, jak usiłowała się zabić, a pani... pani każe mi się uspokoić?

- Nie proszę - mówi Valentina spokojnie. - Tylko nakazuję.

Louisa podchodzi krok bliżej.

- W tym miejscu nie ma pani prawa czegokolwiek mi nakazywać. Tutaj rządzą ja, a nie żandarmeria! W tym miejscu najważniejsze jest dobro pacjenta, a nie to pani cholerne śledztwo! - Verdeti odwraca się na pięcie i odchodzi.

Na korytarzu oprócz Toma i Valentiny jest tylko młody oficer pilnujący drzwi. Szyba zostaje zakryta zieloną zasłoną, w której jednak pozostaje szpara na tyle duża, że widać przez nią lekarza i pielęgniarki nakładających opatrunki najdziwniejszej pacjentce w dziejach oddziału intensywnej terapii Policlinico Umberto I.

- Co dalej? - pyta Tom.

Valentina kręci głową.

- Dobre pytanie.

## 68.

Dopiero kiedy wychodzą z dusznych korytarzy szpitala na chłodne, zimowe powietrze, Valentina uświadamia sobie, jaki powinien być ich następny krok.

- Zakupy - oznajmia, a w jej głosie pojawia się cień entuzjazmu. - Musimy iść na zakupy.

Otwierając drzwi fiata, patrzy krytycznie na Toma i dodaje:

- Wyglądasz w tym idiotycznie, a ja czuję się brudna. Nie miałam na sobie tych samych ciuchów przez dwa dni z rzędu, odkąd pierwszy raz zostałam na noc u faceta.

- Czyli kiedy? - pyta chytrze Tom, otwierając drzwi po stronie pasażera.

Valentina posyła mu przekorny uśmiech.

- Dama nie rozmawia o byłych chłopakach.

Więcej nie udaje się Tomowi wydobyć z niej na ten temat.

Podróż do centrum nie trwa długo, ale Valentina przez większość czasu wisi na telefonie, załatwiając im nowe lokum na najbliższą noc. Dzwoni też do firmy ubezpieczeniowej, by poinformować o pożarze w mieszkaniu. A potem do Federica.

- W porządku? - pyta troskliwie Tom, kiedy Valentina w końcu odkłada telefon. - Zamyśliłaś się nad czymś, a sądząc po twojej minie, to chyba nie było nic przyjemnego?

- Nie było.

Tom obserwuje pędzący skuter, który niemal urywa boczne lusterko samochodu Valentiny.

- Powinniśmy zastanowić się nad tym, co powiedziała nam Anna.

- To znaczy?

Tom nie jest pewien, jaką częścią swoich domysłów powinien się z nią podzielić, a jaką zachować jeszcze dla siebie.

- Pamiętasz, jak rozmawialiście z Louisą o tym, że nad Anną być może ktoś się znęcał w dzieciństwie? Może jej własna matka?

- Jest to jakieś wyjaśnienie dla tych wszystkich alternatywnych osobowości.

- Dzisiaj wspomniała o siostrach. Zauważyłaś?

- Tak, ale nie potrafię stwierdzić, czy miała na myśli siostry jako krewne, czy siostry w jakiejś organizacji albo sekcje.

- Ja też nie - przyznaje Tom. - Tak czy inaczej, jej słowa sugerują, że w cokolwiek się wplątała, uczestniczą w tym też inne kobiety. Być może im również grozi niebezpieczeństwo.

- Same kobiety - zauważa Valentina.

Tom przypomina sobie słowa Anny.

- Nie tylko. Mówiła też o *Galli*.

Valentinie ta nazwa nic nie mówi.

- Czyli o kim? - Zatrzymuje fiata na parkingu przed komendą *carabinieri*. - Nigdy o nim nie słyszałam.

- O nich, nie o nim - poprawia Tom, odpinając pas. Z resztą wyjaśnienia czeka, aż Valentina wysiadzie z samochodu. - *Galli* byli kapłanami. Eunuchami. Istnieli setki lat przed Chrystusem. A przy okazji, dokąd właściwie idziemy?

Valentina bierze go za rękę.

- Niedaleko. Nie obawiaj się, wkrótce twoje zbrodnie przeciwko modzie zostaną zapomniane. Kapłani eunuchowie, mówisz? Znałeś jakiegoś?

- Znam kilku, którzy powinni nimi zostać - mruczy Tom.

Podmuch wiatru nadyma jego różową koszulę jak balon, nadając jej wygląd ludzika Michelin. Valentina zaczyna nagle chichotać, podczas gdy Tom desperacko usiłuje przyklepać materiał.

- Pospieszmy się, bo bez płaszcza za chwilę zamarzniesz.

- Nic mi nie będzie. Jestem Kapitanem Ameryką, pamiętasz?

- Oczywiście, kochanie. Powtarzaj to sobie.

Ubranie Toma budzi powszechną wesołość, gdy idą Via del Corso i wchodzi do butiku z końcówkami serii designerskich ubrań, wypełnionego wyznawcami mody. Młode kobiety pokazują go swoim eleganckim partnerom palcami i szepczą. Modnie ubrani Włosi wymijają go szerokim łukiem, jak gdyby samo dotknięcie tak kosztownego stroju mogło być zaraźliwe.

- Coś przyciągnęło twoją uwagę? - pyta Valentina, wciąż uśmiechając się szeroko.

- Wyjście. Tam chciałbym znaleźć się najbardziej.

- Nie ma sprawy! - Valentina zgarnia dwie pary bokserów od Calvina Kleina wystawionych w koszu.



Tom patrzy na nią ze zdziwieniem.

- Znasz mój rozmiar?

- Co do centymetra - odpowiada Valentina z błyskiem w oku.

Tom robi się czerwony jak cegła i zdejmuje błękitną koszulę z wieszaka opatrzonego etykietą „Wyprzedaż”. Valentina kręci głową i ciągnie go ku wieszakowi z nową kolekcją.

Dziewięćdziesiąt minut i prawie tysiąc euro później Tom jest zaopatrzony w komplet ubrań - od wełnianych skarpet po szalik od Dolce & Gabbana.

Valentina oddaje jego poprzednie ubranie sprzedawcy, który z obrzydzeniem wrzuca je do kosza za ladą. Tom wychodzi z butików ubrany w biały sweter polo Collezione Armani, dżinsy od Hugo Bossa i nowy płaszcz.

W butikach jest przytulne ciepło, ale na zewnątrz uderza ich mroźny chłód.

Tom bierze Valentinę za rękę. W drugiej trzyma pęk wypchanych toreb.

- Czuję się, jakbym wystąpił w jednym z tych programów o metamorfozach, wiesz, „przed i po”.

- Z tym że stan „przed” był całkiem przyzwoity - zaznacza Valentina, zerkając na zegarek. - Moja kolej.

W oczach Toma widać zaskoczenie.

Valentina wskazuje ręką bar z przekąskami po drugiej stronie ulicy.

- Może zajmiesz tam jakiś stolik, a ja dołączę do ciebie za pół godziny?

Tom już czuje wyrzuty sumienia.

- Na pewno?

- Przed chwilą widziałam, jak fatalnie znosisz kupowanie ubrań dla siebie. Patrzenie, jak ja wybieram ciuchy, byłoby dla ciebie torturą porównywalną z czyściem. Zgadza się?

Tom rozważa towarzyszenie jej w ramach pokuty, ale Valentina już kieruje się ku kolejnemu butikowi. Nie pozostaje mu nic innego, jak poczekać w barze.

Valentina robi zakupy błyskawicznie.

Opiera się pokusie przymierzania i grzebania między wieszakami. Bez wahania wybiera dla siebie garsonkę z czarnej wełny, kilka białych i czarnych bluzek, jasne dżinsy i wełniany rozpinany sweter.

W dziale z bielizną nie idzie tak łatwo. Valentina spędza tam więcej czasu i zastanawia się nad każdą parą fig bardziej, niż kiedykolwiek.

Przy stoisku z butami przeżywa dylemat, ale w końcu decyduje się na praktyczne pantofle na płaskim obcasie zamiast kilkucentymetrowych szpilek, które, jest o tym przekonana, miały na podeszwie wypisane jej imię.

Tom tymczasem popija niespiesznie piwo, rozmyślając o Annie, jej „siostrach” i wykastrowanych kapłanach.

Jeśli dobrze pamięta, *Galli* byli związani z tajnym kultem prorokini, która znalazła wyznawców między innymi w Grecji, Rzymie, Anatolu i na Krecie.

Zamyka oczy, próbując przypomnieć sobie wszystko, co wie o czasach przedchrześcijańskich, gdy ludzkimi losami rządziły rytuały i przepowiednie.

Pogrążony w myślach o ludach, które dawno zniknęły z powierzchni ziemi, nie od razu zauważa stojącą nad nim Valentineę.

- Ziemia do majora Shamana. Jak mnie słyszysz?

Tom otrząsa się z zadumy.

- Przepraszam. - Stuka palcem w prawie pustą szklankę. -Jedno piwo i moja koncentracja ulatuje.

Valentina czuje się winna. Należy mu się chwila relaksu, a ona właśnie go jej pozbawia.

- Obawiam się, że musimy jechać. W sklepie zadzwonił do mnie Federico. Jest już na komendzie, czeka nas odprawa.

- Nie ma sprawy. - Tom z niejakim wysiłkiem podnosi się z krzesła, zbiera torby i podąża za nią.

Starają się iść szybkim krokiem, co w Rzymie jest nie lada sztuką. Nie tylko z powodu tłoku na chodnikach, ale także ze względu na wszechobecne dziury i nierówności na każdym kroku grożące skręceniem kostki.

Chowają zakupy do bagażnika samochodu Valentiny. Przed schodami do masywnego budynku Valentina ogląda się na boki, szukając, jak domyśla się Tom, obiektywów kamer monitoringu.

Po chwili jednak stwierdza, że nie obchodzi ją, kto będzie ich podglądał, i całuje Toma, który czuje rozlewające się na sercu ciepło.

Być może ten związek okaże się czymś więcej, niż dotąd ośmielał się marzyć.

## 69.

Sprawy przybierają zły obrót.

Wręcz fatalny.

Odprawa jeszcze się nie zaczęła, ale twarz Federica, ponura jak chmura gradowa, mówi jej wszystko, co musi wiedzieć.

Do sali odpraw schodzą się kolejni funkcjonariusze czekający na nowe informacje w sprawie. Tom siada dyskretnie z tyłu, niemal nie spuszczać wzroku z Valen tyny.

Federico prosi ją na stronę. Lepiej, żeby złe wieści nie rozeszły się od razu po całej komendzie.

- Wypuścili Angelisa.

- Już?

- Po tym, jak Anna potwierdziła jego wersję, że to ona zaprosiła go do siebie, zarzut włamania był bezpodstawny. Kiedy wyszedłem, zażądał znowu rozmowy z adwokatem. Dostał obrońcę z urzędu i to wystarczyło.

- Caesario się zgodził?

Federico wzrusza ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie miał wyboru. Bez zarzutu o włamanie nie zdołalibyśmy udowodnić napaści.

Valentina czuje narastający gniew.

- Rzucił mną po ścianach i omal nie zabił. W świetle prawa to nie jest napaść?

- Samoobrona. Twierdzi, że myślał, że to ty się włamujesz.

- Gówno prawda. Waliłam w drzwi, dzwoniłam i wrzeszczałam na całe gardło, że jestem z żandarmerii. Narobiłam tyle hałasu, że ludzie dwa piętra wyżej mogliby rozpoznać mnie po głosie.

Federico ponownie wzrusza ramionami.

Valentina uderza otwartą dłoń w ścianę.

- Mogło być gorzej - próbuje ją uspokoić Assante.

Valentina posyła mu wściekłe spojrzenie.

- W jaki sposób?

- Mógł złożyć skargę i pozwać cię za nieuzasadnione użycie przemocy.

Twarz Valentiny wykrzywia się ze złości.

- Wiem, że to idiotyczne, ale mógł. I przysporzyłby ci sporo problemów.

Valentina wie, że Federico ma rację. Caesario z radością wytarłby nią podłogę. A skarga byłaby idealnym pretekstem.

Postanawia jednak nie zrażać się tą porażką.

- No dobra. Jeszcze o czymś muszę wiedzieć? Jeśli nie, to zaczynamy i skończmy tę odprawę jak najszybciej.

- Przeszukałem mieszkanie Angelisa, zanim go wypuściliśmy. Chlew. Na dnie szafy znalazłem stos wyrwanych kartek z Biblii. Przypominały mi te na ścianach sypialni Anny.

- To nam za bardzo nie pomoże. Przyznał się, że ją zna i bywał w jej mieszkaniu.

- Może boi się tego samego, co ona?

- Ciekawe. Chociaż wciąż za mało, żeby go znowu zamknąć.

- Wiem.

Valentina klepie go przyjaźnie po ramieniu.

- Doceniam to, że chciało ci się jechać na przeszukanie.

Idzie na środek sali i siada przy głównym stole, zadowolona z wysiłków Federica, który wyraźnie stara się zaprzyjaźnić.

Kiedy już ma uciszyć salę i zacząć odprawę, w drzwiach pojawia się twarz majora Caesario.

- Morassi!

Czując na sobie wzrok wszystkich, Valentina wstaje i wychodzi na korytarz. Zdaje się, że Angelis jednak złożył tę skargę.

Szlag!

Teraz na pewno czeka ją wewnętrzne dochodzenie. Prawdopodobnie także zawieszenie w obowiązkach.

- Panie majorze?

- Przepraszam, że przerwałem odprawę, pani kapitan, ale obawiam się, że nie miałem wyboru.

Valentina zauważa, że major nerwowo zerka na jej dłonie, ewidentnie obawiając się, że tę rozmowę też nagrywa.

- Złożono na panią oficjalną skargę.

Valentina nie reaguje. Zamierza wysłuchać go do końca. Nie ma sobie nic do zarzucenia - broniła się przed atakiem i z całą pewnością zrobiłaby to jeszcze raz.

Caesario kontynuuje, ale zamiast spodziewanego triumfu jego głos jest raczej przeprasający:

- Sylvio Valducci, dyrektor szpitala, uzyskał dla pani - i całej żandarmerii - sądowy zakaz zbliżania się do Anny Fratelli i kontaktowania się z nią w jakikolwiek sposób, także telefonicznie lub elektronicznie.

Valentina jest zdumiona. Była pewna, że skargę złożył Angelis.

- Szpital twierdzi, że pani i porucznik Assante kilkakrotnie naraziliście na szwank zdrowie psychiczne pacjentki, pomimo ostrzeżeń i próśb ordynator oddziału psychiatrycznego.

Valentina już wie, co za chwilę nastąpi.

Zawieszenie.

Co za padalec. Jest gotów poświęcić nawet swojego ulubionego pudelka Assante, byle tylko pozbyć się jej z szeregów *carabinieri*.

- Z całym szacunkiem, panie majorze, wszystkie przesłuchania podejrzanej przebiegały pod nadzorem personelu medycznego. Za każdym razem, gdy proszono nas o przerwanie, przerywaliśmy. Bez dyskusji.

- Czy ma pani jakieś dowody lub poszlaki wskazujące na to, że Anna Fratelli jest zamieszana w działania przestępcze?

Valentina na szczęście w porę powstrzymuje się przed próbą racjonalnego wytłumaczenia dowódcy, że alternatywne osobowości Anny, będące postaciami historycznymi sprzed stuleci, dysponują wiedzą na temat przestępstw dokonywanych współcześnie.

- Nie, panie majorze.

- Zaangażowała pani tyle środków i czasu i nie ma pani nic?

- Panie majorze...

Caesario ucisza ją gestem.

- Proszę bez wymówek, pani kapitan. Od tej chwili ma się pani trzymać z daleka od tej pacjentki. Czy wyrażam się jasno?

- Tak, panie majorze.

Caesario zerka w stronę sali odpraw, doskonale zdając sobie sprawę, że w środku tłum żandarmów czeka na powrót kapitan Morassi.

- Jak poza tym wygląda śledztwo?

Valentina się waha.

- Pomijając tę wariatkę, czy zbliżyła się pani choćby na krok do wyjaśnienia, dlaczego mamy na głowie martwego kastrata znalezione pod mostem na Tybrze i odciętą dłoń w kościele w Cosmedinie?

Na twarzy Valentiny maluje się bezradność.

- Nie, panie majorze. Sprawa jest potwornie skomplikowana.

- Wobec tego pozwolę sobie ją uprościć. Czy zidentyfikowano ofiarę?

- Zdjęliśmy odciski palców, ale niczego nie znaleźliśmy - odpowiada Valentina ze zboląłą miną.

- A odcięta dłoń?

- To samo.

- Czyli nie ma pani nic?

- Nie powiedziałabym, że...

- Nie mamy tożsamości żadnej z ofiar - wchodzi jej w słowo major. - Nie mamy podejrzanych. Nie mamy żadnych dowodów, które pozwoliłyby komukolwiek postawić zarzuty. Z tego co widzę, nie mamy też nawet najmniejszego śladu motywu. Krótko mówiąc, nie mamy nic. Zaprzeczy pani?

Na twarzy Valentiny pojawia się lekki rumieniec.

- Mamy kilka tropów i hipotez, panie majorze. Gdybyśmy mieli więcej czasu...

- ... to może ktoś jeszcze by zginął i zostawił jakieś ślady?

Valentina gryzie się w język.

Major i kapitan wpatrują się w siebie wrogo.

Caesario milczy.

Valentina również.

Rozmowa jest zakończona. Teraz major zawiesi ją w obowiązkach.

Caesario się uśmiecha.

Niech Morassi trochę się podenerwuje. Zasłużyła.

- Podejrzewam, że już pani wie, co za chwilę powiem, pani kapitan?

Valentina konwulsyjnie przetyka ślinę.

- Jestem o tym przekonany. - Kolejny uśmiech. - Od tej chwili zawieszam panią w obowiązkach. Otrzyma pani pisemne potwierdzenie zawieszenia, zanim opuści pani ten budynek. Fakt zawieszenia nie jest równoznaczny ze stwierdzeniem winy lub podejrzenia winy. Po prostu na pewien czas musi się pani usunąć na bok. Po otrzymaniu potwierdzenia zawieszenia odda pani służbową broń, wszelkie wyposażenie, legitymację i odznakę. Nie będzie pani próbowała nawiązywać kontaktu z funkcjonariuszami w tym i innych oddziałach żandarmerii. Ma pani prawo do obecności adwokata na przesłuchaniu dyscyplinarnym, o ile do takiego przesłuchania dojdzie. Czy zrozumiała pani to, co powiedziałem?

- Tak, panie majorze - odpowiada Valentina spokojnym głosem.

- Dobrze. Czy ma pani jakieś pytania odnośnie do sytuacji, którą przed chwilą pani nakreśliłem?

- Nie, panie majorze.

- Wobec tego proszę poczekać przed moim gabinetem na dokumenty. Następnie zostanie pani formalnie odwołana z prowadzonego dochodzenia.

Valentina odwraca się do niego plecami.

Major kładzie jej rękę na ramieniu.

- Trzeba było przyjąć moją ofertę, Morassi.

## 70.

Tom Shaman w milczeniu obserwuje salę odpraw.

Plotki na temat Valentiny rozprzestrzeniają się jak wirus.

Szepty i spekulacje krążą po całym pomieszczeniu.

Już po kilku minutach wszyscy przekonują się, że kapitan Morassi właśnie jest wyrzucana ze służby, zawieszana albo otrzymuje naganę. Domysły na temat przyczyny obejmują wszystkie możliwe paragrafy: od niesubordynacji, przez oszustwo, po korupcję.

Z początku Federico nie reaguje, ale po chwili podchodzi do krzesła, na którym siedziała Valentina, i ucisza salę.

- Proszę o spokój. Kapitan Morassi rozmawia z majorem, dlatego nie będziemy marnować czasu i zaczniemy bez niej. Najpierw omówimy wyniki wywiadu środowiskowego oraz rezultaty analizy kartotek medycznych, zawodowych i społecznych dotyczących Anny Fratelli i więźnia, którego wypuściliśmy w dniu dzisiejszym, niejakiego Giulio Angelisa. Następnie zajmiemy się raportami z laboratorium. Chcę się też dowiedzieć, jak postępują prace nad tłumaczeniem tekstów z Biblii, które znaleźliśmy w mieszkaniu Anny Fratelli...

Federico urywa w pół słowa i patrzy na koniec sali, gdzie pojawia się major Armando Caesario.

- Poruczniku, wskutek nieprzewidzianych poważnych okoliczności muszę przerwać pańską odprawę.

Rozlega się skrzypienie odsuwanych krzeseł.

Kiedy żandarmi w milczeniu wychodzą z sali, Tom dyskretnie chowa się w kąt za tablicą. Po chwili słychać tylko zamykające się drzwi.

- Poruczniku, przed chwilą zawiesiłem w obowiązkach kapitan Morassi do czasu zakończenia śledztwa w sprawie bardzo poważnych zarzutów.

- Panie majorze?

- Dyrektor z Policlinico wniósł przeciwko panu i kapitan Morassi skargę na poważne przekroczenie uprawnień. W rezultacie udało mu się uzyskać sądowy zakaz dalszych kontaktów



ze strony żandarmerii z pacjentką Anną... Anną... - Caesario strzela palcami, usiłując przypomnieć sobie nazwisko.

- Fratelli, panie majorze.

- Fratelli. - Caesario przygląda mu się przez chwilę przed zadaniem następnego pytania: - Jak ocenia pan działania kapitan Morassi w odniesieniu do pani Fratelli, poruczniku?

- Co pan przez to rozumie, panie majorze?

- W jaki sposób postępowała z pacjentką? Czy dopuszczała się zastraszania? Była agresywna wobec niej? Stosowała przemoc? - Major nagle zauważa siedzącego obok tablicy Toma. - Kim pan jest? Co pan tu robi?

- Czekam na kapitan Morassi - odpowiada spokojnie Tom. - Jestem jej przyjacielem.

Caesario unosi brwi.

- Ach tak. To pan. Rozumiem. No cóż, przyjaciele powinni czekać w recepcji na dole, a nie w sali odpraw. - Major wskazuje ręką drzwi.

- Jasne. - Tom niechętnie wstaje i wychodzi na korytarz.

- Co on tu właściwie robił? - pyta major, zwracając się do Assante.

- Kapitan Morassi uznała, że może nam pomóc.

- Dobry Boże, żandarmeria całkiem już zeszła na psy. - Major wzdycha ciężko. - Nigdy nie sądziłem, że dożyję dnia, w którym kobiety będzie się awansowało na kapitanów. Nie wspominając już o wciąganiu do śledztwa swoich kochanków, którzy są byłymi księżmi.

Federico czuje się w obowiązku bronić swojej szefowej.

- To on znalazł ciało nad rzeką, panie majorze. I to on obezwładnił Angelisa, gdy ten zaatakował kapitan Morassi. A jako były ksiądz może mieć interesujące spostrzeżenia na temat wątków biblijnych w tej sprawie.

- Doprawdy? No cóż, wygląda na to, że byłby lepszym oficerem od niej. - Caesario zerka na drzwi. - No dobrze, zanim chłoptaś pani kapitan nam przerwał, pytałem o zachowanie Morassi wobec Anny Fratelli. Nie odpowiedział mi pan.

- Przepraszam, jak dokładnie brzmiało pańskie pytanie, panie majorze?

- Czy Morassi była agresywna wobec pacjentki? Wiem, że doszło do incydentu między nimi w celi. Czy to Morassi sprowokowała Annę Fratelli?

- Nie, panie majorze.

To nie jest odpowiedź, której oczekiwał major.

- Proszę dokładnie sobie to przypomnieć, poruczniku. Być może cała sytuacja wyglądała inaczej niż w waszym raporcie. Czy Morassi sprowokowała Annę Fratelli tamtej nocy, kiedy ją aresztowano? Czy pacjentka broniła się przed atakiem?

Federico domyśla się już, o co chodzi majorowi.

- Nie, panie majorze.

- Zastanów się, Assante. Bo jeśli tak było, to pokrywałoby się z zeznaniami tego faceta, którego wypuściliśmy, Angelisa. Może Morassi nie dość wyraźnie przedstawiła się jako funkcjonariuszka. Może sama włamała się do mieszkania Fratelli, a ten gość po prostu zareagował?

- Nie było mnie przy tym, panie majorze.

Caesario zbliża się do porucznika.

- Poruczniku, to jest jeden z tych momentów, w których musi pan podjąć decyzję. Musi pan wybrać, po czyjej jest stronie i zdecydować, czy woli pan być świadkiem, czy oskarżonym.

Federico postanawia udawać głupiego.

- Nie rozumiem, panie majorze.

- Przyjrzyjmy się pańskiemu podejściu do Anny Fratelli. Czy działał pan z własnej woli, czy po prostu wykonywał pan rozkazy kapitan Morassi?

Federico się waha.

- Poruczniku, czy wykonywał pan rozkazy Morassi, czy też sprzeciwiał im się pan?

- Wykonywałem jej rozkazy, panie majorze.

- Tak myślałem.

Federico nie zamierza tak tego zostawić.

- Panie majorze, żadne z nas nie zrobiło nic złego. Wycofywaliśmy się na każde żądanie lekarzy, jak tylko pacjentka zaczynała choć odrobinę się denerwować.

- Dość, poruczniku! Jeśli tak stawia pan sprawę, to resztę pańskiej relacji poznam na przesłuchaniu dyscyplinarnym.

Federico wbija wzrok w buty.

Caesario ojcowskim gestem kładzie mu dłoń na ramieniu.

- Sądzę, Federico, że po prostu znalazłeś się w trudnym - wręcz niemożliwym położeniu.

- Major klepie go w ramię. - Otrzymałeś rozkazy od bezpośredniej przełożonej, a ponieważ przestrzegasz hierarchii stopni, wykonałeś je najlepiej, jak potrafiłeś. Jednakże - co podkreślam z

całą mocą - jestem przekonany, że zgłaszałeś sprzeciw wobec nieetycznego postępowania kapitan Morassi. - Major posyła mu porozumiewawcze spojrzenie. - Jestem również przekonany, że będziesz w stanie dokładnie przypomnieć sobie swoje uwagi i wymienić je w zeznaniu świadka, które mógłbyś złożyć w postępowaniu dyscyplinarnym przeciwko kapitan Morassi.

Federico nie odpowiada.

- Twoja kariera bardzo by skorzystała zarówno w krótkiej, jak i w długiej perspektywie, gdybyś przypomniał sobie wszystkie nieliczące z powagą mundur i nieetyczne zachowania pani kapitan. Gdybyś złożył zeznanie od razu, mógłbyś kontynuować dochodzenie jako oficer prowadzący, a ja obiecałbym, że zarzuty wobec ciebie zostaną wycofane. W końcu będziesz najważniejszym świadkiem w procesie przed sądem wojskowym, który niewątpliwie czeka kapitan Morassi.

# 71.

Tom nie musi długo czekać.

Valentina zjawia się po kilkunastu minutach. Jest blada, w rękach niesie dwie torby zawierające prywatne przedmioty sprzątnięte ze służbowego biurka.

- Chodź tu. - Tom otwiera ramiona i przytula ją mocno. - Wszystko będzie dobrze.

Valentina jest nie tyle zrozpaczona, co wściekła.

Nie oczekiwała sprawiedliwości. Z całą pewnością nie oczekiwała, że Caesario pójdzie jej na rękę. Ale nie oczekiwała czegoś takiego.

Odsuwa się od Toma.

- Porozmawiamy w samochodzie, nie tutaj.

Tom nie musi nawet pytać.

Valentina zmusza się do słabego uśmiechu, gdy mijają biurko oficera dyżurnego przy wejściu.

- Twój major przyszedł do sali odpraw, kiedy cię nie było.

- Tak myślałam - Valentina otwiera samochód. - Wręczył mi oficjalne powiadomienie o zawieszeniu. Czeka mnie wewnętrzne śledztwo i zapewne sąd wojskowy. A potem powiedział mi, że wyrzucił cię do recepcji.

Tom potwierdza skinieniem.

- Słyszałem, jak rozmawiał z Federikiem. Zdaje się, że namawiał go do przejęcia twojego śledztwa.

- Jakże jestem zaskoczona.

Valentina włącza silnik, zwalnia hamulec ręczny i wyjeżdża z parkingu.

- Rozmawiali o tamtej nocy, kiedy zostałam ranna. Miałem wrażenie, że major chciał, żeby Federico zeznał, że to była twoja wina.

Valentina włącza radio i wyjeżdża na ulicę.

- Tom, porozmawiajmy o czymś innym, dobrze? W tej chwili nie wiem, czy mam większą ochotę wrzeszczeć, urznąć się, czy wziąć pistolet i odstrzelić Caesario łeb.

- Sądzę, że najlepszym wyjściem będzie wrzask.

Więc Valentina wrzeszczy.

Bardzo głośno.

Tom zasłania uszy.

Kiedy w końcu brakuje jej tchu, oboje wybuchają śmiechem.

Tom przycisza radio.

- A z ciekawości, gdzie dzisiaj mieszkamy?

- Na pewno nie w tej zawszonej dziurze. Firma ubezpieczeniowa pokryje koszty hotelu, dopóki sami nie zbadają mojego mieszkania i nie sporządzą raportu. Przychodzi mi do głowy pewne miejsce.

Tom jest pod wrażeniem. Choć wszystko wokół dosłownie pali się i wali, Valentina wciąż zachowuje na tyle chłodną głowę, żeby myśleć nie tylko o sobie. Zdaje się, że to uniwersalna umiejętność wszystkich kobiet świata. Kiedy mężczyzna dostanie od życia po głowie, z reguły pograża się w depresji albo pije na umór. Kobieta zaś otrząsa się, wstaje i idzie naprzód, nie przestając ani na chwilę troszczyć się o bliskich.

Kilka minut później Valentina parkuje przed trzygwiazdkowym hotelem przy Via Mario de' Fiori.

- Zamelduję nas - proponuje Tom. - W ten sposób trudniej będzie cię namierzyć, jeśli prasa zwęszy, że zostałaś zawieszona.

Valentina z impetem kładzie kartę kredytową na blacie biurka w recepcji.

- Nie mam zamiaru przed nikim się ukrywać. - Staje na palcach i całuje go lekko.

W recepcji jest tłok, więc muszą chwilę poczekać.

Tom rozgląda się po wnętrzach.

Hotel jest dość przytulny.

Po prawej stronie znajduje się poczekalnia ze ścianami obitymi jasnym drewnem i masywnymi, skórzanymi kanapami, kojarzącymi się z angielską posiadłością. W rogu stoi biurko z komputerem i drukarką, a niskie stoliki kawowe zarzucone są czasopismami i ulotkami dla turystów. Po lewej marmurowe schody przykryte czerwonym dywanem prowadzą do recepcji. Przy dużym półokrągłym biurku pracuje tylko dwóch recepcjonistów. Za ich plecami Tom dostrzega szafkę na klucze do pokoi i pocztę dla gości zawierającą łącznie siedemnaście pól. Nigdzie nie widać ulotek dla stałych gości ani informacji o innych hotelach we Włoszech lub w

Europie. Najwyraźniej hotel nie należy do żadnej sieci.

Jak na razie Tom widzi same zalety.

Valentina uśmiecha się do niego, machając mosiężnym kluczem.

Tom podąża za nią na pierwsze piętro.

Pokój urządony jest w kolorach brzoskwini i bladego złota, z zasłonami sięgającymi od sufitu do podłogi i olbrzymim małżeńskim łóżem, na którym mógłby wylądować helikopter.

Valentina zsuwa buty i rzuca płaszcz na kołdrę.

- Wina! Nieważne, jakiego koloru i temperatury, po prostu otwórz jakąś butelkę. Idę do łazienki.

Tom znajduje minibar.

Wyjmuje ze środka dwie małe butelki frascati i wlewa ich zawartość do kieliszków. Valentina wraca z łazienki i jednym haustem wychyla schłodzone białe wino. Następnie siada obok niego na łóżku.

- Pomyślałam, że skoro wywalili mnie z pracy, to moglibyśmy w końcu coś razem pozwiedzać. Jak na razie w Rzymie widziałeś tylko komendę żandarmerii i trupy. Trzeba to naprawić.

Tom dotyka jej twarzy.

- Widziałem już wszystko, co chciałem zobaczyć.

- Zawsze wiesz, jak odpowiedzieć kobiecie, co?

Tom otacza ją ramieniem i całuje w czoło.

- Nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy zamówili kolację i zostali w hotelu.

Valentina kręci głową.

- Nie, wolałabym wyjść. Nie chcę tu siedzieć i rozpamiętywać. Muszę się ruszyć i zająć czymś myśli.

Z kieszeni płaszcza rzuconego na łóżko wydobywa się stłumiony dźwięk dzwonka telefonu.

Valentina go ignoruje.

Bierze łyk wina, ale telefon znowu dzwoni.

Tom podaje jej płaszcz.

- Może to jakieś dobre wiadomości?

Valentina w to wątpi. Sięga do kieszeni płaszcza i wyjmuje telefon.

Tom idzie do minibaru w poszukiwaniu kolejnej butelki wina.

Znajduje ją na końcu dolnej półki. Kiedy wraca do sypialni, w oczach Valentyny widzi pustkę.

- Dzwonił Federico. Jego też zawiesili.

## 72.

Giulio Brygus Angelis nie wraca do cuchnącej nory, która do niedawna była jego domem. Być może nigdy już tam nie wróci.

Jest pewien, że gliny niczego tam nie znalazły, ale w końcu im się poszczęści. To tylko kwestia czasu.

Nauczył się tego już dawno temu.

Można zabezpieczać się na wszystkie możliwe sposoby, ale jeśli zbyt długo przebywa się w jednym miejscu, gliniarze w końcu cię znajdują. Rozmawiają z sąsiadami, sklepikarzami, miejscowymi dzieciakami. I w końcu mają dość informacji, żeby cię dopaść.

Cóż, Giulio nie zamierza im tego ułatwiać.

Zaczyna padać. Bardziej mżawka niż prawdziwy deszcz, ale Giulio i tak chowa się w bramie sklepu z pamiątkami.

Zawsze lubił bramy. A ta jest wyjątkowo użyteczna.

Może stąd spokojnie obserwować budynek żandarmerii naprzeciwko.

Zadziwia go, ilu funkcjonariuszy co chwilę wychodzi na schody zapalić.

Gdy tylko znajdą się za drzwiami, natychmiast wyjmują tymi swoimi grubymi paluchami papierosy z paczek, wtykają sobie w usta i podpalają.

Porucznik Assante rzuca zapalkę na ziemię i wychodzi na deszcz.

Giulio podąża za nim do samochodu. Poobijana lancia porucznika zaparkowana jest przy sąsiedniej ulicy.

Zdaje się, że żandarmeria nie płaci swoim oficerom zbyt wiele.

Na tylnym siedzeniu widać dziecięcy fotelik. Zapewne porucznik wszystkie pieniądze wydaje na dziecko. Lub dzieci. Wygląda na takiego, który ma tyle potomstwa, ile jego żona jest w stanie urodzić.

Giulio zapamiętuje numer rejestracyjny. Porucznik wsiada do samochodu i odjeżdża, nie zapinając nawet pasów.

Lekkomyślnie.



Ten facet aż prosi się o kłopoty.

## 73.

Alkohol i spacer są uniwersalnymi środkami na większość problemów.

Kiedy minibar zostaje opróżniony z ostatniej butelki, Valentina decyduje się na to drugie.

Ruch pomoże jej poradzić sobie z emocjami.

Bardzo burzliwymi emocjami.

Prawdę mówiąc, jest tak wściekła, że mogłaby przejść całą Drogę Appijską i jeszcze kawałek.

Jest dumna ze swojej kariery. I ma ku temu uzasadnione powody. Jest dumna ze spraw, które udało jej się rozwiązać, z liczby ludzi, którym pomogła, i liczby drani, których wsadziła za kraty.

A teraz jakiś seksistowski dinozaur ma czelność jej to odbierać.

Dochodzą z Tomem aż do Piazza Navona, ale to nie pomaga.

Nawet Fontanna Czterech Rzek Berniniego nie jest w stanie poprawić jej nastroju.

Valentina ciągnie Toma w gąszcz wąskich uliczek, przecinających Corso del Rinascimento i Via della Rotonda i prowadzących do zapierającego dech w piersiach Panteonu.

Wchodzą do środka, ale żadne z nich nie jest w stanie zainteresować się opowieściami przewodnika o Agryppie, Hadrianie, Konstantynie i dziesiątkach innych postaci historycznych, które budowały, przebudowywały lub zostały pochowane pod słynną kopułą.

Spacer i zabytki jednak nie działają.

Valentina nie potrafi przestać myśleć o swoim zawieszeniu.

Kiedy zapada chłodny wieczór, a nogi zaczynają odmawiać posłuszeństwa, Tom i Valentina siadają przy stoliku w turystycznej restauracji przy Via della Fontanella di Borghese.

Tom zamawia ośmiorniczki w delikatnym sosie pomidorowym z sosem pecorino, a do tego makaron mezze maniche z boczkim.

Valentina nie jest głodna, ale daje się skusić tempurze z *baccalà* i anchois oraz niewielkiej porcji tagliatelle z karczochami.

Dopiero kiedy kelner otwiera drugą butelkę wina, Valentina uznaje, że nie może dłużej

odwlekać zmierzenia się z rzeczywistością.

- Chyba jutro powinnam poszukać sobie adwokata.

- Nie spiesz się. Jutro wszystko może się zmienić.

- Nie zamierzam się spieszyć, ale muszę mieć prawnika. - Valentina wygląda przez okno.

Czuje się samotna i odizolowana. - To nie jest moje miasto, Tom. Oprócz ciebie nie mam tu nikogo.

Tom próbuje ją pocieszyć:

- Podejrzewam, że masz po swojej stronie więcej ludzi, niż ci się wydaje.

- Wątpię. - Valentina obraca w palcach kieliszek z winem.

- Kiedy musisz wyjechać?

Tom wolałby, żeby nie zadawała mu takich pytań.

- Wtedy, kiedy będziesz chciała, żebym wyjechał.

- *Grazie*. - Valentinie chce się płakać. Poza Tomem, jedynym człowiekiem, który zawsze bezwarunkowo stał po jej stronie, był jej kuzyn Antonio.

Valentina przeklina samą siebie za chwilę słabości, która doprowadziła ją do myśli o Antoniu.

Wystarczył moment, żeby wspomnienia o nim wróciły jak wzburzona fala.

Mruga, a w jej oczach pojawiają się łzy.

- To cholerne postępowanie dyscyplinarne może się ciągnąć kilka tygodni.

- Więc zostanę na kilka tygodni.

- Albo miesięcy.

- No to zostanę kilka miesięcy.

Na jej twarzy pojawia się cień uśmiechu.

- A jeśli to potrwa lata? Całe życie?

- Nie przeginaj.

W końcu Valentina wybucha śmiechem. Patrzy mu w oczy i dochodzi do wniosku, że jeśli będzie miała Toma przy boku, to poradzi sobie z całym tym bagnem, w które będzie próbował wrzucić ją Caesario i jego totumfaccy.

Dopijają schłodzone valpolicello i biorą rachunek.

Tom wręcza kelnerowi napiwek i podaje Valentinie płaszcz.

Wieczór jest chłodny. Przytuleni do siebie idą w kierunku Schodów Hiszpańskich.

Valentina jest lekko wstawiona. Pokazuje mu fontannę u stóp schodów.

- Rzym jest piękny, ale nawet tu twoje życie może w jednej chwili zmienić się w szambo.

- Z twoim życiem wszystko jest w porządku, Valentino. W życiu najważniejsza jest nie twoja praca ani świństwa, które robi ci szef, tylko to, kim jesteś i kogo kochasz.

Nawet przez alkoholową mgłę Valentina zdaje sobie sprawę, że Tom ma rację.

Przytula się do niego mocniej, mając nadzieję, że się nie przewróci i nie zrobi z siebie widowiska, zanim nie wrócą do hotelu.

Księżyc na niebie jest prawie w pełni. Tom wpatruje się w niego przez chwilę i po raz pierwszy tego wieczoru nie myśli o Valentinie.

Jego myśli są przy innej kobiecie.

Kobiecie, która leży na oddziale psychiatrycznym na drugim końcu miasta. Kobiecie, którą przeraża ciemność i postępujące za nią zło.

## 74.

W pokoju nie ma okien.

Przez szpitalne mury nie przebija się ani jeden promień naturalnego światła, który przypominałby mieszkance tego pomieszczenia o świecie na zewnątrz.

Jest tylko jednolita zimna biel brzęczących nieustannie świetlówek na suficie.

Anna Fratelli wie jednak, że dzień już się skończył.

Nadeszła noc.

Jest tego tak pewna, jakby stała na zewnątrz i patrzyła na ciemniejące rzymskie niebo.

Kurczowo przyciska do siebie Biblię, którą dała jej jedna z pielęgniarek, i pociera nią o swoje ciało jak mydłem.

Ani jeden centymetr jej ciała nie może pozostać nieczysty.

Słowo Boże ją ochroni.

Tylko Jego słowa są prawdą.

Matka się myli.

To, co mówi o Nim, to nieprawda.

Anna całuje Biblię i stawia ją na szafce obok łóżka, okładką do siebie.

Kłęka i zaczyna się modlić.

- *En ego, o bone et dulcissime Iesu, ante conspectum tuum genibus me provolvo, ac maximo animi adore te oro atque obtestor, ut meum in cor vividos fidei...*

Już czas.

Z otchłani własnej ciemności, z miejsc poza łonem, nadejdą inne.

I jedna z nich ją posiadzie.

- *...spei et caritatis sensus, atque veram peccatorum meorum poenitentiam, eaque emendandi firmissimam voluntatem velis imprimere...*

Lekarze podali jej lekarstwa. Pigułki. Syrop na łyżeczce. Krople. Wepchnęli jej medykamenty do ust, wstrzyknęli w żyły i powiedzieli, że teraz poczuje się lepiej.

Anna w to wątpi.

Może to od lekarstw chce jej się spać.

A może - co bardziej prawdopodobne - to inne.

Zawsze czuje się zmęczona, kiedy po nią przychodzą. Wysysają z niej siły.

Ogarnia ją coraz większa apatia.

Patrzy na kartki i kredki, które dostała od pielęgniarek.

„Żadnego długopisu ani ołówka. Możesz zrobić sobie krzywdę”.

Jest zbyt zmęczona, by po nie sięgnąć. Jej oczy zamykają się na chwilę.

Nadchodzi Kasandra.

Ubrana w piękne białe *intusium*. Na ramionach ma bogato zdobioną, biało-złotą *stollę*. Jej twarz jest blada jak tarcza księżycy, gdy żołnierze wiozą ją drewnianą dwukółką.

Oczy Kasandry ją dostrzegają.

- Miej wiarę, sestro! - woła Kasandra. - Jesteśmy silne. Przybywam ci z pomocą. Wkrótce będę przy tobie.

Głos Kasandry wdziera się do samego wnętrza Anny.

Dotyka jej duszy.

W lustrzanej ścianie szpitalnego pokoju widzi, że jej usta się poruszają, ale słyszy tylko spokojny, pełen godności głos Kasandry.

Podchodzi do lustra i staje przed nim. Kasandra mówi bezpośrednio do niej:

- Matka nie może cię skrzywdzić. Cokolwiek ci zrobi, moja słodka Anno, nie zdoła cię skrzywdzić.

Za plecami Kasandry tłum wyje i ciska w nią kamieniami, zgniłymi owocami i glinianymi skorupami.

Anna zakrywa twarz w obawie, że trafi ją któryś z pocisków.

Odwraca się od lustra i powoli robi obrót o trzysta sześćdziesiąt stopni.

Kasandra znów tam jest.

Odcięto jej dłoń.

Krew ścieka z kikuta ręki i formuje gęstą kałużę.

Jej oczy uciekają w tył głowy.

Anna ponownie odwraca się do lustra.

Krew kapie z rozerwanych szwów na ramieniu, a usta poruszają się w rytm słów, które tak często wypowiada Matka...

*Nie wolno ci tego wyjawić, Anno.*

*Nie wolno.*

*Nie wolno.*

# 75.

Na krótką chwilę Valentina zapomina o wczorajszym dniu.

Mruga, rozbudzając się powoli.

Jej pierwsza przytomna myśl dotyczy Toma.

Ale bardzo szybko znika.

Ponure myśli nie mają zamiaru się kryć.

Zawieszenie, Caesario i sąd wojskowy.

Już tu są, walcząc zajadle o jej uwagę.

Tom śpi jak zabity, oddychając spokojnie jak dziecko.

Valentina odsuwa się od jego ciepłego ciała i idzie do łazienki.

Z lustra w ostrym świetle lampy nad zlewem spogląda na nią wystraszona, zmęczona stara twarz.

To nie jest jej twarz.

Valentina postanawia, że to nie będzie jej twarz.

Od razu przechodzi do działania.

Choć nie ma jeszcze piątej, ubiera się i cicho wychodzi z pokoju. Musi zabrać coś z bagażnika w samochodzie.

Odgłos jej kroków niesie się po opustoszałym parkingu.

W zimnym powietrzu poranka jej oddech przybiera postać obłoczków.

Otwiera centralny zamek fiata i wyjmuje z bagażnika dwie torby z rzeczami osobistymi, które zabrała z komendy.

Sam ich widok sprawia jej ból.

Wracając do pokoju, uświadamia sobie, że dziś czuje nie tylko gniew i frustrację.

Czuje też wstyd.

Jego lepkie palce zaciskają się na jej ramionach.

Jak ma powiedzieć rodzicom, że została zawieszona? Co powiedzą jej przyjaciele z Wenecji i jej dawny szef, Vito Carvalho?



Vito być może zrozumie. Wie o konflikcie z Caesario, więc nie powinien ocenić jej zbyt surowo.

Valentina wchodzi z powrotem do pokoju, starając się stawiać kroki jak najciszej.

Ale Tom i tak ją słyszy.

Włącza lampkę nocną i mruży zaspane oczy.

- Gdzie byłaś?

Valentina pokazuje mu torby.

- W samochodzie. Chciałam to zabrać.

Tom zerka na budzik przy lampie.

- O tej porze? Nie ma jeszcze piątej.

- Wiem, przepraszam. - Valentina wdrapuje się na łóżko, całuje go i gasi światło. - Musisz się wyspać.

Jej skóra pachnie świeżym powietrzem i nowym dniem. Jej zimne włosy zmysłowo przemykają po jego ciele.

- Nie potrzebuję. Ale musisz mnie pocałować, żebym całkiem się obudził.

Wczoraj Valentina była zbyt zmęczona i zbyt pijana. Dziś desperacko potrzebuje jego ciała. Potrzebuje go, żeby wrócić do równowagi.

Tom zdziera z niej ubranie.

Ujmuje w dłonie jej piersi. Valentina go dosiada. Jej włosy smagają go po twarzy, gdy nachyla się i zasypuje jego usta i szyję pocałunkami.

Kochają się długo. Bardzo długo.

Po wszystkim zapadają w drzemkę, wtuleni w siebie, sycąc się bliskością i ciepłem swoich ciał. Promienie zimowego słońca wpadają do pokoju przez szczeliny w zasłonach i rozświetlają podłogę jasnymi plamami.

Budzą się prawie jednocześnie.

Valentina delikatnie całuje Toma.

- Zamów śniadanie, a ja się tymczasem wykąpię. - Wyślizguje się naga ze splątanej pościeli i znika w łazience.

- Jasne. - Tom obserwuje każdy jej krok. - Masz ochotę na coś szczególnego?

- Węglowodany! - woła Valentina z łazienki. - Całe mnóstwo węglowodanów! - Odkręca prysznic. - I sok. I kawę - jej głos cichnie,

stłumiony przez wodę. - Aha, może jeszcze jakieś owoce. Najlepiej jagody.

Tom wybiera numer obsługi hotelowej i zamawia rogaliki, ciastka, babeczki, talerz owoców, granolę, niskotłuszczowy jogurt, sok żurawinowy i dzbanek czarnej kawy.

Valentina wychodzi z łazienki w grubym białym szlafroku, z włosami owiniętymi ręcznikiem.

Tom całuje ją przelotnie i sam idzie pod prysznic.

- Śniadanie powinni przynieść za chwilę.

W porównaniu z Valentiną jego poranna toaleta trwa mgnienie oka. Wyciera się, gdy słyszy dźwięk otwieranych drzwi do pokoju. Na sekundę jego serce staje w miejscu.

Valentina jest w niebezpieczeństwie.

Nagi wybiega z łazienki.

Zdumiony młody człowiek w białej marynarce i idealnie odprasowanych czarnych spodniach prawie upuszcza ciężką srebrną tacę z jedzeniem, którą udało mu się przynieść z windy, nie rozlewając ani kropli.

Nawet Valentina chwilowo traci mowę.

Tom niemal w ostatniej chwili wstrzymuje rękę.

- Przepraszam.

To słowo wydaje mu się dalece niewystarczające, ale w tej chwili na nic więcej go nie stać. Odwraca się nonszalancko - o ile w ogóle można być nonszalanckim na golasa - i wraca do łazienki, czując wykwitające na policzkach rumieńce.

- Jest bardzo zazdrosny - wyjaśnia Valentina, kwitując odbiór śniadania i dorzucając hojny napiwek.

To wystarcza, żeby młody kelner otrząsnął się z szoku i z uśmiechem wyszedł z pokoju.

- Co to było? - pyta Valentina kpiąco, gdy Tom ponownie wychodzi z łazienki, tym razem owinięty ręcznikiem.

- Przepraszam. Przez chwilę myślałem, że coś ci grozi.

Valentina zdejmuje talerze i kubki z tacy.

- Nic mi nie groziło. Uważasz, że nie wiem, po co na drzwiach jest łańcuch?

Tom zerka na drzwi i zauważa mosiężną zasuwkę.

Valentina gładzi go po ramieniu.

- Ale to miło, że tak się o mnie troszczysz. Kawy?

- Na razie tylko soku. - Tom zdejmuje z łóżka torbę. - Co jest takie ważne, żebyś musiała lecieć po to do samochodu przed świtem?

- Daj mi tę, którą trzymasz w lewej ręce, to ci pokażę.

Tom podaje jej torbę.

Valentina wysypuje zawartość na łóżko.

Na skłębionej pościeli leżą trzy grube pliki kserokopii.

- To są kopie dzienników Anny Fratelli. Jej życie - a właściwie jej życia - opowiedziane własnymi słowami.

## 76.

Louisa Verdetti siedzi w gabinecie Sylvia Valducciego, obgryzając paznokcie i czekając, aż szef skończy rozmawiać przez telefon.

W końcu dyrektor odkłada słuchawkę na widelki.

Louisa milczy.

Valducci czeka na jakąś reakcję.

Z pewnością nawet ona potrafi docenić jego wpływy. To, co dla niej zrobił. Co mógłby dla niej zrobić, gdyby była wobec niego grzeczniejsza.

Gdyby *signora* Verdetti, bądź co bądź atrakcyjna kobieta, zechciała w stosowny sposób okazać mu wdzięczność - w bardziej prywatnych okolicznościach - z pewnością dojrzałby w niej kogoś więcej niż tylko upierdliwą podwładną, wiecznie zadręczającą go o wyższy budżet.

Ale jak dotąd Louisa nie okazała nawet cienia wdzięczności.

- Nie zasłużyłem nawet na podziękowanie? - Valducci macha ręką w kierunku telefonu. - Masz pojęcie, za ile sznurków musiałem pociągnąć, żeby ci gliniarze w końcu się od ciebie odczepili?

Louisa skupia się całkowicie na obgryzionym paznokciu.

- No dobrze, wyjaśnijmy sobie coś. Czas wymówek się skończył. Oczekuję wyników, Louiso. I to szybko.

- Nie chciałam, żeby ich zawieszono! - Verdetti jest tak wściekła, że nie jest w stanie nawet na niego spojrzeć. - Poprosiłam, żebyś zadzwonił do kogoś wyższego stopniem, żeby tamta dwójka odpuściła na chwilę i dała mi trochę czasu na pracę z Anną. - Louisa czuje wyrzuty sumienia z powodu Valentiny. Na własnej skórze przekonała się, jak trudno jest kobiecie przebić się i zdobyć szacunek w świecie medycyny. Woli nawet nie myśleć, jak wygląda to w szeregach *carabinieri*. - Co z nimi będzie?

Valducci prycha.

- Obchodzi cię to?

- Owszem! - Louisa wbija wzrok w dłonie. Z kciuka sączy się krew w miejscu, w którym

przygryzła paznokcieć. - Wykonywali tylko swoją pracę.

Dyrektor wpada w złość.

- Oszczędź mi tych łzawych sentymentów. Trochę profesjonalizmu, na litość boską.

Valducci jest zachwycony faktem, że Louisa czuje się winna. I że jest zupełnie bezradna wobec sytuacji, którą sama sprowokowała.

- Co się stało, to się nie odstanie. Odniosłaś zwycięstwo, pokonałaś złą panią kapitan i jej armię. Pozwól sobie na chwilę satysfakcji, a potem zapomnij o tym i wracaj do pracy.

W pewnym sensie Louisa słucha jego rady.

Jej myśli koncentrują się znów na pacjentce.

- Wczoraj znów się okaleczyła.

- Proszę?

- Anna. Znowu wyrwała sobie szwy. - Louisa przesuwa dłonią po ramieniu. - Otworzyła rany rogiem okładki Biblii.

## 77.

Tom i Valentina kończą śniadanie. Ilość jedzenia, którą pochłonęli, wystarczyłaby do wykarmienia plutonu piechoty. Odkładają puste talerze i półmiski na tackę i wystawiają ją na korytarz, po czym zabierają się za dzienniki Anny.

Tom rozkłada część kserokopii na obszernym biurku w rogu obok telewizora.

Valentina wyciąga się na łóżku z pozostałymi. Już po kilku stronach dochodzi do pierwszych wniosków:

- Te dzienniki były pisane przez co najmniej piętnaście lat. Wygląda na to, że alternatywne osobowości pojawiły się, kiedy Anna była jeszcze dzieckiem.

- W tych zapiskach jest kompletne pomieszanie epok historycznych - dodaje Tom.

- To znaczy?

- Zobacz. - Pokazuje jej pierwszą stronę zatytułowaną „Starożytny dziennik Kasandry”. - Nazywa siebie Kasandrą, to greckie imię. Przywołuje greckiego boga Zeusa, a obok rzymską boginię Minerwę.

- No to co?

- Potem pisze, że jest potomkinią rodu Sabinów, którzy istnieli w początkach Rzymu. - Tom przesuwa palcem po odpowiednim fragmencie. - Dalej z kolei opisuje „lud Cosmedinu”. Wydaje mi się, że ta nazwa pochodzi ze średniowiecza, ale w następnym zdaniu nazywa swojego męża Lucjuszem, a to imię typowe dla starożytnego Rzymu. - Odwraca kartkę. - Do tego jeszcze ta historia z Ustami Prawdy. Kompletny anachronizm. Kościół i legenda wywodzą się z dwóch zupełnie różnych epok.

Valentina uśmiecha się do niego.

- Typowo męska logika. Dlaczego wy, mężczyźni, macie taką obsesję na punkcie klasyfikowania wszystkiego w jakimś porządku? To są zapiski ciężko chorej psychicznie kobiety, która ma co najmniej kilka alternatywnych osobowości, a nie studenta historii. Wczytałeś w ogóle coś ciekawego?

- Nie jestem pewien. Zauważyłem w każdym razie, że poszczególne okresy historyczne

krzyżują się ze sobą. - Tom stara się w zrozumiały sposób ująć to, co zaniepokoiło go w zapiskach Anny: - Tak jakby jej historia rozciągała się na całe dzieje Rzymu.

- Wydaje mi się, że próbujesz doczytać się w tym faktów, których tam nie ma. To są jej fantazje wymyślone po to, żeby bronić się przed przemocą. Anna po prostu pozszywała ze sobą fragmenty wszystkich legend i historii, jakie kiedykolwiek usłyszała. - Valentina rozkłada przed sobą kilka kartek. - Sam zobacz. Tutaj udaje normalną. Przyjmuje zupełnie różne osobowości i pospolite imiona, jak Maria, Melissa i Francesca. Na szczęście chyba żadnej z nich nic się nie stało.

Tom nachyla się nad łóżkiem.

- Co tam napisała?

- To, o czym myśli prawie każda nastolatka - mówi Valentina melancholijnie. - To są bardziej marzenia niż rzeczywistość. Píše o tym, że spotkała się w parku z jakimś miłym chłopakiem, że całowali się przy jakiejś fontannie, że spędziła popołudnie u babci, zrywając kwiaty w ogrodzie.

Tom dotyka włosów Valentyny.

- Może jednak ma jakieś szczęśliwe wspomnienia.

- Mam nadzieję.

Czytają dalej w milczeniu, odzywając się tylko po to, by podać imię kolejnej alternatywnej osobowości.

Po godzinie doliczają się ponad stu.

- To przerasta moje możliwości - wyznaje Tom, odkładając kartki i trąc zaczerwienione oczy. - Znam się na opętaniu przez demony, ale to całe dysocjacyjne zaburzenie osobowości to dla mnie czarna magia. To wygląda tak, jakby umysł Anny był zepsutą fabryką osobowości, która ciągle produkuje nowe.

Valentina zamyśla się nad jego słowami.

- To całkiem udane porównanie.

- Co?

- Mózg Anny jest jak zepsuta maszyna. Pomyśl: każdy przecież od czasu do czasu zmienia swoją osobowość, żeby poradzić sobie z problemami w życiu, zgadza się?

- Tak.

- Może po prostu w życiu Anny było zbyt wiele problemów i jej umysł zepsuł się, usiłując

sobie z nimi poradzić.

- Nadal uważasz, że chodzi o coś, co przydarzyło się jej w dzieciństwie?

- Nie widzę innego wytłumaczenia. Po tym, co wczoraj mówiła o swoich siostrach i matce, postawiłabym duże pieniądze na teorię Louisy o znęcaniu się. - Valentina przerzuca kolejne odbitki dziennika. - Wydaje mi się, że odpowiedzi powinniśmy szukać w pierwotnych osobowościach. Zwłaszcza u Kasandry.

- Jest tu sporo na jej temat. - Tom podnosi plik kartek. - Posłuchaj, to zapis tego, co się działo z Kasandrą po tym, jak umarła w Cosmedinie: „Lojalne dłonie gromadzą to, co po mnie pozostało - to, czym byłam, czym jestem i czym się stanę... Przeszukują dymiące pozostałości stosu, obficie podlanego oliwą i perfumami. Mojego męża nie ma wśród poszukiwaczy. Bez wątplenia jest już w naszym małżeńskim łóżu, zaspokajając swój głód wina i młodych chłopców”.

Tom odkłada kartki.

- Nie wydaje ci się to dziwne, że ta osobowość - Kasandra - wciąż istnieje, mimo że zmarła?

Valentina nie jest tym zaskoczona.

- A czemu nie? Może chorzy na DID sami decydują, czy ich alternatywna osobowość ma żyć, czy umrzeć?

Tom czyta kolejny akapit:

- „Arria jest przy mnie. Najdroższa Arria. Będzie wspominać mnie podczas Parentaliów. Albowiem Dies Parentales istnieją dla kobiet o twarzach tak smutnych, jak jej”.

- Co to są Parentalia i Dies Parentales? - pyta ze zdziwieniem Valentina.

- Tym samym. Ogólnie rzecz biorąc, to święto upamiętniające zmarłych, odbywające się od trzynastego do dwudziestego pierwszego lutego.

Valentina przeszukuje swój stos kserokopii.

- Czy Anna datowała wpisy?

- Nie, ale znalazłem wzmiankę o tym między innymi wpisami, w których wcielała się w nastoletnie dziewczynki.

- Z tego wynika, że Anna była nastolatką, kiedy zaczęła mieć zaburzenia osobowości czy jak to się fachowo nazywa.

- Prawdopodobnie - Tom chce kontynuować akapit: - „Urna, którą dla mnie



przygotowano, jest pospolita. Zbyt pospolita, by moje prochy mogły spocząć w grobowcu rodzinnym mojego męża... Nie będę czekała na niego za trójgłowym Cerberem”.

- Co to jest Cerber? - dopytuje się Valentina. - Anna chyba wspomniała to imię wczoraj, kiedy klóciła się sama ze sobą?

- Owszem. Według mitologii Cerber był trójgłowym psem z piekieł, należącym do Hadesa i strzegącym wejścia do królestwa podziemi.

- To ma sens - zauważa ze śmiechem. - Pies o kilku głowach idealnie nadawałby się do załatwienia kilku osobowości.

- Cerber jedną głową patrzył w przeszłość, jedną strzegł teraźniejszości, a jedną spoglądał w przyszłość - wyjaśnia Tom.

- Przyjemna psina.

- I wygłodniała. Wszystkie głowy nieustannie pożyły mięsa żywego człowieka. Dlatego Cerber idealnie nadawał się do pilnowania, żeby żaden żyjący nie wtargnął w zaświaty. Podobno miał też grzywę i ogon z węży, jak włosy Meduzy.

- Czyli raczej nie przypominał Puszka.

- Puszka?

- Trójgłowego psa z „Harry'ego Pottera”.

- Skąd ty to wiesz?

- To jedna z zalet posiadania małej siostrzenicy, którą zabiera się do kina.

Tom kładzie kartki na biurku.

- Mitologia jest już wszędzie. Niedługo w McDonalddie zaczną sprzedawać Zeusburgery.

- Założę się, że w Grecji już sprzedają.

- Nie zdziwiłbym się. No dobrze, żarty na bok. Odniesienia do mitologii mogą być dla nas wskazówką.

- W jaki sposób?

- Kiedy Anna pierwszy raz wspomniała Matkę, sądziłem, że chodzi jej o Matkę Bożą.

Valentina kiwa głową.

- Mnie też. No i?

- Wczoraj użyła słowa *Mater*.

- To oznacza Matkę.

- Tak, wiem. Tylko że powiedziała też coś jeszcze: „Matka, która jest wszystkim, jest w

nas”. Wtedy zdałem sobie sprawę, że tu wcale nie chodzi o wiarę katolicką.

- Nie?

- Nie. - Tom ponownie bierze dzienniki Anny do ręki. - A tu mamy potwierdzenie. Piszę o innych kobietach: „Widzę moje siostry. Widzę innych ze świata duchów. Tych, którzy byli zawsze i zawsze będą. Strażniczki tajemnic. Wieszczki”.

Tom wygląda na zadowolonego z siebie, ale Valentina wciąż nie rozumie.

- Siostry? Chodzi o jakiś ruch feministyczny? O zakonnice?

Tom kręci głową.

- Nie, na pewno nie o zakonnice. Nie chciałem spekulować, dopóki dokładnie się nad tym nie zastanowię.

- No to o co? - naciska Valentina. - Daj mi cokolwiek.

Tom macha trzymanymi kartkami.

- O Kybele.

To imię nic nie mówi Valentinie.

- Kybele! - powtarza Tom entuzjastycznie. - Powiniennem domyślić się tego wcześniej. Kilka dni temu poszedłem na kawę z Alfem. Natrafiliśmy na powiązanie między boginią Kybele a Polem Marsowym i kilkoma świątyniami w Rzymie.

- Tom, ja nie nadążam. Kim jest Kybele?

Tom wzdycha. Niełatwo będzie jej to wyjaśnić.

- To bogini, tak stara jak świat. Grecy nazywali ją *Meter*, Frygijczycy *Matar Kubileya*, a Rzymianie *Magna Mater* - Wielka Matka.

- Jak Matka Natura?

- Niezupełnie. A w każdym razie nie chodzi o łagodną, współczesną wersję Matki Natury. To dość skomplikowane. Kult Kybele narodził się kilka wieków przed narodzinami Chrystusa. Była najwyższą boginią kobiecości. Według niektórych teorii odpowiadała za powstanie feminizmu.

- I komu to szkodziło? - żartuje Valentina.

- Mężczyznom. Kybele miała kochanka imieniem Attis, który ją zdradził. Z zemsty odebrała mu rozum i sprawiła, że sam się wykastrował. Mężczyźni wyznający kult Attisa byli eunuchami, tak samo jak wyznawcy Kybele.

Valentina zaczyna dostrzegać związek ze swoim dochodzeniem.

- Czyli wracamy do tych... jak im tam... Galów?

- *Galli*. - Tom imituje palcami ruch nożyczek. - Zostawali kapłanami dopiero po kastracji.

Tylko im wolno było zbliżać się do kapłanek.

Valentina wygrzebuje się z łóżka i podchodzi do biurka.

- Pokaż mi ten fragment.

Tom podaje jej kartkę.

Valentina przebiega wzrokiem po kserokopii, po czym czyta na głos:

- „...śmiertelni zanoszą moje szczątki do wilgotnego wnętrza kolumbarium. Tu, wśród prochów biedoty, będzie miejsce mojego spoczynku”. - Podnosi wzrok znad kartki. - Kolumbarium? To ma coś wspólnego z Kolumbią?

- Nie. Kolumbarium to publiczny grobowiec, w którym najbiedniejsi Rzymianie składali prochy swoich bliskich, gdy nie mogli sobie pozwolić na osobny grób. Urny przechowywano na numerowanych półkach, aby ułatwić krewnym odnalezienie i oddanie czci swoim zmarłym.

- W czasie Parentaliów?

- Otóż to.

Valentina kontynuuje:

- „Półki, na której stawiają moją urnę, nie zdobi żadna tabliczka. Nie ma żadnego posągu, ani portretu. Tylko numer. Wraz z siostrami zastanawiamy się w zaświatach, czy śmiertelni usłyszą nasz śmiech. Mój numer to X”.

- Dlaczego liczba dziesięć miała by tak ubawić Kasandrę i jej siostry? - pyta Valentina, oddając mu kartkę.

Tym razem Tom nie ma gotowej odpowiedzi.

- Dziesiątka nie kojarzy mi się z niczym szczególnym. W mitach i legendach mowa jest nie tylko o Kybele, ale też o licznych sybillach. - Tom literuje dla niej to słowo. - Często chodzi o tę samą osobę, ale nie przypominam sobie, żeby liczby miały dla tego kultu jakieś znaczenie symboliczne.

- Może nie powinniśmy popadać w euforię. Niewykluczone, że to tylko kolejny wytwór chorej wyobraźni Anny, której wydawało się, że jest Kasandrą i żyje po śmierci.

Valentina oplata ramionami szyję Toma. Ma już dość na dziś zajmowania się śledztwem. Dość starożytnych greckich i rzymskich mitów. Dość myślenia o zawieszeniu i niepewnej przyszłości.

Prawdę mówiąc, ma już dość wszystkiego, oprócz Toma.

- Dziękuję, że zostałeś. Że nie zostawiłeś mnie w tym bagnie.

Tom nakrywa jej dłoń swoją.

- Nie ma o czym mówić. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym być teraz gdzie indziej. Poza tym w Paryżu jest zdecydowanie za zimno dla chłopaka z Los Angeles, więc wolę zostać w cieplejszych okolicach.

Valentina żartobliwie trzepie go w głowę.

- Ej!

W jej oczach tańczą figlarne ogniki.

- Co?

Odskakuje od niego jak bokser, podnosząc ręce do wymyślonej gardy.

- No chodź, wielkoludzie, zobaczymy, czy zasługujesz na rzymskie słońce.

- Zgoda. - Tom zrywa się z uśmiechem szerokim jak Morze Śródziemne. - Teraz się doigrałaś. Już ja ci pokażę.

Valentina wskakuje na łóżko.

- Taką mam właśnie nadzieję.

## 78.

Anna Fratelli nie może poruszyć ani rękami, ani nogami.

Oprócz podania jej solidnej dawki środków uspokajających lekarze przywiązali ją do łóżka plastikowymi pasami.

Valducci nie zamierza ryzykować. Zadbął o to, żeby Anna Fratelli nie była w stanie skrzywdzić nawet przysłowiowej muchy, nie wspominając już o sobie.

Unieruchomiona Anna może tylko beczynnie wpatrywać się w sufit pilnie strzeżonej sali, do której ją przeniesiono. Monotonie przerywają od czasu do czasu ruchy kamery śledzącej ją całą dobę.

Louisa Verdeti obserwuje obraz z kamery ze smutkiem.

Rozumie konieczność utrzymywania Anny w spokoju za pomocą chemii, ale uważa, że dodatkowe pasy obezwładniające to już przesada.

Typowa dla Valducciego.

Dyrektor wykorzysta każdą okazję, żeby zademonstrować swoją pozycję i władzę.

Louisa zauważa, że usta Anny poruszają się, ale niczego nie słyszy.

Zwiększa głośność na monitorze, ale z głośników wydobywa się tylko głośny syk.

Być może Anna po prostu modli się po cichu.

Podkręca głośność do maksimum.

Wciąż cisza.

Nagle z głośników uderza ogłuszający ryk. W systemie nagłośnienia musiała być jakaś usterka, która właśnie zniknęła.

Zanim Louisa ścisza dźwięk, a w uszach przestaje jej dzwonić, przegapia część słów Anny.

Choć nie ma wątpliwości, że to nie Anna je wypowiada, tylko jedna z alternatywnych osobowości.

Ta sama, która pojawiła się podczas przesłuchania.

- Głupia dziewucho! Hańbisz nas. Spójrz na siebie, leżysz tu rozplaszczona jak tania

ladacznica, zaspokajająca chucie najgorszej hołoty. Nie jesteś godna bogini Kybele.

- Przepraszam - odpowiada Anna słabym głosem. - Błagam, wybaczcie mi. To nie moja wina, że się tu znalazłam.

Louisa ma wrażenie, że serce za chwilę pęknie jej na pół. Miała nadzieję, że Anna nie będzie musiała więcej znosić walki dwóch osobowości o przejęcie kontroli.

Nadzieja okazała się płonna.

- Przepraszasz? - Podniesiony głos wypowiada to słowo z pogardą. - Nie masz nawet prawa myśleć o przepraszaniu mnie. Na to już za późno. Jesteś dla mnie stracona, dziecko.

I wtedy Louisa uświadamia sobie, że się pomyliła.

To nie jest tylko kolejna osobowość. Zdaje się, że właśnie objawiła się najważniejsza i najsilniejsza z nich wszystkich. Matka.

- Stracona! Słyszysz mnie, dziecko?

- Nie, proszę! - błaga Anna. - Staralam się, jak mogłam. Zrobiłam prawie wszystko, co mi kazałaś.

Louisa pospiesznie wyjmuje notes z fartucha i zaczyna zapisywać. To może być kluczowy moment, który pozwoli jej odkryć traumę leżącą u podstaw zaburzeń Anny.

- Prawie to za mało! - wykrzykuje Matka. - Zawiodłaś mnie. Zawiodłaś nas wszystkich! Teraz żądam od ciebie jedynie, abys okazała mi taką samą lojalność, jak twoje siostry.

- *Mater!*- Anna jest na skraju łez.

- Przestań się mazgaić! - twarz pacjentki wykrzywia się pogardliwie. - Twoja słabość jest odrażająca. Słabość prowadzi ku zdradzie. Czyż nie uczyłam cię, jak być silną?

Anna jest zbyt przerażona, by odpowiedzieć.

Louisa z kolei jest rozdarta. Z jednej strony czuje, że powinna natychmiast interweniować i przerwać tortury, jakie sama zadaje sobie Anna, ale z drugiej obawia się, że jeśli wskutek jej interwencji osobowość nazywana Matką wycofa się, może bezpowrotnie stracić szansę na dotarcie do źródła zaburzeń pacjentki, a tym samym nadzieję na wyleczenie.

- Odpowiedz! - krzyczy Matka z wściekłością. - Czyż nie uczyłam cię, jak być silną?

- Tak - odpowiada załęczonym głosem Anna.

- Zatem wiesz, po co przybyłam.

W głosie Anny pojawia się panika:

- Błagam, Matko, przebacz mi. Musiałam uciec. - Oddech Anny staje się płytki i

urywany. - Nie mogłam skrzywdzić własnej siostry.

- Twoja siostra była zbyt słaba. Nie mogłam pozwolić, aby nas zdradziła. Tak jak nie mogę pozwolić na to tobie.

Anna miota się w przytrzymujących ją pasach.

- Nie! Nie! *Mater*, to boli! - Jej ciało głucho uderza o materac. - Przestań! Przestań! To boli!

Louisa ma już dość.

Porzuca monitor i biegnie do pokoju pacjentki.

- Wypuść mnie, błagam!

Jeden z pasów przytrzymujących nadgarstek pęka z trzaskiem.

- Wypędzam cię ze świętego łona, skazuję twoją duszę na wieczne wygnanie. Nigdy więcej nie staniesz między siostrami.

- Nie, błagam, Matko! Błagam, nie rób tego!

- Nie zasłużyłaś na śmierć na kamiennych zboczach Skały Tarpejskiej. Nie jesteś godna, by udusić cię na Schodach Gemońskich. Zostaniesz zrzucona z chmur, aby twoje ciało i kości rozpadły się jak mrówka zgnieciona stopą olbrzyma.

Louisa otwiera elektroniczny zamek w drzwiach w momencie, w którym pęka pas przytrzymujący drugą rękę.

Anna spada z łóżka, zawisając na pasach opasujących jej stopy i krzycząc przeraźliwie.

- Anno, Anno, już wszystko w porządku.

Louisa usiłuje dźwignąć ją z powrotem na łóżko, ale ciało pacjentki jest zbyt ciężkie.

- Pomogę ci, Anno. Już jesteś bezpieczna.

Odpina pasy na kostkach i ostrożnie opuszcza Annę na podłogę.

Leżąc twarzą do zimnej podłogi, pacjentka wypowiada szeptem dwa słowa:

- Dziesiąta Księga.

Louisa przykłęka obok niej.

- Cśś. Cicho. Wszystko będzie dobrze. - Przykłada dwa palce do szyi pacjentki, żeby zbadać tętno.

Ciałem Anny wstrząsają gwałtowne konwulsje.

Jej oczy się rozszerzają. Chwyta Louise za rękę.

- Znajdź... Dziesiątą... Księgę - szepcze charczącym głosem.

Znowu ogarniają ją konwulsje. Po chwili nieruchomieje.

Louisa nie czuje pulsu.

Anna się nie rusza.

Jej serce przestało bić.



# 79.

Żona porucznika Assante, Mia, spędza dzień poza domem z ich córeczką.

Federico nie ma pojęcia, co robią i kiedy wrócą.

W tej chwili zresztą o niewielu rzeczach ma pojęcie.

Mia wyszła tuż po śniadaniu. Federico jest pewny, że jego żona już wie, że coś się stało.

Ona zawsze wie.

A Federico nie może zdobyć się na to, żeby przyznać się, że został zawieszony.

Jest mu wstyd.

Dla Mii i reszty rodziny jego praca jest wszystkim. Zawsze opowiada z dumą, że jej mąż jest policjantem. Jego zdjęcie w mundurze galowym stoi na szafkach w domach wszystkich krewnych.

I jak on ma się jej teraz przyznać?

Na razie powiedział, że dostał zwolnienie lekarskie. Kontuzja pleców. Plecy to zawsze bezpieczny wybór. Nawet lekarz nie jest w stanie udowodnić, że plecy nie bolą.

Federico zdaje sobie jednak sprawę, że nie może wiecznie jej oszukiwać.

Zasłony w mieszkaniu są zaciągnięte. Assante wciąż ma na sobie białą kamizelkę, której nie zdjął od dwóch dni. Odpala jednego papierosa od drugiego przy niskim stoliku kawowym zasłanym czasopismami, których nikt nie czyta.

Gdzieś w kieszeniach wymiętych spodni odzywa się dzwonek telefonu komórkowego, wygrywając melodię z serialu „24 godziny”.

Ale tutaj nawet Jack Bauer nie dałby sobie rady.

- *Pronto.*

- Cześć, Federico.

Dzwoni Enrico Ferrari i jest w irytująco dobrym nastroju. Gruby profesor jest jedną z ostatnich osób, z którymi Federico ma ochotę w tej chwili rozmawiać. Wyobraża go sobie z pączkiem w jednej ręce, umazanego lukiem i wybierającego z kalendarza kolejne numery w poszukiwaniu towarzyszy do kieliszka na dzisiejszy wieczór.

No cóż, Federico mu nie pomoże.

Nie dziś. Nigdy więcej.

- Enrico, przepraszam, ale to naprawdę kiepski moment...

- Wcale nie! - przerywa Ferrari wesoło. - To jest bardzo dobry moment. Świetny moment.

- Enrico, naprawdę nie jestem w nastroju do...

- Twoja cierpliwość została nagrodzona, młody Skywalkerze.

- Enrico, do cholery!

Gniewny ton nie zraża jego przyjaciela.

- Nie, nie, posłuchaj, dzwonię z dobrymi wieściami. Naprawdę. Odczytałem właśnie wyniki testów mitochondrialnego DNA pobranego od Anny Fratelli i z tej odciętej dłoni, którą znaleźliście w Cosmedinie.

- Enrico, w ogóle nie rozumiem, o czym do mnie mówisz.

- To są siostry.

- Siostry?

- Widzisz? Tak się ucieszyłeś, że musiałeś powtórzyć. Kobieta, której odcięto rękę, to siostra Anny Fratelli.

Do Federico wciąż nie do końca dociera znaczenie tych rewelacji.

Anna nigdy nie wspominała o siostrze.

Jedna z jej alternatywnych osobowości nazywała się mała Suzie, ale z tego, co pamiętał, nie była niczyją siostrą.

W kartotekach medycznych Anny Fratelli też nie było ani słowa o żadnym rodzeństwie.

- Halo, jesteś tam jeszcze?

- Jestem. Próbuję się w tym wszystkim połapać. Mówisz, że siostrze Anny odcięto dłoń, tak?

- Rany, jakim cudem ciebie w ogóle przyjęli do policji? Tak, właśnie to powiedziałem. Chociaż gdybyś chciał zacytować mnie dosłownie, to mówiłem, że kobieta, której odcięto dłoń, była siostrą Anny.

- Skąd masz pewność?

- Naprawdę chcesz wiedzieć?

- Chcę, ale musisz mi to wyjaśnić ludzkim językiem. Jak prostemu gliniarzowi.

- Dobra, posłuchaj: człowiek ma czterdzieści sześć chromosomów. Dwadzieścia trzy

otrzymujemy po matce, a drugie dwadzieścia trzy po ojcu. Po matce dziedziczymy też pewną ilość mitochondrialnego DNA. Identyfikacja rodzeństwa za pomocą mitochondrialnego DNA jest dość dokładna, ponieważ wszystkie dzieci urodzone przez tę samą kobietę powinny mieć ten sam wzór.

- A ojciec?

- Miały kompletnie różnych ojców. Chociaż w sumie nie powinienem mówić „kompletnie”, bo raczej nie można mieć „trochę” innych ojców. Albo się ma różnych, albo tego samego. Rozumiesz? To tak, jak być trochę w ciąży. Albo się jest w ciąży, albo nie.

- Enrico, prosiłem o wytłumaczenie dla gliniarza, a nie przedszkolaka. Po prostu przysięgnij mi, że jesteś tego pewien.

- No jasne, że jestem pewien. Na tym polega moja praca. Mogę kategorycznie stwierdzić, że Anna Fratelli i jej siostra miały różnych ojców.

Federico zamyśla się. Nie tylko nad tym, co powiedział mu Ferrari, ale też, czego on nie powiedział jemu.

- Nie powinienes mi o tym mówić, Enrico. Wczoraj mnie zawiesili.

- Wiem.

- Co proszę?

- Wiem, że cię zawiesili. Wiem też, że regulamin zakazuje mi informować cię o śledztwie i tym podobne bzdury. Wieści rozchodzą się szybko, a złe wieści jeszcze szybciej.

- A wiesz, za co mnie zawieszono?

- Nie. I nie chcę wiedzieć. Cokolwiek zrobiłeś lub czego nie zrobiłeś, wiem, że miałeś swoje powody. A poza tym nawet jeśli coś spieprzyłeś, to co z tego? Każdemu czasem się zdarza. A kiedy spieprzysz coś naprawdę dużego, to właśnie wtedy najbardziej potrzebujesz przyjaciół, no nie?

- *Grazie.*

- *Prego.* Chcesz gdzieś wyskoczyć i trochę się nastukać? Może pomóc swojemu najlepszemu przyjacielowi zaciągnąć do łóżka jakąś sympatyczną *signorę*?

Federico uśmiecha się po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin.

- Jasne, bardzo chętnie.

## 80.

Louisa wciska przycisk alarmowy i zaczyna reanimację Anny.

W filmie albo serialu wszystko skończyłoby się dobrze, ale Louisa wie, że w rzeczywistości statystyczne szanse na odratowanie pacjentki wynoszą mniej więcej pięćdziesiąt procent.

Rozpoczyna od sztucznego oddychania, następnie przechodzi do masażu serca. Po chwili do pokoju wpada zespół reanimacyjny z defibrylatorem.

Louisa cofa się, żeby zrobić im miejsce.

- Sądzę, że miała jakiś atak. Kiedy weszłam, straciła przytomność i nie oddychała.

- Prawdopodobnie zatrzymanie akcji serca - stwierdza młody lekarz. - Zobaczmy, co da się zrobić. - Odwraca się do dwóch pielęgniarek. - Podłączyć defibrylator i niech ktoś przyniesie wazopresynę.

Louisa odchodzi na drugi koniec pokoju i obserwuje, jak lekarz i pielęgniarki przenoszą Annę z powrotem na łóżko i rozpoczynają walkę o jej życie.

- Asystolia! - woła jedna z pielęgniarek.

Druga rozpina szlafrok Anny i podłącza elektrody pod lewą i prawą pierś pacjentki. Po chwili ciałem Anny wstrząsają impulsy elektryczne.

- Na razie nic.

Louisa spogląda na swoje ręce i zauważa, że drżą. Po raz pierwszy od studiów.

Oddałaby w tej chwili wszystko za solidny łyk brandy i porządne zaciągnięcie się papierosem. Albo czymś mocniejszym.

- Jeszcze raz!

Louisa bierze głęboki wdech. Defibrylator jest dość wiekowy i w niczym nie przypomina nowoczesnych urządzeń AED na oddziale ratunkowym.

Zresztą, defibrylacja rzadko działa od razu.

Lekarz musi dobrać odpowiedni poziom impulsu, dlatego z reguły resuscytację zaczyna się od zbyt niskich ładunków.

Drugi lub trzeci impuls powinien już zadziałać.

- Jeszcze raz!

Zespół reanimacyjny tłoczy się przy łóżku Anny, próbując wyczuć tętno i wpatrując się intensywnie w monitor rejestrujący funkcje życiowe.

- Jeszcze raz! - Wszyscy robią krok w tył i nieruchomieją w oczekiwaniu.

A po chwili znowu są przy niej, desperacko szukając oznak życia, badając puls, tętno i źrenice.

Kolejne uderzenie defibrylatora.

Potem długa cisza.

- Czas zgonu?

Louisa nie może uwierzyć w to, co właśnie usłyszała.

Dwa słowa, wypowiedziane przerażająco spokojnym głosem.

- Czas zgonu.

Czyjś nadgarstek wyłania się spomiędzy zielonych fartuchów.

- Czas zgonu: 11.55.35.

Pokój zaczyna falować.

Louisa musi usiąść, inaczej za chwilę się przewróci.

Postacie wokół łóżka zlewają się w jedną plamę.

Anna nie żyje.

# 81.

Valducci ją zaskakuje. Okazuje się być perfekcyjnym szefem i dżentelmenem.

Żadnych wymówek, żadnych wyrzutów, żadnych spekulacji o tym, co nastąpi dalej. Tylko kieliszek brandy. Paczka chusteczek. I stanowcze polecenie, żeby Louisa poszła do domu.

Nie musi powtarzać jej tego dwa razy.

Doktor Verdeti wychodzi z budynku szpitala na parking i zatrzymuje się, głęboko wdychając świeże powietrze.

Anna nie żyje.

Louisa próbuje o tym nie myśleć.

Chyba jest cieplej niż wczoraj. Patrzy na nagie gałęzie porastających teren szpitala brzoź. Nie ma jeszcze pąków. Ani śladu wiosny. Ale pewnie niedługo przyjdzie.

Anna nie żyje.

Ta myśl powraca do niej jak uporczywa mucha, domagając się uwagi. Louisa wciąż nie może w to uwierzyć. Miała nadzieję, że może teraz, gdy policja wreszcie jej nie przeszkadza, będzie miała szansę skupić się na terapii Anny. Wyleczyć ją. Ale nie patrzeć, jak umiera.

W jej oczach pojawiają się łzy. Musi być silna. Poradzić sobie ze stratą. To nie jej wina. Powtarza to sobie już dziesiąty raz.

Serce Anny prawdopodobnie nie zniosło stresu spowodowanego przez alternatywne osobowości. Strach przed nocą i wymaginowane zagrożenie musiały ją w końcu złamać.

Louisa otwiera drzwi samochodu i wsuwa się do środka.

Kiedy włącza silnik, radio zaczyna ryczeć na cały regulator, prawie przyprawiając ją samą o atak serca. Ręce nadal drżą. Wszystkie mięśnie ma napięte jak postronki.

Anna nie żyje.

Ze złością wyłącza radio, uciszając wygłupiającego się na antenie pajaca. W tej chwili nie ma ochoty słuchać nikogo i niczego.

Ale nie może uciec przed własnymi myślami.

Czy mogła zrobić coś więcej?

A może mogła zrobić mniej? Może za bardzo naciskała, próbując przebić się przez kolejne warstwy traumy, które powinna była zostawić w spokoju?

Wybiera na telefonie numer Valentyny. Kapitan ma prawo wiedzieć. Nawet jeśli została zawieszona, to i tak powinna dowiedzieć się o śmierci Anny. Louisa nie ma wątpliwości, że przekazanie tej informacji jest jej obowiązkiem.

- *Pronto*, Morassi.

Louisa się waha.

W głosie policjantki słysząc irytację.

Trudno się dziwić, że nie jest zachwycona telefonem od kogoś, przez kogo została zawieszona.

Louisa przez chwilę rozważa przerwanie połączenia, ale ostatecznie postanawia kontynuować.

- *Capitano*, mówi Louisa Verdeti. Anna Fratelli zmarła około godziny temu. Uznałam, że powinna pani wiedzieć - mówi Louisa jednym tchem, obawiając się, że jeśli zrobi przerwę, Valentina się rozłączy.

Valentina z kolei nie jest pewna, czy dobrze usłyszała.

- Co się stało z Anną?

- Zmarła. Na atak serca, w szpitalu. Pomyślałam, że powinnam panią o tym powiadomić.

Louisa nie jest w stanie mówić dalej. Zamyka klapkę telefonu. W normalnych okolicznościach nie pozwoliłaby sobie na taką niegrzeczność, ale dzisiaj nie jest w stanie nawet normalnie się pożegnać, nie wspominając już o odpowiadaniu na pytania.

W szafce w łazience trzyma pudełko valium na takie dni jak ten. Dni, kiedy cała jej wiedza i doświadczenie nie wystarczają. Weźmie jedną pigułkę, potem naleje sobie brandy do znacznie większego kieliszka niż ten, który dostała od Valducciego, a potem pójdzie do łóżka i zaśnie.

Droga przemyka pod kołami samochodu, a świat za oknem rozmywa się w barwną plamę.

Na dojeździe do Via Margutta jest koszmarny korek.

Jak zawsze.

Mieszkanie Louisy znajduje się na dziedzińcu po prawej, kawałek od miejsca, w którym mieszkał kiedyś Picasso i tuż obok mieszkania, w którym kręcono „Rzymskie wakacje”.

Elektroniczna brama otwiera się z cichym turkotem. Biało-czerwony szlaban podskakuje

w górę jak na przejeździe kolejowym. Alfa romeo wjeżdża na żwirowy podjazd i zatrzymuje się na prywatnym miejscu parkingowym, tuż pod porośniętym bluszczem balkonem mieszkania.

Powrót do domu poprawia jej nastrój. Mieszkanie jest bezpieczną przystanią, w której może ukryć się przed koszmarem, który przeżyła w pracy. Nawet poczucie winy z powodu śmierci Anny nie jest już tak dojmujące.

Otwiera drzwi do budynku i przytrzymuje dla pary młodych ludzi, którzy wchodzą za nią. Zagląda do skrzynki na listy.

Rachunki, rachunki i jeszcze trochę rachunków.

Dzięki Bogu zarabia całkiem przyzwoicie. Louisa nie potrafi sobie wyobrazić, jak zwykli ludzie radzą sobie w tak drogim mieście, jak Rzym. Połowa mieszkańców jej budynku to zamożni cudzoziemcy, bo miejscowych zwyczajnie nie stać na czynsz.

Wkłada plik kopert z rachunkami w zęby, wiesza torebkę na jednej ręce, a drugą otwiera drzwi do mieszkania.

W środku wciąż unosi się zapach resztek ryby, które zapomniała wyrzucić.

Postanawia zrobić to od razu - opróżnić cuchnący kosz na śmieci, a potem spokojnie wczłogać się pod kołdrę i zapomnieć, że ten dzień w ogóle się wydarzył.

Wyciąga rękę w kierunku włącznika światła.

Ale go nie dosięga.

Lata spędzone w szpitalu pozwalają jej natychmiast zorientować się, że słodkawo pachnąca gaza, którą ktoś właśnie przytyka jej do ust, jest nasączona trichlorometanem.

Chloroformem.

Tracąc przytomność, Louisa dostrzega jeszcze, że mężczyzna trzymający gazę to jedna z dwóch młodych osób, które przed chwilą wpuściła do budynku.



## 82.

Zrobią z nas kozły ofiarne - przewiduje ponuro Federico.

Na linii telefonicznej pomiędzy nim a Valentiną zapada złowroga cisza.

- Co masz na myśli? - pyta w końcu Valentina.

Federico spaceruje po mieszkaniu, nerwowo wydmuchując dym z papierosa.

- Zawiesili nas za zastraszenie chorej psychicznie pacjentki, która następnie umarła na atak serca. Zrzuć to na nas. To będzie korzystne dla szpitala, bo nie poniesie odpowiedzialności, i dla tego dupka Caesario.

Jadowite słowa Federica na temat majora zaskakują Valentinę.

- Powinniśmy się spotkać. Znasz jakieś odpowiednie miejsce?

Assante zastanawia się przez chwilę.

- Galeria Borghese. Niedaleko centrum.

- Znam.

- Mój znajomy prowadzi w Villi Borghese prywatną salę restauracyjną. Żandarmeria praktycznie tam nie zagląda.

- Za godzinę?

- Za godzinę.

Rozłączają się.

Villa Borghese i przylegające do niej muzea znajdują się w malowniczych ogrodach na wzgórzu Pincio, na północ od Schodów Hiszpańskich, w miejscu dawnej winnicy. W licznych pomieszczeniach galerii, odwiedzanych przez miliony turystów, wystawione są dziesiątki dzieł starych mistrzów.

Tom i Valentina mają do galerii tylko kilkanaście minut spacerem, więc zjawiają się wcześniej i podziwiają rozciągający się na ponad czterystu metrach kwadratowych park. Po niecałej godzinie pojawia się rozklekotana lancia porucznika Assante.

Federico gasi niedopałek papierosa w żwirze ścieżki i dzwoni do swojego znajomego.

Kilka minut później na schodach wejściowych wita ich młody człowiek o dużych

brązowych oczach, ubrany w ciemny garnitur.

Po dłuższym powitaniu z Federikiem człowiek w garniturze prowadzi ich do niewielkiego pomieszczenia, w którym czekają piękne chińskie filiżanki z espresso i kryształowe szklanki z wodą. Znajomy Federica żegna się i pozostawia ich samych.

Siadając naprzeciwko porucznika Assante po raz pierwszy, od kiedy ich zawieszono, Valentina stwierdza, że musi najpierw oczyścić nieco atmosferę.

- Nie spodziewałam się, że Caesario zawiesi też ciebie. Wydawało mi się, że jesteście raczej zaprzyjaźnieni?

- Pomyliłaś przyjaźń z posłuszeństwem. Kiedy major wydaje mi rozkaz składania raportów do siebie zamiast do nowego oficera, to ja go wykonuję. Ale to nie znaczy, że będę fałszował dla niego dowody albo popierał go, jeśli uznam, że postępuje nieetycznie.

- *Grazie.*

- *Prego.* - Federico bierze niespieszny łyk espresso. - Masz jakiś pomysł, jak się z tego wygrzebać?

Valentina wydaje z siebie rozgoryczone prychnięcie i opiera się na krześle.

- Musimy porozmawiać z Louisą Verdeti i sprawdzić, jak bardzo chce nam zaszkodzić. Louisa jest kluczowa dla całej tej historii. Podejrzewam, że za tą oficjalną skargą stał raczej jej szef, nie ona.

- Jeśli zezna, że działaliśmy zgodnie z przepisami, sprawa upadnie.

- Otóż to. Ale nie będzie łatwo ją do tego przekonać, zwłaszcza teraz, po śmierci Anny.

Federico dopija kawę.

- Jak właściwie umarła?

- Nie jestem pewna. Louisa powiedziała tylko, że miała atak serca. Nic więcej nie wiem.

- Kiedy z nią rozmawiałaś, obwiniała cię o śmierć Anny? Wyczytałaś coś z tonu jej głosu?

Valentina zamyśla się na chwilę.

- Nie. To była krótka rozmowa, ale nie sądzę, żeby chciała się na mnie odgrywać. W jej głosie raczej nie było złości. Chyba po prostu uznała, że powinnam o tym wiedzieć.

- Nie wydaje mi się.

- Dlaczego?

- Zakładamy, że Verdeti już wie, że cię zawieszono, więc skoro do ciebie zadzwoniła, to

wskazywałyby, że cię lubi. Myślę, że zadzwoniła, bo miała nerwy w strzępach i pomyślała, że będziesz dla niej bardziej wyrozumiała, niż jej szef.

Valentina dostrzega trafność jego spostrzeżenia.

- Bardzo możliwe.

- To nam daje nadzieję - podsumowuje Federico.

Valentina nie jest tego taka pewna.

- Prawdę mówiąc, nie powinniśmy się z nią w ogóle kontaktować. Będzie świadkiem w naszej rozprawie przed sądem wojskowym.

Federico się krzywi.

- Wypluj te słowa.

Tom przypomina o swoim istnieniu po raz pierwszy:

- Ja mógłbym z nią porozmawiać - mówi obojętnym głosem, studiując ulotkę reklamującą wystawione w galerii obrazy i rzeźby mistrzów takich jak Bernini, Canova, Rafael i Caravaggio, którą znalazł na parapecie. - Zamawiałem dla niej taksówkę z Ponte Fabricio. Ciągle mam adres.

- Pokazuje im ulotkę. - Czy to wam kogoś przypomina?

Federico i Valentina przyglądają się z bliska.

Na ulotce widnieje miniatura portretu kobiety. Bogini o ciemnych oczach i wyraźnym dołeczku w brodzie.

Bogini, która ma twarz Anny Fratelli.

## 83.

Koc jest ciepły.

Ciepły, ale szorstki i obcy.

Łóżko, w którym leży, nie należy do niej.

Louisa Verdetti rozpoczyna powolny i bolesny powrót do przytomności.

Boli ją głowa. Oszołomiony chloroformem mózg podsyła jej halucynacje. Znowu jest studentką, pracuje w szpitalu polowym w jednym z krajów Trzeciego Świata. Zdrzemnęła się po ciężkim dniu w jednym z namiotów z zapasami. Ból głowy to pozostałość po butelce lub dwóch kiepskiego czerwonego wina, wypitego w towarzystwie przystojnego pracownika służb humanitarnych ze Szwecji.

Gdyby tylko to była prawda.

Louisa powoli odzyskuje koncentrację.

Wokół niej wszystko jest brązowe.

Otacza ją depresyjnie ciemny brąz.

Otumaniony mózg usiłuje przetworzyć docierające do niego informacje. Zapach wilgoci.

Twarda powierzchnia, na której leży. Smoliste ciemności.

Louisa jest pod ziemią.

Pogrzebana.

Jej serce zatrzymuje się na chwilę.

Pogrzebana żywcem.

Podnosi się z posłania.

Klaustrofobia, nabyta jeszcze w dzieciństwie, pozbawia ją oddechu.

Powtarza sobie, że nie wolno jej spanikować. Że nie jest już małą dziewczynką przypadkowo zamkniętą w komórce z narzędziami ogrodniczymi babci.

Panika to najgorsze, co mogłoby się jej teraz przydarzyć.

Musi zachować spokój. Oddychać. Nic złego jej się nie stanie.

Tylko że już się stało.

Koc z grubej wełny zsuwa się z jej ramion, gdy wyciąga przed siebie rękę.

Ściana.

Nierówna. Nietynkowana. Wilgotna. Szorstka.

Jak ściana jaskini.

W klatce piersiowej pojawia się ostry ból.

Oddychaj. Zmuś się do długich, powolnych oddechów.

Powoli wypuszczaj powietrze.

Louisa przypomina sobie szkolenia dla klaustrofobów.

Wdech przez nos. Wydech ustami.

Nic ci nie jest.

Nic ci się nie stało.

Wszystko będzie dobrze.

Wraca jej pamięć. Chloroform. Kobieta i mężczyzna, których wpuściła do budynku.

To oni jej to zrobili.

Obezwładnili i dokądś zabrali.

Ale dokąd?

I po co?

Nagle oślepia ją bladopomarańczowy błysk. Po syczącym dźwięku i charakterystycznym zapachu Louisa domyśla się, że źródłem światła jest szmata zanurzona w oliwie lub parafinie i owinięta wokół rękojeści.

Louisa cofa się pod ścianę.

W świetle pochodni widzi wreszcie miejsce swojego uwięzienia.

Pod ziemią.

Za kratami.

W celi wykutej w litej skale.

## 84.

Nie odbiera.

Valentina odkłada telefon komórkowy na lśniący mahoniowy blat w prywatnej sali w Galerii Borghese. - Dzwoniłam do pracy i na prywatny numer Louisy, ale nikt nie odpowiada.

- W takim razie pojedę zobaczyć, czy jest w domu - mówi Tom. - Podejrzewam, że mogła wziąć urlop z powodu śmierci Anny.

Twarz zmarłej pacjentki na miniaturze wydrukowanej na ulotce cały czas przyciąga jego uwagę.

- Ten obraz to tylko zbieg okoliczności - przekonuje Valentina, zabierając mu ulotkę. - Połowa dziewczyn w Rzymie tak wygląda. - Zerka na miniaturę. - Prawdę mówiąc, Anna jest dużo ładniejsza od tej kobiety, kimkolwiek ona jest.

- Podwożę cię - oferuje Federico. - Jak już tu skończymy.

- Możemy już iść - oznajmia Valentina, odkładając ulotkę na półkę nad kaloryferem. - Chyba już wszystko omówiliśmy?

- Niezupełnie - odpowiada Federico. - Mój kumpel naukowiec, ten gruby, któremu wpadłaś w oko, dowiedział się kilku ciekawych rzeczy.

- Mam nadzieję, że nie o sobie - mruczy Valentina pod nosem.

- Na szczęście nie. Kobieta, której odcięto rękę przy La Bocca della Verità i Anna Fratelli były spokrewnione. To siostry.

Valentina marszczy brwi.

- Myślałam, że twój kumpel mówił, że miały różne grupy krwi?

- Miały różnych ojców.

- W tej historii co chwilę pojawiają się kolejne powiązania rodzinne - zauważa Tom. - Anna i jej alternatywne osobowości cały czas opowiadały o Matce, *Mater, a*, teraz dowiadujemy się, że miała rodzeństwo.

Valentina zerka na Federica.

- Czy w kartotekach medycznych i socjalnych Anny coś było?

- Było, a jakże. - Federico wyjmując z kieszeni marynarki nieduży czarny notes Moleskine.  
- Według świadectwa urodzenia oraz kartotek szkolnych i medycznych Anna Fratelli była córką Armanda i Ginervy Fratelli zamieszkałych w dzielnicy Gerusalemme.

- Niech zgadnę, oboje rodzice nie żyją?

- Wręcz przeciwnie. Oboje są żwawymi sześćdziesięcioparolatkami. Rzeczywiście mieli córkę Annę. Tyle tylko, że ich córka zmarła, kiedy miała zaledwie trzy dni.

Valentina kręci głową.

- Ktoś ukradł tożsamość ich dziecka i wychował inne pod fałszywym imieniem i nazwiskiem?

- Gorzej. Fratelli mieli bliźniaczki. Siostra Anny, Cloelia, zmarła w Policlinico tego samego dnia. Obie miały ciężką niewydolność płuc.

Ten smutny zbieg okoliczności intryguje Valentine.

- Nasza Anna zmarła w tym samym miejscu.

Tom się żegna.

- To mi wygląda na zorganizowaną pedofilię. W Kalifornii parę lat temu było głośno o siatce pedofilów, którzy systematycznie przeglądali nekrologi w miejscowych gazetach w poszukiwaniu zmarłych dzieci. Potem od razu składali wnioski o wydanie świadectw urodzenia na nazwiska martwych dzieci, wiedząc, że system ewidencji rzadko kiedy działa jak należy i praktycznie nigdy nie porównuje nowych świadectw z istniejącymi.

- We Włoszech jest jeszcze gorzej - dodaje Valentina. - Spróbuj przenieść się do innego miasta, a potem załatwić coś w urzędzie. Koszmar.

Federico nie bardzo rozumie, do czego oboje zmierzają.

- No dobrze, ale po co gangom pedofilów świadectwa urodzenia?

- Porywają bardzo małe dzieci - wyjaśnia Valentina. - Molestują je latami, uwięzione i w ukryciu, aż do chwili, gdy mają tak wyprane mózgi, że zaczynają uważać swoich prześladowców za coś w rodzaju rodziny.

- To by wyjaśniało alternatywne osobowości Anny - dorzuca Tom. - Louisa mówiła, że najprawdopodobniej stanowią reakcję na długoletnie znęcanie się.

- Jezu! - Przed oczami Federica staje jego własna córka. - Oni kradną nie tylko tożsamość tych dzieci, oni kradną ich życie!

## 85.

Mężczyzna, którego Louisa pamięta ze swojego budynku, stoi przed celą, trzymając w ręku pochodnię.

W blasku ognia Louisa dostrzega, że pozbył się dzinsów, swetra i krótkiego wełnianego płaszcza, w którym widziała go poprzednio.

Teraz jest ubrany w sięgającą stóp fioletową pelerynę przypominającą *himation*, narzucaną na ramiona tunikę, jaką nosili starożytni Grecy.

Louisa wciąż ma nadzieję, że to wszystko jest jakimś chorym snem, podsuniętym jej przez wyczerpany umysł, że za chwilę się obudzi, weźmie prysznic i nigdy więcej nie będzie jadła sera tak późno w nocy.

Mężczyzna przechyla głowę i wpatruje się w jej oczy.

- Jak się czujesz?

Louisa nie jest pewna.

Jest zła? Przerazona? Wściekła?

Każde z tych słów doskonale pasuje do emocji, które „właśnie przeżywa, ale podejrzewa, że mężczyzny w tunice nie interesują jej emocje.

- Jestem obolała. Boli mnie gardło. I głowa.

Mężczyzna uśmiecha się współczująco.

- To przez chloroform. Objawy wkrótce miną, jak zapewne dobrze wiesz. - Ogląda się przez ramię i woła do kogoś niewidocznego w ciemnościach: - Przynieście jej wody i korę wierzby białej na ból.

Louisa słyszy przytłumione głosy i oddalające się kroki. Nie widzi podłoża jaskini, ale po dźwięku wnioskuje, że nie jest wyłożone żadną posadzką. Jej zmysły powoli wracają do równowagi. Oprócz zapachu płonącej pochodni wyczuwa też wilgoć i słyszy rozmawiające w oddali głosy.

- Dlaczego mi to robicie?

Mężczyzna w pelerynie marszczy brwi.



- Pacjentka imieniem Anna Fratelli. Chcemy, żebyś załatwiła jej zwolnienie ze szpitala.

- Anna nie... - Louisa gryzie się w język. Wyjawienie tym ludziom informacji o śmierci Anny nie przyniesie jej żadnej korzyści. Co najwyżej uświadomi im, że Louisa Verdeti nie jest im do niczego potrzebna. A oni raczej nie puszczą jej wolno. - Anna jest bardzo chora - kontynuuje po chwili Louisa. - Zarówno fizycznie, jak psychicznie. Zabieranie jej ze szpitala nie jest dobrym pomysłem.

- Nie pytałem o diagnozę - odpowiada mężczyzna. - Chcemy tylko, żeby została wypuszczona.

Louisa stara się nawiązać jakieś porozumienie z tym człowiekiem.

- Nie przypominam sobie, żebyś widziała cię w szpitalu. Nie odwiedzałeś jej, a w każdym razie ja tego nie pamiętam. Jesteś jej przyjacielem?

- Jestem. Bardzo bliskim. Ale nie mam zwyczaju nikogo odwiedzać.

Louisa woli nie pytać go o to, co ma w zwyczaju.

Na ścianie po lewej wyrasta cień, który stopniowo rozciąga się aż do sklepienia. Po chwili w kręgu światła pojawia się kobieta.

Na twarz ma nałożoną grubą warstwę białego makijażu, ale Louisa rozpoznaje w niej kobietę, którą wpuściła do budynku. Podobnie jak jej towarzysz, zmieniła ubranie. Ma na sobie długą zieloną pelerynę, podobną do szaty mężczyzny, ale rozciętą z prawej strony i wiązaną na obu ramionach.

Przez kraty podaje Louisie metalowy kubek z wodą i garść suchych tabletek.

- To jest kora wierzby. Weź dwie teraz i dwie później, jeśli wciąż będzie cię bolała głowa.

Louisa nigdy nie wierzyła w alternatywną medycynę, ale posłusznie połyka tabletki. Tym ludziom najwyraźniej zależy na jej zdrowiu. To dobry znak.

Przynajmniej na razie.

- Dlaczego chcecie zabrać Annę ze szpitala? Co chcecie z nią zrobić?

- Anna jest wieszczką - mówi kobieta. - Jedną z naszych sióstr...

Mężczyzna ucisza ją piorunującym spojrzeniem, po czym zwraca się do Louisy:

- To nie twoje zmartwienie. Twoim zadaniem jest wydobyć Annę z tego więzienia i spirali kłamstw, w której ją przetrzymujecie.

Louisa bierze kolejny łyk wody.

- Muszę pomyśleć. Nie da się tak po prostu wejść do jednego z największych szpitali na

świecie i wykraść stamtąd pacjenta.

- Więc myśl. Szybko. Od tego zależy twoje życie.

## 86.

Federico parkuje swój zardzewiały wehikuł przy Via Dell Babuino.

Wraz z Valentiną zostają w ciepłym wnętrzu samochodu, natomiast Tom wychodzi na deszcz i idzie do mieszkania Louisy Verdeti.

Stawia kołnierz nowego płaszcza, przechodząc przez Via Dell'Orto di Napoli na Via Margutta. Na chwilę zawiesza wzrok na szpalerze eleganckich galerii sztuki i restauracji, zapamiętując, żeby wrócić tu z Valentiną.

Adres Louisy mieści się za dużą żelazną bramą wjazdową, która, jak to we Włoszech, jest cały czas otwarta dla wygody mieszkańców.

Dziedziniec zapiera dech w piersiach.

Długi zwirowy podjazd prowadzi do prostokątnego placu otoczonego starymi, porośniętymi bluszczem budynkami, w których mieszczą się jedne z najdroższych mieszkań w Rzymie. Część mieszkań została przekształcona na biura miejscowych prawników i notariuszy, pozostałe są wynajmowane zamożnym cudzoziemcom.

Tom szuka budynku Louisy, mijając po drodze terakotową fontannę i obszerne klomby. Przez przeszklone drzwi na klatkę schodową widać mężczyznę w średnim wieku o czerwonej twarzy, który wydziera się na dwie sprzątaczkę.

Tom stuka we framugę.

Mężczyzna przerywa tyradę i otwiera drzwi z przyklejonym do twarzy uśmiechem.

- *Si?*

Toma uderza woń przetrawionego alkoholu. Wchodzi do wnętrza, nie pytając o zdanie.

- Szukam Louisy Verdeti.

- A pan to kto?

- Tom. Znajomy ze Stanów.

- Proszę poczekać. - Mężczyzna odwraca się do sprzątaczek. - Wy też, jeszcze z wami nie skończyłem. - Podnosi słuchawkę telefonu i wystukuje numer.

Tom uśmiecha się przyjaźnie do obu kobiet, które rozmawiają między sobą w jakimś

słowiańskim języku, zapewne po rosyjsku lub po polsku.

Odźwierny odkłada słuchawkę.

- Nie ma jej. Chce pan zostawić wiadomość?

Tom wyławia z kieszeni płaszcza długopis. Na niedużym biurku obok wejścia leży plik samoprzylepnych żółtych kartek.

- Jasne. Nie wie pan, gdzie ona może być?

- *Ospedale.*

- Już sprawdzałem, tam jej nie ma. - Tom zapisuje na kartce swoje nazwisko i numer telefonu komórkowego.

- Nie w pracy, poszła do lekarza. Miała chyba jakiś problem z kostką.

- Nie rozumiem?

- Sąsiedzi widzieli wcześniej, jak jakaś kobieta i mężczyzna pomagają doktor Verdetti wsiąść do samochodu.

W głowie Toma rozlega się dzwonek alarmowy.

- Dlaczego?

Odźwierny patrzy na niego ze zdziwieniem.

- Bo nie mogła iść sama. Zmartwili się, więc wyszli, żeby pomóc, ale kierowca powiedział im, że wszystko jest w porządku i nie ma się czym martwić. Doktor Verdetti zdaje się skręciła kostkę i zemdląła, więc zabrali ją prosto do szpitala.

Tom nie wierzy w ani jedno słowo.

- Kiedy to było?

Odźwierny wzrusza ramionami.

- Niedawno. Godzinę czy dwie temu. - Wskazuje palcem sprzątaczkę. - Akurat sprawdzałem pokoje. Nawet ja posprzątałbym je dokładniej.

- Może mi pan powiedzieć, jak się nazywają i gdzie mieszkają ci sąsiedzi?

Mężczyzna spogląda na niego podejrzliwie.

- Pójdę z panem. - Odwraca się do sprzątaczek. - A wy dwie macie się stąd nie ruszać. To chyba nie przerasta waszych możliwości?

## 87.

Federico opiera się o futrynę sklepowych drzwi, paląc papierosa i obserwując krople deszczu. Tom przedziera się przez kałuże z powrotem do samochodu.

- Nie ma jej? - pyta porucznik, wychodząc na ulicę i wyrzucając niedopałek na jezdnię.

Tom kręci głową i siada na tylnym siedzeniu za Valentina.

- Cholerna pogoda! Wyglądam jak mokry szczur.

Valentina odwraca się i uważnie taksuje go spojrzeniem, uśmiechając się przekornie.

- No nie wiem, mnie się podobasz taki mokry. To mi przypomina nasz ostatni prysznic.

Federico, postępując, wsuwa się za kierownicę i skutecznie przerywa dalszy flirt.

- To czego się dowiedziałeś?

Tom uwalnia się od mokrego płaszcza.

- Louisa niedawno była w domu. Sąsiedzi zauważyli, że jakaś kobieta i towarzyszący jej mężczyzna, których nigdy wcześniej nie widzieli, zabierają ją do samochodu.

- Rozmawiałeś z nimi?

- Z mężczyzną, jego żony akurat nie było. Powiedział, że usłyszał hałas na podjeździe, więc wyszedł z domu. Z początku myślał, że Louisa jest pijana, bo podtrzymało ją dwoje ludzi.

- Naszprycowana? - pyta retorycznie Federico.

- Sąsiad twierdzi, że w zasadzie ją nieśli. Zapytał, czy może pomóc, ale powiedzieli mu, że skręciła kostkę i zemdlą, a oni właśnie wiozą ją do lekarza.

Valentina odwraca się do Federica.

- Znasz w pracy kogoś godnego zaufania, kto mógłby dyskretnie sprawdzić, czy przyjęto ją do jakiegoś szpitala?

- *Si.* Znam parę osób. Sprawdzę, ale nie sądzę, żebyśmy się czegoś dowiedzieli. Jak ktoś mdleje, to się go sadza na fotelu, wietrzy pokój i podaje wodę. Gdyby ta historyjka była prawdziwa, to Louisa byłaby w stanie sama powiedzieć sąsiadowi, co się stało.

Valentina wie, że Federico ma rację.

- Coś jeszcze?

Tom wyciera z twarzy krople deszczu.

- Nie. Odźwierny w jej budynku to kretyn. Przepracowany i przez większość czasu zapewne pijany. Twierdzi, że nie widział niczego podejrzanego.

Federico przesuwając dłoń po kierownicy, gładkiej i błyszczącej po wielu latach intensywnej eksploatacji na włoskich ulicach.

- Zastanawiam się, kto mógłby obezwładnić i uprowadzić psychiatrę z kliniki.

- Zazwyczaj takie rzeczy dzieją się z przyczyn seksualnych, finansowych lub emocjonalnych - zauważa Valentina. - Może ktoś ją śledził?

- Jasne, że ktoś ją śledził, ale jaki to ma związek z Anną?

Valentina myśli intensywnie.

- Może porwał ją ktoś, kto obwinia ją za śmierć Anny?

Pożółkłe od nikotyny palce Federica bębnią po kierownicy.

- Mam nadzieję, że nie. Jezu, naprawdę mam nadzieję, że nie.

- Jeżeli porwano ją w ramach zemsty za Annę, to nie mamy szans jej odbić - wyjaśnia Valentina Tomowi. - Porywacz ją zabije.

## 88.

Zostawili jej wyszczerbione stalowe wiadro w kącie celi. Jako ubikację.

Ale Louisa nie jest w stanie z niego skorzystać.

Jej pęcherz desperacko domaga się opróżnienia, ale mózg stawia stanowcze weto.

Wstaje i się przeciąga.

Robi kilka kroków.

Opiera się o zimne, pordzewiałe kraty i szarpie nimi. Hałas niesie się w głąb tuneli.

To jednak nie pozwala jej zapomnieć o pełnym pęcherzu i wiadrze w kącie.

Chwała Bogu, że wypła tylko trochę wody, a nie swoje zwyczajowe morze kawy.

Wpatruje się w wiadro.

Nie dali jej nawet miski z wodą i kostki mydła, żeby umyć ręce.

Nagle przytłacza ją świadomość rozpaczliwego położenia.

Z jej ust wydobywa się niespodziewany krzyk. A zaraz po nim łkanie. Wstrząsa nią gwałtowny wybuch emocji.

Powtarza sobie, że jest silna, jest profesjonalistką, przyzwyczajoną do walki z przeciwnościami. Nie płakała od lat i nie powinna płakać teraz.

Ociera łzy z twarzy i przygląda się smugom na zakurzonych dłoniach.

Musi wziąć się w garść.

Dostosować się do sytuacji.

I nie pozwolić, żeby ktokolwiek zobaczył jej przerażenie.

Rzuca się biegiem do wiadra.

Poobijane żelastwo nie zdoła jej pokonać.

Oni nie zdołają jej pokonać.

Odpina pasek, opuszcza spodnie za dwieście euro i kuca nad wiadrem.

I po krzyku.

Ubiera się, podchodzi do krat i ponownie zaczyna szarpać pręty.

- Hej! Hej! Tutaj! Jest tam kto? Hej!

Wrzeszczy i łomocze kratami do momentu, aż pojawia się mężczyzna w fioletowej pelerynie.

Louisa wpatruje się w jego twarz.

Wygląda na zirytowanego hałasem. A to znaczy, że jest tylko człowiekiem. Niczym więcej. I można go pokonać.

- Już pomyślałam - oznajmia Louisa.

- Dobrze.

- Potrzebuję telefonu.

Jego oczy dobitnie mówią, co sądzi o jej żądaniu.

- Potrzebuję telefonu, żeby zadzwonić do pracy. Zazwyczaj dzwonię do szefa i mojego zespołu, kiedy nie ma mnie w szpitalu. Potwierdzam wizyty i omawiam poszczególne przypadki. Nabiorą podejrzeń, jeśli się z nimi nie skontaktuję.

Mężczyzna się zastanawia.

- Poczekaj.

Louisa obserwuje oddalającą się postać. Nie może uwierzyć, że kazał jej czekać. Tak jakby miała jakiś wybór. Czekanie nigdy nie było jej ulubioną czynnością, ale w tej chwili awansowało na sam szczyt hierarchii najbardziej zniechędzonych rzeczy w jej życiu.

Ale nie pozostaje jej nic innego, jak właśnie czekać.

Mężczyzna wraca po półgodzinie w towarzystwie dwóch innych w szkarłatnych pelerynach.

Louisa robi krok w tył, gdy Fioletowa Peleryna otwiera kraty.

Pozostali dwaj wchodzą do celi. Louisa gapi się na nich w zdumieniu. Obaj mają dziwne kobiece rysy, ale dłonie i stopy zdecydowanie męskie. Bez słowa chwytają ją za nadgarstki i skuwają stalowymi kajdankami.

- Auć. - Louisa spogląda na metalowe obręcze wrzynające się w skórę. - To boli.

- Przyzwyczaisz się - odpowiada Fioletowa Peleryna.

Jeden z jego pomocników - albo pomocniczek, Louisa nie ma pewności co do jego/jej płci - staje za nią. Kiedy Louisa chce się odwrócić, drugi gwałtownie szarpie ją za rękę.

Ukłucie bólu rozprasza ją na chwilę.

Ktoś nakłada jej na głowę czarny kaptur.

Wokół jej szyi zaciska się cienki sznur.



- Nie krzycz - mówi Fioletowa Peleryna. - Nie wpadaj w panikę. Tylko pogorszysz swoją sytuację.

Louisa się szarpie.

Peleryna przytrzymuje ją za ramiona.

- Posłuchaj! Nie stanie ci się nic złego. Tu na dole nie ma zasięgu, więc zabierzemy cię do miejsca, z którego będziesz mogła zadzwonić.

Jego słowa wcale jej nie uspokajają.

Louisa czuje panikę. Silniejszą niż kiedykolwiek wcześniej.

Kaptur spowodował, że klaustrofobia odezwała się z całą siłą.

Louisa ma wrażenie, że ktoś wpycha jej do gardła wielkie kule bawełny.

Powtarza sobie, że musi zachować spokój i oddychać przez nos.

W piersiach czuje ból.

Serce wali jak oszalałe.

Płuca gwałtownie wdychają słaby strumień powietrza.

Louisa zawadza o coś ramionami.

Ktoś prowadzi ją naprzód.

- Chodźmy - odzywa się czyjś głos. - Trzeba ją wyprowadzić z łona.

Łona?

Musiała się przestyszeć. Z pewnością powiedział „więzienia”.

Czyjeś dłonie zaciskają się na jej łokciach i ciągną za sobą.

Robi jej się niedobrze i czuje zawroty głowy.

Pojawiają się inne głosy. Jakieś kobiety coś krzyczą w jej kierunku. A może to dzieci?

Louisa oddycha konwulsyjnie. Musi się zatrzymać. Stać w bezruchu. Zobaczyć światło i przestrzeń. Uspokoić się.

Ale ludzie w pelerynach nie pozwalają jej na to.

Jej kolana się uginają.

Rozpaczliwie chwyta ustami powietrze.

Ogarnia ją ciemność.

## 89.

Tom i Valentina jedzą kolację w hotelu.

Federico zostaje na kieliszek wina, ale po chwili dzwoni do niego żona, więc szybko żegna się i wychodzi.

Kiedy zostają sami, zabierają się niespiesznie do talerza tokańskiego prosciutto, po którym na stole pojawiają się dwa talerze risotto z grzybami. Do głównego dania, składającego się ze świeżego homara, makaronu i sałatki, opróżniają butelkę znakomitego aromatycznego vermentino di gallura.

- Zamówić jeszcze? - pyta Tom, podnosząc pustą butelkę.

Valentina krzywi się lekko.

- A nie obrazisz się, jeśli poprzestaniemy na jednej?

- Jasne, że nie.

Oboje wiedzą, co to oznacza. Przerwa na posiłek zbliża się ku końcowi i za chwilę trzeba będzie niechętnie wrócić do pracy.

Tom kawałkiem chleba wyciera z talerza sos do homara.

- Myślisz o Annie?

- Trochę. - Valentina okręca makaron na widelcu. - Chociaż próbuję nie myśleć.

- A o Louisie?

- Też. - Apetyt Valentiny znika, skutecznie odpędzony tymi imionami. - Kiedy próbuję jakoś to wszystko ogarnąć - morderstwa, śmierć Anny, zniknięcie Louisy - mam wrażenie, że głowa za chwilę mi eksploduje.

Tom doskonale ją rozumie.

- Nie mam pojęcia, jak jesteś w stanie codziennie w pracy zajmować się takimi koszmarami. Jako ksiądz dość często miałem do czynienia ze śmiercią, ale na pewno nie na taką skalę. Poza tym rzadko widywałem aż taką brutalność.

Valentina nożem zdejmuje makaron z widelca.

- Morderstwa są z reguły dość proste. Żona zabija niewiernego męża. Zdradzany mąż

zabija żonę. Porzucona kochanka zabija męża, który wraca do żony. I tak dalej.

- Plus zabójstwa na tle narkotyków.

- Plus zabójstwa na tle narkotyków - potwierdza Valentina, odsuwając talerz. - Poza tymi kategoriami morderstwa zdarzają się bardzo rzadko. Chyba że mamy do czynienia z seryjnym zabójcą. Gdzie twoim zdaniem należałoby sklasyfikować socjopatyczny kult i gang pedofilów?

- Gdzieś pomiędzy chorymi psychicznie a seryjnymi zabójcami? Chcesz kawy?

- *Non, grazie.* - Valentina podnosi kieliszek z reszką wina.

Tom próbuje przywołać kelnera, żeby zapłacić rachunek, ale bez sukcesu.

- Pamiętasz liczbę dziesięć, która pojawiła się, kiedy pierwszy raz rozmawialiśmy o Kybele i kultach innych sybilli?

Valentina potrzebuje chwili, żeby sobie przypomnieć.

- To miało coś wspólnego z liczbą na półce w tym miejscu, w którym biedacy zostawiali urny z prochami bliskich, tak?

- Zgadza się, z kolumbarium. Cały czas o tym myślę. Dopiero po pewnym czasie uświadomiłem sobie, że choć dziesiątka nic dla mnie nie znaczy, to dziewiątka już tak.

Valentina opiera się na krześle. Obawia się, że Tom za chwilę zafunduje jej długi i skomplikowany wykład, który skutecznie uniemożliwi jej zakopanie się pod kołdrą w łóżku.

- Bądź delikatny dla mojego mózgu, dobrze? Wypiłam trochę wina i jestem potwornie zestresowana. I robię się coraz bardziej zmęczona.

- Dobra, postaram się to uprościć. - Tom wyciera usta serwetką. - Według rzymskiej mitologii pewna sybilla zaoferowała Tarkwiniuszowi Pysznemu, ostatniemu królowi Rzymu, dziewięć ksiąg zawierających przepowiednie i mądrość, w zamian żądając wielkiego skarbu.

Valentina się krzywi. Historia, czy to starożytnego Rzymu, czy czegokolwiek innego, nigdy nie była jej mocną stroną.

- Jak wielkiego?

- Nie mam pojęcia i chyba nikt tego nie wie. Legenda mówi po prostu o fortunie. W każdym razie Tarkwiniusz na to, że nie ma szans, więc sybilla spaliła trzy księgi i zażądała tej samej sumy za pozostałych sześć. Tarkwiniusz znowu powiedział, że nie ma szans, więc spaliła kolejne trzy.

- Twarda zawodniczka - komentuje Valentina, dopijając ostatni łyk wina. - Mogłaby z powodzeniem załatwić bankiera w „Grasz czy nie grasz”.

- Zostały trzy księgi, za które sybilla domagała się dokładnie tej samej sumy, co za dziewięć. Tym razem Tarkwiniusz pękł i wręczył jej forszę.

- Dlaczego? Czemu te księgi były takie cenne?

- Dobre pytanie. Sybille były wieszczkami. Oprócz przepowiedni w księgach podobno zawarte były mądre rady, co robić, kiedy na królestwo spadnie nieszczęście.

- Coś w rodzaju „Zwalczania plag egipskich dla opornych”?

Tom się śmieje.

- Można to tak nazwać. W każdym razie trzy pozostałe księgi były tak cenne, że przechowywano je pod strażą w skarbcu w Świątyni Jowisza na wzgórzu kapitolńskim. Wymowano je i czytano tylko w czasach kryzysów.

- Na przykład?

- Na przykład głodu, nieurodzaju, deszczu meteorów, powstań niewolników, najazdu wrogiej armii i tak dalej.

- Nigdy o nich nie słyszałam. Sądysz, że te księgi mają jakiś związek z Anną i jej alternatywnymi osobowościami?

- Wiemy, że istnieje związek z Kybele. Niewykluczone, że dotyczy to również powiązanych z nią kultów i ksiąg przepowiedni.

- Domyślam się, że księgi są spisane po łacinie albo po grecku, albo w jakimś innym niezrozumiałym języku?

- Gorzej, zniknęły. - Tomowi udaje się zwrócić uwagę przechodzącego kelnera. - *Il conto, per favore.*

Kelner kiwa głową i pozwala sobie na szybkie spojrzenie na Valentine, zanim odchodzi po rachunek.

- Świątynia, w której je przechowywano, spłonęła, a księgi wraz z nią.

- Szkoda, że nie zrobili zapasowej kopii - żartuje Valentina.

- Prawdę mówiąc, próbowali zrobić coś na kształt starożytnego dysku zapasowego. Skrybowie zapisywali wszystkie ustne relacje ludzi, którzy kiedykolwiek czytali lub słyszeli treść ksiąg. Zapiski te nazwano później „Wyroczniami sybillińskimi”.

Valentina nie potrafi powstrzymać śmiechu.

- Dobry Boże, wyobrazasz sobie, co by było, gdyby każdy, kto kiedykolwiek przeczytał Biblię, miał ją zreferować własnymi słowami? To byłby jakiś koszmar.

- Albo bestseller - dodaje Tom i sam zaczyna się śmiać. - Niestety, Kościół nie wziął tej ewentualności pod uwagę.

Kelner zjawia się ponownie, niosąc rachunek na niewielkim świstku na wielkiej srebrnej tacy.

Tom odlicza gotówkę i wręcza sowity napiwek, mimo faktu, że młody człowiek nie jest w stanie oderwać wzroku od Valentyny.

- Podejrzewam, że często ci się to zdarza? - pyta żartobliwie, gdy kelner znika.

- Nigdy wcześniej mi się to nie przytrafiło - odpowiada Valentina niewinnie. - Gotowy, żeby iść w końcu do łóżka?

Tom odkłada serwetkę i szarmancko przytrzymuje jej krzesło.

- Jestem gotowy od chwili, kiedy dwie godziny temu pozbyliśmy się Federica.

# 90.

Budzi się.

Louisa najpierw ich słyszy. Słyszy głosy i kroki wokół siebie.

Dopiero po chwili udaje jej się otworzyć oczy.

Wpatruje się w sufit, a nie w skaliste sklepienie celi. Znajduje się w dziwnym pokoju, pachnącym kurzem i mokrym tynkiem.

Mniejsza o kurz i tynk.

Najważniejsze, że nie jest już pod ziemią. Że wypuszczono ją z celi. Z zamkniętej przestrzeni.

Unosi się na łokciach.

Przed oczami widzi rozmazaną postać.

- Zemdlałaś - mówi mężczyzna w fioletowej pelerynie. - Wpadłaś w panikę i straciłaś przytomność, kiedy cię wyprowadzaliśmy.

Louisa się rozgląda. Pomocnicy w szkarłatnych pelerynach stoją z tyłu, wraz z kobietą w błyszczącym, jasnym płaszczu, która odwraca się na pięcie i odchodzi, gdy tylko zauważa na sobie wzrok Louisy.

Czy to była kobieta z jej budynku? Wspólniczka Fioletowej Peleryny?

Nie, stwierdza po chwili. Raczej nie.

Ta wyglądała na starszą. I chyba ważniejszą w hierarchii.

Fioletowa Peleryna pochyla się nad nią.

- Zaraz dostaniesz wodę. Nic nie piłaś od dwunastu godzin.

Dwunastu godzin!

- Co?

- Jest po ósmej wieczorem. Przespałaś całą noc. Prawdopodobnie wyczerpał cię szok i stres - informuje ją Peleryna, a po chwili dodaje: - Zapewne też pozostałości po chloroformie.

Louisa przyjmuje od niego plastikowy kubek z wodą. Przy okazji zauważa, że mężczyzna jest praworęczny, a na palcu nosi ciężki, złoty pierścień z wyobrażeniem kobiety dosiadającej

jakiegoś paskudnego zwierzęcia.

- *Grazie.*

Wypija zawartość kubka dwoma łykami.

Mężczyzna się uśmiecha.

- Przyniosę ci jeszcze.

Louisa przygląda się pomieszczeniu.

Jest dziwne.

Z czymś jej się kojarzy, ale nie potrafi sobie przypomnieć, z czym.

Po chwili jednak dociera do niej, że znajduje się w czymś na kształt remontowanego pokoju w nowym domu. Bładopomarańczowy odcień ścian to świeżo położony tynk. Na podłodze leżą drabiny, w kącie piętrzy się stos folii malarskich. W powietrzu unosi się silny zapach farby lateksowej.

Louisa unosi się nieco wyżej.

W pokoju nie ma okien.

To przyprawia ją o lekki atak paniki.

Po lewej stronie widzi przenośne lampy i kable biegnące do niewidocznego gniazdka lub generatora.

Niewątpliwie umieszczono ją w nowo wybudowanym lub remontowanym budynku, który zapewne będzie dostępny dla osób z zewnątrz - bo po co mieliby go remontować w innym przypadku?

- Proszę. - Fioletowa Peleryna wręcza jej pełny kubek wody. - Radzę nie tracić czasu na zastanawianie się nad ucieczką. Nawet gdybym wyprowadził cię na zewnątrz, nie będziesz miała pojęcia, gdzie jesteś, a moi ludzie pilnują wszystkich tuneli i wyjść.

Tuneli.

Czyżby Peleryna przypadkowo wyjawiał jej więcej, niż zamierzał?

Louisa bierze łyk wody.

Im dłużej się nad tym zastanawia, tym bardziej dochodzi do wniosku, że „tunele” nic jej nie mówią. Cały Rzym stoi na labiryncie tajemnych tuneli, jaskiń, lochów i ruin.

Co oznacza, że może znajdować się dosłownie wszędzie.

Oddaje pusty kubek.

- Dobrze. Teraz zadzwonisz do szpitala, a potem powiesz nam, w jaki sposób odzyskamy

Annę.

- Potrzebuję telefonu - odpowiada Louisa znużonym głosem.

Peleryna strzela palcami. Któryś z jego pomocników biegnie po aparat.

- Wiem. Przynieśliśmy cię tutaj, ponieważ w celach nie ma zasięgu.

W celach.

Liczba mnoga.

Cele.

I tunele.

Louisa postanawia spróbować szczęścia.

- Muszę pojechać do domu i się przebrać. Nie mogę pójść do pracy we wczorajszym ubraniu, to będzie wyglądało podejrzanie.

Fioletowa Peleryna wygląda na rozbawionego.

- W razie potrzeby dostaniesz świeże ubranie od nas, ale nie wrócisz do domu, dopóki to się nie skończy. A jeśli nie zdołasz zrobić dla nas tego, czego żądamy, w ogóle nie wrócisz.

Pomocnik powraca i wręcza Pelerynie telefon Louisy.

- Nawet go naładowaliśmy. - RzUCA jej długie, uważne spojrzenie. - Do kogo zamierzasz zadzwonić? Co powiesz? I jak dokładnie chcesz pomóc nam odzyskać Annę?

Louisa zdążyła to sobie przemyśleć. Sto razy. Odchrząka lekko.

- Już wcześniej zabraliśmy ją ze szpitala do Cosmedinu, w poblize miejsca, w którym ją aresztowano. Mieliśmy nadzieję, że dzięki temu odblokujemy wspomnienia, które mogłyby pomóc nam w terapii.

Twarz mężczyzny przypomina kamienną maskę.

- Mów dalej.

- Zadzwoń do swojej asystentki i poproszę ją, żeby przygotowała Annę na kolejną wycieczkę. Powiem jej, że przeglądałam notatki i chcę jeszcze raz spróbować terapii kognitywnej.

- Masz takie uprawnienia?

- Oczywiście, że mam. Chyba właśnie dlatego mnie tu ściągnęliście?

Ten argument najwyraźniej do niego trafia.

- Dokąd będziesz chciała ją zabrać? W jaki sposób ona tam dotrze?

Louisa już wie, że Fioletowa Peleryna złapał przynętę.



- Tam, dokąd będziecie chcieli.

Mężczyzna zastanawia się przez chwilę, po czym robi zadowoloną minę.

- Piazza di Santa Cecilia. Wiesz, gdzie to jest?

Louisa wie.

Ta nazwa wywołuje u niej dreszcz.

- Wiem. Mogę pojechać do pracy, zabrać Annę i przywieźć ją tam razem z moją asystentką.

Peleryna pokazuje jej telefon.

- Nie. Twoja asystentka ma ją tam zawieźć. Puścimy cię wolno tylko wtedy, gdy Anna będzie w naszych rękach.

Louisa zamierzała rozegrać to w inny sposób.

- Muszę tam pojechać, żeby ją wypisać - kłamie. - Inaczej się nie da.

- Da się. Znajdziesz sposób. I pamiętaj, jeśli spróbujesz nas oszukać, zabijemy cię - wręcza jej telefon. - Zanim zadzwonisz, pokażesz mi na wyświetlaczu numer.

Louisa bierze aparat i przeszukuje książkę telefoniczną.

Trzęsą jej się ręce, oddech przyspiesza.

Zbliża się kolejny atak paniki.

W końcu znajduje numer i pokazuje go mężczyźnie, który przygląda się uważnie nazwie kontaktu.

- Dobrze. Dzwon.

# 91.

Valentina nie śpi od dziesięciu minut.

Leży nago w łóżku, zwrócona twarzą do Toma, i patrzy na niego. Już sama jego obecność sprawia, że czuje się spokojna i bezpieczna. Nie przypomina sobie, żeby kiedykolwiek tak patrzyła na innego mężczyznę. Po prostu patrzyła, obserwowała i próbowała zrozumieć.

Wyjmuje lewą rękę spod ciepłej kołdry i delikatnie dotyka jego policzka.

Tom wierci się lekko.

W tej chwili przypomina bardziej dziecko niż dorosłego mężczyznę. Valentina musi powstrzymać się od śmiechu.

Przygląda się z bliska jego twarzy.

Jej dawny dowódca, Vito, zawsze mawiał, że twarz mężczyzny jest mapą jego życia. Po lewej stronie głowy Toma, tuż pod linią włosów, biegnie cienka, biała blizna.

Wypadek w dzieciństwie?

Może uczył się jeździć na rowerze i upadł?

Blizna wygląda na starą.

Valentina dotyka jego włosów.

Są gęste i ciemne, ale nie czarne. Raczej w odcieniu ciemnego kasztanu. Przygląda im się bliżej. Tuż nad baczkami dostrzega kilka pasemek siwizny. Pasują do niego. Nadają mu dystyngowany wygląd. Niewykluczone, że Tom należy do tego rzadkiego gatunku mężczyzn, którzy w miarę upływu lat robią się coraz przystojniejsi.

Dzwoni telefon komórkowy Valentiny, która rozgląda się za urządzeniem.

Leży na stoliku nocnym. Za daleko.

Tom zaczyna się budzić.

Miała nadzieję, że jeszcze pośpi.

Valentina wysuwa się spod kołdry i łapie telefon.

Już ma wcisnąć przycisk odrzucenia połączenia, ale rozpoznaje numer.

Louisa.

- *Pronto* - odbiera ostrożnym tonem.

- Valentino, mówi doktor Verdeti. Nie mam zbyt wiele czasu, więc bardzo cię proszę, nie zagaduj mnie, jak to masz w zwyczaju, tylko uważnie posłuchaj.

Valentina momentalnie wyczuwa, że coś jest nie w porządku.

Louisa nigdy nie mówiła o sobie per „doktor Verdeti”, a ta uwaga na temat zagadywania jest co najmniej zastanawiająca.

- Powiedz mi najpierw - kontynuuje sucho Louisa - jak spała Anna? Kiedy ostatnio ją widziałam, wyglądała okropnie. Mam nadzieję, że dziś czuje się lepiej?

Valentina natychmiast rozpoznaje ukryty przekaz. Kimkolwiek jest człowiek, z którym jest Louisa i który przerażał Annę do tego stopnia, że musiała spać w łóżku zbudowanym z Biblii, jeszcze nie wie, że Anna nie żyje. Nie może się o tym dowiedzieć. A w tej chwili na pewno przysłuchuje się ich rozmowie.

Valentina gładko wchodzi w swoją rolę:

- Czuje się nieźle. Jest trochę słaba. Chyba powinna pani sama ją zobaczyć. O której będzie pani w pracy?

- Dobrze, właśnie to chciałam usłyszeć. Prawdę mówiąc, dzisiaj nie wybieram się do szpitala. Przeglądałam notatki dotyczące Anny i doszłam do wniosku, że potrzebujemy jeszcze jednego wyjazdu terapeutycznego. Dzięki temu poznamy jej reakcję na określone otoczenie. Czy mogłabyś ciepło ją ubrać i przywieźć na Piazza di Santa Cecilia? Tam się spotkamy. - Louisa zerka na mężczyznę w fioletowej pelerynie i, zasłaniając słuchawkę, szepcze: - O której?

Mężczyzna pokazuje jej zegarek i stuka palcem w blat.

- Dasz radę na jedenastą? - pyta Louisa.

Valentina domyśla się, że pytanie jest retoryczne.

- Postaram się. - Sięga po długopis i hotelową papeterię. - W którym dokładnie miejscu mam być? Czy przywieźć coś ze sobą?

Louisa ponownie szepcze do mężczyzny w pelerynie:

- Gdzie mamy ją przywieźć?

Tamten waha się przez chwilę.

- Fontanna przed kościołem. Na razie tam.

- Spotkajmy się przy fontannie przed kościołem Santa Cecilia. Weź ze sobą tylko Annę i standardowy zestaw.

Valentina nie ma wątpliwości, że „standardowy zestaw” oznacza policyjne wsparcie.

- Dobrze. Do zobaczenia o jedenastej.

Połączenie zostaje przerwane.

Valentina zerka na zegarek. Zostały jej dwie godziny.

## 92.

Ksiądz Alfredo Giordano znajduje się w dość nietypowej pozycji, gdy dzwoni jego telefon.

Ma na sobie tylko spodnie od pizamy i właśnie skończył pozycję psa z głową w dół.

W tej chwili opiera się na rękach i odlicza pięć oddechów w pozycji kruka.

Nigdy wcześniej nie udało mu się utrzymać Kruka przez pięć pełnych oddechów. Zazwyczaj od razu przewraca się na bok przy pierwszym, ślizga w tył przy drugim lub z impetem uderza głową w podłogę przy bardzo już niepewnym trzecim.

Ale dziś idealnie ułożył nadgarstki i przy czwartym oddechu wciąż utrzymuje pozycję, więc nie ma najmniejszego zamiaru odbierać telefonu, zanim nie doliczy do pięciu.

- *Cinque!* Juhuuuu! - Wstaje z maty i biegnie po gładko polakierowanym parkiecie swojego niewielkiego mieszkania. Odłącza telefon od ładowarki wpiętej w gniazdko ścienne i odbiera entuzjastycznie:

- *Pronto, Giordano - il padrone di yoga fantastico!*

Jego przyjaciel nie ma odwagi zapytać, co przed chwilą robił ksiądz Giordano.

- Alfie, mówi Tom. Potrzebuję twojej pomocy.

- Z radością, przyjacielu. - Alfie bierze głęboki jogiczny wdech. - *Il padrone* pomoże ci osiągnąć perfekcyjną pozycję rajskiego ptaka lub jednonogiego królewskiego gołębia, wedle preferencji.

- Alfie, to jest poważna sprawa. Co wiesz o bazylice Santa Cecilia?

Ksiądz Giordano przestaje się wygłupiać.

- Santa Cecilia na Zatybrzu?

Tom włącza głośnik, tak żeby Valentina mogła słyszeć ich rozmowę. Zerka na notatkę na papeterii.

- Ten na Piazza di Santa Cecilia. To jest na Zatybrzu, tak?

- Tak, zgadza się. Tom, co się stało?

- Wyjaśnię ci później. Alfie, proszę, powiedz mi, co wiesz o tym miejscu.

- Dobra. Kościół jest bardzo znany. Niech pomyślę... Zbudowano go mniej więcej w trzecim wieku naszej ery... Potem był wielokrotnie przebudowywany, zwłaszcza w dziewiątym i chyba osiemnastym wieku.

Tom pospiesznie zapisuje. Valentina zagląda mu przez ramię.

- A, jeszcze jedno - kontynuuje Alfie. - Do kościoła przylega klasztor. Tamtejsze zakonnice strzygą ofiarne owce z kościoła Sant'Agnese fuori le Mura i szyją z wełny szaty liturgiczne. W samym kościele znajdują się obrazy przedstawiające dekapitację świętej Cecylii. Pamiętasz jej historię?

Tom musi sobie przypomnieć.

- Całe życie nosiła wór pokutny, wyszła za mąż, ale z pobożności pozostała dziewicą?

- Jak my wszyscy - wtrąca Alfie z lekką ironią.

Tom wydobywa z zakamarków pamięci kolejne informacje o świętej Cecylii:

- Patronka muzyków, jej święto przypada na październik... nie, listopad. A jej zabójcy musieli się sporo natrudzić, żeby ją uśmiercić.

- Siedem na dziesięć. Lub czwórka z plusem, wedle preferencji.

Valentina czuje narastającą frustrację. Dzieje świętej Cecylii są niewątpliwie fascynujące, ale w żaden sposób nie pomogą im uratować Louisy.

Tom nie zwraca na nią uwagi.

- Jeszcze nie skończyłem. Zdaje się, że była równie trudna do zabicia jak Rasputin? Jej oprawcy bezskutecznie usiłowali pozbawić ją życia dwa albo trzy razy, zgadza się?

- Podnoszę ci ocenę do piątki z minusem. Najpierw próbowali udusić ją w kąpieli. Nie udało się, więc postanowili uciąć jej głowę. I znowu się nie udało. Kat próbował ją ściąć trzykrotnie, a kiedy zobaczył, że Cecylia wciąż żyje, uciekł ze strachu.

- A ona zmarła dopiero trzy dni później, po przyjęciu komunii świętej.

- Jeszcze coś - dodaje Alfie. - Według legendy kościół pierwotnie zbudowano w miejscu, w którym stał jej dom i gdzie poniosła męczeńską śmierć.

Tom zapisuje „ruiny dawnego domu pod kościołem” i podkreśla dwukrotnie. Valentina czyta mu przez ramię.

- To znaczy, że pod świątynią jest sporo tuneli i jaskiń?

- Sporo? - Alfie prawie parska śmiechem. - Tom, pod Rzymem rozciąga się całe miasto. Rzym zbudowano na skale wulkanicznej, pod ziemią znajdują się całe kilometry katakumb. Jak

zobaczysz kryptę w kościele Santa Cecilia, to zrozumiesz, co mam na myśli.

## 93.

Przepaska na oczy jest znacznie lepsza niż kaptur.

Louisa czuje ogromną ulgę, że tym razem nie zakryto jej głowy i nie zawiązano sznura wokół szyi.

Nigdy nie przypuszczała, że kiedykolwiek przyjdzie jej czuć ulgę z takiego powodu.

- Spokojnie, wszystko jest w porządku - mówi mężczyzna przytrzymujący ją za łokieć i pomagający iść.

Tylko że nic nie jest w porządku.

Louisa wciąż czuje duszącą klaustrofobię. Niewidoczne szpony trzymają jej płuca w uścisku. Wie, że kolejny atak paniki jest tylko kwestią czasu, jeśli nie zdejną jej z oczu tej cholernej szmaty.

Prowadzą ją po jakichś schodkach.

Stromych i krętych.

Klatka schodowa.

Niekończąca się klatka schodowa.

Serce bije jej niepokojąco szybko, jeszcze powiększając dławiający ją stres.

- Dobrze sobie radzisz, już prawie koniec - odzywa się jakiś głos z boku.

Louisa robi krok w górę, ale pod nogą nie czuje żadnego stopnia. Potyka się i leci do przodu. Niewidzialne ręce ją przytrzymują.

- Jesteśmy na górze. Wszystko w porządku.

Otwierają się drzwi. Louisa czuje podmuch chłodnego zimowego powietrza.

Jak zapach raj.

Wyjście na świeże powietrze ucisza jej panikę.

Prowadzą ją naprzód przez około dziesięć sekund.

Trzaskają otwierane drzwi samochodu.

- Uwaga na głowę - uprzedza jeden ze strażników. - Teraz wsiądziemy do samochodu.

Chwyta ją za włosy i wpycha na siedzenie.



Louisa czuje zapach wyprawionej skóry.

Skóry i potu.

Dochodzi do wniosku, że pierwszy zapach pochodzi od tapiceria, a drugi od masywnej postaci wciśniętej na siedzenie obok niej.

Nie musi widzieć sąsiada, żeby stwierdzić, że to olbrzym.

Wie o tym, ponieważ jego ogromne bicepsy uderzają ją w skroń za każdym razem, gdy wierci się na siedzeniu.

Po kilku minutach jazdy z przodu dobiega donośny głos:

- Możecie odsłonić jej oczy.

Człowiek na tylnym siedzeniu prawie przygniata ją swoim ciężarem, gdy zabiera się do odwiązywania przepaski.

- *Grazie*. - Louisa nie otwiera oczu od razu. Nawet przez przymknięte powieki orientuje się, że świeci słońce. Od ciasno zawiązanej przepaski bolą ją oczy i skóra wokół nich.

Pierwszą rzeczą, jaką widzi, jest tył siedzenia pasażera, a następnie boczna szyba. Okna samochodu są mocno przyciemnione, na tyle, żeby z zewnątrz nie dało się zajrzeć do środka. Sam pojazd to jakaś kosztowna terenówka z napędem na cztery koła, ale nigdzie nie widać żadnego symbolu ani nazwy modelu.

Odwraca się do mężczyzny siedzącego obok niej i patrzy na niego przyjaźnie.

Na pierwszym roku psychologii nauczono ją, że porywaczowi, który zobaczy w swojej ofercie człowieka, trudniej jest ją skrzywdzić.

Louisa nie ma pewności, czy jej taktyka przyniesie jakikolwiek efekt.

Jej sąsiad jest wysoki, tak jak sobie wyobrażała, ale zaskakująco chudy. Tylko jego ręce przypominają zadnie nogi dorosłego byka. Louisa podświadomie skojarzyła zapach potu z otyłością.

- Dziękuję, że mi to zdjęliście - mówi, stopniowo otwierając oczy coraz szerzej, żeby przyzwyczać je do światła.

- Zamknij się! - wrzeszczy kierowca, nie odwracając się. - Po prostu siedź i się, kurwa, nie odzywaj.

Louisa posłusznie milknie.

W samochodzie zapada cisza. Louisa dochodzi do wniosku, że kierowcą jest Fioletowa Peleryna, a dwóch pozostałych mężczyzn to Szkarłatne Peleryny, których widziała w

podziemiach.

Przeciskają się przez zakorkowane uliczki. Widok trąbiących samochodów przynosi jej dziwną ulgę.

Louisa zastanawia się, czy drzwi mają centralny zamek.

Pewnie tak. Jej porywacze raczej nie są idiotami.

Ale nawet gdyby nie było centralnego zamka, Louisa nie jest pewna, czy zdążyłaby otworzyć drzwi i uciec, zanim złapałby ją ten wielkolud na tylnym siedzeniu.

Raczej nie.

Najpoważniejszym argumentem przeciwko próbie ucieczki jest to, że jeśli teraz jej się nie uda, drugiej szansy już nie będzie.

Będą jej starannie pilnować i nie uwierzą w ani jedno jej słowo.

Musi zachować cierpliwość.

Szansa nadejdzie.

Żeby oderwać się od tych myśli, Louisa obserwuje ruch na ulicy. Panuje kompletny korek. Co chwila odzywają się jękliwe dźwięki klaksonów. Kierowcy klną, uwięzieni w swoich stalowych puszkach jak sardynki.

Nagle wszyscy ruszają do przodu.

Jakby ktoś wcisnął przycisk na pilocie.

Samochód porywaczy mija potężną ciężarówkę firmy meblarskiej, która wciska się w boczną uliczkę i przestaje blokować ruch.

Kierowca skręca. Louisa natychmiast rozpoznaje okolicę.

Dojeżdżają do Tybru.

Zostało jeszcze tylko kilka minut do spotkania.

## 94.

Kościół Santa Cecilia stoi na zachodnim brzegu rzeki, niemal dokładnie w pół drogi między Ponte Palatino i Ponte Portese.

Kiedy bazylika wylania się zza zakrętu, Valentina widzi to, co przed nią miliony turystów i mieszkańców Rzymu.

Architektoniczną perłę.

To jeden z tych budynków, które zwracają uwagę patrzącego przede wszystkim na to, co najmniej istotne.

Najpierw w oczy rzuca się otoczony murem i zamknięty bramą dziedziniec zaprojektowany tak, że nawet w zimowej szarości nietrudno wyobrazić sobie orgię barw, jaka pojawia się tu na wiosnę. Następnie wzrok przykuwa olbrzymia fontanna, nad którą dominuje potężny rzygacz w kształcie kantara.

Ale nie zewnętrzne ozdoby stanowią o wyjątkowości bazyliki Santa Cecilia.

Jak powiedział Alfie, najważniejsze kryje się we wnętrzu kościoła, pod ziemią. Oraz w legendach i opowieściach o tym niezwykłym miejscu.

Valentina przygląda się sylwetce bazyliki z wnętrza samochodu.

- Katastrofa. Te cholerne łuki, bramy i filary przy wejściu na dziedziniec kompletnie zasłaniają budynek. Bez pełnej ekipy obserwacyjnej jesteśmy jak japoński turysta próbujący uchwycić lądowanie na Księżycu najtańszym kompaktom marki Fuji.

Federico Assante tkwi skulony na tylnym siedzeniu.

- Tom wszedł do środka?

- Jakąś minutę temu. - Valentina zastanawia się, czy postępuje słusznie. Gdyby zadzwoniła do Caesario, musiałby potraktować ją poważnie i wysłać wsparcie. Z drugiej strony, straciłaby jedyną szansę na przekonanie Louisy do wycofania zarzutów przeciwko niej i Federikowi. Zerka na zegarek. Za trzy jedenasta.

- Zajmijmy pozycje.

Federico zakłada na głowę chustę, którą Valentina kupiła po drodze, i owija się szczelnie

kocami z hotelu. Jedyne, co mogłoby zdradzić go z dużej odległości, to stopy. Wprawdzie kupili parę czarnych damskich baletek, ale Federico porusza się w nich z równą gracją, co pijak po lodowisku.

Valentina wysiada z samochodu i idzie do tyłu.

Zakłada, że od momentu, w którym znalazła się na ulicy, każdy jej krok jest śledzony.

Otwiera tylne drzwi i wciela się w swoją rolę.

- Spokojnie, jesteś jeszcze bardzo słaba. Pomogę ci.

Porucznik wygrzebuje się z tylnego siedzenia, garbiąc się i trzymając głowę wciśniętą między ramiona.

Valentina otacza go ramieniem jak wiekową staruszkę.

- Pójdziemy teraz do fontanny i spotkamy się z doktor Verdeti.

Federico posłusznie drepcze obok niej z bolesną świadomością, że jego chód w niczym nie przypomina kroku kobiety. Może co najwyżej iść bardzo powoli, udając słabość i ból.

Przebycie stu metrów dzielących ich od fontanny zajmuje prawie rok.

A w każdym razie tak to odczuwają.

Wiatr znowu się zrywa, przynosząc ze sobą słaby deszcz.

Valentina wykorzystuje to jako pretekst, żeby przysunąć się bliżej Federica, którego twarz znajduje się teraz między jej piersiami.

I wcale mu to nie przeszkadza.

Valentina spogląda na zegarek. Jest prawie pięć po jedenastej.

Ani śladu Louisy.

Rozgląda się wokół, przekonująco udając asystentkę szukającą szefowej w umówionym miejscu.

Bez skutku.

Każda zasadzka wywołuje skok adrenaliny. Tak samo jest i teraz. Valentina i Federico muszą użyć całej siły woli i profesjonalizmu, żeby nie zrobić nic pochopnie.

Z kościoła wyłania się grupka emerytów dyskutujących entuzjastycznie.

Valentina pociesza się świadomością, że Tom jest w środku.

Jeśli będzie go potrzebowała, na pewno przyjdzie jej z pomocą.

Mżawka stopniowo zmienia się w ulewę. Zacinający deszcz podsuwa Valentinie pewien pomysł.

- Wracajmy do samochodu, zanim przemokniesz do suchej nitki. - Obraca zdumionego Federico o sto osiemdziesiąt stopni i ciągnie za sobą w kierunku zaparkowanego fiata.

- Co ty wyprawiasz? - syczy Assante, którego głowa przyciśnięta jest do jej ramienia.

Valentina go ignoruje.

Instykt podpowiada jej, że zostali już zauważeni.

Jest przekonana, że porywacze zinterpretują jej działanie jako troskę o chorą pacjentkę.

Tym niemniej ma świadomość ryzyka. Dużego ryzyka.

Otwiera drzwi pasażera i delikatnie umieszcza opatulonego Federica na siedzeniu.

Pochyla się nad nim i szepcze:

- Głowa nisko. Poczekaj, aż znajdę się na dziedzińcu, potem odjedź i zaparkuj kilka ulic dalej.

Nie czeka na jego odpowiedź.

Zamyka drzwi, odwraca się i wyjmuję telefon komórkowy.

W oddali dostrzega jakiś ruch w pobliżu fontanny.

To nie Louisa.

Wysoki, chudy mężczyzna.

Patrzy na nią.

Valentina znajduje numer Louisy w książce.

Wybiera go i podnosi wzrok.

Mężczyzna idzie w jej kierunku.

W słuchawce rozlega się sygnał połączenia.

Valentina bierze głęboki wdech, żeby uspokoić łomotanie w klatce piersiowej, po czym rusza w kierunku wpatrującego się w nią mężczyzny.

# 95.

Telefon Louisy zaczyna dzwonić.

Fioletowa Peleryna siedzi za kierownicą terenówki zaparkowanej w uliczce sąsiadującej z bazyliką Santa Cecilia. Wyjmuje z kieszeni dzwoniący telefon i odczytuje imię na wyświetlaczu:

- Valentina?

- To moja asystentka.

Wręcza jej telefon.

- Włącz głośnik. I uważaj na to, co mówisz.

Louisa pospiesznie wciska przycisk odbioru połączenia, obawiając się, że Valentina się rozłączy, a następnie włącza tryb głośnomówiący.

- *Ciao*, Valentino. Gdzie jesteś?

- *Ciao*, pani doktor. - Valentina stara się nadać swojemu głosowi spokojny, lekko znudzony ton. - Idę do fontanny. Musiałam zabrać Annę z powrotem do samochodu. Strasznie leje, a ona nie czuje się zbyt dobrze. Bałam się, że złapie jakąś infekcję. Gdzie pani jest?

Louisa zerka na porywacza.

- W kościele - mówi bezgłośnie mężczyzna.

- Jestem w bazylice. Poczekaj na mnie przy fontannie, zaraz będę.

Fioletowa Peleryna kiwa głową.

Louisa kończy rozmowę i oddaje mu aparat.

A w każdym razie tak mu się wydaje.

Mężczyzna wsuwa telefon do kieszeni kurtki, nieświadomy, że Louisa wcale nie przerwała połączenia. Żeby tylko Valentina się nie rozłączyła.

- Co teraz? - pyta Louisa.

- Moi bracia i siostry zajmą się wszystkim. Ty masz czekać. Kiedy dostaniemy Annę, wypuszczę cię.

Louisa nagle uświadamia sobie, że popełniła błąd.

Poważny błąd.

Założyła, że do kościoła pójdzie z nią tylko Fioletowa Peleryna i jego dwóch pomagierów.

Ale teraz wie, że się pomyliła.

Peleryna wspomniał coś o siostrach. A w samochodzie nie ma żadnych kobiet oprócz niej.

Louisa wygląda przez tylną szybę.

Tuż za nimi zaparkowany jest stary land rover. Za kierownicą siedzi jakiś mężczyzna.

Louisa ukrywa twarz w dłoniach. Z pewnością drugim samochodem przyjechało jeszcze kilku członków tej sekty.

Uświadamia sobie, że naraziła Valentinę na śmiertelne niebezpieczeństwo.

I siebie również.

## 96.

Valentina orientuje się, że połączenie nie zostało przerwane.

Głos, który odezwał się po Louisie, jest zbyt przytłumiony, by mogła zrozumieć słowa, ale z pewnością należy do mężczyzny.

Nie słycać również żadnego pogłosu.

A to oznacza, że Louisa jest raczej we wnętrzu samochodu, niż w kościele.

Valentina spogląda przed siebie. Deszcz znowu przybiera na sile. Mężczyzna obok fontanny zatrzymuje się i odbiera swój telefon, nie zwracając uwagi na potoki wody lejące się z nieba i potwierdzając podejrzenia Valentiny. Zwykły przechodzień powiedziałby rozmówcy, że oddzwoni za chwilę, po czym udałby się w poszukiwaniu schronienia. Valentina słucha głosów wyłapywanych przez telefon Louisy. Nie ma wątpliwości, że człowiek, który z nią jest, rozmawia z tym przy fontannie.

Poszczególne kawałki układanki zaczynają składać się w całość.

Jeżeli Louisa jest w samochodzie, a nie w kościele, to zapewne znajduje się niedaleko. Logicznie rzecz biorąc, jeśli samochód porywaczy jest w pobliżu, to najprawdopodobniej stoi na którymś z miejsc parkingowych przy Via di San Michele dochodzącej do Piazza di Santa Cecilia. Gangi porywaczy zawsze parkują zgodnie z przepisami, starając się za wszelką cenę uniknąć zwrócenia na siebie uwagi.

Valentina zatrzymuje się w głównej bramie prowadzącej na dziedziniec bazyliki.

Musi działać szybko.

Błyskawicznie.

Mężczyzna przy fontannie kończy rozmowę i patrzy w jej kierunku.

Valentina przystaje i kończy wciąż trwające połączenie z telefonem Louisy.

Następnie dzwoni do Toma.

- Trzymają Louise w jakimś samochodzie - informuje go szybko. - Prawdopodobnie na miejscu parkingowym po prawej stronie dziedzińca. Jestem już prawie przy celu.

Rozłącza się i idzie w stronę fontanny.



Pomimo deszczu na dziedzińcu bazyliki wciąż jest pełno ludzi. Różnokolorowe parasole wyrastają wokół klombów jak egzotyczne kwiaty.

Valentina czuje nerwowy dreszcz, gdy Tom mija ją w odległości dziesięciu metrów.

Nawet nie patrzy w jej kierunku.

W jego ruchach nie ma paniki. Idzie szybkim krokiem, jak ktoś, kto chce się po prostu schować przed deszczem.

Valentina pozwala sobie na niewielki uśmiech.

Byłby z niego dobry glina.

Wysoki chudzielec znajduje się zaledwie trzy metry od niej.

Valentina unika kontaktu wzrokowego.

Ku jej zaskoczeniu, mężczyzna ją mija.

A potem zatrzymuje się i odwraca.

Dopiero wtedy Valentina uświadamia sobie, że nie jest sam.

## 97.

Tom zmusza się do opuszczenia dziedzińca i pozostawienia Valentyny samej. Wie, że jego dziewczyna jest zawodowym żołnierzem, wyszkolonym do radzenia sobie z takimi sytuacjami, ale instynkt podpowiada mu, że powinien być w pobliżu i upewnić się, że nic jej nie grozi.

Kiedy przechodzi pod sklepieniem głównej bramy na plac, przyspiesza kroku.

Skręca w prawo i wchodzi w Via di San Michele.

Jego oczom ukazuje się rząd zaparkowanych samochodów.

Przez zalane deszczem szyby nie sposób zajrzeć do środka.

Widok dodatkowo zasłaniają przechodnie z parasolami.

Z parszywej pogody korzysta facet w dredach, sprzedający tanie parasolki obok muru.

Tom płaci dziesięć euro i łapie pierwszą z brzegu.

Cena w ogóle go nie interesuje, podobnie jak to, czy zmoknie. Potrzebuje kamuflażu, żeby nie wzbudzać podejrzeń, gdy wędruje od samochodu do samochodu, przyglądając się siedzącym w środku ludziom.

Po kilkunastu metrach jego uwagę zwraca jeden samochód.

Zielony land rover.

Wyróżnia się nie dlatego, że to land rover, ale dlatego, że wszystkie szyby są zaparowane.

Na przedniej widać szparę, przetartą dłonią kierowcy.

Z tym, że na tej ulicy tak naprawdę nie ma czego oglądać.

Tom składa parasol i podchodzi do drzwi kierowcy.

Puka w szybę, która opuszcza się o mniej więcej jedną trzecią.

Tom pochyla się i odzywa po angielsku do dwudziestoparoletniego mężczyzny o ponurej twarzy:

- Przepraszam bardzo, ale przed chwilą zamknąłem sobie kluczyki w samochodzie. Kretyn ze mnie, nie? Mógłby mi pan może pożyczyć telefon? Chciałbym zadzwonić do żony, żeby przywiozła mi zapasowe.

Mężczyzna patrzy na niego spode łba.

- Nie mógłbym.

Na pogrążonym w półmroku tylnym siedzeniu Tom dostrzega sylwetkę drugiego mężczyzny, który szarpie się z czymś, co trzyma na kolanach.

Szyba się zamyka.

Tom wali w nią pięścią.

- Hej, bądź człowiekiem! Jestem cały mokry!

Szyba ponownie się opuszcza.

Ze środka wysuwa się lufa pistoletu.

- Powiedziałem „nie”! A teraz się odpierdol.

## 98.

Chudy mężczyzna w prochowcu uśmiecha się do Valentyny.

- Czekają pani na kogoś?

Jest równie czarujący, co dziesiątki innych frajerów, którzy bezskutecznie usiłowali ją podrywać w przeszłości.

- Tak, na szefową. - Valentina strząsa z płaszcza krople deszczu. - I mam nadzieję, że raczy się pospieszyć.

Prochowiec podchodzi bliżej i przez materiał płaszcza przyciska do jej biodra lufę pistoletu.

- Nie ruszaj się i ani słowa - mówi przyciszonym głosem, w którym nie ma już śladu po flircie. - Jeśli nie posłuchasz, temu kościołowi przybędzie jeszcze jedna męczenniczka. - Mężczyzna patrzy jej w oczy. Gdy dostrzega w nich strach i uległość, dodaje: - Gdzie jest Anna?

Valentina przekonująco udaje przerażoną:

- O Boże, niech mi pan nie robi krzywdy, błagam...

- Nie chcę cię skrzywdzić - odpowiada mężczyzna, dociskając lufę do jej boku. - Gdzie jest Anna? Miała być z tobą.

Valentina drżącą ręką pokazuje mu bramę na końcu dziedzińca.

- Zabrałam ją do samochodu, bo zaczęło padać. Jest chora. Gdzie jest doktor Verdetti?

Prochowiec ignoruje ją i rozgląda się.

- Błagam, niech mi pan nie robi krzywdy, ja nic złego nie zrobiłam.

Pistolet wpija się w jej biodro.

- Ciszej! Jaki masz samochód i gdzie zaparkowałaś?

Valentina wbija wzrok w chodnik, udając, że jest zbyt przestraszona, by na niego spojrzeć.

- Niebieskiego fiata punto. Zaparkowałam niedaleko... eee... zaraz za bramą, na placu - mówi, patrząc cały czas w ziemię. Tuż obok niej pojawiają się dwie pary męskich stóp.

- Idźcie po nią - nakazuje Prochowiec. - Tylko szybko.

Stopy znikają.

Mężczyzna popycha Valentinę.

- Wejdziemy do kościoła i zaczekamy. - Prochowiec przesuwa się, stając z nią twarzą w twarz. - Nie chciałbym, żebyś przemokła i zmarzła.

Jego dłoń prześlizguje się po jej swetrze i chwyta ją za nadgarstek.

Jego dotyk napawa ją wstrętem.

Valentina musi zwalczyć w sobie chęć uderzenia kolanem w jego krocze tak mocno, żeby jądra wyskoczyły mu ustami.

Mężczyzna wyjmuje pistolet z kieszeni i opiera go o brzuch Valentyny. Rękojeść wpija się w jej przeponę.

Przybliża twarz do jej twarzy. Z daleka ktoś mógłby uznać ich za parę całujących się kochanków.

- Mój mały przyjaciel bardzo chciałby znaleźć się w twoim wnętrzu - szepcze jej do ucha, przesuując chłodną lufę po jej skórze. - Nie dziwię mu się.

Valentina bierze głęboki wdech.

Prochowiec interpretuje to jako oznakę strachu.

- Nie ma się czego bać. Jeśli zrobisz dokładnie to, co ci powiem, za dwadzieścia minut to wszystko stanie się tylko złym wspomnieniem.

# 99.

Tom Shaman nie po raz pierwszy w życiu widzi lufę pistoletu.

Kiedyś pewien młodociany gangster wyciągnął uzi w jego kościele w Los Angeles i obrabował wszystkich wiernych. Dzieciak był naćpany metaamfetaminą i skończył zastrzelony na schodach przez starszego członka gangu, który przyszedł odebrać swoją matkę po mszy.

Lata spędzone wśród bandziorów w Compton nauczyły Toma, że uzbrojeni napastnicy dzielą się na dwie grupy: strzelców, którzy wyciągają broń tylko wtedy, kiedy zamierzają jej użyć, oraz pozerów, którzy chętnie grożą innym bronią, ale nigdy w życiu nie pociągnęli za spust.

Tom dochodzi do wniosku, że człowiek, który do niego celuje, nie jest strzelcem.

Choć to tylko przypuszczenie.

Dość ryzykowne zresztą.

- Ej, człowieku! - Tom podnosi ręce do góry. - Nie szukam kłopotów, po prostu potrzebuję pomocy. - Wycofuje się powoli, nie opuszczając rąk. - Kurde, nikt mnie nie ostrzegął, że w Rzymie dzieją się takie historie.

Tom nie wraca na chodnik, ale obchodzi samochód dookoła.

Wie, że człowiek z pistoletem obserwuje go przez boczne lusterko, ale stwierdza, że to nie ma większego znaczenia. Musiałby mieć stawy z gumy, żeby móc strzelić przez lewe ramię z pistoletu trzymanego prawą ręką.

Tom wie również, że jeśli ma mu się udać, musi działać szybko.

I działa.

Lewą ręką otwiera drzwi, robi pół kroku do przodu i uderza kierowcę łokciem w twarz. Następnie łapie go za rękę, w której tamten trzyma broń, i uderza nią kilka razy o kierownicę.

Wrzask informuje go, że udało mu się złamać kierowcy nadgarstek.

Wtedy wkracza mężczyzna z tylnego siedzenia.

Rzuca się do przodu, usiłując wyprowadzić cios.

Tom łapie leżący na kolanach kierowcy pistolet i strzela w dach samochodu.

Strzały robią na ludziach szczególne wrażenie. Zwłaszcza w zamkniętej przestrzeni.

Louisa tymczasem otwiera tylne drzwi i rzuca się do ucieczki.

Mężczyzna z tylnego siedzenia wygrzebuje się z samochodu i wyciąga broń.

Obaj wpatrują się w lufy pistoletu przeciwnika.

W oddali Tom dostrzega biegnącą Louise.

# 100.

Valentina nie łudzi się, że przebywanie we wnętrzu kościoła oznacza, że jest bezpieczna.

Jeśli tamta sprawa w Wenecji czegoś ją nauczyła, to tego, że dla kryminalistów i zabójców kościoły w żadnym razie nie są święte.

Mężczyzna w czarnym prochowcu wpycha ją do jednej z ław i siada obok.

- Uklęknij i zacznij się modlić. Nie rób nic głupiego.

Valentina posłusznie klęka.

Składa dłonie i pochyla głowę. Wygląda teraz równie pobożnie, co inni dobrzy katolicy w sąsiednich ławach.

Chociaż myśli o czymś zupełnie innym niż oni.

Pomocnicy człowieka w prochowcu z pewnością zorientowali się już, że na placu nie ma żadnego samochodu z czekającą w środku Anną. Tom na pewno dowiedział się już, czy Louisa i jej porywacze znajdują się w samochodzie za rogiem.

Przez chwilę Valentina robi to, co inni ludzie w kościele: modli się. Modli się, żeby Tomowi nic się nie stało i żeby Louisa wciąż żyła.

Modli się w kościele po raz pierwszy od śmierci swojego kuzyna.

Telefon w kieszeni prochowca zaczyna dzwonić.

Mężczyzna szybko odbiera.

Valentina wie, że w tym celu musiał puścić rękojeść pistoletu.

Najwyższy czas przestać liczyć na łaskę Pana Boga i zrobić to, do czego ją szkolono.

Składa dłonie za głowę mężczyzny i uderza jego twarzą o krawędź drewnianej ławy.

Wszystkie oczy w bazylice kierują się na nią.

Valentina zerka na leżące przed nią ciało. Opiera stopę o szyję mężczyzny. Dzięki temu zauważy, jeśli facet się poruszy.

- Jestem z policji - oznajmia głośno. - Proszę natychmiast opuścić kościół.

Nikt się nie rusza.

Valentina pochyla się i z kieszeni płaszcza mężczyzny wyjmuje pistolet - stary model



glocka z laserowym celownikiem Crimson Trace.

Podnosi broń do góry.

- Powiedziałam, że jestem z policji. Proszę natychmiast wyjść, zanim ktoś przypadkiem oberwie!

Wszyscy jak na komendę rzucają się do wyjścia. Bazylika opróżnia się w kilkanaście sekund.

Kilka osób zostało. Valentina nie zwraca na nich uwagi.

Ława jest zachłapana krwią. Valentina po raz pierwszy zastanawia się, czy leżący w niej mężczyzna jest tylko nieprzytomny, czy martwy.

# 101.

Przechodząca ulicą kobieta krzyczy histerycznie.

Mężczyzna celujący do Toma na ułamek sekundy zerka w lewo.

Tom właśnie na to czekał.

Wymierza celne kopnięcie w żołądek przeciwnika i poprawia potężnym prawym sierpowym w szczękę.

Jakimś cudem mężczyzna wciąż utrzymuje się na nogach.

I wciąż trzyma broń.

Tom uderza go lewym prostym, a następnie prawą ręką wymierza dwa ciosy jeden po drugim.

Mężczyzna w końcu pada.

Zwala się na ziemię jak telewizor upuszczony z piątego piętra.

Pistolet ze stukotem wypada z jego dłoni.

Silnik terenówki włącza się z rykiem.

Najwyraźniej kierowca oprzytomniał.

Tom się odwraca.

To jego pierwszy błąd.

Łapie za klamkę zamkniętych drzwi od strony kierowcy, ale nie jest w stanie otworzyć.

Kierowca musiał włączyć centralną blokadę.

Raz jeszcze ciągnie za klamkę. Land rover z impetem wyjeżdża na ulicę.

I to jest jego drugi błąd.

Nie zauważył mężczyzny wysiadającego z podobnego samochodu, zaparkowanego kilka metrów dalej.

Prawe ramię Toma eksploduje bólem.

Zaraz potem pojawia się ból w lewym kolanie.

Tom upada twarzą na asfalt.

Instynktownie udaje mu się przeturlać kawałek dalej.

Jeszcze w liceum nauczył się pierwszej zasady ulicznych bijatyk: cały czas pozostawać w ruchu. Stanie w miejscu w takiej sytuacji zawsze źle się kończy.

Teraz dostrzega źródło bólu.

Kij bejsbolowy rozbryzguje wodę w kałuży kilka centymetrów od jego głowy.

Tom chwytą kij ręką, ale wtedy w prawym ramieniu ponownie pojawia się potworny ból.

Uderzenie kija musiało coś przetrzącić.

Nie może utrzymać chwytu.

Drewno wyslizguje się z jego palców.

Napastnik bierze zamach i uderza Toma w żebra.

Tom znowu próbuje się przetoczyć.

Człowiek z kijem robi krok w lewo, podnosi broń i bierze kolejny zamach, po którym z głowy Toma zostałyby mokra plama.

Tylko że cios nie dochodzi celu.

Napastnik nieruchomieje.

Jego klatkę piersiową rozrywa ostry ból. Jakby ktoś wbił mu nóż w serce.

I to nie jest złudzenie.

Ręka Giulia Brygusa Angelisa jest wyprostowana. Jego palce skierowane są dokładnie w ten punkt na plecach człowieka z kijem, w którym utkwiał rzucony sztylet.

# 102.

Oddział szybkiego reagowania *carabinieri* i *Polizia Municipale* zjawiają się w bazylice w odstępie kilkunastu sekund.

Do obu formacji dotarły zgłoszenia alarmowe po tym, jak Tom strzelił w dach samochodu. Zarówno żandarmeria, jak i policja otrzymały też zgłoszenia o uzbrojonej kobiecie w kościele podającej się za policjantkę.

Giulio przyklęka obok leżącego Toma.

- Musimy się stąd zbierać. Możesz iść?

Tom dopiero po chwili uświadamia sobie, że miłosierny samarytanin, który przed chwilą ocalił mu życie, to ten sam człowiek, z którym walczył w mieszkaniu Anny Fratelli.

Na usta cisną mu się dziesiątki pytań, ale wie, że nie ma czasu na zadanie nawet jednego.

- Pomóż mi się podnieść - wyciąga lewą rękę.

Giulio potrzebuje obu rąk, żeby dźwignąć Toma na nogi. Zerka na ciało mężczyzny ze sztyłem wbitym w plecy. Jeśli wyciągnie ostrze, tamten umrze, ale jeśli go zostawi, utraci bezcenny artefakt sprzed dwóch tysięcy lat. Na którym w dodatku są jego odciski palców.

Postanawia go zostawić.

Odwraca się do Toma.

- Chodź ze mną albo oskarżą cię o współudział w zabójstwie.

Tom kuśtyka za szczupłą postacią, która znika za rogiem Via di San Michele.

Policyjne syreny i gwizdki towarzyszą mu, gdy zagłębia się w labirynt wąskich uliczek odchodzących od bazyliki.

Boli go ramię, noga i zebra. Ale nie ma wyboru, musi biec za Giuliem, który kluczy w gąszczu uliczek i zaułków, o których wiedzą tylko nieliczni miejscowi.

- Tędy!

Tom nie ma pojęcia, którędy. Zatrzymuje się przy jakiejś poręczy, żeby złapać oddech.

- Tutaj!

Wołanie dobiega z dołu.

Tom przerzuca prawą nogę nad metalowym płotem odgradzającym teren, który wygląda jak jedno z licznych stanowisk archeologicznych w Rzymie.

Za płotem znajduje się stromy uskok.

Tom wie, że nie ma czasu na szukanie bezpieczniejszej drogi.

Skacze.

Lewa noga ugina się pod impetem uderzenia. Tom upada na zmasakrowane kijem bejsbolowym prawe ramię.

Giulio nie zwraca na niego uwagi.

Całym ciężarem ciała napiera na czarny mur znajdujący się dokładnie pod barierką, stękając z wysiłku.

Ale nic się nie dzieje.

Odwraca się plecami do muru, zapiera nogami i ponownie pcha z całej siły.

Jego stopy ślizgają się na żwirowym podłożu.

Tom obserwuje go ze zdumieniem.

Wąski fragment muru odsuwa się, odsłaniając wejście.

# 103.

Valentina trzyma lufę wycelowaną w ciało leżące u jej stóp.

Ten palant, kimkolwiek jest, stanowi klucz do zagadki zaburzeń Anny Fratelli, odciętej dłoni i morderstwa nad Tybrem.

Już nie może się doczekać, aż odzyska przytomność.

W bazylice jest cicho.

Zbyt cicho.

Puste kościoły przyprawiały ją o dreszcze już w dzieciństwie, a ten z pewnością kwalifikuje się do pierwszej trójki najbardziej przerażających.

Valentina ogląda się przez ramię.

Widzi dwoje ludzi.

Kobietę i mężczyznę.

Idą w jej kierunku. Mężczyzna celuje z pistoletu w jej głowę.

Valentina zachowuje zimną krew.

Mężczyzna jest drobnej postury i wygląda na starszego od swojej towarzyszki. Dużo starszego. Prawdopodobnie w okolicach sześćdziesiątki.

- Podnieś ręce i wyjdź z ławy - odzywa się, pokazując lufą miejsce.

- Nie - odpowiada chłodno Valentina, patrząc mu prosto w bladoniebieskie oczy.

- Ręce do góry!

Valentina postanawia zaryzykować.

- Nie mam najmniejszego zamiaru. - Odwraca wzrok i wpatruje się w lufę swojego glocka wycelowaną w ciało Prochowca. - Będziesz musiał mnie zastrzelić.

Pistolet w ręku starszego mężczyzny podskakuje.

Z lufy wydobywa się błysk gazów wylotowych. Grzmot wystrzału przetacza się po pustym kościele.

Serce Valentiny prawie eksploduje.

Postawiła na złą kartę.

Nie czuje bólu, ale pamięta ze szkoleń, że adrenalina i szok znieczulają. Na chwilę.

Wciąż nic.

Teraz ma pewność, że strzał był tylko ostrzeżeniem.

Valentina zamierza się podporządkować poleceniom.

Jeśli ten facet jest gotowy strzelać w kościele, to znaczy, że jest zdesperowany. A zdesperowani ludzie często zabijają, nawet jeśli z początku nie mieli takiego zamiaru.

W ławach w pobliżu wyjścia zauważa dwie kolejne postacie.

Mężczyźni.

Młodszy od Strzelca, prawdopodobnie w tym samym wieku co Prochowiec.

- Rzuć to! Rzuć broń! - Starszy mężczyzna wymachuje pistoletem, zbliżając się do niej szybkim krokiem. - Już!

Valentina wypuszcza glocka z ręki.

Stukot metalowego korpusu o posadzkę jest dla nich sygnałem do ataku. Strzelec, jego towarzyszka i tamtych dwóch przy wyjściu rzucają się na nią.

Czyjaś ręka zaciska się mocno na jej szyi i pochyla jej głowę nad ławką.

Na skroni czuje zimny metal lufy.

Za sobą słyszy po raz pierwszy głos kobiety. Zdenerwowany i drżący:

- Co z nim? Oddycha?

Następuje ruch wokół ciała Prochowca. Valentina domyśla się, że próbują go reanimować.

- Attisie, słyszysz nas? - Ktoś uderza nieprzytomnego mężczyznę w twarz. - Attisie, zbudź się!

Valentina zwraca uwagę na imię. Jest pewna, że słyszała je już kiedyś od Toma. W końcu sobie przypomina. Attis był niewiernym kochankiem bogini Kybele, która doprowadziła go do obłądzenia, wskutek czego sam się wykastrował. Gdyby Valentina miała okazję, z przyjemnością sama odciąłaby Prochowcowi jaja i wepchnęła je Strzelcowi w pysk.

Na razie jednak może tylko słuchać w nadziei, że uda się jej czegoś dowiedzieć.

- Nic mu nie jest. Budzi się. Podnieście go - instruuje Strzelec.

- No już, Attisie, wstawaj - mówi kobiecie głos. Starszy. Przyzwyczajony do wydawania poleceń.

- Którędy? - kolejna kobieta.

- Nie mamy wyboru - odpowiada starsza. - Musimy pójść przez kryptę.

- A co z nią? - pyta młodsza.

Cisza.

- Zabierzemy ją ze sobą. Policzymy się z nią później.



# 104.

Snajperzy żandarmerii, uzbrojeni w karabiny wyborowe Mauser SP66, zajmują pozycje na dachach wokół dziedzińca bazyliki Santa Cecilia.

Żołnierze szybko wyprowadzają turystów i miejscowych gapiów z terenu kościoła i placu.

Nad bazyliką krąży charakterystyczny kształt śmigłowca Agusta-Bell 412 CRESCO wyposażonego w nowoczesne kamery wideo, obiektywy podczerwieni, podwójny radar i zaawansowane czujniki ciepła. Załoga helikoptera jest w stanie wyśledzić każdego, kto spróbuje uciec z terenu bazyliki. Obserwują sanitariuszy układających rannego mężczyznę na noszach i niosących go do ambulansu, który z rykiem syreny znika za rogiem.

Z zaparkowanych w zaułkach Zatybrza policyjnych land roverów defenderów wysypują się funkcjonariusze i przygotowują obławę.

Nikt się nie wymknie.

Publiczne walki na noże i strzelaniny w kościołach nie są w Rzymie mile widziane, o czym niebawem boleśnie przekona się paru idiotów.

W wozie dowodzenia major Lorenzo Silvestri, dowódca oddziału antyterrorystycznego GIS - *Gruppo di Intervento Speciale* - przyjmuje meldunki od swoich podwładnych, po czym spokojnym głosem wydaje rozkaz rozpoczęcia operacji.

Jego ekipa to śmietanka żandarmerii, komandosi wyszkoleni do operacji specjalnych, zwłaszcza odbijania zakładników, uprowadzonych środków transportu i zwalczania terroryzmu.

Błyskawicznie zajmują pozycję.

Wpadają do kościoła w chmurze gazu łzawiącego trzema oknami i dwoma wytypowanymi wejściami bocznymi.

Żołnierze Lorenza poruszają się jak idealnie zsynchronizowany mechanizm. Omiatają nawy kościoła lufami pistoletów maszynowych Heckler & Koch MP5 i Beretta.

Po niecałych dwóch minutach meldują, że główna nawa, boczne pomieszczenia i galerie bazyliki są czyste.

Światło we wnętrzu zostaje odcięte.

Żołnierze zakładają gogle noktowizyjne i bezgłośnie przemieszczają się do tak zwanej czarnej strefy.

Lorenzo dobrze zna kryptę w kościele Santa Cecilia, pyszniącą się feerią kolorów na ścianach, spektakularnymi rzeźbami i niezliczonymi marmurowymi filarami, tworzącymi mozaikę malowniczych łuków.

Ale tego na kamerze podczerwonej nie widać.

Można tylko zobaczyć jasne sylwetki żołnierzy i rozmyte tło.

Lorenzo się żegna i modli się w duchu, żeby nikt nie otworzył tam ognia. Strzelanina skończyłaby się masakrą.

Weteran Specjalnej Grupy Operacyjnej żandarmerii - *Raggruppamento Operativo Speciale* - zerka na zegarek. Minęły trzy minuty.

Rozlega się trzask radia.

- Czysto! - melduje jeden z jego żołnierzy.

- Czysto! - potwierdza kolejny.

- Czysto! - spływa ostatni meldunek.

Kościół jest pusty.

Zajrzeli w każdy kąt, pod każdą ławkę i do każdego konfesjonału i nie znaleźli nikogo.

Lorenzo opiera się na fotelu i prostuje nogi.

Gdzie, do cholery, podziali się ci dranie?

Musi to sprawdzić osobiście.

Opuszcza ciepłe wnętrze wozu dowodzenia. Walcząc z zacinającym deszczem, idzie przez plac.

Wchodzi na dziedziniec, zadając sobie pytanie, czy cała operacja była konieczna.

Czy przypadkiem ktoś tu nie wpadł w histerię bez powodu.

Może w kościele usłyszano strzał z rury wydechowej jakiejś ciężarówki i stąd panika.

Po chwili jednak odrzuca tę hipotezę.

Strzelająca rura wydechowa nie wyjaśnia zadźganego mężczyzny i zeznań naocznych świadków, którzy słyszeli w kościele strzały i widzieli kobietę podającą się za policjantkę.

Ale to go nie satysfakcjonuje.

Ani *carabinieri*, ani *polizia* nie są w stanie potwierdzić, że któraś z ich funkcjonariuszek

była w kościele albo nawet pełniła służbę w okolicach budynku.

Czy to oznacza, że ta kobieta należała do przestępców?

Lorenzo nie wyklucza takiej możliwości.

Kryminaliści od dawna wiedzą, że podawanie się za policjanta to najlepszy sposób na szybkie opróżnienie budynku. Ludzie widzą pistolet i czują ulgę, gdy dowiadują się, że trzyma go przedstawiciel organów ścigania, więc posłusznie wykonują wszystkie polecenia.

Wchodząc do bazyliki, major żegna się i pochyla głowę.

To jego kościół.

Przychodzi tu na msze z żoną i dziećmi. I jest wściekły, że musi do niego wejść w kamizelce kuloodpornej i z pistoletem przy pasie.

Po lewej stronie, mniej więcej w jednej trzeciej odległości od wejścia, zauważa poprzesuwane ławki.

Dwie ustawiono w kształcie litery V.

Pomiędzy nimi znajduje się kałuża krwi.

Najbardziej wysunięta ławka jest zachlapana na czerwono.

Lorenzo widywał już ludzi mdlejących w kościele. To się dość często zdarza. Tylko że zwykle kończy się na siniakach i guzie, a nie krwotoku godnym hemofilika w fabryce żyletek.

Radio znowu trzeszczy.

- Silvestri - odpowiada Lorenzo, rzucając przeproszające spojrzenie w kierunku ołtarza.

Po drugiej stronie zgłasza się jeden z poruczników, przekrzykując tłum i klaksony:

- Panie majorze, mamy na zewnątrz człowieka, który chyba wie, o co w tym wszystkim chodzi.

Lorenzo spogląda na potężny krucyfiks ponad ołtarzem.

- Dzięki Ci, Panie. Już się bałem, że mnie opuściłeś.

# 105.

Zasłaniają Valentinie oczy.

Nie bawią się przy tym w żadne subtelności. Nie zakładają jej na głowę żadnego worka ani przepaski na oczy. Po prostu narzucają na nią płaszcz i zawiązują go wokół jej szyi paskiem.

Dla profesjonalistki, jaką jest Valentina, takie posunięcie stanowi kopalnię wskazówek.

Po pierwsze, wygląda na to, że bardziej przejmują się tym, żeby Valentina nie zobaczyła, dokąd ją zabierają, niż faktem, że zdążyła dokładnie przyjrzeć się ich twarzom i mogłaby ich zidentyfikować.

Valentina nie jest pewna, czy to dobry znak.

Ma nadzieję, że są naprawdę tak niezorganizowani, na jakich wyglądają. Że improwizują, a nie działają według z góry ustalonego planu.

Ale będzie źle - bardzo źle - jeśli okaże się, że nie są takimi zupełnymi amatorami. Jeśli dojdą do wniosku, że po wyciągnięciu od niej informacji na temat Anny lepiej będzie ją zabić, niż puścić wolno.

Ta myśl przyprawia ją o dreszcz.

Pociesza ją tylko jedno - na razie chcą ją mieć żywą.

A to znaczy, że Valentina ma trochę czasu.

Niewiele, ale wystarczająco, żeby pomyśleć. Żeby ich przechytryć. Żeby uciec.

Narzucony na głowę płaszcz skutecznie uniemożliwia jej zobaczenie czegokolwiek, ale pozostałe zmysły pracują na zwiększonych obrotach.

Sprowadzili ją po schodach do krypty, potem jeszcze kawałek. Następnie zatrzymali się w miejscu, obrócili ją i przeszli przez jakieś drzwi.

Valentina zapamiętuje każdy krok.

Pozostałe zmysły pozwolą jej dokładnie odtworzyć trasę, jeśli będzie musiała. Jeśli będzie miała szansę.

Powietrze robi się chłodniejsze.

Ma też inny zapach. Valentina nie czuje już wosku ze świec i pasty do posadzek. Wokół

niej unosi się woń czegoś innego.

Czegoś bardziej naturalnego.

Wilgoć.

Metaliczny zapach wilgoci i zwierzęcych odchodów, prawdopodobnie myszy i szczurów.

Ktoś łapie ją za ramiona, obraca i prowadzi przed sobą.

Schodzą po czterech szerokich stopniach.

Schody skręcają następnie w lewo, potem w prawo, a potem znów wiodą prosto.

Puszczają ramiona Valentyny, która czuje pod stopami płaską powierzchnię.

Zakręty trochę zaburzyły jej poczucie równowagi. Wyciąga przed siebie rękę, żeby się nie przewrócić.

Pod palcami czuje skałę.

Nie ma wątpliwości, że to skała.

Powierzchnia jest szorstka, twarda i nierówna. W niczym nie przypomina tynkowanej lub marmurowej ściany kościoła.

Valentina pociera kciukiem o palec wskazujący.

Skóra kciuka jest mokra i śliska.

Na skalnej ścianie jest wilgoć.

Domyśla się, że prowadzą ją jakimś podziemnym przejściem. Zapewne starożytnym korytarzem, którym księża lub zakonnice z pobliskiego klasztoru uciekali przed prześladowcami.

Chociaż przejście równie dobrze może być czymś zupełnie innym.

Przypominają jej się słowa Toma o przedchrześcijańskich kultach, wykastrowanych wyznawcach Kybele i Attisa, ceremoniach i rytuałach składania ofiar z ludzi.

Czyżby uprowadzili ją wyznawcy jednego z tych kultów?

Przypomina jej się również napis na ścianie kościoła SACRO CUORE DEL SUFFRAGIO - DOMINA. DOMINUS. TEMPLUM. LIBERA NOS A MALO. Władca. Władczyni. Świątynia. Zbaw nas ode złego.

Czy to tam ją zabierają? Do świątyni?

Valentina uświadamia sobie, że nie jest zakneblowana.

Chociaż wołałaby być.

Najwyraźniej porywacze nie obawiają się, że może zacząć krzyczeć lub wzywać pomocy. A to nie jest dobry znak.

Może to dlatego, że wciąż trzymają ją na muszce. Co pewien czas czuje dźgnięcie lufy pistoletu i towarzyszący mu rozkaz, żeby szła szybciej. A może dlatego, że zeszli już tak głęboko pod ziemię, że i tak nikt nie usłyszałby jej krzyku?

Valentina uznaje, że raczej to drugie.

Wie, że są bardzo głęboko pod bazyliką Santa Cecilia, którą w tej chwili zapewne przeczesują jej koledzy z żandarmerii.

Ale na tym jej wiedza się kończy.

I to przeraża ją najbardziej.

# 106.

Lorenzo Silvestri przypala papierosa porucznikowi Assante.

Federico nie jest w stanie sam tego zrobić. Za bardzo mu się trzęsą ręce.

Nie przeraziła go strzelanina, zabity nożem mężczyzna, inwazja żandarmerii ani nawet konieczność wytłumaczenia, co właściwie robili z Valentiną w tym kościele.

Boi się, że Valentina nie żyje.

Przeraza go myśl, że źle zrozumiał jej polecenia, co w rezultacie kosztowało ją życie.

- Niech mi pan wyjaśni, poruczniku - mówi Lorenzo, dowiedziawszy się przez telefon, że Federico i kapitan Morassi zostali zawieszeni i powinni w tej chwili siedzieć grzecznie w domu przed telewizorem - co pan i kapitan Morassi robiliście w Santa Cecilia?

- Pracowaliśmy nad sprawą dotyczącą chorej psychicznie kobiety Anny Fratelli - wyjaśnia Federico. - Aresztowano ją w związku z brutalnym incydentem w Cosmedinie. W toku śledztwa, które przeprowadziliśmy na podstawie jej zeznań, nad brzegiem Tybru znaleźliśmy zmasakrowane ciało mężczyzny.

Lorenzo domyśla się, że ta historia będzie dość skomplikowana.

- Chwileczkę! - Z kieszeni na udzie wojskowych spodni wyjmuje mały notes i długopis. - Proszę kontynuować.

- Anna Fratelli zmarła wczoraj wieczorem w szpitalu. Lekarka, która się nią zajmowała, Louisa Verdetti, zadzwoniła do kapitan Morassi. To była bardzo dziwna rozmowa. Valentina domyśliła się, że Verdetti jest przetrzymywana jako zakładniczka przez kogoś, kto chce wykraść Annę z oddziału psychiatrycznego.

Na usta majora ciśnie się tuzin pytań.

- Będzie mi pan musiał sporo wyjaśnić, poruczniku. Przede wszystkim kto, co i dlaczego. Ale najpierw proszę mi powiedzieć, czy mówimy tu o kimś, kto chciał wykraść ze szpitala ciało Anny Fratelli, czy porwać ją, ponieważ myślał, że Anna wciąż żyje?

- To drugie.

- Dobra. Pytanie drugie: po co ta lekarka... - Zerka w notatki. - Verdetti zadzwoniła do

pańskiej przełożonej? Przyjaźnią się?

Federico kręci głową.

- Nie. Wręcz przeciwnie. To przez Verdetti zostaliśmy zawieszoni. Złożyła do naszego dowódcy skargę, że za bardzo naciskaliśmy na Annę podczas przesłuchań i pogorszyliśmy jej stan.

- A naciskaliście?

Federico waha się chwilę przed odpowiedzią.

- Nie, panie majorze. Nie wydaje mi się.

- Proszę wyjaśnić mi jeszcze coś, poruczniku. Moi ludzie sprawdzili dyspozycje z centrali i nie znaleźli żadnej wzmianki o tym, że pan i kapitan Morassi podejmujecie próbę odbicia tej lekarki. Zgłaszaliście to w ogóle?

- Nie, panie majorze.

- Dlaczego?

- Panie majorze, jeszcze zanim nas zawieszono, kapitan Morassi miała na pieńku z naszym dowódcą, majorem Caesario.

Lorenzo zaczyna rozumieć.

- Czy miała na pieńku, czy nie, powinniście byli to zgłosić. Wiem, jaki jest Caesario, ale to nie zwalnia was z obowiązku działania zgodnie z przepisami.

- Tak jest, panie majorze - odpowiada ze skruchą Federico.

Lorenzo przerywa mu gestem. Odbiera meldunek przez radio.

- *Grazie* - mówi do mikrofonu, po czym ponownie patrzy na Federica. - Moi ludzie właśnie znaleźli doktor Verdetti. Przerazoną jak wszyscy diabli, ale całą i zdrową.



# 107.

Giulio kładzie dłoń na ramieniu Toma.

- Przytrzymaj się mnie. Musimy przejść jeszcze kawałek, zanim będę mógł zapalić światło.

Tom chwyta się jego kurtki i pozwala mu poprowadzić się w ciemność.

- Schodzimy dwa stopnie w dół. Uważaj na nogę.

- Dzięki. - Tom nie widzi nawet czubka własnego nosa, nie wspominając już o nodze, ale docenia jego troskę.

Po kilkunastu kolejnych stopniach Giulio się zatrzymuje.

- Poczekaj chwilę, muszę coś znaleźć.

W smolistym mroku rozlega się chrobot pocieranej zapałki. Dopiero po kilku próbach pojawia się pomarańczowy płomień.

W słabym świetle Tom widzi w ręku Giulia parafinową lampę.

Rozpalający się coraz mocniej w przykurzonym kloszu płomyk stopniowo rozświetla pomieszczenie.

Ściany są wykonane z kamienia.

Nie ma żadnych mebli.

Na nagich ścianach nie wiszą żadne ozdoby.

Za podłogę robi ziemia ubita ze żwirem.

Tom nie widzi stropu, ale jest przekonany, że przy jego szczęściu za chwilę zwali im się na głowy.

Giulio najwyraźniej czyta w jego myślach.

- Bez obaw, nie zawali się. To miejsce istnieje od dwóch tysięcy lat, przetrwa jeszcze dwadzieścia minut.

- Gdzie my jesteśmy?

Giulio kuca przy lampie i ogrzewa dłonie nad płomieniem.

- W starym domu. Są tu dwa pokoje. Jeden służy jako kuchnia i jadalnia, drugi jako

sypialnia.

- Czy to jest fragment wykopalisk?

- Wkrótce będzie. Archeolodzy chwilowo skupiają się na identyfikowaniu przedmiotów, które już znaleźli, i na razie nie mają ochoty kopać głębiej.

Tom ma wrażenie, że Giulio wie znacznie więcej, niż mógłby przypuszczać.

- Znasz dużo takich miejsc? Ukrytych przejść pod miastem?

- Większość dzieciaków w Rzymie je zna - odpowiada Giulio ze śmiechem. - To miasto stoi na tysiącach budynków i przejść zakopanych pod piachem. Wystarczy zacząć kopać.

Tom siada na ziemi i opiera się plecami o kamienną ścianę. Kolano pulsuje bólem. Kopnięcie odnowiło starą kontuzję.

Giulio przygląda się jego nodze.

- Co ci się stało?

- Mam z nim problem od lat. Od czasu do czasu się blokuje, jeśli ktoś w nie przyłoży albo źle stanę. Byłem u lekarza w Paryżu. Powiedział mi, że mam tam kompletne złomowisko.

Giulio uśmiecha się współczująco.

- Potrzebujesz artroskopii.

- Nie, dziękuję. - Tom prostuje prawą rękę i się krzywi.

- Z ramieniem jest gorsza sprawa. Obawiam się, że tamten gość z kijem coś mi przetrącił.

- Pozwól, że zobaczę. - Giulio przyklęka przed nim.

- Powiedz mi, kiedy cię zaboli. - Przesuwa palcami od ramienia do szyi Toma, który wykrzywia się z bólu.

- Auu! Trafiłeś.

Giulio wsuwa drugą rękę pod koszulę Toma.

- Wyczuwam potężnego krwiaka, a nie dotknąłem nawet kości.

- Więc nie dotykaj - burczy Tom.

Giulio go ignoruje.

- Masz pęknięty obojczyk. Nerwy chyba nie są uszkodzone, przynajmniej twoja reakcja na to nie wskazuje. Kiedy stąd wyjdziemy, dam ci coś na ból i zrobimy ci temblak. Na pękniętą kość obojczykową nie ma cudownego lekarstwa, musi się sama zrosnąć.

- Imponująca diagnoza. Jesteś lekarzem?

Giulio się uśmiecha.

- Powiedzmy, że sporo wiem o ludzkiej anatomii.

Tom kładzie się płasko na ziemi.

Od razu czuje się lepiej, mogąc wyprostować kręgosłup i barki.

W myślach sporządza listę miejsc, które go bolą, i uświadamia sobie, że minie co najmniej tydzień, zanim dojdzie do siebie po łomocie, jaki spuścił mu facet z kijem.

- Musisz mi opowiedzieć - mówi, wpatrując się w cienie tańczące na ścianie.

- O czym?

- O wszystkim. Musisz opowiedzieć mi całą historię. Zaczynaj od swojego związku z Anną. A na koniec wyjaśnij mi, dlaczego znalazłeś się w kościele Santa Cecilia dokładnie w tym samym momencie, co my.

# 108.

Czarny szczur zagłęda do podziemnej jaskini i zatrzymuje się w pół kroku.

Przyciągnęło go światło, ciepło i zapach parafiny.

Guzikowatymi oczkami spoględa na Toma i Giulia, po czym znika w ciemnościach.

Żaden z nich nie komentuje.

Są pochłonięci ważniejszymi sprawami.

- Sam nie wiem, od czego zacząć - mówi Giulio. - Czy ty albo twoja przyjaciółka policjantka macie jakieś pojęcie, o co w tym wszystkim naprawdę chodzi?

- Na potrzeby tej rozmowy uznajmy, że nie. W ten sposób będę miał większą szansę, żeby zrozumieć.

Giulio siada po turecku po drugiej stronie lampy.

- Anna i ja wychowywaliśmy się razem. I to nie w tradycyjnym sensie. - Pozwala sobie na ironiczny uśmiech. - Zakładam, że słyszałeś o dzieciach ze stacji metra Piata Victoriei w Bukareszcie?

- Słyszałem.

- O sierotach z Mumbaju i bezdomnych dzieciakach z Rio?

- Niestety, słyszałem.

- Włochy też mają swój własny skandal z dziećmi w roli głównej. Anna i ja, i jeszcze kilkoro innych dorastaliśmy tutaj, w takich warunkach - pokazuje ręką gołe ściany. - Wychowywaliśmy się w katakumbach i ruinach starożytnego Rzymu - podnosi lampę i podkręca knot. - Z tym że, w przeciwieństwie do dzieci z Rumunii czy Indii, nami interesowali się dorośli. To przez nich w ogóle się

tu znaleźliśmy. Dopiero kiedy uznano, że jesteśmy całkowicie oddani wymaganiom sekty, pozwolono nam żyć na powierzchni.

- Jakiej sekty? - Nie rozumie Tom.

- Odłamu kultu Kybele, wywodzącego się z pogańskich wierzeń sprzed tysięcy lat.

- Frygijskich, następnie greckich i rzymskich, skupionych wokół bogini wieszczki i

opartych na zasadzie kobiecej dominacji nad mężczyznami.

- Znasz kult Kybele?

- Trochę. Nigdy bym nie przypuszczał, że wciąż ma wyznawców.

- Oni robią wszystko, żeby tak właśnie myślano - im mniej ludzi o nich wie, tym więcej brudów uchodzi im na sucho.

- Czy liczba dziesięć albo rzymska cyfra X mówią ci coś?

Giulio zwiesza głowę.

- Ta liczba dotyczy tajemnego tekstu, który nazywają Dziesiątą Księgą.

- Co zawiera ta księga?

- Nie mam pojęcia. Jest pilnie strzeżona. Niewiele osób w ogóle ją widziało i podejrzewam, że tylko kobiety. W sekcie najważniejsze są kobiety, więc przypuszczam, że wiem tylko o niektórych rzeczach. Chłopcy nie przedstawiają dla nich żadnej szczególnej wartości - dodaje z ponurym uśmiechem. - Nie potrzebują ich nawet jako dawców nasienia, tylko jako dekoracji do rytuałów. Dla *Mater* liczą się tylko dziewczynki. To one mają podobno dar przepowiadania przyszłości i zdolności niezbędne do poznania i ochrony tajemnic kultu.

- *Mater*? - Tom przypomina sobie przerażone słowa Anny.

- Tak nazywa się przywódczynię sekty. Nigdy nie widziałem jej bez maski i szat, ale z tego co mówiła Anna, to pomarszczona wiedźma koło sześćdziesiątki lub siedemdziesiątki. To ona i grono

jej zaufanych pomocników rządzą tu wszystkim. - Giulio podnosi kamyk i rzuca go w ciemność, skąd dobiegają piski walczącego z czymś szczura. - Wierzą, że są w prostej linii potomkami bogini Kybele.

- Wciąż nie wszystko rozumiem. W jaki sposób i po co trafiają tu dzieci?

Giulio rzuca kolejny kamyk.

- Za każdym razem, gdy szeregi sekty za bardzo się przersedzają, sprowadza się nowe dzieci, często niemowlęta, pod ziemię, do łona, i tam wychowuje. Dzieci dorastają i krąg posłuszeństwa i przemocy się powtarza.

- Łona? - Tom wypluwa z siebie to słowo z niedowierzaniem.

- Tak *Mater* nazywa kompleks podziemnych pomieszczeń, w których wychowują się dzieci. - Giulio rysuje palcem po ziemi. - Pod ziemią biegnie bardzo długi tunel z przylegającymi do niego przejściami. Schodząc coraz niżej, w końcu trafia się do dużej świątyni. Stamtąd biegnie

kolejny tunel z przejściami i pomieszczeniami. Ale wejście jest tylko z jednej strony.

Tom czuje gotującą się w nim wściekłość. Molestowanie dzieci można ubierać w dowolną religijną ideologię, ale to nie zmienia faktu, że jest to w dalszym ciągu molestowanie dzieci.

Kiedy był księdzem, nieraz słuchał spowiedzi pedofilów i przekonał się, że w większości są to przerażająco sprytni ludzie, wykorzystujący swoją inteligencję do manipulowania dziećmi dla własnych celów. I nie chodziło im tylko o seks.

Chodziło o władzę.

Władza była wspólnym mianownikiem.

Władza i całkowita kontrola nad życiem drugiego człowieka.

Dzięki niej czuli się jak bogowie.

Albo, jak w tym przypadku, boginie.

Giulio ściera rysunek.

- *Mater* zawsze była surowa dla Anny. Bito ją częściej niż pozostałe dziewczynki. Bito i wykorzystywano.

- Seksualnie?

Rysunek na ziemi zniknął, ale Giulio wciąż trze o podłogę dłonią, jakby próbując wymazać wspomnienia.

- Ludziom wydaje się, że molestowanie seksualne zawsze dotyczy starych mężczyzn i młodych dziewcząt, ale to nieprawda. - Podnosi wzrok i nawet w panującym półmroku Tom dostrzega cierpienie w jego oczach. - Anna musiała sypiać z tymi starymi raszplami. Zmuszały ją do robienia rzeczy, od których byś się porzygał, a jeśli nie potrafiła ich zaspokoić, była bita i głodzona. Chłopcom zostawała tylko samotność. Nie pozwalano na żadne kontakty. Żadną bliskość. Ani między sobą, ani z dziewczynkami, ani nawet z dorosłymi. Uczono nas stać i patrzeć, i zawsze być pod ręką. Miałem szczęście, że wyznaczono mnie do służby Annie. Kiedy to wszystko stało się dla niej nie do zniesienia, postanowiliśmy uciec.

Tom czuje, jakby pękło mu serce. To, że Giulio nie skończył na oddziale psychiatrycznym razem z Anną, zakrawa na cud.

Giulio otrzepuje brud z ręki i rzuca kamień w kierunku szczura.

- Uciekliśmy z łona kilka lat temu, cztery lub pięć, dokładnie nie pamiętam. Staralem się ją chronić najlepiej, jak umialem, ale ona zawsze bała się, że *Mater* i inni znajdą ją i zabiorą z

powrotem.

- Dlatego byłeś w jej mieszkaniu, kiedy weszliśmy tam z Valentiną?

- Zgadza się. Anna ufa tylko mnie. Tylko ja wiem, przez co przeszła. Jeśli inni dostaną ją w swoje ręce, zabiją ją.

Tom wie, że powinien powiedzieć mu o śmierci Anny.

Od razu.

Każdy przyzwoity człowiek tak by postąpił.

Ale nie jest w stanie.

- Możesz mi wyjaśnić, dlaczego Anna była cała we krwi, kiedy znaleziono ją przy kościele Santa Maria in Cosmedin?

Giulio znowu trze ręką o ziemię.

- Grupa sióstr i *Galli* zauważyła ją, kiedy wracała z zakupów. Chciała kupić mi prezent, więc wysłała mnie do *supermercato*, a sama poszła po kartkę i prezent dla mnie. Kiedy wróciłem, właśnie pakowali ją do terenówki.

- Wiedziałeś, dokąd ją zabiorą?

- Pomyślałem, że albo zaprowadzą ją z powrotem do łona, albo do Ust Prawdy. Wiedzą, że Anna boi się tej rzeźby. Czasami wydaje jej się, że Usta Prawdy ją zabijają. Zaryzykowałem i pojechałem do Cosmedinu. - Pociera dłonią o podłogę z zaciętością. - Gdybym dotarł tam szybciej, albo gdybym nie był tak głupi i nie puścił jej samej do sklepu, wciąż byłaby bezpieczna.

- To nie była twoja wina.

- Była. - Giulio wydłubuje piach z otarć na rękę. - Kiedy tam dotarłem, zobaczyłem, że na portyku kościoła zawiesili folię, tak żeby nikt niczego nie zobaczył z ulicy. Wiedziałem, że za chwilę zdarzy się coś paskudnego. Zanim wszedłem do środka, zdążyli włożyć Annie szatę i usiłowali wepchnąć jej dłoń do Ust.

- Odstraszyłeś ich?

- Niezupełnie. - Giulio przykłada krwawiącą dłoń do ust. - Wywiązała się walka. Nie pamiętam wszystkiego dokładnie, ale wiem, że w pewnym momencie złapałem za miecz, którym chcieli uciąć Annie dłoń. Wziąłem zamach, żeby ich przepłoszyć, i przypadkiem trafiłem jedną z kobiet - podnosi wzrok na Toma. - Odciąłem jej dłoń. - Ponownie przykłada rękę do ust. - Nie miałem zamiaru jej skrzywdzić, tylko odstraszyć. Ale chyba Bóg zdecydował, że tak to się ma potoczyć. Wtedy tak myślałem. Że Bóg tak chce. Więc podniosłem tę odciętą dłoń, pokazałem

im i powiedziałem: „Oto dzieło Chrystusa, mojego Zbawiciela i Pana”. To ich wystraszyło i uciekli. W każdym razie kobiety uciekły. Dwóch *Galli* rzuciło się na mnie. Trzeci upuścił swoją broń, starożytny miecz, którym Korybanci uderzali w ceremonialne tarcze. Anna go złapała i usiłowała mnie bronić. Kazałem jej uciekać. Z początku nie chciała, więc nawrzeszczałem na nią i zniknęła.

Tom stopniowo składa poszczególne kawałki układanki. Teraz już rozumie, skąd Anna wzięła się przy Ustach Prawdy i dlaczego błąkała się samotnie po ulicach. W opowieści Giulia są jednak luki. Duże luki.

- Zamachnąłeś się mieczem, odciąłeś dłoń tamtej kobiety i dlatego na szacie Anny było pełno krwi?

- Zgadza się.

Tom mu nie wierzy.

- W takim razie gdzie jest tamta kobieta? Dokąd ją zabrali?

Giulio wzrusza ramionami.

- Siostry pewnie próbowały leczyć ją same. Przypuszczam, że za pomocą lekarstw *Mater* - ziół i pogańskich modłów.

- To chyba za mało jak na ranę po odciętej dłoni?

- Pewnie tak. Jeżeli zmarła, pochowały ją w łonie. Wszystkich zmarłych chowa się w zewnętrznych murach. To ma przywoływać jakąś nadprzyrodzoną moc, która chroni sektę.

- Duchowe pole siłowe.

- Można tak powiedzieć.

Tom spogląda na niego ponad lampą.

- W twojej historii niektóre fragmenty nie trzymają się kupy.

Giulio stara się przybrać minę obrazonego.

- Nie rozumiem.

- Wobec tego ci wyjaśnię. Okłamałeś mnie. Krew na szacie Anny nie pochodziła od osoby, której odcięto dłoń. W laboratorium okazało się, że należała do kogoś innego. - Tom pochyła się do światła. - Pytanie brzmi: do kogo? Kto jeszcze został ranny w tamtym kościele? Czego jeszcze mi nie powiedziałaś?



# 109.

Valentina Morassi jest z siebie zadowolona.

Cały czas udaje się jej zachować spokój, co jest dużym osiągnięciem wobec faktu, że została uprowadzona przez uzbrojonych psychopatów, którzy zasłonili jej głowę płaszczem.

Wciśnięta na tylne siedzenie samochodu nie potrafi określić, jaką trasą jadą, czy kierują się na północ, czy na południe, ale gdy w końcu wyprowadzają ją z terenówki, jedno wie na pewno.

Są poza miastem.

W powietrzu nie czuć spalin i nawet mimo zimy dobiega ją zapach bydła, mokrej ziemi i trawy.

Nie odjechali jednak zbyt daleko od centrum Rzymu i podziemnego wyjścia z krypty pod kościołem Santa Cecilia.

Valentina zwraca też uwagę na nierówne podłoże. Żwir. Ale nie równy i gładki, typowy dla podjazdów w domach zamożnych ludzi. Raczej zwykłe kamienie, utwardzone traktorem.

- Wprowadźcie ją do środka, szybko.

Valentina bez trudu rozpoznaje głos Strzelca. Z dotyku dłoni na swoich ramionach wnioskuje, że pilnowanie jej przekazano komuś innemu. Kobietom.

Valentina rozważa ucieczkę.

Da sobie radę z dwoma kobietami.

Bez problemu.

Ale płaszcz zasłaniający jej głowę jest podtrzymywany paskiem. Valentina czuje jego ucisk na szyi.

Musiałyby walczyć na ślepo. Ryzyko jest zbyt duże, zwłaszcza jeśli któraś z jej strażniczek ma broń.

- Uważaj, wchodzimy na stopień.

Ostrzeżenie dobiega z lewej. Młody kobiecy głos. Niemal troskliwy.

Powietrze wokół niej się zmienia.

Nie czuć już ziemi i wilgoci.

Dociera do niej zapach jedzenia. Zapewne wprowadzono ją do jakiegoś domu.

Podłoga pod jej stopami jest równa i płaska. Valentina wsłuchuje się w swoje kroki.

Drewno. Drewniany parkiet.

- Zabierzesz ją od razu? - pyta druga kobieta przytrzymująca ją z prawej strony. - Czy chcesz ją tu zatrzymać na jakiś czas?

- Zaraz się dowiem.

Kroki strażniczki się oddalają.

Ktoś odsuwa krzesło. Nogi skrzypią głośno po parkiecie.

- Siadaj. - To głos Strzelca, który kładzie ręce na jej ramionach i kieruje ją na krzesło.

Valentina siada.

Krzesło też jest drewniane. Ostrożnie unosi kolano, które dotyka krawędzi stołu.

Znajduje się w kuchni i siedzi przy wiejskim drewnianym stole.

W myślach odtwarza swoje kroki. Drzwi są za nią po lewej. Dom musi stać na odludziu, gdzie kobieta owinięta płaszczem nie zwróciłaby niczyjej uwagi.

Być może nie ma w nim okien.

- Dobrze - odzywa się znowu głos Strzelca. - Możemy zabrać ją na dół.

Czyjeś dłonie wsuwają się pod pachy Valentyny.

- Wstawaj! - nakazuje kobiecie głos. Surowy, twardy i nieznoszący sprzeciwu.

Valentina podnosi się i robi krok w tył od stołu.

Obracają ją w lewo i ponownie w lewo.

Znajduje się w innym pomieszczeniu. Pachnie remontem.

Świeżą farbą. Mokrym tynkiem.

Stukot zapadki.

Chłodny powiew.

- Schodzimy po schodach. Ostrożnie, bo się przewrócisz - mówi ponownie troskliwa kobieta.

Valentina prostuje stopę jak baletnica zajmująca pozycję.

Schody są bardziej strome, niż się spodziewała.

Czyjaś dłoń podtrzymuje ją od przodu.

To znaczy, że przed nią jest co najmniej jedna osoba. Pozostali muszą iść z tyłu.

Valentina zastanawia się, czy to odpowiedni moment na przejście do ataku. Mocne kopnięcie zrzuciłoby ze schodów osobę, która idzie przed nią. Szybki obrót i wbiegnięcie pod górę przewróciłoby tych, którzy są za jej plecami.

A jeśli za nią jest więcej niż dwoje ludzi?

Valentina wie, że ma tylko jedną szansę na ucieczkę.

I że ta szansa jeszcze nie nadeszła.

Stara się skoncentrować. Jej stopy stają na kamieniu. Wyciąga rękę. Ściany także są kamienne. Najprawdopodobniej sprowadzają ją schodami do jakiejś starej piwnicy.

Zrównują się z nią.

Drzwi na górze się zamykają.

Valentina jest w potrzasku.

Powietrze znowu się zmienia. W pomieszczeniu jest więcej ludzi. Czuć dym tytoniowy.

I zapach mężczyzn.

- Wprowadźcie ją - mówi Strzelec.

Rozlega się szum, a potem ostry elektroniczny dźwięk.

Szczęknięcie metalu.

Potem cichy zgrzyt jak nienasmarowane zawiasy ciężkiej bramy.

Niewidoczna ręka popycha ją do przodu.

Ktoś łapie mocno płaszcz zwieszający się z jej ramienia.

- Następne schody - ostrzega Strzelec.

W jego głosie słyhać cień uśmiechu.

- Bardzo długie schody.

# 110.

Kiedy Giulio kończy swoją opowieść, parafinowa lampa jest niemal wypalona.

Tom wreszcie poznaje całą prawdę o tamtej dramatycznej nocy Anny Fratelli w Cosmedinie.

Prawda jest jeszcze trudniejsza do przełknięcia niż kłamstwa, którymi próbował przekonać go Giulio.

W żółtawym świetle dogasającej lampy eunuch wpatruje się w twarz byłego księdza. Musi przyznać się jeszcze do czegoś. I obawia się reakcji wielkiego Amerykanina.

- Tamten pożar w mieszkaniu tej policjantki. To ja podłożyłem ogień.

Tom stara się ukryć zaskoczenie i gniew.

- Po co?

Giulio nerwowo splata palce u rąk.

- Nie chciałem cię skrzywdzić. Ani jej. Nie wiedziałem nawet, że jesteś w środku, zanim nie zobaczyłem, jak wychodzisz i zajmują się tobą sanitariusze.

- Mogłeś zabić nas oboje.

- Nie. To nieprawda - odpowiada Giulio z naciskiem. - Widziałem, jak policjantka wychodzi. Myślałem, że mieszkanie jest puste. Chciałem tylko ją odstraszyć, żeby zostawiła Annę w spokoju i nie zajmowała się więcej tą historią.

Tom nie zamierza puścić mu tego płazem.

- A co z sąsiadami? Mogli zginąć.

Giulio ukrywa zakłopotanie, majstrując przy knocie lampy.

- Pożar był niewielki. Zadzwoiłbym po straż pożarną, zanim zdążyłby się rozprzestrzenić. - Podnosi wzrok na Toma. - Uwierz mi, gdybym chciał was zabić, zrobiłbym to. Naprawdę mi przykro.

- Wierzę, że jest ci przykro - mówi Tom. - Nie mogę wypowiadać się za Valentine, ale ja ci wybaczam i jestem pewien, że Bóg też ci wybaczy. Twoja desperacja była całkiem zrozumiała.

- *Grazie*. - Giulio nachyla się do światła. - Musisz pomóc mi dostać się do Anny. Muszę

ją zobaczyć, upewnić się, że wszystko z nią w porządku. - Wygląda, jakby miał za chwilę wybuchnąć płaczem. - Anna jest dla mnie wszystkim.

Tom nie ma co do tego wątpliwości.

Miłość do Anny była prawdopodobnie jedyną rzeczą, która uchroniła go przed popadnięciem w obłęd. Bez niej, bez swojej roli jako jej strażnika, zapewne dawno by oszalał.

- Muszę wyjść na zewnątrz - mówi Tom. - Muszę złapać sygnał i zadzwonić do Valentyny. Muszę też porozmawiać z Louisą, lekarką Anny. One będą w stanie powiedzieć ci, co się z nią dzieje.

Mrużąc oczy w słabnącym świetle, Giulio zerka na zegarek.

- Jesteśmy tu od ponad godziny. Możemy już bezpiecznie wyjść, ale nie tą samą drogą.

Tom jest zaskoczony.

- Stąd są inne wyjścia?

- Jasne. - Giulio wskazuje ręką w kierunku, w którym uciekł czarny szczur. - Prowadzi stąd wąski korytarz. Wyjście jest mniej więcej pół kilometra od kościoła. - Podnosi lampkę i bada zawartość zbiornika. - Parafiny powinno nam wystarczyć, akurat żeby stąd wyjść.

Tom podąża za nim.

- Wciąż nie powiedziałaś mi, co robiłeś w kościele Santa Cecilia i dlaczego mi pomogłeś.

- Śledziłem cię. Od momentu, kiedy mnie wypuścili. Obserwowałem ciebie i tego księdza w kawiarni przy świętym Piotrze. Śledziłem też tego drugiego policjanta, tego, który mnie przesłuchiwał.

- Federica?

- Si, porucznika.

- Po co?- Bo nie chciałeś skrzywdzić Anny. Próbowaleś ją chronić. A ja zastanawiałem się, w jaki sposób się z tobą skontaktować.

Giulio opuszcza lampę niżej. Żółtawe światło pada na gniazdo czarnych szczurów.

- Dziwne. Zazwyczaj pod ziemią nie spotyka się tylu czarnych. Wykopaliska musiały je przepłoszyć.

Kłębiące się gryzonie nie robią na Tomie wrażenia. W jego kościele w Los Angeles zawsze było ich pełno.

Za zakrętem obaj z ulgą witają smugę światła dziennego, które sączy się z biegnącego w górę tunelu przed nimi. Kiedy podchodzą bliżej, okazuje się, że źródłem światła jest stara brama.

Wszędzie wokół zalegają kamienie i odłupane kawałki ścian.

Giulio gasi lampkę i chowa za pazuchę, a następnie otwiera bramę.

Niebo jest zasnuwane szarymi chmurami, ale i tak obaj muszą mrużyć oczy w świetle.

Wychodzą na powierzchnię u stóp wzgórza, w pobliżu pustej drogi biegnącej na północ od kościoła Santa Cecilia. Tom nie ma pojęcia, gdzie dokładnie się znajdują. Wyjmuje telefon i wybiera numer Valentiny.

Boże, żeby tylko nic jej się nie stało.

Włącza się poczta głosowa: „Mówi Valentina Morassi. W tej chwili nie mogę odebrać...”.

Tom się rozłącza.

Może Valentina właśnie dzwoni do niego. Może zostawiła mu wiadomość. Sprawdza swoją pocztę.

Nic.

Dziwne.

Był pewien, że do niego zadzwoni. Zwłaszcza że nie odzywał się od momentu, gdy wysłała go na poszukiwanie Louisy.

Tom ma złe przeczucia.

Ponownie wybiera jej numer i po sygnale nagrywa wiadomość:

- Valentino, mówi Tom... - zerka na zegarek. - Dochodzi pierwsza. Zadzwoń do mnie, kiedy to odsłuchasz.

Rozłącza się. Giulio siada na krawężniku i podpała znaleziony na chodniku niedopałek papierosa. Tom z niejakim zdziwieniem zauważa, że jego towarzysz jest prawie tak szary, jak płyty chodnika. Jakby był kameleonem stapiającym się z otoczeniem.

Wyszukuje w książce telefonicznej numer służbowy Valentiny. Na pewno nie ma jej teraz na komendzie, ale to jedyny sposób, żeby zdobyć numer Federica.

Tom ma tylko nadzieję, że jego mizerna znajomość włoskiego wystarczy, żeby przekonać kogoś do podania mu telefonu porucznika Assante.

# 111.

Lorenzo Silvestri siedzi w swoim gabinecie, wpatrując się w Federica Assante i Louise Verdeti.

Kiwa się na tylnych nogach krzesła, które skrzypi pod ciężarem dziewięćdziesięciu kilogramów czystych mięśni, próbując ocenić siedzącą przed nim parę.

Nie wyglądają na histeryków ani wariatów, ale historia, którą mu opowiedzieli, jest zupełnie nieprawdopodobna.

Jego zastępca, kapitan Pasquale Conti, słynie ze skrupulatnego sprawdzania wszystkiego po dwa razy, dlatego do końca przesłuchania jeszcze daleko.

- Doktor Verdeti, proszę powiedzieć mi jeszcze raz, czy jest pani pewna, że miejsce, w którym ci ludzie panią przetrzymywali, było głębiej pod ziemią niż zwykła piwnica?

Ręce Louisy wciąż drżą, ale to nie przeszkadza jej czuć irytacji.

- Udało im się mnie wystraszyć, ale nie ogłupić. Wiem, gdzie mnie przetrzymywali. Staralam się zapamiętać jak najwięcej i mówię panu, że to było znacznie poniżej ziemi. Urządzili tam kilka cel.

- I zrobili to, bo chcieli uprowadzić pani pacjentkę Annę?

- Annę Fratelli.

- Annę, która nie żyje, ale oni jeszcze o tym nie wiedzą?

Cierpliwość Louisy jest na wyczerpaniu.

- Zgadza się.

- I nie jest pani w stanie określić położenia miejsca, w którym panią przetrzymywano?

- Obawiam się, że nie. Obezwładniono mnie, kiedy wchodziłam do mieszkania. A potem obudziłam się w tej celi. Była bardzo mała. Wpadłam w panikę, od dzieciństwa mam kłopoty z klaustrofobią.

Lorenzo zauważa narastające zdenerwowanie lekarki.

- Wszystko w porządku, pani doktor? Może chce pani zrobić krótką przerwę?

Louisa kręci głową.

- Nie. Chcę to mieć już za sobą.

W tej chwili marzy tylko o tym, żeby ten koszmar wreszcie się skończył, a ona mogła wrócić do normalnego życia. Zamyka oczy i przypomina sobie ciemną norę, w której ją trzymano.

- Były tam żelazne kraty, jak w policyjnej celi, ale bardzo stare i zardzewiałe. Nie było okien. Żadnego światła dziennego. Prawdę mówiąc, w ogóle nie było światła. - Louisa czuje przyspieszające tętno. - Panowała kompletna ciemność, dopóki nie przynieśli pochodni. Ale nie elektrycznych, tylko takich jak w filmach o jaskiniowcach.

- Drewnianych? - pyta Lorenzo.

Louisa pamięta je dokładnie.

- Tak. Wyraźnie czuć było zapach szmaty zanurzonej w oleju albo parafinie.

Lorenzo się zamyśla. Obecnie kable elektryczne można podciągnąć właściwie Wszędzie, więc fakt, że porywacze korzystali z tradycyjnych pochodni, musi mieć jakiś inny powód.

Zastanawia się też nad miejscem, w którym trzymano doktor Verdeti. Albo porywacze wykorzystali jakieś stare, zapomniane więzienie, albo zbudowali nowe. Ale nie poświęcaliby czasu i wysiłku na budowę całego więzienia tylko dla jednej doktor Verdeti. Co oznaczałoby, że przetrzymują tam też innych ludzi.

Pasquale tymczasem kontynuuje przesłuchanie.

- Pani doktor, czy była pani jedynym więźniem?

Louisa do tej pory w ogóle o tym nie myślała.

- Nie wiem. W pewnym momencie wydawało mi się, że słyszę czyjś głos, chyba młodej kobiety, ale nikogo nie widziałam. - W gardle czuje ucisk utrudniający normalne oddychanie. - Przepraszam, ale już od samego opowiadania o tym miejscu czuję klaustrofobię. Naprawdę nie wiem. Wydaje mi się, że to wszystko było jakimś koszmarnym snem.

- W porządku, proszę się nie denerwować. - Major kiwnięciem głowy nakazuje swojemu zastępcy kontynuowanie.

Pasquale ostrożnie zadaje kolejne pytanie:

- Pani doktor, powiedziała pani, że kiedy panią przenoszono, zemdląła pani i obudziła się w miejscu, które wyglądało na świeżo urządzone. Czy mogłaby pani je opisać?

Louisa bierze głęboki wdech i powoli wypuszcza powietrze.

- To miejsce raczej było w trakcie urządzania. Ściany były świeżo otynkowane i wilgotne.



Na podłodze leżała folia malarska, puszki z farbą i chyba jakieś nieduże urządzenie na środku pokoju.

- Może generator albo grzejnik do osuszania tynku? - spekuluje Pasquale, spoglądając na dowódcę.

- Możliwe. Niech ktoś sprawdzi wypożyczalnie sprzętu budowlanego.

- Dziękujemy, to bardzo pomocna informacja - kontynuuje kapitan, zwracając się znów do Louisy. - Pamięta pani coś jeszcze?

- Nie. Zasłonili mi oczy i wyprowadzili na parking.

- Jak daleko było od urządzanego pokoju do samochodu?

Dłonie Louisy znowu zaczynają się trząść.

- Niezbyt daleko. Zaprowadzili mnie po schodach, chyba spiralnych. Miałam wrażenie, że kręcę się w kółko, a kiedy wyszłam na równy teren, kręciło mi się w głowie. Potem poprowadzili mnie kilka kroków... w lewo. - Louisa siłą woli tłumi strach i odtwarza z pamięci swoje ruchy. - Pamiętam, że kiedy wyszliśmy na dwór, ktoś pociągnął mnie w bok. Nawierzchnia była żwirowa albo z czegoś, co przypominało żwir. Przeszliśmy może osiem, dziesięć kroków, a potem wsadzili mnie do samochodu. Dużej terenówki - dodaje po chwili. - Land rovera. Zobaczyłam go, kiedy uciekłam im koło kościoła.

Lorenzo jest pod wrażeniem.

- Ma pani bardzo dobrą pamięć.

Louisa uśmiecha się po raz pierwszy od bardzo dawna.

- *Grazie*. W medycynie trzeba mieć dobrą pamięć. Jeśli zapomni się o jakimś drobnym szczególe, to ceną może być czyjeś życie.

Lorenzo na końcu języka ma uwagę, że w jego pracy jest tak samo. Zerka na kapitana.

- Niech analitycy sprawdzą wszystkie miejsca w Rzymie z prywatnymi podjazdami, dla których złożono wnioski o pozwolenie na budowę dużych obiektów. Potem niech sprawdzą, czy do tych miejsc w ostatnim czasie dostarczano narzędzia i materiały budowlane ze sklepów albo wypożyczalni. Skupcie się przede wszystkim na wykopaliskach, starych ruinach, opuszczonych kościołach i budynkach publicznych.

Pasquale skrupulatnie zapisuje polecenia dowódcy i wychodzi z gabinetu.

Lorenzo odwraca się do Louisy.

- Będziemy musieli zadać pani jeszcze kilka pytań, ale nie w tej chwili. Moi ludzie

odwiozą panią do domu i zostaną w okolicy, żeby mogła pani spokojnie się przespać.

Louisa jest wykończona.

- *Grazie*. Chciałabym też zadzwonić do kilku osób, jeśli to nie problem.

- Żaden, ale proszę pamiętać, że nie wolno pani na razie nikomu mówić o tym, co się pani przydarzyło. Ta operacja cały czas trwa, a największe szanse na złapanie pani porywaczy będziemy mieli przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny. W tej chwili prawdopodobnie wpadli w panikę. Będą próbowali jak najszybciej zatrzeć ślady i jest duże prawdopodobieństwo, że w pośpiechu popełnią jakiś błąd. Za dzień lub dwa jednak odzyskają zimną krew, dlatego musimy działać jak najszybciej, rozumie pani?

Louisa potwierdza skinieniem głowy.

Kiedy zbiera się do wyjścia, łapie się na tym, że przygląda się dłoni majora.

Na serdecznym palcu zauważa grubą, złotą obrączkę.

Dlaczego ci najlepsi zawsze są zajęci?

# 112.

Valentina po raz kolejny wykręca sobie kostkę i klnie pod nosem na niekończące się schody.

Gdyby nie miała przystawionej do skroni lufy pistoletu, urządziłaby im takie piekło, że zapamiętałiby ją do końca życia.

Usiłuje zignorować ból i obliczyć, jak głęboko zeszli.

I nie jest to łatwe zadanie.

Co dwadzieścia kroków następuje wypłaszczenie, a potem znów schody.

Pierwsze dwa zejścia są bardzo strome i proste. Następnych pięć jest spiralnych, choć stopnie nadal są kamienne, nie metalowe. Spiralne schody są wąskie od wewnątrz i szerokie na zewnątrz, jak w starej dzwonnicy.

Valentina liczy.

Na razie pokonała ponad sto stopni.

To przydatna informacja.

W pracy wielokrotnie pokonywała schody w wielu hotelach podczas rekonesansów. Sto pięćdziesiąt regularnych stopni równa się mniej więcej pięciu piętrům w standardowym budynku hotelowym.

Głęboko.

I wciąż schodzą niżej.

Gdyby tylko na dole czekał ją pokój z wielkim łóżkiem, płaskim telewizorem i dobrze zaopatrzonym minibarem.

Nader wątpliwe.

Dwadzieścia stopni później schody się kończą.

Valentina słyszy wokół siebie westchnięcia ulgi.

- Mogę zdjąć jej to z głowy? - pyta troskliwa kobieta. - Musi się tam dusić.

Ktoś musiał wyrazić zgodę, bo Valentina czuje na szyi ręce odpinające pasek przytrzymujący płaszcz.

Ściągają jej nakrycie z głowy.

Valentina chciwie wdycha chłodne powietrze, starając się za wszelką cenę nie okazywać strachu ani zdenerwowania. Jeśli będzie sprawiać wrażenie spokojnej, to jej porywacze się odprężą.

A odprężeni kryminaliści często popełniają błędy.

Wygląda na to, że znajdują się w jakiejś piwnicy na wino.

Do szerokiego korytarza przylegają zamknięte kratami nisze.

Valentina uświadamia sobie, że jej pierwsze wrażenie było mylne.

Bardzo mylne.

Pomieszczenie jest oświetlone płonącymi pochodniami umieszczonymi w metalowych uchwytych na ścianach. Oddzielone kratami nisze wcale nie są niszami.

To cele.

Po lewej zauważa dziecko w czymś, co przypomina białą koszulę nocną, zwinięte na podłodze pod kratami w jednej z nich.

Po raz pierwszy czuje przyływ paniki.

Nie ma szans, żeby wypuścili ją żywą po tym, co tu zobaczyła.

Żadnych.

# 113.

Kiedy Louisa Verdetti wychodzi z gabinetu, major Lorenzo Silvestri pozwala sobie na szczerość wobec porucznika Assante.

- Zgłosiliśmy zaginięcie twojej przełożonej, ale jak dotąd nie ma po niej śladu. Jesteś pewien, że weszła do kościoła po tym, jak się rozdzieliliście?

- Jestem prawie pewien. Zgodnie z jej poleceniem zostałem w samochodzie i widziałem, jak przechodzi przez dziedziniec i kieruje się do fontanny. Potem zniknęła mi z oczu.

- Następnie odjechałeś?

- Tak. Tak jak mi kazała. Uznała chyba, że deszcz będzie dobrą wymówką, żeby zostawić mnie w samochodzie. Prawdopodobnie chciała dzięki temu zyskać na czasie, żeby mogli wraz z Tomem odbić Louisę.

- Z moich informacji wynika, że ten Tom całkiem nieźle sobie poradził - zauważa Lorenzo. - To jej partner?

Federico czuje się trochę niezręcznie.

- Tak, panie majorze. Znają się jeszcze z czasów, gdy kapitan Morassi służyła w Wenecji. Chyba od dawna się przyjaźnią.

Majora interesuje jednak bardziej przebieg wydarzeń niż życie uczuciowe pani kapitan.

- Morassi powinna była zostać razem z nim przed kościołem, zamiast wchodzić do środka sama i dać się złapać.

Federico czuje się winny. Tkwiał beczynn timer w samochodzie, podczas gdy wokół rozgrywało się piekło.

- Panie majorze, jeśli tamci wciąż mają Valentinę, to czy pana zdaniem przetrzymują ją w tym samym miejscu, co doktor Verdetti?

- To byłoby logiczne posunięcie. Miejmy nadzieję, że mają pod ziemią tylko jedną kryjówkę, bo w przeciwnym razie będzie kłopot. Rzym to duże miasto.

Federico nie może powstrzymać się przed zadaniem kolejnego pytania:

- Sądzi pan, że ona jeszcze żyje?

- Istnieje spore prawdopodobieństwo, że tak. Niewątpliwie ci ludzie uprowadzili ją w nadziei, że pomoże im dostać się do Anny Fratelli, ale musimy spojrzeć na to realistycznie. Kiedy się dowiedzą, że Fratelli nie żyje, twoja szefowa stanie się dla nich poważnym problemem. Problemem, którego będą musieli się pozbyć.

Telefon Federica zaczyna dzwonić.

- Odbierz - mówi Lorenzo.

Assante wyławia aparat z kieszeni.

- *Pronto*.

- Federico, mówi Tom, Tom Shaman.

- Poczekaj, przełączę na głośnik. - Federico wyszukuje odpowiedni przycisk i podnosi telefon do góry. - Dzwoni partner Valentiny. - Kładzie aparat na środku biurka majora. - Tom, razem ze mną jest major Silvestri z oddziału specjalnego *carabinieri*. Komandosi zajęli kościół Santa Cecilia.

Tom jest zaskoczony, że Federico nie jest sam.

- Dobra.

- Wiesz, gdzie jest Valentina?

Tom czuje rosnącą gulę w gardle.

- Właśnie po to do ciebie dzwonię. Nie ma jej z tobą?

- Nie.

- Tom, mówi major Silvestri - włącza się Lorenzo. - Moi ludzie szukają kapitan Morassi. Gdzie jesteś? Chcielibyśmy z tobą porozmawiać.

Tom jest ostrożny. Żandarmeria zawiesiła Valentinę, więc nie ma pewności, czy może im zaufać. Do tego dochodzi jeszcze fakt, że jego towarzysz zabił nożem jednego z porywaczy Valentiny.

- Jestem w mieście. Prawdę mówiąc, nie wiem gdzie dokładnie.

- To nie problem. Jesteśmy przy Via di Ponte Salaro, kawałek na północ od Villi Borghese. Chcielibyśmy, żebyś dołączył do nas jak najszybciej i pomógł nam znaleźć Valentinę.

Tom zasłania mikrofon, żeby stłumić swoją odpowiedź.

- Przepraszam, majorze, słabo pana słyszę. Oddzwonię.

Połączenie zostaje przerwane.

Lorenzo popycha telefon w kierunku Federica.

- Dzwon.

Assante znajduje numer ostatniego połączenia.

- Poczta głosowa.

Lorenzo robi zirytowaną minę.

- Musimy jak najszybciej porozmawiać z tym facetem. - Rzuca Federico surowe spojrzenie. - Obok kościoła znaleźliśmy trupa. Czy to mogło być jego dzieło?

- Nie jestem pewien. Tom jest duży i potrafi niezłe walczyć, ale nie wydaje mi się, żeby był agresywny.

Lorenzo jest sceptyczny.

- Sanitariusze wyciągnęli z ciała nóż wbity prosto w serce. Widziałeś kiedyś, żeby miał przy sobie jakąś broń?

Federico kręci głową.

- Na pewno nie. Proszę posłuchać, naprawdę nie sądzę, żeby tego gościa załatwił Tom. To nie w jego stylu. Valentina mówiła

mi, że kiedyś był księdzem.

- Znam różnych księży.

Federico nie widzi sensu dalszej dyskusji. Szukają podejrzanych, więc na miejscu Silvestriego zareagowałby pewnie tak samo. Na razie jednak musi zadać dość istotne pytanie.

- Panie majorze, poinformuje pan o tym wydział kryminalny? Chyba należałoby powiadomić majora Caesario i włączyć jego ludzi do sprawy?

Lorenzo uśmiecha się pobłaźliwie.

- A chce pan, żebym ich poinformował, poruczniku? Specjalna Grupa Operacyjna ma uprawnienia do przeprowadzenia tej operacji we własnym zakresie. Naprawdę chcesz, żebym obudził Caesario z drzemki w mesie oficerskiej i ściągnął go tutaj, żeby nas spowalniał? A może lepiej będzie, jeśli sami posprzątamy ten bajzel i odbierzemy należne pochwały od *Commandante Generale*?

# 114.

Tom wpatruje się w wyłączony telefon.

Jeżeli Valentina zaginęła, a *carabinieri* nie są w stanie jej namierzyć, to oznacza, że albo nie żyje, albo uprowadzili ją ci sami ludzie, którzy porwali Louise.

Valentina to twarda i sprytna dziewczyna.

Jeśli wciąż żyje, z pewnością uda się jej zyskać trochę na czasie. Giulio jest jedyną osobą, która cokolwiek wie na temat sekty, i może doprowadzić go do Valentiny, ale na pewno nie będzie chciał współpracować z policją. I na pewno nie będzie chętny do pomocy, kiedy dowie się, że Anna nie żyje.

Młody eunuch patrzy na Toma i w końcu traci cierpliwość.

- Co jest? Z Anną wszystko w porządku?

- Nie, niestety nie. Obawiam się, że nie mogę cię do niej zabrać.

Giulio jest zaskoczony.

- Słucham?

- Rozmawiałem z Federikiem Assante, tym porucznikiem, który cię przesłuchiwał. Jest razem z komandosami żandarmerii i chce, żebym do nich dołączył i pomógł znaleźć miejsce, o którym mi mówiłeś. To, w którym przetrzymywali Annę i Louise, a teraz, jak sądzę, mają kapitan Morassi.

- Ją też dopadli? Nie rozumiem.

Giulio jest zdezorientowany. To dobrze. Tom musi utrzymać go w tym stanie jeszcze przez chwilę.

- W kościele cały nasz plan diabli wzięli. W tej chwili najważniejsza sprawa to powiedzieć żandarmerii, jak dostać się do miejsca, które nazwałeś „łonem”, żeby mogli ocalić komuś życie.

Giulio milknie. W jego oczach pojawia się strach, gdy rozważa konsekwencje pomocy policji.

- Nie mogę. *Carabinieri* aresztują mnie, jak tylko się tam pojawię. Na tamtym nożu jest



pełno moich odcisków palców - przerywa na chwilę. - Zabiłem tego człowieka z kijem. Jestem tego pewien.

To wspomnienie sprawia mu widoczny ból.

- Zrozumięją - mówi Tom. - Działales w samoobronie. Zrobiles to, co uznales za sluszne, i uratowales mi zycie.

Giulio nerwowo przestępuje z nogi na nogę.

- Nie mogę. Nie mogę iść na policję. Mam długą kartotekę. Zamkną mnie do końca życia. Nie wiesz, jacy oni są.

- A jaki mamy wybór? Nie możemy tu siedzieć i nic nie robić. To się musi skończyć. My musimy to zakończyć.

- Dobrze. Wiem, jak to zrobić, ale będziesz musiał mi pomóc i obiecać mi, że nie wezwiesz policji. Żadnych glin, jasne?

Tom kiwa głową na potwierdzenie.

- *Va bene.* - Giulio przygryza kciuk. - To będzie niebezpieczne. Być może będziesz musiał kogoś zabić, żeby odzyskać Valentinę. Będziesz musiał zabić albo ciebie zabiją. Jesteś na to gotowy? Bo jeśli nie, jeśli ta kobieta nie znaczy dla ciebie aż tak wiele, to lepiej powiedz mi to od razu.

Przed oczami Toma staje tamta noc w Compton, gdy w ulicznej bójce odebrał życie dwóm gangsterom gwałcącym młodą kobietę. Wciąż widzi w snach ich twarze i wciąż zadaje sobie pytanie, czy gdyby wtedy się powstrzymał, gdyby zaprowadził ich do więzienia zamiast na cmentarz, czy wtedy mieliby szansę wyprostować swoje życie?

- Jestem gotowy - odpowiada niechętnie. - Jeśli to będzie konieczne, jestem gotowy odebrać życie złemu człowiekowi, żeby ocalić dobrego.

# 115.

Wiem, o czym myślisz. - Na twarzy Strzelca pojawia się arogancki uśmieszek. - I masz rację. - Wskazuje ręką pozostałe cele. - Nie możemy cię wypuścić po tym, co tu widziałaś.

Stoi kilka kroków od niej wraz z trzema kobietami, które towarzyszyły im na schodach.

Gdy robi krok w jej kierunku, Valentina zastanawia się, co się stało z człowiekiem w prochowcu, którego nazywano Attisem. Prawdopodobnie zostawili go na powierzchni i wezwali lekarza.

- Życie tu, na dole, nie jest takie złe. - Strzelec staje tuż przed Valentina, która widzi tylko jego przesywajaco niebieskie oczy.

- Ujmę to tak: jest znacznie lepsze od śmierci tu na dole.

Za sobą Valentina słyszy szcęk otwieranych krat w jednej z cel.

To jej cela.

- To, jak będziemy cię traktować, zależy wyłącznie od ciebie. - Strzelec łapie ją za ramię i popycha w kierunku otwartej kraty.

Valentina zapiera się lekko nogami, ale to bardziej instynkt niż rzeczywiście opór.

Strzelec siłą wypycha ją do celi. Żeby go powstrzymać, musiałaby z nim walczyć, a na to jeszcze nie pora.

- Teraz trochę ochłoniesz, a potem udzielisz nam wyjaśnień. Obszernych.

Valentina rzuca mu buntownicze spojrzenie.

W jej oczach nie ma żadnej oznaki słabości.

Nie ma śladu strachu.

Strzelec ewidentnie jest przywódcą. Jego słowo jest tu rozkazem. Pozostali posłusznie wypełniają jego polecenia i proszą o pozwolenie, zanim cokolwiek zrobią sami. Valentina nie zamierza zginać przed nim karku choćby o milimetr. Każda sekunda oporu zwiększa szanse na to, że Verdeti, Federico albo nawet Tom sprowadzą pomoc.

Strzelec przeszukuje kieszenie jej płaszcza, wyciągając je na lewą stronę i zostawiając w ten sposób, jak dziecko bawiące się ubraniami rodziców.

- Kim ty właściwie jesteś? A przede wszystkim, gdzie jest Anna?

Valentina wie, że jej przykrywka jako asystentki doktor Verdeti jest spalona od momentu, w którym podniosła pistolet z podłogi w bazylice Santa Cecilia i głośno oznajmiła, że jest policjantką.

- Jestem *capitano* w żandarmerii - oświadcza dumnym głosem.

Na Strzelcu nie robi to większego wrażenia.

- Zdajesz sobie sprawę, że w tej chwili szuka mnie połowa *carabinieri* w Rzymie? - pyta Valentina z pewnym siebie uśmiechem.

Strzelec zamyka celę.

- Masz rację. Będą przeczesywali ulice i zaułki, wypytywali w sklepach i barach, przeszukiwali domy znanych kryminalistów. Ustawią blokady na drogach, może nawet będą zatrzymywać ludzi na dworcach kolejowych i lotniskach. - Posyła jej paskudny uśmiech, przekręcając olbrzymi klucz w zamku. - Ale tutaj nie trafią. W tym miejscu na pewno nie będą cię szukać.

# 116.

Tom w końcu orientuje się, gdzie jest.

Na zachodnim brzegu Tybru.

Po lewej widzi Wyspę Tyberyjską i miejsce, w którym znalazł ciało zamordowanego mężczyzny. I choć dla żandarmerii to zabójstwo wciąż pozostaje zagadką, Tom wie już o nim wszystko.

Giulio opowiedział mu całą historię.

Przekraczają rzekę przez Ponte Palatino i skręcają w prawo w Lungotevere dei Pierleoni.

Zza rogu wyłania się charakterystyczna dzwonnica kościoła Santa Maria in Cosmedin, gdzie znajdują się Usta Prawdy. Tom uświadamia sobie, jak blisko siebie położone są miejsca dwóch przestępstw. Z perspektywy samochodu Valentiny wydawały się znacznie bardziej odległe.

Giulio ewidentnie źle się czuje na otwartej przestrzeni.

- Szybciej, musimy się pospieszyć. - Pogania co chwilę, nie zwracając uwagi na ranną nogę Toma. - Nie możemy się przechadzać jak jacyś turyści.

Toma co chwilę łapią skurcze wywołane obrażeniami. Dyszy ciężko, podążając za Giuliem, który pędzi przez Via dei Cerchi wzdłuż bloń Circus Maximus, gdzie dwa tysiące lat wcześniej ćwierć miliona Rzymian oglądało wyścigi rydwanów.

Dotarcie do Piazza di Porta Capena zajmuje im ponad pół godziny. Giulio zauważa aptekę.

- Poczekaj tu, kupię ci coś przeciwbólowego.

Tom jest spocony od stóp do głów i potwornie zmęczony.

Odpoczywa oparty o ceglana ścianę zamkniętego sklepu odzieżowego, kolejnej ofiary kryzysu ekonomicznego w Europie.

W szum ulicy wdziera się wycie policyjnej syreny.

Tom chowa się w cieniu wejścia do sklepu. Zza rogu wypada radiowóz żandarmerii i pędzi na południe.

Giulio wychodzi z apteki z kilkoma białym torbami, patrząc w kierunku, w którym jadą policyjne samochody.

- Kupiłem bandaż. Zrobimy ci temblak. Mam też coś specjalnego. - Uśmiecha się chytrze. - Zejdźmy z widoku, to założę ci opatrunek.

Skręcają za rogiem i wchodzi w ciemny zaułek.

Spadają pierwsze krople deszczu. Tom rozbiera się do pasa. Giulio podwiązuje mu rękę bandażem tak, aby nie uciskać przetrąconego barku.

- Niewygodnie jak cholera - narzeka Tom. - Aż się boję myśleć, co będzie, kiedy będę musiał pójść do kibla.

Giulio ma jednak na głowie znacznie poważniejsze zmartwienia. Na przykład pytanie, na ile Tom będzie użyteczny w walce.

Być może zabieranie rannego Amerykanina nie było najlepszym pomysłem.

Giulio wyjmuje z kieszeni niedużą białą buteleczkę i wstrząsa nią.

- Mieliśmy szczęście. Jakaś staruszka wykupiła receptę na oksykodon. Zwinąłem jej opakowanie z koszyka. To ci pomoże znacznie bardziej niż cała paczka paracetamolu. - Odkręca butelkę i podaje ją Tomowi. - Po prostu łyknij, nie ma sensu teraz odmierzać dawki. Jeśli nadal będzie cię bolało, łyknij jeszcze raz.

Tom bierze łyk i czuje się winny. Emerytka, której Giulio ukradł opioid, prawdopodobnie cierpi na poważne bóle. A teraz nie będzie miała ich czym uśmierzyć.

- Dobra, pora ruszać - oznajmia Giulio, chowając buteleczkę do kieszeni. - Już niedaleko.

Ale to nieprawda.

Po kolejnym kwadransie forsownego marszu Tom nie czuje już bólu, ale kręci mu się w głowie i jest wykończony.

Ma chwilę na odpoczynek, gdy Giulio zagląda do sklepu z narzędziami, z którego wychodzi objuczony dwiema okazałymi torbami i plecakiem. Otwiera plecak i wrzuca do środka zawartość toreb.

- Obok jest bar kanapkowy. - Zapina plecak i zarzuca sobie na ramię. - Chodźmy coś zjeść, musisz nabrać trochę sił.

Po dziesięciu minutach siedzą na stołkach, pochłaniając ciabatty z prosciutto, mozzarellą i pomidorami i wlewając w siebie espresso w ilościach, która dałaby im dość energii na obiegnięcie kuli ziemskiej. Dwukrotnie.

Giulio płaci rachunek.

W tym czasie mżawka zdążyła przerodzić się w ulewę. Z sinoczarnych chmur spływają potoki wody. Obaj mężczyźni są przemoknięci do suchej nitki, gdy docierają do bramy Świętego Sebastiana strzegącej wejścia na Drogę Appijską.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - pyta Giulio.

Tom wie.

Spogląda na potężną marmurową podstawę bramy i wspaniałe wieże z blankami.

- Tu się zaczyna Droga Appijska.

- Zgadza się. Włoska Route 66. Najsłynniejsza droga w tym kraju. - Giulio wskazuje ręką łukowate sklepienie bramy. - Od tego miejsca wzięło się powiedzenie: „Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu”. Zaczęto ją budować trzysta lat przed Chrystusem. Miała ponad czterysta osiemdziesiąt kilometrów i kończyła się w Brindisi nad Adriatykiem. Stamtąd odpływały statki do Egiptu, Grecji i Afryki Północnej. Tą drogą rzymskie wojska maszerowały po swoje największe triumfy.

- Mam nadzieję, że my też pomaszerujemy w tym kierunku.

- Droga Appijską widziała nie tylko zwycięstwa - mówi Giulio ze śmiechem. - Wzdłuż niej ukrzyżowano ponad dwa tysiące żołnierzy z armii niewolników Spartakusa.

Dalej maszerują w milczeniu.

Po lewej mijają kościół Madonna delle Piante, znany bardziej jako kościół Quo Vadis Domine.

Tom nie potrzebuje lekcji historii na temat tego miejsca.

W maleńkim kościółku znajduje się marmurowa płyta z odciskami stóp Chrystusa, znacząca miejsce, w którym święty Piotr doznał wizji podczas ucieczki przed żołnierzami cesarza Nerona. Podobno Chrystus minął go na drodze, udając się w kierunku Rzymu, a kiedy święty Piotr odwrócił się i zawołał „*Quo vadis, domine?*”, Chrystus odpowiedział mu: „Do Rzymu idę, by mnie ukrzyżowano raz wtóry”. Pod wpływem wizji Piotr powrócił do miasta i zmarł męczeńską śmiercią za wiarę.

- Tędy! - woła Giulio.

Kiedy Tom podnosi wzrok, jego przewodnika nigdzie nie widać.

Ale jest tylko jedno miejsce, w którym mógł zniknąć - wąziutka szczelina w masywnym starożytnym murze.

Tom bierze wdech i, zaciskając zęby, wciska się w szczelinę.

Giulio czeka na niego po drugiej stronie, przykucając. Pokazuje dłonią punkt na horyzoncie.

- Tam są katakumby Świętego Kaliksta, widzisz?

Tom niczego nie dostrzega.

- Nie bardzo - przyznaje, dotykając ostrożnie ramienia, które znów zaczyna boleć.

- Zaufaj mi, są tam. - Giulio pokazuje ponad linią cyprysów. - Tam z kolei są katakumby Świętego Sebastiana. - Wstaje. - Znajdujemy się pomiędzy nimi. - Zakreśla dłonią półokrąg. - Pod nami ciągną się dziesiątki podziemnych tuneli i korytarzy. Niektóre mają po dwadzieścia kilometrów. Pod naszymi stopami znajduje się ponad pół miliona grobów i miliony pogrzebanych tajemnic.

- Przetrzymują tam Valentinę?

Giulio rzuca mu nieufne spojrzenie.

- Valentinę i Annę.

Tom już wie, że nadszedł czas.

Nie może odwlekać tego dłużej.

Nadszedł czas, by powiedzieć Giulio, że Anna nie żyje.

# 117.

Giulio wyczuwa, że za chwilę usłyszy złe wiadomości.

I się nie myli.

Tom nie bawi się w subtelności.

- Anna nie żyje.

Te trzy słowa spadają na Giulia jak lawina, która odrywa się od zbocza i uderza po kilku sekundach.

- Co?

- Przykro mi. Zmarła w szpitalu. - Tom podchodzi bliżej i kładzie rękę na jego ramieniu.

Giulio strząsa jego dłoń.

- Nie żyje? Anna nie żyje, a ty teraz mi to mówisz?! - Na twarz występują mu rumieńce.

Dłonie zaciskają się w pięści.

- Nie mogłem. Życie Louisy było w niebezpieczeństwie, a teraz to samo grozi Valentinie.

- Aaaaa! - wyje Giulio, uderzając się pięściami w skronie. - Nie! Nie! Nie! - Pada na kolana i zwija się na wilgotnej ziemi.

Tom staje nad nim.

Uspokajającym gestem dotyka głowy eunucha.

- Jest mi bardzo, bardzo przykro. Zmarła na atak serca. Nie znam szczegółów, ale wiem, że jej śmierć wszystkich zaskoczyła. Naprawdę próbowali jej pomóc.

Giulio nie podnosi wzroku.

Słowa Toma docierają do niego jale z bardzo daleka, stłumione gęstą mgłą rozpaczy.

To wszystko jego wina.

Obiecał Annie, że będzie ją chronił, że nie pozwoli, by cokolwiek ją spotkało. Powiedział jej, że nie musi się bać, że zawsze będzie przy niej.

Ale nie zdołał jej obronić.

Zawiódł.

Taka jest brutalna prawda. Nie było go przy niej, kiedy najbardziej go potrzebowała.



Zawiódł ją i to kosztowało ją życie.

Tom odsuwa się kilka kroków. Giulio jest dosłownie przygnieciony żalem i potrzebuje chwili dla siebie.

Musi uporać się z szokiem.

Tom nieraz towarzyszył ludziom, którzy właśnie stracili bliskich, i dobrze wie, że akceptacja śmierci następuje powoli. Tylko że dzisiaj nie mają na to czasu. Każda sekunda żałoby Giulia przybliży Valentinę do śmierci.

Ale musi zdobyć się na cierpliwość.

Jeśli Giulio zamknie się teraz w sobie, to będzie koniec.

Tom nie ma pojęcia, gdzie jest wejście do tego tak zwanego łona, a nawet jeśli uda mu się jakoś tam trafić, to nie będzie wiedział, w którym kierunku ma iść.

Poza tym nie ma broni.

Dopiero teraz to sobie uświadamia.

Maca się po kieszeni i wyczuwa kształt telefonu komórkowego. *Carabinieri* zapewne zdążyli już go namierzyć i śledzą sygnał aparatu, co do tego nie ma wątpliwości.

Ale czy zdążą na czas?

Jeśli przyjadą za wcześnie, to będzie katastrofa.

A jeśli się spóźnią, to Valentina może zginąć.

Giulio podnosi się i odwraca.

Jego twarz jest wykrzywiona rozpaczą.

Tom zdaje sobie sprawę, że stąpa po kruchym lodzie.

- Anna wierzyła w Boga. Wiem o tym i ty też o tym wiesz. - Robi krok do przodu, próbując zmniejszyć przepaść, która otworzyła się między nimi. - Znalazła spokój. Już się nie boi, a ci ludzie nie mogą jej już skrzywdzić.

- Ona nie żyje. - Przez twarz Giulia przebiega skurcz. - Nie żyje! Uważasz, że to nie jest krzywda?

- Jest. Ci ludzie muszą odpowiedzieć za to, co zrobili. A ty możesz w tym pomóc.

Giulio wpatruje się w przestrzeń.

Tom wie, że na razie przegrywa. Przepaść między nimi jest wciąż zbyt duża. Ostrożnie kładzie dłoń na ramieniu Giulia, który tym razem jej nie zrzuca. To dobry znak.

- Nie możesz już pomóc Annie, ale możesz uratować kogoś, komu na niej zależało.

Kogoś, kto chciał, żeby była bezpieczna, i ryzykował życie nie tylko po to, żeby jej pomóc, ale też po to, żeby złapać ludzi, którzy ją skrzywdzili.

Giulio rozumie argumenty Toma.

I ma pełną świadomość, że Amerykanin nim manipuluje.

Ale nie może teraz tak po prostu odejść, choć ma wielką ochotę. Nie może uciec na drugi kraniec ziemi i wykrzyzczyć swojego żalu.

Coś mu nie pozwala.

Próbował chronić Annę, bo tak było trzeba. Jeśli teraz opuści Toma i jego ukochaną kobietę, popełni grzech.

- Pomogę ci - mówi w końcu, kiwając kilkakrotnie głową, bardziej po to, żeby przekonać samego siebie niż Toma. - Pomogę ci, nawet jeśli to będzie ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

# 118.

Promień miodowego słońca przebija się przez szczelinę w ołowianych chmurach.

Giulio znajduje roztrzaskaną przez uderzenie pioruna jabłoń i odrywa sporą gałąź. Następnie ostrzy ją na kamieniach murku.

Wraca do Toma i rzuca mu zaostrzoną gałąź pod nogi. Ściąga zakupiony kilkadziesiąt minut wcześniej plecak. Sięga pod koszulę i zdejmuje z szyi naszyjnik na sznurku.

Tom rozpoznaje trójkątny wisiołek.

Anna miała identyczny.

To ten sam trójkąt, który widział na ścianie konfesjonału w kościele Sacro Cuore del Suffragio.

Giulio sięga do kieszeni i wyjmuje szpulkę czegoś, co wygląda na żyłkę wędkarską. Przypina do niej klamerkę wisiora, po czym udaje się w prawo.

Zaciekawiony Tom podąża za nim.

- Możesz mi pomóc - mówi Giulio, przykucając. - Przytrzymaj to.

Tom bierze od niego szpulę.

Giulio ustawia trójkątny wisiołek najdłuższą krawędzią na ziemi i najkrótszą do siebie.



- Daj mi na chwilę tę szpulę.

- Proszę.

Giulio upewnia się, że sznurek i żyłka ułożone są jak najprecyzyjniej wzdłuż dłuższej przyprostokątnej.

Wyciąga około trzydziestu centymetrów linki, po czym wstaje i kładzie ją na ziemi.

Ponownie sprawdza kąt, poprawia o ułamek stopnia i zwraca się do Toma:

- Weź drugi koniec i idź prosto, dopóki nie powiem ci, żebyś się zatrzymał.

Tom ma co najmniej tuzin pytań, poczynając od: „po co?”, ale milczy i posłusznie bierze linkę do ręki.

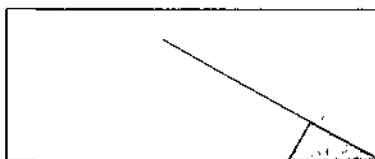
Kiedy idzie, eunuch dyryguje z tyłu, nakazując mu skrócić o pół kroku w lewo lub w prawo.

- Dobra, wystarczy! - woła Giulio, idąc powoli w kierunku Toma i sprawdzając po drodze ułożenie linki.

- To nie jest środek pola - zauważa Tom. - Nie jestem geodetą, ale to na pewno nie jest środek.

- W porządku, nie chcę, żeby było dokładnie pośrodku.

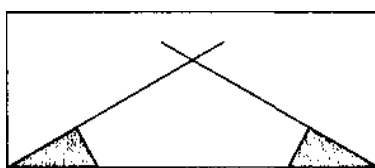
Właśnie o to chodzi.



Tom zajmuje pozycję, a Giulio wraca po wisiorek, żyłkę i plecak.

Następnie idzie w lewy róg pola i powtarza cały proces, przy czym krótsza przyprostokątna wisiorka znajduje się teraz po jego prawej stronie.

Przywiązuje żyłkę i powoli rusza naprzód, uważając, aby cały czas była napięta do momentu, aż mijają punkt, w którym stoi Tom.



- Tutaj! - oznajmia triumfalnie, gdy linie się przecinają.

- Doprawdy? - pyta Tom sarkastycznie. - Czyli właściwie gdzie?

- Cierpliwości.

Giulio kładzie się na brzuchu. Przykłada ucho do ziemi i systematycznie oklepuje trawę wokół siebie.

Po chwili przerywa, odpina plecak i wyjmuje ze środka lśniącą nowością ogrodowy szpadel.

Tom uważnie przygląda się kopiącemu eunuchowi, ale wciąż nie dostrzega niczego poza skopaną trawą i ziemią.

Giulio pracuje zawzięcie. Na jego czole pojawiają się krople potu.

Najpierw kopie z jednej strony, potem z drugiej.

Wśród rosnących zwałów ziemi przypomina kreta.

Wstaje i okopuje teren dookoła, wydłubując ręką kamienie i grudy gliny.

Następnie przykłęka i rękoma zaczyna wybierać ziemię z okopanego poletka, które ma około metra średnicy.

Tom sam nie wiedział, czego powinien się spodziewać, ale z pewnością nie tego.

Spod ziemi wyłania się płaski okrąg w kremowym kolorze.

Olbrzymi marmurowy dysk.

Coś w rodzaju pokrywy przeciwdeszczowej lub medalionu, jak Usta Prawdy.

Na dysku widoczna jest twarz kobiety.

Bogini Kybele.

Giulio odgarnia resztę ziemi.

Tom dostrzega, że twarz przecięta jest liniami, tworzącymi kształt pentagramu.



# 119.

Cela cuchnie.

Źródłem smrodu jest napelnione wiadro stojące przy przeciwległej ścianie.

Valentina niemal wymiotuje.

Czy to była toaleta Louisy?

Ta myśl w dziwny sposób ją pociesza. Porywacze wykazali się nieostrożnością wobec Louisy. Dali jej telefon. Pozwolili się przechytryć i zabrali ją stąd.

Jeszcze nie wszystko stracone.

Wciąż jest nadzieja.

W rogu celi Valentina znajduje szorstki koc. Materiał pachnie damskimi perfumami. Z pewnością należącymi do Louisy.

Przez kraty widzi sąsiednie cele. Chyba są trzy.

W jednej z nich zauważa dziecko.

Dziewczynka pojawia się w polu widzenia tylko na sekundę, ale Valentina dostrzega, że jest bardzo młoda. Prawdopodobnie nawet nie nastolatka.

Jaki potwór trzyma pod ziemią dziecko?

Valentina zna już odpowiedź na to pytanie.

- Halo? - woła ostrożnie.

Jej głos niesie się echem w stęchłym powietrzu.

- Halo, jest tam ktoś? - odczekuje kilka sekund. - Jestem policjantką, czy ktoś tam jest?

Cisza.

A po chwili mamrotanie.

Odpowiedź. Zbyt cicha, żeby dało się ją zrozumieć, ale jednak odpowiedź.

- Nazywam się Valentina. Jak ci na imię? Jak cię nazywają?

Płomienie pochodni gwałtownie migoczą.

Przeciąg. Ktoś otworzył drzwi.

Valentina słyszy kroki po prawej. Przyciska twarz do krat, ale niczego nie widzi.

- Cofnij się!

Głos jest niski i rozlega się zaskakująco blisko.

Valentina nigdy w życiu się tak nie bała.

Ale nie rusza się z miejsca.

Strzelec szczyrzy się do niej w uśmiechu przez kraty. Wkłada klucz do zamka.

- Kazałem ci się cofnąć. Zdaje się, że będę musiał udzielić ci lekcji posłuszeństwa.

# 120.

Na pięciu wierzchołkach pentagramu znajdują się niewielkie szczeliny wypełnione ziemią.

Ale to nie są tylko szczeliny. To zamki.

Umieszczając w nich kolejne kąty wisiorka w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara, Giulio odblokowuje klamry przytrzymujące marmurową płytę.

Prostuje się, dysząc ciężko.

- To jedno z tajnych drzwi. Awaryjne wejście do łona. Kiedy będziemy w środku, masz iść za mną i robić dokładnie to, co ci powiem. - Patrzy uważnie na Amerykanina, spodziewając się oznak protestu.

Tom otwiera butelkę oksykodonu.

- Rozumiem. Będę za tobą szedł jak cień. - Bierze kilka łyków leku. Na to, co czeka go pod ziemią, musi jak najdłużej utrzymać ból w ryzach.

- Dobrze. Nie będę cię okłamywał - będzie groźnie. Do miejsca, w którym mieszka sekta, prowadzi kilka tuneli. Nie wszystkie są bezpieczne.

Tom zakręca butelkę i ściąga z ramion płaszcz.

- Mówisz o zawałach?

- Takie zagrożenie istnieje, ale nie to miałem na myśli. Niektóre tunele są niebezpieczne celowo. Zaprojektowano je w taki sposób, żeby chronić mieszkańców łona i zabijać intruzów.

- Ale znasz drogę?

- Tak sądzę.

- Tak sądzisz?

Giulio odpowiada ponurym uśmiechem.

- Do otwarcia tego wjazdu trzeba znać odpowiednią sekwencję. Tam, na dole, jest tak samo. Jeśli się pomylę, będzie gorąco.

Tom rozpina koszulę i próbuje ściągnąć temblak.

- Co ty wyprawiasz?



- Muszę to zdjąć. Z jedną ręką na nic ci się nie przydam ani się nie obronię.

Giulio przyznaje mu rację. Lepiej jeszcze bardziej uszkodzić rozbitą kość, niż zginąć, próbując ją ochronić.

Pomaga Tomowi odwiązać bandaże.

- Boli?

Tom prostuje rękę.

- Kiedy podnoszę, to jakby mi ktoś wbijał sto igieł. Ale nic mi nie będzie.

Giulio w to wątpi. Wystarczy jeden cios w przetrącony staw i Tom zemdleje z bólu.

Odpina plecak i grzebie w środku.

- Światło. - RzUCA Tomowi czarną latarkę z gumową rękojeścią, a drugą przypina sobie do pasa. - I broń. - Uśmiecha się, wydając z plecaka garść narzędzi.

Tom bada je jedno po drugim. Młotek, zaostzona sadzarka do nasion, ostry jak brzytwa nóż do cięcia dywanów. Robi mu się niedobrze. Użycie któregośkolwiek z tych przedmiotów na drugim człowieku nie będzie należało do przyjemnych. Żeby odniosło skutek, będzie musiał albo poważnie okaleczyć, albo zabić przeciwnika.

Giulio trafnie odczytuje jego minę.

- Wątpliwości?

- Nie, ale mam nadzieję, że nie będę musiał ich używać.

- Będziesz. - Giulio odkłada plecak i staje twarzą w twarz z Amerykaninem. - Musisz być gotowy do użycia każdego z nich. Kiedy tam wejdziemy, rzucają się na nas jak głodne szczury na ser. Jeśli się zawahasz, zginiesz.

Nie czekając na reakcję Toma, odwraca się na pięcie i wyjmując z plecaka resztę zakupów.

- Te są wypożyczone. Mam nadzieję, że przeżyjemy, żeby je zwrócić.

Wręcza Tomowi dziwne pomarańczowe urządzenie.

- To jest pistolet na gwoździe. Naładowany, z zapasową baterią i magazynkiem długich gwintowanych gwoździ. - Celuje urządzeniem w głowę Toma. - Nie da się tym strzelać z daleka, ale jeśli podejdziesz blisko, to te gwoździe są równie zabójcze, co kule.

Tom znajduje włącznik i uruchamia pistolet. Diody zapalają się na zielono. Urządzenie lekko drży.

- Sprzedawca twierdzi, że wystrzeliwuje trzy gwoździe na sekundę.

Tom pociąga za spust. Pistolet podskakuje mu w rękę, ale z pozoru nic więcej się nie

dzieje.

A potem widzi ocynkowany gwóźdź wbity głęboko w trawę w odległości dwóch centymetrów od jego stopy.

- Robi wrażenie, co? - uśmiecha się Giulio.

Tom wyłącza urządzenie, żeby oszczędzać akumulator. Na jego twarzy nie ma śladu uśmiechu. Tylko skupienie. To samo skupienie, które pojawiał się, kiedy odprawiał mszę.

Przekłada pistolet do drugiej ręki.

Już wie, co potrafi to urządzenie i do czego będzie musiał je wykorzystać.

- Chodźmy - mówi wypranym z emocji głosem. - Bardziej gotowy niż w tej chwili już nie będę.

# 121.

Major Lorenzo Silvestri wpatruje się w zegar na ścianie gabinetu.

Chciałby mieć moc zatrzymywania czasu.

Oddałby wszystko, żeby zatrzymać wskazówki i zyskać dodatkowe dwanaście godzin.

Jako jeden z najbardziej doświadczonych oficerów oddziału antyterrorystycznego doskonale zdaje sobie sprawę, że musi uderzyć jak najszybciej. Niestety, szybkość i staranne planowanie rzadko idą w parze.

Jeśli będzie działał za szybko, ludzie przetrzymujący Morassi z pewnością ją zabiją. Być może także innych zakładników.

Jeżeli jednak będzie zbyt długo zwlekał z operacją odbicia Valentyny, porywacze zdążą zatrzeć ślady. A wtedy być może nigdy jej nie znajdą.

- Mamy coś nowego w sprawie telefonu Shamana? - pyta swojego zastępcę.

Wyczytuje odpowiedź z twarzy kapitana Pasquale Contiego, zanim ten otwiera usta.

- Były problemy techniczne. Złapali sygnał GPS, ale potem go zgubili.

- Co proszę?

- Wiem, wiem. Też chciałem pozabijać techników. Cały czas nad tym pracują.

- Namierzyliście jedną lokalizację, zgadza się?

- Tak. Operator na szczęście jest skłonny do współpracy, więc udało się dokładnie określić miejsce, z którego do nas dzwonił.

- Czyli?

- Był w pobliżu Parco di Porta i kierował się ku Drodze Appijskiej.

Lorenzo bębni palcami po biurku.

- Skąd wiesz, dokąd szedł?

- Na chwilę włączył telefon. Namierzyliśmy go na sekundę, potem znowu się wyłączył.

- Interesujące. Do kogo dzwonił?

- Do Morassi. Połączenie trwało niecałe dziesięć sekund.

- Czyli się nie dodzwonił.

Lorenzo podsuwa Contiemu plik papierów.

- Profil kapitan Morassi od naszych wywiadowców. Okazuje się, że to prawdziwa sława. W Wenecji była gwiazdą. Tam spotkała tego całego Shamana, razem rozpracowywali sprawę morderstwa.

Pasquale stuka palcem w fotografię Valentyny.

- *Mamma mia*, faktycznie wygląda jak gwiazda filmowa.

- No już, przestań się ślinić. - Lorenzo uśmiecha się i podaje kapitanowi teczkę Toma. - Zobacz jej chłopaka. Zdjęcie zrobiono, kiedy był na komendzie głównej.

- Nie w moim typie.

- Bądź poważny, Pasquale. Zadzwoiłem do starego znajomego z Wenecji, Vito Carvalho. Był kiedyś dowódcą Morassi i krótko współpracował z Shamanem. Okazuje się, że gość był księdzem w Los Angeles, a potem wmieszał się w bójkę uliczną z jakimiś gangsterami.

- I co się stało?

- Było ich trzech na jednego. - Lorenzo przerywa na chwilę. - Bandziory gwałciły młodą dziewczynę. Mieli noże. Shaman

załatwił ich na perłowo. Dwóch zabił, a trzeci chyba do dziś leje w spodnie na samo wspomnienie.

- Prawdziwy bicz boży.

- Vito określił go inaczej.

- Jak? - pyta zaintrygowany Pasquale.

- Archanioł Uriel.

To imię nic nie mówi kapitanowi.

- Uriel?

- Ty poganinie. - Lorenzo kręci głową w udawanym niedowierzaniu i czyni znak krzyża. - Gdybyś był dobrym katolikiem, wiedziałbyś, że Uriel oznacza „ogień Boży”. Gdy Wszchemogący potrzebuje specja od mokrej roboty, dzwoni po Uriela. To jego anioł od zadań specjalnych, od zabijania demonów po pochowanie Adama w Raju.

Pasquale przygląda się zdjęciu paszportowemu Toma.

- A teraz ten gość jest w Rzymie i bawi się w mściciela. My to mamy szczęście.

# 122.

Zeskok z pola na pierwszy poziom tunelu boleśnie uświadamia Tomowi o opuchniętym i niestabilnym kolanie.

Co gorsza, tunel jest tak ciasny, że Tom musi się czołgać po usianym kamieniami podłożu.

- Poczekaj! - woła do Giulia znajdującego się metr przed nim.

- Cicho! - odpowiada mu zduszony szept.

Tom cierpliwie czeka za skuloną postacią eunucha. Słyszy cichy odgłos kamienia skrobiącego o kamień. Domyśla się, że trójkątny wisiołek znowu jest w użyciu.

Giulio przesuwa się w bok i podaje Tomowi latarkę.

- Poświeć mi tutaj, nie jestem w stanie ruszyć tego ostatniego zamka jedną ręką.

Tom bierze latarkę i przekręca głowicę, żeby wzmocnić promień.

Giulio zabiera się do pracy.

Mija kilka minut.

- Gotowe!

Eunuch przywiązuje wisiołek z powrotem do plecaka i przesuwa się w drugą stronę. Tom widzi za nim kolejny marmurowy dysk, taki sam jak ten, który strzegł wejścia do tunelu.

Szarpięta płyta pęka na pół i zapada się do wewnątrz. Giulio leci do przodu i prawie spada na głowę z uskoku, który kryje się za dyskiem. Kawałki marmuru z głuchym stukotem spadają na ziemię dwa metry poniżej.

Echo uderzenia przetacza się po tunelu jak grzmot.

- Było blisko! - Giulio zagląda przez dziurę. - Musimy przedostać się jeszcze przez kilka takich przejść. Potem dojdziemy do galerii, która zaprowadzi nas do miejsca, w którym powinna być twoja przyjaciółka.

Tom kiwa głową. Jego myśli całkowicie zaprzęta czekające go zadanie. Jest przygotowany na wszystko, co może spotkać ich w tych podziemiach.

Giulio obraca się, zwieszając stopy z uskoku.

Po chwili znika.

Tom podąża za nim.

Tym razem zachowuje podwójną ostrożność, zeskakując na zdrową nogę i uważając, żeby nie zawadzić rannym barkiem o ścianę.

Po kilkunastu krokach tunel zakręca ostro w prawo i przechodzi w większe pomieszczenie.

Tom prostuje się z ulgą.

Wyjmuje latarkę i oświetla teren przed sobą.

Ściany komory wycięto w piaskowcu. Od czarnego podłoża do wysokiego stropu ciągną się szerokie półki.

Tom uświadamia sobie, gdzie są.

Jeszcze zanim zauważy kości i puste oczodoły czaszek, orientuje się, że znaleźli się na starożytnym cmentarzu.

Nekropolii.

Być może wczesnochrześcijańskiej. A może nawet etruskiej.

Przypomina mu się to, co mówił Giulio o katakumbach Świętego Kaliksta i Świętego Sebastiana. Gdzieś w podziemiach wokół niego znajdują się grobowce i krypty męczenników.

Dzielnych ludzi, którzy zginęli, walcząc o to, co kochali najbardziej.

# 123.

Strzelec łapie Valentinę za gardło. Jest od niej kilka centymetrów wyższy i pomimo podeszłego wieku na tyle silny, żeby dźwignąć ją za szyję tak wysoko, że musi stanąć na palcach.

- Lekcja pierwsza, odzywasz się tylko wtedy, kiedy ci każę.

Uścisk na szyi się zaciska. Valentinie zaczyna brakować powietrza.

Strzelec ze złośliwym uśmiechem popycha ją w głąb celi.

Uderza nią o kamienną ścianę i puszcza.

Valentina łapczywie chwyta powietrze.

Nie zauważa jego pięści, która uderza ją prosto w usta.

Cios powoduje, że Valentina zatacza się w tył.

Jej nogi krzyżują się i przysiada na ziemi.

Strzelec uśmiecha się i podnosi pięść, na której widnieją otarcia od uderzenia.

- Nauczycielka uważa, że musisz się jeszcze sporo nauczyć.

Valentina zasłania twarz rękoma.

Spomiędzy palców sączy się krew. Ma rozbitą wargę niemal dokładnie w tym samym miejscu, w którym Anna uderzyła ją głową w areszcie żandarmerii.

Strzelec przyklęka i ponownie chwyta ją za gardło.

Widok strachu w jej oczach go podnieca.

Strach jest tym, co Strzelec lubi najbardziej.

Wsuwa dłoń między jej nogi i chwyta za materiał spodni w kroczu.

Valentina zaczyna wpadać w panikę.

- Nie jesteś już taka harda, co?

Strzelec napawa się jej przerażeniem. Dziewczyna już wie, że on jest tu absolutnym panem i władcą i może z nią zrobić wszystko, co mu się spodoba.

Valentina się nie szarpie.

Powtarza sobie, że tu nie chodzi o jej dumę.

Chodzi o to, żeby przeżyć.





# 124.

Ściany tunelu pokryte są ozdobnymi malowidłami na białym tynku, przypominającymi trochę bogate, skomplikowane zdobienia sarkofagów.

Ułożone pionowo i poziomo serie rysunków na pierwszy rzut oka sprawiają wrażenie przypadkowych.

Tom próbuje odcyfrować znaczenie kolejnych scen.

Są tam ludzie pogrążeni w żałobie. Kobiety i dzieci rozpaczające na kolanach, mężczyźni niosący ciała, pogrzebowe stosy.

Są też sceny bitew: żołnierze walczący pieszo i konno, wzniesione miecze, tarcze osłaniające się przed gradem ciosów.

Pod koniec tej dziwnej galerii jego wzrok przyciąga jedna kolumna rysunków.

Kilka kobiet wyskakuje z rydwanu.

Żołnierze rzucają się za nimi w pogoń.

Dopadają kilku z nich.

Rzucają schwytane kobiety na ziemię.

To uwiedzenie Sabineek.

Jednej z kobiet udaje się uciec.

Biegnie w kierunku mostu strzeżonego przez olbrzymią wilczycę. Goni ją grupa żołnierzy.

Tom ściera ze ściany ziemię, przesłaniającą kolejne sceny.

Żołnierze przekraczają most. Wilczyca podąża za nimi.

Kobieta chowa się pod mostem, nad rzeką.

Tom znowu musi zetrzeć piach, żeby zobaczyć ciąg dalszy.

Pod mostem znajduje się coś, co wygląda jak krucyfiks.

Ale to nie jest krucyfiks.

Po bliższych oględzinach okazuje się, że to leżący na plecach żołnierz z mieczem wbitym w brzuch.

Kobieta znika.

Obok Toma pojawia się Giulio.

- Co robisz?

Tom wskazuje na rysunki na ścianie.

- Anna opowiedziała nam tę historię.

Giulio z początku nie rozumie, o co mu chodzi.

Przygląda się ścianie i kiedy rysunki zaczynają układać się w logiczną całość, niespodziewanie wzbiera w nim żal.

Dotyka ściany i z czułością przesuwa palcami po postaci kobiety.

Anna.

W oczach Giulia zbierają się łzy.

Tom tymczasem bada kolejną scenę.

Kobieta w długiej, bogatej szacie stoi na środku jakiegoś placu, otoczona żołnierzami.

Tom kieruje promień latarki na rysunek i przygląda się bliżej.

To ta sama kobieta.

Kasandra.

Ma twarz Anny. Twarz bogini Kybele.

Tom mruży oczy, wpatrując się w postać w szacie.

Być może to złudzenie optyczne. Być może to miejsce powoduje, że jego umysł podsuwa mu iluzje.

W końcu na obrazie wielkości paznokcia wszystkie kobiety wyglądają identycznie.

Tylko że to nieprawda.

Wszystkie rysunki wykonano z taką starannością i biegłością, że ich twórcy na pewno potrafiliby precyzyjnie oddać różne rysy twarzy.

Kobieta na rysunku to Anna. Twarz Anny jest twarzą Kasandry i Kybele.

Tom przygląda się postaciom zgromadzonym wokół niej.

Rozjuszony tłum wygraża jej pięściami, drapieżne palce zdzierają z niej szaty.

Na podwyższeniu widać mężczyznę trzymającego zwój.

Odczytuje jego treść zgromadzonym ludziom. Żołnierze ciągną kobietę w jego kierunku.

Tom zerka przez ramię na Giulia.

Eunuch klęczy. Jego oczy są przekrwione od płaczu. Jego palce czule dotykają

wizerunków Anny.

Jeśli pograży się teraz w rozpacz, stracą szansę na ocalenie Valentyny. Tom musi zmobilizować go, żeby otrząsnął się z żalu.

Kładzie dłoń na ramieniu Giulia i próbuje go pocieszyć.

- Pamięć o Annie zawsze będzie w twoim sercu. Twoje myśli i twoja miłość do niej nigdy cię nie opuszczą. - Kładzie otwartą dłoń na czole eunucha jak ksiądz udzielający namaszczenia. - Modłę się, żeby twoje cierpienie zakończyło się jak najszybciej. I błagam cię, abyś na chwilę zapomniał o swojej stracie i znalazł siły, aby pomóc mi zrobić to, po co tu przyszliśmy. Proszę cię, żebyś pomógł mi uratować życie kobiety, którą kocham.

Giulio wstaje. Na jego twarzy maluje się zagubienie.

Tom obejmuje go i ściska mocno.

- To, co się tutaj wydarzyło i co wciąż się dzieje, jest złem. Czystym złem. Nie możemy pozwolić, żeby tym bestiom uszło to bezkarnie. Musisz być silny.

Giulio odsuwa się od niego.

Ociera oczy wierzchem dłoni i wydaje z siebie cichy śmiech, pełen zakłopotania.

- Nie płakałem od dzieciństwa.

Odwraca się i rusza w ciemność.

Podążając za nim, Tom spogląda w bok.

Na ścianie widnieje finałowa scena z placu.

Dłoń Anny nie znajduje się w Ustach Prawdy.

Zaciska się na rękojeści miecza wbitego w ciało jednego ze strażników.

# 125.

Strzelec patrzy z góry na Valentine.

Ta policyjna zdzira nie wygląda już na taką cwana i arogancką.

Leży na plecach z zakrwawioną twarzą. Elegancka biała bluzka i czarne spodnie są brudne i podarte.

Teraz już wie, kto tu naprawdę rządzi.

Kto jest jej panem.

On.

*Mater* by tego nie pochwaliła. Nie przepada za przemocą.

Chyba że stosowaną z jej rozkazu. Wtedy przemoc jest konieczna.

Uzasadniona. Usprawiedliwiona. Ale dla Strzelca przemoc jest czymś jeszcze.

Przyjemnością.

Jako *Battakes*, przywódca *Galli*, od czasu do czasu ma do niej prawo.

Zamyka drzwi celi, rozkoszując się metalicznym szczękiem zamka.

Przez kraty przygląda się Valentine. Pomimo lania, jakie jej spuścił, na jej twarzy nie ma śladu łez.

Trzeba przyznać, że jest twarda.

I ładna.

Więcej niż ładna - to prawdziwa piękność.

Szkoda, że nie jest w stanie jej zgwałcić, bo ma na nią wielką ochotę.

Tego właśnie *Mater* nie rozumie.

Strzelec wciąż odczuwa żądzę.

Pałącą żądzę.

Źródłem pożądania nie są jądra, tylko mózg. *Mater* powinna zdawać sobie z tego sprawę.

Ponownie patrzy na Valentine, która podnosi się i próbuje doprowadzić do porządku. Jest naprawdę ładna. Te jej długie nogi to prawdziwa uczta dla oka. Strzelec chciałby zobaczyć ją nagą. I coś w nią wepchnąć. Wpychać piach i patyki w jej ciało, aż w końcu jego żądza ucichnie.

Odwraca się i siłą woli zmusza do odejścia.

Zdzira ma szczęście.

Ma szczęście, że Strzelec nie zapomniał, gdzie jest jego miejsce w świętym wszechświecie *Mater*.

Za sobą słyszy hałas.

Uderzenie o kraty.

Czuje wilgoć na plecach.

Odwraca się i nie wierzy własnym oczom.

Ta dzira wylała na niego całe wiadro szczyń!

Jego szata jest przesiąknięta moczem.

A ona się z niego śmieje. Szczyrzy się w uśmiechu przez kraty.

- Ty oślizgła, wykastrowana cioto! - wrzeszczy Valentina, zaciskając pięści. - Tylko na tyle cię stać?

Łapie za wiadro i tłucze nim o kraty. Łomot metalu uderzającego o metal niesie się echem po całej okolicy.

- Tylko tyle potrafisz, łajzo?

Valentina z pasją wali wiadrem w drzwi celi, dając upust całej wściekłości i frustracji.

Jej furia bawi Strzelca.

Bawi go i podnieca.

Dziewczyna jest jak lwica.

Chyba najwyższy czas ją poskromić.

- *Testa di cazzo!*- krzyczy Valentina, ciskając wiadrem o kraty i odwracając się do niego plecami.

- Błąd - mówi Strzelec, obracając klucz w zamku. - Właśnie popełniłaś największy błąd w swoim życiu.

# 126.

Tom i Giulio szybko pokonują kolejne dwa poziomy tuneli.

Tom ze zdziwieniem zauważa, że im głębiej schodzą, tym podziemia robią się szersze. Skręcają.

Zza rogu wyłania się olbrzymi posąg Kybele. Po obu stronach bogini stoją kamienne lwy.

- Poczekaj - mówi Giulio, podnosząc rękę. - Muszę ci coś powiedzieć.

Tom się zatrzymuje.

Przed sobą zamiast surowych ścian z piaskowca widzi spektakularne malowidła i murale, a także ozdobne amfory.

Ze wszystkich stron spogląda na niego twarz Kybele.

- To jest jedna z głównych żył - wyjaśnia Giulio. - Siostry tak nazywają korytarze wejściowe do łona. Wyjścia noszą nazwę tętnic.

- Więc jesteśmy już blisko?

- Bardzo. - Giulio rozgląda się nerwowo. - A to znaczy, że wkrótce natkniemy się na pułapki. - Wskazuje dłonią przed siebie. - Może nawet już tutaj.

Tom czuje, że serce zaczyna bić mu coraz szybciej.

- Jakie pułapki?

- Wiem tylko o kilku. - Giulio pokazuje kciukiem pokryty malowidłami strop. - W niektórych żyłach ukryte są rury oblewające intruzów kwasem. Nazywają to krwawieniem.

Tom spogląda w górę.

- Nie zobaczysz ich, są dobrze ukryte. Włączają się po naciśnięciu odpowiedniej płytki w podłożu. Innymi słowy, jeden fałszywy krok i zostanie z nas kałuża.

Po skórze Toma przebiega dreszcz.

- *Mater*, albo ktoś z wybrańców, na przykład główny kapłan *Gallu* czasami wyłącza pułapki, żeby przeszukać korytarze. Może będziemy mieli szczęście.

Tom wolałby na to nie liczyć.

- Czuję się jak Indiana Jones. Coś jeszcze?

Giulio się uśmiecha.

- Owszem. Być może uda nam się przejść pod rurami - wskazuje palcem podłogę - ale w niektórych żyłach znajdują się pochylnie.

- Co to znaczy? Że się przechylają?

- Dokładnie. Płyty podłoga są podparte tylko na środku. Jeśli staniesz na krawędzi, przewrócą się. A wtedy zlecimy w dół i będzie po nas.

- Od jak dawna są tu te wszystkie pułapki?

Giulio wzrusza ramionami.

- Od setek, może tysięcy lat. Tak czy owak są skuteczne.

- Byłeś jednym z *Galli*, więc powinieneś je znać. Wiesz, jak bezpiecznie przejść, prawda? Na twarzy Giulia pojawia się niepewność.

- Bezpieczne przejścia zna tylko Najwyższy Kapłan. - Zerka przepraszająco na Toma. - Nigdy wcześniej nie byłem w tym miejscu.

Tom jest w szoku.

- Słucham?!

- Znam tylko główne wejście. - Giulio widzi pytające spojrzenie Toma. - Nie ma absolutnie żadnej możliwości, żeby tamtędy przejść. Jest zbyt dobrze strzeżone. - Po minie Amerykanina orientuje się, że powinien to wyjaśnić. - Na jednym z pól w okolicach Drogi Appijskiej znajduje się gospodarstwo z domem. Jest tam stodoła na siano i niewielkie stado krów i owiec. Z pozoru wszystko wygląda normalnie. Główny budynek jest zbudowany z kamienia. Przeszedł dość intensywny remont i rozbudowę. Prawdę mówiąc, od wewnątrz to prawdziwa forteca. Z kuchni prowadzi wejście do piwnic. Same piwnice są tak naprawdę olbrzymim przedsionkiem, w którym mieszkają strażnicy. Po drugiej stronie przedsionka jest główne wejście do łona. Każde drzwi - a jest ich sporo - są wyposażone w czytnik odcisków palców. Zanim zapytasz - nie, mój palec nie zadziała. Już dawno usunęli mnie z bazy danych. W każdym razie bez tego nie da się wejść do klatek schodowych ani do worków - tak nazywają cele, w których przetrzymują twoją przyjaciółkę.

- Więc ten trójkątny klucz to bardziej symbol i oznaka tradycji niż prawdziwy klucz?

Giulio dotyka swojego wisiora.

- Jedno i drugie. Kąty trójkąta umożliwiają fizyczne zlokalizowanie tajnych wejść. Przez stulecia te wisiora były i symbolami, i kluczami, a ponieważ symbole istnieją tak długo, jak

istnieje tradycja, *Mater* zadbała o to, żeby tradycyjne wejścia były w pełni sprawne i funkcjonalne.

Tom czuje, że robi mu się niedobrze. *Mater* i jej łono przypominają mu historię Josefa Fritzla, austriackiego zwyrodnialca, który przez dwadzieścia lat więził pod ziemią i regularnie gwałcił własną córkę, która urodziła siedmioro jego dzieci.

- Musimy ruszać - mówi Giulio, odwracając się w kierunku najeżonego pułapkami tunelu przed nimi. - Musisz iść kilka metrów za mną, cały czas trzymając się środka tunelu. Malowidła i rysunki są tu po to, żeby odwrócić twoją uwagę, więc się skup, bo utrata koncentracji może cię kosztować życie.



# 127.

Strzelec łapie Valentinę za ramię i obraca ku sobie.

Prawą dłonią wymierza jej siarczasty policzek. Uderzenie jest tak silne, że Valentina czuje, jakby lewa połowa jej twarzy stanęła w płomieniach.

Zatacza się na ścianę celi.

Odzyskuje równowagę i spluwa mu w twarz.

Ta dziwka wciąż ma ochotę wierzgać.

Strzelec się uśmiecha. Od dawna tak dobrze się nie bawił.

Bardzo dawna.

Uderza ją w szczękę.

Valentina potyka się i upada.

Odczołguje się do tyłu, usiłując wcisnąć się w kąt celi.

- Ty głupia zdiro! Sądziłaś, że puszcę ci to płazem?

Robi krok naprzód i usiłuje złapać ją za stopy.

Valentina kopie go w rękę.

Strzelec następuje na jej udo.

Sparalizowana noga opada na ziemię.

Łapie ją za stopy i ciągnie na środek celi.

Valentina nie jest w stanie powstrzymać krzyku.

Strzelec pochyla się i uderza ją pięścią w twarz.

Cios ją ucisza.

Rozrywa jej bluzkę.

Jej płaski, jędrny brzuch przyciąga go jak magnes.

Strzelec przeciąga paznokciami po skórze aż do bioder, pozostawiając pięć czerwonych śladów.

Żądza narasta.

Kipi w jego trzewiach.

Chwyta za obręb jej spodni i zrywa guzik.

Patrzy jej w twarz, żeby napawać się przerażeniem w jej oczach.

Spóźnia się o ułamek sekundy.

Valentina z całej siły uderza go prawą ręką w żołądek.

Ale Strzelec nawet tego nie czuje.

To tylko rozpaczliwa próba obrony, która nawet nie pozbawia go oddechu.

Ale w jej oczach zamiast strachu dostrzega wściekłość.

I oczekiwanie.

Valentina kładzie lewą rękę na prawej i mocno naciska.

Strzelec dopiero po chwili uświadamia sobie, co się stało.

Dźgnęła go.

Odłamała drucianą rączkę z wiadra i wbiła mu ją w brzuch.

Łapie ją za rękę, ale Valentina, wykorzystując jego zaskoczenie, przesuwa się i spycha go na bok.

Strzelec usiłuje sięgnąć do jej nadgarstków, ale im bardziej się szarpie, tym głębiej zardzewiały drut wnika w jego wnętrzności.

Po chwili przewraca się na plecy.

Valentina doskakuje do niego, wpychając metalową rączkę w głąb jego żołądka.

Jej ruchami kieruje żołnierski instynkt i wyszkolenie.

Bez wahania. Bez litości.

Przestaje dopiero, kiedy Strzelec umiera.

# 128.

Zakurzone drewniane deski skrzypią i jęczą jak człowiek w agonii.

Tom i Giulio zatrzymują się w pół kroku.

Obaj oglądają się w lewo.

Hałas dochodzi ze ściany.

Tom patrzy w prawo.

Podłóżę się unosi.

- Giulio, nie ruszaj się!

Tom robi pół kroku w prawo w nadziei, że uda mu się przywrócić równowagę płyty.

Podłóżę się wyrównuje.

Obaj oddychają głęboko z ulgą, próbując dojść, co się wydarzyło.

Stoją na pochylni.

Nagromadzony przez stulecia piach przesunął się pod ich ciężarem i teraz przesypuje się przez krawędź pułapki jak piasek w klepsydrze.

Tom domyśla się, że kiedy cały piach zniknie, podłoga zrobi się bardzo niestabilna.

Giulio znajduje się w odległości metra od krawędzi. Tom ma do przejścia pięć metrów, chyba że cofnie się o metr.

Obaj znajdują się poza środkiem płyty - Giulio o pół kroku za daleko w lewo, Tom o pół kroku w prawo.

Patrzają na siebie.

Wiedzą, że ich życie zależy w tej chwili wyłącznie od wzajemnego zaufania.

Jeśli Giulio rzuci się do ucieczki, Tom zginie.

I na odwrót.

- Na trzy - proponuje eunuch. - Krok do środka, dobra?

- Dobra.

- Raz... dwa...

Znowu patrzą na siebie.

- Trzy!

Ruszają.

Podłoga skrzypi.

A potem powoli się wyrównuje.

Tom i Giulio się uśmiechają.

Jak na razie idzie im nieźle.

- Spróbujmy jeszcze raz - mówi Giulio. - Tylko powoli. - Rozkłada ręce na boki i wysuwa stopę do przodu, jakby szedł po linii. - I bardzo ostrożnie.

Od strony ściany po lewej dobiega skrzypienie. Tom ignoruje dźwięk i naśladuje ruchy Giulio.

Skrzypienie narasta.

Jest coraz głośniejsze.

Tom zerka w lewo.

Spory fragment pomalowanej ściany pęka i się zapada.

Odłamki spadają na pochylnię.

I to duże.

Tom robi kolejny krok.

Giulia od bezpiecznej drogi dzieli już tylko centymetry.

Od stropu odrywa się olbrzymi kawał tynku.

- Biegiem! - krzyczy Tom.

Giulio ogląda się przez ramię i widzi walący się strop.

Skacze do przodu.

Tony gruzu spadają na pochylnię.

Podłoga zaczyna się chwiać.

Tomowi brakuje tylko dwóch metrów do krawędzi.

Rzuca się przed siebie.

Ze stropu wciąż sypią się odłamki. Pochylnia przekrzywia się coraz bardziej.

Jeszcze metr.

Nagle grunt usuwa się Tomowi spod nóg.

Upada jak w zwolnionym tempie.

Jego prawa noga ślizga się po wznoszącej się pochylni.

Obraca się. Ześlizguje. Spada.

Giulio wyciąga rękę.

Ale Tom jest zbyt daleko.

Opuszki ich palców ocierają się o siebie.

A potem Tom znika w ciemnościach.

# 129.

Ręce Valentyny są mokre i śliskie od krwi i wnętrzności.

Z kamienną twarzą wyciera je o ciało Strzelca.

Przy jego pasie zauważa pistolet. Kretyn zapewne myślał, że nie będzie go potrzebował.

Valentina zabiera broń i klucze do celi.

Przeszukuje stygnące ciało w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby pomóc jej się stąd wydostać. Znajduje krótkofalówkę, taką, jakiej używają pracownicy metra, telefon komórkowy, małą latarkę Maglite, trochę zapalek, papierosy i zwitek banknotów.

Nic więcej.

Przeszukuje jeszcze kieszenie koszuli, potem odwraca ciało i sprawdza kieszenie w spodniach.

W jednej z kieszeni tkwi zapasowy magazynek do glocka.

Valentina przygląda się kluczom. Zapewne można nimi otworzyć kraty w pozostałych celach, ale nie przydadzą się na nic przy zamkach na górze. Schodząc na dół, słyszała charakterystyczny dźwięk elektronicznego zamka, co oznacza, że drzwi są otwierane na kartę magnetyczną.

Valentina przeszukuje ciało ponownie.

Niczego więcej nie znajduje.

Wpada w panikę. Jej plan właśnie się zawalił. Bez karty nie wydostanie się na zewnątrz.

Ale przynajmniej ma broń.

Sprawdza pistolet.

To ten sam, z którego strzelał w kościele. Magazynek został uzupełniony. Valentina przeładowuje i odciąga bezpiecznik. Jeśli nie zdoła stąd wyjść, to przynajmniej zabije ich tyłu, ilu zdoła.

Powoli wychodzi z celi, kierując się ku pochodniom i schodom.

Tak jak się obawiała, wyjście ma blokadę elektromagnetyczną.

Włącza latarkę i kieruje promień na zamek i filar obok.

Cholera jasna.

Czujnik odcisków palców.

Valentina ogląda się na martwego mężczyznę.

Może da radę dociągnąć go do wyjścia.

Wraca biegiem do celi, zatykając latarkę za spodniami.

Próba podniesienia ciała Strzelca okazuje się zadaniem na miarę Herkulesa.

Jest osłabiona, a jego zwłoki są śliskie od krwi.

Valentina dźwiga trupa do pozycji siedzącej. Bierze go pod pachy i podnosi. Jest cięższy, niż sądziła. Musi przyciągnąć go do siebie i oprzeć o ścianę, żeby nie przewrócił się na podłogę jak szmaciana lalka.

Już po kilku sekundach robi przerwę.

Stoi twarzą w twarz z martwym ciałem. Głowa Strzelca opiera się o jej ramię, dotykając policzkiem odsłoniętej skóry.

Valentina bierze głęboki wdech, przykuca i dźwiga go w górę perfekcyjnym chwytem strażackim.

Niosąc Strzelca na barkach, powoli pokonuje drogę ku elektronicznym drzwiom po nierównej podłodze.

Kiedy tam dociera, pojawia się następny problem.

Nie jest w stanie sięgnąć jego dłonią do czujnika.

Upuszcza ciało, które upada na ziemię z obrzydliwym chlupotem urwanych organów wewnętrznych i krwi.

Obraca zwłoki twarzą do drzwi.

Ręka Strzelca wciąż nie sięga do czujnika.

- Szlag!

Ponownie bierze go pod pachy i podnosi do pozycji stojącej.

Brakuje jej rąk.

Musi wyjąć jedną dłoń spod jego pachy, żeby złapać go za palec - prawdopodobnie wskazujący - i przesunąć po płycie czujnika.

Ale nie zdoła utrzymać go jedną ręką.

Upuszcza zwłoki i patrzy na cele.

Dziewczynka, którą widziała wcześniej, obserwuje ją zza krat.

Valentina idzie w jej kierunku.

Mała wygląda na śmiertelnie przestraszona.

Valentina przypomina sobie, że jest cała we krwi Strzelca.

Z zakrwawioną twarzą, rękami i ubraniem musi przedstawiać sobą dość przerażający widok.

- W porządku, nie bój się. - Podnosi w górę klucze odebrane Strzelcowi. - Jestem policjantką. Wypuszczę cię stąd.

Dziewczynka się cofa. Jej oczy są okrągłe ze strachu.

Valentina ociera krew z twarzy.

Znajduje zamek w kracie i wsuwa klucz do środka.

W świetle latarki dostrzega, że dziewczynka jest pokryta sińcami.

Na jej dłoniach, rękach i nogach widać ślady cięć.

Ma najwyżej dziesięć lat.

W dużych, brązowych oczach kiedyś na pewno tańczyły wesołe ogniki. Dziewczynka ma owalną twarz i uroczy dołeczek w brodzie.

Valentina otwiera drzwi celi.

Przygląda się jej z bliska.

Dziewczynka wygląda zupełnie jak mała Anna.

Tom jest nieprzytomny albo nie żyje.

Giulio nie ma pewności.

Pochylnia przechyliła się prawie do pionu pod ciężarem spadającego gruzu. Giulio przyklęka na krawędzi i woła w czarną czeluść:

- Wszystko w porządku? Słyszysz mnie?

Wie, że nie może sobie pozwolić na zwłokę. Rumor walącego się stropu na pewno dotarł do innych pomieszczeń. *Galli* prawdopodobnie już tu idą.

Może powinien po prostu zostawić Amerykanina.

Ale wie, że nie może tego zrobić.

Przesuwa się ku zawalonej ścianie i świeci latarką w dół.

Mniej więcej metr poniżej dostrzega kształt, który chyba jest ciałem Toma.

Giulio oświetla resztę dołu.



Tom wylądował na jakiejś półce.

Po chwili jednak widzi, że to nie jest półka.

Spadający gruz utworzył coś w rodzaju stosu, jak piasek wysypujący się z wywrotki. Tom leży na nim twarzą do dołu.

Nie było to miękkie lądowanie, ale z pewnością lepsze niż upadek na samo dno. Gdziekolwiek to dno właściwie jest.

Giulio zsuwa z ramion plecak i zwiesza nogi z krawędzi.

Zejście na dół jest trudniejsze, niż się spodziewał.

Wygląda na to, że jedynym miejscem, na które można bezpiecznie zeskoczyć, jest ciało Toma. Jeśli jednak Giulio wylądaje na nim, to oprócz przetrącenia Amerykaninowi kręgosłupa ryzykuje także, że gruz zacznie osypywać się pod impetem uderzenia, w rezultacie posyłając ich obu na pewną śmierć.

Giulio siedzi na krawędzi i zastanawia się intensywnie, co zrobić.

Z dołu wydobywa się smród gorszy niż z kanalizacji.

Tom jęczy cicho.

Odzyskuje przytomność.

Porusza lewą ręką. Pod palcami czuje kamienie. Próbuje znaleźć podparcie, żeby obrócić się na plecy.

- Ostrożnie! - woła Giulio. - Wpadłeś do dołu. Nie przesuwaj się w prawo, bo spadniesz na samo dno!

Nie jest pewien, czy Tom go usłyszał.

Kolejne jęknięcie.

Nie, tym razem to nie jest jęknięcie.

Giulio nagle rozpoznaje unoszący się wokół smród.

Zwierzęce odchody.

Tam na dole coś jest.

Jakieś zwierzę zmierza w ich kierunku po dnie dołu.

- Tom! Ruszaj się, tam na dole coś jest. I idzie w twoją stronę!

# 131.

Valentina otwiera ciężką żelazną kratę i ostrożnie wchodzi do celi dziewczynki.

- Nie zrobię ci krzywdy. Możesz mi zaufać. Zabiorę cię stąd.

Dziewczynka najwyraźniej uznaje, że nawet nieznajoma zakrwawiona kobieta będzie lepsza niż pozostanie w tej celi.

Podbiega do Valentyny, obejmuje ją w pasie i przywiera do niej z całych sił.

Serce Valentyny krwawi.

Głaszcze małą po włosach. Przez chwilę stoją przytulone do siebie.

Po rozpaczliwym uścisku dziewczynki widać wyraźnie, że od bardzo dawna nie miała okazji ukryć się w czyichś bezpiecznych ramionach.

Valentina pochyla się i kładzie dłonie na posiniaczonych policzkach małej.

- Nazywam się Valentina. Jestem z żandarmerii i będę się tobą opiekować. - Gładzi dziewczynkę po policzku. - Jak się nazywasz?

W dużych brązowych oczach dziecka wzbierają łzy. Dziewczynka kręci głową.

- W porządku, możesz mi powiedzieć. Jak cię nazywają, stokrotko?

Dziecko otwiera usta, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk.

Valentina już ma zapytać ponownie, gdy dziewczynka otwiera szerzej buzię i pokazuje palcem na swoje podniebienie.

- O mój Boże. - Valentina przyciska ją do siebie. - Moje ty biedactwo.

Tej małej wycięto język.

Po twarzy Valentyny ciekną łzy.

Kto mógł zrobić coś tak potwornego?

Od strony schodów dobiega odgłos kroków zmierzających w ich stronę.

Dziewczynka wyrywa się z ramion Valentyny i znika w ciemnościach.

Valentina rozważa pójście za nią, ale w końcu decyduje się zająć ciałem Strzelca. Bierze zwłoki pod pachy i odciąga za róg, w miejsce niewidoczne ze schodów.

Drzwi otwierają się z elektronicznym kliknięciem.

Valentina nasłuchuje.  
Żadnych głosów.  
Kroki jednej osoby.  
Wyciąga zza paska glocka.  
Mężczyzna.  
Valentina rozpoznaje przygarbione ramiona i chudą sylwetkę.  
Prochowiec.  
Radio Strzelca zaczyna nagle trzeszczeć.  
Prochowiec odwraca się gwałtownie.  
Valentina nie ma wyboru.  
Pierwszy strzał trafia go w twarz.  
Następny wyrywa dziurę w jego żebrach.  
Mężczyzna upada na ziemię z głuchym łomotem. Valentina dostrzega przy nim coś błyszczącego.  
Podbiega do ciała.  
Kajdanki.  
Jej umysł pracuje z prędkością światła.  
Wygrzebuje z jego kieszeni klucz i biegnie do drzwi u stóp schodów.  
Kajdanki nie pomogą jej obejść czujnika odcisków palców, ale zatrzymają następnych pomocników Strzelca. Zapina jedną bransoletę na drzwiach, a drugą na kratkach filaru obok czujnika.  
Następnie rusza na poszukiwanie dziewczynki.  
Nie ma jej w celi.  
Musiała uciec podczas strzelaniny.  
Valentina mija kolejne cele.  
W ciemności przed sobą widzi plamę światła. Marmurowe schody prowadzące w dół.  
Nie ma tam żadnych drzwi ani strażników.  
Schody kończą się w obszernej komorze wyłożonej marmurem.  
Na środku znajdują się trzy metrowej wysokości identyczne posągi Kybele. Są ustawione plecami do siebie, tworząc trójkąt.  
Za posągami widnieją dwa skrzydła masywnych dębowych drzwi. Obok nich siedzi

dziewczynka z celi, ukrywając głowę w dłoniach.

Kiedy słyszy kroki Valentyny, podnosi wzrok.

Ale na jej twarzy zamiast ulgi pojawia się przerażenie.

Valentina przypomina sobie, że wciąż trzyma w ręku odbezpieczonego glocka.

Wsuwa pistolet za spodnie.

- Stokrotko, proszę, pozwól mi sobie pomóc. Pozwól, żebym się tobą zaopiekowała. Jeśli będziesz robić to, co ci powiem, i trzymać się blisko mnie, wszystko będzie dobrze.

Dziewczynka wpatruje się intensywnie w oczy policjantki. Jak wiele dzieci padających ofiarą przemocy, nauczyła się, że kłamstwo można odczytać z oczu dorosłych, zanim zdążą wypowiedzieć choćby słowo.

Valentina wyciąga dłoń i bierze ją za drobną rączkę.

Palce dziewczynki są lodowato zimne.

Valentina ściska je lekko.

- Będę na ciebie mówiła Stokrotka, dopóki nie dowiem się, jak się nazywasz, dobrze? - Podnosi zziębniętą rękę dziewczynki do ust i lekko całuje, a potem rozciera obiema dłońmi. - Musimy cię trochę rozgrzać. Kiedy stąd wyjdziemy, obiecuję, że dostaniesz największy kubek najśłodszej czekolady do picia w dziejach świata, zgoda?

Dziewczynka się uśmiecha.

Valentina pomaga jej wstać.

Razem podchodzą do olbrzymich drzwi i otwierają jedno skrzydło.

Stokrotka trzyma się kurczowo Valentyny.

Za drzwiami rozpościera się olbrzymia jaskinia w kształcie nierównego trójkąta.

Świątynia.

Ściany ozdobione są bogatymi w szczegóły scenami z lasów Frygii, Krety, Turcji, Grecji i Włoch. Wszystkie przedstawiają Kybele i jej wieszczki.

Strop pokrywają malowidła dorównujące urodą Kaplicy Sykstyńskiej. Podłoga wyłożona jest drobną mozaiką.

Świątynię oświetlają dziesiątki płonących pochodni umocowanych w trójkątnych uchwytach na ścianach.

Przy najdłuższej ścianie na podwyższeniu stoi wielki ołtarz, obsypany setkami wielobarwnych płatków kwiatów. Naprzeciwko ołtarza na wysokości trzech metrów wyrasta ze

ściany coś, co wygląda jak marmurowy gzyms. Valentina domyśla się, że to podest dla kapłanów lub kapłanek.

Pośrodku świątyni znajduje się trójkątna krata. Valentina zerka w dół. Krata zasłania bardzo głęboki dół. Kapitan Morassi wie dostatecznie dużo o starożytnych religiach, żeby nie mieć wątpliwości, że to dół ofiarny.

Nagle rozlega się donośny głuchy dźwięk. Valentina się odwraca.

Ciężkie dębowe drzwi, którymi weszły do świątyni, właśnie się zamykają.

Kolejny dźwięk.

Głuchy i powtarzalny.

Przytłumiony.

Valentina dochodzi do wniosku, że źródło dźwięku znajduje się raczej pod posadzką niż na zewnątrz świątyni.

Próbuje je zlokalizować.

Uderzenia są równe, niemal rytmiczne i tak głośne, że powinna być w stanie umiejscowić ich źródło.

Ale nie jest.

Dźwięk cichnie tak gwałtownie, jak się zaczął.

Cisza trwa jednak tylko chwilę.

Rozlega się jeszcze dziwniejszy hałas.

Wysoki pisk.

Ale nie elektroniczny. Bardziej naturalny.

Pisk szybko narasta.

Nabiera niskich tonów.

Zmienia się w ten rodzaj dźwięku, który bardziej się czuje, niż słyszy.

Ten rodzaj dźwięku, od którego zaczyna drżeć serce.

Z trójkątnego dołu wytryskuje czarna fontanna.

Jak z nowo odkrytego złoża ropy naftowej.

Valentina przyciąga do siebie Stokrotkę.

Czarna maź tryska wysoko w powietrze, wirując jak tornado i stopniowo tracąc zwarty kształt.

To nie ropa.

To gęsta chmura oszalałych much.

*Sarcophagidae.*

Ścierwice.

Obrzydliwe insekty żywiące się mięsem trupów i składające jaja w zwłokach.

Valentina widywała je wielokrotnie.

Tylko że do tej pory widziała je tylko pod mikroskopem. Martwe, ściśnięte metalową pęsetą patologa sądowego.

Nigdy wcześniej nie spotkała całego rozszalałego roju.

# 132.

Upadek Toma nie był tak groźny, jak wyglądał.

Pozbawił go oddechu, a pęknięty obojczyk zaczął boleć jak wszyscy diabli, ale poza tym niczego więcej sobie nie złamał.

Największy problem polega na tym, że gruz pod nim się porusza.

Zsuwa.

Powoli, jak przesypywany cukier.

Lewą ręką chwyta wystający kawałek skały.

Pomimo wściekłego bólu udaje mu się oprzeć prawy łokieć między dwoma odłamkami.

Z góry dobiegają go krzyki Giulia, ale nie rozumie słów.

W końcu znajduje podparcie i obraca się na plecy.

Widzi spanikowaną twarz eunucha, który coś do niego woła.

Stos gruzu nagle opada jak lustro wody wypompowywanej ze studni. Tom spada pół metra w dół i prawie zsuwa się w otchłań.

Zapiera się nogami.

Podciąga w górę i przysuwa bliżej ściany dołu.

Zerka w dół i zauważa coś dziwnego.

Dwa świecące punkty.

Oczy.

Zbliżają się ku niemu.

W półmroku pojawia się łeb wychudzonego lwa.

Grzywa zwierzęcia jest skłębiona i brudna.

Lew szeroko otwiera paszczę.

Tom instynktownie sięga po najbliższy kamień, ale natychmiast uświadamia sobie, że z powodu pękniętego obojczyka nie będzie w stanie podnieść kamienia odpowiednio dużego, żeby uśmiercić wygłodzonego lwa.

Rzuca w zwierzę średnim kamieniem, który trafia w bark, nie robiąc mu żadnej krzywdy.

Lew ryczy i robi się bardziej ostrożny.

Wspinając się do nieoczekiwanego posiłku, czuje osuwający się spod łap gruz.

Tom ciska w niego odłamkiem tynku, trafiając zwierzę w nos.

Lew warczy.

Dzwonienie w uszach Toma w końcu cichnie. Powraca słuch.

Małe pocieszenie, zważywszy na okoliczności.

Podciąga nogi w górę.

Gruz znów opada.

Podobnie jak lew, który zsuwa się w dół, usiłując zaprzeć się łapami.

Jasne oczy zwierzęcia błyskają.

Z poźółkłego pyska wydobywa się wściekły ryk.

Lew rzuca się do ataku.

Tom ciska w niego kolejnym kamieniem.

Pudłuje.

Lew jest już tylko kilka centymetrów od niego.

Tom zgina kolano i kopie zwierzę w pysk.

Ten cios rozłożyłby na łopatki dorosłego człowieka.

Ale na drapieżniku nie robi większego wrażenia.

Lew otrząsa się i atakuje ponownie, warcząc i kłapiąc zębami.

Tom w ostatniej chwili odsuwa nogę. Potężne szczęki zaciskają się na kamieniu.

Obok siebie słyszy głucho uderzenie.

Giulio wskoczył do dołu.

Lew reaguje szybciej niż Tom.

Ale nie tak szybko, jak młody eunuch.

Lufa pistoletu na gwoździe celuje w futro zwierzęcia. Pięciodłowy gwóźdź wbija się w łeb lwa.

Drapieżnik jest martwy, zanim zacznie staczać się w dół.

Giulio jest uwięziony pod jego cielskiem. Stos gruzu znowu zaczyna się ruszać.

Tom wyciąga do niego rękę.

I wtedy stos osuwa się z impetem w dół.

Giulio i Tom znikają w ciemnościach.



Rozlega się huk spadających skał, które wzbijają chmurę kurzu.

Tom desperacko trzyma się pozostałego fragmentu stosu.

Patrzy w górę.

Wciąż może sięgnąć do krawędzi dołu.

Ale jeśli to zrobi, Giulio będzie uwięziony.

Kurz opada.

Cielsko lwa leży wciśnięte między dwa potężne głazy w połowie stosu.

Nie ma śladu Giulia.

Tom składa dłonie przy ustach.

- Nic ci nie jest? Słyszysz mnie?

- Utknąłem. Przygniotło mi nogę - dobiega słaba odpowiedź.

- Trzymaj się!

Tom widzi tylko martwego lwa. Przestrzeń za nim jest pogrążona w ciemności.

Stos się zsuwa.

Tom patrzy na krawędź podłogi nad sobą.

Skacze.

Nie ma sensu, żeby obaj utknęli w tym dole.

Jeśli uda mu się wydostać, będzie mógł sprowadzić pomoc.

Tom zawisa na palcach.

Prawe ramię rozrywa mu potworny ból, ale wie, że musi go zignorować.

W przeciwnym razie zginą obaj.

Poprawia chwyt i podciąga się nieco w górę.

Lewą nogą dotyka ściany.

Maca stopą w poszukiwaniu podparcia.

Znajduje wyłom na tyle szeroki, żeby się oprzeć i podciągnąć na łokciach.

Przerzuca prawą nogę przez krawędź i przetacza się na bok.

Z dołu słyszy krzyk.

I coś jeszcze.

Warczenie.

Jego wzrok pada na posąg Kybele przed tunelem.

Bogini towarzyszą dwa lwy.

Spogląda z powrotem w dół.

Warczenie dobiega znacznie poniżej cielska martwego lwa.

Z dołu rozlega się przeraźliwy wrzask Giulia.

Tom nie może zrobić nic więcej.

Słyszy, jak młody eunuch jest pożerany żywcem.

# 133.

Ścierwice są wszędzie.

Krążą wokół Valentyny i Stokrotki, siadając na ich skórze i wpełzając do uszu.

Valentina przypomina sobie szkolenia w prosektorium.

I od razu tego żałuje.

*Sarcophaga nodosa* nie są tylko paskudnymi muchami o obrzydliwych nawykach żywieniowych.

Przenoszą również trąd.

Ten rój jest odbezpieczoną bombą biologiczną.

Jedna z much uderza Stokrotkę w oko. Dziewczynka kuli się ze strachu.

Valentina obejmuje ją i próbuje uspokoić. Insekty wplątują się w długie włosy Stokrotki i pod podartą koszulę, którą ma na sobie. W miejsce każdej odpędzonej muchy pojawiają się setki następnych.

Muszą uciekać.

Wydostać się stąd.

Bierze Stokrotkę za rękę i podnosi ją do jej twarzy.

- Zaslaniaj usta. Nie pozwól, żeby te paskudztwa wleciały ci do buzi, ani do nosa.

Dziewczynka posłusznie zakrywa twarz dłońmi i pozwala Valentinie poprowadzić się do drzwi.

Im szybciej stąd wyjdą, tym lepiej.

Kiedy docierają do wyjścia, Valentina szarpie za klamkę.

Bez skutku.

Próbuje jeszcze raz.

Może po prostu trzeba mocniej pchnąć.

Ale drzwi są zamknięte.

Puszcza rączkę Stokrotki i wymierza solidne kopnięcie w miejscu, w którym stykają się oba skrzydła.

Ale dębowe wrota ani drgną.  
Valentina wpatruje się w drzwi z rozpaczą.  
Zanim uda jej się je wyważyć, ścierwice pozostawia z niej i Stokrotki tylko stos kości.  
- Cofnij się. - Odsuwa dziewczynkę. - Stań tutaj i się nie ruszaj.  
Wyciąga zza pasa pistolet i celuje w ciężki mosiężny zamek.  
Kieruje lufę pod kątem, tak aby nie trafił ją ewentualny rykoszet.  
Glock podskakuje w jej dłoniach.  
Strzał jest niecelny.  
Kula przebija zamek, ale dębowe wrota są tak grube, że pocisk zatrzymuje się w pół drogi.  
Valentina strzela jeszcze trzykrotnie.  
Z mosiężnego zamka zostają poskręcane szczątki, ale na drzwiach nie widać nawet śladu odłupanej drzazgi.  
Wzbiera w niej wściekłość.  
Podchodzi bliżej i strzela pięciokrotnie po okręgu wokół zamka.  
Ale tylko marnuje amunicję.  
Zatyka pistolet z powrotem za pas.  
I wtedy przychodzi jej do głowy pewien pomysł.  
Szalony i desperacki, ale być może skuteczny.  
Valentina biegnie przez chmurę much do ołtarza i wspina się na niego.  
Jej celem jest jedna z pochodni.  
Rój jest tak gęsty, że przykrywa ją jak gruby koc.  
Po kilku minutach szarpania Valentina wreszcie zdejmuje pochodnię ze ściany.  
Zeskakuje z ołtarza i patrzy na przeciwległą ścianę.  
Wysoko na podeście, za szklaną szybą, dostrzega wpatrującą się w nią starą kobietę w czerwonej szacie.  
Kobieta wygląda dokładnie jak bogini Kybele.  
Obok niej stoją inne. Wszystkie patrzą na podłogę świątyni.  
W oczach Valentiny błyska nienawiść.  
Muchy skwierczą w płomieniu pochodni.  
Odsuwa Stokrotkę dalej od drzwi, po czym przykłęka i przykłada ogień do dębowego

drewna.

Zamierza wypalić sobie drogę ucieczki.

A potem dopadnie te stare wiedźmy. Kiedy dostanie je w swoje ręce, pożałują, że nie umarły kilkadziesiąt lat wcześniej.

# 134.

Przedśmiertny wrzask Giulia dźwięczy w uszach Toma, gdy podnosi plecak i rusza przed siebie.

Wie, że nie mógł nic zrobić.

Nie miał szans powstrzymać drugiego lwa.

Ale to nie zmienia faktu, że czuje potworne wyrzuty sumienia.

Gdyby Giulio nie wskoczył do dołu, Tom już by nie żył.

Świeci latarką przed siebie i powoli zmierza do końca galerii, cały czas trzymając się środka tunelu.

Oby limit pułapek został już wyczerpany.

Po pięćdziesięciu metrach tunel kończy się ślepo, tak jak poprzednie.

Z tym że jest pewna różnica.

Dość istotna różnica.

W podłodze nie ma wjazdu. Żadnego marmurowego dysku strzegącego przejścia na następny poziom.

Zamiast tego na końcu tunelu znajduje się ucięty pień potężnego drzewa.

Został wbudowany w ścianę albo ścianę wybudowano wokół niego.

Tom dotyka pnia.

Drzewo jest stare. Korę pokrywają sęki i ślady po uciętych gałęziach.

Pień jest symbolem.

Symbolem natury.

Musi mieć jakiś związek z Kybele i Matką Naturą.

Tom przypomina sobie, że ostatni raz widział drzewa na powierzchni nad katakumbami, gdy Giulio za pomocą trójkątnego wisiora zlokalizował wejście do tuneli świątyni Kybele.

Otwiera plecak i szuka w środku naszyjnika.

Dopiero po opróżnieniu całej zawartości plecaka zauważa, że wisior jest przywiązany do jednego z ramion.

Tom nie potrafi jednak odtworzyć z pamięci sposobu, w jaki Giulio się nim posłużył.

Czy zaczął odmierzać od najkrótszego boku w prawym rogu pola? Czy może od jednego z dłuższych boków?

Tom znajduje szpulę żyłki i postanawia zacząć od najkrótszego boku, tak aby trójkąt był nachylony w kierunku środka pnia.

Potrzebuje czegoś do zaznaczenia linii i przytrzymania drugiego końca.

I czegoś do przecięcia żyłki.

Zerka na zawartość plecaka.

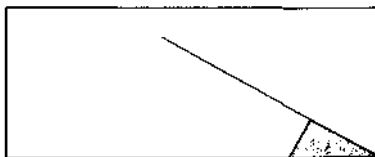
Nie ma odwagi użyć pistoletu na gwoździe. Impet mógłby uruchomić jakąś pułapkę.

Ale jeśli zachowa ostrożność, to może uda mu się delikatnie wbić gwoździe ręką.

Wydobywa kilka z magazynku. Zabiera też nóż do dywanu, żeby mieć czym przeciąć żyłkę i zaznaczyć przebieg linii.

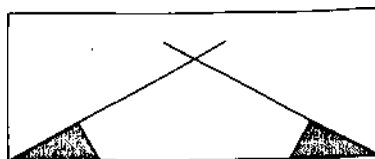
Stara się przypomnieć sobie kolejne ruchy Giulia na polu.

Eunuch chyba zaczął od prawej strony, ustawiając trójkąt najdłuższym bokiem do dołu.



Powtarza to samo po obu stronach pnia i szuka miejsca przecięcia linii.

Bingo.



Przesuwa palcami po korze wzdłuż linii i znajduje zatopiony w drewnie srebrny rowek, dostatecznie duży, żeby pomieścić najkrótszy bok wisiorka.

Zatrzymuje się jednak w pół kroku.

A co, jeśli jest więcej niż jeden rowek?

Co jeśli włoży wisiorek, przekręci i okaże się, że przejście otwiera się po ukończeniu sekwencji ruchów w określonym czasie?

Tylko jakiej sekwencji, do cholery?

Tom wpatruje się w masywny pień. Musi coś wymyślić, bo inaczej za chwilę zwariuje.

Bada drewno palcami. Być może będzie miał szczęście i coś zauważy.

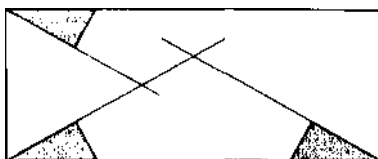
Znowu przerywa i klnie na swoją głupotę. Jeśli przejście istotnie otwiera sekwencja, to musi ją zrozumieć, a nie liczyć na to, że przypadkowo uda się na nią natrafić.

Powoli, mówi sobie. Spokojnie. Myśl logicznie.

Bierze do ręki garść gwoździ i odcina kolejny kawałek żyłki.

Po kilku nieudanych próbach dochodzi do wniosku, że musi to zrobić na odwrót.

Dosłownie.



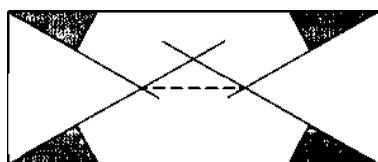
Odwraca wisiołek do góry nogami i kładzie w górnym lewym rogu pnia. Następnie kreśli linię aż do punktu, w którym żyłka przecina linię narysowaną z dołu.

Znajduje kolejny srebrny rowek, po lewej stronie poniżej poprzedniego.

„Nie wpadaj w euforię”, powtarza w myślach.

Przenosi wisiołek na prawą stronę i prowadzi linię do środka.

Idealnie.



Tom robi krok w tył i podziwia swoją przenikliwość.

Trzy srebrne rowki tworzą trójkąt.

Wisiołek należy umieścić w nich w odpowiedniej kolejności.

Tylko w jakiej?

Zgodnie z ruchem wskazówek zegara, zaczynając od najwyższego rowka, pierwszego, który zauważył?

A może, ponieważ rowek znaleziony w drugiej kolejności znajduje się na lewo od pierwszego, kolejność powinna być przeciwna?

Nie może się zdecydować.



Za ścianą słyszy trzask, jak uderzenie bata albo strzał z rury wydechowej samochodu.

Czyżby przejście prowadziło na ulicę?

Czy to możliwe, że Giulio tak bardzo pomylił się w nawigacji?

Czas podjąć decyzję.

Tom wsuwa wisiołek najwęższym kątem w pierwszy zamek.

Musi solidnie popchnąć, żeby wcisnąć trójkąt do środka. Przez chwilę boi się, że wisiołek pęknie.

Ale nie pęka.

Wsuwa się w rowek z cichym kliknięciem.

Tom przekręca go.

Znowu kliknięcie.

I co dalej?

Spogląda na drugi rowek.

W lewo, czy w prawo?

Za ścianą słyszy kolejny trzask.

I jeszcze jeden.

To nie bat ani rura wydechowa, tylko strzały z pistoletu.

Tom postanawia zaufać instynktowi.

Wcisną wisiołek w rowek po lewej i przekręca odwrotnie do ruchu wskazówek zegara.

# 135.

Potężne drzwi świątyni czernieją, ale wciąż nie chcą się zapalić.

Valentina nie wierzy własnym oczom. Dlaczego to cholerne drewno się nie pali? Dochodzi do wniosku, że dębowe wrota są zbyt stare i zbyt wielkie. Płomień z pochodni jest po prostu za słaby.

A może to ona jest zbyt niecierpliwa.

Kładzie pochodnię na posadzce w miejscu styku obu skrzydeł.

Bez skutku.

Jej cierpliwość się kończy.

Wyciąga glocka i idzie w kierunku pulpitu.

Jeśli nie może wypalić dla siebie i Stokrotki drogi ucieczki, może uda się ją wystrzelać.

Stara kobieta wciąż jest na górze.

Opiera się dłońmi o szybę i wpatruje złowrogo w Valentine.

Do diabła z nią.

Valentina podnosi pistolet i strzela.

Na szkle nie pojawia się nawet rysa.

To jak rzucanie kamykami w pancerne okno.

Oddaje jeszcze dwa strzały w pobliże pierwszego.

Starucha się uśmiecha.

Obie wiedzą, że do rozbicia tej szyby potrzeba pocisku artyleryjskiego.

Ale Valentina nie zamierza się poddawać.

Zdejmuje kolejne pochodnie i rzuca je pod drzwi.

Dym i płomień przynajmniej odpędzają muchy.

Valentina przytula dziewczynkę.

- Wydostaniemy się stąd, Stokrotko. Obiecałam ci to. Za chwilę stąd wyjdziemy. - Całuje małą w policzek.

Po drugiej stronie świątyni otwierają się ukryte drzwi.

Do środka wchodzi pięciu najbardziej zaufanych strażników *Mater*.

Stokrotka wydaje z siebie bezgłośny okrzyk.

Dopiero kiedy pokazuje palcem uzbrojonych mężczyzn w szkarłatnych szatach z kapturem, Valentina uświadamia sobie, że ich sytuacja jest tragiczna.

# 136.

Drugi zamek otwiera się równie gładko, co pierwszy.

Serce podchodzi Tomowi do gardła, gdy wkłada wisiorek w trzeci rowek.

Przekręca i słyszy kliknięcie.

Zapiera się i popycha pień.

Ale drzewo ani drgnie.

To ma być jakiś żart?!

Jest pewien, że wykonał sekwencję prawidłowo.

Popycha ponownie.

Tym razem pień wsuwa się w ścianę, od której z hukiem odpada okazały kawałek. Po drugiej stronie przejścia powstaje chmura kurzu.

Tom przeciska się przez szczelinę.

Dociera do niego echo strzałów.

Dwadzieścia metrów od niego tańczą płomienie.

Kolejne strzały.

Przez gęsty dym Tom dostrzega ściany i drzwi.

Strzelanina dobiega od strony ognia.

To musi być Valentina.

Tom rzuca się do drzwi i kopie je z rozbiegu.

Drewniane skrzydło ugina się pod uderzeniem, ale pozostaje zamknięte.

Jeszcze raz.

Szybciej i mocniej.

Drzwi wciąż nie chcą się otworzyć.

Wzrok Toma pada na trzy posągi Kybele, tworzące trójkąt na środku pomieszczenia.

Obejmuje jeden z nich rękami i wyrywa z podłogi.

Jest piekielnie ciężki. Jego prawe ramię eksploduje bólem.

Zaciska zęby i ignoruje ból. Podnosi posąg w górę jak Szkot ciskający tradycyjną kłodą.

Naciera na płonące drzwi.

Uderzenie pozbawia Kybele głowy.

Tom przesuwa się i napiera na posąg od tyłu.

Drzwi w końcu otwierają się z hukiem.

# 137.

Valentina popycha Stokrotkę za siebie i zabija pierwszego strażnika strzałem w tułów.  
Zza jego pleców wyskakuje dwóch następnych, a kolejni okrążają ją z boków.  
Strażnicy naprzeciwko niej otwierają ogień.  
Strzały rozbijają się o marmurowy filar.  
Valentina ostrzeliwuje się zza osłony. Dwa strzały w prawo, trzy w lewo.  
Trafia jednego ze strażników w nogę. *Galli* upada na posadzkę, rycząc jak zarzynany wół.  
Valentina zerka przez ramię. Stokrotka stoi za nią z szeroko otwartymi ustami.  
Przyciąga ją do siebie, drugą ręką osłaniając się strzałami po okręgu.  
Kule strażników wbijają się w marmur tuż obok jej twarzy.  
Valentina przykłęka, przyjmując pozycję snajperską, i szuka wzrokiem pozostałych trzech *Galli* w gęstej zasłonie dymu i much.  
Drzwi za nią otwierają się z głośnym trzaskiem.  
Odwraca się i już ma posłać serię strzałów, kiedy przez wyrwane wrota do świątyni wpada Tom.  
Valentina się obraca. Niespodziewane przybycie Toma odwróciło nie tylko jej uwagę.  
Dwóch strażników biegnie w jej stronę.  
Idioci.  
Wyćwiczonym ruchem wymierza każdemu z nich po dwa ciosy.  
Padają na ziemię jak muchy.  
W sam raz na przekąskę dla ścierwie.  
To już trzech. Zostało dwóch.  
Ale Valentina ich nie widzi.  
Tom łapie Stokrotkę i wynosi ze świątyni. Nogi dziewczynki zwisają, kiedy trzyma ją w ramionach.  
Po drugiej stronie drzwi staje jak wryty.  
Przed sobą widzi kobietę w czerwonej szacie, wznoszącą w prawej dłoni lśniący miecz.

*Mater.*

Ostrze opada jak piorun.

Tom odpycha Stokrotkę.

Czubek klingi zawadza o jego prawe biodro.

Tom odwraca się przodem do przeciwniczki.

Kiedy weźmie następny zamach, cofnie się o pół kroku i ją rozbroi.

Ale już nie musi tego robić.

Seria z pistoletu automatycznego trafia w nogi *Mater*.

Tom się obraca.

W jego kierunku biegnie trzech żołnierzy w czarnych mundurach. Z luf pistoletów automatycznych wydobywa się dym. Zapewne uporali się ze strażnikami na farmie i właśnie przebili na dół.

Tom bierze Stokrotkę na ręce i zasłania jej oczy. Widok żołnierzy w pełnym oporządzeniu bojowym budzi w niej przerażenie.

Lorenzo Silvestri rozpoznaje Toma z materiałów, które czytał.

- Gdzie Valentina?

- Tam. - Tom przyciska Stokrotkę do piersi i pokazuje dłonią świątynię.

Lorenzo i jeden z jego ludzi wbiegają przez rozbite drzwi.

Trzeci żołnierz przyklęka przy kobiecie w czerwonej szacie.

Bada ją pobieżnie i przez radio wzywa sanitariuszy. Kule zmasakrowały kolana *Mater*.

Po kilku sekundach pojawiają się kolejni żołnierze.

Z wnętrza świątyni dobiega huk serii z pistoletu maszynowego.

Tom klęka i kładzie dłonie na ramionach Stokrotki.

- Nie bój się. Ci żołnierze to dobrzy ludzie. Nikt więcej cię nie skrzywdzi. Nigdy. To już koniec.

I tak jest rzeczywiście.

Lorenzo Silvestri wraca przez nadpalone i roztrzaskane wrota, ciągnąc za sobą smugę dymu. Pistolet trzyma lufą do podłogi.

Uśmiecha się do Toma i robi krok w bok.

Valentina jest tuż za nim.

Ma zakrwawioną twarz i włosy splątane jak u stracha na wróble. W oczach Toma nigdy

jeszcze nie była tak piękna, jak teraz.

Tom podbiega do niej i bierze ją w ramiona.

Wpijają się w siebie, jakby świat za chwilę miał runąć.

Trzymając się w objęciach, oboje czują coś jeszcze.

Drobne rączki obejmują ich za nogi i trzymają z całej siły, jakby świat właśnie runął i narodził się na nowo.



# 138.

Sanitariusze opatrują rannych.

Valentina wygląda gorzej, niż faktycznie się czuje. Jej usta są popękane i opuchnięte. Na policzku ma wąską ranę, która na szczęście nie wymaga szycia. Ból po uderzeniach Strzelca w szczękę zniknie po gorącej kąpieli i drugiej butelce czerwonego wina.

Z Tomem jest nieco gorzej.

Teraz, gdy wywołany walką poziom adrenaliny opadł, pęknięty obojczyk odzywa się ze zdwojoną siłą. Tom jest dozgonnie wdzięczny za pokaźną dawkę morfiny, którą wstrzykuje mu w ramię jeden z sanitariuszy.

Dwóch żandarmów kładzie *Mater* na noszach. Kolejny sanitariusz intensywnie opatruje jej przestrelone kolana.

Valentina odwraca uwagę Stokrotki, gdy żołnierze wynoszą ze świątyni ciało jednego z *Galli* w plastikowym worku. Pierwsze, ale nie ostatnie. Valentina zabiła czterech, piątego zastrzelili ludzie majora Silvestriego.

Valentina siedzi na posadzce oparta plecami o ścianę świątyni.

Obejmuje Stokrotkę i sadza ją sobie na kolanach.

- Już po wszystkim, kochanie. Nigdy więcej nie zobaczysz tego okropnego miejsca. - Głaszcze dziewczynkę po włosach. Stokrotka przytula twarz do przesiąkniętej krwią bluzki Valentiny.

Tom zapina koszulę i podchodzi do Lorenza.

- W tunelu uwięziony jest człowiek - wskazuje ręką dziurę, przez którą przedostał się do świątyni. - Chyba nie żyje. Wpadł do dołu, w którym był lew.

- *Un leone?*- pyta Lorenzo z niedowierzaniem.

- Długa historia. - Tom wpycha koszulę w spodnie, co okazuje się dość skomplikowanym zadaniem, ponieważ dysponuje tylko jedną ręką. - Właściwie były dwa, ale udało nam się zabić tylko jednego.

Lorenzo patrzy w ciemny otwór przejścia.

- Zaprowadź nas tam.

Tom przeciska się do tunelu. Lorenzo i jego ludzie podążają z nim.

- Trzymajcie się środka. W kilku miejscach podłoga jest oparta na pochylniach. Jeśli staniecie w niewłaściwym miejscu, podniesie się i spadniecie.

Oddział majora dociera do krawędzi dołu. Zaglądają do środka.

Z wnętrza dobiega ich głucho warczenie.

Lorenzo nie musi nawet wydawać rozkazu. Żołnierze zabierają się do działania.

Jeden z nich wyjmuje szpulę liny alpinistycznej, tak zwanej tyrolki, i przypina ją do pasa kolegi, który zakłada reflektor na karabin i opuszcza się w dół.

Po chwili rozlega się terkot strzałów.

Tom domyśla się, że lew dołączył właśnie do swojego martwego pobratymca.

Lina wisi luźno wokół pasa żołnierza stojącego obok Toma.

Z dołu dobiegają odgłosy przrzuconych kamieni.

Po upływie minuty rozlega się głos:

- *È morto. L'uomo è morto.*

Tom nie potrzebuje słownika, żeby zrozumieć treść meldunku.

Tak jak podejrzewał, Giulio nie żyje.

Żegna się i wspomina odwagę młodego eunucha, który ocalił mu życie.

- Chciałbym zejść na dół - zwraca się do Lorenza. - Nie ma pan nic przeciwko?

Major patrzy na niego pytająco.

- Z pękniętym obojczykiem?

- Pańscy sanitariusze nafaszerowali mnie taką ilością morfiny, że ból poczuję dopiero w następnym stuleciu.

Lorenzo przygląda mu się uważnie. Major nie należy do ułomków, ale Tom jest od niego sporo wyższy i szerszy w barach.

Lorenzo przywołuje jednego ze swoich ludzi.

- Dajcie jeszcze jedną linę.

Żołnierz natychmiast wręcza mu zwój. Lorenzo przypina jeden koniec do swojego pasa i odwraca się do Toma.

- Owiń się nią wokół pasa. Opuścimy cię po pochylni, dzięki temu unikniesz zeskoku i oszczędzisz to swoje ramię. - Rzuca linę Tomowi i pochyla się nad dołem: - Cywil schodzi.

Dajcie światło i asekurujcie go.

Tom zajmuje pozycję. Do majora dołącza jeden z podwładnych, żeby pomóc mu zrównoważyć ciężar Amerykanina.

- Dobra, opuszczamy.

Zsuwanie się ponownie po pochylni, na której wcześniej omal nie zginął, jest dość dziwnym doświadczeniem. Kiedy patrzy w dół, światło reflektora na karabinie niemal go oślepia. Z boku widzi ciało lwa, którego zabił Giulio.

Żołnierz asekuruje go na ostatnich metrach i pomaga mu zejść po kamieniach.

- Cywil na dole! - melduje majorowi.

Tom widzi to, co zostało z ciała eunucha.

Lew odgryzł mu głowę, ręce i nogi.

Tom czuje, że robi mu się niedobrze.

Zmusza się do ukłęknięcia przy zmasakrowanych zwłokach człowieka, który w jego oczach w pełni zasłużył na miano męczennika.

Kładzie dłoń na sercu Giulia i odmawia fragmenty Psalmu 23, modyfikując nieco treść na potrzeby okoliczności:

- Pan jest twoim pasterzem, nie brak ci niczego. Wiedzie cię po właściwych ścieżkach przez wzgląd na swoje imię. Chociażbyś chodził ciemną doliną, zła się nie ulękiesz. Pan zastawia dla ciebie stół wobec twych przeciwników; namaszcza ci głowę olejkami, a kielich twój jest przeobfity. Dobroć i łaska Pana pójdą w ślad za tobą przez wszystkie dni twego życia i zamieszkas w domu Pańskim po wsze czasy.

Żołnierz towarzyszący Tomowi czyni znak krzyża i pomaga mu wstać.

- *Grazie*. - Dziękując żandarmowi, Tom spostrzega wbudowaną w ścianę kapliczkę Kybele.

Wyrzeźbiona postać bogini jest identyczna z tą, którą widział na ulotce w Galerii Borghese. Kybele trzyma w dłoniach otwartą księgę.

Czyżby to była Dziesiąta Księga?

- Mógłby mi pan tu poświecić?

Żołnierz kieruje swojego MP5 na marmurową ścianę.

Tom ma przeczucie.

A nawet więcej niż przeczucie.

Wyjmuje z kieszeni wisiołek Giulia i przekrzywia głowę tak, by spojrzeć na prostokąt księgi z perspektywy pionowej.

Przypomina sobie, jak odsunął pień blokujący wyjście z podziemnej galerii.

W drewnie zatopione były trzy zamki ułożone w trójkąt.

Tom przesuwa palcami po marmurowych stronicach.

Każdy wiersz jest wyrzeźbiony głębokim reliefem. Strony pokryte są gęstym łacińskim pismem.

Przygląda się bliżej.

To jednak nie są łacińskie słowa, ani nawet greckie.

Tom nie rozpoznaje tego języka.

Być może to etruski. Albo frygijski.

Żołnierz podchodzi bliżej i zwięża promień światła z reflektora.

- Co pan robi?

- Chcę coś sprawdzić. - Tom pokazuje mu trójkątny wisiołek. - To jest klucz. Jeśli uda mi się znaleźć odpowiednie zamki, może uda nam się tu coś odkryć.

- Nie ma problemu, o ile to nie będzie kolejny lew.

Żołnierz uśmiecha się i kieruje światło w dół i w lewo. Reflektor oświetla otwartą stalową bramkę, wysoką na mniej więcej metr i szeroką na pół metra.

- Weszły tędy. Pełno tam odchodów i misek z suchą karmą. Ale były tylko dwa, sprawdziłem.

Tom czuje ulgę.

- Mogę poprosić o światło?

Żołnierz podnosi reflektor.

Księga nie jest zbyt duża, więc Tom szybko bada jej powierzchnię. Zauważa, że strona po lewej przecięta jest dwiema przekątnymi krzyżującymi się w środku. Szuka palcami ukrytych rowków.

Nic.

A potem uświadamia sobie, że przecinające się linie tworzą duży znak X.

X, czyli dziesięć.

Jest przekonany, że wpadł właśnie na ślad Dziesiątej Księgi.

Tylko co dalej?

Przenosi wzrok na stronę po prawej, ale na pierwszy rzut oka nie ma tam żadnych wskazówek. Strona wygląda niemal identycznie jak lewa, ale jest pozbawiona przekątnych. Tom zdaje sobie sprawę, że wskazówka jest tuż przed jego nosem, ale wciąż jej nie widzi.

Przypomina sobie zagadki optyczne, w których człowiek wpatruje się w określony wzór, a kiedy na chwilę odrywa od niego wzrok, ukazuje mu się inny, ukryty.

Tom skupia wzrok.

Za bardzo.

Mrużąc oczami i bierze głęboki oddech. Jeszcze raz.

Stojący obok żołnierz go rozprasza.

Tom koncentruje się i oczyszcza umysł, tak jakby przygotowywał się do modlitwy.

I wtedy na marmurowej stronie pojawia się aż zbyt dobrze znany symbol.

Pentagram.

Odwrócony.

Tom siłą powstrzymuje się od mrugnięcia. Nie może poruszyć się choćby o centymetr. Nie może pozwolić, żeby pentagram zniknął.

Wyciąga rękę i próbuje wsunąć wisiorek w pierwszy wierzchołek pentagramu.

Trójkąt pasuje.

Dociska i słyszy kliknięcie zamka.

Następnie powoli i ostrożnie wkłada wisiorek w kolejne wierzchołki, w kolejności odwrotnej do ruchu wskazówek zegara.

Ostatni zamek wydaje z siebie głośnie szczęknięcie.

Ale nic się nie dzieje.

Nic się nie otwiera.

Może trzeba coś pociągnąć, popchnąć albo podnieść?

Tylko co?

Żołnierz patrzy na niego pytająco.

Księga ani drgnie. Podobnie jak posąg Kybele i ściana.

Próbują jeszcze raz.

Bez efektów.

Żołnierz podnosi światło reflektora do twarzy Toma.

- Czego się pan spodziewał?

- Dobrze pytanie. Sam nie wiem. Myślałem, że coś się otworzy.

Żołnierz uśmiecha się wyrozumiale.

- Dobra, chodźmy już. Najwyższa pora stąd wyjść.

Odwracają się i idą w kierunku wyjścia.

Na ścianie po lewej światło reflektora omiata jakiś otwór.

Przejście.

Tom łapie żołnierza za rękę i kieruje jego karabin w stronę otworu.

- Czy to było tu wcześniej?

Żandarm kręci głową.

- Nie. Sprawdziłem wszystko i jestem pewien, że tego otworu nie było.

Tom rusza w kierunku otwartego przejścia.

- Proszę poczekać! - Żołnierz rzuca mu karcące spojrzenie i wskazuje głową na swój karabin.

Tom nie dyskutuje.

Idzie kilka kroków za żołnierzem.

Przechodząc przez otwór, już wie, dokąd prowadzi przejście.

Na cmentarz.

Kolumbarium.

Takie samo jak to, które opisała Anna, wcielając się w Kasandrę.

Komora jest olbrzymia i przypomina wnętrze gołębnika.

Wzdłuż wysokich ścian ciągną się rzędy półek na urny.

Tom przygląda się im z bliska. Każda półka oznaczona jest rzymską liczbą. Ta, na którą patrzy, nosi numer DXX, a sąsiednia DXIX, czyli 520 i 519. Tom idzie wzdłuż malejących numerów w kierunku wyjścia. Na jednej z dolnych półek znajduje w końcu to, czego szukał.

X.

Na urnie wymalowany jest wizerunek Kybele.

Twarz bogini, tak jak na innych obrazach, jest niepokojąco podobna do twarzy Anny.

Tom zastanawia się, co właściwie znalazł.

Tylko urnę ze starymi prochami?

Czy może szczątki najstarszej i najslynniejszej bogini wieszczki w historii świata?

Tom ma nikłe pojęcie o archeologii, ale zauważa, że w jego znalezisku jest coś dziwnego.

Urna Kybele i urny stojące w pobliżu nie są tak zakurzone, jak pozostałe. Prawdę mówiąc, na półce prawie w ogóle nie ma kurzu.

Tom ostrożnie zdejmuje wszystkie naczynia i pociąga za półkę.

Musi włożyć w to sporo sił, ale półka w końcu wysuwa się, pozostawiając wąski otwór w ścianie.

Tom zagląda do wnętrza.

W środku leżą stosy ksiąg.

Wypełnionych tajemnicami, które ich autorzy chcieli zabrać ze sobą do grobu.

# 139.

Skromne gospodarstwo na powierzchni zmieniło się w obóz wojskowy.

Na środku podwórza stoi mercedes unimog z napędem na cztery koła, rozmiarami przypominający niewielką stodołę. Samochód jest wyładowany sprzętem do odholowywania pojazdów, burzenia ścian i innych ciężkich zadań.

Do opancerzonych ciężarówek Iveco zapakowano już aresztowanych. Któryś z żołnierzy uderza ręką w burtę jednej z nich.

Ciężarówka rusza piaszczystą drogą w eskorcie motocykli BMW R85 z włączonymi niebieskimi sygnalizatorami.

Nad gospodarstwem stale krąży śmigłowiec Agusta-Bell obserwujący transport więźniów Drogą Appijską w kierunku Rzymu.

Tom siedzi na kamiennym korycie i odpoczywa.

Obserwuje pożegnanie Valentyny ze Stokrotką, którą zabierają pracownicy opieki społecznej. Rozstanie jest równie trudne dla nich obu.

Kiedy dziewczynka odjeżdża, Valentina przysiada obok Toma.

Kładzie mu dłoń na udzie i opiera się głową o jego ramię.

Tom bierze ją za rękę.

- Wszystko z nią w porządku?

- Wątpię. Ta mała jest cholernie daleko od „w porządku”.

Tom ściska delikatnie jej dłoń.

- Nic więcej nie możesz zrobić. Zajmą się nią specjaliści.

Valentina podnosi na niego wzrok. W jej oczach nie ma łez, tylko obrzydzenie.

- Silvestri powiedział, że uwolnili prawie tuzin dzieci. Niektóre były nawet młodsze od Stokrotki.

- Ilu członków sekty aresztowano?

- Dwunastu mężczyzn. Zdaje się, że wszyscy byli strażnikami. - Zerka w kierunku bramy wjazdowej na farmę. Sanitariusze wkładają *Mater* na noszach do ambulansu. - Oprócz tej



staruchy aresztowali jeszcze cztery kobiety w jej wieku i dwie lub trzy młodsze, mniej więcej czterdziestoletnie.

Tom ociera z czoła krople deszczu.

- Wierzchołek góry lodowej.

- Przynajmniej część z nich zacznie śpiewać na przesłuchaniach. Wątpię, żeby miały ochotę na spędzenie reszty życia w więzieniu, więc powinny wydać pozostałych członków.

Tom patrzy jej w oczy.

- W tym dole, w którym lew zabił przyjaciela Anny, znaleźliśmy tajną komnatę.

Kolumbarium.

- Rzymski cmentarz dla biedaków, tak?

Tom kiwa głową.

- W środku był stos książek oznaczonych liczbą X. Twoi koledzy z dochodzeniówki właśnie je wyciągają.

- Wiesz, co w nich jest? - pyta zaintrygowana Valentina.

Tom się domyśla.

- Były ułożone od najstarszej do najnowszej. Zajrzałem do jednej z nich. Przypominała książkę adresową skrzyżowaną z pamiętnikiem. W kolumnie po lewej znajdowały się numery telefonów i adresy e-mail. Po prawej opisane były rytuały, które przeprowadzali na dzieciach, wraz z ich imionami i opisami. Na kilku stronach znalazłem wzmianki o nowo przybyłych i o ceremoniach inicjacyjnych, przez które musiały przejść.

Valentina zwiesza głowę. Zbiera jej się na wymioty.

Tom głaszcze ją po ramieniu.

- Te księgi sięgają dziesiątki, może setki lat wstecz. Dziesiąta Księga nie ma nic wspólnego z mądrością, ani przepowiedniami, to po prostu gigantyczny pamiętnik pedofila. Nic więcej.

Valentina podnosi głowę. Jej twarz tężeje od gniewu.

- Mylisz się, Tom. Te księgi zawierają najważniejszą wiedzę, jakiej potrzebujemy: informacje o tym, gdzie znaleźć tych psychopatów i dowody na to, żeby zamknąć ich za kratami do końca ich parszywego życia.

# EPILOG

*Trzy dni później*

Valentina i Tom wchodzą do gabinetu Lorenza Silvestriego. Oboje nie bardzo wiedzą, po co się tu znaleźli.

Lorenzo zadzwonił i poprosił ich o przybycie. Valentina nie dyskutowała. Zdążyła się już nauczyć, że sprzeciwianie się rozkazom majora żandarmerii zazwyczaj źle się kończy.

Lorenzo wyznaczył spotkanie na dziewiętnastą. Godzina i fakt, że major zasugerował im, żeby ubrali się elegancko, stanowią dla Valentiny pewną wskazówkę. Silvestri wygląda na porządnego człowieka, więc Valentina domyśla się, że wezwał ich po to, żeby wypić kieliszek wina, wygłosić pochwalną formułkę za pomyślne zakończenie śledztwa i może przekazać jakieś nowe informacje o sprawie.

Lorenzo wita ich uśmiechem szerokim jak Tyber podczas wiosennej powodzi.

- *Capitano* Morassi. - Rozkłada szeroko ręce. - Wygląda pani jeszcze efektowniej, niż w „Vanity Fair”.

Valentina niemal oblewa się rumieńcem.

- Widział pan tamte zdjęcia?

- Valentino, wszyscy widzieli tamte zdjęcia. - Lorenzo ją ściska. - *Signor Shaman*. - Major robi krok w tył, udając, że podziwia potężną sylwetkę Toma. - Nawet w tym temblaku doskonale uzupełnia pan się z naszą *capitano*. - Potrząsa dłońią Toma, po czym całuje go w oba policzki. - Siadajcie, proszę. - Wskazuje im dwa czarne, plastikowe krzesła.

Lorenzo zasiada za prostym szklanym biurkiem i z zadowoleniem krzyżuje ręce na piersi.

- No dobrze. Mamy sporo do omówienia, od czego by tu zacząć?

- Może od tej dziewczynki, którą znalazłam w celi? - podpowiada Valentina.

Major kiwa głową.

- Czuje się dobrze. Nazywa się Cristiana, ma jedenaście lat i napisała do ciebie list. - Lorenzo przegląda papiery na biurku. - Przepraszam, wydawało mi się, że go tu mam.

- Dostrzega rozczarowanie w oczach Valentiny. - Bez obaw, znajdę go.

Z tacki na dokumenty wyjmuję jasnobrązową teczkę.

- Najpierw jednak zajmijmy się twoim śledztwem.

Tom i Valentina zauważają zmianę tonu. Być może to spotkanie jednak nie będzie tak przyjemne, jak sądzili.

Lorenzo wyjmuję z teczki czarno-białą fotografię.

- To nie będzie przyjemny widok.

Ma rację.

Zdjęcie przedstawia ciało kobiety w płytkim grobie.

Jedna dłoń jest odcięta.

Valentina podnosi fotografię. Wraca myślami do Cosmedinu i zachlapanego portyku, który badała wraz z Federikiem. To tam wszystko się zaczęło. Spogląda pytająco na majora.

- Znaleźliśmy ciało w tunelach pod farmą. Według patologów pochowano ją żywcem.

- Dobry Boże. - Valentina oddaje mu zdjęcie. - Jeden z naukowców z RaCIS powiedział nam, że krew z odciętej dłoni należała do siostry Anny, Cloelii. To prawda? Czy to jest ciało jej siostry?

- Tak. - Lorenzo odczeka chwilę, aż oboje przetrawią tę informację. - Dochodzeniówka znalazła ślady DNA wskazujące, że zabójcą był jeden z aresztowanych przez nas ludzi. Krew siostry Anny była na jego szacie, a na jej ciele znaleziono ślady jego DNA, więc mamy dość silny łańcuch dowodowy. - Major odkłada zdjęcie z powrotem do teczki. Z ponurą miną wyjmuje kolejne.

- Ją już poznaliście. To Anna Fratelli.

Tom i Valentina ze smutkiem wpatrują się w fotografię dziewczyny, której odebrano normalne życie.

Lorenzo w zamyśleniu pociera policzek. Sięga ponownie do teczki, z której wyjmuje dwie kolejne fotografie i kładzie po obu stronach zdjęcia Anny.

Pierwsze zdjęcie przedstawia amforę, którą Tom odkrył w kolumbarium. Drugie to policyjna fotografia sześćdziesięciu kilku letniej kobiety. Kobiety, do której Valentina strzelała w podziemnej świątyni.

Lorenzo stuka palcem w fotografię Anny.

- To jej drzewo genealogiczne.

- Nie rozumiem - mówi Valentina, choć w rzeczywistości rozumie doskonale. Ale nie jest w stanie przyjąć tego do wiadomości.

Major kładzie dłoń na policyjnej fotografii.

- Tę kobietę nazywano *Mater*. Naprawdę nazywa się Sibilina Kasandra Sabina Andreotti. - Lorenzo patrzy na Toma. - Twierdzi, że jest potomkinią bogini Kybele. Ja nie wierzę w boginie. - Zerka na Valentine. - W każdym razie nie w boginie tego rodzaju. Mogę jednak powiedzieć wam, że ta kobieta jest matką Anny Fratelli. Obie mają również to samo DNA, co osoba, której prochy umieszczono w tej urnie kilkaset lat temu.

W gabinecie zapada martwa cisza.

Tom i Valentina gapią się na zdjęcia z niedowierzaniem.

Tom w końcu odchrząka i pochyła się na krzesło.

Lorenzo patrzy na niego oczekująco.

- Powinienem coś panu powiedzieć.

Valentina robi zaskoczoną minę. Przez ostatnie trzy dni praktycznie nie rozmawiali ze sobą o całej sprawie, starając się jak najszybciej o niej zapomnieć.

- Chodzi o tego człowieka, z którym wszedłem do tuneli.

- Giulia Angelusa Brygusa - dopowiada Lorenzo.

- Giulio... - Tom wypowiada imię eunucha niemal z czcią. - Opowiedział mi, co się wydarzyło w kościele Santa Maria in Cosmedin. Członkowie sekty schwytali Annę i zabrali ją do Ust Prawdy, żeby strachem wydobyć z niej informację, czy komukolwiek mówiła o świątyni i rytuałach. Odcięli dłoń jej siostry i powiedzieli, że ją zabiją, a potem to samo zrobią z Anną, jeśli nie powie im prawdy. - Tom przerywa na chwilę, przypominając sobie dokładnie opowieść eunucha. - Kiedy Anna szarpała się ze strażnikami, zjawił się Giulio. Wywiązała się walka. W trakcie szamotaniny Anna podniosła jeden z ceremonialnych mieczy i zabiła człowieka, który zranił jej siostrę.

- To dlatego krew na jej szacie miała grupę AB i nie pasowała do krwi ofiary z odciętą dłonią, która, jak wiemy, miała czynnik Rh minus i należała do jej siostry - wtrąca Valentina.

Tom nie ma aż takiego zaufania do badań genetycznych.

- Skoro tak mówisz. Ale muszę powiedzieć wam coś jeszcze.

Lorenzo gestem zachęca go do kontynuowania.

- Anna wpadła w panikę i uciekła. *Galli* zabrali *Mater* i siostrę Anny z powrotem do

świętyni, pozostawiając Giulia z martwym strażnikiem. Owinął ciało w rozwieszoną na portyku folię malarską. Potem zaniósł zwłoki do samochodu, pojechał nad Tyber i pochował je pod kamieniami.

- A co z ranami tego człowieka? - pyta Valentina. - To Anna mu je zadała?

- Nie. To był Giulio. Próbował upozorować wypadek. Położył ciało nad rzeką, wyciął większą część wnętrzości i wyrzucił do rzeki, a na koniec przywalił zwłoki kamieniami - prawdopodobnie powodując uszkodzenie czaszki - i uciekł.

- Będziemy potrzebowali twojego zeznania na piśmie. - Lorenzo zbiera zdjęcia i chowa z powrotem do teczki.

Valentina wolałaby w tej chwili znaleźć się gdzie indziej. Gdziekolwiek, byle dalej od bolesnych wspomnień. Prostuje się na krześle.

- Czy możemy już iść? - pyta, próbując zachować uprzejmy ton.

- Jeszcze nie. Muszę znaleźć ten list do ciebie. *Uno momento*.

Major podnosi słuchawkę i dzwoni do sekretarki, której najwyraźniej nie ma na stanowisku.

Odkłada telefon na widełki.

- Przepraszam, chyba mam dzisiaj pecha - mówi z lekko poirytowaną miną.

Valentina z rezygnacją kiwa głową.

- Nie mogę was jednak wypuścić, zanim nie usłyszycie dobrych wiadomości.

- To znaczy? - pyta ze znużeniem Valentina.

- Zarzuty dyscyplinarne przeciwko tobie i Federico zostały oddalone. Rozmawiałem z szefem sztabu, który z kolei przedstawił sprawę *Commandante Generale*. Jutro zostaniecie razem z Assante przywróceniu do służby.

Valentina nawet nie próbuje ukryć ulgi.

- *Grazie*. A co ze skargą Louisy Verdeti?

- Wycofana.

Ta informacja ją zaskakuje.

- Jak ona się czuje?

- Lepiej. Jak się pewnie domyślasz, cała ta historia nieźle nią wstrząsnęła. Zanim pójdziecie, powiedz mi jeszcze, jak się zapatrujesz na powrót pod rozkazy majora Caesario?

Aż do tej chwili Valentina w ogóle o tym nie myślała. Przez chwilę zastanawia się nad

odpowiedzią.

- Jestem dumna ze swojej pracy i ze sposobu, w jaki ją wykonuję - mówi w końcu dyplomatycznie. - Z radością wrócę do służby.

- Może po krótkich wakacjach? - sugeruje Tom.

Valentina uśmiecha się do niego.

- Po bardzo długich wakacjach. Obiecuję.

Lorenzo pozwala sobie na lekki uśmiech. Morassi i Shaman stanowią wyjątkowo dobraną parę.

- Chodzi mi o to, że jeśli nie chcesz dłużej służyć u Caesario, z przyjemnością powitam cię w swoim oddziale antyterrorystycznym.

Valentina jest zaskoczona.

- Nie musisz decydować od razu. Vito Carvalho powiedział mi, że będę miał szczęście, jeśli zgodzisz się pracować z nami. Wierzę mu. - Lorenzo zerka na zegarek i wstaje z fotela. - Obawiam się, że muszę was pożegnać. Mam kilka pilnych spraw.

Tom i Valentina przysuwają krzesła do biurka i kierują się do drzwi.

- *Grazie* - mówi Valentina na odchodnym. - Dziękuję za pomoc, panie majorze.

- Bardzo proszę. - Lorenzo otwiera drzwi. - Odprowadzę was.

Wychodzą z gabinetu. I idą korytarzem, rozmawiając.

- To może być twój gabinet - mówi major, pokazując Valentinie zamknięte drzwi z pustym miejscem na plakietkę.

Kobieta odpowiada ciepłym uśmiechem.

Lorenzo widzi wyraźnie, że jego propozycja ją kusi.

- Mówię poważnie. Zajrzyj do środka.

- Pomyślę o tym, *molto grazie* - odpowiada zmieszana Valentina.

Lorenzo nie zamierza jednak odpuszczać. Przekręca klamkę i otwiera drzwi.

W gabinecie jest pełno ludzi.

- *Sorpreso!*- wykrzykuje chór. Same znajome twarze.

W powietrze wlatują konfetti i serpentyny.

Valentina prawie wybucha płaczem, widząc swoich rodziców i Vita Carvalho, którzy biją jej brawo. Jest z nimi też Louisa Verdetti.

Oprócz nich rozpoznaje co najmniej połowę oficerów z komendy głównej.

Nic lepszego nie mogło jej dzisiaj spotkać.

Po chwili okazuje się, że jednak mogło.

Wśród tak wielu bliskich jej osób pojawia się mała dziewczynka.

Stokrotka ma na sobie nową jasnoniebieską sukienkę. Jej uśmiech natychmiast podbija serca wszystkich zgromadzonych w gabinecie.

Valentina bierze ją na ręce i całuje.

Tom Shaman stoi krok za nią.

Nigdy nie kochał nikogo tak bardzo, jak Valentyny.

Ma tylko nadzieję, że kiedy wrócą z obiecanych wakacji, ona zrozumie, dlaczego musi ją opuścić...